

Michael DiMercurio

Głębokość alarmowa

Emergency deep

Przekład Maciej Pintara

Pamięci Roberta Lee Cartera Juniora (1965-2002)
„On nie odszedł, poszedł naprzód”.
Dobrej zabawy, Panie Prezydencie!

Nasza przyszłość

Być podstawową grupą wyróżniającego się w świecie środowiska wywiadowczego Stanów Zjednoczonych, znaną z wysokiej jakości pracy i perfekcji.

Nasze zadania

Wspieranie Prezydenta, Rady Bezpieczeństwa Narodowego, wszystkich twórców i wykonawców polityki bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych poprzez: (1) dostarczanie we właściwym czasie dokładnych, opartych na dowodach, wyczerpujących danych wywiadowczych, związanych z bezpieczeństwem narodowym, (2) prowadzenie działalności kontrwywiadowczej i operacji specjalnych, a także wykonywanie innych funkcji związanych z zagraniczną działalnością wywiadowczą i bezpieczeństwem narodowym wskazanych przez Prezydenta.

Nasze cele i dążenia

Dostarczanie: (1) wartościowych danych wywiadowczych istotnych dla przewycięzania kryzysów, prowadzenia wojny i tworzenia polityki państwa, (2) obiektywizm w kwestii informacji wywiadowczych i rzetelne wypełnianie obowiązków wobec zleceniodawcy.

*Przyszłość, zadania i cele
Centralnej Agencji Wywiadowczej*

Siły Podwodne Stanów Zjednoczonych pozostaną dominującą flotą podwodną świata. Będziemy konsekwentnie wdrażali nowe, innowacyjne technologie, by utrzymać przewagę we wszystkich rejonach walk morskich. Będziemy promowali wielorakie możliwości okrętów podwodnych i rozwijali taktykę zabezpieczania interesów narodowych poprzez przygotowania rejonów walk, kontrolę mórz, wspieranie działań lądowych i stosowanie strategii odstraszania. Będziemy odgrywali rolę niewidzialnej, wielozadaniowej platformy ekspedycyjnej Połączonego Dowództwa.

Przyszłość Sił Podwodnych
Stanów Zjednoczonych

Głębokość alarmowa – termin, który w Siłach Podwodnych Stanów Zjednoczonych oznacza alarmowe zanurzenie z głębokości peryskopowej do 45 metrów, co wystarcza, aby uniknąć kolizji kiosku z dnem supertankowca, a jednocześnie pozwala uratować okręt w razie przecieku spowodowanego zderzeniem.

Rozkaz „głębokość alarmowa” wydaje oficer pokładowy przy peryskopie, kiedy zobaczy zbliżającą się jednostkę nawodną. Kadłub okrętu podwodnego jest tak skonstruowany, żeby wytrzymywał ciśnienie, a nie siłę uderzenia. W wypadku kolizji może łatwo nabrać wody i zatonać. Po słowach „głębokość alarmowa” zespół sterowania okrętem podejmuje natychmiastowe działania bez dalszych rozkazów. Oficer zanurzenia zarządza pełną szybkość, szef wachty zalewa zbiorniki balastowe, operator sterów głębokości nurkuje okrętem pod kątem 10 stopni i wyrównuje na 45 metrach.

Natychmiastowe działania w celu zanurzenia na głębokość alarmową są podejmowane również wtedy, gdy oficer pokładowy przy peryskopie nagle krzyknie na przykład „o, cholera”, co jest równoznaczne z rozkazem „głębokość alarmowa”.

Prolog

Wypielegnowane krzewy na tarasie obserwacyjnym rzucały wyraźne cienie na oświetloną księżycem wybrukowaną powierzchnię i granitową balustradę od strony klifu. Niżej, w dolinie wyżłobionej przez bieg rzeki Severn, tereny Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych wypełniały połowę horyzontu. Wysokie granitowe budowle z pozieleniałymi ze starości miedzianymi dachami stały stłoczone nad wodą i przypominały fortece nie do zdobycia. Olbrzymi ośmioskrzydłowy budynek główny, Bancroft Hall, zajmował całe hektary. Był największym akademikiem na świecie. Mieściły się tam wysoka rotunda i stołówka długa na ponad trzysta metrów. Na lewo ciągnęły się puste boiska, niektóre oświetlone lampami stadionowymi, inne ciemne. W basenie portu jachtowego kołysały się tuziny przycumowanych żaglówek. Na prawo stały rzędem bardziej nowoczesne budynki uczelni. Miały proste pionowe ściany bez gargulców, wyrzeźbionych dziobów okrętów i tarcz zdobiących Bancroft Hall, ale można było natychmiast rozpoznać, że wzniesiono je w XIX wieku. Za rzędem budynków stała majestatyczna kaplica z iglicą skierowaną ku letniemu rozgwieźdżonemu niebu. Ciężkie drzwi z brązu były pokryte skomplikowanymi wzorami. W świetle księżyca wyraźnie odznaczały się ozdobne witrażowe okna. Pod

marmurową podłogą spoczywał w grobowcu kapitan John Paul Jones. Masywnego sarkofagu strzegły trzy wdzięczne delfiny z czarnego marmuru.

Od strony tarasu obserwacyjnego Bancroft Hall był ciemny, tylko w kilku oknach świeciło się światło. Ale od strony frontowego wejścia mocne reflektory rozjaśniały szeroki ceglany dziedziniec, utworzony przez cztery pierwsze skrzydła budynku. Środkowa kondygnacja schodów i dwie pochylnie prowadziły do wysokich mosiężnych drzwi rotundy pod ciężkimi granitowymi kolumnami. Przy wejściu na dziedziniec stały dwa działa dużego kalibru zwrócone lufami do siebie. Tuż przed nimi wznosił się posąg Indianina z groźną twarzą. Pochodził z okrętu wojennego „Delaware” i dawno temu nadano mu przezwisko Tecumseh. Za pięć godzin dziedziniec miał się wypełnić tysiącem aspirantów maszerujących w górę pochylni w rytm werbli orkiestry dętej stojącej na tle schodów. Ale tuż po drugiej nad ranem w lipcowy poniedziałek na dziedzińcu panowała cmentarna cisza. Jedyнным odgłosem był szelest liści na drzewach za murami drugiego skrzydła budynku w wilgotnej letniej bryzie.

Oczy Tecumseha patrzyły nieruchomo w kierunku frontowych okien czwartego skrzydła budynku na prawo od głównych drzwi rotundy. Po drugiej stronie ceglano-dziedzińca w kolorze piasku, za kolumnami i mosiężnymi drzwiami u szczytu schodów, wewnątrz rotundy było cicho jak w katedrze. Kopuła sufitu wznosiła się

piętnaście metrów nad marmurową podłogą. Okrągłe malowidło ściennie nad wielkimi drzwiami przedstawiało desperacką bitwę morską. Uszkodzony i mocno przechylony okręt wojenny ostrzeliwał z potężnych dział zażartego przeciwnika. Woda płonęła, eksplozje rozdzierały fale, marynarze i oficerowie krwawili, walczyli i ginęli. Na prawo i lewo od kopuły rotundy ciągnęły się żelazne poręcze górnych poziomów trzeciego i czwartego skrzydła. Na wprost marmurowe stopnie prowadziły dwa piętra w górę do cichego wnętrza rozległej Sali Pamięci, gdzie pod ogromną niebieską flagą widniały wyryte złotymi literami nazwiska absolwentów poległych w walce. Z poziomu podłogi rotundy można było z daleka odczytać wyblakły biały napis na fladze Nie poddawać okrętu, słowa rozkazu wypowiedzianego w minionych stuleciach.

Za podwójnymi drzwiami na prawo ciągnął się główny korytarz czwartego skrzydła. Był długi na ponad sto pięćdziesiąt metrów i szeroki jak autostrada. Na dole schodów niebieska glazura na ścianach zmieniała się w brązową. Pomieszczenie było jasno oświetlone nawet w nocy. Korytarz skręcał na końcu i zwężał się do szerokości trzech metrów. Trzydzieści metrów dalej przecinał go inny, którego prawa odnoga prowadziła na Dziedziniec Tecumseha.

Za czwartymi drzwiami po lewej stronie znajdował się typowy pokój aspiranta, identyczny z tysiącem innych. Różnił się tylko mosiężną tabliczką na ścianie obok

drzwi. Widniał na niej portret młodego mężczyzny w białym wykrochmalonym mundurze z wysokim kołnierzem. Mężczyzna miał groźną minę i przenikliwe spojrzenie. Podpis na tabliczce mówił, że to komandor Howard Gilmore, absolwent Akademii Marynarki Wojennej i kapitan okrętu podwodnego „Growler” w czasie II wojny światowej. Gilmore został ranny na szczycie kiosku podczas nagłego ataku lotniczego. Gdyby załoga traciła czas na wciąganie go przez właz na dół, los okrętu byłby przesądzony. Gilmore w ułamku sekundy podjął decyzję, którą zasłużył na Medal Honoru i tabliczkę pamiątkową obok drzwi pokoju – kazał swojemu zastępcy zanurzyć okręt bez niego i zakrzyczał protesty oficera wykonawczego zwięzłym rozkazem: „Okręt pod wodę!” USS „Growler” zanurzył się i załoga ocalała, ale Howard Gilmore zniknął bez śladu. Po jego śmierci wszyscy nowi aspiranci w Akademii Marynarki Wojennej musieli znać na pamięć przebieg tamtego dnia na morzu, kiedy Gilmore stał się przykładem honorowej postawy w walce.

Drzwi pokoju mieszkalnego na prawo od tabliczki pamiątkowej były zamknięte. Lamy sufitowe w środku były zgaszone, ale przez szpary w żaluzjach sączył się blask księżyca w pełni. Smugi światła padały na zmarszczoną twarz młodego mężczyzny za biurkiem. Naprzeciwko niego siedział w mroku jego kolega. Obaj milczeli. Byli aspirantami dopiero od siedemnastu dni, ale wiele wskazywało na to, że nie zostaną tu następnych

siedemnastu.

Letnie szkolenie zaczęło się w końcu czerwca w Dniu Inauguracji. Nazwa Lato Kadeta okazała się zdradliwa. Brzmiała zachęcająco. Słowa w lśniącym katalogu Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis podsuwały młodym ludziom wizję ciekawego lata spędzonego w kampusie uczelni nad zatoką na żeglowaniu i biegach na orientację. Daleko na północy, w dawnym forcie nazwanym West Point, kadeci wojsk lądowych pocili się na ćwiczeniach Koszarowe Bestie. Ta nazwa była bliższa prawdy, ale ciągle daleka od rzeczywistości. Podczas lata tysiąc nowych aspirantów – młodszych kadetów – dostawało ostry wycisk fizyczny jak w ośrodku treningowym Korpusu Marines, połączony z praniem mózgu jak w nazistowskim obozie jenieckim.

Żyłasty aspirant siedzący w blasku księżyca był najwyższym kadetem w trzeciej drużynie drugiego plutonu kompanii November. Dzięki wrodzonej szybkości i doskonałemu refleksowi zdobywał w szkole średniej mistrzowskie tytuły w tenisie i biegach. Miał bladą cerę, niebieskie oczy i krótko ostrzyżone blond włosy. Postukał automatycznym ołówkiem w bibularz i pomyślał o studiach na dwóch wyższych uczelniach Ivy League, z których zrezygnował, żeby tu przyjechać. W szafie za jego plecami wisiał mundur z naszywką Vornado. Aspirant nosił nazwisko pilota myśliwca i admirała. Znalazł się tutaj za jego namową i teraz miał go rozczarować.

Kadet siedzący w mroku naprzeciwko Petera Vornado pokręcił głową. Aspirant czwartej klasy Burke Kinnaird Dillinger był prawie o głowę niższy od Vornado, ale zbudowany jak ciężarowiec. Miał szerokie bary, szyję grubszą od uda Vornado i napęczniałe bicepsy. Zameldował się w akademii z bujną grzywą falujących kruczoczarnych włosów, ale teraz pozostał po nich tylko ciemny meszek. Spod czarnych krzaczastych brwi patrzyły groźnie zimne, szare oczy. W Dniu Inauguracji Vornado dowiedział się, że jego współlokator też jest synem wyższego oficera. Ale admirał Vornado dowodził grupą bojową lotniskowca, a generał Dillinger pracował w mrocznych zakamarkach Agencji Wywiadowczej Obrony. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, pomyślał Vornado, bo za kilka dni i tak nas wywałą.

Ciszę przerwał w końcu jego przyciszony baryton:

– Lepiej przemyślmy to jeszcze raz, BK. Jeśli to zrobimy, mogą nas przyłapać. A nawet jeśli nie, zostaniemy przesłuchani. Jeśli skłamiemy, wykopią nas za pogwałcenie kodeksu honorowego. Jeśli się przyznamy, też nas wykopią, za chuligaństwo. Niedobrze, tak czy inaczej. Będzie cholernie trudno wyjaśnić to w domu i nie przyjmą nas nawet do miejscowego college'u. Chcę się zemścić tak samo jak ty, ale nie za taką cenę.

– Już to przerabialiśmy – odparł Dillinger z nutą niezadowolenia w głosie. – Teraz musimy podjąć decyzję. Mamy tylko dwie możliwości. Pierwsza jest taka, że ten sukinsyn Whitehead i jego kolesie z roku dostaną

ostrzeżenie, żeby się od nas odpieprzyli. Będziemy mieli spokój i dotrwamy do dyplomu. Inaczej Whitehead nam nie odpuści. Wyżywa się na nas od początku i z każdym dniem jest coraz gorzej. Po tym, co zrobił dziś w nocy, już nie panuję nad sobą. Jak puszcza mi nerwy, będzie po mnie, a o to mu chodzi. Jeśli tego nie zrobimy, nie doczekamy do końca Lata Kadeta. Wolałbym się nie tłumaczyć w domu, Więc sam powiedz, Vornado. Jakie mamy wyjście?

Vornado skinął głową. W Dniu Inauguracji, kiedy tylko wyszli od fryzjera i przebrali się z cywilnych ubrań w źle dopasowane, białe bawełniane uniformy, przed ich nierównym szeregiem zjawił się ponury aspirant pierwszej klasy, Whitehead, dowódca drużyny. Miał na sobie nieskazitelnie biały mundur tropikalny z czarnymi naramiennikami i baretkami nad lewą górną kieszenią. Wyraźny kontrast między jego idealnie skrojonym mundurem a ich workowatymi kombinezonami wydawał się zamierzony. Whitehead był starannie ostrzyżony i miał na głowie aspirancką czapkę z daszkiem. Przy czarnym skórzanym pasie nosił kordzik oficerski w pozłacanej pochwie. Trzymał dłoń na rękojeści, jakby lada chwila zamierzał wyciągnąć broń i odciąć głowę któremuś z kadetów. Miał na twarzy wieczny wyraz ledwo hamowanego gniewu i tak wytrzeszczał oczy, że nad i pod piwnymi tęczęwkami widać było białka. Przedstawił się jako dowódca drużyny, trzymając nos pięć centymetrów od twarzy Vornado. Świdrował go piwnymi

oczami spod lśniącego czarnego daszka nieskazitelnie białej czapki, aż Vornado poczuł się jak nagi w swojej śmiesznej czapce marynarskiej z niebieską wstążką. Whitehead wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, potem ryknął jak syrena okrętowa. Vornado zaboląły uszy, do oczu prysnęły mu kropelki śliny Whiteheada.

– Hej, gnoju! Słuchaj dobrze! Jesteś bezwartościową kupą gówna! Znaczysz mniej niż wielorybie łajno na dnie oceanu! Nie wytrzymasz miesiąca w mojej akademii!

Vornado przełknął głośno i patrzył przed siebie. Starał się nie odrywać wzroku od ściany za plecami Whiteheada i nie zwracać uwagi na jego gorący oddech na swojej twarzy. Whitehead wrzeszczał przez pięć minut, w końcu poszedł dalej wzdłuż szeregu i zatrzymał się przed swoją następną ofiarą, aspirantem Dillingerem. Vornado słuchał ze wzrokiem utkwionym w ścianie. Whitehead wyśmiewał się z nazwiska Dillingera i krzyczał, że jego też szybko wywali z akademii.

Kiedy wreszcie skończył, wyprowadził drużynę na zewnątrz. Vornado myślał, że maszerują po ekwipunek, ale weszli do McDonough Hall, wielkiej sali gimnastycznej z ringiem bokserskim. Whitehead podzielił drużynę na pary. Każda dwójka pasowała do siebie wagą i wzrostem, z wyjątkiem Vornado i Dillingera. Vornado zerknął na Dillingera zbudowanego jak obrońca liniowy w futbolu amerykańskim i zastanowił się, jak długo wytrzyma, zanim zostanie znokautowany. Wyglądało na to, że Whitehead dobrał ich tak celowo, żeby Dillinger

zafukł Vornado na śmierć. Dwaj przeciwnicy nie zdążyli jeszcze wymienić słów powitania, gdy dostali rozkaz, by walczyć. Vornado ściągnął spodnie i bluzę. Pod spodem miał wymagany strój sportowy. Przy pomocy Whiteheada wspiał się niepewnie na ring. Na widok mięśni przeciwnika serce zaczęło mu nagle walić ze strachu. Nigdy w życiu nie boksował, a ostatni raz bił się na pięści w trzeciej klasie szkoły podstawowej. Włożył na głowę stary, zniszczony skórzany ochraniacz i zastanowił się, na ile zabezpieczy go przed ciosami Dillingera.

Przełknął, kiedy Whitehead uderzył w gong. Dillinger zaatakował. Przy swojej potężnej budowie był zadziwiająco szybki. Wycelował prostym w twarz Vornado. Ten na moment zamarł ze strachu, ale podświadomie zrobił unik i odskoczył w tył. Napiął mięśnie prawego ramienia i oddał cios. Trafił Dillingera w ucho. Siła uderzenia rzuciła Vornado na liny ringu i obróciła Dillingera w prawo. Vornado odbił się od lin z powrotem w kierunku przeciwnika. Dillinger znów zaatakował. Vornado i tym razem zdążył się schylić. Rozwścieczony celnym ciosem rywala Dillinger nacierał z furją, Vornado cofał się. Dillinger uderzył prawą. Chybił. Vornado odskoczył w bok i odpowiedział ciosem. Ale potem Dillinger zamarkował atak z lewej i natarł z prawej. Zamazana pięść wielkości ciężarówki pojawiła się jakby znikąd i trafiła Vornado w twarz. Głowa odskoczyła mu do tyłu, z nosa trysnęła krew i poplamiała koszulkę. Początkowo nie czuł bólu, tylko szok, że jakaś

siła odrzuciła go na krawędź ringu. Ale Dillinger zdekoncentrował się na widok krwi i Vornado zdążył go trafić lewym sierpowym w oko. Cios rozciął Dillingerowi skórę i posłał go do narożnika. Krew zalała chłopakowi pół twarzy. Dillinger zrobił zaskoczoną minę, potem wściekł się i ruszył naprzód. Zabrzmiał gong. Whitehead przerwał walkę i wrzasnął, że obaj mają się zatrzymać i stanąć na baczność. Vornado dopiero teraz poczuł ból. Kręciło mu się w głowie, nos pulsował, ring i twarze kolegów wirowały wolno wokół niego. On i Dillinger stali jak idioci, krwawili i ciężko dyszeli. Whitehead z niesmakiem pokręcił głową i lekceważąco machnął ręką.

– Zwykle za przelanie krwi przeciwnika na ringu dostaje się piątkę, ale tym żalosnym ciotom nie należy się taka ocena. Przyjrzyjcie się dobrze temu „braterstwu krwi”, panowie. Nie będziecie oglądali tych dwóch zbyt długo, bo odejdą stąd, jak tylko komendant podpisze ich rezygnacje w trzecim tygodniu szkolenia. A jeśli nie odejdą, będą tego żalowali. A wiecie dlaczego? Bo nie zasługują na to, żeby tu być.

Whitehead kazał walczyć następnej dwójce i krzyknął, żeby boksowali, a nie tańczyli jak Vornado i Dillinger. Vornado zerknął na Dillingera. Ten posłał mu wściekle spojrzenie, ale Vornado wiedział, że Dillinger nie jest wkurzony na niego, tylko na Whiteheada.

Trzy godziny później, po pobraniu ekwipunku, drużyna pomaszerowała z powrotem na parter Bancroft Hall. Whitehead przydzielił nowym aspirantom pokoje.

– Ty dostaniesz pokój Gilmore'a, Vornado. Może przejdzie na ciebie choć część jego charakteru, ale wątpię.

Vornado wmaszerował do spartańsko urządzonego pokoju i rzucił swój worek marynarski na podłogę. Drzwi się otworzyły i wszedł jego przeciwnik z ringu. Rozejrzał się i ostrożnie skinął głową na powitanie.

Vornado wyciągnął rękę.

– Peter Vornado z Norfolk w Wirginii. Dobrze walczysz. Wystraszyłeś mnie jak cholera.

Niższy kadet uśmiechnął się na moment i mocno uściskał Peterowi dłoń.

– BK Dillinger z McLean w Wirginii. Dzięki, ale próbowałem sobie wyobrazić, że jesteś Whiteheadem. Kto by pomyślał, że taki chudy facet, jak ty, może zadać taki cios?

Dillinger potarł łuk brwiowy, na który założono mu w ambulatorium opatrunek.

Przez następne dni niewiele rozmawiali. Nie mieli czasu. Whitehead dawał im taki wycisk, że minuty wlokły się jak godziny. Obrażał ich w obecności kolegów i codziennie wyładowywał na nich swoją złość, ale uważał, że to za mało. Starannie planował tortury, jakby zwykły rygor w akademii nie wystarczył. Główną częścią letniego szkolenia było stanie na baczność pod ścianą. Wyprostowani kadeci tkwili nieruchomo z głowami wciśniętymi w ramiona, a Whitehead obrzucał ich wyzwiskami i kazał recytować informacje, które mieli obowiązek znać. Egzaminował dokładniej niż na maturze.

– Sir, za sto czterdzieści trzy dni marynarka dokopie armii, za sto sześćdziesiąt dwa dni będzie bożonarodzeniowa przerwa świąteczna, za trzysta trzydzieści trzy dni odbędzie się wieczorek taneczny dla aspirantów drugiej klasy, za trzysta trzydzieści siedem dni aspiranci pierwszej klasy otrzymają dyplomy ukończenia akademii. Sir, na obiad są hamburgery z serem, cebulą i przyprawami, puree z ziemniaków, fasola, lody, mrożona herbata z cytryną i mleko. Sir, jestem bardzo zawstydzony i głęboko upokorzony, że z powodu nieprzewidzianych i niezależnych ode mnie okoliczności wewnętrzny i ukryty mechanizm mojego zegarka działa tak niezgodnie z przyrządami astronomicznymi do określania czasu, że nie mogę podać dokładnie, która jest godzina, ale bez obawy o popełnienie dużego błędu uważam, że od trzeciego dzwonka minęło około czterech minut, trzech sekund i jedenastu dziesiątych.

Ilość rzeczy do zapamiętania była absurdalna – nazwiska i miasta rodzinne stu aspirantów w ich kompanii, kodeks zachowania jeńca wojennego, dwadzieścia siedem zwrotek czterostronicowego poematu *Reguły marynarki*, osiem powitań marynarskich, siedemdziesiąt dwa fachowe terminy techniczne z definicjami, rozkazy na okręcie, obsługa żaglowca z osprzętem rejowym, alfabet Morse'a, nazwiska trenerów i kapitanów wszystkich drużyn sportowych, dwanaście pieśni bojowych marynarki, historia stu pomników i budynków na terenie akademii, długość i szerokość

geograficzna Annapolis, liczba cegieł na Dziedzińcu Tecumseha, wynik każdego meczu futbolowego rozegranego przez marynarke, pięćdziesiąt powieści marynarskich, nazwiska szefów wydziałów akademii i instruktorów, szczegółowa treść trzech artykułów prasowych na pierwszej stronie ostatniego „Washington Post” i trzech artykułów na stronie sportowej. Każdego dnia wymagania rosły.

Ale nie chodziło tylko o to, że mieli obowiązek zapamiętać ilość informacji o objętości książki telefonicznej. Musieli je recytować, kiedy Whitehead wrzeszczał im w twarz pod ścianą lub przy posiłku w stołówce. Przy stole ciągle wywoływał Vornado i Dillingera. Obowiązywała zasada „trzy ruchy zuchwą i przełknięcie”, potem natychmiast odpowiedź na pytanie. Vornado prawie nic nie jadł przez ostatnie tygodnie. Tracił na wadze i mizerniał na twarzy. Dillinger chudł jeszcze szybciej. T-shirt i spodnie kombinezonu wisały na nim jak na patyku.

Przesłuchania pod ścianą i w stołówce nie wystarczały Whiteheadowi. Dla Vornado i Dillingera organizował specjalne zajęcia, żeby ich zgnoić. Odłączał ich od drużyny i kazał biec po schodach do pustego pokoju na czwartym piętrze. On szedł, oni biegli środkiem głównego korytarza, unosili wysoko kolana, trzymali głowy prosto i patrzyli przed siebie. Musieli skręcać za róg pod kątem prostym i krzyczeć: „Naprzód, Marynarka, sir” lub „Bić Armię, sir”. W pokoju wbijał chłopakom do

głów, że mają zrezygnować. Kiedy odmawiali, kazał im trzymać karabiny w wyprostowanych poziomo rękach, dopóki nie zaczęły im drżeć ramiona i nie spocili się. Albo kazał wisieć na wysokich metalowych drzwiach pokoju. Ostra krawędź raniła dłonie. Kiedy drżały im mięśnie z wysiłku, Whitehead wrzeszczał prosto w twarz, że są do niczego, oszukiwali podczas przyjmowania do akademii i nie ma tu dla nich miejsca.

Vornado zastanawiał się wtedy, czy nie zrezygnować. Ale widział w wyobraźni ojca i słyszał jego głos. Przypominał sobie, jak oficer marynarki zbiegał po długim rejsie z trapu ogromnego lotniskowca i chwycił sześciolatniego synka w ramiona. W czasie tych miłych wspomnień Whitehead na moment przestawał istnieć. Vornado starał się nie myśleć o bolesnych sprawach – długiej chorobie matki, kiedy był w drugiej klasie szkoły podstawowej, i jej śmierci w czasie wakacji, zanim rozpoczął naukę w trzeciej klasie. Piękna i energiczna kobieta przegrała walkę z rakiem. Ojciec Vornado usiłował pogodzić swoją służbę na morzu z wychowywaniem syna i małej córeczki. W okresie ciągłych alarmów wojennych na jego prośbę zamieszkała z nimi niezamężna ciotka. Ojciec nie ożenił się powtórnie. Twierdził, że nie ma na to czasu, zajmując się dziećmi i dowodząc eskadrą myśliwską. Najgorsze były jego długie rejsy, ale kiedy wracał do domu, rodzina czuła się szczęśliwa. Siostra Vornado, Diana, ciężko przeżyła śmierć matki. Vornado starał się jej wtedy pomóc, teraz

jemu pomagały jej listy. Ojciec też pisał. Wyjaśniał różne sprawy dotyczące marynarki, o których Vornado nie miał pojęcia. Wspominał też własne doświadczenia z Annapolis. Dwa lata wcześniej ojciec dostał trzecią gwiazdkę admiralską i obowiązki znów rzuciły go na morze. Vornado martwił się o Dianę. Ojciec był w rejsie, on ugrzązł w akademii. Ale nie mógł nic zrobić, z wyjątkiem pisania do siostry listów w rzadkich wolnych chwilach.

Nie wspominał o swoich przeżyciach. Dziś wieczorem Whitehead dał im dużo większy wycisk niż kiedykolwiek przedtem. W pustym pokoju na czwartym piętrze był telefon. Za otwartym oknem, blisko krawędzi szerokiego miedzianego dachu, stała duża skrzynia. Dwadzieścia metrów niżej rozciągał się dziedziniec. Dillinger musiał czekać na zewnątrz na baczność pod ścianą. Vornado stał wyprężony jak struna w pokoju. Whitehead kazał mu zadzwonić do ojca i powiedzieć, że odchodzi z akademii. Vornado wykorzystał jedyny sposób, jakiego mógł użyć młodszy kadet, żeby odmówić wykonania rozkazu przełożonego. Wyrzucił z siebie: „Bić Armię, sir!” Whitehead kazał mu wyjść przez okno na dach. Vornado posłuchał. Czuł się idiotycznie, stojąc na baczność pod gwiazdami w gorący lipcowy wieczór. Whitehead kazał mu spojrzeć w dół na dziedziniec. Budynek miał cztery piętra, parter i dwie kondygnacje podziemne, co stwarzało wrażenie, że dach jest na wysokości siódmego piętra. Vornado wyjrzał poza krawędź i zakręciło mu się w

głowie. Siłą woli wrócił do pozycji na baczność. Whitehead kazał mu wleźć do skrzyni. Vornado stracił poczucie rzeczywistości. Wykonał polecenie, choć wiedział, że popełnia fatalny błąd. Whitehead jeszcze trzy razy kazał mu zrezygnować. Vornado trzy razy odmówił. Poczuł, że skrzynia obraca się w lewo, potem w prawo. Słyszał pod sobą głośny zgrzyt, gdy Whitehead popychał go ku krawędzi dachu. Ledwo mógł w to uwierzyć. Nagle Whitehead zaczął przewracać skrzynię. Vornado przywarł mocno do jej przeciwległej ścianki, serce waliło mu z przerażenia.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Whitehead odezwał się cichym głosem. Szeptał, że zdesperowani nowicjusze czasem przychodzą do tej części czwartego piętra i skaczą z okna, żeby zakończyć już Lato Kadeta i oszczędzić sobie wstydu z powodu rezygnacji lub wyrzucenia z akademii. Powiedział, że koledzy z roku czekają na dole, żeby zabrać skrzynię, więc śledztwo komendanta wykaże, że Vornado popełnił samobójstwo. Whitehead zamilkł, potem po raz ostatni kazał Vornado zrezygnować.

Vornado nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zastanawiał się w panice, co by teraz zrobił Dillinger. Pomyślał, że jego współlokator wylazłby ze skrzyni i dał Whiteheadowi w mordę. Nie, Dillinger w ogóle nie wszedłby do skrzyni. Nagle skrzynia przechyliła się. Whitehead naprawdę to robi! Skrzynia spadła z dachu. Żołądek podszedł przerażonemu Vornado do gardła. Kręciło mu się w głowie, czuł strach i bezsilną

wściekłość. Skrzynia wolno obróciła się w powietrzu dnem do góry. Vornado zamknął oczy. Przerazające sekundy ciągnęły się bez końca. Skrzynia opadała.

Lądowanie było gwałtowne, ale miękkie. Skrzynia zatrzymała się dnem do góry. Vornado wytoczył się na materac leżący na podłodze pokoju. Rozejrzył się z niedowierzaniem. Uświadomił sobie z oszołomieniem, że zamiast wylądować na dziedzińcu, wpadł do pokoju. Zrobiło mu się niedobrze, ale nie miał czym zwymiotować, bo w stołówce dostawał od Whiteheada taki wycisk, że od dwóch dni nic nie jadł. Po trzech konwulsjach na sucho zamknął oczy i powstrzymał łzy strachu i wściekłości. Zaczął się trząść. Miał ochotę wstać i dołożyć Whiteheadowi.

W głowie usłyszał daleki głos ojca. Mówił mu, że Whitehead tylko czeka, żeby nowicjusz zaatakował go niecałe trzy tygodnie po rozpoczęciu Lata Kadeta. Whitehead doprowadzi do tego, że go wywalą, bo nie będzie okoliczności łagodzących. Oficerowie uznają, że młodszy kadet, który rzucił się na swojego przełożonego pod wpływem stresu, na pewno załamie się w walce. Wtedy Whitehead zatriumfuje. Ale jeśli Vornado powstrzyma się od zadania ciosu, Whitehead nic mu więcej nie zrobi. Vornado wziął się w garść i wstał. Jeszcze się trzął, ale wyprężył się na baczność i krzyknął barytonem: „Bić Armię, sir!”

Whitehead miał w oczach żądzę mordy.

– Ty żałosna cioto – powiedział z odrazą. – Na korytarz

i pod ścianę.

Vornado wybiegł z pokoju, zatrzymał się przed ścianą, zrobił w tył zwrot i stanął na baczność. Whitehead wezwał do pokoju Dillingera. Vornado czekał i zastanawiał się, czy Whitehead zrobi z Dillingerem to samo, co z nim. W końcu Dillinger wrócił. Był czerwony na twarzy i miał przepocony mundur. Z jego oczu nie można było nic wyczytać. Pomaszerowali z powrotem do swoich pokoi. Vornado kusiło, żeby zapytać towarzysza niedoli, co Whitehead mu zrobił, ale odstraszała go mina Dillingera. Vornado też się nie wyrywał z opowieścią o tym, co go spotkało.

To było pięć godzin temu. Żaden z nich nie mógł zasnąć. Dwie godziny po sygnale gaszenia świateł wstali z łóżek, usiedli przy biurku i zamyślili się głęboko. Vornado stukał ołówkiem w bibularz, patrzył w okno i wciąż rozważał sytuację.

Po drugiej stronie biurka Burke Dillinger zagryzał wargi i czekał, aż współlokator podejmie decyzję. Pomyślał, że to zadziwiające, jak bardzo ten wysoki, pewny siebie Vornado przypomina mu jego starszego brata. Coś w tym musi być, że starszemu wszystko układa się inaczej. Jakie to musi być łatwe, iść przez życie z taką wiarą w siebie. Wydawało się, że jego brat i Vornado mają wrodzone przekonanie, że kiedy wydadzą rozkaz, będzie natychmiast wykonany. Nie mieli wątpliwości ani obaw, z którymi codziennie zmagał się Dillinger.

Minęły dwa lata, odkąd jego życie wywróciło się do

góry nogami po zaskakującym wyznaniu ojca przy kolacji. Dillinger zawsze słyszał, że ojciec jest handlowcem w General Dynamics, ogromnej firmie będącej kontrahentem resortu obrony. Stary zniknął na całe miesiące i pracował nad projektami sprzedaży. Tego wieczoru, między sałatką i stekiem, nagle oznajmił, że awansował. Ma teraz trzy gwiazdki. Dillinger spojrzał na niego pytająco. Ojciec wyjaśnił, że dostał w Pentagonie stanowisko wicedyrektora Agencji Wywiadowczej Obrony i jest teraz generałem porucznikiem. Dillinger dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że ojciec przez cały czas był oficerem armii, ale pracował w tajnej agencji wywiadowczej. A teraz, kiedy przeszedł do dowództwa, mógł ujawnić prawdę. Więc przedtem kłamał.

Dillinger senior ukończył West Point. W swoim gabinecie na dole przechowywał dyplomy i Brązową Gwiazdę. Ale na ścianie wisiało również oprawione w ramkę zaświadczenie o honorowym odejściu z wojska. W pokoju były też nagrody General Dynamics za sprzedaż, jego zdjęcia w garniturze, na których ścisnął dłonie klientom, i segregatory z dokumentami handlowymi. Dillinger odłożył widelec na talerz. Potrafił myśleć tylko o tym, że jego własny ojciec, który wygłaszał kazania z kodeksu West Point: „Obowiązek, Honor, Ojczyzna”, żył w cholernym kłamstwie. Dillinger nie mógł się pozbyć poczucia zdrady. Jediną pomocą były rady jego utalentowanego starszego brata, Matta, żeby wziął się w

garść i pogodził z faktami.

Dillinger nigdy nie błyszczał w szkole, w przeciwieństwie do brata. Wolał sport. Szukał sukcesów tam, gdzie nie odnosił ich Matt. Wiedział, że nie dostanie się na żadną wyższą uczelnię Ivy League, a gdyby nawet, to nie ma szans w rywalizacji z bratem. Matt zamierzał studiować prawo na Harvardzie. Dillinger zdecydował się na Annapolis. Chciał rzucić wyzwanie ojcu, który od trzydziestu lat nie opuścił żadnego meczu armia marynarka I nazajutrz zawsze tracił głos po dopingowaniu swojej ukochanej drużyny. A jednak studia w akademii wojskowej były też ukłonem w stronę ojca i próbą naśladowania go lub może Dillinger chciał pokazać, że różni się od uczonego brata. I choć wybierał się do Akademii Marynarki Wojennej, zamierzał wstąpić do Korpusu Marines i służyć w piechocie jak ojciec. Lub zostać komandosem Navy SEAL. Dzień, w którym dostał zawiadomienie, że jest przyjęty, był najszcześniejszym w jego życiu. Ale obecny problem z Whiteheadem oznaczał powrót do domu, porażkę po niecałym miesiącu pobytu w akademii. Dillinger zagryzł wargi. Był zawiedziony niezdecydowaniem Vornado. Pomyślał, że będzie musiał działać sam.

– Nie wiem, jak ty, ale jeśli mają mnie stąd wywalić, to chcę wylecieć za skopanie dupy Whiteheadowi – powiedział. – Będę walczył bez skrpułów. Zrobię to z tobą lub bez ciebie. Masz trzydzieści sekund, żeby się zdecydować. Potem wychodzę.

Vornado nagle podniósł wzrok.

– Jak to zrobimy, BK?

Dillinger otworzył sejf wbudowany w biurko, jedyne prywatne miejsce kadeta. Wyjął rolkę taśmy samoprzylepnej, torbę podróżną na suwak z długimi kawałkami nylonowej linki w środku, dwie czarne kominiarki i dwie pary czarnych dresów. Vornado wpatrywał się w stos rzeczy.

– Ubierzemy się na czarno i zawlecziemy Whiteheada nad rzekę. Niech sukinsyn popływa ze związanymi rękami i nogami.

Vornado pokręcił głową.

– Rzeka jest za daleko. Musielibyśmy go nieść prawie pół kilometra. Przez Bancroft Hall albo przez dziedziniec. Jego pokój jest tuż przy Dziedzińcu Tecumseha. Mam lepszy pomysł.

Vornado wyłożył swój plan. Dillinger skinął głową.

– A przy okazji – szepnął Vornado, kiedy włożył czarną bluzę i kominiarkę. – Skąd to masz?

– W ostatni weekend zadzwoniłem do ojca. Powiedziałem, czego potrzebuję, i mi przysłał.

– Powiedziałeś, co zamierzamy zrobić?

– Nie, ale pewnie się domyślił.

Vornado przełknął z trudem, kiedy zdał sobie sprawę, co za chwilę zrobi.

– Gotowy?

Dillinger przytaknął i wstał. Podeszedł do Vornado z wyciągniętymi pięściami. Vornado najpierw gapił się na

niego, potem zrozumiał. Zaciśnął dłonie i uderzył nimi w ręce Dillingera jak bokser przed walką. Dillinger wyszczerzył zęby, odwrócił się i otworzył drzwi.

Korytarz był jasno oświetlony jarzeniówkami na suficie. Zegar na ścianie głośno odmierzył kolejną minutę. Wskazywał drugą trzydzieści. Poszli szybko przed siebie. Po raz pierwszy nie musieli biec środkiem, unosić wysoko kolana i skręcać pod kątem prostym za róg. Pokój Whiteheada był na samym końcu korytarza prowadzącego na Dziedziniec Tecumseha. Z narożnej trzyosobowej kwatery dla aspirantów pierwszej klasy rozciągał się widok na rozległy ceglany plac między skrzydłami budynku. Pokój był tuż przy wyjściu na dziedziniec, przeznaczonym tylko dla starszych aspirantów. Przed drzwiami Whiteheada Vornado zerknął na Dillingera. Kominiarka zasłaniała współlokatorowi całą twarz, miała tylko małe otwory na oczy. Vornado zobaczył spokojne, skupione spojrzenie Dillingera. Skinął głową. Powoli pchnęli drzwi pokoju Whiteheada.

Przez moment stali w środku, drzwi zamknęły się cicho. Dziwnie się czuli w kwaterze aspiranta, który bezlitośnie znęcał się nad nimi przez ostatnie trzy tygodnie. Na krześle przy biurku leżał pas z kordzikiem oficerskim. Biały mundur tropikalny prosto z pralni chemicznej wisiał na zewnątrz szafy. Naramienniki i baretki były na swoim miejscu. Świeżo wypastowane białe półbuty stały na gazecie na biurku. Gdyby nie pognieciony koc na łóżku i trochę szpargałów, w pokoju

panowałby idealny porządek. Whitehead leżał na prześcieradle w białym T-shircie i bokserkach. Chrapał cicho w mroku przedświt.

Dillinger dał Vornado kawałek linki, drugi zostawił sobie. Vornado ostrożnie przemieścił ramię Whiteheada tak, żeby nadgarstki były razem, potem je związał. Linka lekko zatrzeszczała, kiedy ją zaciskał, ale Whitehead nie poruszył się. Dillinger odkrył mu kostki i związał. Następna część operacji była trudniejsza, bo Whitehead mógł się obudzić i zacząć walczyć. Zanim wyszli ze swojego pokoju, oderwali odpowiednie kawałki taśmy samoprzylepnej, żeby teraz nie hałasować. Vornado wziął krótszy pasek, delikatnie przyłożył do ust Whiteheada, przykleił pod uszami i wolno odwrócił mu głowę, żeby umocować taśmę z tyłu. Kiedy skończył, Whitehead się skrzywił, ale spał dalej. Dillinger wyjął z kieszeni czarnych spodni dresowych dłuższy kawałek taśmy, owinał jednym końcem nadgarstki Whiteheada, drugi przykleił mu wokół pasa. Musieli go podnieść z łóżka, żeby to dokończyć. Obawiali się, że teraz się obudzi.

Dillinger uniósł go z materaca. Whitehead wydał jakiś dźwięk i szarpnął się. Otworzył oczy, wytrzeszczył je ze strachu i spróbował zerwać się z łóżka. Vornado przygwoździł mu ramiona, Dillinger nogi. Ale starszy aspirant rzucał się wściekle. Vornado zaczął żałować, że zdecydowali się na ten pomysł. Whitehead okazał się za silny, żeby mogli go sami wynieść na zewnątrz. Nagle Dillinger zamachnął się i walnął go pięścią w brzuch.

Whitehead natychmiast przestał walczyć, skulił się i zakaszłał przez knebel. Vornado wykorzystał ten moment. Szybko podciągnął Whiteheada, do końca owinał taśmę wokół jego pasa i ramion i unieruchomił mu górną połowę ciała.

Dwaj kadeci bez słowa chwycili dowódcę drużyny i wynieśli z pokoju na korytarz, a potem przez drzwi dla starszych aspirantów na Dziedziniec Tecumseha. Whitehead doszedł do siebie po ciosie w brzuch i zaczął się szarpać, ale to ich niewiele spowolniło. Z przywiązanymi do pasa nadgarstkami i skrepowanymi kostkami mógł się tylko wyginać i wiercić. Vornado czuł się jak nagi w jasnym blasku reflektorów na dziedzińcu. Nocni wartownicy w głównym biurze przy rotundzie mogli ich łatwo zauważyć, wybiec i zatrzymać. Kadeci przecięli w pośpiechu dziedziniec i dotarli do posągu Indianina. Dillinger przycisnął głowę Whiteheada do wysokiej marmurowej podstawy pomnika. Wyjął rolkę taśmy samoprzylepnej, a Vornado ustawił Whiteheada w pionie. Dillinger kilkakrotnie okrążył biegiem posąg i przywiązał Whiteheada do Tecumseha. Odwijająca się taśma trzeszczała głośno w ciszy na dziedzińcu. Whitehead patrzył na oprawców z bezsilną wściekłością i wydawał stłumione dźwięki. Dillinger zrobił ostatnie okrążenie wokół marmurowego bloku, przymocował głowę Whiteheada i zakleił mu oczy taśmą.

Kiedy skończyli, Dillinger cofnął się na moment, potem wyjął czarny flamaster i napisał na czole

Whiteheada słowo, którym dowódca drużyny znieważał ich przez ostatnie trzy tygodnie: Ciota.

Vornado już miał się odwrócić i pobiec z powrotem do drzwi dla starszych aspirantów w czwartym skrzydle, gdy Dillinger zamachnął się i walnął Whiteheada pięścią w czoło. Czaszka starszego aspiranta uderzyła o twardy marmur z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Dowódca drużyny zwiotczał i zawisnął bezwładnie na taśmie samoprzylepnej.

– Jezu, BK, po cholere to zrobiłeś? – syknął Vornado i odciągnął współ – lokatora od Tecumseha.

Dillinger ścisnął bolącą rękę i klął cicho. Vornado powlókł go w kierunku budynku. Puścili się sprintem do drzwi. Wpadli do środka, minęli biegiem pokój Whiteheada i dotarli do swojej kwatery. Błyskawicznie zdjęli czarne dresy i z powrotem wciągnęli na siebie regulaminowe stroje sportowe. Vornado czuł radość i strach. Kiedy przypomniał sobie trzask czaszki Whiteheada, odezwały się wyrzuty sumienia.

– Co zrobimy z tym sprzętem? – wystękał.

– Na razie wpakujemy z powrotem do sejfu – odparł Dillinger. – Mam jeszcze pudło, w którym to przyszło. Jutro w czasie wolnym odeślę wszystko bratu.

– A jeśli będzie śledztwo? – szepnął spod przykrycia spocony Vornado.

– To co? – odpowiedział wściekłym szeptem Dillinger.

– Jak mnie zapytają, co robiłem, powiem prawdę. Smacznie spałem i miałem kolorowe sny.

Vornado zamknął oczy, ale wiedział, że nie zaśnie do rana. Po dwudziestu minutach usłyszał chrapanie Dillingera.

Młodszy kadeci z trzeciej drużyny 2. plutonu Kompanii November jak zwykle stawili się na poranną zbiórkę przed pokojem aspiranta Whiteheada o szóstej piętnaście. Ani śladu Whiteheada. Vornado przeżył się pod ścianą na baczność i czekał. Minęło kilka minut. Ani śladu dowódcy drużyny. Vornado zerknął wzdłuż korytarza i poszukał wzrokiem Dillingera. BK stał na baczność z twarzą bez wyrazu. Po dziesięciu minutach oczekiwania do kadetów wolno podszedł zaspany zastępca dowódcy kompanii, aspirant porucznik Adcock.

Przez minutę stał przed frontem pododdziału, wpychał koszulę w spodnie i zapinał pas z kordzikiem oficerskim. Kiedy skończył, podniósł wzrok i przemówił cicho z poważną miną.

– Panowie, pan Whitehead został zabrany do szpitala. Jest w ciężkim stanie z powodu urazu głowy. Ktoś napadł na niego i przywiązał do Tecumseha. Komendant przeprowadzi śledztwo. Jeszcze dziś będziecie mieli nowego dowódcę drużyny. Jeśli uważaliście, że pan Whitehead był wymagający, to lepiej przygotujcie się na to, że pan Kaminsky dopiero da wam szkołę. Z początkiem nowego roku akademickiego zostanie dowódcą brygady.

Vornado patrzył prosto przed siebie. Na dźwięk słowa

„śledztwo" przeszły mu ciarki po plecach. Informacja, że nowy dowódca drużyny będzie aspirantem numer jeden w akademii, przyprawiła go o mdłości.

Drzwi dawnego pokoju Whiteheada otworzyły się wolno. W progu stał aspirant pierwszej klasy Kaminsky.

– Niech pan wejdzie – powiedział do Vornado głębokim, autorytatywnym, ale cichym głosem. Kiedy Vornado wbiegł do pokoju i stanął na baczność, zamknął za nim drzwi. – Spocznij. Niech pan siada. – Wskazał biurko, gdzie ostatniej nocy stały białe półbuty Whiteheada.

– Tak jest, sir – warknął Vornado i przysiadł na krawędzi krzesła sztywno wyprostowany.

– Powiedziałem spocznij, panie Vornado. Niech pan się odpręży – odezwał się Kaminsky.

Vornado przybrał luźniejszą postawę i po raz pierwszy spojrzął na wysokiego aspiranta pierwszej klasy, którego dotąd widział tylko kątem oka. Kaminsky miał dużą, ogoloną głowę. Jego szerokie bary rozsadzały biały tropikalny mundur, krótkie rękawy pęczniały od bicepsów. Ciężarowiec, pomyślał Vornado. Powinien się kumplować z Dillingerem. Przynajmniej dopóki się nie dowie, co BK zrobił.

Kaminsky stał daleko od biurka i patrzył przez okno na zalany słońcem Dziedziniec Tecumseha.

– Chyba się pan domyśla, dlaczego się spotkaliśmy – zaczął Kaminsky znużonym tonem, nie odrywając

wzroku od dziedzica. – Jestem nie tylko dowódcą brygady, ale również przewodniczącym Komitetu Honoru Brygady.

Vornado omal nie przełknął głośno w poczuciu winy. Zaczęło mu walić serce, kiedy Kaminsky odwrócił się do niego twarzą. Starszy aspirant patrzył przez chwilę na naszywkę z jego nazwiskiem, potem znów odwrócił się do okna i zabębnił palcami w parapet.

– Panie Vornado. Skoro już wiemy, o czym mówimy, niech pan zacytuje kodeks honorowy.

– Tak jest, sir – odpowiedział Vornado i wyprężył się na krześle. – Aspirant nie kłamie, nie oszukuje i nie kradnie ani nie toleruje tych, którzy to robią.

– Doskonale. Spocznij. Opowiem panu, jak trafiłem do Komitetu Honoru. Kiedy byłem młodszym kadetem, zostałem wezwany przez dowódcę kompanii. Powiedział, że ktoś złożył meldunek o moim niehonorowym zachowaniu. Przy pogwałceniu kodeksu honorowego nie ma ostrzeżenia. Jeśli uznają cię za winnego, jeszcze tego samego dnia zostajesz wydalony ze służby. Kiepska sprawa, ale chodziło o to, że wziąłem ze stołówki litr mleka. – Kaminsky przeszedł wolno przez pokój i usiadł za biurkiem naprzeciwko Vornado. – Teraz cały czas bierzemy mleko ze stołówki. Wszyscy. Aspiranci pierwszej klasy, drugiej i trzeciej, a jak coś zostaje, również młodsi kadeci. Nikt nie uważa tego za obrazę honoru. Nikomu nie przyszłoby to do głowy. Ale ten, kto na mnie doniósł, rozumował inaczej. Może to śmieszne,

ale przeprowadzono dokładne śledztwo. Potrzeba było tygodnia spotkań, żeby przejść przez wszystkie procedury. Oczywiście uznano mnie za niewinnego. Ale podczas dochodzenia komendant chyba się zorientował, jaki naprawdę jestem. Dostałem rozkaz reprezentowania honoru kompanii. Wkrótce potem awansowałem. Gdyby nie oskarżono mnie o obrazę honoru, pewnie chodziłbym dziś ze spuszczoną głową, starając się zrobić dyplom. Zabawne, jak układają się niektóre sprawy.

Vornado milczał. Nie był pewien, czy Kaminsky oczekuje od niego jakiejś odpowiedzi. Starszy aspirant urwał i zerknął na stół.

– W końcu dowiedziałem się, kto doniósł. – Roześmiał się ponuro. – Fred Whitehead.

Vornado spojrzał na niego z rozdziawionymi ustami.

– Śmieszne – Kaminsky wstał i wrócił do okna. – W czasie naszego Lata Kadeta dowódca drużyny, Joe Palacz Kraft, prawie wywalił stąd Whiteheada. Uwziął się na niego. Dawał mu wycisk trzy razy dziennie. Biegi, pompki i ostry opieprz. Whitehead był chłopcem do bicia. – Kaminsky odwrócił się. – Jak pan i Dillinger do wczoraj.

Vornado przełknął z trudem. Zastanawiał się, czy czas przeszły oznacza coś złowieszczonego.

– Kraft uważał, że Whitehead tu nie pasuje. Patrzyłem, jak się nad nim znęca, i było mi żal Whiteheada. Kiedy wytrzymał to wszystko i dotrwał do końca Lata Kadeta, pomyślałem, że ma jaja i jest w porządku. A potem

wyciął mi ten numer z obrazą honoru. Wtedy zrozumiałem, że Kraft miał rację. Przejrzał Whiteheada na wylot i zobaczył to, czego inni nie widzieli. Kaminsky wrócił na swoje miejsce za biurkiem i spojrzał Vornado w oczy. – Jeszcze jedna śmieszna rzecz, panie Vornado. Kraft był synem trzygwiazdkowego admirała. Nigdy nie robił z tego wielkiej sprawy, ale wszyscy jego koledzy z roku, tak. Wrzeszczeli do Whiteheada, że jeśli syn trzygwiazdkowego admirała chce się go pozbyć, to ma spakować manatki i spieprzać stąd.

Vornado wypuścił z płuc długo wstrzymywane powietrze. Nagle poczuł, że ma ściśnięte gardło.

Kaminsky wciąż patrzył mu w oczy.

– Pan też jest synem admirała, zgadza się?

– Tak jest, sir – potwierdził Vornado.

Kaminsky wziął z biurka pilota do swojego wielkiego zestawu stereo. Popatrzył na przyciski, potem zaczął obracać go w dłoniach.

– Panie Vornado, zapytam wprost i oczekuję szczerzej odpowiedzi. Niech pan pamięta, że chodzi o pański honor.

Vornado przełknął z trudem. Nie wątpił, że Kaminsky to zauważył i na pewno znał każdą jego myśl.

– Tak jest, sir.

– Brał pan udział w napadzie na pana Whiteheada?

Vornado zrobił kolejny gwałtowny wydech. Wiedział, że ta chwila nadejdzie. Wiedział też, że nie potrafi spojrzeć Kaminsky'emu w oczy i skłamać.

– Ta...

Nagle z wielkich głośników stereo ryknęła muzyka. Vornado aż podskoczył. Dudnienie raptownie ustało i w pokoju zapadła dzwoniąca cisza.

Kaminsky spojrzał na pilota.

– Przepraszam. Czułe te przyciski. Zapytam jeszcze raz, panie Vornado. Uczestniczył pan w napadzie na Whiteheada?

– Tak, sir, ja...

Basy znów się odezwały, tym razem na dłużej. Po dwudziestu sekundach ostrego beatu Kaminsky wyłączył stereo.

– Spróbujmy to sobie wyjaśnić – powiedział, kiwając głową w takt wyimaginowanego rytmu. Ruch był komiczny, jakby Kaminsky chciał rozładować atmosferę.

– Panie Vornado. – Kaminsky skierował pilota na stereo i położył palec na przycisku odtwarzania. – Brał pan udział w napadzie na Whiteheada?

Vornado spojrzał mu w oczy i wreszcie zrozumiał.

– Nie, sir. Spałem całą noc. Dowiedziałem się o wszystkim na porannej zbiórce.

Kaminsky z powagą skinął głową jak profesor, który właśnie wytłumaczył niejasną kwestię tępemu uczniowi.

– Tak myślałem powiedział, wyjął długopis i zanotował coś w otwartych aktach na biurku. – Dziękuję. Może pan wrócić do pokoju. Niech pan tu przyśle Dillingera.

Vornado z walącym sercem zerwał się z krzesła, wyprężył na baczność i warknął:

– Tak jest, sir. – Podbiegł truchtem do drzwi, wybiegł na korytarz, na środku zrobił zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i krzyknął: – Naprzód, Marynarka, sir! – Z głową wciśniętą w ramiona pobiegł truchtem do pokoju Gilmore'a, przed drzwiami znów zrobił zwrot, krzyknął: „Bić Armię, sir!” i pchnął drzwi.

Z Dillingerem byli czterej aspiranci z wyższego roku akademii. Mieli na sobie robocze mundury khaki. Wyglądali w nich dziwnie, bo wszyscy starsi aspiranci przez całe lato nosili tylko białe mundury tropikalne. Vornado wyprężył się na baczność i krzyknął:

– Aspirant czwartej klasy, Vornado, sir!

Jeden z gości wyszczerzył zęby zza biurka.

– Spocznij, palancie – powiedział.

Vornado odprężył się. Zauważył, że wszyscy byli aspirantami drugiej klasy, bo mieli na kołnierzach złote kotwice. Dwaj podeszli do niego wystarczająco blisko, by wrzasnąć mu w twarz. Vornado steżał. Zastanawiał się, jaka nowa tortura go czeka. Ale jeden z gości położył mu rękę na ramieniu, drugi złapał jego prawą dłoń i potrząsnął nią mocno w serdecznym uścisku. Uśmiechał się szeroko. Vornado usłyszał jakby z oddali ich słowa:

– Dobra robota, panie Vornado. Wspaniała. W dwudziestej trzeciej kompanii nareszcie jest kadet z jajami.

Vornado gapił się na nich osłupiały, w końcu przypomniał sobie, że Kaminsky chce widzieć Dillingera. Ledwo otworzył usta, żeby to powiedzieć, wszedł

Kaminsky.

– Wszyscy baczność! – krzyknął Vornado.

Dillinger zerwał się i wyprężył.

Kaminsky ocenił sytuację i pokręcił głową z udawanym niesmakiem. Potem uścisnął dłonie aspirantom drugiej klasy.

– Wypieprzać stąd, panowie. Macie zły wpływ na młodszych kadetów.

– Odwał się, Vic – odparł jeden z aspirantów w mundurze khaki. – My tylko opowiadaliśmy Vornado i Dillingerowi o Whiteheadzie, żeby nie myśleli, że cała akademia to banda Whiteheadów.

– Dobra, dobra... – odrzekł Kaminsky jak znużony ojciec do niesfornych dzieci. – Wynocha stąd. I nie wracajcie tu aż do rozpoczęcia roku akademickiego, bo pożałujecie.

– Odezwał się dowódca brygady – zadrwił inny starszy aspirant i zasalutował niedbale. – Tak jest, panie brygadierze.

Po wyjściu ostatniego aspiranta drugiej klasy, Kaminsky spojrzął na Dillingera.

– Proszę do mojego pokoju, panie Dillinger.

Vornado został sam. Spacerował tam i z powrotem i zastanawiał się, co będzie dalej. Kręciło mu się w głowie od rozmowy z Kaminskym i spotkania z czterema starszymi aspirantami. W końcu usłyszał w korytarzu głośny trucht Dillingera, jego dalekie „Naprzód, Marynarka, sir!” i bliższe „Bić Armię, sir!”, kiedy BK

wybiegł z za ostatniego rogu i dotarł do drzwi.

Vornado spojrział na współlokatora i spróbował coś wyczytać z jego twarzy. Dillinger wyglądał na zaszokowanego i przerażonego. Vornado upadł na duchu. Kaminsky musiał przypisać całą winę Dillingerowi. Nagle BK wyszczerzył zęby i rozpromienił się. Chciał nabrać swojego kompana i sztuczka się udała. Vornado patrzył na niego.

– No, mów. Co jest grane, do cholery? – odezwał się po chwili.

Dillinger wzruszył ramionami.

– Zapytał mnie, czy to zrobiłem, i powiedziałem mu prawdę. Spałem całą noc jak dziecko. Kiwnął głową, jakby mi uwierzył. Coś zapisał i odesłał mnie z powrotem.

– Tylko tyle? Mamy to z głowy?

Dillinger przytaknął z szerokim uśmiechem. Podszedł i po bokserku wyciągnął pięści jak poprzedniego dnia, kiedy dobrali się do Whiteheada. Vornado uderzył pięściami w jego ręce. Dillinger jęknął z bólu i złapał się za prawą rękę. Po ciosie w czoło Whiteheada Dillinger miał mocno zaczerwienione kostki.

– Kaminsky to widział? – zapytał Vornado.

Dillinger przytaknął.

– Powiedziałem, że kilka dni temu walnąłem pięścią w biurko. Chodźmy, bo spóźnimy się na zajęcia.

Vornado skinął głową. Niemal jak we śnie odwrócił się i podszedł do okna. Popatrzył na posąg Indianina i dwa

działa przy wejściu na Dziedziniec Tecumseha. Po raz pierwszy od przyjazdu do akademii poczuł, że jest we właściwym miejscu, że tu pasuje. Wyobraził sobie ojca idącego przed laty przez ceglany dziedziniec i zobaczył tam siebie jako starszego aspiranta.

Tecumseh patrzył na niego niewidzącym wzrokiem, obojętny na wydarzenia ostatniej nocy i dzisiejszego poranka. Vornado uśmiechnął się, włożył czapkę marynarską, otworzył drzwi i wybiegł za Dillingerem na korytarz. Wciągnął głowę w ramiona i skreślił pod kątem prostym za róg.

– Naprzód, Marynarka, sir – krzyknął.

Część I

Skradzione strzały

Dwadzieścia lat później

1

Spody fal dwanaście metrów nad jego głową połyskiwały w świetle księżyca przenikającym pod powierzchnię. Wzdrygnął się, mimo że woda w porcie położonym w tropikach była ciepła. Krew szumiała mu w uszach. Za szybko wdychał powietrze z pojedynczej butli tlenowej. Po raz piąty w ciągu dwóch minut spojrzał na zegarek. Drżała mu ręka.

Burke Dillinger zamknął oczy i setny raz powtórzył sobie cały plan. Mnóstwo rzeczy mogło pójść nie tak. Był piątek, piąty lipca, osiem minut po trzeciej nad ranem. Jeśli Bawół Patterson miał rację, prawie wszyscy w promieniu mili morskiej chrapali po wczorajszej popijawie z okazji Święta Niepodległości. Dillinger powinien za minutę odbić się od dna morza i wynurzyć. Spojrzał tam, gdzie miał być za dziesięć minut, ale zobaczył tylko ciemność. Zastanawiał się, czy przez szkła kontaktowe gorzej widzi. Zapewniano go, że tak nie będzie – mimo że są całe czarne i zasłaniają białka i tęczęwki oczu. Zanim włożył akwalung z zamkniętym obiegiem powietrza, spojrzał w lustro. Z czarną wodoodporną farbą maskującą na twarzy i czarnych szklach kontaktowych na całych gałkach ocznych wyglądał upiornie i groteskowo. W ustach miał gorzki

smak miedzi. Nie wiedział, czy ze zdenerwowania przed akcją, czy z powodu farby maskującej na zębach.

Ciemna tarcza zegarka pokazała trzecią dziewięć. Uniósł się łagodnie z dna, zamknął oczy i ściągnął maskę płetwonurka. Włożył ją na prawe ramię, żeby odbity od niej blask reflektorów portowych nie zaalarmował wartowników. Wynurzył twarz i otworzył oczy. Cel był bezpośrednio przed nim, ale go zignorował. Przyglądał się ciemnemu nabrzeżu portu morskiego w Fort Lauderdale. Miał wzrok przyzwyczajony do ciemności, ale nie zauważył żadnego ruchu. Zerknął szybko przez prawe ramię i ocenił marynarskim okiem szerokość wąskiego farwateru między falochronem a przycumowanymi statkami. Na myśl o czekającym go zadaniu znów się wzdrygnął. Z podniecenia lub strachu, a może z obu tych powodów miał napięte nerwy. Odwrócił się z powrotem w kierunku nabrzeża. Nadal panował bezruch. Pozwolił sobie na luksus długiego spojrzenia na cel operacji.

Obiekt pławił się w świetle księżyca Florydy, kuszący i piękny jak panna młoda. Kadłub sięgał daleko w prawo, gdzie gładki dziób podobny do pocisku był skierowany w stronę falochronu. Cylindryczny kształt omywany ciepłymi falami ciągnął się ku rufie, w kierunku Dillingera, i opadał łagodnym łukiem pod powierzchnię. Nieco dalej wystawał z wody ster, oddzielony od rufy czarną tonią i jakby oderwany od reszty obiektu. Na prawo, bliżej dziobu, z cylindrycznego kadłuba wyrastała

nadbudowa okrętu – kiosk przypominający skrzydło samolotu skierowane pionowo w górę. Na jego szczycie wznosiła się antena radiowa, z tyłu, za bocianim gniazdem kokpitu – mostkiem – sterczały dwa peryskopy.

Atomowy okręt podwodny szybkiego ataku był przycumowany do nabrzeża podwójnymi linami. Załoga rozważnie ustawiła go dziobem do wyjścia z portu w małym basenie przystani jachtowej. Okrętu nie pilnował kuter patrolowy Straży Przybrzeżnej ani ponton motorowy ochrony portu. Przystań otaczało tylko dobrze strzeżone ogrodzenie wewnętrzne i zewnętrzne, na nabrzeżu czuwali dwaj wartownicy, na szczycie kiosku tkwił snajper na wypadek ataku terrorystycznego. Dillinger miał nadzieję, że to jedyne środki bezpieczeństwa. Jako szef grupy ekspertów od okrętów podwodnych był odpowiedzialny za tę operację i zapewnił Bawoła, że będą tylko dwaj wartownicy i snajper. Na szczęście nie mylił się. Miał przeciwko sobie jedynie dwa dziewięćmilimetrowe pistolety półautomatyczne wartowników i automatyczny karabin M-16 snajpera. „Albany”, wspaniała okręt podwodny klasy Los Angeles, numer kadłuba SSN-754, był uzbrojony w dziesięć wystrzeliwanych pionowo konwencjonalnych pocisków manewrujących Tomahawk do niszczenia celów lądowych, w dwa tuziny światowej klasy torped Mark 48 ADCAP i – co najważniejsze – w dwa wystrzeliwane pionowo pociski manewrujące Tomahawk TLAM-N z głowicami jądrowymi, również do

niszczenia celów lądowych. Głowice były małe, ale wodorowe i wyjątkowo skuteczne. Mogły dotrzeć do wszystkich trudno dostępnych miejsc. Dillinger znów zerknął niecierpliwie na zegarek. Wydawało się, że upłynęło pięć minut, ale minęło zaledwie trzydzieści siedem sekund.

W końcu zegarek pokazał godzinę trzecią dziesięć. Dillinger dostrzegł na nabrzeżu jakiś ruch. Błysnęła latarka wartownika i marynarz upadł prawie bezszelestnie. Drugi błysk światła i drugi odgłos upadającego na beton ciała. Operacja wreszcie się zaczęła. Dillinger wziął głęboki oddech i podpłynął szybko do rufy okrętu. Trzej ludzie Bawoła Pattersona wdrapali się już na kadłub. Jeden z nich, Rzeźnik Allman, wciągnął Dillingera na śliską powierzchnię pianowej powłoki przeciwsonarowej przypominającą skórę na grzbiecie wieloryba.

– Radio – syknął Rzeźnik.

Dillinger ze zdenerwowania zapomniał wsunąć słuchawki z mikrofonem pod kaptur czarnego skafandra płetwonurka. Pobiegł schylony w kierunku kiosku. Po drodze manipulował niezgrabnie przy słuchawce i mikrofonie na wysięgniku. Nie był pewien, czy radio specjalnej częstotliwości EHF i małej mocy będzie działało, ale usłyszał, jak Bawół mruknął: „dwa”, co oznaczało drugą fazę operacji.

Dillinger w biegu ocierał ręką o kaburę pistoletu na lewym biodrze. W uszach dźwięczały mu słowa Bawoła:

„Konieczność użycia broni oznacza fiasko misji, a fiasko misji oznacza twoją śmierć”. Dillinger natrafił stopami na zamknięty i zaryglowany właz do przedziału operacyjnego. Procedury antyterrorystyczne wymagały, żeby właz w pokładzie był zabezpieczony, co bardzo utrudniało wtargnięcie do wnętrza okrętu podwodnego. Jediną drogą do środka był pionowy szyb w kiosku, ale strzegł go osłonięty snajper w kokpicie mostka. Dillinger dobiegł do kiosku. Kiedyś na górę prowadziły stalowe szczeble przyspawane do poszycia. Służyły do wspinania się z pokładu na mostek. Ale robotnicy stoczniowi dawno je usunęli na skutek ciągłych alarmów antyterrorystycznych w ostatnich czasach. Załoga używała teraz drabinki łańcuchowej zrzucanej z kokpitu. To samo musieli zrobić ludzie Bawoła.

Chudy Rzeźnik Allman przykucnął i rzucił na szczyt kiosku aluminiowy hak abordażowy w gumowej osłonie. Celował w maszt anteny radiowej. Po dwóch nieudanych próbach Dillinger był pewien, że snajper na górze krzyknie albo strzeli. Lub ktoś na jednym z jachtów przycumowanych w porcie wezwie policję. A oni będą stali bezradnie w cieniu nadbudowy okrętu. Dillingerowi waliło serce. Przywarł mocno do ciepłego metalu kiosku. Wreszcie trzecia próba się powiodła i lina owinęła się wokół masztu radiowego, Rzeźnik spokojnie włożył specjalne rękawice, rozejrzał się i chwycił linę. Wspinał się zgrabnie ręka za ręką, z nogami w pozycji poziomej, aż dotarł na szczyt niemal ośmiometrowego kiosku.

Dillinger podziwiał siłę jego ramion. Wspinaczka w wykonaniu Rzeźnika wydawała się taka łatwa, że Dillinger miał ochotę spróbować.

Zaledwie dwie minuty później wzdłuż prawej ściany kiosku od strony morza opadła drabinka łańcuchowa. Snajper na szczycie najwyraźniej nic nie usłyszał. Z pewnością nie spodziewał się intruza, który przystawi mu do twarzy Tasera i naciśnie spust. Dillinger przytrzymał drabinę i dwaj ludzie Bawoła ruszyli na górę. Potem trzeci zastąpił na dole Dillingera, który wspiał się na kiosk. Dillinger przerzucił nogi nad krawędzią mostka i wylądował na kracie na dnie kokpitu. Zerknął w kierunku rufy, gdzie powinien leżeć unieszkodliwiony snajper, ale nic nie zobaczył. W ciemności opuścił nogi do otwartego górnego wjazdu i wymacał stopami drabinę w pionowym szybie. Zszedł powoli pięć szczebli niżej, zmagając się z butlą tlenową akwalungu. W dole rozbłysła czerwona latarka i oświetliła ciasną przestrzeń.

– Zaryglowane – powiedział przez radio Rzeźnik.

– Ja spróbuję – rzucił Dillinger. Nadajnik aktywowany głosem wyłączył się automatycznie po jego słowach.

Rzeźnik i jego partner, Łajno Kipling, odsunęli się, żeby Dillinger mógł przykucnąć nad dolnym wjazdem szybu wejściowego. Pewnie mają rację, pomyślał. Ale to mięśniaki. Ja tu jestem ekspertem technicznym. Może nieumiejętnie manipulowali pierścieniem ryglującym. W prawo zamknięte, w lewo otwarte. Dillinger obrócił pierścień w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek

zegara. Po obrocie o dziesięć stopni napotkał opór. Po trzech próbach westchnął. Tego się obawiał. Obecne procedury antyterrorystyczne wymagały, żeby w obcych portach i portach krajowych, w których załoga dostawała przepustki na ląd, włazy były zaryglowane. Okręt stawał się wtedy szczelnie zamkniętą twierdzą nie do zdobycia i na nabrzeżu nie musiało czuwać wielu wartowników. Zaryglowany właz wystarczyłby, żeby zniechęcić przeciętnych terrorystów – musieliby użyć palnika acetylenowego i pracować przez godzinę, żeby dostać się do środka. Ale ludzie Bawoła Pattersona nie byli przeciętnymi terrorystami i nie mieli godziny.

Dillinger wymamrotał: „zaryglowane”, i wspinał się z powrotem dziesięć szczebli drabinki wyżej. Bawół powiedział przez radio: „trzy”. Jego człowiek w kokpicie mostka, Piwosz Barnes, opuścił ciężką wodoszczelną torbę narzędziową. Kiedy dwaj ludzie przy dolnym włazie zabrali się do pracy, posłał na dół drugą. Dillinger oświetlił właz czerwoną latarką. Dwaj terroryści wyjęli mały kompresor akumulatorowy i napompowali gumowy krąg ułożony na włazie. Przypominał nadmuchiwany basen dla dzieci, ale jego dno tworzył właz.

– Tlen – usłyszał w swoim radiu Dillinger. Wsunął do ust regulator akwalungu.

Mężczyźni wyjęli z drugiej torby narzędziowej dużą butlę. Wyglądała jak termos o średnicy worka golfowego, ale o połowę niższy. Rzeźnik otworzył ją i Łajno zaczął ostrożnie wlewać przezroczysty płyn do „basenu” na

włazie. Ciecz natychmiast gwałtownie zawrzała i szyb wypełniła zimna para. Mgła była tak gęsta, że widoczność spadła do jednej czwartej metra. Łajno nie przerywał opróżniania butli, dopóki nie była pusta, a basen do połowy pełny. Ciecz wciąż wrzała. Mężczyźni odstawili butlę i zaczekali, aż cały płyn odparuje. Na włazie pozostał tylko szron. Rzeźnik wziął duży młot, zamachnął się nad głową i walnął w metal. Właz rozprysnął się z głośnym hukiem na tysiąc kawałków, które opadły do wnętrza okrętu. Przez otwór wydostała się z szybu para. Dillinger aż podskoczył od nagłego hałasu – dźwięk przy rozbiciu włazu przypominał odgłos katastrofy kolejowej.

– Nie ma to jak ciekły azot, żeby przebić się przez HY-80 – stwierdził Rzeźnik i odłożył młot. – Ta stal wytrzymała pięć tysięcy sześćset atmosfer w temperaturze pokojowej i zero przy minus stu dwudziestu trzech stopniach Celsjusza.

– Cisza radiowa, palanty – rozkazał Bawół.

Dillinger zajrzał do otworu po stalowym włazie o ciężarze ponad stu osiemdziesięciu kilogramów. Do zamglonego szybu docierało stamtąd jasne światło jarzeniówek.

– Cztery powiedział Bawół.

Rzeźnik opuścił do otworu swoje chude nogi. Zniknął w dole drabinki z pistoletem w dłoni i zszedł na zaśmiecony pokład. Następny był Łajno, po nim Dillinger. Kiedy tylko stanął na pokładzie, wypłuł regulator akwalungu. Miał nadzieję, że wystarczy mu

powietrza na następną fazę operacji. Zaczekał spięty pod przegrodą na resztę ludzi Bawoła. Na okręt weszło dwunastu, kiedy Łajno wylewał ciekły azot na właz. Po nich miało się zjawić pięciu techników Dillingera.

– Pięć – oznajmił Bawół.

Dillinger i Rzeźnik ruszyli w kierunku rufy do sterowni. O trzeciej trzydzieści nad ranem nikt z załogi okrętu nie zareagował na hałas spadającego włazu. Płyty pokładu miały mocowania przeciwrezonansowe, żeby wyciszyć odgłos kroków. Najwyraźniej stłumiły ten metaliczny dźwięk. Dillinger nie zdążył pomyśleć nic więcej, bo nagle stanął twarzą w twarz z podoficerem dyżurnym. Bosman o wzroście ponad metr osiemdziesiąt i wadze dziewięćdziesięciu kilogramów wytrzeszczył oczy i zamarł na widok intruzów z czarnymi twarzami i w skafandrach płetwonurków. Dillinger przestał oddychać, strach ścisnął go za gardło. Patrzył, jak Łajno niedbale unosi Taserą i strzela w głąb korytarza. Dwie elektrody poszybowały w przestrzeń i trafiły bosmana w pierś. Porażenie dwudziesto – sześciowatowym prądem zważyło wielkiego chłopca z nóg, jego głowa odbiła się dwa razy od pokładu. Leżał z otwartymi ustami w konwulsjach i mrugał gwałtownie. Rzeźnik wysunął się naprzód, stanął nad ofiarą, wyjął dwa kawałki linki i związał mężczyźnie nadgarstki i kostki. Potem przeszedł nad podoficerem.

– Chodźmy – wezwał kompanów przez radio.

Dillinger ruszył za terrorystą, dał krok nad nieruchomym bosmanem i wszedł do sterowni. W środku

nie zastali nikogo. Oficer dyżurny i łącznik wachtowy byli zapewne na środkowym poziomie, być może w mesie dla załogi, lub ucieli sobie krótką drzemkę między wachtami na okręcie i na nabrzeżu.

Dillinger pamiętał, co ma zrobić. Pobiegnął w lewo i znalazł panel elektryczny umieszczony z tyłu lewej konsoli obsługi zbiorników balastowych. Otworzył szary panel, wykręcił dziesięć bezpieczników i schował je do kieszeni. Dziesięć obwodów systemów alarmowych i telekomunikacyjnych okrętu przestało działać. Nocna wachta musiałaby znaleźć zapasowe bezpieczniki, żeby włączyć alarm i przeszkodzić w doprowadzeniu operacji do końca. Obwody radiowe nie stanowiły problemu – sprzęt radiowy był skomplikowany, delikatny i zamknięty w pomieszczeniu z zamkiem szyfrowym. Poza tym radiooperatorzy mieli być wkrótce unieszkodliwieni.

Dillinger skinął Rzeźnikowi głową i poszli szybko w kierunku rufy do wentylatorowni. Dillinger trochę się obawiał, że drzwi będą zaryglowane, ale nie były. Obrócił cztery ciężkie metalowe dźwignie i pociągnął. Drzwi trudno się otwierały, bo wentylator napędzany silnikiem elektrycznym o mocy pięćdziesięciu koni mechanicznych wytwarzał w środku podciśnienie. Z pomieszczenia wielkości szafy pobierał całe powietrze krążące wewnątrz okrętu. Dillinger wydał wcześniej polecenie, żeby górny właz szybu wejściowego na mostek zamknąć w momencie, gdy Bawół da rozkaz do rozpoczęcia piątej fazy operacji. Jeśli polecenie wykonano, cyrkulacja

powietrza w okręcie zaczynała się i kończyła w wentylatorowni.

– Tlen i maska – powiedział Dillinger do mikrofonu, kiedy Rzeźnik sięgał do torby narzędziowej. Włożył do ust regulator, zdjął maskę płetwonurka z prawego ramienia i wciągnął ją na kaptur skafandra.

Rzeźnik wyjął z torby narzędziowej trzy podłużne granaty wielkości dwulitrowych butelek. Uzbroidł je, nastawił zegary sterujące na dziesięć sekund, wyciągnął zawlecзки i wrzucił granaty do komory powietrznej. Dillinger zamknął drzwi do pomieszczenia i obrócił dźwignie klamek. W wentylatorowni rozległy się trzy przytłumione wybuchy. Dillinger pokazał Rzeźnikowi, że wracają do sterowni. Mieli tam odczekać dziesięć minut.

W tym czasie wentylator tłoczył gaz usypiający do instalacji powietrznej szczelnie zamkniętego okrętu. Nikt z pogrążonych we śnie nie był w stanie się obudzić. Jeśli ktoś stał, osuwał się na pokład. Gaz działał przez co najmniej pół godziny. Tyle wystarczyło, żeby ludzie Bawoła związali wszystkim nadgarstki i kostki i zakleili usta taśmą samoprzylepną.

Dillinger wszedł na platformę peryskopową i przywarł twarzą do okularu na tyle, na ile pozwalała mu maska płetwonurka. Widział dużo gorzej niż z okiem przyciśniętym do soczewki, ale zobaczył mały krąg światła. Obrócił peryskop i skierował na nabrzeże. Ciała wartowników zniknęły. Usunął je drugi rzut ludzi Bawoła. Z północy ani z południa nie nadjeżdżały żadne

pojazdy policyjne ani wojskowe. Na jachtach w porcie panował całkowity spokój. Wyglądało na to, że na razie nie zostali wykryci.

Bawół Patterson klepnął go w ramię. Dillinger odsunął się, żeby muskularny dowódca grupy mógł spojrzeć przez peryskop. Bawół wyglądał tak, jakby zsiadł z dwustukonnego harleya i wparował do baru dla motocyklistów. Nierówno odcięte rękawy jego skafandra pletwonurka odsłaniały tuzin tatuaży na potężnych ramionach grubości słupów telefonicznych. Miał ogoloną głowę, jasne wąsy i krzywe pozółkłe zęby. Oczywiście w tej chwili jego ramiona, zęby, wąsy, głowa i gałki oczne były czarne. Przypominał zjawę z koszmarnego snu. Dillinger zerknął na zegarek. Minęło jedenaście minut od eksplozji granatów gazowych.

– Już czas, Bawół – oznajmił Dillinger.

– Łajno, regulator z ust – wydał polecenie Bawół.

Łajno zamrugał, ostrożnie wyjął z ust regulator akwalungu i odetchnął na próbę. Dillinger zakwestionował wcześniej pomysł Bawoła, żeby sprawdzać atmosferę, ale Bawół uparł się, że to praktyczny i szybki sposób. Jeśli Łajno runie na pokład, odczekają pięć minut i znów spróbują. Łajno skinął głową i zdjął maskę. Powietrze było w porządku.

– Sześć – rozkazał Bawół i wyszedł ze sterowni w kierunku dziobu.

Dillinger wyjął z ust regulator i ściągnął maskę. Potem zdjął butlę akwalungu i kompensator wyporności. Poczul

się o pięćdziesiąt kilogramów lżejszy. Wziął płytki oddech. Powietrze pachniało dziwnie, miało migdałową woń oddechu kogoś, kto pił całą noc. Ale nie drażniło oczu. Dillinger zobaczył swoje odbicie w pleksiglasowej konsoli. Przez chwilę patrzył na siebie. Miał trzydzieści osiem lat i wyglądałby dużo młodziej, gdyby nie szpakowate, przedwcześnie posiwiałe włosy. Był więcej niż średniego wzrostu i średniej budowy – stracił dużo ze swojej muskulatury sprzed dwudziestu lat. Miał chłodne, przenikliwe, szaroniebieskie oczy wilka, wydatne kości policzkowe, lekko oliwkową cerę, orli nos i pełne wargi. Linia szczęki rysowała się ostro jak w czasach, gdy był młodszym kadetem. Przynajmniej tak wyglądał na co dzień. Teraz jego odbicie pokazywało faceta z włosami czarnymi jak smoła, skórą czarniejszą niż u górnika, czarnymi zębami, dziąsłami i oczami czarnymi od dolnych rzęs aż do powiek. Otworzył szeroko oczy i sięgnął czarną ręką do twarzy, żeby wyjąć lewe szkło kontaktowe. Usuwanie śliskiego polimeru z powierzchni oka było dziwnym uczuciem. Dillinger zacisnął zęby. Szkło kontaktowe miało średnicę niemal pięciu centymetrów. Włożenie go zajmowało prawie dwadzieścia minut. Dillinger rzucił je na pokład i sięgnął do prawego oka. Potem znów przyjrzał się swojemu odbiciu. Wciąż wyglądał makabrycznie, ale teraz przynajmniej białka oczu miał normalne. Szaroniebieskie tęczęwki odzyskały swoją barwę, spojrzenie znów było chłodne. Dillinger jeszcze raz zerknął na swoją

podobiznę. Z czarnymi włosami wyglądał młodziej niż z posiwiałymi.

Zamrugnął i odwrócił się od konsoli. Do sterowni wchodziło właśnie pięciu członków jego zespołu – znów otwarto górny właz szybu wejściowego na mostek. Prawą ręką Dillingera był Steve Flood, wysoki, szczupły i wiecznie uśmiechnięty kawaler z New Jersey. Zawsze nosił kowbojskie buty z ostrymi czubkami, pas z owalną metalową kłamrą i włosy zaczesane do tyłu w stylu lat 80. Dillinger przywołał go gestem, żeby objął wachtę przy peryskopie.

– Jak poszło, kapitanie? – zapytał Flood głosem stłumionym przez moduł optyczny peryskopu.

– Normalnie. Musieliśmy użyć ciekłego azotu, żeby tu wejść.

– Widziałem. Gniazdo włazu nie ucierpiało?

– Chyba nie. – Dillinger zerknął nerwowo na zegarek.

– W zanurzeniu sprawdzimy, czy jest przeciek.

– Górny właz powinien wystarczyć. Dolny jest tylko dla picu. Natrafiliście na opór?

– Musieliśmy uziemić podoficera dyżurnego.

Od strony dziobu wrócił do sterowni Bawół Patterson. Spojrzał na Dillingera.

– Jak stoimy? – zapytał przez radio.

– Melduj status, Patty – warknął Dillinger do mikrofonu.

Patrick Schluss, dwudziestosześcioletek z ospowatą twarzą, był potężnie zbudowany i przedwcześnie łyślał.

Jak na ironię, miał najgęściejszy zarost i najbardziej owłosione ciało, jakie Dillinger kiedykolwiek widział. Był geniuszem technicznym i uruchamiał teraz systemy napędowe okrętu, żeby mogli ruszyć w rejs o własnych siłach. Pomagali mu trzej inni ludzie Dillingera. Najtrudniejsza część operacji odbywała się w sterowni.

Na linii odezwał się baryton Schlussa.

– Kapitanie, mamy napęd z awaryjnego silnika elektrycznego. Niskie naładowania akumulatora. Możemy odbijać.

– Dobra robota, Schluss – pochwalił Dillinger i zerknął na muskularnego Pattersona. – Bawół, przejmuje dowodzenie. Panowie, faza siódma. – Klepnął Flooda w ramię i znalazł lornetkę wiszącą w schowku.

– Powodzenia, kapitanie – zawołał Flood.

Dillinger ruszył do wyjścia ze sterowni. Wszedł do szybu, wspiął się po drabince do kokpitu mostka i opuścił poziomo kratę nad włazem, żeby móc na niej stanąć. Znów zamrugał – miał podrażnione oczy od wyjmowania szkieł kontaktowych. Zbadał wzrokiem wodę, falochron, port jachtowy, nabrzeże z lewej burty i dalekie nabrzeża dla statków pasażerskich. Wciąż byli sami w przyćmionym świetle reflektorów portowych. Uniósł lornetkę do oczu i spojrzął daleko na farwater w poszukiwaniu kutrów patrolowych u wyjścia z portu. Przyjrzał się każdemu przycumowanemu jachtowi – pokłady były puste, światła w kabinach zgaszone. Przez chwilę głęboko wdychał powietrze. Nie było wiatru,

chmury zasłaniały księżyc. Prąd morski powinien być minimalny. Do przyływu zostało dwadzieścia minut. Dillinger prześledził w pamięci mapę morską i widok portu jachtowego na zdjęciach i kasetach wideo. Był gotowy.

– Status ładunków wybuchowych – wyszeptał do mikrofonu.

Wcześniej ludzie Bawoła umocowali wokół czterech podwójnych cum i trzech grubych kabli zasilających zdalnie detonowane ładunki plastiku Semtex RDXzPETN. Gdyby użyli za mało plastiku, musieliby przeciąć lub przestrzelić liny i kable, żeby uwolnić okręt. Gdyby użyli za dużo, eksplozja obudziłaby całe miasto. Wybuch mógł ich wprawdzie zdradzić, ale miał umożliwić odbicie od brzegu bez konieczności wystawiania na pokład kogoś do odcumowania okrętu. Ludzie w skafandrach płetwonurków wyglądałoby podejrzanie i mogliby zostać rozpoznani lub zastrzeleni. Dillinger pokręcił głową i pomodlił się, żeby właściciele jachtów mocno spali po libacji.

– Wszystkie ładunki uzbrojone – zameldował przez radio Bawół.

Dillinger rozsunął skafander, sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął plastikowy pakunek wielkości paczki papierosów. Odwinął trzy warstwy materiału wodoszczelnego i wyjął mały zamykany telefon komórkowy.

– Zaczynamy – powiedział. – Merc, jesteś gotowy?

– Na stanowisku – odrzekł spokojnym głosem młody Matt Mercury-Pryce.

Merc był inteligentnym, wysokim, muskularnym blondynem z falującymi włosami. W dzień solidnie pracował, w nocy pił na umór. Wydawał forszę na kobiety, sportowe samochody i wypadki na narty. Słyszał z tego, że bez względu na sytuację zawsze zachowywał spokój. Był urodzonym marynarzem, jednym z najlepszych, jakich Dillinger znał. Dillinger pomyślał, że okręt jest w dobrych rękach z tym chłopakiem przy sterach.

– Dobra, Merc. Opuść silnik zaburtowy. Kurs zero dziewięć zero.

Dillinger otworzył i włączył telefon komórkowy. Kiedy rozbłysnął wyświetlacz, znalazł w menu szybkie wybieranie numeru. Rozległ się cichy sygnał. Dillinger trzy razy wcisnął dziewiątkę, wyłączył się i schował komórkę do kieszeni. Bawół powiedział mu wcześniej, że będzie piętnastosekundowe opóźnienie.

– Kapitanie – odezwał się przez radio Merc. – Zaburtowy opuszczony. Kurs zero dziewięć zero.

Zanim Dillinger zdążył odpowiedzieć, eksplodował semtex przy cumach i kablach zasilających. W nocnej ciszy wybuch wydawał się głośny. Dillinger zmarszczył brwi. Zastanawiał się, ilu właścicieli jachtów właśnie obudzili. Ale Bawół uprzedzał, że nie da się uniknąć hałasu. Dillinger spojrzął z mostka na pokład. Wszystkie cumy zwisały luźno z knag. Po kablach zasilających nie było śladu. Okręt unosił się swobodnie w wodzie.

– Merc, uruchom zaburtowy – rozkazał Dillinger.

Teraz, po uwolnieniu okrętu z cum, wirnik umieszczony dwanaście metrów przed sterem kierunku miał odsunąć rufę od nabrzeża. Dillinger patrzył, jak ster oddala się wolno od lądu i okręt obraca się odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Spojrzał na dziób. Miał nadzieję, że manewr nie uszkodzi kruchej fiberglasowej kopuły sonaru, Ale kadłub odsuwał się od nabrzeża. Kiedy rufa była w odległości sześciu metrów od lądu, powiedział do mikrofonu:

– Zaburtowy stop, ster pełna w prawo, jedna trzecia wstecz.

– Zaburtowy stop, ster pełna w prawo, obroty jednej trzeciej wstecz – powtórzył Merc.

Dillinger wyciągnął szyję poza krawędź kiosku, żeby widzieć ustawienie steru cofającego się okrętu. Zostało mu tylko czterdzieści pięć metrów, żeby nie uderzyć śrubą w ścianę jachtklubu.

– Cała stop, dwie trzecie naprzód, trzymać ster pełna w prawo.

– Przyjąłem, dwie trzecie naprzód – potwierdził Merc.

Okręt znieruchomiał, kiedy zmiana kierunku obrotu śruby zastopowała jego ruch wstecz. Dillinger wstrzymał oddech, gdy okręt wolno ruszył naprzód. Ster musiał się szybko wgryźć w wodę, żeby nie uderzyli w nabrzeże. Dillinger obserwował, jak okręt rozpędza się. Był gotowy w każdej chwili wydać Mercowi rozkaz do pełnych obrotów wstecz, gdyby ster nie zdołał przesunąć dziobu.

Ale okręt zbliżył się do nabrzeża na odległość połowy długości kadłuba, ster wgrzył się w wodę i dziób skręcił. Okręt zaczynał wychodzić z portu. I wciąż nikt nie próbował ich zatrzymać.

Dillinger patrzył, jak dziób ustawia się w jednej linii z farwaterem wzdłuż długiego kamiennego falochronu, pasa ładunku skierowanego na wschód.

– Merc, ster na śródkręcie i tak trzymać.

– Ster na śródkręcie, kurs zero dziewięć jeden.

– Przyjąłem, Merc. Ustaw zaburtowy na kurs zero zero zero.

– Ustawiam zaburtowy na zero zero zero – odpowiedział Merc. – Zaburtowy na trzech zerach.

– Podnieś zaburtowy, Merc.

Zaciemniony okręt zbliżał się wolno do farwateru. Kiosk przesuwiał się wzdłuż końca falochronu. Morze było tu bardziej rozkołysane, boje huśtały się mocno na leniwych falach Atlantyku. Głębokość gwałtownie rosła, dno opadało stromo za szelfem kontynentalnym, co ułatwiało im ucieczkę. Gdyby wykradli okręt z Norfolk, musieliby płynąć dziesięć godzin z maksymalną szybkością, żeby dotrzeć do krzywizny stu sążni. Ale tutaj mogli się zanurzyć dwadzieścia minut po opuszczeniu portu w Fort Lauderdale. Zakładając, że uruchomią reaktor.

– Merc, zwolnij do jednej trzeciej naprzód – rzucił komendę. Musieli oszczędzać akumulator, żeby wytrzymał do chwili uruchomienia reaktora.

– Przyjąłem, jedna trzecia.

Dillinger przez lornetkę zbadał wzrokiem farwater na wprost, ale byli sami na morzu. Poczuł, że ucisk w żołądku ustał, zapewne dzięki temu, że okręt się oddalał. Niebezpieczeństwo, że zostaną zatrzymani, malało. Kiedy koniec falochronu został za rufą, Dillinger obejrzał się na port jachtowy, gdzie wciąż panowała cmentarna cisza.

– Minęliśmy koniec falochronu – zawiadomił Merca na dole. – Przekaż ster Rzeźnikowi i zobacz, co pokazuje sonda.

– Przyjąłem, kapitanie. Rzeźnik przejmuje ster.

– Rzeźnik, odbierasz mnie?

– Odbieram, kapitanie. Przejąłem ster. Kurs zero dziewięć jeden, jedna trzecia naprzód.

– Tak trzymaj, Rzeźnik. Pokład, faza ósma. Wykonać. Dziesięć minut do punktu zanurzenia.

Grupa na pokładzie pochyliła się nad włazem i wyciągnęła na zewnątrz duży pakunek dostarczony przez drugi rzut ludzi Bawoła, kiedy Dillinger był w wentylatorowni. Przed zanurzeniem okrętu musieli jeszcze wykonać ostatnie zadanie na pokładzie. Dillinger zerknął w kierunku rufy, gdzie załoga otwierała pakunek. Z pokładu rufowego dobiegł hałas dużego kompresora. Ponton rósł i powoli nabierał owalnego kształtu. Po całkowitym napompowaniu miał dziewięć metrów długości, dwa i pół metra szerokości i burty o średnicy pół metra. Dno było zrobione z mocnej, zbrojonej gumy. Bawół twierdził, że ten ponton utrzyma na wodzie stu

ludzi. Ale musieli do niego włądować tylko około trzydziestu członków załogi śpiących teraz na kojach – reszta była na przepustkach na lądzie. Nie miało znaczenia, czy ktoś zawiadomi władze o związanych marynarzach dryfujących w pontonie. Było jasne, że alarm podniesie ich siedemdziesięciu kolegów na lądzie, kiedy tylko zobaczą puste nabrzeże.

Dillinger wyciągnął szyję i spojrział w kierunku dziobu. Muskularni ludzie Bawoła wynosili przez dziobowy właz ewakuacyjny śpiących marynarzy i ładowali ich do pontonu. – Cała załoga w pontonie, kapitanie – zameldował w końcu Bawół.

– Sprawdziłeś wszystkie pomieszczenia? Nikogo nie przeoczyliśmy?

– Nie. Schodzimy.

Dillinger patrzył, jak za ludźmi Bawoła zamyka się właz.

– Ostatni człowiek na dole – zameldował Bawół. – Zanurzaj łajbę.

– Patty, status reaktora.

– Pełna moc nominalna, kapitanie – odpowiedział Schluss. – Proszę o pozwolenie na przełączenie napędu na silniki główne.

– Rzeźnik, cała stop. Patty, zmiana napędu. Merc, gotowość do zanurzenia.

Dillinger usłyszał w słuchawce potwierdzenia przyjęcia rozkazów. Szybko przygotował mostek do zanurzenia. Jeden z ludzi Bawoła wspiał się do włazu i zabrał na dół

kratę, potem owiewkę, alidagę kompasu i skrzynkę telekomunikacyjną mostka. Dillinger sprawdził, czy w kokpicie nic nie zostało, i wetknął latarkę do kieszeni. Przykucnął i podniósł fiberglasowe „żółwie skorupy”, które utworzyły sklepienie nad otworem kokpitu mostka. Szczyt kiosku stał się gładką powierzchnią. Dillinger wsunął nogi do szybu, opuścił się niżej i zamknął właz. Obrócił pierścień ryglujący i mocno docisnął, gdyż przy braku dolnego włazu górny był granicą ciśnienia. Zszedł po drabince do zniszczonego włazu dolnego i na pokład poniżej. Jeden z ludzi Bawoła sprzątnął już metalowe odłamki.

– Szefie, napęd przełączony. Zalecam standardową naprzód.

– Rzeźnik, cała naprzód standardowa.

Dillinger wszedł szybko do sterowni. Rzeźnik siedział na prawym fotelu stanowiska sterowania okrętem. Przypominało kokpit boeinga 747. Miało dwa fotele, konsolą centralną, jedną tablicą przyrządów usytuowaną pionowo i drugą ulokowaną skośnie pod sufitem. Na lewo mieścił się panel obsługi balastu z fotelem operatora. Za konsolą centralną był następny pusty fotel. Merc stał na platformie peryskopowej z twarzą przyciśniętą do modułu optycznego i obracał się wolno. Obserwował powierzchnię morza.

– Jesteśmy gotowi, kapitanie – zameldował.

– Odczyt sondy?

– Osiemdziesiąt cztery sążnie.

– Schodź, Merc.

Po piętnastu nerwowych minutach okręt wypoziomował sto dwadzieścia metrów pod powierzchnią morza i przyspieszył, by oddalić się od Fort Lauderdale. Dillinger odetchnął głęboko. Udało się, pomyślał. W środku nocy, w ciągu niecałych dwóch godzin, on i jego zespół porwali atomowy okręt podwodny.

– Idę zmyć farbę z gęby i poszukać kombinezonu – powiedział z szerokim uśmiechem. – Steve, zastąp mnie tutaj. Nie przekraczaj osiemnastu węzłów i trzymaj kurs na wschód. Merc, wezwij któregoś z chłopaków Bawoła, żeby cię zmienił, zaznacz na mapie morskiej Atlantyku naszą pozycję według inercyjnego systemu nawigacyjnego. Weź też mapy Przylądka Dobrej Nadziei, Zatoki Perskiej, Morza Czerwonego i zaznacz tysięczny krąg wokół Tel Awiwu. Każ Bawołowi rozwalić wszystkie sejfy z tajnymi materiałami. I dopilnuj, żeby Lionel popracował solidnie nad nuklearnymi pociskami manewrującymi. Powiedz mu, żeby wymyślił, jak wprowadzić do nich instrukcje celownicze. I niech sprawdzi, czy mają jakieś blokady, przez które będziemy musieli się przebić. Nie pozwól mu iść spać, dopóki tego nie zrobi.

Dillinger wyszedł ze sterowni i znalazł drzwi do kajuty kapitańskiej. Zamknął je za sobą i odetchnął z wielką ulgą. Głęboko pod wodą byli bezpieczni. Spojrzał na swój zegarek do nurkowania – czwarta czterdzieści osiem. Za

godzinę marynarze w Fort Lauderdale wrócą do portu, ziewając po nocy na przepustce, i zobaczą, że okręt podwodny zniknął. Jest nadzieja, że ponton zostanie zauważony dopiero po wschodzie słońca. W każdym razie, najpóźniej o szóstej rano rozpęta się piekło. Stąd aż do Pentagonu i Białego Domu.

Dillinger wszedł pod ciepły prysznic w toalecie kajuty kapitańskiej, żeby zmyć czarną farbę maskującą i pot. Nie czuł się tak dobrze od czasu uziemienia tego sukinsyna Whiteheada. Kiedy wrócił do sterowni w podwodniackim kombinezonie kapitana okrętu i w za dużych czarnych adidasach, zgromadzona załoga powitała go wiwatami. Bawól Patterson uśmiechnął się głupkowato i wyjął z torby narzędziowej ostatni niezbędny sprzęt – sześć butelek Dom Perignon i dwadzieścia wysokich kieliszków zapakowanych w folię bąbelkową. W sterowni USS „Albany” strzeliły korki i zadźwięczało szkło. Grupa inwazyjna wypila za udaną akcję.

– Wznoszę toast za przesyłkę, którą dostarczymy do Tel Awiwu – ryknął Bawól i uniósł wysoko kieliszek.

Wszyscy wypili, z wyjątkiem Dillingera. Ale po chwili on też uśmiechnął się szeroko i opróżnił kieliszek szampana. Udało się, pomyślał.

2

Lekki wiatr przynosił woń sosen i zwiewał mu włosy z czoła, gdy tkwił przykucnięty za plecami środkowego i wykrzykiwał głębokim, rozkazującym barytonem ostatnie zdanie:

– Czterdzieści sześć, siedemdziesiąt siedem, już!

Poczuł w dłoniach piłkę futbolową i wystartował w tył, w kierunku słupków bramki. Obserwował jednocześnie swojego biegnącego kryjącego i zbliżającego się obrońcę liniowego. Ten drugi był dużym problemem, pędził na niego jak pociąg towarowy. Rzucił piłkę szerokim łukiem tam, gdzie jego kryjący powinien być za półtorej sekundy, i śledził jej lot ku wyciągniętym rękoma przyjmującego podanie. Kryjący dał po nią nura, ale chybił. Więcej Vornado nie zdążył zobaczyć, bo zderzenie z nadbiegającym obrońcą zważyło go z nóg. Upadł na miękką trawę, obrońca runął na niego.

Spojrzał w górę. Długie włosy brunetki z przeciwnej drużyny opadły mu na twarz. Uśmiechała się przez pół sekundy, potem jej pełne czerwone wargi przywarły do jego ust, spotkały się ich języki. Przycisnęła szczupłe biodra do jego ciała, uwodzicielsko i zarazem subtelnie. Popatrzył na nią. Jej szmaragdowozielone oczy przyglądały mu się uważnie.

– Cześć – powiedziała bez tchu. – Wyglądasz tak samo seksownie, jak w dniu ukończenia akademii. –

Przeczesała mu palcami włosy, usiadła wyprostowana na jego biodrach i roześmiała się. – Jestem zazdrosna o wszystkie dziewczyny.

– Ty też jesteś niezła – odparł Peter Vornado. Jego rozkazujący baryton zmienił się w głos czułego męża. Patrzył na Rachel i nie mógł wyjść z podziwu, że jej smukłe ciało wydało na świat trójkę ich dzieci. I nie mógł uwierzyć, że ta piękna kobieta jest jego żoną. Po szesnastu latach małżeństwa wciąż wydawało mu się, że to sen, niezasłużona wygrana na loterii. A najważniejsze było to, że bardzo się kochali.

– Przyłożenie! – zawołał triumfalnie z boiska ich ośmioletni syn.

– Nie ma mowy! Faul w ataku, tato! – krzyknęła ich dwunastoletnia córka pozująca na dziewiętnastolatkę.

Vornado uśmiechnął się do żony.

– Nie pomyliłaś mnie przypadkiem z piłką? – Cieszył się, że Rachel znów jest tamtą kobietą, którą całował przed ołtarzem, a nie ponurą pesymistką, jak ostatnio.

Odsłoniła w zachęcającym uśmiechu białe, równe zęby.

– Na pewno nie. – Znów kusząco przywarła do niego biodrami, obiecując uroki „tylko we dwoje”, kiedy dzieci będą spały.

Vornado uśmiechnął się szeroko.

– Chyba rzeczywiście nie.

Przysunęła się bliżej i znów go pocałowała. Pocałunek był pożądliwy, ule trwał tak krótko, jakby w ogóle się nie zdarzył. Wciąż się uśmiechała, kiedy podbiegła do nich

córka.

– Ohyda! – prychnęła z niesmakiem Marla.

Vornado uniósł się na łokciach i spojrzał na szczupłą, zgrabną brunetkę. Jeszcze niedawno była małą dziewczynką, teraz ubierała się jak modelka i poruszała jak kobieta. Stała nad nimi i marszczyła nos, ale uśmiechała się. Dołączył do niej zdyszany chłopiec i też popatrzył na rodziców z niesmakiem. Peter junior był drobniejszy niż jego rówieśnicy, ale wesoły i chętny do nauki i uprawiania sportu. Przynajmniej raz zgodził się z siostrą.

– Właśnie, ohyda – powiedział, potem wbił piłkę w pierś ojca.

Zaskoczony Vornado poczuł ból i usiadł prosto. Puścił oko do Rachel.

– Przepraszam, ale nie mam wyjścia, muszę mu skopać tyłek. – Wstał i popatrzył za uciekającym synem.

Vornado skończył trzydzieści osiem lat. Był szczupły, ale muskularny, od lat dużo biegał i jeździł na rowerze górskim. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, niebieskie oczy, wydatne kości policzkowe i ostro zarysowaną linię szczęki. Na czoło opadała mu grzywa ciemnoblonde włosów. Miał jasną cerę i łatwo się opalał nawet w zimie. Z daleka mógł uchodzić za dwudziestolatka. Dopiero z bliska widać było oznaki jego wieku: zmarszczki w kącikach oczu, ogorzałe od wiatru czoło i policzki. Ale to tylko podkreślało jego godny wygląd, typowy dla starszego brata lub prezesa korporacji

na Wall Street.

Vornado wystartował błyskawicznym sprintem w kierunku linii bramkowej. Dogonił syna, złapał w pól, przewrócił na trawę i zaczął łaskotać. Chłopiec śmiał się melodyjnie. Kiedy zaczął błagać o litość, Vornado przerwał i wstał. Zerknął na trawiastą polanę w gęstym sosnowym lesie, zadziwiony spokojem, ciszą i pięknem tego miejsca.

Jakiś obcy dźwięk zakłócił spokój. Vornado najpierw myślał, że się przesłyszał, bo odgłos zamarł tak szybko, jak się odezwał. Ale po chwili powrócił. Wibrujący hałas narastał. Brzmiał jak huk potężnych silników odrzutowych i głośny warkot rotorów helikoptera. Vornado spojrzał na kuchci. Miała ponurą minę. Poczł nagłe napięcie nerwowe i ucisk w piersi. Starł się uspokoić, mówił sobie, że to na pewno samolot poszukiwawczo-ratowniczny lub śmigłowiec pożarniczy. Hałas wzrastał się, rezonował w piersi Vornado. W końcu nad wierzchołkami sosen pojawił się helikopter większy niż jego leśny domek. Zniżał się i najwyraźniej zamierzał wylądować na polanie, ale miał wirnik o tak dużej średnicy, iż wydawało się, że zetnie najbliższe drzewa. Dźwięk rotora był dziwnie zwielokrotniony. Vornado zerknął w bok i zobaczył jeszcze bardziej zdumiewającą rzecz niż helikopter lądujący na jego boisku piłkarskim.

– Tato, tato, zobacz! – zawołał Peter junior. Wskazywał w górę i podskakiwał.

Po obu stronach zniżającej się maszyny wisiały w powietrzu dwa mniejsze czarne śmigłowce szturmowe Apache. Były najeżone lufami działek i pociskami raketowymi. Strzegły większego helikoptera, który opadał wolno na trawiastą polanę. Vornado rozpoznał, że wielka szara maszyna to SH-60B seahawk. Na jej kadłubie widniała gwiazda w okręgu z trzema pasami po obu stronach i duże czarne litery U. S. Navy.

Podwozie seahawka dotknęło boiska i rotory zmniejszyły obroty do biegu jałowego. Od podmuchu wirników gięły się drzewa w lesie, trawa kładła się na ziemi. Vornado zmrużył oczy od słońca i spojrzał na śmigłowce szturmowe w powietrzu. Drzwi seahawka odsunęły się. Z maszyny wysiedli trzech mężczyźni w kombinezonach z nomeksu. Dwaj trzymali pistolety maszynowe MAC-10, przy pasach mieli granaty. Trzeci wyglądał na dowódcę załogi. Opierał rękę na kaburze pistoletu kaliber 9 milimetrów jak policjant stanowy podchodzący do zatrzymanego pirata drogowego. Wszyscy trzech stali na boisku, ten z pistoletem w kaburze wpatrywał się w Vornado, dwaj pozostali podejrzliwie badali wzrokiem polanę. Dowódca zerknął na jakiś przedmiot w swojej dłoni, potem ruszył wolno w kierunku Vornado. Kiedy podszedł bliżej, Vornado zobaczył, że mężczyzna ma w ręku jego zdjęcie.

Dowódca był po trzydziestce, wysoki i potężnie zbudowany. Miał fryzurę „na rekruta”, ospowatą cerę i groźną minę.

– Peter Vornado? – krzyknął przez hałas rotorów.

Vornado przytaknął.

– Kim pan jest?

Mężczyzna nie miał na kombinezonie naszywki z nazwiskiem ani insygniów. Wyjął skórzany portfel z legitymację służbową marynarki wojennej i podsunął Vornado pod nos.

– Komandor porucznik Alex Detmer – przedstawił się.

– Z eskadry czy z Naczelnego Dowództwa?

– Z ONI – odparł lakonicznie Detmer.

ONI, pomyślał Vornado. Biuro Wywiadu Marynarki Wojennej. Wskazał głową seahawka i dwa apache'e w powietrzu.

– O co chodzi?

– Sytuacja alarmowa, komandorze. Leci pan z nami.

Vornado zacisnął zęby. Detmer miał śmiertelnie poważną minę, jego ludzie trzymali pistolety maszynowe, a morskiego helikoptera marynarki strzegły uzbrojone po zęby śmigłowce szturmowe. Vornado próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszał, żeby maszynę marynarki ochraniały śmigłowce armii, ale nie pamiętał nic takiego. Sprawa musiała być cholernie poważna.

– Może mi pan wyjaśnić, co się dzieje? – zapytał Detmera i zerknął na swoje dzieci. Przyglądały się z zapartym tchem seahawkowi i groźnym apache'om. Rachel patrzyła z obawą na pistolety maszynowe w rękach ludzi otaczających jej męża.

– Nie, sir. Mamy rozkaz, żeby dać panu dziesięć minut

na spakowanie się i towarzyszyć panu przy tej czynności.

Vornado poczuł lekki ból głowy, który zaczął się za oczami, rozszedł w kierunku skroni i dotarł do tylnej części czaszki.

– Chodźmy – powiedział. Ruszył do domku, przytulił Rachel i wysunął się przed Detmera.

Jeden z ludzi Detmera został na straży seahawka. Drugi poszedł za dowódcą.

– Polecisz z nimi? – zapytała cicho Rachel.

Vornado przytaknął.

– A mam jakiś wybór?

– Ale nie powiedzieli ci, o co chodzi?

– Nie.

– Mógłbyś zadzwonić do Joego Palacza. Upewnić się przynajmniej, czy wie o tym.

Vornado zastanawiał się przez moment, co by oznaczał fakt, że Joe Kraft o niczym nie wie. Skinął głową.

– Ten cholerny helikopter obudzi małą – poskarżyła się Rachel.

Przynajmniej będę się mógł z nią pożegnać.

Monitor dziecka przypięty do paska dzinsów Rachel nagle rozbłysnął. Ich dwuletnia córeczka, z pewnością przestraszona hałasem, zaczęła płakać.

– Peter, nie wpuszczaj ich z bronią do domu – powiedziała Rachel, weszła na tylny ganek chaty z drewnianych bali i zniknęła w środku.

Vornado porozmawiał z Detmerem, który skinął głową do swojego podwładnego. Oficer ruszył za Vornado do

domku, żołnierz został na zewnątrz.

Vornado wszedł szybko do swojego gabinetu na parterze i schował komputer do nesesera. Potem wbiegł na piętro, znalazł w łazience buteleczkę advilu, włożył do ust cztery żelowe kapsułki wypełnione płynem i mocno rozgryzł. Lek miał paskudny smak, ale Vornado połknął go bez popijania wodą. Miał nadzieję, że tym razem ból głowy ustąpi. Zamrugał kilka razy i zmusił się, żeby zignorować łupanie pod czaszką. Wrzucił przybory toaletowe do neseserka i wepchnął ubrania do małej, czarnej skórzanej torby podróżnej. Nie przywiózł ze sobą mundurów, więc ktokolwiek go teraz wzywał, musiał zaakceptować jego strój – dzinsy, traperskie buty i golf. Wciągnął na siebie znoszoną brązową kurtkę lotniczą i zamienił plastikowy zegarek sportowy na roleksa submarinera z niebieską tarczą. Zerknął ukradkiem na drzwi sypialni i chwycił telefon bezprzewodowy. Stał przy oknie daleko od drzwi, spojrzał na seahawka czekającego z pracującymi silnikami na polanie i wybrał z pamięci numer.

Kobięcy głos w słuchawce brzmiał chłodno i bezosobowo.

– Dowództwo Ósmej Eskadry Okrętów Podwodnych, porucznik Monroe przy aparacie, rozmowa na linii ogólnodostępnej, czym mogę służyć?

– Melissa, daj mi Krafca do telefonu – rozkazał Vornado ostrym tonem.

Jej głos złagodniał.

– Tak jest, sir. Proszę zaczekać.

Do sypialni wszedł Detmer. Vornado zastanawiał się, czy oficer spróbuje przerwać mu rozmowę, ale ten tylko zmierzył go surowym wzrokiem. Po dziesięciu sekundach do telefonu podszedł komodor.

– Cześć, Peter – odezwał się grubym głosem miłośnika cygar i bourbona. – Domyślam się, że masz tam gości.

– Owszem. Są od pana? Nie mógł mnie pan uprzedzić? Albo po prostu przysłać samochodu?

– Nie pozwalały na to względy bezpieczeństwa i brak czasu. – Wyższy oficer mówił suchym, dynamicznym tonem bez zwykłej wesołości w głosie. – Ruszaj, Peter. Dostaniesz potrzebne informacje. Udanych łowów. – Komodor wyłączył się.

Vornado zgłupiał. Wpatrywał się w telefon i zastanawiał, kiedy ostatni raz szef użył tego zwrotu.

Do sypialni weszła Rachel. Miała smutną, zaniepokojoną minę. Trzymała na rękach Erin, niespełna dwuletnią dziewczynkę z platynowymi blond włosami i szafirowoniebieskimi oczami, z pięknymi rysami swojej matki. Dziewczynka uśmiechnęła się radośnie do Vornado.

– Ta-ta! – powiedziała i wyciągnęła do niego rączki.

Wziął ją w ramiona. Była ciepła od popołudniowej drzemki. Vornado zaklął w duchu. Nie chciał rozstawać się z rodziną i opuszczać drewnianego domku. Bez względu na to, jakie zadanie miał dla niego Kraft, sprawa nie mogła być przyjemna.

Detmer, który wcześniej wycofał się do holu, pojawił się znowu.

– Już czas, sir – przypomniał.

– Tata poczyta? – zapytała malutka Erin. Jej dziecięcy głosik i zabawny szczebiot wzruszył Vornado. Dziewczynka uwielbiała książeczki dla dzieci, które kupił jej kilka dni wcześniej. Gdyby pozwolił, siedziałyby mu cały dzień na kolanach i słuchała, jak jej czyta. Spojrzał na nią i uśmiechnął się bez przekonania.

– Tata musi iść do pracy, skarbie – odparł łagodnie.

– Nie, tata do pracy nie – zaprotestowała.

Vornado zerknął na Rachel. Wciąż miała zatroskaną, niespokojną minę.

– Marla – zawołał Vornado. Jego starsza córka stała tuż za progiem sypialni. Peter junior też. Oboje wpatrywali się w ojca. – Weź Erin na dół i daj jej podwieczorek. Peter, pomóż siostrze. – Pocałował córeczkę i wbrew jej protestom oddał Marli.

Dzieci wyszły gęsiego z pokoju i zeszły ciężko po schodach. Erin wciąż szczebiotała.

– Peter, o co może chodzić? – zapytała Rachel.

– Nie wiem – odrzekł Vornado. Skoro komodor Kraft odwołał go z urlopu w takim pośpiechu, musiały być jakieś poważne kłopoty. Vornado zaniepokoił się na moment, czyjego rodzina będzie bezpieczna, ale odrzucił tę obawę. – Może to nic wielkiego – skłamał. – Kolejne zwariowane ćwiczenia.

Rachel spojrzała przez okno na wiszące w powietrzu

apache'e i wielkiego seahawka, potem na męża.

– Jasne, ćwiczenia – powiedziała drżącym głosem.

– Sir? – odezwał się Detmer nieprzyjaznym tonem. – Jeśli natychmiast nie pójdzie pan ze mną do śmigłowca, będą musiał pana doprowadzić. Mam takie upoważnienie.

Vornado zignorował ostrzeżenie oficera i pocałował żonę. Odpowiedziała pocałunkiem i przytuliła się do niego. Uwolnił się z jej objęć, wziął bagaż i wyszedł z pokoju. Rachel zeszła zanim do holu. Dzieci stały przy stole. Vornado ucałował całą trójkę. Wciąż bolała go głowa.

Rachel wpatrywała się w niego. Spojrzał jej w oczy.

– Trzymaj się, kochanie – powiedział. Potem ścisnął ramię syna. – Peter, zajmij się wszystkim. Masz teraz wachtę. Marla, Kocham cię, skarbie. Słuchaj mamy. Pa, Erin. – Schylił się i pocałował córeczkę. Odcisnęła na jego wargach mokry pocałunek i uśmiechnęła się.

– Pa, pa, tata-praca – pożegnała go jak zawsze, kiedy wychodził z domu w sprawach służbowych.

Vornado chwycił swoje rzeczy i dał nura za próg. Nie cierpiał pożegnań. Poszedł szybko z Detmerem do helikoptera. Uzbrojona eskorta przyłączyła się do nich z lufami pistoletów maszynowych wycelowanymi w niebo. Vornado podszedł do huczącego seahawka i wspiął się do środka. Załoga za nim. Minęła chwila, zanim jego wzrok przyzwyczaił się do mrocznego wnętrza. Znalazł brezentowe siedzenie, przypiął się pasami i wyjrzał przez lewe okno. Kiedy ostatni z ludzi Detmera wszedł na

pokład, Vornado zobaczył w otworze prawych drzwi Rachel. Biegła do helikoptera.

Vornado klepnął Detmera w ramię.

– Jeszcze moment – krzyknął i wychylił się z odsuniętych do połowy drzwi Seahawka.

Rachel dobiegła bez tchu do maszyny.

– Zapomniałeś tego – wysapała. Nawet z wyrazem głębokiego niepokoju na twarzy wyglądała pięknie. Włożyła mu na szyję złoty medalik z wizerunkiem świętego Krzysztofa. Potem pocałowała męża. – Uważaj na siebie, proszę – zawołała przez huk rotorów. – I nie zdejmuj medalika. Mam złe przeczucia.

– Bez obaw, kochanie, wszystko będzie dobrze. Ale dzięki – odpowiedział Vornado, wsunął medalion pod T-shirt i poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Czyjaś ręka wciągnęła go do środka i drzwi się zasunęły.

Silniki odrzutowe weszły na wyższe obroty, kadłub zatrzęsł się, uniósł i pochylił stromo w przód. Boisko oddalało się od okna, wierzchołki drzew w dole przesuwały wolno, dolina zostawała z tyłu. Helikopter przyspieszył i górskie sosny zaczęły pędzić w nieprawdopodobnym tempie. Seahawk trzymał się blisko pofałdowanego terenu, jakby pilot lada moment spodziewał się ostrzału. Nieco za nimi z lewej leciał jeden apache. Groźny śmigłowiec wydawał się w każdej chwili gotów do walki. Vornado zastanawiał się, czy sytuacja alarmowa, z powodu której porwano go z domku w dolinie rzeki Shenandoah, jest rzeczywiście na tyle

poważna, że piloci muszą się zachowywać jak w strefie działań wojennych. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy maszyna nagle się wzniosła, a potem opadła, dostosowując wysokość do rzeźby terenu Wirginii. Cokolwiek się działo, musiało wstrząsnąć szarżą.

– Panie Detmer – zawołał Vornado do oficera wywiadu. – Dokąd lecimy?

– Nad Atlantyk u wybrzeży Virginia Capes, około stu sześćdziesięciu mil morskich na wschód od Hampton Roads – odpowiedział Detmer. Będzie pan musiał włożyć uprząż bezpieczeństwa.

Vornado skinął głową, włożył ciężką brezentową uprząż, oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy. Czuł bolesne pulsowanie w skroniach, ale przynajmniej nie pękała mu głowa, jak wcześniej w momencie przylotu seahawka.

Może po godzinie lotu ton silników zmienił się. Obroty rotorów spadły, potem znów wzrosły i znów zmalowały. Vornado otworzył oczy i wyjrzał przez okno. Apache nadal im towarzyszył, ale w dole aż po horyzont rozciągało się puste ciemnoniebieskie morze. Fale zbliżały się powoli, wreszcie helikopter znalazł się zaledwie kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią. Zwolnili prawie do zera, ocean był niebezpiecznie blisko.

Vornado zobaczył na zewnątrz czarny kształt. Było dokładnie tak, jak podejrzewał.

Detmer odsunął drzwi helikoptera. Jasne słońce zalało wnętrze maszyny. Lekkie fale przetaczały się około

trzydziestu metrów pod podwoziem Seahawka. Do kabiny wdarł się huk rotorów. Tuż poniżej okna czekał w wynurzeniu atomowy okręt podwodny. Nie zostawiał za sobą kilwatera. W kokpicie na szczycie kiosku stali dwaj oficerowie. Peryskop był wysunięty, za nim sterczał podniesiony maszt radiowy. Na pokładzie cylindrycznego kadłuba czekała załoga w kamizelkach ratunkowych.

– Komandorze, niech pan włoży kamizelkę ratunkową na uprząż!

Vornado zapiął pękaty kapok. Detmer przyczepił jego bagaż do liny i opuścił na okręt. Potem wciągnął linę z powrotem i umocował do uprzęży Vornado.

– Gotowy, komandorze?

Vornado przytaknął. Detmer wskazał mu otwarte drzwi.

– Powodzenia! – zawołał i klepnął Vornado w ramię. – Udanych łowów!

Vornado pomachał mu i wydostał się na zewnątrz. Lina opuściła go w przestrzeń. Wydawało mu się, że wisi w powietrzu całą wieczność, w końcu załoga na pokładzie złapała go i uderzył butami w kadłub okrętu. Dowódca grupy, porucznik z naszywką Logan, uśmiechnął się i odczepił linę od uprzęży.

– Witamy z powrotem, kapitanie – powiedział.

3

Komandor Peter Vornado zmrużył oczy i skinął głową dwóm oficerom na powitanie.

– Dobrze znów tu być, panie Logan, ale wolałbym, żebyście następnym razem czekali na mnie przy nabrzeżu.

– Zmarszczył brwi. – Nie wie pan przypadkiem, co się dzieje, do cholery?

– Mieliliśmy nadzieję, że pan nam to powie, kapitanie – odrzekł Logan.

– Lepiej szybko zejźmy, sir. XO chce, żebyśmy jak najprędzej wrócili pod wodę i płynęli z szybkością maksymalną.

Vornado dał nura do dziobowego wjazdu ewakuacyjnego. Pałace słońce i ciemnoniebieski Atlantyk zniknęły. Otoczyła go nagle charakterystyczna, jedyna w swoim rodzaju woń okrętu podwodnego – zapach elektryczności, smaru, spalin dieslowskich, tłuszczu do smażenia i ozonu. Zapach skupił jego myśli wokół czekającego go niebezpiecznego zadania. Ciemny szyb ewakuacyjny ciągnął się ponad trzy i pół metra w dół do wnętrza okrętu. Kiedy Vornado postawił stopy w mesie dla załogi na środkowym poziomie, w górze zadudnił głośnik radiowęzła, podając komunikat, że oficer dowodzący okrętem podwodnym USS „Hampton” jest na pokładzie.

Vornado wspiał się szybko po drabince na górny

poziom i wszedł do sterowni. Małe pomieszczenie wypełniały kable, zawory, panele, konsole i wyświetlacze. Vornado znał to miejsce lepiej niż własny dom. Wychował się w takich sterowniach, jak ta. Czuł się tu jak ksiądz na ambonie lub pilot myśliwca w kokpicie. Tutaj się spełniał. Środek pomieszczenia zajmowała podwyższona platforma peryskopowa otoczona relingiem ze stali nierdzewnej, stanowisko dowodzenia, skąd oficer pokładowy wydawał rozkazy członkom wachty.

– Kapitan w sterowni! – krzyknął głos z tyłu pomieszczenia.

Jeden z peryskopów był podniesiony i oficer na platformie przyciskał twarz do modułu optycznego. Obok stał drugi oficer, szczupły i wysoki, niewiele niższy od Vornado. Miał opaloną twarz, długi zarost wokół kwadratowej szczęki, inteligentne i przenikliwe piwne oczy, nieco zmęczone spojrzenie i czarne włosy ze śladami siwizny. Na niebieskim kombinezonie miał złote delfiny podwodniackie, złote liście dębowe na kołnierzu i naszywkę z nazwiskiem Willey. Kiedy Vornado podszedł bliżej, oczy Willeya zwięzły się, jakby chciał mrugnąć porozumiewawczo do kolegi konspiratora.

– Cieszę się, że pan wrócił, sir – powiedział z południowym akcentem z pogranicza Teksasu i Luizjany. Wyciągnął rękę.

Vornado uścisnął mu dłoń.

– Dzięki, XO. – Użył skrótu, który w marynarce oznaczał zastępcę kapitana okrętu, oficera

wykonawczego.

– Ostatni człowiek na dole, mostek przygotowany do zanurzenia przez starszego bosmana Matthews'a i sprawdzony przez porucznika Farraguta oznajmił załozde w sterowni Logan.

Vornado uniósł brwi i zapytał cicho Willeya:

– Jaki kurs i szybkość?

– Jeden cztery pięć, szybkość maksymalna. – XO z powagą skinął głową, kiedy Vornado zrobił zaskoczona minę.

– OOD – zwrócił się Vornado skrótem do oficera pokładowego. Niech pan z powrotem zanurzy okręt i nadal płynie z szybkością maksymalną wyznaczonym kursem do punktu zaplanowanego tempa. Będę z XO w mojej kajucie.

Oficer przy peryskopie przerwał na moment obserwację.

– Tak jest, sir, zanurzenie i maksymalna – odpowiedział, po czym znów przycisnął twarz do modułu optycznego i warknął: – Oficer zanurzenia, głębokość sto sześćdziesiąt sześć metrów, stromy kąt. Sternik, cała naprzód dwie trzecie.

Pokład pochylił się. Vornado wspiał się ostrożnie ku rufie do swojej kajuty. Willey za nim.

– Kapitan opuścił sterownię – oznajmił technik elektroniki nawigacyjnej.

Vornado zamknął drzwi kajuty.

Za jego plecami, w przedniej części sterowni, oficer

pokładowy Holmes nadal prowadził obserwację przez peryskop, dopóki okręt nie zanurzył się tak głęboko, że pod powierzchnię przestało docierać światło. Holmes opuścił peryskop, potem pochylił się nad fotelem oficera zanurzenia i trzy razy strzelił palcami.

– Płać, koleś – powiedział.

Oficer zanurzenia sięgnął do kieszeni, wyjął banknot dwudziestodolarowy i podał przez ramię Holmesowi.

– Miałeś rację, nawigatorze. Kapitan zachowywał się tak, jakby codziennie opuszczano go na pokład z helikoptera.

– Mówiłem. Jest zimny jak woda na głębokości testowej. To maszyna nie człowiek.

W kajucie kapitańskiej Vornado chwycił się krawędzi składanego biurka, gdy okręt pochylił się jeszcze bardziej w stromym nurkowaniu. Wyjął z szafki kombinezon podwodniacki i ściągnął cywilne ubranie, podskakując na jednej nodze na skośnym pokładzie.

Kiedy podciągał suwak kombinezonu, nad jego głową rozległo się głośnie skrzypnięcie zakończone trzaskiem. Vornado uśmiechnął się na myśl, jaką panikę wywołuje ten przerażający dźwięk wśród żółtodziobów. Po dziesięciu latach pływania wiedział, że to tylko kompresja kadłuba pod wpływem wysokiego ciśnienia w głębi morza. Pokład zaczął drżeć, gdy okręt po wypoziomowaniu na głębokości rejsowej osiągnął szybkość maksymalną.

Vornado wyłonił się z toalety w kombinezonie i poczuł

się prawie normalnie. Kiedy wciągał skarpetki i podwodniackie buty wojskowe na gumowej podeszwie, rozejrzał się po kajucie trzy na trzy metry. Była wysprzątana, koja zaścielona, stolik kawowy i krzesła na swoich miejscach.

Przed opuszczonym składanym stołem stał fotel kapitański. Na przegrodzie wisiały trzy zdjęcia. Jedno, zrobione z helikoptera, pokazywało USS „Hampton” i Vornado na mostku, drugie Vornado i Rachel z dwójką starszych dzieci jeszcze przed narodzinami Erin, trzecie było portretem Erin zrobionym przed kilkoma miesiącami. Bagaze leżały starannie ułożone obok drzwi toalety. Vornado wskazał Willeyowi miejsce przy stole, podniósł blat składanego biurka i opadł na fotel kapitański.

– Więc co się, do cholery, dzieje, XO?

Willey zmrużył oczy.

– Nie mam bladego pojęcia, kapitanie. Jeszcze dziś rano był pełny luz. Pojechałem zmienić olej w samochodzie. Po powrocie zastałem na podjeździe wóz patrolowy eskadry. Uzbrojony podoficer powiedział, że mam wszystko rzucić i jechać do portu. Na nabrzeżu okazało się, że sekcja dyżurna zaczęła uruchamiać reaktor o ósmej rano. Wyłączyli telefony na brzegu, zablokowali okręt i skonfiskowali wszystkie komórki, łącznie z moją. Zanim dojechałem na miejsce, reaktor był na chodzie, zasilanie z lądu odłączone, rozkaz wyjścia w morze wydany. Resztę załogi przywiozły samochody eskadry z

uzbrojonymi kierowcami. Wszędzie broń, broń i jeszcze raz broń. Na pokładzie rufowym czekał na mnie komodor Joe Palacz Kraft. On też miał broń krótką, jak wszyscy. Kazał mi ruszać w rejs bez pana. Kiedy zapytałem, co się dzieje, powiedział, że spotkam się z panem nad krzywizną stu sążni i pan mi powie.

Vornado postukał platynowym sygnetem akademii w poręcz fotela, jak zawsze, kiedy był głęboko zamyślony. Spojrzał na Willeya.

– Wyjście w morze bez kapitana musiało być dla was trudne.

Willey uniósł brwi.

– Nie, dlaczego? Poszło nam lepiej niż zwykle.

Vornado aż zatkało. Dopiero po chwili zorientował się, że Willey żartuje.

– Pieprz się, XO – powiedział.

Willey wybuchnął śmiechem.

– Więc Kraft zostawił rozkaz operacyjny?

– Tak jest – odpowiedział Willey. – Kazał mi pokwitować odbiór i zamknąć rozkaz w moim sejfie. Jest zapieczętowany i czeka na pana.

Willey zniknął w drzwiach toalety i wrócił z kopertą.

– A inne okręty przy nabrzeżu? – zapytał Vornado, otwierając kopertę.

Też się przygotowywały do wyjścia w morze?

– O, tak! Cała eskadra wciągała cumy i ruszała w rejs.

– „Tucson” też? – zapytał Vornado.

„Tucson” był ich największym rywalem i jednym z

najnowocześniejszych okrętów w eskadrze. Miał na pokładzie bardzo czuły sonar najnowszej generacji FY05. Dotychczas tylko „Tucsona” i „Hamptona” wyposażono w to urządzenie, które dorównywało sonarom na okrętach „Seawolf” i „Virginia”. „Tucsonem” dowodził zadziorny kapitan, długoletni przyjaciel Vornado.

– W „Tucsonie” od dwóch dni wymieniają akumulator. Nigdzie nie popłynie, bo to potrwa dwa tygodnie. I nie da rady przyspieszyć.

Vornado skinął głową i spojrzał na dwa cienkie, oprawione egzemplarze rozkazu operacyjnego. Miały numer i nadruk ŚCIŚLE TAJNE. „SKRADZONE STRZAŁY”. Ostatnie słowo było zakodowaną informacją, że rozkaz jest więcej niż ściśle tajny.

Vornado wręczył jeden egzemplarz Willeyowi, złamał pieczęć na swoim i zaczął czytać w milczeniu. Po piętnastu minutach podniósł wzrok na XO. Willey wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Vornado przełknął z trudem. Willey pokręcił głową i wypowiedział dwa jedyne słowa, jakie przyszły mu na myśl w tej sytuacji:

– Jasny gwint.

Vornado przytaknął i znów spojrzał na rozkaz operacyjny. Grupa terrorystów uprowadziła amerykański okręt podwodny „Albany” z nuklearnymi pociskami manewrującymi na pokładzie. Porywacze zamierzali dotrzeć do miejsca, skąd mieliby w zasięgu rakiet Tel Awiw. Mogli wybrać tylko dwa rejony – Morze

Śródziemne lub Ocean Indyjski w pobliżu Półwyspu Arabskiego. Większość amerykańskich sił podwodnych płynęła przez Atlantyk do Cieśniny Gibraltarskiej. „Hamptona” wysłano do bardziej odległego i mniej prawdopodobnego . punktu przechwycenia „Albany” – na Ocean Indyjski wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Regulamin walki w rozkazie operacyjnym brzmiał lodowato – strzelać, żeby zabić.

Vornado poszedł do sterowni, pochylił się nad stołem nawigacyjnym i zmierzył kurs oraz szybkość. Zerknął na Roleksa. Dochodziła szesnasta. Trudno mu było uwierzyć, że zaczął dzień w leśnej chacie, jedząc z żoną i dziećmi naleśniki, a teraz jest głęboko pod wodą. Poranek wydawał się odległy o całe lata.

4

Zaczął się osiemnasty dzień w ciemnej głębi oceanu. Sto osiemdziesiąt metrów pod falami, w wodnej pustce o temperaturze tuż powyżej punktu zamarzania, zmaterializował się ruchomy eliptyczny kształt. Ciemna toń rozstępowała się przed elipsoidą, która stopniowo stała się stalowym cylindrem. Obiekt sunął naprzód, metr za metrem, aż pojawiła się pionowa płetwa, wysoka wieża skierowana ku powierzchni morza daleko w górze. Cylinder zwężał się na końcu. Wreszcie wyłoniły się pionowe i poprzeczne stabilizatory, a za nimi siedmiołopatowa śruba. Obracała się wolno i tworzyła wir za obiektem. Kilka minut po przepłynięciu bestii wzburzona woda uspokoiła się. Monstrum ze stali i fiberglasu zniknęło, jakby nigdy nie istniało i w ciemnym morzu pozostała tylko pustka.

Wewnątrz cylindra, w kajucie kapitańskiej na górnym poziomie przedziału dziobowego, komandor Peter Vornado wytarł się ręcznikiem po porannym prysznicu. Włożył kombinezon podwodniacki i adidas, przez chwilę stał głęboko zamyślony, potem sięgnął do szafki po wiszący tam medalik na złotym łańcuszku. Przesunął palcami po wizerunku świętego Krzysztofa i zobaczył w wyobraźni zatroskaną minę Rachel, kiedy wychylił się z drzwi helikoptera. W uszach wciąż mu dźwięczały jej słowa: „Uważaj na siebie, proszę cię. I nie zdejmuj

medalika. Mam złe przeczucia". Uniósł medalik, włożył na szyję i wsunął pod T-shirt.

Zmrużył oczy i spojrzał na swoją twarz w lustrze. Przez ostatni tydzień zapuszczał brodę i był przerażony, że jest cała siwa. Wyglądała dziwnie przy jego blond włosach, niebieskich oczach i jasnej cerze. Postarzała go o dwadzieścia lat. Wziął brzytwę i zgolił brodę. Osuszył twarz i znów spojrzał w lustro. Wciąż wyglądał starzej niż tydzień temu. Pomyślał, że to pewnie pod wpływem stresu, wywołanego misją. Źle sypiał i miał coraz silniejsze bóle głowy. Obiecał sobie, że zaraz po powrocie do Virginia Beach pójdzie do lekarza.

Poszedł do sterowni. Na stanowisku dowodzenia pełnił wachtę komandor porucznik Mark Holmes. Vornado skinął mu ręką i pochylił się nad lewym tylnym stołem nawigacyjnym. Od dziesięciu dni byli na pozycji przechwycenia w pobliżu Kapsztadu. Vornado rozkazał, żeby prowadzić poszukiwania według wzorca kokardy. Pływali dwadzieścia mil morskich na północny wschód, potem pięć mil na południe, później dwadzieścia mil na zachód, znów pięć mil na południe i ponownie dwadzieścia mil na północny wschód, co tworzyło kształt kokardy. Manewr umożliwiał im nasłuch sonarowy poza obszarem wody wzburzonej ruchem „Hamptona”, ułatwiał procesorom odizolowanie hałasu własnego okrętu i nigdy nie mieli „wektora zagrożenia” – spodziewanego kierunku pojawienia się „Albany” – w „stożku ciszy” za rufą, gdzie sonar szerokopasmowy

byłby zupełnie głuchy. „Hampton” holował wąskoprzewodową antenę liniową. Płynęła w spokojnej wodzie daleko od hałasu okrętu, odbierała dźwięki z poszczególnych wycinków morza i nasłuchiwała charakterystycznych tonów emitowanych przez typowe okręty podwodne klasy 688.

Vornado porozmawiał cicho z oficerem pokładowym, nawigatorem Markiem Holmesem, i młodszym oficerem pokładowym, asystentem głównego mechanika, Mikiem Loganem, którzy mieli poranną wachtę. Pochylił się nad konsolą powtarzacza sonaru, potem wszedł do kabiny sonarowej, gdzie mieli wachtę bosman Bradley i jeden z jego podwładnych. Vornado uniósł dłonie, jakby chciał zapytać „ciągle nic?”. Bradley z zaciśniętymi wargami pokręcił głową.

BK Dillinger schował do kieszeni trzy kubańskie cygara Montecristo z zapasów w sejfie kapitana „Albany” i wszedł do sterowni. Zjawił się ostatni. Była tam już cała załoga z wyjątkiem wacht w pomieszczeniach technicznych i kilku ludzi Bawoła w torpedowni. Steve Flood wręczył Dillingerowi słuchawkę z mikrofonem. Dillinger wyregulował ustawienie wysięgnika mikrofonu i sprawdził łączność. Mosiężny chronometr wskazywał, że jest tuż po czternastej czasu Greenwich.

– Lionel – zwrócił się Dillinger do młodego eksperta od uzbrojenia. – Przygotuj wyrzutnie torpedowe jeden i dwa pod każdym względem, i otwórz wrota zewnętrzne.

Lionel Tonelle potwierdził przyjęcie rozkazu ze swojego stanowiska przy panelu obsługi uzbrojenia. Wpadł na pomysł, jak przejść obok Przyładka Dobrej Nadziei, gdzie zdaniem Patty'ego Schlussa na pewno czaił się amerykański okręt podwodny. Dillinger planował przedłużyć podróż o pięć dni i ominąć przyładek bardzo szerokim łukiem, żeby nie wpaść w pułapkę. Ale Lionel zaproponował inne wyjście. Wymyślił, żeby transmitować dane z torpedy Mark 48 do sonaru aktywnego BQQ-5E. Torpeda z sonarem w trybie pasywnym – tylko na nasłuchu – płynęłaby dwadzieścia mil przed okrętem i nasłuchiwała akustycznych oznak zasadzki. Plan był doskonały, gdyż wykorzystanie torpedy jako „sensora pozapokładowego” pozwoliłoby im wykryć przeciwnika, zanim on wykryje ich.

Zaczajony w pobliżu przyładka amerykański okręt podwodny po usłyszeniu nadpływającej torpedy zacząłby uciekać z maksymalną szybkością, żeby uniknąć trafienia. Krążąc wolno w wyczekiwaniu, byłby ledwo słyszalny, ale uciekając na pełnych obrotach, ryczałby jak pociąg wypadający z szyn. Dillinger przełączyłby torpedę z trybu zwiadowczego w bojowy, Mark 48 ruszyłaby w pościg i zatopiła przeciwnika. Nawet gdyby zabrakło jej paliwa, zanim zdążyłaby dogonić wroga, wykonałaby swoje zadanie, zmuszając go do odwrotu. W odpowiedniej chwili Dillinger wystrzeliłby następne torpedy. Pomyślał, że kiedy to wszystko się skończy, trzeba będzie dać Lionelowi premię.

– Wyrzutnie jeden i dwa przygotowane pod każdym względem, kapitanie. Wrota zewnętrzne otwarte.

– Dobra, Lionel. Włącz zasilanie torpedy jeden i wprowadź dane.

– Zasilanie jedyńki włączone.

Lionel zaprogramował torpedę tak, żeby płynęła z małą szybkością według spiralnego wzorca poszukiwawczego na głębokości około dwustu dziesięciu metrów – optymalnej do nasłuchu podwodnego celu. Co najważniejsze, wprowadził pułap 45 metrów, żeby ignorowała obiekty o małym zanurzeniu. Przypadkowe trafienie i zatopienie statku handlowego na zatłoczonych trasach żeglugowych wokół Przylądka Dobrej Nadziei zdradziłoby ich, co oznaczałoby klęskę. Nigdy nie dotarliby do Zatoki Perskiej.

– Wszyscy gotowi? Lionel, strzał z jedyńki w zaprogramowanym kierunku.

Lionel wcisnął na panelu przycisk gotowości, potem odpalania. Pokład podskoczył. Huk poraził Dillingerowi uszy. Powietrze pod wysokim ciśnieniem sprężyło wodę w zbiorniku wyrzutni i półtoratonowa torpeda została wypchnięta na zewnątrz. Ciśnienie uszło do wnętrza okrętu, dzięki czemu wokół kadłuba nie powstały pęcherze powietrza, ale ucierpiały uszy załogi.

Flood włożył słuchawki sonaru i po chwili uniósł kciuk.

– Wszystko gra.

Dillinger skinął głową. Byłoby kiepsko, gdyby torpeda

zatoczyła krag I trafiła w macierzysty okręt. Wszedł do kabiny sonarowej i spojrzął ponad ramieniem Lionela na monitor. Wyświetlacz pokazywał na bieżąco dane nachodzące przewodem z torpedy. Przypominał ekran obracającego się radaru, ale zamiast widoku z lotu ptaka był na nim rzut poziomy w kierunku biegu torpedy. Czerwony punkt na prawo oznaczał detekcję z jej prawej strony. Drugi taki punkt na godzinie szóstej wskazywał, że obiekt jest głębiej niż torpeda. Za plecami Dillingera, na konsolach kierowania ogniem, system prowadzenia walki rejestrował odległość i kierunek do torpedy i na podstawie szybkości poszukiwawczej określał jej pozycję w stosunku do macierzystego okrętu. Gdyby Lionel miał na swoim panelu jakąś detekcję, Merc wiedziałby, gdzie była torpeda w momencie nadania sygnału. To pozwoliłoby im określić kierunek i odległość celu do punktu, w którym został wykryty.

Pozostało czekać. Dillinger odpakował cygaro, zapalił i wypuścił kłęb dymu. Za godzinę zamierzał wystrzelić drugą torpedę zwiadowczą, żeby była dziesięć mil przed nimi, kiedy pierwsza po wyczerpaniu się paliwa zatonie. Usiadł na małym składanym siedzeniu na platformie dowodzenia. Steve Flood przyłączył się do niego.

– Tak, Steve... – Dillinger wypuścił kółko dymu. – Jeśli ktoś czeka, żebyśmy wpadli w zasadzkę, spotka go przykra niespodzianka.

– Kapitanie – wtrącił się Lionel. – Mamy wyraźną detekcję. Niech pan spojrzy na ekran Q-Pięć.

Komuś obcemu ton Lionela wydałby się zwyczajny, jakby młody ekspert od uzbrojenia oznajmił, że podano kolację. Ale Dillinger znał swojego specja. Wiedział, że Lionel jest spięty, podekscytowany i niepewny.

Wszedł szybko do kabiny sonarowej i pochylił się nad wysokim oparciem fotela Lionela. Podczas spiralnego ruchu torpedy z jednej strony podziałki na ekranie pojawiały się punkty świetlne, potem przemieszczały do następnego kwadrantu, a poprzedni ciemniał, prawie jak na wyświetlaczu radaru. Dillinger obserwował, jak na ekranie rozjaśnia się trzeci kwadrant. W ostatnim punkty świetlne skupiały się razem i tworzyły plamę. Dillinger zagryzł wargi i czekał na następny spiralny ruch torpedy. Znowu pojawił się sygnał detekcji, jeszcze wyraźniejszy.

– Mamy go – powiedział Dillinger. – Możesz przełączyć torpedę w tryb ataku?

– Jasne, kapitanie.

Peter Vornado zamknął za sobą drzwi kajuty po ostatnim niecierpliwym wyjściu do stołu nawigacyjnego i powtarzacza sonaru w sterowni. Opadł na fotel kapitański i wrócił myślami do najbardziej niepokojącego aspektu tej misji – faktu, że admiraliczja nie podziela jego optymizmu, o czym świadczyła EAM. Skrót oznaczał wiadomość o akcji alarmowej. W połowie rejsu wezwano ich na głębokość peryskopową. Wezwanie nadano na falach radiowych ELF – krańcowo niskiej częstotliwości – gdyż tylko one docierały w głąb oceanu. System wymagał

stacji nadawczych o ogromnej mocy i wielkości małego miasteczka, a transmisja jednej litery trwała dwadzieścia minut. Ale metoda sprawdzała się, kiedy trzeba było wezwać zanurzony okręt podwodny na głębokość peryskopową, żeby odebrał pilną wiadomość z szybko nadającego satelity. Treść EAM zmroziła Vornado. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek otrzyma taki rozkaz. W wypadku zagrożenia dla swojego okrętu miał użyć przeciwko „Albany” przeciwpodwodnych rakiet RUR-5 Delta SUBROC z głowicami nuklearnymi.

Odkąd istniała broń jądrowa, jeszcze żaden kapitan okrętu podwodnego nie dostał rozkazu, żeby jej użyć. Vornado miał na pokładzie dwie załadowane ostatnio Deltę SUBROC i uważał je za bezużyteczne. W ogniu walki nie można było ich wystrzelić w okręt podwodny przeciwnika bez podejścia na głębokość peryskopową, żeby poprosić o pozwolenie na użycie broni jądrowej. Potem należało czekać bez końca, aż zgodę wyda sam prezydent. Ale teraz Vornado miał pozwolenie. Dostał rozkaz, żeby zatopić „Albany” bronią jądrową, gdyby sytuacja zrobiła się niebezpieczna. Sprawa wyglądała gorzej, niż myślał.

Nowe rakiety SUBROC różniły się od poprzednich, które były pociskami balistycznymi i przenosiły ładunki głębinowe na zbyt małą odległość od macierzystego okrętu. Uważano je za broń samobójczą z okresu zimnej wojny. Obecne rakiety RUR-5 Delta były pociskami manewrującymi Block V Tomahawk z głowicami

nuklearnymi W-44 i pokonywały odległość stu mil morskich i więcej. Zrzucały ładunki głębinowe dokładnie na przeciwnika lub wystarczająco blisko. Jeśli wrogi okręt podwodny znajdował się w promieniu dwudziestu mil morskich od miejsca eksplozji o stosunkowo małej sile dziesięciu kiloton, wybuch rozrywał jego kadłub na strzępy. Oczywiście użycie broni jądrowej nadal wiązało się z ryzykiem, gdyż eksplozja wywołałaby w całym rejonie „bulgot” miliardów pęcherzy powietrza. Musiałyby upłynąć dni, zanim w strefie wybuchu można byłoby znów usłyszeć sygnał sonaru. Wróg przyczajony poza rejonem eksplozji wykorzystałby bulgot do ucieczki, a potem wrócił i wciągnął w zasadzkę okręt, który użył broni jądrowej.

Rakiety SUBROC załadowano na pokład podczas urlopu Vornado. Zabrano wtedy wszystkie torpedy Mod 6 Mark 48 i zastąpiono je starszymi, ale bardziej godnymi zaufania Mod 5. Tłumaczono, że Mod 6 mają wadę – mogą popłynąć za wabikami akustycznymi przeciwnika i oddalić się od celu. Tymczasem Mod 5 ścigały cel z lepszym skutkiem, choć miały szybkość maksymalną niższą o jeden węzeł i zasięg mniejszy o milę czy dwie.

Z zamyślenia wyrwał Vornado dźwięk, tak nagły i niespodziewany, że dowódcy aż skoczyło tętno – włączyły się głośniki radiowęzła, których nigdy nie powinno się używać podczas ciszy taktycznej na okręcie. Oficer pokładowy krzyknął napiętym głosem najbardziej przerażające słowa, jakie może usłyszeć podwodniak:

– Torpeda w wodzie!

5

Vornado zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że oparcie fotela uderzyło w przegrodę. Szarpnął drzwi kajuty i wypadł na zewnątrz. To, co słyszał o strachu, okazało się prawdą. Wszystko dookoła docierało do niego niezwykle wyraźnie, jakby czas się rozciągnął. Biegł, ale wydawało mu się, że zbliża się do sterowni nieskończenie wolno. Oficer pokładowy miał przerażoną minę i szeroko otwarte oczy. Trzęsły mu się ręce. Vornado widział wyświetlacz sonaru szerokopasmowego z odległości półtora metra i wpatrywał się w pionowy jasny ślad na północnym zachodzie. Na widok Vornado oficer pokładowy Mark Holmes odwrócił się błyskawicznie, żeby złożyć meldunek, ale wydawało się, że trwało to całą wieczność.

– Kapitanie, mamy na sonarze torpedę Mark 48 ADCAP. Zbliża się z kierunku trzy trzy dwa. Robię zwrot, żeby uciekać przed nią z maksymalną szybkością i zamierzam wystrzelić trzy torpedy wzdłuż linii kierunkowej ...

Vornado już miał skinąć głową na znak zgody, ale po powolnym upływie jednej dziesiątej sekundy coś mu zaświtało w głowie. W jego umyśle pojawił się na moment jakiś obraz i zniknął. Vornado zamrugał zdezorientowany. Zastanawiał się, czy przyływ adrenaliny przeszkadza mu w ocenie sytuacji i czy bóle

głowy nie są oznaką, że z jego mózgiem jest coś nie w porządku. Ale obraz znów się pojawił, tym razem na dłużej i był wyraźniejszy. Vornado zobaczył w wyobraźni bezzębnego rekina z opaską na oczach. Myślał, że mu się zdawało. Chciał się temu lepiej przyjrzeć, ale nie zdążył, bo obraz znów zniknął. Vornado nie wiedział, czy to intuicja i proces myślowy, czy jakiś bodziec zewnętrzny.

Standardowa procedura była taka, że po wykryciu torpedy w wodzie okręt uciekał jak cholera, choć przy maksymalnej szybkości maszyny robiły tysiąc razy więcej hałasu niż teraz. Ale gdyby ta torpeda nie mogła ich zaatakować, ucieczka zaalarmowałaby tego, kto wystrzelił broń. Ślepy bezzębny rekin, pomyślał Vornado.

– Nie tak prędko powiedział.

OOD Mark Holmes wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wokół panował mocno ożywiony ruch. Członkowie wachty wpadali do sterowni i obsadzali stanowiska bojowe, gdyż okrzyk „torpeda w wodzie” nakazywał podjęcie natychmiastowych działań.

– Sternik, kurs na zachód – warknął Vornado i sprawdził telegraf maszynowni. Strzałka wciąż wskazywała całą naprzód dwie trzecie. Holmes jeszcze nie wydał rozkazu, żeby przyspieszyć do maksymalnej szybkości.

– Kapitan przejmuje dowodzenie – oznajmił Holmes, gdyż rozkaz kapitana skierowany do sternika automatycznie zwolnił go z obowiązku prowadzenia okrętu.

Od tej chwili dowodził Vornado. Włożył słuchawkę, szybko wyregulował ustawienie wysięgnika mikrofonu i spojrzał na wyświetlacz sonaru szerokopasmowego.

– Sonar, tu kapitan – powiedział do mikrofonu. – Melduj obroty torpedy. – Jeśli sonarzysta nie spanikował i trzymał się procedury, powinien sprawdzać liczbę impulsów dwóch śrub torpedy obracających się w przeciwnych kierunkach, żeby określić jej prędkość.

Mark 48 miała trzy szybkości tranzytowe i tylko jedną bojową. Jeśli płynęła z prędkością 58 węzłów, to już wykryła „Hamptona”. Ale jeśli posuwała się z szybkością 28 węzłów, była dopiero w drodze do punktu rozpoczęcia poszukiwań i jeszcze nie wywęszyła ich obecności.

– Kapitan, tu sonar – usłyszał Vornado w słuchawce. – Torpeda zbliża się z małą prędkością.

Vornado odetchnął z ulgą.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem – odezwał się przez radio. – Ta torpeda to strzał w ciemno, żeby sprowokować reakcję nieznanego przeciwnika. Płynie z małą szybkością, co oznacza, że jeszcze nas nie wykryła. Zdamy wyprzedzić się ze stożka poszukiwawczego, zanim znajdziemy się w jej zasięgu. Zamierzam zejść z trasy torpedy pod kątem prostym do jej kursu, żeby nasz kadłub nie odbijał sygnałów wysokiej ani niskiej częstotliwości, jeśli torpeda przejdzie w tryb aktywny. Przyspieszymy trochę, żeby się oddalić, ale nie rozwiniemy takiej szybkości, żeby robić hałas i zaalarmować torpedę. Będziemy ją obserwowali i

monitorowali wszystkie dane sonarowe nadchodzące z północnego zachodu. Zaczynamy. Koordynator, wprowadzić do systemu kierowania ogniem prędkość torpedy dwadzieścia osiem węzłów.

– Tu koordynator. Tak jest – odpowiedział Willey ze swojego miejsca przed konsolami kierowania ogniem w centrum ataku. Z chwilą obsadzenia stanowisk bojowych XO stał się koordynatorem kierowania ogniem lub po prostu „koordynatorem”. Odpowiadał za uzyskanie „namiaru na cel”, magicznego zbioru nieznanych danych – odległości, szybkości i kursu przeciwnika – które trzeba było obliczyć i zinterpretować wyłącznie na podstawie informacji o kierunku wrogiego okrętu z sonaru pasywnego. Przy korzystaniu z tego sonaru, który tylko nasłuchiwał, zamiast wysyłać sygnał, był znany jedynie kierunek do celu. Ale dzięki mocy obliczeniowej komputera i geometrii planarnej ruch przeciwnika można było określić, manewrując okrętem i obserwując, jak zmienia się kierunek do celu.

Kiedy Vornado wydawał rozkaz, żeby sternik wziął kurs na południowy zachód, prostopadły do ruchu torpedy, miał dziwną pewność, że to właściwy manewr, jakby pamiętał taką sytuację, a nie przeżywał ją pierwszy raz. Zaraz potem poczuł ból głowy i stracił cały optymizm.

– Torpeda przełączona w aktywny tryb poszukiwawczy, kapitanie – zameldował Lionel. –

Przyspieszyła do pięćdziesięciu ośmiu węzłów!
Naprowadza się!

– Masz coś na sensorach, Steve? – zawołał Dillinger do Flooda.

– Słaby sygnał na częstotliwości harmonicznej turbogeneratorsa okrętu klasy 688. Antena holowana łapie go najprawdopodobniej z kierunku jeden osiem pięć. Przekazuję to do kierowania ogniem jako Sierra Jeden.

Dillinger wpadł do sterowni. Jego ludzie czekali. Flood wręczył mu słuchawkę bezprzewodową z mikrofonem na wysięgniku, żeby mógł rozmawiać z sonarem, torpedownią i Patem z tyłu w kabinie manewrowej. Dillinger wziął słuchawkę i zawahał się. Nie lubił takiej łączności. Wolał krzyczeć przez sterownię do sonaru. Ale włożył słuchawkę i skoncentrował się na wyświetlaczu kierowania ogniem.

Vornado patrzył na wyświetlacz kierowania ogniem i czekał, aż „Albany” znajdzie się w zasięgu ich detekcji. Załoga obserwowała torpedę, żeby mieć pewność, że jeszcze ich nie wykryła.

– Dowodzenie, tu sonar – odezwał się bosman Bradley.
– Nowy kontakt wąskopasmowy z anteny holowanej. Kierunek zero dwa zero lub zero osiem zero. Oznaczam jako Sierra Siedem. To okręt podwodny klasy Los Angeles.

W sterowni zapanowała powściągliwa radość, co było zrozumiałe, zważywszy napięcie towarzyszące walce.

Sytuacja stała się dla nich korzystna, wykryli przeciwnika, zanim ich usłyszał. Vornado uśmiechnął się pod nosem i poklepał wyświetlacz. Sonar FY05 dobrze się spisał, dał im przewagę nad „Albany”. Vornado zastanawiał się, co by było, gdyby oba okręty miały taki sam sprzęt najnowszej generacji. Poczul ostre ukłucie bólu za prawym okiem i zacisnął powieki. Z wysiłkiem otworzył oczy, pamiętając, że załoga go obserwuje.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem – powiedział głębokim barytonem. – Oznaczamy nowy kontakt sonarowy jako Mistrz Jeden. Zrobimy analizę ruchu celu, pokonując dwa odcinki namiarowe. Kiedy będziemy mieli współrzędne ogniowe, wystrzelimy w Mistrza Jeden poziomą salwę torped Mark 48 ADCAP. Koordynator, przygotować się do uzyskania krzywej.

Uzyskanie krzywej oznaczało zebranie połowy danych potrzebnych do określenia odległości, kursu i szybkości celu.

– Tu koordynator. Tak jest – odpowiedział wesoło Willey, co nie zdarzało mu się często.

Vornado czekał, nadzorował zespół kierowania ogniem i obserwował panel. Po niecałych dwóch minutach Willey był gotowy do manewru.

– Kapitanie, mamy krzywą.

Vornado nakazał zwrot na południowy wschód.

– Sonar, tu kapitan. Wykonujemy manewr. Koordynator, kiedy będziemy na nowym kursie, pospiesz się z krzywą, żebyśmy zdążyli zawrócić i uciec przed

torpedą.

Vornado zagryzł wargi. Starał się nie pokazywać, jaki jest spięty i zdenerwowany manewrowaniem w poprzek trasy torpedy. Musiał zaryzykować, żeby mogli otworzyć ogień do „Albany”. Ale przypominało to wkładanie głowy do paszczy niezbyt dobrze wytresowanego lwa.

– Kapitanie, mamy współrzędne ogniowe – oznajmił triumfalnie Willey.

– Procedury momentu odpalania – zaczął Vornado. Już miał wydać następny rozkaz, gdy nagle przeszkodził mu spanikowany głos bosmana Bradleya.

– Dowodzenie, tu sonar. Torpeda przyspieszyła do szybkości bojowej. Odbieram sygnał jej sonaru aktywnego!

Czas nagle znów jakby zwolnił. Vornado poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny i strach. Spróbował wziąć głęboki oddech i zmusić się do myślenia, zanim zareaguje instynktownie, ale najbardziej racjonalna część jego umysłu nie reagowała. Wszystko w nim krzyczało, żeby uciekał. Na jedną dziesiątą sekundy opanował panikę, ale rozsądek podpowiedział to samo, co strach: najwyższy czas uciekać.

– Sternik, cała naprzód maksymalna! Zanurzenie, głębokość trzysta trzydzieści pięć metrów! – Głośne i precyzyjne rozkazy Vornado nie zdradzały jego stanu psychicznego, ale nie było sensu wykrzykiwać poleceń niezrozumiałych dla członków wachty. Chwycił mikrofon zawieszony pod sufitem. – Manewrowa, tu kapitan.

Kawitacja!

Zwykle technicy wachtowi przyspieszaliby powoli, żeby uniknąć powstawania na powierzchniach śruby pęcherzy pary, które kurczyłyby się z głośnym dźwiękiem zdradzającym obecność rozpędzającego się okrętu. Ale teraz nie było czasu na zachowanie ciszy i ostrożności. Dwanaście sekund temu torpeda ich wykryła i przełączyła się w tryb ataku.

– OOD, status wyrzutników sygnalizacyjnych?

– Dziobowy załadowany wabikiem aktywnym, rufowy pasywnym.

– Wystrzelić oba wabiki.

Po opuszczeniu wyrzutnika sygnalizacyjnego wabik aktywny unosił się w morzu i emitował głośne tony o takich samych częstotliwościach, jak okręt podwodny klasy 688 płynący z maksymalną szybkością. Kiedy sygnał sonaru aktywnego torpedy docierał do wabika, urządzenie wysyłało w odpowiedzi ton sonarowy o wyższej lub niższej częstotliwości, który brzmiał jak echo odbite od okrętu w ruchu. Wabik aktywny prawie zawsze potrafił zmylić zbliżającą się torpedę, ale tylko na pewien czas. Inteligentne torpedy, takie jak Mark 48, po wyprowadzeniu w pole zataczały krąg, przełączały się w tryb ponownego ataku i rozpoczynały poszukiwania od nowa. Wabik pasywny wytwarzał wielką gęstą chmurę pęcherzy powietrza, żeby zdezorientować sonar aktywny torpedy rozległym echem powrotnym. Były duże szanse, że oba wabiki odciągną torpedę od okrętu, przynajmniej

na kilka minut.

Pokład zaczął drżeć od maksymalnej szybkości. Najpierw wibracje były niewielkie i łagodne, ale po minucie cały okręt trzął się jak ludzkie ciało na staromodnym pasowym przyrządzie do masażu. Vornado chwycił się relingu wokół platformy dowodzenia, aż zbieleły mu kostki. Drzenie okrętu uspokajało go, jakby wibracje wysyłały do jego mózgu sygnały, że „Hampton” oddala się od niebezpieczeństwa najszybciej, jak może.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem. W czasie odwrotu przejdziemy do ataku.

Wystrzelenie torped przy maksymalnej szybkości było ryzykowne, bo broń opuszczająca ukośną wyrzutnię mogła się przełamać na pół pod działaniem siły przepływu wody i eksplodować tuż przy kadłubie. Ale trwała walka.

– Zamierzam wystrzelić torpedy mimo naszej szybkości. Procedury momentu odpalania, wyrzutnie jeden i dwa, salwa pozioma, cel Mistrz Jeden, odchylenie dwa stopnie, jednodominutowy odstęp.

Członkowie wachty musieli kolejno zameldować, że są gotowi. Vornado czekał i koncentrował całą uwagę na okręcie i morzu wokół siebie, żeby nic nie przeszkodziło mu w otwarciu ognia do „Albany”.

– Okręt gotowy – zameldował Holmes.

– Uzbrojenie gotowe – zgłosił oficer uzbrojenia Mario Marchese.

– Namiar gotowy – odezwał się Willey.

– Strzał z wyrzutni jeden w wyliczonym kierunku – rozkazał Vornado.

– Dane wprowadzone – powiedział Holmes po przesłaniu ostatecznych współrzędnych ogniowych Mistrza Jeden do panela Marchese'a.

– W gotowości – oznajmił Marchese po wciśnięciu klawisza funkcyjnego, który wysłał do silnika torpedy sygnał gotowości do startu.

– Odpalać! – rozkazał Vornado.

– Ognia! – Marchese wcisnął klawisz funkcyjny odpalania.

Na jedną dziesiątą sekundy rozległ się świst, potem nagły huk, który przerodził się w półsekundowy ryk. Dźwięk zawibrował w piersi Vornado i poraził mu bębrenki w uszach. Gwałtowny hałas nie był odgłosem wystrzelenia torpedy, lecz ujścia sprężonego powietrza ze zbiornika wodnego wyrzutni do wnętrza okrętu. Brzmiał uspokajająco i dodawał odwagi, jak wystrzał z broni ręcznej dużego kalibru.

– Dowodzenie, tu sonar. Wystrzelenie torpedy normalne.

Być może z powodu ciśnienia sprężonego powietrza lub stresu ból głowy, który Vornado czuł wcześniej tylko w tle, teraz nasilił się pod szczytem czaszki. Vornado sięgnął do kieszeni, ale nie znalazł kapsułek advilu.

– Minęła prawie minuta, kapitanie – poinformował Holmes.

– Wyrzutnia dwa – powiedział półprzytomny Vornado.

– Strzał w wyliczonym kierunku.

Ból rozprzestrzenił się z górnej części głowy w okolice uszu i z każdą sekundą był coraz silniejszy.

– Dane wprowadzone. – Meldunek Holmesa dotarł do Vornado jakby z głębi tunelu.

– W gotowości. – Głos Marchese'a był jeszcze bardziej zniekształcony.

Vornado złapał się relingu stanowiska peryskopowego, żeby nie stracić równowagi. Sterownia wydawała się przechylona w lewo.

– Kapitanie? – odezwał się z niepokojem Willey.

– Odpalać – przypomniał sobie Vornado. Przyłożył rękę do czoła i zamknął z bólu oczy.

– Ognia – powiedział Marchese.

Wewnątrz okrętu zabrzmiał drugi huk. Wydawało się, że płyty pokładu podskoczyły od siły wystrzelenia torpedy.

– Dowodzenie, tu sonar. Wystrzelenie drugiej torpedy normalne.

– Sonar, tu kapitan – zaczął Vornado. Wiedział, że ma do powiedzenia coś ważnego, ale ból rozsadzał mu skronie i zapomniał. – Do jasnej cholery, XO, wyślij łącznika wachtowego do mojej kajuty po pięć kapsułek advilu. Ale już.

Willey złapał za ramię telefonistę i popchnął go w kierunku rufy. Łącznik zniknął w drzwiach kajuty kapitańskiej.

– Kapitanie, tu sonar. Słucham.

Willey zasłonił dłonią mikrofon, żeby nikt go nie słyszał, i powiedział do Vornado:

– Kapitanie, jest pan blady jak trup.

– Wszystko w porządku – odparł Vornado, ale wysiłek mówienia sprawił, że ból przeszył go od szczęki do skroni. Miał wrażenie, że oczy zapadają mu się w głąb głowy. Jeszcze nigdy nie doświadczył takiego bólu. Tamten podczas lądowania Seahawk był niczym w porównaniu z tym. Pomyślał, że musi funkcjonować, bo inaczej może stracić okręt.

Przy platformie peryskopowej zatrzymał się łącznik wachtowy z adwilem i kubkiem wody. Vornado włożył do ust pięć kapsułek naraz, rozgryzł mocno i przełknął. Przyjął od przerażonego chłopaka wodę i popił. Wziął głęboki oddech. Ból wciąż się nasilał. Vornado miał błyski przed oczami. Zamrugał, żeby normalnie widzieć.

– Przybliżona odległość do nadpływającej torpedy? – zapytał z nadzieją, że głos nie zdradza jego cierpienia.

BK Dillinger wypuścił kłęb dymu z cygara i oparł się o chłodny metal peryskopu numer dwa. Czekał na meldunek Lionela, że stracili łączność przewodową z torpedą, co byłoby pierwszą oznaką, że broń eksplodowała. Panel pokazałby to kilka sekund przed dotarciem do nich fali uderzeniowej.

Ale zamiast oznajmić, że zwyciężyli, Lionel spojrział na Dillingera z wściekłą miną.

– Kapitanie, straciliśmy torpedę.

– Co to znaczy? – wypalił Dillinger.

– Panel pokazuje, że przewód nie jest zerwany, ale nie mam sygnału naprowadzania i odczytu szybkości. Od wystrzelenia minęło siedemdziesiąt minut i płynęła z maksymalną prędkością. Chyba zabrakło jej paliwa.

– Niech to szlag trafi, Lionel! – ryknął z furją Dillinger. Zerwał z głowy słuchawkę z mikrofonem i rzucił przez sterownię w sprzęt nawigacyjny. W ciszy rozległ się trzask plastiku i na pokład posypały się szczątki urządzenia.

– Dowodzenie, tu sonar. Zbliżająca się torpeda... – Bosman Bradley urwał.

Vornado zagryzł wargi i czekał na dalszy ciąg złej wiadomości.

– Wyłączyła się! – dokończył Bradley.

– Hurra! – krzyknął Marchese i wyrzucił w powietrze pięść.

Holmes poklepał rękę Logana na konsoli kierowania ogniem.

– Zabrakło jej paliwa – uśmiechnął się Willey do Vornado. – Za długo była w wodzie. Teraz tamte sukinsyny zobaczą, jakie to uczucie być na celowniku Mark 48 ADCAP.

Vornado musiał przerwać hałaśliwą ucieczkę przed torpedą. Gdyby szybko wyciszył okręt, „Albany” mogłaby ich zgubić i nie zdążyłaby oddać następnego strzału.

– Sternik, cała stop – rozkazał. – Ster jeden stopień w lewo, stały kurs na zachód. Sonar, tu kapitan. Wykonujemy zwrot na zachód i zwalniamy. Manewrowa, tu kapitan. Zmniejszyć obroty pomp recyrkulacyjnych reaktora do minimum.

Vornado zerknął na Willeya. XO uśmiechał się, dopóki nie zobaczył twarzy Vornado. Wtedy znów zrobił zaniepokojoną minę.

– Kapitanie, zalecam wystrzelenie pocisku SUBROC – powiedział. – Trzeba załatwić gnoja bronią nuklearną, zanim zdąży odpalić następną torpedę. Za drugim razem może mieć więcej szczęścia.

Vornado zagryzł wargi. Silny ból głowy przeszkadzał mu w myśleniu. Z trudem zmusił się do zastanowienia. Po wystrzeleniu torpedy można było potwierdzić trafienie. Ale po podwodnej eksplozji nuklearnej morze wypełniłyby miliardy pęcherzy powietrza. Bulgot zagłuszyłby hałas „Albany”, gdyby wrogi okręt nie poszedł na dno. I gdyby odpowiedział ogniem zza zasłony pęcherzy powietrza, torpeda byłaby nie do wykrycia. Ale coś nie dawało Vornado spokoju, mimo że walka przebiegała po jego myśli.

– Dowodzenie, tu sonar. Nasza pierwsza torpeda w trybie aktywnym.

– Dobra, sonar. – Vornado zerknął na konsolę obsługi uzbrojenia, gdzie powinny się pojawić pierwsze oznaki, że torpedy wykryły cel. Potem spojrzął na Willeya. – Głowica jądrowa nie będzie potrzebna. Mark 48 już go

mają.

– Dowodzenie, tu sonar. Nasza druga torpeda w trybie aktywnym.

– Mimo to zalecam użycie broni nuklearnej. Nie możemy dać mu szansy.

– Zaczekamy z wystrzeleniem, ale podgrzejemy wyrzutnie pionowe jedenaście i dwanaście. Na wszelki wypadek, XO.

Wyrzutnie pionowe jedenaście i dwanaście były załadowane nowymi pociskami SUBROC z nuklearnymi ładunkami głębinowymi w głowicach.

Na twarzy Willeya pojawił się szeroki uśmiech.

– Tak jest, sir. Podgrzać pionową jedenastkę i dwunastkę. Z przyjemnością, panie kapitanie.

– Kapitanie – zawołał z kabiny sonarowej Steve Flood.

– Mam pogłos z kierunku celu. Muszę zgadywać, ale powiedziałbym, że to wystrzelenie torpedy.

Dillinger zagryzł wargi. Miał ochotę coś rozwalić. Przegrać walkę w tak głupi sposób? Co on wyrabia, do cholery. Liczył na torpedę, której już brakowało paliwa? Powinien wystrzelić następną. Ale minęłyby godzina albo dłużej, zanim druga torpeda dotarłaby do punktu, gdzie wyłączyła się pierwsza. Myślał intensywnie, jak to wszystko odkręcić. Kiedy zaczął rozważać możliwości kontrataku, Flood ogłosił wyrok śmierci:

– Kapitanie, wystrzelenie drugiej torpedy. Obie są głośnie. Mogą płynąć z dużą szybkością tranzytową, to

znaczy czterdzieści pięć węzłów.

– Mamy cel?

– Ciągłe na wąskim paśmie – odrzekł Flood. – Jest dobre szerokie pasmo do punktu odpalenia torped. Namiar wystarczy do strzału. Jeśli wyślemy kilka sztuk broni, cel może przynajmniej przerwie atak.

BK Dillinger podjął decyzję. Wystrzeli salwę torped wzdłuż linii kierunkowej do celu i albo będzie nimi sterował, albo wyśle je w rejon odpalenia torped przeciwnika. Salwa wystraszy tamtego. Tak było poprzednio, kiedy ich pierwsza torpeda przeszła w tryb aktywny – uciekał z maksymalną szybkością i hałasował jak pociąg towarowy. Walka tylko chwilowo układa się po myśli przeciwnika. Dillinger i „Albany” zaraz to zmieniają.

– Panowie, nie obawiajcie się, że chybimy. Odpalimy jedynekę i dwójkę, odetniemy przewody i wystrzelimy trójkę i czwórkę. Zostawimy przewody trójki i czwórki, żebyśmy mogli nimi sterować odpowiednio do tego, co będzie robił cel. – Gdyby jeszcze usłyszeć sukinsyna, pomyślał Dillinger, ale jak tamten namierzy nasze cztery torpedy, to ucieknie w panice. – Po oddaniu strzałów oddalimy się od punktu odpalenia z maksymalną szybkością i zastosujemy podlodową taktykę uników.

Flood gapił się na niego z rozdziawionymi ustami, ale nie było czasu na dyskusję.

– Strzał z jedynek i dwójki – powtórzył rozkaz.

Merc wprowadził namiar na cel i przesłał współrzędne

do panelu obsługi uzbrojenia Flooda.

– Dane są – powiedział.

– W gotowości – zameldował Flood. – Odpalam jedynekę.

Pokład zadrżał i rozległ się huk. Dillinger otworzył szeroko usta, żeby nie popękały mu bębunki w uszach. Patrzył z uwagą na panel.

– Dane dla dwójki są – oznajmił Merc.

– Gotowość i odpalenie dwójki. Flood wcisnął klawisz funkcyjny i w sterowni zabrzmiał odgłos wystrzelenia drugiej torpedy.

– Odciać przewody i zamknąć wrota jedyнки i dwójki – rozkazał Dillinger. – Otworzyć wrota trójki i czwórki.

Flood obsłużył panel. Dillinger przeklął w duchu zwłokę w działaniu wrót wyrzutni.

– Dane są – powiedział Merc.

– Odpalam trójkę – zameldował Flood.

Znów rozległ się huk.

– Dane dla czwórki są.

Flood wystrzelił czwartą torpedę.

– Osuszyć wyrzutnię jeden i dwa. Niech Rzeźnik i Piwosz załadują następne torpedy do jedyнки i dwójki. Jak skończą, wyślę Lionela na dół, żeby podłączył przewody i zamknął wrota. Bawół – zwrócił się Dillinger do Pattersona, który siedział na stanowisku sternika. – Cała naprzód maksymalna. Ster dziesięć stopni w lewo, stały kurs na wschód.

Bawół chwycił dźwignię telegrafu maszynowni i

przestawił w pozycję MAX. Obracał kołem i obserwował wyświetlacz ustawienia steru na konsoli sterowania okrętem.

Okręt przyspieszył i pokład zaczął drżeć.

– Pat ma kawitować? – zapytał niespokojnie Flood.

– Nie – odparł Dillinger. – Wyniesiemy się z punktu odpalenia i zejdziemy cicho z drogi torpedom, zanim zbliżające się Mark 48 przejdą w tryb aktywny. Dopóki nie zaczną wysyłać sygnałów, są ślepe.

Dillinger czekał i obserwował prędkościomierz na konsoli sterowniczej. „Albany” przyspieszył z pięciu węzłów do dziesięciu, potem do piętnastu, wreszcie przekroczył dwadzieścia. Kiedy osiągnął maksymalną szybkość trzydziestu czterech węzłów, reling platformy peryskopowej zaczął grzechotać.

Dillinger zacisnął wargi i przeklął w duchu małą prędkość maksymalną okrętu starszego typu. Patrzył, jak wskazówka sekundowa chronometru wolno okrąży tarczę zegara. Minęła minuta, odkąd osiągnęli szybkość trzydziestu czterech węzłów.

– Torpedy powinny już być w trybie aktywnym, kapitanie – powiedział Flood ze zmarszczonym czołem.

Dillinger chwycił mikrofon wiszący pod sufitem.

– Pat, zamknij przepustnice i wyłącz reaktor! – krzyknął. – Wykorzystaj resztkę pary do całej wstecz dwie trzecie! – Wypuścił z ręki mikrofon, który odbił się od pokładu i zawisnął na spiralnym przewodzie. – Bawół, zadzwoń całą wstecz dwie trzecie. Obserwuj

prędkościomierz i daj mi znać, jak pokaże dwa węzły. Na razie daj ster jeden stopień w prawo, stały kurs jeden dziewięć zero, żebyśmy byli dziobem do nadpływających torped.

Dillinger podbiegł do panelu obsługi balastu i opadł na fotel. Zerknął na panel sterowania okrętem, zastanawiając się, czy jest dość pary, żeby wyhamować okręt z maksymalnej szybkości. Jakby w odpowiedzi rozległ się dzwonek telegrafu maszynowni i wskazówka przesunęła się z dwóch trzecich wstecz na całą stop, ale prędkościomierz jeszcze pokazywał cztery węzły. Zabrakło pary w kotłach, więc Pat musiał zamknąć tylne przepustnice, żeby nie uszkodzić systemu wyłączenia reaktora.

Po wyłączeniu reaktora i większości odbiorników prądu okręt byłby bardzo cichy. Kiedy tylko tarcie powierzchniowe wody wyhamowałyby jego ruch naprzód, bezruch i minimalna emisja hałasu uczyniłyby go niewykrywalnym dla nadpływającej torpedy i wrogiego okrętu podwodnego, czającego się w zasadzce. Ale byłiby również bezbroni, gdyby jedna z torped ich znalazła, bo nie mieliby możliwości przyspieszyć, a ponowne uruchomienie reaktora i uzyskanie mocy trwałoby dziesięć do dwunastu minut.

– Szybkość dwa węzły – zameldował Bawół. – Jestem na kursie jeden sześć zero.

Dillinger skoncentrował się na swoim panelu, żeby uruchomić komputer systemu utrzymującego okręt w

bezruchu. Zerknął na głębokościomierz cyfrowy. Przyrząd wskazywał sto sześćdziesiąt dziewięć metrów. Dillinger wprowadził do komputera sto siedemdziesiąt metrów przy zerowym wzniosie i czekał, aż okręt wyhamuje do zera.

Nagle w sterowni rozległ się wysoki narastający gwizd. Przycichł i znów stopniowo przybrał na sile. Cykl się powtarzał. Flood spojrział ponuro na Dillingera.

– Torpedy są w swoich punktach gotowości, kapitanie, i przechodzą w tryb aktywny.

– Szybkość zero – zawołał Bawół.

– Zadzwoń całą stop – rozkazał Dillinger, przestawił system bezruchu okrętu na automatykę i czekał, żeby sprawdzić, czy komputer przejmie kontrolę nad zanurzeniem „Albany”. Szybkość i głębokość były prawidłowe, ale gdyby okręt okazał się za ciężki lub za lekki, komputer nie przejąłby nad nim kontroli, a niezbalansowany okręt nie przyjmowałby komend automatu. Dillinger wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że okręt jest zbalansowany.

Kiedy czekał, do sygnału sonaru aktywnego pierwszej torpedy dołączył sygnał drugiej. Obie wyły jak pulsujące syreny. Dillingerowi przeszły ciarki po plecach. Wiedział, że teraz każdy z nich czuje strach, ale w sytuacji gdy okręt ukrywa się w głębi pustego morza, nie popełnią żadnego błędu. Będą udawali oposa, pozostaną w bezruchu i ciszy jak dziura w oceanie. Torpedy nie wykryją okrętu, bo ich procesory ignorują nieruchome

obiekty, żeby odizolować w wodzie dźwięk odbitych cząsteczek, i reagują tylko na echa wyższych lub niższych częstotliwości, będących wynikiem szybkości celu, podobnie jak oczy drapieżnika, które rejestrują tylko ruch ofiary.

Taktyka była dziwna, ale Dillinger znał oprogramowanie torped i wiedział, że nie wykryją nieruchomego „Albany”. Ignorowały echa o tej samej częstotliwości, jak wysyłany sygnał, i nie atakowały nieruchomych wabików, więc Dillinger mógł ukryć okręt, chyba że przeciwnik przeprogramował torpedy. To nie pora, żeby się nad tym zastanawiać, pomyślał. Mógł mieć tylko nadzieję, że taktyka podlodowa się sprawdzi.

Komputer systemu bezruchu okrętu zaakceptował polecenie i przejął kontrolę nad zanurzeniem. Dillinger z ulgą wstał od panelu.

– Teraz poczekamy – powiedział i otarł pot z czoła.

W sterowni robiło się gorąco i duszno, odkąd Pat Schluss wyłączył reaktor. Nie działały klimatyzacja i systemy chłodzenia. Ogromna ilość ciepła z instalacji parowej nagrzewała zamknięte szczelnie wnętrze okrętu gorącym powietrzem o wilgotności stu procent. W sterowni było już co najmniej trzydzieści pięć stopni Celsjusza. W części rufowej temperatura dochodziła do czterdziestu dziewięciu stopni.

Dillinger miał mokro pod pachami. Wszedł na platformę dowodzenia. Systemy kierowania ogniem pozostały włączone. Były teraz zasilane z akumulatora,

ich układy chłodzenia pobierały wodę morską z zapasowego obiegu w części dziobowej. Ale wysoka temperatura w sterowni mogła im wkrótce zaszkodzić. Dillinger przyjrzał się trasom torped na ekranie z siatką geograficzną. Komputer co sekundę aktualizował ich pozycje. Dwa trójkątne kształty przemieszczały się w kierunku diamentu na środku monitora, który symbolizował „Albany”. Torpedy płynęły od punktów wystrzelenia prosto jak strzały. Były coraz bliżej.

Dillinger zacisnął zęby.

W słuchawce Vornado rozległ się nagle okrzyk bosmana Bradleya:

– Dowodzenie, tu sonar, torpeda w wodzie! Kierunek trzy pięć siedem!

– Jasna cholera – zaklął Vornado i skoncentrował uwagę na siatce geograficznej.

– Dowodzenie, tu sonar, druga torpeda w wodzie, kierunek trzy pięć sześć! Jest trzecia! I czwarta! Zalecam unik na południe!

Vornado poczuł w skroniach pulsujący ból. Pomyślał, że te bóle głowy mają jakiś związek ze strachem i stresem, ale to nie było ważne. Ból rozprzestrzenił się na podstawę czaszki i dotarł do oczodołów. Vornado wziął głęboki oddech, ale czuł się tak, jakby miał gwóźdź w czole. Zaczynał niewyraźnie widzieć.

– Dowodzenie, tu sonar, pierwsza torpeda przyspieszyła i jest w trybie aktywnym!

– XO, wezwij sanitariusza – wycedził Vornado przez zęby. Nagle wściekł się na ból. Mógł przegrać walkę i stracić okręt.

Willey wysłał w kierunku rufy łącznika wachtowego, potem spojrzał na Vornado.

– Zalecam kawitację i ucieczkę z maksymalną szybkością na południe, sir.

Vornado potrafił teraz myśleć tylko o pocisku SUBROC. Okręt znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, misja była zagrożona. Rozkazy mówiły wyraźnie, żeby w takim wypadku użyć broni jądrowej.

– Nie, XO – odpowiedział Vornado. Miał przeczucie, że nadeszła jego godzina, że dziś umrze. Myśli o śmierci uleciały, gdy gwałtowne ukłucie bólu przeszło skronie. Zakręciło mu się w głowie, sterownia przechyliła się na sterburty. Przez moment miał wrażenie, że konsole centrum ataku są daleko w dół od niego, mimo że Willey stoi prosto. Usłyszał od strony sterburty cichy dźwięk sonaru torpedy, brzmiący jak pulsowanie syreny.

– Kapitanie? – odezwał się Willey z dziwną miną.

Vornado pomyślał, że może zrobić tylko jedno.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem – powiedział za głośno. – Zamierzam wziąć kurs prosto na torpedy i wykonać wynurzenie alarmowe. Potem wrócimy pionowo na głębokość odpalania pocisków SUBROC i damy ognia z wyrzutni jedenaście i dwanaście. Może będziemy mieli szczęście i Mark 48 nie wzniosą się powyżej pułapu

trzydziestu metrów. Jeśli nasza taktyka zda egzamin, Mistrz Jeden powinien pójść na dno. Sternik, ster pełna w prawo, cała naprzód pełna. Szef wachty, alarmowe opróżnienie dziobu!

Na zewnątrz kadłuba rozlegało się głośnie wycie sonarów torped. Zawodzenie ani na moment nie ustawało. Wykres fali dźwiękowej przypominał zęby rekina. Sonary jednocześnie nadawały i odbierały sygnał. Hałas narastał i porażał uszy. Na wyświetlaczu kierowania ogniem trójkąty zbliżały się do diamentu na środku ekranu. Ich trasy prowadziły na zachód od „Albany”. Dillinger wstrzymał oddech. Nagle stało się coś zdumiewającego – dźwięki sonarów ucichły jak gwizd oddalającego się pociągu. Pierwsza torpeda Mark 48 ADCAP przepłynęła na prawo od nich w odległości niecałej mili. Dillinger czekał. Druga torpeda przeszła bliżej, może pół mili od „Albany”.

Na bladej i spoconej twarzy Flooda nagle pojawił się wyraz radosnej ulgi.

– Udało się, kapitanie! Minęły nas!

– Za wcześnie na świętowanie, Steve. Sprawdźmy, czy cel nimi steruje. Co z naszymi?

W gorączce robienia uniku przed atakiem Dillinger nie obserwował swoich czterech torped.

– Jedyńka i dwójka są w stanie gotowości i wężykują w aktywnym trybie poszukiwawczym. Trójka i czwórka są jeszcze na dystansie do gotowości.

Dillinger skinął głową. Gdzieś na południe od niego okręt podwodny, który chciał go wciągnąć w zasadzkę, uciekał teraz przed torpedami. Dillinger wyjął nowe cygaro z kieszeni kombinezonu. – I jak się teraz czujesz, zasrańcu? – wymamrotał do wyświetlacza kierowania ogniem.

– Słucham, kapitanie?! – odezwał się Matt Mercury-Pryce.

– Mówiłem do celu, Merc – odparł Dillinger z szerokim uśmiechem. Zapalił cygaro i przygotował się na czekanie. Gdyby jego torpedy trafiły tamtego, walka byłaby wygrana i „Albany” mógłby kontynuować podróż do punktu odpalenia Tomahawków.

– Tak jest, alarmowe opróżnienie dziobu – odpowiedział szef wachty od panelu obsługi balastu, ale z powątpiewaniem zerknął przez ramię na kapitana.

Vornado starał się posłać mu przekonujące spojrzenie, ale ból zaczynał pozbawiać go całej zdolności racjonalnego myślenia.

Podoficer pociągnął w dół uchwyt blokady na dużej dźwigni ze stali nierdzewnej i przestawił ją z pozycji pionowej w dół do pozycji pionowej w górę. W sterowni natychmiast rozległ się gwałtowny huk sprężonego powietrza, które wydostało się z butli w dziobowych zbiornikach balastowych i wypchnęło z nich wodę przez otwarte zawory w dnie okrętu. „Hampton” stał się lżejszy o sto ton i uniósł ku powierzchni morza z głębokości

trzystu trzydziestu pięciu metrów. Żadna siła nie mogła go zatrzymać pod wodą. Wskazania głębokościomierza zaczęły się zmieniać, pokład po odciążeniu dziobu z każdą sekundą odchyłał się coraz bardziej do góry.

– Szef wachty, alarmowe opróżnienie rufy – rozkazał Vornado przez mgłę bólu głowy. Nagle zdał sobie sprawę, że sterownię naprawdę wypełnia gęsta zimna mgła. Wydostawała się z mikroskopijnych nieszczelności systemu sprężonego powietrza. Widoczność spadła tak, że ledwo widział Willeya stojącego przed nim. Odchylenie pokładu przekroczyło piętnaście stopni i rosło. Vornado chwycił się relingu platformy peryskopowej.

– Tak jest, alarmowe opróżnienie rufy – odpowiedział podoficer, sięgnął do drugiej stalowej dźwigni i przestawił ją do góry.

Huk stał się ogłuszający. Mgła zgęstniała tak, że Vornado przestał widzieć konsole centrum ataku i ledwo rozróżniał wskaźniki na panelu sterowania okrętem. Pokład, sufit i przegrody zniknęły z widoku. Vornado stracił orientację w zamglonym pomieszczeniu i dostał nagłego zawrotu głowy. Złapał się mocniej relingu. Poczul mdłości.

– Głębokość sto pięćdziesiąt cztery metry, kąt odchylenia czterdzieści stopni! – zawołał oficer zanurzenia.

– Przerwać opróżnianie – wychrypiał Vornado i pomyślał, że choroba zaatakowała mu nawet struny głosowe. – Nie przekraczać kąta pięćdziesięciu stopni.

- Głębokość dziewięćdziesiąt metrów!
- Cała stop! – krzyknął Vornado.
- Powierzchnia! – zawołał oficer zanurzenia.

Okręt nagle wrócił do poziomu. Gwałtowne opadnięcie pokładu rzuciło Vornado na przedni reling i fotel oficera zanurzenia. Dzwoniło mu w uszach, bolała go szczęka, czuł pulsowanie w skroniach. Spróbował otworzyć oczy. Prawym zobaczył mgłę w sterowni, ale lewym tylko ciemność. Ból nadchodził falami, a każda wywoływała coraz silniejsze mdłości. Odwrócił głowę. Zwymiotował na swój kombinezon i na pokład, ale było mu już wszystko jedno.

Jakby z odległości stu mil usłyszał głos Willeya:

- Kapitanie? Kapitanie? Kapitanie!

Nagle zdał sobie sprawę, że traci przytomność. Przytrzymał się peryskopu i spojrzał na swojego zastępcę.

– XO, przejmujesz dowodzenie. Zanurz pionowo okręt na głębokość odpalania pocisków. Wystrzel rakiety SUBROC w Mistrza Jeden. Załatw sukinsyna głowicami jądrowymi. – Vornado gwałtownie zakaszłał i znów zwymiotował. Potem z wysiłkiem wydał dalsze rozkazy.

- Wystrzel w gnoja wszystko, co masz w torpedowni, i walcz, jak potrafisz najlepiej. I... – Vornado przełknął z trudem. Wiedział, że następny rozkaz zabrzmiał dziwnie. – Zadzwoń do mojej żony. – Z bólu zacisnął powieki.

Vornado otworzył oczy. Nie widział sterowni. Nadeszła następna fala mdłości, skurczył mu się żołądek. Znów zwymiotował. Potem uświadomił sobie, że jest cały

spocony. Poczuł, że ma mokre policzki. Pomyślał, że to z bólu i wysiłku przy wymiotowaniu. Miał wrażenie, że stracił swoją cielesną powłokę i unosi się w powietrzu, a świat wiruje wokół niego. Trwało to długi czas. Ból ustępował i była tylko szara mgła.

Przez wirującą szarość słyszał głosy, dziwną mieszaninę dźwięków. Nakładały się na siebie i zakłócały wzajemnie. Niektóre znał, inne ledwo rozpoznawał.

– Tu komandor Willey. Przejmuję dowodzenie. Komandor porucznik Holmes pozostaje oficerem pokładowym.

– On jest w kiepskim stanie, XO... helikopter ewakuacji medycznej.

– Zanurzenie pionowe zakończone, zawory zamknięte, głębokość dwadzieścia jeden metrów.

– Piękny okręt, Peter – powiedział BK Dillinger. – Gratuluję objęcia dowództwa.

– Jesteś bezwartościową kupą gnoju, Vornado! – wrzasnął aspirant Whitehead.

– Wyrzutnia pionowa numer jedenaście gotowa – oznajmił Mario Marchese.

– Śliczna dziewczynka – powiedział lekarz.

– Ognia! – rozkazał George Willey.

– Uważaj tam na siebie – poprosiła Rachel.

Rozległ się huk.

– Strzał z wyrzutni pionowej numer jedenaście, odpalenie silnika pocisku SUBROC numer jeden – odezwał się Marchese.

- Nie wyjeżdżaj, tato – poprosiła Marla.
 - Pionowa dwunastka gotowa.
 - Tata do pracy nie – rozległ się głosik malutkiej Erin.
 - Ognia! – Znow huk.
 - Strzał z wyrzutni pionowej numer dwanaście, odpalenie silnika pocisku SUBROC numer dwa.
 - Oficer pokładowy, przygotować wyrzutnie jeden i dwa pod każdym względem.
 - Mam złe przeczucia, kochanie – powiedziała Rachel. Przez moment widział przed sobą jej twarz, potem zniknęła w szarej mgle.
- Hałasy ucichły, ból zelżał i przez pewien czas była tylko mgła.

Włosy lepiły się Dillingerowi do spoconej głowy. Nie spodziewał się, że po wyłączeniu klimatyzacji ciepło z reaktora aż tak nagrzej sterownię. Komputery kierowania ogniem padły. Lionel reanimował je za pomocą napędu taśmowego. Brak szybkiego napędu dyskowego był denerwujący. Wszystkie cztery wyświetlacze mogły teraz pracować tylko w prymitywnym trybie graficznym, pokazującym celowanie torpedą „wzdłuż linii wzroku”, a komputer był szokująco powolny. Dillinger przez chwilę miał ochotę uruchomić reaktor tylko po to, żeby odzyskać pełną sprawność systemu kierowania ogniem, ale zrezygnował. Przynajmniej sonar nadal funkcjonował.

- Utrata Q-Pięć – zawołał Flood z kabiny sonarowej.

Dillinger odwrócił się gwałtownie. Wszystkie konsole były ciemne. Sonar padł.

– To tyle, jeśli chodzi o kierowanie ogniem – powiedział Lionel, kiedy wyłączyły się konsole centrum ataku. – Jest za gorąco dla elektroniki, kapitanie.

Dillinger przytaknął.

– Myślisz, że torpedy odebrały polecenia sterownicze, zanim padło kierowanie ogniem?

Wcześniej, kiedy Flood usłyszał z południa kierunku do celu – głośny hałas, Dillinger wysłał torpedom rozkaz, żeby wzniosły się ponad warstwę termiczną.

Zastanawiał się, czy tamten sukinsyn zrobił wynurzenie alarmowe, dzięki czemu znalazłby się powyżej warstwy termicznej odbijającej sygnały sonaru i dodatkowo wytworzyłby w głębszej wodzie wielką chmurę pęcherzy powietrza, która zmyliłaby torpedy Mark 48.

– Musiały odebrać – odparł Lionel. – Na pewno wzniosły się ponad warstwę termiczną.

W sterowni rozległ się dźwięk sonaru torpedy. Dochodził z lewej burty. Dillinger wstrzymał oddech i czekał. Sygnał ucichł i umilkł z prawej burty. W ciągu ostatnich dwudziestu minut zdarzyło się to już pięć razy.

– Ciągłe są w trybie ponownego ataku – powiedział Flood.

Torpedy Mark 48 coś wykryły i teraz wracały do punktu detekcji, żeby szukać dalej. Zapewne odbierały sygnał powrotny sonaru aktywnego odbity od kadłuba „Albany”, ale dezorientował je brak zjawiska Dopplera.

Były ślepe, gdy cel tkwił nieruchomo w wodzie.

– Kiedy zabraknie im paliwa?

– Za dwadzieścia, trzydzieści minut – mruknął Flood.

Dillinger skinął głową. Przy wyłączonych wentylatorach i urządzeniach elektronicznych w sterowni panowała grobowa cisza. Prawie niepokojąca. Nagle przerwał ją złowrogi odgłos, plusk tuż nad okrętem.

– Co to było? – zapytał Flood.

– Boja sonarowa zrzucona z samolotu? – podsunął Dillinger.

– Za głośny plusk – odparł Flood i nagle wytrzeszczył oczy. – O, cholera! Może torpeda lotnicza albo ładunek głębinowy.

– Spokojnie – powiedział Dillinger. – Jeśli to torpeda lotnicza, nie zdziała więcej niż Mark 48.

W górze rozległ się drugi plusk.

– Co to jest, do cholery? – zapytał Flood.

Dillinger otworzył usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle do kadłuba dotarła fala uderzeniowa eksplozji.

– Dowodzenie, tu sonar. Torpeda w wodzie. Kierunek dwa siedem zero.

– Niech to szlag – powiedział Willey. – Sonar, tu dowodzenie. Jest nad czy pod warstwą termiczną? Daleko czy blisko?

– Dowodzenie, tu sonar. Nad warstwą i daleko. Druga torpeda w wodzie: Kierunek dwa dziewięć zero. Też nad warstwą termiczną i dużo głośniejsza.

– Sternik, cała naprzód maksymalna! – krzyknął Willey ochryplym głosem. – Zanurzenie, głębokość trzysta trzydzieści pięć metrów, kąt pochylenia czterdzieści stopni. Sternik, ster pięć stopni w prawo, stały kurs zero osiem zero. – Chwycił mikrofon pod sufitem. – Manewrowa, tu XO. Kawitacja!

Pokład pochylił się, gdy okręt przyspieszył w dół i zanurkował pod warstwę termiczną. Willey obserwował głębokościomierz cyfrowy. Płyty pokładu pod jego stopami ustawiały się coraz bardziej skośnie, aż stały się strome jak schody.

Kadłub skrzypiał głośno od wzrostu ciśnienia w głębi morza. Płyty pokładu zaczęły wibrować, kiedy prędkościomierz pokazał szybkość powyżej dwudziestu węzłów. Zza rufy dochodził dźwięk sonaru torpedy. Przybierał na sile. Pokład wrócił do poziomu, gdy okręt dotarł na głębokość ponad trzystu metrów. W sterowni rozległ się sygnał sonaru drugiej torpedy. Upiorne zawrodozenie dwóch torped brzmiało jak wycie syren wozów strażackich.

Mijały sekundy. Torpedy były coraz głośniejsze.

– Dowodzenie, tu sonar. Torpedy blisko okrętu. Odległość poniżej tysiąca metrów. – Głos bosmana Bradleya był lodowato spokojny. Sonarzysta zdawał sobie sprawę, że nie ma sposobu na zatrzymanie zbliżających się zabójczych maszyn.

Willey zagryzł wargi. Taktyka wynurzenia alarmowego mogłaby się znów sprawdzić, ale nie mieli już sprężonego

powietrza. Cały zapas zużyli do wykonania pierwszego manewru wynurzenia. Gdyby udało się zgubić torpedy w warstwie termicznej, mieliby jeszcze szansę uciec.

– Zanurzenie, podejdz na głębokość dziewięćdziesięciu metrów, kąt wzniosu pięć stopni.

Oficer zanurzenia potwierdził przyjęcie rozkazu, ale sonary torped brzmiały jeszcze głośniejsze. Okręt mógł zostać trafiony lada moment. Kiedy głębokościomierz pokazał dziewięćdziesiąt metrów, oficer zanurzenia wypoziomował.

Kropla potu spłynęła z czoła Willeya do oka. Wytarł ją i wydał rozkaz:

– Zanurzenie, głębokość trzydzieści metrów, minimalny kąt wzniosu. – Zerknął w dół na Vornado, który leżał nieruchomo na pokładzie. Willey zastanawiał się, jaki rozkaz wydałby teraz kapitan, gdyby był przytomny. – Przebijemy się wolno przez warstwę termiczną. W pewnym momencie sygnały sonarów odbiją się od spodu warstwy i torpedy nas zgubią. Mogą nawet wrócić głębiej w trybie ponownego ataku.

Sonary za nimi wyły jak oszalałe. Willey obserwował głębokościomierz. Wiedział, że warstwa termiczna ma około siedemdziesięciu trzech metrów. Kiedy wzniosą się wyżej, akustyka zupełnie się zmieni. Jeśli dopisze im szczęście, sygnały sonarów torped odbiją się od spodu warstwy i torpedy nie usłyszą „Hamptona”.

– Trzydzieści metrów! – krzyknął oficer zanurzenia.

– Cała stop! – rozkazał Willey.

W sterowni zamarło życie. Sonary ucichły – torpedy pomknęły dalej. Załoga czekała. Nagle z północnego zachodu dobiegł głośny dźwięk eksplozji.

– Zdetonował SUBROC – odezwał się Holmes.

Chwilę później usłyszeli drugą eksplozję.

– Dostał powiedział Willey.

W tym momencie od dziobu dotarł do sterowni sygnał sonaru torpedy.

– Znalazły nas! – skrzywił się Holmes z wyrazem wściekłości, bezradności i strachu na twarzy.

Willey wziął głęboki oddech. Zastanawiał się, jak długo będzie umierał po eksplozji torpedy i czy zabije go wybuch, czy utonie. Przełknął głośno. Nie chcę tonać, pomyślał. Lepiej być natychmiast rozerwanym na kawałki. Sonar wył coraz głośniej, torpeda znajdowała się już bliżej niż długość okrętu.

Huk eksplozji był ogłuszający.

6

Oficer wykonawczy George Willey otworzył oczy i zobaczył ze zdumieniem, że sterownia jest nietknięta. Pokład się nie trząsał, okręt nie przechylał. Światło nie zgasło, wentylatory nadal szumiały. Wyświetlacze kierowania ogniem działały. Słyszeć było sonar następnej torpedy, która ścigała ich przez warstwę termiczną. Potem rozległa się druga eksplozja, tym razem jeszcze głośniejsza. Ale podobnie jak przy pierwszej, z okrętem nic się nie stało.

– Zanurzenie, głębokość czterdzieści pięć metrów – rozkazał Willey. – Manewrowa, tu dowodzenie. Przełączyć główne pompy chłodziwa na wolne obroty. Sonar, tu XO. Podchodzimy na głębokość peryskopową.

Willey przyklęknął obok kapitana, którego wcześniej podciągnął na rozkładane siedzenie na platformie peryskopowej. Sanitariusz pochylił się nad Vornado z drugiej strony, uniósł mu głowę, rozchylił powieki i poświecił latarką w oko.

– Co mu jest? – zapytał Willey.

– Nie jestem pewien – odrzekł sanitariusz. – Ale to coś poważnego. Trzeba jak najszybciej wezwać helikopter ewakuacji medycznej.

Willey odwrócił się do Holmesa, który teraz pełnił funkcję zastępcy dowódcy.

– OOD, co się mogło stać z torpedami Mark 48?

Holmes pokręcił głową.

– Moim zdaniem to były niewybuchy, XO. Głowice zdetonowały, ale nie miały siły rażenia. Najwyraźniej nie eksplodowały całe ładunki.

Willey przytaknął.

– Dowodzenie, tu sonar – odezwał się na linii głos bosmana Bradleya. – Coś jest nie tak. Pociski SUBROC eksplodowały, ale nie mam bulgotu.

Willey zamrugał.

– Powtórz, sonar. Co to znaczy, nie masz bulgotu?

– Na północy nastąpiły dwie eksplozje jądrowe. Nie powinienem nic słyszeć w sektorze dziewięćdziesięciu stopni. Ale odbieram stamtąd normalne dźwięki morza.

Willey wytrzeszczył oczy. Skoro nie ma oznak eksplozji nuklearnej, to pociski SUBROC też mogły być niewybuchami. W takim razie Mistrz Jeden, „Albany”, nie poszedł na dno.

– Dowodzenie, tu sonar. Mamy Mistrza Jeden na wąskim paśmie na północy.

– Jasna cholera – zaklął Willey. – Oficer uzbrojenia, zamknąć wrota zewnętrzne wyrzutni jeden i dwa. Otworzyć wrota zewnętrzne wyrzutni trzy i cztery. Przygotować torpedy Mark 48 numer trzy i cztery pod każdym względem.

– Dowodzenie, tu sonar. Mamy na szerokim paśmie Mistrza Jeden i jeszcze coś.

– Co, sonar? – zapytał niecierpliwie Willey. Chciał jak najszybciej wystrzelić dwie następne torpedy w „Albany”.

– Coś... jakby głos.

Minęło kilka sekund, zanim huk eksplozji drugiego pocisku SUBROC umilkł. W sterowni znów zapadła nienaturalna cisza. BK Dillinger klapnął ciężko na rozkładane siedzenie za platformą peryskopową i wytarł pot z oczu. Akcja terrorystyczna „Albany” skończyła się.

– To tyle – powiedział. Wstał i sięgnął po mikrofon. Włączył go i przemówił przez radiowęzeł. Jego głos odbijał się echem w każdym przedziale na wszystkich poziomach. – Panowie, mówi wasz kapitan. Stoczyliśmy cholernie dobrą walkę. Moglibyśmy zwyciężyć, gdyby druga strona nie użyła broni jądrowej. Czas zapomnieć o tym i przestawić się na myślenie o czymś innym. Chcę, żeby wszyscy skoncentrowali się na bezpiecznym powrocie do Norfolk. Przygotujcie się na zwiększenie liczebności załogi. – Odwiesił mikrofon radiowęzła i wziął drugi, który zwisał na przewodzie aż do pokładu.

Dziesięć minut później reaktor był uruchomiony, sonar działał, z otworów wentylacyjnych dmuchało zimne powietrze.

– Kapitanie, UQC włączony.

Dillinger skinął głową, wziął od Flooda rozkaz operacyjny i spojrział na treść. Potem uniósł mikrofon UQC, który przekazywał jego słowa do systemu sonaru aktywnego. Zaczął mówić wolno i wyraźnie, jego głos sięgał daleko w morze, na odległość wielu mil od sferycznej anteny sonarowej na dziobie okrętu, odbijał się

od dna oceanu i rozbrzmiewał echem w głośniku na konsoli.

– Charlie... delta... cztery... echo – powiedział Dillinger. – Charlie delta cztery echo, tu lima mike osiem fox. – Powtórzył kod wywoławczy pięć razy, potem zaczekał i znów powtórzył. Odpowiedź nie nadeszła, więc wywołał odbiorcę jeszcze pięć razy i zaczął czytać przez mikrofon zakodowaną wiadomość.

– Co to znaczy, głos? – zapytał Willey.

– Rozróżniam słowa „charlie”, „delta”, „cztery” i „echo”. Przełączę to na platformę dowodzenia.

Willey wpatrzył się w konsolę, kiedy usłyszał w głośniku ludzki głos.

– Charlie delta cztery echo, odbiór.

Nagle z pokładu odezwał się Vornado.

– BK, co ty tu robisz? – zapytał z zamkniętymi oczami.

– Co to jest? – zwrócił się Willey do podporucznika Mikeya Sellesa, oficera łączności.

Selles pobiegł do kabiny radiowej. Po dziesięciu sekundach wrócił blady.

– „Charlie delta cztery echo” to nasz kod wywoławczy na dziś. Mistrz Jeden wzywa nas przez telefon podwodny.

Vornado uśmiechnął się w półśnie.

– BK? Dillinger, to ty?

Selles wręczył komandorowi porucznikowi Holmesowi książkę kodową. Holmes przytaknął i spojrzał na Willeya.

– Zgadza się, XO. Po rozkodowaniu wiadomość brzmi:

„Zakończyć ćwiczenia i uruchomić bezpieczną łączność Nestor na UHF. Nadał komandor Dillinger, pełniący obowiązki oficera dowodzącego, USS »Albany«”.

Willey zmiażdżył Holmesa wzrokiem.

– Zakończyć ćwiczenia?! Pełniący obowiązki oficera dowodzącego? Co tu jest grane, do cholery?

– Wszystko pasuje, XO – powiedział Selles. – Niewybuchy Mark 48, pociski SUBROC, które narobiły dużo huk, ale nie wywołały bulgotu... Kiedy kapitan był na urlopie, przebroili nam całą torpedownię. Zabrali wszystkie Mark 48 ADCAP model sześć i załadowali model pięć. Tyle że to nie były piątki, tylko amunicja ćwiczebna.

– Niech to szlag trafi – zaklął Willey. – Pieprzona eskadra. Byliśmy tu na jakichś zasranych ćwiczeniach?

Helikopter Sea King należący do Narodowych Sił Obronnych Republiki Południowej Afryki zbliżył się po punktu spotkania z maksymalną szybkością, potem zwolnił, kiedy w polu widzenia pojawiły się kioski dwóch amerykańskich okrętów podwodnych, które unosiły się nieruchomo na wodzie w odległości dwóch długości kadłuba od siebie. Z pokładu jednego z nich machała załoga w kamizelkach ratunkowych. Obok czekały nasze koszowe z leżącym mężczyzną przypiętym pasami i owiniętym w koce. Sea King zawisnął nad pokładem rufowym okrętu. Z tylnych drzwi helikoptera opuszczono linę.

Na pokładzie USS „Hampton” jeden z mężczyzn przyklęknął obok noszy i spojrzał w otwarte szkliste oczy leżącego oficera marynarki. Vornado zamrugał, przyjrzał się mężczyźnie i zmarszczył brwi.

– BK? To naprawdę ty? – zapytał ochrypłym szeptem.

– To ja, Peter – przytaknął Burke Dillinger z ręką na ramieniu Vornado. – Jak się czujesz, stary?

Vornado otworzył szeroko oczy.

– BK, uważaj – wychrypiał. – Porwali „Albany”. Będą do ciebie strzelali.

– Wiem, Peter – odrzekł Dillinger. – To były ćwiczenia. Ja dowodziłem „Albany”. Dostaliśmy rozkazy z Dowództwa Atlantyckiej Floty Podwodnej. Góra chciała sprawdzić, czy w naszej obronie są słabe punkty. A przy okazji, wspaniale walczyłeś. Dobra robota.

Vornado skinął głową i znów zmarszczył brwi.

– Więc będziesz uważał na „Albany”, BK? Nie chcę, żeby tamci ciebie też trafili.

Dillinger z powagą przytaknął i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Będę uważał, Peter. A teraz pozwól tym facetom zająć się tobą, okay?

Vornado spojrzał na wiszącego w powietrzu Sea Kinga, który opuszczał na pokład linę.

– Znowu helikopter. Powiedz Rachel, że to noszę. Powiesz?

Dillinger przytaknął, choć nie wiedział, o co chodzi. Ale zapamiętał wiadomość na wypadek, gdyby Rachel

Vornado wiedziała.

– Powiem, Peter. Trzymaj się.

– Musimy go już podnieść! – zawołał bosman dowodzący grupą na pokładzie.

Dillinger skinął głową. Spojrzał w dół na przyjaciela, żeby się pożegnać, i zobaczył, że Vornado wyciąga pięści. Dillinger uśmiechnął się mężnie, zacisnął dłonie i uderzył nimi lekko w ręce Vornado. Potem się cofnął.

Na sygnał bosmana helikopter wciągnął nosze i obrócił się. Zamknięto tylne drzwi, masywny śmigłowiec pochylił stromo dziób i szybko odleciał.

Część II

Terminal

7

Cztery godziny przed świtem od pasa startowego lotniska na przedmieściach Kapsztadu w Republice Południowej Afryki oderwał się mały prywatny odrzutowiec i wziął kurs na międzynarodowy port lotniczy Newark Liberty International. Jedyne pasażer siedział owinięty kocami i trząsł się z zimna mimo upału w kabinie samolotu. Opiekowały się nim dwie pielęgniarki z Narodowych Sił Obronnych Republiki Południowej Afryki. Sprawdzały kroplówki i od czasu do czasu robiły notatki w karcie choroby. Na drugiej półkuli, w nowojorskim centrum onkologicznym Memorial Sloan-Kettering Cancer Center, dwaj lekarze specjaliści od chorób nowotworowych ośrodkowego układu nerwowego zostali zawiadomieni, że będą mieli nowego pacjenta.

Pasażer samolotu spał niespokojnie i mówił przez sen. W pewnym momencie wyszeptał: „Albany” i zadrżał lekko.

Pół godziny później nad Azją Środkową wstał świt. Nie rozwidniło się jeszcze na północy Rosji, gdzie deszczowe chmury przesłaniały niebo nad połową kontynentu. Zachmurzenie rozciągało się od wschodnich okolic Moskwy na północny zachód do Morza Białego i Morza Barentsa. Na Półwyspie Kolskim, nieco na wschód od granicy z Norwegią i Finlandią, zanosilo się na burzę.

Cywilizacja na półwyspie skoncentrowała się wokół Murmańska położonego na wschodnim brzegu Zatoki Kolskiej. Podupadające miasto pamiętało lepsze czasy. Jego współczesna historia zaczęła się podczas II wojny światowej, kiedy przez Morze Barentsa docierały tu alianckie konwoje. W drugiej połowie XX wieku, gdy rozpoczął się wyścig zbrojeń z Zachodem, Murmańsk znalazł się w centrum aktywności. W miastach wzdłuż zatoki powstawały stocznie, gdzie realizowano radziecki program budowy atomowych okrętów podwodnych. Dwadzieścia lat temu szaleńcze tempo tego przedsięwzięcia zaczęło gwałtownie spadać i dziś pozostały tylko opuszczone, niszczące stocznie i bazy okrętów podwodnych. Na państwowych terenach wzdłuż całej Zatoki Kolskiej i wybrzeża Półwyspu Kolskiego pozostawiono rdzewiejące kadłuby atomowych okrętów podwodnych, czekające na złomowanie lub odkażenie. Koniec pewnej epoki spowodował, że próbowano przekształcić Murmańsk w liczący się port morski i ośrodek handlowy. Ale przy braku przemysłu w północnych rejonach kraju wysiłki lokalnych władz spełzły na niczym i ruchliwy niegdyś port stał się wymarłym miastem. Tory kolejowe prowadzące z fabryk nad Zatoką Kolską na południe do Moskwy skorodowały i tylko jedna linia nadawała się do ruchu pociągów towarowych.

Nad zatoką, obok starych zbiorników paliwowych i basenów portowych Murmańskiego Przedsiębiorstwa

Naftowego, wystawał dziesięć metrów nad wodę opuszczony podłużny budynek. Kilkadziesiąt lat temu był terminalem zaopatrzeniowym Armii Czerwonej. Docierały tu ciężarówki, działa i tony amunicji dostarczane w ramach Lend-Lease przez alianckie konwoje, które formowano u wybrzeży Nowej Szkocji, by wspomóc sprzętowo armie Stalina walczące w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Pół wieku później budynek był w ruinie. W latach 90. zniszczył go pożar i garstka użytkowników wyniosła się z toksycznego wnętrza. Prawidłowa rozbiórka terminalu, gdzie pozostało mnóstwo szkodliwej farby ołowiowej i azbestu, kosztowałaby miliony, więc zdano się na niszczycielskie siły przyrody. Brzydki ceglany blok miał powybijane szyby i poczerniałe od ognia ściany nad górnym rzędem okien. Dach od strony lądowej niemal się zawalił. Przechodzień nie obejrzałby się na wypaloną ruinę.

Ale w środku poczułby się tak, jakby nagle przeniósł się z brudnej Rosji lat 20. do czystej współczesnej fabryki. Przestronne białe wnętrza oświetlały mocne reflektory. Podłużna hala stała prostopadle do fiordu. Miała trzysta metrów długości, trzydzieści pięć szerokości i czterdzieści wysokości. W kierunku wrót wychodzących na fiord toczyła się wolno po szynach wielka dwunastokołowa suwnica mostowa z lśniącej stali. Dawny terminal kupił za bezcen biznesmen Leon Kaznikow. Jego młodszy brat Siergiej, człowiek uzdolniony technicznie, w tajemnicy postawił budynek w

budynku. Wzniósł mocne ściany, ułożył na szczycie stalowe belki stropowe i obniżył podłogę tak, że powierzchnia produkcyjna znalazła się prawie trzydzieści metrów poniżej poziomu gruntu na zewnątrz i dwadzieścia metrów poniżej powierzchni wody w zatoce podczas przyływu. Po uruchomieniu fabryki robotnicy nazwali ją terminalem i zawsze wymawiali to słowo z szacunkiem dla niezwykłego przedsięwzięcia.

Ale sam budynek był niczym w porównaniu z tym, co znajdowało się wewnątrz. Leżący metalowy cylinder, przy którym pracowano, miał około dziesięciu metrów średnicy i trzy metry długości. Przypominał gigantyczną puszkę tuńczyka postawioną pionowo. Był przykryty białą plastikową folią, w jego wnętrzu na lśniących platformach stali robotnicy w czystych kombinezonach. Pięć metrów dalej leżał drugi cylinder o średnicy dziesięciu metrów. Choć trudno to było dostrzec przez warstwy folii ochronnej, cylindry miały podwójne ściany oddalone od siebie o pół metra.

Wielka suwnica mostowa toczyła się cicho w lewo do wschodniego krańca budynku od strony lądu. Z haka dźwigu na jej szczycie zwisała ciężka skrzynia ze sprzętem. Cylindry leżały idealnie w jednej linii, dokładnie wzdłuż osi hali. Szereg miał identyczną średnicę niemal na całej swojej długości, ale przy wschodnim krańcu budynku zaczynał się lekko zwążyć. Na zdjęciu zrobionym z góry przypominałby tuńczyka poćwiartowanego na filety, które pozostały w pozycji

pionowej. Ale kształt na podłodze fabryki nie był rybą.

Dziś miała być kolejna dostawa. Czekano na następny metalowy cylinder. W przeciwieństwie jednak do nieskazitelnie czystych, lśniących modułów wewnątrz hali, ten byłby cuchnący, brudny i zardzewiały, być może wypełniony do połowy mułem i piaskiem lub nawet zamieszkały przez szczury. Miał przyplłynąć barką pchaną przez holownik. Konwój wyruszył w głąb fiordu poprzedniego dnia po zachodzie słońca i powinien dotrzeć do zachodniego krańca terminalu kilka godzin po północy. Kiedy przychodził transport, wrota budynku otwierały się i załoga fabryki wciągała barkę do środka za pomocą kołowrotu. Z drugiego brzegu fiordu nikt nie widział czystego wnętrza fabryki – kryty dok dla barki był tak samo zniszczony, jak elewacja budynku, a halę produkcyjną oddzielała od doku specjalna komora przejściowa dla ludzi pracujących przy wyładunku barki.

W lądowej części terminalu sąsiadującej z dokiem było również pomieszczenie o długości dwunastu metrów, gdzie ładunek barki przed zabraniem do sterylnej hali fabrycznej czyszczono parą pod ciśnieniem i piaskowano. Po takim przygotowaniu jego zewnętrzną powierzchnię ze stali i wewnętrzną z tytanu pokrywano później dwiema różnymi powłokami zabezpieczającymi. Ładunki, które miały być dostarczone w tym miesiącu, wymagałyby również odkażenia popromiennego. Zanim zaczęto by przy nich pracować, trafiłyby do specjalnego pomieszczenia w terminalu, wyłożonego ołowiem i

polimerem. Kiedy cylinder był gotowy, odsuwały się na bok wielkie drzwi, żeby mógł się wtoczyć do hali.

Rozległy teren kompleksu biurowego w północnej części Wirginii był głęboko ukryty w zalesionej okolicy na przedmieściu McLean na zachodnim brzegu rzeki Potomac. Leżał w posiadłości należącej kiedyś do krewnych generała Konfederatów, Roberta E. Lee, w miejscowości, która została włączona do McLean w roku 1910. Wcześniej miejscowość nosiła nazwę Langley i była tak nadal nazywana przez dwadzieścia trzy tysiące pracowników kompleksu, mimo że nie widniała na żadnej mapie. Odpowiadało to organizacji, do której należał kompleks, gdyż wolała pozostać anonimowa. Główny budynek z betonu miał kształt litery „U” i stał frontem do trawiastego czworokąta. Ale trzydzieści lat po jego wybudowaniu, na trawie wyrósł nowy biurowiec ze szkła i stali, z kulistym audytorium dla siedmiu tysięcy osób, nazywanym przez pracowników Bąblem. Kompleks przypominał centralę jakiejś firmy z listy Fortune 500, ale w rzeczywistości był najlepiej strzeżonym obiektem w Stanach Zjednoczonych. Wzdłuż bramy przechadzali się dwaj uzbrojeni wartownicy, trzeci sprawdzał identyfikatory wchodzących. Mosiężna tablica na ścianie wartowni była nowa i kiedyś nigdy by jej nie powieszono, ale czasy się zmieniły. Duży czarny napis głosił: Centralna agencja wywiadowcza.

W jednym z pokoi biurowych Ośrodka Naukowo-Technicznego ekspert z Działu Analiz

Materiałów Fotograficznych ślęczał nad zdjęciami
wywiadowczymi z terminalu.

– Dobry Boże – wyszeptał. – „Alfa” wróciła.

8

– Mogę sam wsiąść – powiedział Peter Vornado, ignorując zaniepokojoną minę Rachel. Po trzech nieudanych próbach opadł wyczerpany na tylne siedzenie samochodu. Pielęgniarz wyciągnął go delikatnie na zewnątrz i posadził na wózku szpitalnym. Vornado rozejrzał się. Nawet w taki dzień bardziej zdawał sobie sprawę, jaka jest pogoda, niż ktokolwiek, kogo znał. Dla podwodniaka piękna pogoda to luksus. W sierpniowy czwartek nad Upper East Side na Manhattanie było bezchmurne niebo. Na drzewach wzdłuż wejścia do wysokiego budynku śpiewały ptaki, po obu stronach drzwi kwitły kolorowe kwiaty. Pielęgniarz wtoczył wózek z Vornado do holu i windy. Po jasnym słońcu na zewnątrz wewnątrz Memorial Sloan-Kettering Cancer Center wydawało się ciemne.

Vornado przyjeżdżał tu od czterech dni. Robiono mu głównie tomografię komputerową i emisyjną tomografię pozytronową, ale również testy krwi i zdjęcia rentgenowskie, a nawet wprowadzano wzierniki do nosa i ust. Przez cały czas bóle głowy ustępowały i powracały, aż trzeciego dnia nasiliły się gwałtownie. Po ewakuacji z „Hamptona” Vornado odzyskał ostrość widzenia, ale teraz znów ją stracił. Kiedy obudził się tego ranka, prawie nic nie widział lewym okiem. Wizyty w centrum onkologicznym po prostu potwierdzały to, czego już się

spodziewał – ma guza mózgu. Pozostawało tylko pytanie, czy nowotwór jest złośliwy, czy łagodny. Lekarz nie chciał postawić diagnozy bez wyników wszystkich badań.

Vornado czekał z Rachel w pokoju badań, gdzie zmierzono mu ciśnienie krwi, temperaturę, tętno i zapytano o wzrok. Potem wtoczono go na wózku do gabinetu doktora Peppingera. Lekarz był drobnym, wesołym i energicznym nowojorczykiem w starszym wieku. Miał krótkie szpakowate włosy. Pod białym fartuchem nosił nieskazitelną koszulę i krawat. Siedział za biurkiem z drewna wiśniowego. Na ścianach eleganckiego gabinetu wisiały oprawione dyplomy i powiększone zdjęcia rodzinne. Z dużego okna rozciągał się widok na East River. Peppinger wstał i przejrzał dokumentację medyczną Vornado. Potem usiadł ciężko, podniósł wzrok i uniósł brwi.

– Peter, Rachel, przykro mi. Przygotujcie się na złą wiadomość.

Ból głowy, który Vornado czuł dotąd tylko z tyłu czaszki, zaczął mu nagle pulsować w skroniach. Skrzywił się i dotknął ręką czoła.

– Masz guza mózgu, Peter. Jest duży, nieco większy od piłki golfowej i umiejscowiony z lewej strony. Taki nowotwór nazywamy glejakiem. Przygotowałem dla ciebie i Rachel zestaw informacji do przejrzania, ale przede wszystkim musisz wiedzieć, że komórki nowotworowe rozprzestrzeniają się na cały twój mózg od pierwszego dnia istnienia guza i choroba jest już w

zaawansowanym stadium.

Vornado zamrugał. Patrzył na lekarza i próbował zrozumieć jego słowa zza mgły bólu głowy.

– I co teraz zrobimy? – zapytał ochryple.

– Musimy szybko działać i „skurczyć” guz.

Vornado wydał wargi.

– Operacja mózgu? A nie trzeba najpierw zrobić biopsji, nakłucia czy czegoś takiego?

Peppinger pokręcił głową.

– Nie, Peter. Glejaki są złośliwe, a twój guz jest w czwartym stadium. W twojej sytuacji nie mówimy o „usunięciu” nowotworu, tylko o znacznym zmniejszeniu jego masy, żeby ustąpił ucisk na ważne ośrodki mózgu i żebyś mógł dobrze widzieć, wyraźnie mówić i jasno myśleć. Wyobraźmy sobie ten guz jako coś w rodzaju pająka z tułowiem i odnózkami, które sięgają do kilku miejsc w twoim mózgu. Nawet gdyby udało nam się usunąć wszystko, co moglibyśmy zobaczyć, nie zlikwidowalibyśmy wszystkich komórek rakowych, a pozostawienie choćby kilku spowodowałoby ponowny rozrost nowotworu. Operacja to kwestia jakości życia.

Po raz pierwszy odezwała się Rachel.

– Doktorze, można to jakoś wyleczyć? – zapytała cichym, lekko drżącym głosem. – Radio – lub chemioterapią?

Peppinger pokręcił głową.

– Przykro mi, nie ma na to leku. Glejaki są jednymi z najbardziej agresywnych nowotworów. Będziemy zalecali

intensywną radiację i chemioterapię, ale tylko po to, żeby utrzymać pewną jakość życia Petera w ostatnim stadium choroby. Istnieją nowe rodzaje chemioterapii, które pozwalają uniknąć niektórych uciążliwych skutków ubocznych, ale muszę uprzedzić, że mimo to będzie ciężko.

– Ale czy radiacja i chemioterapia nie powinny spowodować remisji? – zapytała Rachel.

– Nie, Rachel, szanse na to są niemal zerowe. Po operacji będziemy walczyli o każdy dzień.

– Ile czasu mi zostało? – zapytał Vornado już normalnym głosem i zerknął na Rachel. Najwyraźniej jeszcze nie dotarło do niej, że właśnie usłyszał wyrok śmierci.

Peppinger spodziewał się tego pytania i skinął głową.

– Biorąc pod uwagę twój doskonały stan zdrowia przed chorobą, sześć do ośmiu tygodni.

Vornado mocno wbił się plecami w oparcie wózka.

– Jezu, myślałem, że rok lub dwa czy trzy lata. Daje mi pan dwa miesiące?

Peppinger znów skinął głową.

– Niestety, Peter.

– I dla tych sześciu tygodni muszę przechodzić operację, chemioterapię i radiację? A ile przeżyłbym bez tego wszystkiego?

Peppinger nie był zaskoczony pytaniem.

– Dwa do trzech tygodni – odpowiedział bez wahania.

– Miałbyś silne ataki bólu i najprawdopodobniej poważne

problemy ze wzrokiem. Zapewne nie mógłbyś mówić i każdy ruch sprawiałby ci trudność. Wkrótce potem zapadłbyś w śpiączkę. Wszystko zależy od ciebie, ale leczenie pozwoli ci spędzić więcej cennego czasu z rodziną. Jakość twojego życia bardzo się poprawi. Nie będzie łatwo, ale mamy nowe środki przeciwbólowe, które pozwolą ci zachować jasność umysłu. Uważamy, że ból należy leczyć tak samo intensywnie, jak chorobę, Peter. Jeśli zdecydujesz się na operację, radiację i chemioterapię, nie stracisz kontaktu z rodziną i przyjaciółmi. I będziesz mógł pomóc Rachel zaplanować przyszłość.

Vornado spojrzał na żonę. Już do niej dotarło. Miała wilgotne oczy, ale jeszcze nie płakała. Pomyślał o swoich ograniczonych możliwościach. Z jednej strony, chciał uniknąć leczenia. Nie cierpiał leżeć w szpitalu. Przypominało mu to okręt w suchym doku. Wolałby wrócić do domu, usiąść w fotelu klubowym w swoim pokoju i rozstać się z tym światem bez tego całego medycznego cyrku. Ale na widok miny Rachel zmienił zdanie. A kiedy pomyślał o dzieciach, podjął decyzję. Chciał być z nimi jak najdłużej, nawet gdyby miał się zwijać z bólu. Może uda mu się zmieścić w sześćdziesięciu dniach wszystkie lata ojcostwa. Zastanawiał się, co będą myślały o nim dzieci, co starsza dwójka opowie o nim Erin, która jest jeszcze za mała, żeby coś zapamiętać. Wyobraził sobie Marłę i Petera juniora w wieku dwudziestu paru lat, rozmawiających o

nim z kilkunastoletnią Erin dziesięć lat po jego śmierci. Ukrył twarz w dłoniach, żeby zasłonić oczy, ale mimo to po policzkach spłynęły mu łzy. Było jeszcze gorzej, kiedy podbiegła Rachel i przytuliła go mocno. Czuł, jak łkanie wstrząsa jej ciałem.

– Zostawię was samych – powiedział Peppinger i wstał.
– Nie musicie decydować teraz. Przyjdźcie w poniedziałek, przedyskutujemy to jeszcze i wszystko uzgodnimy. Kiedy będziecie gotowi do wyjścia, zgłóście to w recepcji. – Ścisnął ramię Vornado i wyszedł z gabinetu.

Vornado starał się wziąć w garść, w końcu udało mu się usiąść prosto i zrobić bojową minę. Pogładził Rachel po włosach i wytarł jej łzy z twarzy.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – powiedział ochryplym drżącym głosem. – Kiedy ostatni raz siedziałem w domu przez dwa miesiące? To będzie jak wakacje.

Przez całe dorosłe życie spełniał się w roli marynarza. Wstąpił do marynarki wojennej jak jego ojciec. Wspiął się na szczyt, aż został oficerem dowodzącym. Miał to szczęście, że uważano go za jednego z najlepszych kapitanów w siłach podwodnych. Przez ostatni rok z pasją dowodził okrętem podwodnym. A teraz wszystko się skończyło na zawsze. Ale, o dziwo, nie czuł żalu. Kochał siły podwodne i swoją służbę, ale teraz, w obliczu śmierci na raka, całe jego poczucie straty skoncentrowało się na Rachel i dzieciach. Pomyślał, że gdyby tylko jakimś

cudem wyzdrowiał, mógłby zarabiać na życie zamiataniem ulic. Chciał żyć, być mężem i ojcem, a tymczasem zostało mu na to tylko sześćdziesiąt dni.

– Musimy porozmawiać z dziećmi – usłyszał własny głos.

Rachel przytaknęła. Zgłosili w recepcji, że wychodzą. Dzieci czekały w hotelu pod opieką siostry Rachel, Ann. Vornado obawiał się ich reakcji na złą wiadomość. Wiedziały, że dzieje się coś bardzo niedobrego, ale na pewno nie spodziewały się, że za kilka tygodni nie będą miały ojca. Początek sierpnia, pomyślał Vornado, kiedy drzwi budynku otworzyły się na szeroki chodnik i wózek szpitalny stanął tam, gdzie miał podjechać samochód. Nie dożyję siedemnastej rocznicy ślubu w pierwszym tygodniu listopada. Zeszłoroczne Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie były ostatnimi w towarzystwie dzieci. Pokręcił głową. Czekają je smutne święta. A co z pieniędzmi? Co z Rachel?

Kiedy pielęgniarz zamknął drzwi samochodu, Vornado spojrzał na żonę.

– Chciałbym, żebyś powtórnie wyszła za mąż. – Zaszokowały go własne słowa. Nie miał pojęcia, po co to powiedział i dlaczego akurat teraz.

Rachel zamknęła oczy, rozplakała się i położyła głowę na jego ramieniu. Dotknął jej twarzy. Trzęsła mu się ręka. Samochód ruszył przed szpitala i pojechał na południe.

Dwanaście pięter nad chodnikiem doktor Peppinger patrzył przez okno wychodzące na wschód, jak samochód

Vornado włącza się do ruchu. Trzymał przy uchu słuchawkę telefonu i prosił o kontakt z doktorem Friedmanem w ośrodku badań nad rakiem Duke University Comprehensive Cancer Center. Jego kolega oddzwonił po kilku minutach.

– Allan – odezwał się Peppinger. – Chyba mam kandydata do prób klinicznych ze szczepionką. Trzydziestoosmioletni mężczyzna, bez powikłań. Chciałbym, żebyś włączył go do programu. Prześlę ci jego dokumentację i jeśli będziesz mógł, odezwij się do mnie jeszcze dziś. – Słuchał przez kilka minut. – Zaraz wyślę ci e-mail. Peppinger odłożył słuchawkę i połączył się ze swoją asystentką. – Diane, wyślij e-mailem dokumentację Petera Vornado doktorowi Friedmanowi do Duke.

Po takich spotkaniach, jak z Vornado, dobrze było stanąć przy oknie i popatrzeć na miasto. Peppinger nie powiedział Vornado o doświadczeniach klinicznych na uniwersytecie. Próby ze szczepionką dopiero raczkowały. W programie brało udział zaledwie kilka osób rocznie. Kiedy Peppinger ostatni raz rozmawiał z Allanem, był już komplet pacjentów. Nawet gdyby Vornado włączono do programu, leczenie szczepionką na tym etapie pewnie nie dałoby mu większych szans niż radiacja i chemioterapia. Ale wyniki jego testów przydałyby się do badań nad rakiem. Może te wszystkie przedwczesne zgony na raka mózgu nie pójdą na marne, pomyślał Peppinger. Byłoby przyjemnie, gdyby pewnego dnia mógł dać trochę nadziei

młodym mężczyznom i kobietom, którzy przychodzą do jego gabinetu i słyszą taką wiadomość, jak dziś Vornado.

Peppinger usiadł z powrotem za biurkiem i przez kilka minut fantazjował, jak to by było, gdyby miał inny zawód. Pomyślał o Vornado i zaczął się zastanawiać nad pracą kapitana atomowego okrętu podwodnego. To dopiero zawód. Postanowił, że jeśli Vornado wyzdrowieje, wypyta go o służbę na morzu.

9

Victor Kaminsky szedł szybko korytarzem do biura Hanka Lewisa w nowym budynku administracyjnym. Po roku w terenie dziwnie się czuł w garniturze. Kaminsky ukończył Akademię Marynarki Wojennej, potem służył w Korpusie Marines. Od dziesięciu lat był oficerem Tajnej Służby Operacyjnej CIA. Większość tego czasu spędził w Rosji, pracując dla Zarządu Sekcji Rosyjskiej. Dwa lata temu Hank Lewis zaproponował mu przeniesienie do Wydziału Antyproliferacyjnego. Dzisiejsze spotkanie dotyczyło nowego zadania.

Kaminsky był dobrze zbudowany, szeroki w barach i miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Skończył czterdzieści dwa lata i w ciągu ostatnich pięciu przybyło mu dziewięć zbędnych kilogramów. Ale mówiono mu, że po przytyciu dobrze wygląda i wydaje się groźniejszy. Z ogorzałą, pomarszczoną twarzą robotnika i ogoloną głową sprawiał wrażenie większego twardziela, niż sugerowałyby jego budowa. Miał niebieskie, inteligentne i przenikliwe oczy, ale kiedy chciał, potrafił zrobić tępą minę nie – rozgarniętego i nieszkodliwego faceta.

Wprowadzono go do nowego gabinetu Lewisa. Uśmiechnął się i uściśnął dłoń swojemu szefowi. Lewis był wysoki, starannie ostrzyżony i nienagannie ubrany. Nosił szary garnitur, czerwony wzorzysty krawat i lśniące drogie buty. Miał uprzejmą, ale władczą minę.

Odwzajemnił uśmiech i klepnął Kaminsky'ego w ramię.

– Miło cię widzieć, Vic. Mam dla ciebie robotę.

Kaminsky skinął głową.

– Kiedy wyjeżdżam?

Lewis uśmiechnął się.

– Za godzinę. Czeka na ciebie samochód i samolot.

Najpierw polecisz do Polski. Tam podniesiesz swoje kwalifikacje spawacza tytanu oraz uzupełnisz wiadomości o silnikach diesla i układach hydraulicznych. Będziesz mechanikiem kadłubowym.

– Ile to potrwa tym razem?

– Około sześciu tygodni – skłamał Lewis.

Kaminsky roześmiał się. To był ich stały żart. Kiedy Lewis pierwszy raz wysłał go na sześciotygodniową robotę, Kaminsky wrócił po czterech latach.

– A z Polski dokąd?

– Na północ Rosji.

Gabinet Lewisa był tak zwanym SCIF-em, specjalnym wydzielonym pomieszczeniem informacyjnym, gdzie mogli rozmawiać bez obawy, że są podsłuchiwanie elektronicznie. Lewis wyciągnął spod stołu klawiaturę bezprzewodową, włączył komputer i rozpoczął prezentację PowerPoint. Pierwszy slajd był mapą Półwyspu Kolskiego z Murmańskiem nad Zatoką Kolską.

– W Murmańsku nad Zatoką Kolską jest prywatna fabryka – powiedział Lewis.

Pojawiło się zdjęcie terminalu zrobione z powietrza.

– Strasznie gówniana – zadrwił Kaminsky.

– Tu jest zbliżenie. Lewis pokazał następny slajd z widokiem terminalu z ziemi. Budynek nadal wyglądał nędznie. – A tu wewnątrz. – Na kolejnym slajdzie była sterylnie czysta hala fabryczna. Lśniaca suwnica mostowa opuszczająca na białą podłogę cylindryczny moduł zabezpieczony plastikową folią, żeby ułożyć go w jednym rzędzie z innymi.

– Kawał montowni – przyznał Kaminsky.

– Niewiele o niej wiemy, ale to, co wiemy, nasuwa pytania. Nazywają ją terminalem. Budynek kupiła w stanie ruiny rodzina mafijna Kaznikowów.

– Kaznikowów... – powtórzył w zamyśleniu Kaminsky.

– Są odnogą moskiewskiej mafii Dianowa. To krewniacy. Tę operację prowadzi młodsze pokolenie Kaznikowów. Mózgiem komercyjnym i przestępczym jest starszy brat, Leon. Pośredniczy też w handlu między dwoma rodzinami. Młodszy brat, Siergiej, to geniusz techniczny. Właśnie on wpadł na pomysł, żeby odbudować terminal, i zdołał wykonać robotę potajemnie. Fabryka była walącym się budynkiem, ale bracia Kaznikow wyremontowali wewnątrz i przez kilka lat instalowali tam cholernie drogie urządzenia. Potem zaczęli przyjmować dostawy transportowane zakrytymi barkami. Naszą uwagę zwróciło to, że barki mogą wpływać do budynku, więc rozładunku nie widać z satelitów.

– I chcecie mieć kogoś wewnątrz, żeby zobaczył, co jest grane?

– Nie, my wiemy, co jest grane. Budują tam okręt podwodny. Wykorzystują części porzucone przez rosyjską marynarkę wojenną. Mają kontrakt z Moskwą na ich demontaż i złomowanie, ale zamiast niszczyć, regenerują elementy. To musi kosztować fortunę, ale najwyraźniej mają gotówkę. Produkcja jest na eksport.

– Dla terrorystów?

– Początkowo tak myśleliśmy. – Na ekranie pojawiła się twarz starszego mężczyzny o wyglądzie twardziela. Miał latynoskie rysy, smagłą cerę i małe oczy. Nosił duże, prostokątne okulary w drucianej oprawce. – To kolumbijski magnat narkotykowy. Nazywa się Orlando Suarto. Rosyjska mafia kiedyś pomagała mu budować okręt podwodny głęboko pod górami w Kolumbii. – Obraz zmienił się. Monitor pokazywał teraz wnętrze magazynu wypełnionego dużymi, czerwonymi cylindrami z metalu.

– Pamiętam. Okręt podwodny z napędem dieslowskim. Miał służyć do przemytu narkotyków. Byłby trudny do złapania.

– Właśnie. Fartem w porę go znaleźliśmy.

– Ale nadal jest w magazynie w Bogocie w wysokich górach. Gdzie tu sens?

– Mieli w mieście materiały i fachowców. Okręt byłby mały, tylko trzydzieści metrów długości i kadłub o średnicy trzech i pół metra. Budowali go z modułów, które mieściły się na ciężarówkach, więc mogły być transportowane lądem. Najcięższa była maszynownia.

Montowali ją na wielkiej naczepie ciągnika siodłowego. Planowali przewieźć okręt w częściach do dużego hangaru w porcie jachtowym Suarto na wybrzeżu Morza Karaibskiego. Złożyliby go pod dachem w suchym doku domowej roboty niewidocznym dla satelitów. Gdyby im się udało, mogliby jednorazowo przemycać dwieście ton kokainy. Po pierwszym rejsie koszty budowy okrętu zwróciłyby się dwudziestoczekrotnie. Gdyby zdążyli zwodować okręt, niewiele zdołalibyśmy zrobić.

– I pewnie dlatego spaliliśmy nasze źródła wywiadowcze, żeby dopaść Suarto, zanim ukończy budowę okrętu.

– Nic o tym nie wiedzieliśmy. DEA też nie. Najwyraźniej Rosjanie, których wynajął Suarto, za dużo gadali i wsypali całą operację. Po tej wpadce Suarto zniknął na jakiś czas z horyzontu, ale nigdy nie zrezygnował z pomysłu, żeby przemycać narkotyki okrętem podwodnym. Postanowił rozejrzeć się za nowym. Znow zwrócił się do Rosjan, bo za pierwszym razem okazali się niezawodni technicznie i szybcy. Ale tym razem wolał uniknąć wcześniejszego błędu i postanowił zbudować okręt w Rosji.

– Co dalej?

– Bracia Kaznikow kupili terminal, odbudowali go i zapewnili sobie dopływ części ze starych rosyjskich okrętów podwodnych. Rosyjska mafia zaproponowała Suarto, żeby zamówił atomowy okręt podwodny. Był pod wrażeniem. Koszt jest znacznie wyższy, ale taki okręt

może transportować dużo więcej „towaru” i łatwiej uniknąć wykrycia. Byłby tysiąc razy cichszy niż tamten dieslowski, który zaczął budować Suarto.

– A jaka moja rola w tym wszystkim?

– Będziesz instalował celowo uszkodzone podzespoły. Chcemy opóźnić budowę tego okrętu. Może nawet uniemożliwić jej ukończenie. Spójrz. – Następne ujęcie na monitorze pokazywało lśniące rury przemieszczane wzdłuż hali przez suwnicę mostową. Ruchomy obraz zatrzymał się i sześć metalowych cylindrycznych kształtów zamarło na ekranie. – Ludzie z Ośrodka Naukowo-Technicznego twierdzą, że to wyrzutnie torpedowe. Najpierw otwory wylotowe wyrzutni zakryto stalą, żeby kadłub był wodoszczelny. Ale teraz płyty poszycia usunięto i wyrzutnie wraz z mechanizmami otwierającymi wrota i urządzeniami ładowniczymi są instalowane z powrotem.

Kamiński przyjrzał się zdjęciu, ale nie zrozumiał jego znaczenia.

– I co z tego? Może Suarto chce, żeby okręt przetrwał spotkanie z kutrem patrolowym Straży Przybrzeżnej.

Lewis pokręcił głową.

– Nie. Takie uzbrojenie nie pasuje do pomysłu przemytu narkotyków. Zajęłoby większość przestrzeni przeznaczonej na kokainę. Poza tym przemytniczy okręt podwodny nie otworzyłby ognia do kutra patrolowego. Zniknąłby cicho i wrócił dwie noce później. Bronią Suarto jest niewidzialność, nie siła ognia. Te wyrzutnie

torpedowe oznaczają coś innego.

Widok hali fabrycznej zniknął i na ekranie pojawiła się twarz Araba w nieokreślonym wieku. Mógł mieć trzydzieści pięć lat, ale równie dobrze pięćdziesiąt. Nosił kozią bródkę przystrzyżoną po obu stronach w szpic, co nadawało mu demoniczny wygląd. Miał ciemne, przenikliwe oczy, orli nos i wąskie usta. Mimo zrelaksowanej miny sprawiał wrażenie groźnego.

– Przedstawiam ci Abdasa al-Sattara – powiedział Lewis. – Jeszcze miesiąc temu Abdas był drugi od góry w dowódczej hierarchii egipskiej organizacji ekstremistów islamskich o nazwie Ahel al Beit, co znaczy rodzina proroka. To jest kawiarnia, gdzie przywódca Ahel al Beit jadł śniadanie po porannych modłach. – Obraz na monitorze pokazywał teraz wypalony krater otoczony poczerniałymi szczątkami. – Abdas wysłał swojego szefa do Allaha, a potem oskarżył o to CIA. Bardzo skuteczny sposób przejęcia władzy nad organizacją terrorystyczną. Abdas chciał, żeby Ahel al Beit bardziej agresywnie walczyła z Izraelem. Zamierza zaatakować Tel Awiw bronią jądrową. Dlatego jego podróż do Murmańska w zeszłym miesiącu wywołała alarm w Langley. Jeśli złożył wizytę braciom Kaznikow, być może próbował kupić okręt podwodny budowany dla Suarto.

– Ale co zrobią Izraelowi torpedy?

– Niewiele – przyznał Lewis. – Ale z tych wyrzutni można wystrzeliwać pociski manewrujące z głowicami nuklearnymi. Dysponując tym okrętem i kilkoma takimi

pociskami, Abdas al-Sattar mógłby zetrzeć Tel Awiw z powierzchni ziemi. Powstrzymanie go byłoby w najlepszym wypadku trudne. Na naszą prośbę marynarka wojenna przeprowadziła bardzo realistyczne ćwiczenia, żeby sprawdzić, czy okręt podwodny terrorystów zdołałby się wymknąć jej siłom i dotrzeć do miejsca, skąd miałyby Tel Awiw w zasięgu ognia. Wygląda na to, że zatrzymanie go w tak krótkim czasie, jakiego potrzebowałyby na dotarcie do punktu odpalenia pocisków, byłoby prawie niemożliwe, chyba że użyto by taktycznej przeciwpodwodnej broni jądrowej.

– Ale ten okręt to tylko stary zardzewiały atomowiec z rosyjskiego złomowiska. Co on zdoła?

– Dowiesz się wszystkiego w samolocie od kogoś z Ośrodka Naukowo-Technicznego. Najwyraźniej możliwości tego okrętu są niepokojące. To podobno rosyjska superkonstrukcja, która przez wiele lat spędzała sen z powiek naszym admirałom.

Lewis wyłączył monitor.

– Odlatujesz z lotniska Dullesa. Resztę informacji dostaniesz od specjalisty.

Kaminsky westchnął.

– Lot międzykontynentalny z jakimś mózgowcem z Naukowo-Technicznego... Wielkie dzięki, szefie.

10

Orlando Suarto stał przy dużym panoramicznym oknie w swoim gabinecie wyłożonym dębową boazerią i popijał parującą kawę z małej porcelanowej filizanki. Patrzył z czwartego piętra na dolinę, gdzie w czystym porannym powietrzu unosił się tuman kurzu wzbijany przez nadjeżdżający pojazd.

– Ten sukinsyn już tu prawie jest – powiedział do szefa swojej ochrony, Filipa Valdeza.

Suarto był średniego wzrostu. Łysinę na czubku głowy okalał wianuszek siwych włosów. Jego piwne oczy wyglądały na większe w dużych prostokątnych okularach w stalowej oprawce, które wyszły z mody trzydzieści lat temu. Miał na sobie golf, džinsy i żeglarskie półbuty. Garbił się lekko i miał obwisłe policzki. Nie wyglądał imponująco, ale dzięki swojej energii i bezwzględności w interesach dorobił się fortuny.

Przyglądał się, jak duży autobus wspina się wolno krętą drogą z odległej doliny. Kaznikow zawiadomił go telefonicznie, że jest drugi klient na prawie ukończony okręt podwodny w terminalu. Powiedział, że oczywiście odmówił sprzedaży, tłumacząc, że on i Suarto znają się od dawna. Ale nowy kupiec jest gotów zapłacić trzy razy więcej. Koszty budowy przekroczyły budżet, więc propozycja wyższej ceny brzmi atrakcyjnie. Mimo to nie przyjął oferty, ale pod dużą presją zgodził się zadzwonić i

zapytać, czy Suarto nie zechciałby się spotkać z tamtym klientem. Przekonywał, że to się Suarto opłaci. Zapewnił, że drugi okręt mógłby dostarczyć za szesnaście miesięcy. Na Półwyspie Kolskim jest jeszcze mnóstwo części, z których można zbudować następne okręty podwodne, gdyby Suarto potrzebował dwóch.

Suarto starał się nie wybuchnąć. Poniósł zbyt duże straty, żeby teraz odstąpić okręt klientowi z grubszym portfelem. Nie zamierzał czekać półtora roku. Ale było jedno wyjście z tej sytuacji. Gdyby spotkał się z drugim kupcem, zażądałby równowartości tego, co zarobiłby na szesnastu rejsach przemytniczych, używając okrętu tylko raz w miesiącu przez cały okres trwania budowy. Wiedział, że nikt nie zgodziłby się na takie warunki, więc konkurent zrezygnuje.

A może nie zrezygnuje. Jeśli będzie za bardzo kusił Kaznikowa, Suarto wpakuje mu kulę między oczy. Okręt będzie bezpieczny. A najlepszy sposób, żeby przewentylować tamtemu czaszkę, to spotkać się z nim na własnym terenie. Suarto zapytał Kaznikowa, kim jest nowy klient. Rosjanin nie chciał zdradzić szczegółów, dopóki Suarto nie zgodził się na spotkanie. Suarto przystał na to, ale pod warunkiem że tamten kupiec przyjedzie do jego górskiej posiadłości. Wtedy Kaznikow powiedział, że nowy klient nazywa się Abdas al-Sattar, jest Egipcjaninem, przywódcą grupy o nazwie Ahel al Beit i zagorzałym wrogiem Izraela. Kaznikow nie wiedział, jak Egipcjanin planuje wykorzystać okręt, ale

przypuszczał, że do celów wojskowych.

Suarto spróbował przyspieszyć spotkanie, ale Kaznikow przekazał, że Egipcjanin wolałby porozmawiać w Europie. Suarto nie chciał o tym słyszeć. Uparł się, żeby Abdas przyjechał do Bogoty. W końcu się dogadali, ale spotkanie opóźniło się o miesiąc. Kaznikow powiedział, że Abdas boi się latać samolotem i przyplynie swoim wielkim jachtem, którym przywiezie autobus dalekobieżny. Suarto patrzył teraz, jak duży pojazd wspina się górską drogą do jego posiadłości. Pokręcił głową. Dziwak z tego Egipcjanina. Po co zwracać na siebie uwagę takim monstrum? Autobus miał co najmniej trzy i pół metra szerokości i osiemnaście długości. Zajechał przed portyk pod frontowymi oknami gabinetu. Suarto odwrócił się do dużych dwuskrzydłowych drzwi pokoju, żeby powitać gościa. Spojrzał na Valdeza. Szef ochrony skinął głową i poklepał kaburę z glockiem. Suarto otworzył szufladę, gdzie leżał naładowany pistolet maszynowy MAC-10. Uniósł go i wciągnął nosem zapach naoliwionego mechanizmu. Trzask odskakującego bezpiecznika zabrzmiał uspokajająco. Odłożył broń na miejsce.

Czekał. Wiedział, że Egipcjanin jest teraz na dole przeszukiwany i sprawdzany wykrywaczem metalu. W końcu gość dotarł do drzwi. Suarto spojrział mu w oczy, potem obrzucił wzrokiem całą postać. Abdas przerastał Valdeza o głowę i musiał się schylić, żeby wejść do pokoju. Długa biała peleryna ciągnęła się za nim po

podłodze. Był w tradycyjnym arabskim nakryciu głowy – kufla ściągniętej czarnym agalem – i białej jedwabnej dżalabiji z białym pasem. Tkanina iskrzyła się w świetle, jakby wszyto w nią diamenty. Egipcjanin miał pociągłą twarz, wydatne kości policzkowe, przenikliwe ciemne oczy, orli nos i dziwną kozią bródkę, przyciętą w dwa szpice skierowane ku uszom. Suarto nie potrafił określić, czy Abdas jest przystojny, czy budzi grozę. Wydawało się, że to zależy od miny. Egipcjanin przeszedł przez pokój wyłożony grubym dywanem, wyciągnął rękę i uśmiechnął się serdecznie, jakby witał starego przyjaciela.

– Wielmożny panie Suarto, to dla mnie wielki zaszczyt, że mogę pana w końcu poznać – powiedział po angielsku. Mówił głębokim, władczym barytonem i wyraźnie akcentował słowa. Miał mocny uścisk dłoni, jak polityk, i oburącz potrząsał nadgarstkiem gospodarza.

Suarto powitał przywódcę Ahel al Beit w Bogocie i poprosił, żeby usiadł. Uprzejmości trwały godzinę, potem Suarto zabrał gościa do wielkiej jadalni na długi posiłek. Egipcjanin jadł z apetytem małe porcje, chwalił potrawy, ale odmówił picia wina i whisky. Po jedzeniu Suarto zaprosił Abdasa z powrotem do gabinetu. Zastanawiał się, kiedy facet przejdzie do rzeczy. Po kolejnych trzydziestu minutach zorientował się, że gość czeka, żeby on zaczął.

– Jak rozumiem, chce mnie pan przelicytować, żeby kupić okręt podwodny, który jest na ukończeniu w terminalu?

Abdas z uśmiechem przytaknął.

– Zgadza się, señor Suarto. Ten okręt jest mi pilnie potrzebny. Zwrócę panu wszystkie koszty budowy jako rekompensatę za zwłokę w dostawie drugiego.

Suarto pokręcił głową.

– Niestety to niemożliwe. Pracowałem nad tą koncepcją przez siedem długich lat. Musiałby mi pan zapłacić dwudziestokrotność ceny okrętu. Wątpię, żeby chciał pan tyle wyłożyć. Kaznikow może panu zbudować drugi okręt. Tego nie odstąpię.

Suarto zerknął szybko na Valdeza, który stał daleko od obu mężczyzn siedzących na skórzanych sofach. Valdez nieznacznie przysunął rękę do kabury. Abdas skinął przyjaźnie głową, jakby Suarto się zgodził, a nie odmówił.

– Może przekonam pana, jeśli podwoję początkową kwotę? Zapłacę panu teraz, w złocie, które przywiozłem autobusem.

Suarto znów pokręcił głową.

– Dziękuję, ale nie jestem zainteresowany. Przykro mi, panie Abdas, ale muszę mieć pierwszy okręt. Doceniam pańską hojność, ale po prostu nie mogę z niego zrezygnować.

Suarto i Valdez obserwowali Egipcjanina. Abdas dopił spokojnie kawę, wstał, uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Mogłem liczyć tylko, że pan mnie wysłucha, i zrobił pan to, señor Suarto. Dziękuję za wspaniałą gościnność. Żegnam i życzę szczęścia z okrętem.

Suarto był zaskoczony, że al-Sattar tak łatwo

zrezygnował, ale widział już dziwniejsze rzeczy. Zastanawiał się przez chwilę, czy mimo to nie zabić faceta, ale postanowił wziąć jego wizytę za dobrą monetę. Nie dostrzegł w wyrazie twarzy gościa nic podejrzanego. Odprowadził przywódcę Ahel al Beit na parter, gdzie grupa Egipcjan dyskutowała zawzięcie z jego sześcioma ludźmi.

– W czym problem? – zapytał Valdez.

– Autobus się zepsuł – wyjaśnił jeden z Egipcjan. – Przez ten długi podjazd pod górę silnik się przegrzał. Trzeba zaholować samochód na dół.

Abdas odwrócił się do Suarto.

– Przepraszam za to, co się stało, señor Suarto. Zaczekamy w autobusie na pomoc drogową. Bardzo mi przykro, że utknęliśmy przed pańskim domem.

Suarto wielkodusznie machnął ręką.

– Możecie wrócić na jacht moimi samochodami. Potem każę je przyprowadzić z powrotem. Wasz bagaż zabiorą toyoty land cruisery. Dopilnuję naprawy autobusu i odeślę go wam statkiem.

Abdas wydawał się wzruszony.

– Jest pan zbyt uprzejmy. Proszę mi pozwolić zapłacić za to wszystko.

– Niech pan da spokój, Abdas, nie widzę problemu.

Rozmowa trwała dwadzieścia minut, ale w końcu al-Sattar zgodził się skorzystać z mercedesa Suarto. Kiedy zamknęły się za nim drzwi auta, długo machał do kolumbijskiego gospodarza. Po dziesięciu minutach jazdy

krętą drogą w dół wielka kamienna rezydencja na szczycie góry i lśniący niebieski autobus zaparkowany przed wejściem wciąż były widoczne wysoko w oddali. Abdas nie odrywał wzroku od autobusu. Myślał o trzech tonach semteksu wypełniających całą przestrzeń bagażową pojazdu, każdy schowek i wszystkie możliwe miejsca pod tapicerką i podsufitką. Autobus był praktycznie zrobiony z materiałów wybuchowych.

– Teraz, Święty? – zapytał asystent.

Abdas skinął głową. Asystent wybrał dziesięciocyfrowy numer na klawiaturze swojej komórki. Autobus i rezydencja zniknęły w pomarańczowej kuli ognia, grzyb pyłu uniósł się na wysokość stu metrów. Fala uderzeniowa dotarła do mercedesa i rozeszła się po dolinie. Huk trwał przez kilka minut, miejsce eksplozji przesłoniła wielka chmura dymu. Abdas żałował, że nie może poczekać, aż dym opadnie, żeby się upewnić, czy z rezydencji nic nie zostało i czy Suarto zginął, ale nie było na to czasu.

– Kiedy dotrzemy do lotniska? – zapytał.

– O tej porze dnia za godzinę – odpowiedział asystent.

– Każ pilotom uruchomić silniki za dwadzieścia minut – rozkazał Abdas. – Musimy jak najszybciej wydostać się z kolumbijskiej przestrzeni powietrznej. Suarto miał potężnych przyjaciół.

– Tak jest, Święty – odparł asystent z komórką przy uchu.

Abdas al-Sattar rozparł się wygodnie na skórzanym

siedzeniu, zamknął oczy i uśmiechnął się. Okręt był jego.

– Zadzwoń do Kaznikowa – polecił, nie otwierając oczu. – Zapytaj, jak postępują prace przy wyrzutniach torpedowych.

Samochód zjechał w dolinę i za następnym zakrętem dym zniknął z widoku. W kierunku gór pędziły trzy wozy strażackie z włączonymi syrenami i lampami błyskowymi. Abdas otworzył oczy i popatrzył na kawalkadę.

– Spóźniliście się – mruknął.

Godzinę później prywatny odrzutowiec al-Sattara oderwał się od pasa startowego lotniska w Bogocie i wziął kurs na północny wschód. Leciał do Murmańska.

11

Victor Kaminsky wyszedł strzeżonymi drzwiami z budynku terminalu towarowego na płytę lotniska i ruszył w kierunku ogromnego transportowego boeinga 747 linii Polar Air. Pilot kręcił się pod kadłubem i sprawdzał podwozie. Kaminsky zatrzymał się przy odrzutowcu kilkadziesiąt metrów od budynku. Pilot podniósł głowę.

– Pan Danałow? – zawołał przez hałas silników.

Kaminsky przytaknął. Nazywał się teraz Danałow.

– Muszę zobaczyć pański paszport – krzyknął pilot.

Kaminsky wyciągnął dokument z tylnej kieszeni dżinsów. Pilot skinął głową.

– Proszę na pokład, panie Danałow.

– Kiedy odlot? – zapytał Kaminsky.

– Za dziesięć minut. Będzie jeszcze jeden pasażer.

Kaminsky wspiał się po stopniach do drzwi samolotu. Na ramieniu miał torbę podróżną, w ręku trzymał laptop. Wszedł do wielkiej pustej ładowni. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku, zobaczył, że członek załogi przywołuje go gestem ze szczytu stromych schodków na górny pokład. Wyłożony laminatem korytarz prowadził w kierunku dziobu do części pasażerskiej i kuchni. Z kokpitu wychylił się mechanik pokładowy i wskazał Kaminsky'emu jeden z szerokich foteli. W porównaniu z sierpniowym upałem na zewnątrz w samolocie było chłodno. Kaminsky usadowił się przy

oknie z prawej strony, wepchnął torbę pod fotel przed sobą, rozłożył stolik i otworzył laptopa.

– Wiktor Danałow? – zapytał młody kobiecy głos.

Kaminsky podniósł wzrok i zobaczył w przejściu atrakcyjną brunetkę. Wstał i schylił głowę, żeby nie uderzyć w sufit. Uścisnął wyciągniętą dłoń pasażerki. Nie spodziewał się, że ekspert z Ośrodka Naukowo-Technicznego będzie kobietą.

– Tina – przedstawiła się brunetka. – Tina Rancourt, z NT.

– Miło mi – wymamrotał Kaminsky.

Rancourt otworzyła swój neseser, wyjęła laptopa, wsunęła go do kieszeni w oparciu fotela przed sobą, usiadła obok Kaminsky'ego i zapięła pas.

Załoga zamknęła włącz wejściowy na główny pokład. Hałas w kabinie nagle ucichł. Samolot ruszył, skręcił lekko i pokołował na pas startowy zero trzy. W interkombie odezwał się głos pilota, który podał zwykłe przed – startowe instrukcje dotyczące bezpieczeństwa. Pięć minut później wielki odrzutowiec zadrżał, gdy na początku pasa startowego silniki nabrały pełnej mocy. Najpierw toczył się wolno, potem przyspieszył. W połowie długości pasa wzbił się stromo w powietrze i skierował na północny wschód. Kiedy pokonał połowę dystansu do wysokości przelotowej, podwozie wsunęło się z głośnym zgrzytem i siłowniki z hałasem przestawiły klapy w skrzydłach.

W powietrzu Kaminsky mógł rozmawiać z Rancourt

bez obawy, że ktoś wychwyci ich słowa z wibracji szyb. Rancourt otworzyła swego laptopa na stoliku Kaminsky'ego i zaczęła odprawę, kiedy tylko obwody komputera się nagrzały. Odwróciła go lekko, żeby widzieć ekran. Kaminsky poczuł ślad jej zapachu, być może szamponu. Zagryzł wargi. Zdał sobie sprawę, że zaniedbał ważną część swojego życia. Zastanawiał się, jaka będzie jego kontrolerka, Wania, i czy ich znajomość ograniczy się do stosunków służbowych.

– Co Hank Lewis powiedział ci o tej operacji? – zapytała Rancourt.

Kaminsky streścił rozmowę z szefem w niecałych dziesięciu zdaniach.

Zakończył tym, że Lewis nazwał okręt podwodny w terminalu „rosyjską superkonstrukcją”.

– Zgadza się – odrzekła Rancourt. – Nie przesadził. Gdyby Rosjanie budowali jakikolwiek inny, dalibyśmy sobie spokój. Ale ten jest wyjątkowy i dla nas bardzo ważny. – Wyświetliła pierwszy slajd prezentacji PowerPoint. Na ekranie rozbrzysły słowa: **Zołotaja Rybka**. – Mówi ci to coś?

Kaminsky pokręcił głową. Rancourt pokazała następny slajd. Pod napisem po rosyjsku pojawiło się tłumaczenie na angielski: **Złota Rybka**. Na trzecim slajdzie było dodane słowo **Lira**, na kolejnym napis: **Projekt 705**. Zdanie na piątym slajdzie brzmiało: **Kod NATO – Alfa**.

– Nigdy się z tym nie zetknąłem.

– Nic dziwnego – powiedziała Rancourt. – To rosyjskie

dokumenty dotyczące okrętu podwodnego reanimowanego teraz w terminalu.

Wyświetliła slajd pokazujący terminal z powietrza. Budynek wyglądał, jakby lada chwila miał się zawalić. Na ekranie pojawił się widok z ziemi, potem sterylnie czyste wnętrze montowni. Metalowe cylindry łączono razem, zaczynając od dziobu. Kaminsky patrzył na ekran. Hala fabryczna zmieniła się w białe tło i pozostał tylko okręt podwodny w częściach. Zaczęła się animacja komputerowa. Wszystkie fragmenty okrętu połączyły się w jedną całość, biała folia ochronna zniknęła i odsłoniła czarny kadłub. Pojawiła się nadbudowa – długi kiosk opadający łagodnie ku rufie. Dziób zaokrąglił się, rufa zwęziła, przybyły stabilizatory pionowe i poziome. Białe tło przybrało niebieską barwę morza, górna część kadłuba zaśniła w świetle przenikającym pod powierzchnią. Z kiosku wysunął się maszt. Kaminsky potarł podbródek, jak zawsze, kiedy był głęboko zamyślony. Zerknął na Tinę Rancourt. Popijała coca-colą. Animacja się skończyła.

– Projekt Siedemset Pięć – zaczęła opowiadać Rancourt. – Rosyjski superokręt podwodny „Alfa” był jedną z najdziwniejszych konstrukcji wojskowych w historii działań wojennych. W latach 70. XX wieku przewrócił do góry nogami wszystkie nasze plany obronne i zmienił sposób prowadzenia zimnej wojny na następnych dwadzieścia lat. Ten okręt mógł odwrócić bieg historii i zmienić późniejszy wynik zimnej wojny.

– Bez przesady – zachnął się Kaminsky. – To był tylko okręt podwodny, zdolny wystrzeliwać torpedy i zatapiać inne okręty.

– Słuchaj dalej – powiedziała Rancourt. – Cofnijmy się do roku 1955, dziesięć lat po zakończeniu II wojny światowej.

Ekran pociemniał, potem zaczął się film z połowy lat 50. Pokazywał główne ulice amerykańskich miast, pękate samochody z zaokrąglonymi kształtami, kobiety w długich sukienkach i naszyjnikach z pereł uczesane w kok, białe domki z parkanami o ostrych sztachetach, mężczyźni w garniturach i kapeluszach palących fajki. Pojawił się prezydent Eisenhower grający w golfa.

– Pamiętaj, że Ameryka wygrała wojnę, zrzucając na przeciwnika dwie bomby atomowe. Wszyscy potencjalni wrogowie zaczęli się nas bać. – Na ekranie pojawiły się zdjęcia filmowe Hiroszimy i Nagasaki po eksplozjach jądrowych, potem kilku prób nuklearnych. W powietrzu unosiły się atomowe grzyby. Rancourt mówiła dalej: – Zawsze uważamy się za pozytywnych bohaterów. W latach 50. XX wieku reszta świata nie podzielała tej opinii, zwłaszcza Rosjanie. – Rancourt kliknęła myszką, ekran znów pociemniał i pojawił się nowy obraz. Amerykański lotniskowiec płynął pełną parą naprzód, na pokładzie stały staromodne myśliwce odrzutowe z czasów wojny koreańskiej. Jeden z samolotów wzbił się w powietrze. – Nie zapominaj, że to było przed wynalezieniem międzykontynentalnych pocisków

balistycznych i satelitów szpiegowskich. W tamtych czasach do przenoszenia broni jądrowej mieliśmy tylko bombowce dalekiego zasięgu... – Rancourt urwała, gdy na ekranie pojawił się bombowiec B-47. Wzbijał się w powietrze. Z dysz wylotowych sześciu silników odrzutowych i podkadłubowych pomocniczych silników rakietowych wydobywały się smugi czarnego dymu. Obraz zmienił się. Z pokładu lotniskowca startowały myśliwce bombardujące. – I mniejsze samoloty operujące z lotniskowców. Radzieckie siły powietrzne o wiele mniej obawiały się bombowców niż lotniskowców. Rozumiesz?

Na ekranie ukazał się radziecki ponaddźwiękowy myśliwiec przechwytyjący. Na srebrzystym ogonie widniała czerwona gwiazda. Odrzutowiec przechylił się ostro w prawo i wzbił wysoko. Pod skrzydłami miał baterię pocisków rakietowych powietrze-powietrze.

Kaminsky potarł podbródek.

– Nigdy bym na to nie wpadł. Ale skoro tak twierdzisz, pewnie tak było. Rosjanie najwyraźniej uważali, że mają wystarczającą obronę radarową i w porę wykryją nadlatujące bombowce, z którymi poradzą sobie ich myśliwce.

– To też – przytaknęła Rancourt. – Ale jestem zaskoczona, że nie rozumiesz jak szpieg.

Kaminsky zacisnął zęby.

– Już wiem – odezwał się po chwili. – Chodzi o to, że nasze bazy lotnicze są zwykle zlokalizowane w pobliżu większych lub mniejszych miast. Kiedy startuje

bombowiec, w okolicy drżą szyby w oknach, więc rosyjski agent mógł po prostu zawiadomić swoich przez telefon, że właśnie odlatuje eskadra B-52.

– Otóż to. Rosjanie mieli agentów w pobliżu każdej bazy U. S. Air Force, nawet ściśle tajnej Dreamland. Moskwa wiedziała o każdym starcie naszych bombowców i mogła w porę ogłosić alarm w swoich eskadrach myśliwskich. Bombowce latały głównie na dużych wysokościach i radzieckie siły powietrzne uważały, słusznie lub nie, że zdążą je zestrzelić, zanim samoloty narobią dużych szkód. Radzieckie politbiuro wierzyło w swoich generałów lotnictwa. Pozostawały samoloty U. S. Navy operujące z lotniskowców.

Na wyświetlaczu pojawiło się podwozie myśliwca sfilmowane z przodu, gdy startujący samolot toczył się wzdłuż pokładu lotniskowca w ruchu. Wiatr rozwiewał obłoczki pary z katapulty, pod odrzutowcem szybko przesuwająca się czarna przeciwpoślizgowa powierzchnia pokładu. Nagle pokład zniknął i zastąpiły go niebieskie fale. Samolot wznosił się i daleko w dole można było dostrzec malejący lotniskowiec, potem okręty towarzyszące. Pływały równolegle do lotniskowca, proste jak strzała kilwatery grupy bojowej ciągnęły się po horyzont.

– Rosjan najbardziej niepokoiły lotniskowce – mówiła dalej Rancourt. – Pomyśl tylko: przed epoką satelitów szpiegowskich nawodna grupa bojowa mogła wyjść z portu na naszym wybrzeżu i zniknąć, zwłaszcza przy złej

pogodzie. Jeśli była na pełnym morzu przez kilka miesięcy, nikt nie wiedział, gdzie ona jest. Agenci KGB udawali rybaków i obserwowali z kutrów nasze bazy morskie, ale szybka grupa bojowa lotniskowca mogła im łatwo uciec i ukrywać się, dopóki jej samoloty z bombami jądrowymi nie będą miały rosyjskich celów w zasięgu.

Płynące okręty zniknęły z ekranu i pojawił się widok ziemi z samolotu, który wcześniej wystartował. Odrzutowiec mknął z szybkością ponad – dźwiękową, zamazany teren w dole uciekał w tył. Na chwilę mignęły góry i ściany kanionów, potem pojawiły się budynki w mieście. Wydawało się, że są tuż pod skrzydłami odrzutowca.

– Samoloty naszej marynarki wojennej operujące z lotniskowców mogły przenosić duże bomby wodorowe. W rosyjskiej przestrzeni powietrznej leciałyby poniżej pułapu detekcji radarowej aż do samej Moskwy. W koszmarnych snach Rosjanie widzieli atak maszyn U. S. Navy, nie U. S. Air Force.

Wyświetlacz pokazał Moskwę nocą. W oknach Kremla paliły się światła, padał drobny śnieg.

– W pierwszych latach zimnej wojny, kiedy Rosjanie próbowali znaleźć sposób na nasze lotniskowce, światła w oknach ich ministerstwa obrony co noc paliły się do białego rana.

– Nie miałem pojęcia – przyznał Kaminsky. – Teraz, po twoim wykładzie, rozumiem, dlaczego tak się bali. Powinnaś uczyć historii.

Rancourt zignorowała komplement. Na ekranie pojawił się radziecki generał obwieszony medalami. Prowadził w sali wykład dla wyższych oficerów.

– Radzieckie Ministerstwo Obrony wydało rozkaz marynarce wojennej, żeby jak najszybciej znalazła sposób na przechwytywanie i zatapianie amerykańskich lotniskowców, zanim bombowce na ich pokładach będą miały Moskwę w zasięgu uderzenia nuklearnego.

– Nie mogliby po prostu wysyłać własnych myśliwców bombardujących na lotniskowce? Samolot zrzuciłby bombę jądrową i już po lotniskowcu.

– Mówisz jak senator z Komisji Sił Zbrojnych.

– Uważasz mnie za przygłupa?

Rancourt po raz pierwszy się roześmiała.

– Wybacz, ale to, co może się wydawać oczywistym wyjściem, nie jest żadnym wyjściem. Piloci U. S. Navy, zresztą najlepsi na świecie, są szkoleni do walki powietrznej. Okręty nawodnej grupy bojowej i sam lotniskowiec wysyłają w przestrzeń więcej fal radarowych, niż możesz sobie wyobrazić. Jeśli do lotniskowca zbliży się mewa, admirał dowodzący grupą natychmiast o tym wie. Nie można się podkraść, lecąc samolotem tuż nad wodą, w radarowej „trawie”, bo wokół okrętów stale krążą w powietrzu maszyny patrolowe i przeszukują morze radarami. Rosyjski bombowiec, nawet w samobójczej misji, nie zbliżyłby się do lotniskowca na mniejszą odległość niż pięćdziesiąt mil morskich, a to za daleko, żeby wyłączyć taki okręt z akcji nawet

dziesięciomegatonową bombą wodorową.

– A rakiety?

– Nic z tego. Nie zapominaj, że w latach 60. XX wieku głowice nuklearne były duże i ciężkie. Rosjanie nie mieli szybkich pocisków raketowych do przenoszenia broni jądrowej. Ich rakiety nie wymknęłyby się amerykańskim radarom i myśliwcom.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego Rosjanie mieli koszarne sny. To dlatego w tamtych czasach nie żałowaliśmy funduszy na budowę lotniskowców.

– Właśnie. Do wszystkich radzieckich biur konstrukcyjnych i inżynierów dotarła wiadomość: kto znajdzie sposób na zatapianie lotniskowców, będzie bohaterem narodowym. – Na ekranie pojawiło się statyczne zdjęcie młodego Rosjanina. – W roku 1956 młody i ambitny inżynier z biura konstrukcyjnego Malachit, Anatolij Pietrow, podjął wyzwanie i zaproponował tak niecodzienne rozwiązanie, że w innej sytuacji zostałby zakrzyczany albo uznany za szaleńca. Ale radzieccy wojskowi byli zdesperowani i rewolucyjny pomysł Pietrowa, Projekt „Lira”, wzbudził ich zainteresowanie.

Na ekranie wyświetlił się plan okrętu podwodnego w rzucie bocznym. Widok bardzo przypominał zdjęcie, od którego rozpoczęła się prezentacja. Opisy były po rosyjsku, angielskie przekłady wyglądały jak podtytuły. Największy napis brzmiał: Złota Rybka – widok z prawej burty.

– Pietrow zaproponował budowę przechwytyjącego okrętu podwodnego o napędzie nuklearnym. Pamiętaj, że atomowe okręty podwodne istniały wtedy dopiero od niecałych dwóch lat i Rosjanie nie mieli jeszcze żadnego.

– Na ekranie przez chwilę trwał film archiwalny pokazujący wodowanie okrętu podwodnego „Nautilus”, potem powrócił plan „Złotej Rybki”. – Pietrow zasugerował, żeby przechwytyjący okręt podwodny był zasadniczo atomową miniłodzią podwodną, niemal torpedą załogową. Silniki pobierające energię z miniaturowego reaktora z rdzeniem o bardzo wysokim poziomie mocy pracowałyby bez przerwy. Obsługiwałyby je „załoga portowa”, pozostająca w stanie ciągłego pogotowia.

Zaczął się film. Pokazywał okręt podwodny „Lira” przy nabrzeżu. Z budynku koszarowego wybiegła grupka mężczyzn. Dostali się po trapie na pokład i zniknęli w otworze wjazdu. Okręt odbił od brzegu, za rufą pojawił się spieniony kilwater.

– Coś jak start dyżurnego bombowca w tamtych czasach – zauważył Kaminsky.

– Zgadza się. Okręt podwodny Pietrowa byłby stale gotowy do wyjścia w morze. W momencie alarmu, że zbliża się amerykański lotniskowiec, załoga bojowa biegłaby z koszar przy nabrzeżu na okręt, przejmowała go od załogi portowej i ruszała w rejs. Miniaturowy okręt miałby masę zaledwie tysiąca pięciuset ton i jedną szóstą wielkości projektowanych wówczas jednostek.

Na wyświetlaczu pojawił się plan „pełnowymiarowego” atomowego okrętu podwodnego z lat 50. Na górze widniał napis: Klasa November. Sylwetka Novembera zajmowała całą szerokość ekranu. Poniżej był miniokręt podwodny oznaczony jako Klasa Lira. Miał średnicę kadłuba o połowę mniejszą od Novembera i jedną trzecią jego długości. „Lira” zmieściłaby się na kadłubie okrętu powyżej.

– „Lira” rozwijałaby prędkość dochodzącą do sześćdziesięciu węzłów, żeby zdążyć dotrzeć do lotniskowca na odległość wystrzelenia torpedy, zanim samoloty na jego pokładzie będą miały Moskwę w zasięgu. Sześćdziesiąt węzłów w czasach, kiedy okręty podwodne osiągały maksymalnie dwadzieścia. Jak powiedziałam, w innej sytuacji projekt Piętrowa wylądowałby w koszu na śmieci, ale to był gorący okres.

Na ekranie pojawił się trójwymiarowy obraz „Liry” z boku. W śródkręciu zarzył się na pomarańczowo reaktor.

– Do osiągnięcia takiej szybkości potrzebny byłby kadłub o minimalnej powierzchni i silniki o niewiarygodnej mocy. Pietrow przewidział dla swojego okrętu mały, ale potężny reaktor chłodzony ciekłym metalem. Takie chłodziwo krzepnie w temperaturze pokojowej, więc reaktor musiałby stale pracować. Ale w końcu okręt miał być w stanie ciągłej gotowości. Dla zmniejszenia masy „Liry” ograniczano ciężar wszystkich elementów. – Wewnątrz „Liry” na ekranie pojawiły się przegrody. – Miały być jedynie trzy przedziały. Dla

załogi byłby przeznaczony tylko dziobowy, żeby uniknąć instalowania osłony przeciwpromiennej, która waży I zajmuje miejsce. To wymagałoby automatyzacji na niespotykaną skalę. Załoga liczyłaby od piętnastu do siedemnastu ludzi, samych oficerów. W dwóch przedziałach rufowych umieszczono by reaktor i silniki. W dziobowym większość przestrzeni zajmowałyby torpedownia i miniaturowe stanowisko dowodzenia. Załoga miałaby małą kwaterę, ciasną mesę i jedną toaletę. Część „hotelowa” dla kilkunastu osób byłaby mniejsza od przeciętnej amerykańskiej kuchni.

Kaminsky z podziwem pokręcił głową.

– W epoce „Nautilusa” Pietrow zaproponował miniokręt podwodny sześciokrotnie mniejszy i trzykrotnie szybszy od tamtego, z dziesięciokrotnie mniej liczną załogą, całkowicie zautomatyzowany i obsługiwany przez samych oficerów stłoczonych w schowku na szczotki.

– Mniej więcej. Rosjanie mieli trochę osiągnięć w dziedzinie automatyzacji w swoim programie kosmicznym. Wysyłali na orbitę wielkie statki bezzałogowe. Ale atomowy okręt podwodny to zupełnie co innego niż statek kosmiczny. Możesz mi wierzyć, kosmos to o wiele łagodniejsze środowisko niż ocean. A reaktory jądrowe, zwłaszcza rosyjskie, po prostu nie nadawały się do automatycznego sterowania. Nawet dziś, pięćdziesiąt lat później, amerykańscy konstruktorzy odrzuciliby taki pomysł. Nasze współczesne okręty podwodne są w dużym stopniu obsługiwane manualnie.

Ale w roku 1957 Rosjanie tak się obawiali lotniskowców, że potraktowali projekt poważnie.

– W porządku – powiedział Kaminsky. – Ale przejdźmy do rzeczy, Tina. Pięćdziesiąt lat temu Pietrow zbudował okręt, który stoi teraz w terminalu, tak?

Rancourt uśmiechnęła się lekko.

– Nie. Cierpliwości, Vic. Wiadomość o szaleńczym pomysle Pietrowa dotarła do komitetu centralnego partii. Pierwszy sekretarz uznał Pietrowa za zbawcę ojczyzny. Natychmiast przydzielił mu fundusz na budowę okrętu i dał niespotykane uprawnienia. Projekt „Lira” ruszył z miejsca i dostał numer 705.

Na ekranie pojawiła się wielka pracownia projektowa. Konstruktorzy mozolili się przy stołach kreślarskich, nad planami pochylali się mężczyźni w ciemnych garniturach i krawatach. W tle wisiał transparent z napisem po rosyjsku. Na wyświetlaczu nie było przekładu na angielski, ale widniała liczba 705. Czarno-biały obraz zmienił się. Monitor pokazywał teraz halę z podłużnym basenem i stalową konstrukcją pod sufitem. Na pionowym wysięgniku wisiał mały model okrętu podwodnego zanurzony w wodzie. Na znak technika konstrukcja ruszyła i model popłynął do przeciwległego krańca basenu. Inżynierowie z notesami w rękach patrzyli na wskaźniki na dużej konsoli.

– Wszystko szło dobrze, dopóki po kilku tygodniach Pietrow nie natrafił na pierwszą przeszkodę. Mimo zastosowania rewolucyjnego reaktora chłodzonego

ciekłym metalem miniaturowy okręt okazał się za mały w stosunku do potężnej mocy zespołu napędowego, potrzebnej do rozwijania szybkości ponad pięćdziesięciu pięciu węzłów, która była konieczna do przechwytywania lotniskowców. Pietrow musiał powiększyć „Lirę”, przez co wzrósł jej ciężar. Wszystko zaczęło się walić. Następne problemy wynikały z proponowanej szybkości „Liry”. Rosyjskie okręty podwodne były nękane awariami hydraulicznych siłowników sterów głębokości. Stery nie reagowały albo się blokowały i zaczynało się niekontrolowane nurkowanie. Przed rokiem 1959 pierwsze rosyjskie atomowe okręty podwodne miały wiele takich wypadków przy połowie swojej szybkości maksymalnej. „Lira” rozwijałaby taką prędkość, że nawet drobna awaria sterów mogłaby się skończyć opadnięciem okrętu poniżej głębokości krytycznej. Im głębiej, tym ciężar jednostki rośnie, a na kadłub działa coraz wyższe ciśnienie. Jeśli okręt zejdzie za głęboko, kadłub trzaśnie jak skorupka jajka pod kołem samochodu.

Zacząła się kolejna animacja komputerowa. Na ekranie pojawił się zanurzony atomowy okręt podwodny w ruchu. Był pięć długości kadłuba pod powierzchnią. Nagle rufowe stery głębokości opadły, okręt znurkował niemal pionowo i zbliżył się do poziomej czerwonej linii oznaczonej napisem Głębokość krytyczna. Kiedy znalazł się pod nią, rozleciał się na kawałki i na dno morza opadły szczątki.

– Okręt rozwijający taką szybkość jak „Lira”

należałoby zbudować tak, żeby mógł schodzić na dużo większą głębokość niż inne ówczesne okręty. Odpowiednia grubość stali zwiększyłaby ciężar, więc „Lira” straciłaby szybkość. Potrzebny byłby zatem większy reaktor, co z kolei zwiększyłoby wymiary okrętu. Dostrzegasz tę sprzeczność? Okręt powinien być mały i lekki, żeby był szybki, ale do osiągnięcia dużej szybkości potrzebne są większy reaktor i grubsza stal kadłubowa. Okręt ma większe wymiary, a zatem większą powierzchnię, co zwiększa tarcie, które go spowalnia. Pietrow walczył z prawami fizyki.

– Konstruktorzy mogli po prostu uporać się z problemem niekontrolowanego nurkowania – zauważył Kaminsky. – To zmniejszyłoby przynajmniej masę kadłuba. Co z tego, że zwiększyłoby ryzyko niepowodzenia. Okręt podwodny to nie statek wycieczkowy. Ojczyzna była w niebezpieczeństwie.

– Rozumujesz po amerykańsku. Myśl jak Rosjanin. Masz do czynienia z machiną biurokratyczną, która nie toleruje porażek. Jeśli jesteś amerykańskim konstruktorem i twój okręt podwodny zatoni wraz z załogą, może będziesz musiał zeznawać przed senacką Komisją Sił Zbrojnych. W najgorszym wypadku pożegnasz się ze swoimi kontraktami z Pentagonem, ale poza tym twoje życie się nie zmieni. Jeśli jesteś rosyjskim konstruktorem i twój okręt podwodny zatoni, trafisz do łagru, z wyrokiem sądowym lub bez. A sąsiednie cele zajmą rosyjscy admirałowie. Szarża mogła uniemożliwić

konstruktorom zwodowanie okrętu, jeśli nie odpowiadała jej koncepcja. Były różne sposoby, od narzekań w okólnikach na wadliwą konstrukcję po sabotaż. Radziecka marynarka wojenna miała wystarczającą władzę, żeby w nieskończoność trzymać wadliwy okręt w suchym doku. Konstruktorzy wiedzieli, że admiralicja nie zaakceptuje ich projektu, dopóki nie rozwiążą problemu szybkości i głębokości zanurzenia okrętu. Wystarczająco trudne było uzyskanie zgody marynarki na to, żeby załoga portowa stale utrzymywała reaktor na chodzie i żeby prawie dwudziestu oficerów tłoczyło się jeden na drugim w miniokręcie podwodnym.

Na ekranie pojawił się czarno-biały obraz. Mężczyzna w skafandrze ochronnym podobnym do kosmicznego spawał coś w laboratorium metalurgicznym. Wokół tryskały snopy iskier.

– Los projektu wydawał się przesądzony. Ale pewien naukowiec z biura konstrukcyjnego Malachit, niejaki Litski, pracował samotnie nad użyciem tytanu do budowy kadłuba. Jak mawiał przy herbacie w stołówce dla inżynierów, zastosowanie tytanu do budowy okrętów podwodnych będzie tym samym, czym było zastosowanie aluminium do budowy samolotów. Tytan jest lekki i niewiarygodnie mocny. Pietrow zawsze uważał Litskiego za szaleńca. Tytanu było mało i bardzo trudno się go spawa. Przez lata Pietrow i inni konstruktorzy nie chcieli nawet słuchać Litskiego. Ale pewnego ranka, kiedy głowili się, jak rozwiązać problem głębokości zanurzenia

okrętu i jego ciężaru, Litski doszedł do głosu i zaproponował tytan. Zrobił nawet pewne obliczenia, które pokazywały, jaką głębokość zanurzenia i jaki ciężar osiągnąłby okręt, gdyby zamiast stali zastosować tytan. Pietrow nie mógł w to uwierzyć. Litski uratował jego karierę, dowodząc, że przy użyciu tytanu projekt może się udać.

Kaminsky pomyślał o swoich doświadczeniach z tytanem podczas poprzednich zadań.

– Ale Pietrow miał rację. Tytan jest cholernie trudno spawać. Niewielu ludzi na świecie to potrafi.

Rancourt skinęła głową.

– Tytan był doskonałym rozwiązaniem, ale tylko w laboratorium. Nikt nie potrafił produkować płyt tytanowych. Więc w roku 1957 sprawa utknęła w miejscu. Projekt „Lira” powinien wylądować w śmietniku. Ale Pietrow pracował dalej, z takimi funduszami, jakie udało mu się zdobyć. Być może dlatego, że biuro konstrukcyjne nie mogło zameldować komitetowi centralnemu o porażce lub może dlatego, że mimo wad „Liry”, idea stworzenia okrętu podwodnego, który rozwijałby szybkość sześćdziesięciu węzłów i byłby zdolny do przechwytywania amerykańskich lotniskowców, a dodatkowo prześcigałby zachodnie torpedy, nadal pozostawała atrakcyjna. W każdym razie Pietrow musiał stworzyć cały przemysł tytanowy. Starania o zgodę na rozpoczęcie fazy produkcyjnej trwały do roku 1960. Do tego czasu planowany koszt budowy

okreśłu wzrósł o dwadzieścia tysięcy procent! Okres budowy wydłużył się o pięćset procent. Same straty. Gdyby ktoś przedstawił nieopłacalność tego programu, los projektu „Lira” natychmiast byłby przesądzony. – Być może tę nieopłacalność uwidocznili wynalezienie międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Rosjanie przerazili się ich dużo bardziej niż przedtem bali się kilku lotniskowców z małymi myśliwcami bombardującymi na pokładach. Ale kiedy pociski balistyczne znalazły się na obu kontynentach, Rosjanie mogli zacząć rywalizować z Amerykanami jak równy z równym. Pomysł przechwytywania lotniskowców stał się przeszłością. Reszty pewnie się domyślasz.

Animacja komputerowa pokazała odpalenie kilku pocisków balistycznych i widok kuli ziemskiej z nad północnego Atlantyku. Rakiety międzykontynentalne leciały ze Stanów Zjednoczonych w kierunku Związku Radzieckiego. Przeciwnik odpowiedział ogniem i radzieckie pociski balistyczne poszybowały w kierunku Ameryki Północnej.

– Ocena projektu w roku 1963 wypadła źle dla Piętrowa, co było do przewidzenia. Został wyrzucony z pracy, aresztowany i zesłany do łagru, skąd wrócił dopiero w połowie lat 70. – Na ekranie pojawił się tajny materiał filmowy z syberyjskiego obozu pracy przymusowej. – Pozbycie się Piętrowa stanowiło dla Rosjan drugą okazję do zlikwidowania Projektu 705. Ale po raz drugi projekt ocalał. Domyślamy się, że oddając go

w ręce współpracowników Piętrowa, Rosjanie mieli nadzieję, że projekt umrze śmiercią naturalną bez dalszego wpływu na kariery decydentów. Przeliczyli się. Młody, zdolny i ambitny inżynier okrętowy, Michaił Rusanow, i jego asystent, Władimir Romin, zabrali się do pracy. Kiedy Rusanow przejął program, stało się dla niego oczywiste, że ogromna moc czterdziestu siedmiu tysięcy koni mechanicznych na wale napędowym, wymagana do osiągania szybkości sześćdziesięciu węzłów, nie może pochodzić z małego i lekkiego reaktora konstrukcji Piętrowa. Podejrzewamy, że projekt ocalał dzięki umowie zawartej przez Rusanowa z marynarką wojenną. W zamian za to, że admiralicja nie zlikwiduje programu, zobowiązał się zbudować większy, sprawniejszy i przestronniejszy okręt podwodny. Rusanow pozwolił zmienić projekt, pod warunkiem że okręt będzie osiągał szybkość sześćdziesięciu węzłów. Masa okrętu znów wzrosła, tym razem do dwóch tysięcy ośmiuset ton. Liczbę przedziałów zwiększono z trzech do sześciu. Liczebność załogi podwojono, gdyż poziom automatyzacji obniżono z takiego, jaki wyobrażał sobie Pietrow, do takiego, jaki mogła zaakceptować radziecka marynarka wojenna.

Na górze ekranu pojawił się plan małego okrętu podwodnego według pierwotnego projektu, poniżej dwukrotnie większego. Górny okręt był oznaczony jako Lira Model 1. 0 – pierwotna propozycja Piętrowa, dolny jako Lira Model 3. 0 – wersja Rusanowa.

– Reaktor stał się większy i cięższy. Jego naprawa byłaby nieopłacalna, co zmusiło fizyków jądrowych do opracowania rdzenia, który nie wymagałby wymiany paliwa przez siedemdziesiąt lat. Ale to utrudniało budowę okrętu. W roku 1964, po kubańskim kryzysie raketowym, Kreml przestał się obawiać lotniskowców. Nowym zagrożeniem dla Rosjan, jeszcze większym niż amerykańskie międzykontynentalne pociski balistyczne, stały się atomowe okręty podwodne klasy George Washington z wystrzeliwanymi spod wody pociskami balistycznymi Polaris z głowicami nuklearnymi. – Na ekranie pojawił się pusty bezmiar oceanu. Nagle na powierzchni wytrysnął gejzer piany i wyłonił się z niego pocisk raketowy. Na moment zawisnął w powietrzu, potem odpalił silnik i Polaris zniknął pionowo z widoku. – Ostatnie opóźnienie w realizacji projektu „Lira” spowodowała negatywna ocena nowego projektu. Okazało się, że znów trzeba zwiększyć masę okrętu, tym razem do trzech tysięcy ośmiuset ton. I znów projekt ocalał, być może dlatego że zrezygnowanie z „Liry” byłoby oficjalnym przyznaniem się konstruktorów i admirałów do porażki.

Na ekranie pojawił się ziarnisty czarno-biały film. Pokazywał prace przy budowie „Liry” w suchym doku. Okręt przypominał Kaminsky'emu jednostkę w terminalu. Na transparencie udrapowanym na kadłubie widniało oznaczenie „K-377”.

– W roku 1965 nowy model okrętu Rusanowa, „Lira”

Cztery Zero, był gotowy do produkcji. Tytanową część kadłubową prototypu okrętu podwodnego klasy Projekt 705 „Lira” Model 4. 0 wykonano w stoczni Sudomech w Leningradzie w roku 1972, dwanaście lat po planowanym terminie.

Ekran pokazał „Lirę” w wersji Rusanowa na morzu. Płynęła z wdziękiem przez fale. Po prezentacji Kaminsky wpatrzył się w ruchomy obraz. Myślał o tym, ilu ludzi harowało w pocie czoła, żeby rosyjski okręt podwodny stał się rzeczywistością. Niemal im współczuł.

– „K-377” zwodowano w roku 1972. Podczas prób morskich osiągnął w zanurzeniu rekordową prędkość pięćdziesięciu pięciu i ośmiu dziesiątych węzła. Szybsze były tylko następne „Liry”, okręty podwodne innych klas nigdy nie zbliżyły się do tego wyniku. Pietrow podjął się zbudować okręt rozwijający prędkość sześćdziesięciu węzłów i dokonał tego.

– Więc w końcu „Lira” okazała się sukcesem – powiedział Kaminsky. – Ale jeszcze mi nie wyjaśniłaś, dlaczego ta bestia odwróciła bieg zimnej wojny.

Rancourt pokręciła głową.

– „Lira” była całkowitą porażką.

Kaminsky popatrzył na współpasażerkę i pomyślał, że chyba źle usłyszał.

12

Peter Vornado nie spał. Na skórze ogolonej głowy czuł ciepło poduszki. Spojrzał na cichy, ciemny pokój. Żałował, że nie jest na górze z Rachel. Odkąd przeniósł się na parter, jego miejsce w małżeńskim łóżku zajęła malutka Erin. Obok poduszki miał interkom, przez który mógł wezwać żonę, ale od tygodni źle sypiała. Postanowił, że sam poradzi sobie z falą mdłości. Sięgnął po wiaderko przy szpitalnym łóżku z poręczami i zwymiotował. Potem przykrył wiaderko, postawił na podłodze i wolno położył się z powrotem na poduszce. Przez chwilę pokój wirował mu w oczach, potem zawroty głowy minęły.

Zamknął oczy i próbował zasnąć. Ale po godzinie odwrócił się na plecy i wpatrzył w sufit. Minęło pięć tygodni, odkąd lekarz w Sloan-Kettering dał mu dwa miesiące życia. Dwa dni później Vornado przeszedł operację zmniejszenia złośliwego nowotworu mózgu. Po przebudzeniu czuł tępy ból głowy, ale przerażające bóle sprzed operacji ustąpiły na tydzień. Potem powróciły z jeszcze większą gwałtownością, jakby guz się wściekł, że Vornado śmiał go zaatakować.

Starał się nie myśleć o śmierci, ale nie było to łatwe. Spotkał się w obecności Rachel z ich prawnikiem, załatwił ostatnie sprawy majątkowe i dał żonie pełnomocnictwo na odłączenie go od aparatury

podtrzymującej czynności życiowe, kiedy jego mózg przestanie funkcjonować. Martwił się, że Rachel będzie musiała samotnie wychowywać Erin, Petera i Marłę. Ale nawet z tym się pogodził. Gorsze było to, że kiedy patrzył w niebieskie oczy Erin i słuchał jej wesołego dziecięcego głosiku, czuł się winny, że za miesiąc ją opuści. Mówił sobie z uporem, że nie może umrzeć. Ma zbyt wiele obowiązków. Egzystencja zbyt wielu osób zależy od tego, czy będzie żył. Nie bał się śmierci. Dwa razy stawiał jej czoło i zwyciężył, na wpół z przerażeniem, na wpół z niedowierzaniem. Ale zginąć na posterunku jak żołnierz to jedno – być ofiarą w szpitalnej koszuli nocnej i nie dożyć swoich czterdziestych urodzin to zupełnie co innego. Wyglądało jednak na to, że nie ma wyboru.

Drugiego dnia po operacji, kiedy siedział zabandażowany w łóżku i po raz pierwszy od miesiąca czuł się lepiej, przyszedł doktor Peppinger i powiedział mu o eksperymentalnym programie terapii szczepionkowej w Duke University Comprehensive Cancer Center. Zaznaczył, że w programie uczestniczy tylko kilka osób z całego kraju, ale Vornado też jest na liście. Lekarz uprzedził Rachel, że to nie terapia ostatniej nadziei, lecz raczkujący program badawczy, który może dostarczyć cennej wiedzy naukowej. Wyniki Vornado mogą pomóc w diagnozowaniu przyszłych przypadków. Ale niektórzy pacjenci dobrze reagują na terapię. Są osoby, które po zdiagnozowaniu glejaka przed pięcioma laty, nadal żyją. Nawet jeśli Vornado ma zerowe szanse,

będzie przynajmniej walczył z rakiem, zamiast beczynnie czekać na śmierć. Peppinger podkreślił, że choroba nadal jest śmiertelna. Program leczenia i szczepionka mogą przedłużyć Vornado życie tylko o kilka miesięcy. Mimo wszystko Rachel to wystarczyło.

Rachel pracowała w firmie konsultingowej jako przedstawicielka handlowa dla rejonu wschodniego. Była energiczna i odnosiła sukcesy zawodowe. Nie cierpiała kursów naukowych. Ale w ciągu kilku tygodni zdobyła rozległą wiedzę na temat terapii szczepionkowej w ostatnim stadium raka mózgu. Zaczęła niepokoić Vornado. Chłoneła nowe wiadomości tak, jakby naprawdę wierzyła, że będzie żył. Po raz pierwszy od czasu diagnozy w jej oczach pojawiła się nadzieja. Vornado nie miał sumienia pozbawiać żony złudzeń, przypominając, co mówił doktor Peppinger. Podczas jazdy samochodem do Duke Rachel niemal tryskała optymizmem, mimo że Vornado wymiotował.

Doktor Friedman, lekarz prowadzący program, nie tracił czasu. Wizyta w ośrodku zaczęła się od badań metodą rezonansu magnetycznego i emisyjnej tomografii pozytronowej. Pobrano Vornado pół litra krwi i przetworzono białe krwinki, zmieniając je na poziomie molekularnym, żeby organizm zniósł zabójcze działanie szczepionki. Potem do białych krwinek oraz osocza krwi dodano składniki chemiczne szczepionki i zrobiono pacjentowi zastrzyk w pachwinę. Po dwóch dniach wykonano scyntyografię mózgu. Vornado wrócił do domu

do Virginia Beach na dalszą radiację i chemioterapię.

Pacjenci leczeni szczepionką nie mogli przyjmować środków przeciwbólowych i wzmacniających, które przynosiły ulgę w czasie chemioterapii, więc Vornado godzinami wymiotował i nie miał siły się ruszać. Od radiacji wypadały mu garściami włosy. Rachel zgodziła się ogolić mu głowę. Malutka Erin chichotała z zachwytu, ale Vornado czuł się bez włosów jak nagi. Rachel pocieszała go, że wygląda jak Mr Muscle. Chemioterapia była większą torturą ale znosił to ze stoickim spokojem. Bardziej niż zmęczenie dokuczały mu mdłości. Robiło mu się niedobrze od samego zapachu jedzenia. Czasami myślał, że chyba częściej wymiotuje – i ma odruchy wymiotne – niż jakakolwiek istota ludzka. W ciągu miesiąca schudł ponad dziewięć kilogramów. Stał się kościsty i słaby. Ale wciąż żył, rozmawiał z dziećmi i bawił się z malutką Erin. Jednak nie opuszczała go myśl, że jego dni są policzone.

Wkrótce osłabł tak, że nie mógł wchodzić po schodach, nawet z pomocą Rachel. Zrobiła miejsce w jego gabinecie na parterze i wstawiła tam szpitalne łóżko z poręczami. Vornado leżał w swoim pokoju, malutka Erin siedziała obok niego na materacu. Peter junior i Marla mieli wakacje i spędzali dni w szkółce piłkarskiej i tenisowej, ale wieczorami dotrzymywali mu towarzystwa. W przeciwieństwie do Erin, rozumieli sytuację. Erin najpierw chciała się z nim bawić i była nieszczęśliwa, że jest uwięziony w łóżku. Z uporem siedziała z nim w

pokoju, oglądała telewizję i słuchała, jak mama czyta tacie książki. Vornado nie mógł się już skoncentrować na treści swoich ulubionych thrillerów prawniczych, więc Rachel wypełniła półki powieściami Marka Twaina. Kiedy wychylał się z łóżka, żeby zwymiotować, Erin klepała go rączką po plecach, a Rachel podtrzymywała mu czoło.

Vornado dostał trzy zastrzyki szczepionki i zaczęła się faza obserwacyjna programu. Chemioterapia i radiacja skończyły się. Po pierwszym zastrzyku nie było bólów głowy i przykrych doznań somatycznych. Rachel uważała, że niebezpieczeństwo minęło, ale Vornado w to wątpił. Bóle głowy powróciły przed wizytą kontrolną w Duke. W drodze do ośrodka Vornado dostał w samochodzie nagłego ataku gwałtownych drgawek. Pojechali szybko do najbliższego szpitala, gdzie stwierdzono odwodnienie i osłabienie organizmu. Ustabilizowanie stanu Vornado trwało kilka godzin. Kiedy w końcu przyjechali do Duke, Vornado posadzono na wóz ku szpitalnym, wtoczono do środka frontowymi drzwiami i położono do łóżka. Po obejrzeniu wyników rezonansu magnetycznego i emisyjnej tomografii pozytronowej doktor Friedman nie musiał nic mówić, wystarczyła jego mina. Terapia się nie powiodła, nowotwór złośliwy powrócił. Rezonans magnetyczny wypadł dobrze, ale bardziej dokładna emisyjna tomografia pozytronowa wykazała narośl na mózgu.

– Pozostaje nam podjęcie ostatniej decyzji, Peter – powiedział cicho lekarz. – W takiej sytuacji zwykle

zalecamy opiekę hospicjum. Możesz wrócić do domu i brać silny środek przeciwbólowy, „koktajl morfinowy”, który podaje się pacjentom. Twoje ostatnie dni będą stosunkowo spokojne. Możesz zrezygnować z hospitalizacji i spędzić jeszcze trochę czasu z żoną i dziećmi.

– O jakiej decyzji pan mówi? – zapytał z wysiłkiem Vornado.

– Możesz podjąć ostatnie, bardzo poważne ryzyko. Dalibyśmy ci końską dawkę silnego środka chemicznego. Nie mówię o takiej chemioterapii, jaką przechodziłeś wcześniej. To byłby jeden zastrzyk bezpośrednio w podstawę mózgu. Toksyna może spowodować śmierć. W twoim obecnym stanie szanse przeżycia po tym zastrzyku są minimalne. I musielibyśmy odstawić inne leki, więc zabieg byłby bardzo bolesny. W dodatku, silny środek chemiczny zdolny zabić komórki rakowe może poważnie uszkodzić tkankę mózgową. Funkcje poznawcze raczej nie zanikną, ale motoryczne, wzrok, słuch i równowaga...

– To straty – przerwała mu Rachel. – A ewentualne zyski? – zapytała.

– Taki silny środek chemiczny zabije raka po jednym zastrzyku. Komórki rakowe nowej narośli są dużo słabsze niż pierwotnej. To jedyna możliwość wyeliminowania wszystkich komórek rakowych. Raz na zawsze.

Vornado spojrzął na lekarza i wziął głęboki oddech.

– Co by pan zrobił na moim miejscu, doktorze?

Lekarz popatrzył mu poważnie w oczy.

– Użyliśmy tej metody dopiero w ośmiu przypadkach, synu. Pięciu pacjentów zmarło w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Dwaj zapadli w śpiączkę i nie przeżyli dwóch tygodni. Ósmy wyszedł z tego i remisja jest całkowita, ale pewnie już nigdy nie będzie mógł chodzić. Sam widzisz, jakie są twoje szanse. Co ja bym zrobił? Wróciłbym do domu, skorzystał z opieki hospicjum, brał środki przeciwbólowe i bawił się z dzieckiem. Wydałbym ostatnie przyjęcie dla przyjaciół. Pożegnałbym się ze wszystkimi. Ale nie ja mam podjąć decyzję. Omów to z żoną. A jeszcze lepiej, prześpij się z tym i zadzwoń do mnie. Możesz dostać zastrzyk w Virginia Beach, nie musisz tu przyjeżdżać. Jak wolisz.

Rachel trudno było pożegnać się z Friedmanem i ostatnią nadzieją. Rozpłakała się w jego ramionach, potem mu podziękowała i poszła obok wózka Vornado na parking. W drodze do domu milczeli. Rachel ułożyła Vornado w łóżku szpitalnym w jego dawnym gabinecie i usiadła w skórzanym fotelu w rogu pokoju.

– I co o tym myślisz, Peter? – zapytała.

Vornado zawsze był gotów zaryzykować, a nawet umrzeć, ale tylko wypełniając obowiązek wobec ojczyzny. Na morzu jego śmierć czemuś by służyła. Teraz mógł stracić kilka tygodni spędzonych z dziećmi. Bardzo je kochał, ale leżenie przez miesiąc w łóżku, branie morfiny i bezradne, żałosne czekanie na śmierć zepsułoby ich ostatnie wspólne chwile. Mógł usprawiedliwić podjęcie gry o wszystko prostą odpowiedzią – albo

pokona chorobę, albo może się poddać. Szanse jeden do ośmiu – nawet gdyby zwycięstwo oznaczało życie na wózku inwalidzkim – były zachęcające w porównaniu z perspektywą biernego czekania na śmierć.

– Zaryzykuję – wyszeptał w końcu. – Jeśli się nie uda, stracę tylko kilka tygodni życia.

– Nie boisz się bólu?

Pomyślał, że nic nie może być gorsze niż ostatnich pięć tygodni. Pokręcił głową.

Oczy Rachel wypełniły się łzami.

– Muszę ci to powiedzieć. Nie chcę, żebyś wziął zastrzyk. Mam złe przeczucia.

– W porządku – odparł Vornado. – Zrezygnuję. – Może i dobrze, pomyślał. Może jego umieranie przez miesiąc będzie mniej bolesne dla rodziny, niż gdyby odszedł w ciągu kilku godzin.

Rachel w milczeniu rozejrzała się po pokoju. Popatrzyła na oprawione zdjęcia okrętów podwodnych, szablę oficerską opartą w rogu o ścianę, dyplom Akademii Marynarki Wojennej wiszący na honorowym miejscu obok zaświadczenia o zdobyciu kwalifikacji podwodniackich i na pisemne potwierdzenie, że Peter Vornado został odznaczony Brązową Gwiazdą za waleczność w tajnej operacji na Morzu Barentsa rok temu. Przełknęła głośno.

– Pomyślisz, że zwariowałam, jeśli ci powiem, że zmieniłam zdanie? – zapytała.

Roześmiał się i skrzywił z bólu.

– Nie, kochanie – odparł czule. – Ale co cię do tego skłoniło?

– Ty. Ten pokój jest świadectwem o tobie. Nie należysz do ludzi, którzy się poddają bez walki. Dlatego się w tobie zakochałam.

Vornado skinął głową, potem zmarszczył brwi.

– Pewnie przegramy.

– Chyba tak. Ale łatwiej będzie nam ze świadomością, że spróbowaliśmy wszystkiego.

– Masz więcej odwagi niż ja – powiedział Vornado.

Starła się nie rozplakać. Zacisnęła powieki, ale nie udało jej się powstrzymać łez.

– Chcesz przedtem kilka dni odpocząć? – zapytała w końcu ochrypłym głosem.

– Nie – odparł Vornado. – Do roboty. Dzwon.

Rachel zostawiła wiadomość dla Friedmana, posiedziała jeszcze godzinę z Vornado i poszła na górę do łóżka. Vornado leżał sam, myślał o ostatnich sześciu tygodniach i zastanawiał się, jak wyglądałoby teraz jego życie, gdyby nie miał raka. Nadszedł świt, w pokoju zaczęło się rozwidniać. Vornado pomyślał, że to może być jego ostatni poranek. Z trudem opuścił poręcz łóżka i wstał. Poszedł wolno do kuchni i usiadł przy oknie wychodzącym na wschód. Patrzył, jak zza wierzchołków drzew za domem wyłania się słońce.

Usłyszał płacz Erin i kroki Rachel. Weszła do kuchni.

– Ta-ta – powiedziała wesoło Erin, uśmiechnęła się i wyciągnęła rączki.

Rachel dała mu córeczkę i Vornado posadził ją sobie na kolanach. Pocałował Erin i spróbował mrugnąć dzielnie do Rachel, ale nie wypadło to przekonująco.

– Nadal chcesz to zrobić? – zapytała.

– Tak.

Na śniadanie przyszyły starsze dzieci i z ponurymi minami wysłuchały wyjaśnień matki na temat zabiegu. Zapytały, czy mogą dziś nie iść do szkółki sportowej. Vornado skinął głową do Rachel.

Usiadł w szpitalnym pokoju zabiegowym osiem kilometrów dalej. Zamknął oczy i czekał na wbicie igły. Myślał o więźniach, którzy dostają zabójcze zastrzyki. Ukłucie zabolalo, wstrzyknięty środek był piekący. Natychmiast zakrećilo mu się w głowie i dostał mdłości. Zaczął się zastanawiać, czy nie podjął złej decyzji. Jazda do domu była torturą. Na odcinku ośmiu kilometrów dwanaście razy wymiotował na sucho. Rachel miała problemy z położeniem go do łóżka, w końcu się udało. Leżał bezwładnie i nie miał nawet siły podnieść głowy, żeby zwymiotować. Ból i mdłości okazały się gorsze, niż mógł sobie wyobrazić. Nadchodziły falami – każda gwałtowniejsza od poprzedniej. W czasie jednego z tych strasznych momentów Vornado zdał sobie sprawę, że zaryzykował i przegrał. To koniec. Nie przeżyje nocy.

Jego jedyną żyjącą krewną była siostra. Pracowała w Japonii. Wyjechała zaledwie przed miesiącem i Vornado wiedział, że Diana nie zdąży przylecieć do Stanów przed jego śmiercią. Nie chciał umierać w samotności. Poprosił

Rachel, żeby zadzwoniła po przyjaciół i kolegów, zwłaszcza po jego najlepszego kumpla, współlokatora podczas studiów w Akademii i przeciwnika w czasie ćwiczeń morskich, BK Dillingera. Rachel poszła wykonać telefony. Jej mina mówiła: „Wiem, że się poddałeś”. Wróciła ze złą wiadomością – Dillinger znów jest na morzu, dowodzi swoim stałym okrętem podwodnym „Tucson” i sprowadzenie go tutaj wymagałoby cudu. Vornado skinął ze zrozumieniem głową. Zdał sobie sprawę, że już nigdy nie zobaczy BK. Pomyślał o Lecie Kadeta, Whiteheadzie i uśmiechnął się.

Kiedy wydłużyły się popołudniowe cienie, zjawili się przyjaciele. George Willey, były oficer wykonawczy Vornado, przyprowadził całą kadrę oficerską i starszych podoficerów z „Hamptona”. Przyjechał komodor Joe Palacz Kraft ze swoim sztabem i inni wyżsi oficerowie, dawni przełożeni Vornado. Kraft powiedział, że wydał „Tucsonowi” rozkaz wynurzenia, żeby helikopter mógł zabrać z pokładu Dillingera i dostarczyć go tutaj. Potem uścisnął Vornado dłoń i wyszedł.

Rachel starała się być wesoła, ale goście patrzyli na wycieńczonego Vornado i zawczasu żegnali się z nim na zawsze. Przy wyjściu każdej osoby Vornado z trudem powstrzymywał łzy. W końcu dom opustoszał. Na dworze zapadła ciemność. Przez następne dwie godziny Vornado walczył z bólem i czekał na Dillingera. Zdał sobie sprawę, jak bardzo zmęczyła go wizyta gości. Był wykończony, chciało mu się spać, ale starał się nie

zasnąć. Wiedział, że jeśli zamknie oczy, już się nie obudzi. Zmuszał się, żeby wytrzymać do przyjazdu BK. Chciał coś powiedzieć staremu kumplowi. Ale godziny oczekiwania dawały mu się we znaki. Dzieci i Rachel czuwały przy łóżku i także czekały.

Powróciły zawroty głowy. Kiedy drzwi frontowe uchyliły się ze skrzypnięciem, Vornado nie był pewien, czy naprawdę ktoś wchodzi, czy tylko mu się wydaje. Ale po chwili do gabinetu wkroczył muskularny komandor Burke Dillinger w wygniecionym letnim mundurze khaki. BK uśmiechnął się dzielnie, przytulił Rachel i przywitał się z dziećmi. Potem uderzył pięściami w zaciśnięte dłonie Vornado. Rachel wyprowadziła dzieci z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Vornado spojrzał w górę na przyjaciela. Miał nadzieję, że uda mu się mówić normalnym głosem, ale nic z tego nie wyszło.

– To koniec, BK. Czas zamknąć sklep – wychrypiął resztką sił. – Pomożesz mi? Zaopiekujesz się Rachel i dziećmi?

Dillinger przytaknął i mocno objął Vornado. Nie zdołał powstrzymać łez. Po chwili cofnął się i chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Vornado opadł na poduszkę, oczy mu zwilgotniały. Po kilku minutach wróciła Rachel. Przyniosła Erin i posadziła na łóżku. Dillinger odsunął się. Peter junior wziął Vornado za prawą rękę, Marla za lewą, Erin głaskała go po ramieniu.

– Jest dobrze, tatusiu, jest dobrze – wyszczebiotała.

Vornado czuł jej małe ciało przy swoim boku i zapach szamponu dla dzieci w jedwabistych blond włosach.

Chciał powiedzieć córeczce, że ją kocha, ale nie był w stanie wymówić słowa, nawet szeptem. Bezgłośnie poruszył wargami w nadziei, że Rachel odczyta treść zdania i powtórzy Erin. Ścisnął dłoń Petera, uśmiechnął się do Marli, do Rachel. Pocałował Erin w czoło, ale potem nie miał już siły utrzymać głowy nad poduszką. Zaczął niewyraźnie widzieć. Pokój kołysał się wolno tam i z powrotem, jakby Vornado znów był na morzu.

Pomyślał, że to pewnie ostatnie chwile przytomności. Musi walczyć, nie może zasnąć.

Daj sobie spokój, powiedział mu wewnętrzny głos.

Starął się to zignorować. Skoncentrował się na twarzach syna, córek, żony i przyjaciela. Czuł ich ręce ściskające jego dłonie. Próbował odwzajemnić uściski, ale nie miał już siły. Starął się bezgłośnie wymawiać słowa, ale suche, spękane wargi nie reagowały. Oddychał z coraz większym trudem, wszystkie mięśnie kolejno odmawiały mu posłuszeństwa.

Czuł się ociężały, jakby zapadał się w materac. Po każdym mrugnięciu unosił powieki z coraz większym wysiłkiem. Próbował zebrać w sobie siły i jeszcze nie zasypiać, ale nie mógł już utrzymać otwartych oczu. Poczował, że powieki opadają wolno i wyczerpanie uśmierza ból. Trwało to tylko przez kilka uderzeń serca.

Potem nie było już nic.

Szybował bez wysiłku nad morskimi falami, jego ciało i dusza nic nie ważyły i były wolne, poczucie szybkości odurzało. Jasne południowe słońce przesłaniały powoli chmury, aż nadszedł zmierzch, potem noc i na niebie pojawiły się gwiazdy.

Wiedział, że musi zrobić jeszcze jedną, ostatnią rzecz, więc zaczął skręcać, dopóki nie zobaczył piaszczystej plaży. Poszybował w głąb lądu, w dole przesuwały się jasno oświetlone hotele. Krajobraz pod nim zmieniał się, w końcu daleko w dole zobaczył dom. Z trudem opuścił się na trawnik od frontu. Kiedy się zatrzymał, zaczęło mu brakować poczucia szybkości, ale tutaj było coś ważnego. Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że dom wydaje się pusty bez roweru Petera juniora, kija baseballowego i rękawicy na frontowym podwórzu. Podjazd też wyglądał dziwnie – stał tam tylko samochód Rachel. Początkowo nie wiedział, co to jest, ale potem rozpoznał płacz Erin. Spojrzał w górę, ale w oknie sypialni było ciemno. Dziecko wciąż gorzko szlochało. Przybył nowy dźwięk, głos Rachel – bezskutecznie próbowała uspokoić córeczkę. Czekał długo, dopóki płacz nie ucichł. Potem przeniknął przez drzwi frontowe.

Najpierw zajrzał do swojego gabinetu, taki miał zwyczaj. Tylko że tym razem nie wrzucił kluczyków od samochodu i portfela do srebrnej misy na półce z książkami. Szpitalne łóżko zniknęło, pokój odzyskał poprzedni wygląd, ale panował tu dużo większy porządek niż kiedyś. Przeniósł się do nieskazitelnie czystej kuchni

– dawny bałagan był tylko mglistym wspomnieniem. Gdyby nie płacz Erin i znajome rzeczy w gabinecie, pomyślałby, że teraz w tym domu mieszka ktoś inny. W zlewku kuchennym stał jeden kubek po kawie. Przez jakiś czas wpatrywał się głupio w naczynie, mglście zdając sobie sprawę, że to coś znaczy.

Odwrócił się i wzniósł wolno na szczyt schodów. W pokoju Petera juniora panował większy rozgardiasz niż zwykle. Syn leżał pod kołdrą i patrzył w sufit. W dół skroni spływały mu łzy i wsiąkały we włosy. Spróbował zawołać chłopca, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Dotknął zmierzwionej czupryny syna – Peter junior nie zareagował. Obrzucił pokój ostatnim spojrzeniem i wycofał się. W głębi korytarza były zamknięte na klucz drzwi pokoju Marli. Przeniknął do środka i rozejrzał się. Wnętrze wyglądało dziwnie – było uporządkowane jak na zdjęciu w magazynie ilustrowanym. Tylko na krześle przy biurku leżała czarna sukienka, a obok na podłodze stały czarne pantofle na niskim obcasie. Przez moment patrzył na śpiącą córkę. Sięgnął do jej zastygłej w smutku twarzy, ale jakby go tu nie było. Marla odwróciła się na drugi bok – coś spadło z łóżka na podłogę. Spojrzał w dół i zobaczył zdjęcie oficera marynarki wojennej oprawione w srebrną ramkę. Blondyn na fotografii patrzył groźnie w obiektyw spod daszka białej czapki oficerskiej. Na białym mundurze miał dwa rzędy baretek, nad nimi złotego delfina podwodniackiego. Spróbował podnieść zdjęcie, żeby postawić je na biurku, ale okazało się za ciężkie.

Znów sięgnął do potarganych włosów Marli, potem odwrócił się z powrotem do drzwi. Przeniknął na korytarz i ruszył do głównej sypialni.

Wcisnął się przez uchylone drzwi. Zbliżył do tej strony łóżka, po której spała Rachel z Erin. Jego połowa była pusta, pościel nietknięta. Wsłuchał się w równy oddech dziecka. Delikatnie odgarnął jasny lok z czoła Erin, potem spojrzał czule na Rachel. Nawet we śnie wydawała się wyczerpana, a jednak wciąż była taka piękna, jak w dniu, w którym się poznali. Patrzył przez kilka minut na żonę i córeczkę, wspominał ich wspólne życie, które teraz wydawało się takie krótkie... Upomniał się, że nie powinien myśleć w kategoriach przeszłości.

Coś go ciągnęło do głównej łazienki. Powędrował tam wolno. Wnętrze oświetlał księżyc. Spojrzał w dół i zobaczył, że w kubku na umywalce jest tylko jedna szczoteczka do zębów. Patrzył na nią długo, jego myśli biegły coraz szybciej, aż w końcu uświadomił sobie prawdę.

 Nie żyje i nigdy nie wróci.

 Peter Vornado zapłakał.

Część III

Nowe rozkazy

13

Jasność tuż przed nim stała się intensywnym białym światłem. Popłynął wolno w górę w kierunku blasku. Ogarnęło go dziwne uczucie. Nie doznał czegoś takiego od bardzo dawna. Uświadomił sobie, że to optymizm i zadowolenie. Był zaskoczony.

Jaskrawe światło zmusiło go do skierowania uwagi na zewnątrz. Skoncentrował się na blasku, ale jasność go oślepiła. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że światło nie jest zjawiskiem nadprzyrodzonym, lecz ziemskim. Skupił się na otaczającym go świetle i w końcu zobaczył, co jest wokół. Blask okazał się promieniem słonecznym, który wpadał przez okno do małego pomieszczenia.

Sięgnął zmysłami dalej. Poczuł swoje ciało, ale było dziwne. Czegoś mu brakowało. Na moment wpadł w panikę jak pacjent, który obudził się po amputacji i gorączkowo stara się zorientować, co stracił. Powoli uświadomił sobie, że to, czego nie ma, to ból. Przez chwilę rozkoszował się luksusem cudownej bezbolesnej egzystencji. Ale wkrótce zrozumiał, że się mylił – ból nie zniknął. Czuł bolesność dolnej części pleców i palców prawej ręki. Zamrugał kilka razy.

Podciągnął się zdezorientowany do pozycji siedzącej i rozejrzał. Jego gabinet był zawsze ciemną jaskinią, okna z zasłonami i okiennicami wychodziły na północ. Trzeba by

reflektorów, żeby go aż tak rozjaśnić. Zrozumiał, dlaczego bolało go plecy – opierał się o wannę, siedząc na zimnych kaflach podłogi w głównej łazience. Dlaczego Rachel i BK Dillinger zaciągnęli go aż tutaj? Wydawało mu się niemożliwe, żeby wstał ze szpitalnego łóżka i przyszedł na górę tu o własnych siłach. Jeszcze dziwniejsza była przyczyna bólu ręki – we śnie ścisnął coś mocno w dłoni. Rozprostował palce i popatrzył tępo na swoją szczoteczkę do zębów. Próbował sobie przypomnieć coś nieuchwytnego, coś ważnego o tym przedmiocie, ule nie mógł. Wzruszył ramionami i postanowił pomyśleć o tym później.

Uniósł ramię i doświadczył cudu – odłożył szczoteczkę na umywalkę bez bólu w kościach. Położył dłoń na brzuchu. Nie bolał. Dotknął rękami głowy. Żadnego bólu. Odwrócił wolno głowę, spodziewając się zawrotów, i przygotował się do podniesienia pokrywy sedesu, żeby wymiotować. Nie miał jednak mdłości. Spróbował zawołać Rachel. Głos mu drżał, ale przynajmniej nie był niemową. Rachel nie przyszła, więc postanowił na próbę wstać. Umywalka wydawała się oddalona o kilometr, ale zdołał się jej chwycić i podnieść. Jakimś cudem trzymał się na nogach. Stał oszołomiony. Czekał na zawroty głowy i utratę równowagi. Ale po pięciu minutach poczuł tylko głód. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i zobaczył twarz łysego faceta z zapadniętymi policzkami, podkrążonymi oczami i spękanyymi wargami. Pojawiło się jednak coś nowego – zdrowszy kolor skóry. Ziemista cera

z ostatnich tygodni zniknęła. Wyszedł wolno na korytarz. Zdał sobie sprawę, że powłóczy nogami bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby. Wyprostował się. Ciało zareagowało. Zdołał zejść po schodach bez pomocy Rachel. W holu na dole uśmiechnął się. Skręcił i otworzył drzwi swojego ciemnego gabinetu.

Na szpitalnym łóżku chrapała Erin. Na krześle obok siedziała Rachel z głową na materacu. Potrząsnął jej ramieniem, ale nie obudziła się. Żałował, że nie może zanieść żony na górę do sypialni, ale wiedział, że nie ma siły. Ściągnął z łóżka kołdrę i przykrył Rachel ramiona. Potem cicho zamknął za sobą drzwi.

Ruszył do salonu i nagle usłyszał chrapanie. Kiedy skręcił za róg, zobaczył na sofie Dillingera. BK spał pod wełnianym szalem. Był w dzinsach i T-shircie Sił Podwodnych Stanów Zjednoczonych. Dziwne, bo przyjechał w mundurze. Vornado potrząsnął ramieniem przyjaciela, ale Dillinger też się nie obudził.

Głód się nasilił. Vornado poszedł wolno do kuchni. Najpierw poruszał się ostrożnie, zrobił sobie kawę, potem tosta. W końcu wzruszył ramionami i usmażył jajecznicę na bekonie, pogwizdując pod nosem. Nakrył do stołu, przysunął sobie krzesło i zaczął nakładać jajecznicę na talerz. Wtedy weszła Rachel z ziewającą Erin na rękach. Na jego widok wytrzeszczyła oczy. Vornado uśmiechnął się i zaprosił ją gestem do stołu.

– O, mój Boże – wykrztusiła. – Przez pięć dni byłeś w śpiączce. Myślałam, że to już koniec. Staralam się czuwać

przy tobie i przez cztery dni udawało mi się nie zasnąć. Bałam się, że jeśli zasnę, to cię stracę. W końcu mnie zmogło, a kiedy się obudziłam, ciebie nie było! Tak się przestraszyłam, że dostałam bólu w klatce piersiowej. – Opadła na krzesło, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Szlochała, aż trząsł się stół. Vornado usiadł przy Rachel, otoczył ją ramieniem i przytulił.

– Dobrze się czujesz? – zapytała z nadzieją drżącym głosem.

Przytaknął. Zastanawiał się, czy powiedzieć, gdzie spędził noc.

– Nie mam mdłości, nie jestem zmęczony i nie boli mnie głowa.

– Zjedz śniadanie, a ja zadzwonię po samochód – powiedziała. – Pojedziemy do Duke.

Tego popołudnia podróż do ośrodka wydawała się łatwa. W oczach doktora Friedmana najpierw był ostrożny optymizm. Po prześwietleniach na twarzy lekarza pojawiło się zdumienie. Poproszono państwa Vornado, żeby zostali na noc, bo ze Szwecji przyleci twórca programu, żeby zobaczyć wyniki. Lekarze pośpiesznie zebrali się na konferencji, która trwała godzinami. Wynalazca szczepionki nalegał na zrobienie biopsji strefy zaatakowanej wcześniej przez raka. Vornado zgodził się w nadziei, że to będzie ostatni zabieg. Rano trzeciego dnia pobytu w Duke Peter i Rachel czekali w gabinecie na lekarza, który oglądał wyniki biopsji. Zjawił się po kilku godzinach. Vornado wstał. Po

raz pierwszy odkąd się znali, zobaczył w jego oczach wesołość.

– Badania wykazują obecność samej zdrowej tkanki, Peter. To niebywałe. Prawdziwy cud medyczny. Przypuszczamy, że ostatnia końska dawka środka chemicznego wzmocniła działanie szczepionki. Myślimy o włączeniu tego w jakiejś formie do terapii bazowej. W każdym razie, pokonałeś raka.

– Jestem wyleczony? – zapytał Vornado.

– Wszystko na to wskazuje. Pozostaniesz pod obserwacją. Co trzy miesiące będziemy robili badania kontrolne i prześwietlenia, dopóki się nie upewnimy. A potem... No, cóż. Zobaczymy, jaki będzie najbliższy rok. Na razie gratuluję. – Lekarz uśmiechnął się szeroko i uściskał Vornado.

W drodze powrotnej do Virginia Beach Rachel płakała ze szczęścia, a Peter Vornado starał się przyzwyczaić do myśli, że żyje. Tak długo przygotowywał się do śmierci, że wydawało się to niemożliwe. Był zdezorientowany. Pomagała mu tylko rozmowa z Erin. Córeczka, zachwycona zainteresowaniem nagle ozdrowiałego ojca, bezskutecznie paplała ze swojego fotelika.

Vornado patrzył przez szybę samochodu głęboko zamyślony. Pozostała sprawa dotychczasowej kariery. Bezskutecznie próbował sobie wyobrazić, co stanie się z jego pracą. Postanowił zameldować się w eskadrze. Był pewien, że przydzielą go do papierkowej roboty. Co

innego mogą zrobić? Jest niezdolny do służby liniowej – lub przynajmniej nie w pełni z. dolny, ale na jedno wychodzi. Nie można na nim polegać tak, jak kiedyś. Odzyskał życie, jednak nie zawodowe. Wiele dokonał, ale wypadł z gry. Bardzo tego żałował, bo już zaczynał tęsknić za służbą.

Oparł głowę o szybę i zamknął oczy, choć wiedział, że się nie zdrzemnie. Kiedy samochód przekroczył granicę Wirginii, Vornado pomyślał o czymś, co pozwoliło mu zasnąć – pożegnał się z życiem i cudem je odzyskał. Teraz czas pożegnać się z karierą wojskową i zobaczyć, co nastąpi. Zaczął cicho chrapać.

Tym razem we śnie widział dwa samochody na podjeździe, zlew pełen brudnych naczyń, łóżko z pogniecioną pościelą po obu stronach, dwoje dzieci śpiących spokojnie w swoich zagraconych pokojach i dwie szczoteczki do zębów na umywalce. Vornado długo stał w łazience, patrzył na dwie szczoteczki i próbował zrozumieć, co symbolizują. W końcu zrozumiał, że ma przed sobą prostą prawdę: żyje.

Peter Vornado uśmiechnął się.

Pierwszy dzień nowego życia postanowił zacząć po staremu. Przebudził się o czwartej rano bez pomocy budzika. Usiadł w łóżku i rozejrzał się po pokoju. Był wdzięczny, że to małżeńskie łóżko w sypialni, a nie szpitalne w gabinecie. W sobotę zabrali je pracownicy firmy przeprowadzkowej i ustawili na dawnych miejscach

ciężkie meble.

Vornado na kilka sekund zamknął oczy, tylko po to, żeby głębiej doznać uczucia normalności. Kiedy je otworzył, świat był taki sam. Odwrócił się, żeby popatrzeć w półmroku sypialni na Rachel. Spała głęboko, obejmując Erin. Dziewczynka chrapała skulona obok matki i trzymała palce w buzi. Vornado pogłaskał żonę po głowie, wspominając, jak kochali się poprzedniej nocy po raz pierwszy od sześciu miesięcy. Zaczęli delikatnie, potem robili to niemal gwałtownie. Rozmasował miejsce na ramieniu, gdzie zęby Rachel przecięły mu skórę. Uśmiechnął się z żalem, że powrót do życia nie oznacza powrotu na stanowisko kapitana okrętu podwodnego. Ale wiedział, że to niemożliwe, mimo dużych wpływów Joe Palacza Krafta.

Vornado wstał i poszedł do łazienki. Wziął prysznic, wrócił do pokoju i sięgnął do szafy po roboczy mundur khaki, ale zmienił zdanie. Jeśli ma się dzisiaj pożegnać ze służbą, bardziej odpowiedni będzie mundur wyjściowy khaki. Wyjął go z plastikowego worka z pralni chemicznej i przygotował po omacku w mrocznym pokoju. Najpierw przyczepił naramienniki z dystynkcjami – każdy ze złotą gwiazdką i trzema belkami. Potem znalazł na półce złotą odznakę z dwiema łuskowatymi rybami zwróconymi przodem w kierunku kiosku starego dieslowskiego okrętu podwodnego między nimi – podwodniackie delfiny. Przypiął odznakę nad lewą górną kieszeń. Pod nią przyczepił trzy rzędy baretek. Na górze

była Brązowa Gwiazda, Medal za Zasługi i Order Prezydencki – odznaczenia za bohaterskie wyczyny, które wydawały się bardzo odległe. Zdał sobie sprawę, że nie dostanie więcej odznaczeń. Zastanawiał się, czy przypiąć jeszcze złotą kotwicę wpisaną w mały okrąg wielkości monety – symbol dowódcy okrętu bojowego. Joe Palacz na pewno już wyznaczył nowego kapitana „Hamptona”. Vornado wzruszył ramionami i przypiął kotwicę. Pomyślał, że z nią czy bez niej i tak wygląda w tym mundurze na uzurpatora.

Przez moment miał ochotę włożyć garnitur, ale odrzucił ten pomysł. Dopóki nie dostanie na piśmie decyzji o zwolnieniu ze służby, nadal jest komandorem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Wziął czarną plakietkę identyfikacyjną z napisem KMDR P. Vornado, USS „Hampton”, oficer dowodzący. To też już nie była prawda, ale przypiął identyfikator do munduru. Zapiął koszulę khaki, zawiązał czarny krawat i skrzywił się, kiedy wciągnął spodnie. Były na niego za duże. Wyglądał w nich jak żywa reklama środków odchudzających. Ale kurtka mundurowa zasłoni fałdy w pasie. Włożył ją i przymierzył czapkę. Też okazała się o numer za duża. Nawet głowa mu zmaląła. Wetknął czapkę pod pachę i zszedł na palcach do gabinetu.

Wnętrze wydawało się inne po tym, jak omal tu nie umarł. Pomyślał, że może powinien przemeblować i odmalować pokój. Stary skórzany neseser, który zawsze nosił, stał pusty i trochę zakurzony. Vornado czułby się

dziwnie, gdyby go nie wziął, ale zdał sobie sprawę, że nie będzie mu potrzebny. Znalazł kluczyki od starej corvetty, którą kupił od Dillingera w czasie rozvodu przyjaciela. Wyszedł z domu i odetchnął porannym powietrzem. Bryza przynosiła słony zapach morza. Ziewnął, przeciągnął się i podszedł z uśmiechem do czarnego sportowego samochodu. Otworzył drzwi i przypomniał sobie, jak próbował zwrócić auto Dillingerowi, kiedy był bliski śmierci. Ale BK nie chciał przyjąć corvetty. Powiedział, że za bardzo przypomina mu ekszonę. Vornado przypuszczał, że samochód nie zapali, ale silnik zaskoczył od razu.

Jazda do bazy o czwartej trzydzieści trwała tak krótko, że ledwo ją poczuł. Wjechał na parking dla wyższych oficerów, ale nie na swoje dawne miejsce – miał je zająć ktoś inny. Wyłączył silnik i poszedł do strzeżonego wejścia na nabrzeża. Ponury wartownik zmarszczył brwi, porównując zdjęcie Vornado z jego wyglądem. Zanim go wpuścił, polecił wprowadzić do czytnika kontrolnego hasło osobiste.

Przy nabrzeżu numer trzy nadal stała tablica z wymalowanym rekinem popychającym kulę bilardową z cyfrą osiem. Poniżej widniał napis: ÓSMA ESKADRA OKRĘTÓW PODWODNYCH. Vornado minął tablicę, podszedł do drugiej wartowni i znów się wylegitymował. Zamierzał wejść od razu na okręt tender „Centurion”, ale jakaś dziwna siła odpychała go od trapu i jednocześnie ciągnęła dalej wzdłuż nabrzeża do okrętu podwodnego

„Hampton”, którym ostatnio dowodził. Zagryzł wargi na myśl, jak smutno zabrzmia słowa „były kapitan”. Nie użalaj się nad sobą, pomyślał z niechęcią. Otarłeś się o śmierć i powinieneś być wdzięczny za każdy dzień życia, jaki ci pozostał. Doszedł do stanowiska cumowniczego numer siedem, gdzie stał USS „Hampton”, SSN-767. Długi, smukły okręt był cały czarny – od dziobu w kształcie pocisku aż do zwężonej rufy. W ciemnej wodzie wokół kadłuba odbijało się światło reflektorów portowych. Vornado dostrzegał krawędzie gumowej powłoki bezechowej wokół pokryw dwunastu pionowych wyrzutni rakietowych, symbolu potęgi okrętu. Głowice bojowe pocisków manewrujących wystrzeliwanych z pełnego morza mogły dotrzeć do najbardziej odległego bunkra na lądzie. Przeciwnicy na drugiej półkuli poznali skuteczność tej broni. Ale Vornado już nigdy nie wyda rozkazu otwarcia ognia.

Pociągnął nosem i odpiął znak dowódcy okrętu bojowego. Przez chwilę ważył mały kawałek metalu w dłoni, potem spojrzął na niego w blasku reflektorów. To koniec, pomyślał. Czas powierzyć odznakę morzu. Rzucił ją do wody, popatrzył na zmarszczki na powierzchni i wyobraził sobie, jak złota kotwiczka opada na dno pod dziobem „Hamptona”. Usłyszał za sobą szybkie kroki.

– Pan kapitan? – zawołał młody głos. – Pan kapitan Vornado? To pan, sir?

Vornado odwrócił się. W jego kierunku biegł marynarz pełniący wartę przy okręcie. Na twarzy miał wyraz

niedowierzania. Zatrzymał się przed Vornado, wyprężył na baczność i zasalutował energicznie.

– Dzień dobry, sir – powiedział z uśmiechem. – To naprawdę pan. Witamy z powrotem, sir.

Vornado też zasalutował młodemu sonarzyście i odwzajemnił uśmiech.

– Przyszedłem tylko spojrzeć ostatni raz na starą łajbę, Simmons – powiedział i pomyślał, że w obecności wartownika czar przysł. – Muszę już iść. Ty też powinienes. – Odwrócił się na pięcie i poczuł ucisk w krtani.

Pierwsze kroki oddalające go od okrętu, którym kiedyś dowodził, i od dawnego życia wydały mu się najtrudniejszymi, jakie kiedykolwiek przeszedł. Czuł się tak, jakby rozstawał się z marzeniami. Już nigdy nie wyda rozkazu wyjścia w morze ani przygotowania okrętu do zanurzenia. Już nigdy nie poczuje na twarzy chłodu gumowej osłony modułu optycznego peryskopu. Już nigdy nie zobaczy srebrzystych spodów fal, rosnących powoli w wizjerze, piany na powierzchni morza i celu w podziałce peryskopu. Już nigdy nie poczuje dreszczu emocji, gdy na jego rozkaz załoga będzie zajmowała stanowiska bojowe. Już nigdy nie usłyszy odgłosu wystrzeliwanych torped i pocisków raketowych.

Cieszył się, że pożegnał to wszystko przed świtem, kiedy nikt nie widział jego opuchniętych oczu i ciekącego nosa. Wrócił szybko nabrzeżem do trapu tendera, wszedł na okręt i wspiał się po trzech

kondygnacjach stalowych schodów na pokład numer 01. Pomyślał, że na szczęście komodor rano wstaje. Będzie można szybko załatwić tę przykrą sprawę rozstania się ze służbą i zacząć nowy rozdział życia.

Vornado wszedł do biura dowódcy eskadry. Na przegrodach wisiało około dwudziestu zdjęć okrętów podwodnych. Za biurkiem siedziała Brenda – podoficer kancelaryjny – piękna dziewczyna z dużym biustem. Zerwała się z miejsca, podbiegła do Vornado i przytuliła go tak mocno, że omal się nie przewrócił. Kiedy na nią spojrzał, zaczerwieniła się i wymamrotała:

– Myślałam, że pana straciliśmy.

Vornado uśmiechnął się uprzejmie, ale zdał sobie sprawę, że Brenda ma rację – eskadra go straciła. Drzwi się otworzyły i wszedł komodor Kraft. Prezentował się imponująco i wszędzie przyciągał spojrzenia. Miał prawie dwa metry wzrostu, w akademii uprawiał boks i zdobył tytuł wicemistrza brygady. Był po czterdziestce, ale wyglądał starzej przez opaleniznę, zmarszczki i kurze łapki. Miał pociągłą twarz, wystające kości policzkowe, wyraźnie zarysowaną linię szczęki, dziwnie ciemne brwi i niebieskie oczy. Był siwiejącym i lekko łysiejącym blondynem. Złamany nos – pamiątka po przegranej na punkty walce o mistrzowski tytuł – nadawał mu wygląd podejrzanego typa, choć Kraft miał zazwyczaj dobroduszną minę. Ostatnio schudł i stracił muskulaturę z czasów młodości, ale nadal był barczysty. Uśmiechnął się szeroko do Vornado, odsłaniając białe, ale trochę

nierówne zęby. Wyciągnął potężną rękę, ostrożnie potrząsnął dłonią Vornado i uściskał go serdecznie.

Kraft wprowadził gościa do swojego gabinetu. Wypytał go o przebieg choroby i obecny stan zdrowia. Vornado przez moment miał nadzieję, że Kraft zaproponuje mu dowodzenie „Hamptonem”, ale komodor zrobił ponurą minę i wygłosił słowa, które oznaczały koniec kariery Vornado.

– Przykro mi, Peter. Rachel przekazała mi dobrą wiadomość i zacząłem działać. Poruszyłem niebo i ziemię, ale cholernie wystraszyłeś starego w czasie ćwiczeń z Dillingerem. – Kraft mówił o admirale Chestym Schwarzu, dowódcy sił podwodnych floty atlantyckiej. – Myśleliśmy, że już po tobie. Schwarz dostał opieprz od szefa operacji morskich, że nie przerwał ćwiczeń zaraz po twoich pierwszych bólach głowy. Natychmiast zaczęło krążyć sto okólników na temat tego, jaki powinien być stan zdrowia wyższych oficerów liniowych i co należy robić, kiedy kapitan zachoruje. Schwarz zadzwonił do mnie i powiedział, że nawet jeśli komisja lekarska uzna cię za zdolnego do służby na morzu, oddanie ci pod dowództwo okrętu podwodnego z bronią nuklearną byłoby cholernie ryzykowne. Niech to szlag, Peter. Oni chyba myślą, że w każdej chwili możesz wykitować albo dostać świra od tego guza mózgu i zagrozić bezpieczeństwu nuklearnemu. Jak na ironię, twoja wspaniała walka w czasie ćwiczeń zrobiła wrażenie na szarzy, ale teraz wolą nie ryzykować. Niestety nie

możemy przyjąć cię z powrotem. Z punktu widzenia marynarki jesteś niezdolny do służby liniowej na morzu. Bardzo mi przykro.

Vornado spróbował się uśmiechnąć.

– Dzięki, komodorze. Doceniam to, co pan dla mnie zrobił, ale nie mogę winić Schwarza. Gdyby pan mnie nie znał, pewnie rozumowałby pan tak samo, jak on. Powinienem się tego spodziewać.

Vornado zagryzł wargi. Gabinet Krafta wydał mu się nagle bardzo od – legły, jakby był gdzieś w tle na ekranie telewizora. Zastanawiał się gorączkowo nad swoją przyszłością. Dotąd nie myślał, co będzie dalej. Miał nadzieję, że Kraft pozwoli mu wrócić na morze. Albo przynajmniej każe mu stanąć przed komisją lekarską i dopiero potem podejmie decyzję. Teraz zamknięto mu drzwi przed nosem i musiał zacząć nowy etap życia. Ale nie bardzo wiedział, w jakim kierunku pójść. Będzie musiał porozmawiać o tym z Rachel. Zawsze miała głowę na karku i własne ambicje. Zanim doszedł do stanowiska dowódcy, dała mu kilka dobrych rad. Najpierw go zapyta, jaką korzyść przyniosłaby mu dalsza służba w marynarce. Zastanawiał się przez chwilę, jak by się czuł za biurkiem w Pentagonie, Dowództwie Atlantyckiej Floty Podwodnej lub w Głównym Dowództwie Floty Atlantyckiej. Natychmiast zdał sobie sprawę, że byłby sfrustrowany. Niech to szlag, zaklął w duchu. Nie ma jeszcze nawet trzydziestu dziewięciu lat, a już jest na bocznym torze. Na pewno by nie awansował – a w marynarce można tylko

iść w górę albo odejść – i w końcu szarża pokazałaby mu drzwi. Ale jakie ma inne kwalifikacje? Z wykształcenia był inżynierem mechanikiem. Dzięki lektoratom i dziadkom ze strony rodziców znał biegle francuski i rosyjski – podczas swoich częstych wizyt nalegali, żeby rozmawiał z nimi w ich ojczystych językach. Zaczął się zastanawiać nad pracą w Europie i próbował sobie przypomnieć, czy zna kogoś w sektorze prywatnym, kto by go zatrudnił. A może przydałby się w Departamencie Stanu? Ale gdyby nie chciał podróżować, to nic z tego. Perspektywa placówki zagranicznej wydawała się interesująca, ale wolał być z rodziną. Zwłaszcza teraz, po tym, jak omal jej nie stracił. Przyszło mu do głowy, że skoro zna języki obce i ma zezwolenie na dostęp do spraw ściśle tajnych, to spełnia warunki wymagane w branży wywiadowczej. Może więc powinien pomyśleć o pracy w Agencji Wywiadowczej Obrony, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego lub nawet w CIA. Omal nie zachichotał, kiedy w wyobraźni zobaczył siebie jako szpiega. Nagle zdał sobie sprawę, że Kraft coś do niego mówi.

– Przepraszam, sir. Mógłby pan powtórzyć?

– Mówiłem, że dowodziłeś „Hamptonem” przez rok, Peter. Za dwa lata i tak zakończyłbyś karierę dowódcy okrętu podwodnego. Po prostu usiądziesz za biurkiem trochę wcześniej. Byłeś moim najlepszym kapitanem, może nawet najlepszym na całym Wschodnim Wybrzeżu. Dostaniesz ode mnie rekomendacje na komodora. Nie ma przeszkód, żebyś kontynuował karierę. – W głosie Krafta

brzmiał proszący ton.

Vornado myślał o tym, ale w sugestii Krafta tkwił pewien szkopał. Vornado był kapitanem tylko przez rok i miałby problemy z dowodzeniem bardziej doświadczonymi kolegami. Kochał Siły Podwodne – to życie, tych ludzi, tę służbę. Mógłby pomagać podwładnym, nadal oddychać morskim powietrzem, patrzeć na okręty podwodne wyruszające w misje i ratować je, kiedy znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Ale myśl, że zawsze zostawałby na lądzie, zamiast działać na pokładzie jednego z okrętów, była straszliwie przygnębiająca. Stanie z boku by go zabiło. Są zawodnicy, którzy bez problemów zostają trenerami, ale chyba nie on. Zdecydował, że czas iść dalej.

– Wiem, sir, i dziękuję. Nie chcę, żeby pan pomyślał, że nie jestem wdzięczny, ale... Chodzi o to, że się zmieniłem. Nie jestem już tamtym facetem, którego ewakuowano helikopterem z „Hamptona”. Nie wiem, ile czasu mi zostało. Może choroba powróci za rok czy pięć lat? Coś mi mówi, żebym szedł dalej, sir, i chyba powinienem posłuchać tego głosu.

Kraft otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Po chwili krępującej ciszy zapytał:

– Masz już plany na przyszłość?

Vornado wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie. Czeka mnie długie myślenie, sir. Ale mam ostatnią prośbę.

– Dla ciebie wszystko, Peter.

– Chciałbym odejść z końcem miesiąca, komodorze. Skoro zdecydowałem iść dalej, to czas ruszać.

Kraft skinął głową.

– Zobaczą, co da się zrobić, Peter. Jeśli nie uda mi się załatwić tak szybko zwolnienia z powodu stanu zdrowia, dam ci przynajmniej ostatni urlop. Będziesz mógł się zająć swoimi sprawami.

Vornado wstał.

– Dzięki, komodorze.

Uściskał szefowi dłoń i wyszedł. Podeszła Brenda, żeby ostatni raz go przytulić. Vornado chwycił czapkę, opuścił pokład sztabowy i zszedł po długim trapie na ląd. Kiedy stanął na betonie, spojrzał na okręty podwodne eskadry. „Tucson” Dillingera był przycumowany na końcu nabrzeża dziobem do wyjścia z portu, tak jak BK lubił. Minęła zaledwie ósma, za wcześnie na wizytę u Dillingera. Na okręcie trwała gorączkowa krzątanina, która miała się skończyć dopiero po lunchu. Vornado pomyślał, że lepiej wrócić do domu i porozmawiać z Rachel. Może później wpadnie do starego kumpla. Po takim dniu kilka piw w barze dla motocyklistów dobrze by mu zrobiło. Vornado pokręcił głową i poszedł wolno do samochodu. Rozejrzał się ostatni raz, westchnął, wsiadł do corvetty i odjechał na południe.

Hank Lewis usiadł przy krańcu lśniącego dębowego stołu konferencyjnego o długości dziesięciu metrów, włączył komputer do sieci i przeczesał ręką gęste włosy, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany. Briefingi dla Komitetu Wykonawczego trwały zwykle piętnaście minut, czasem pół godziny, jeśli projekt mógł zainteresować Biały Dom lub Kongresową Komisję Nadzorczą. Wczoraj późnym wieczorem Lewis dowiedział się, że na dzisiejszym zebraniu w sprawie kosztów i statusu jego projektu „Złota Rybka” będzie Komitet Wykonawczy, łącznie z szefem CIA, i oczekują trzygodzinnej, szczegółowej prezentacji. Na myśl o spotkaniu z samym szefem Lewis pocił się pod kołnierzykiem koszuli, mimo arktycznej temperatury w klimatyzowanej sali.

Dzisiaj na nim spoczywała cała odpowiedzialność za uratowanie projektu „Złota Rybka” przed dezaprobatą szefa CIA, który dotąd otrzymywał krótkie sprawozdania z operacji, ale dopiero teraz chciał poznać szczegóły i uczestniczyć w podjęciu ważnych decyzji. Lewis pomyślał o miesiącach pracy poprzedzających przeniknięcie do terminalu, o niewiarygodnym wysiłku, żeby dotrzeć do szefa tamtejszej ochrony, o dniu, w którym przyszły stamtąd pierwsze zdjęcia, i o dwóch wpadkach – jednej przy wprowadzaniu agenta i drugiej

jeszcze niewyjaśnionej. Na myśl o tym, że szef mógłby zlikwidować czy choćby zredukować program, Lewis dostał skurczu żołądka. Jego przełożeni liczyli na niego. Mieli nadzieję, że przedstawi projekt tak, żeby głównodowodzący CIA był zadowolony. Ale Lewis nie mógł przeholować, bo naciąganie prawdy mogło się dla niego skończyć degradacją lub przydzieleniem go do innej pracy – szef słynał z takich posunięć. Briefing bez wątpienia był grą o wysoką stawkę. Lewis przez pół nocy patrzył w sufit i martwił się, jak wypadnie prezentacja.

W obecności szefa CIA denerwowałyby się nawet, gdyby miał przedstawić zwykły raport o kosztach i statusie. A ten briefing zapowiadał się dużo gorzej. W projekcie była „niewiadoma”, co oznaczało, że nie wszystko jest pod ścisłą kontrolą, a nie za to płacono tajnym służbom. Niewiadome spędzały sen z oczu każdemu wyższemu oficerowi operacyjnemu. Niszczyły projekty i kariery. Lewis upominał się w myślach, że jest zbyt ambitny, ale brał udział w grze w pierwszej lidze. Może był tylko skromnym urzędnikiem państwowym, ale kto z jego kolegów z czasów studiów na Uniwersytecie Stanforda mógł się pochwalić, że jest tylko trzy szczeble niżej od szefa tajnych operacji CIA i został wyznaczony do kierowania flagowym projektem całego Wydziału Antyproliferacyjnego? Lewis wrócił myślami do niewiadomej. Dostał niespodziewany cynk od kontaktów w marynarce wojennej. Natychmiast spotkał się ze swoim szefem, dyrektorem Wydziału Antyproliferacyjnego,

Phillipem Cogsworthem.

Cogsworth należał do starej gwardii CIA z czasów zimnej wojny. W pracy operacyjnej był porywczy i bezwzględny, ale podwładnych traktował jak równych sobie, odnosił się do nich uprzejmie i wspierał ich. Z wyglądu przypominał Stalina; świadomie lub nie, nosił takie same wąsy i podobną fryzurę. Po wysłuchaniu wiadomości Lewisa z marynarki wojennej zadzwonił do zastępcy szefa CIA do spraw operacyjnych, Kennetha Pirata Bostoniana. Lewisowi na moment podskoczyło tętno. Bostonian był twardym sukinsynem i jednym z tych, których lepiej unikać. Wpadł do sali konferencyjnej z morderczą miną na chudej, kościstej twarzy. Miał ogoloną głowę, zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy. Żartowano, że gdyby nosił pod brodą skrzyżowane piszczele, zamiast nieodzownej krwistoczerwonej muszki, wyglądałby jak piracka flaga – stąd wzięło się jego przyzwisko. Lewis powtórzył wiadomości z marynarki i na twarzy Bostoniana pojawił się drapieżny uśmiech. Mówiąc z nosowym akcentem z Indiany, kazał Lewisowi przedstawić sprawę na briefingu. Podczas prezentacji raportów o statusie i kosztach rzadko podejmowano ryzykowne decyzje, ale Bostonian powiedział, że szef CIA coraz bardziej nalega, żeby włączyć go w nurt prawdziwej pracy. Po wyjściu Bostoniana Lewis zastanawiał się, czy nie został w coś wrobiony, bo Pirat był zdradzieckim sukinsynem. Kilku przyjaciółom Lewisa wbił nóż w plecy i choć dotąd nie wziął na celownik

Lewisa, rzadko ujawniał swoje zamiary. Lewis czekał teraz na rozpoczęcie zebrania, powtarzał sobie w myślach to, co zamierzał powiedzieć, i miał coraz więcej wątpliwości. Między genialnymi a kiepskimi pomysłami była bardzo cienka granica i im dłużej rozważał na temat swojej prezentacji, tym bardziej skłaniał się do negatywnej oceny.

W końcu sala zaczęła się zapełniać. Podano kawę i ciasteczka, jak na zebraniu rady nadzorczej firmy z listy Fortune 500. Członkowie Komitetu Wykonawczego weszli wszyscy razem, łącznie z wicedyrektorem Spandrelem, Bostonianem i wicedyrektorami do spraw wywiadowczych, naukowo-technicznych i personalnych. Lewis poprawił krawat i dopił kawę. Podniósł wzrok i zobaczył, że z wyjątkiem jednego, wszystkie miejsca są już zajęte. Puste było tylko krzesło na środku dłuższej krawędzi stołu, które stało przodem do rzędu okien. W sali panowała niemal namacalna atmosfera oczekiwania. Za drzwiami rozległy się kroki. Lewis wstał.

Dyrektor Robert McKinley wmaszerował energicznie do środka, uśmiechnął się i skierował w głąb sali. Po drodze uścisnął kilka dłoni, potem spojrzał na Lewisa. Bezpośredni kontakt z szefem CIA zrobił na Lewisie wrażenie. Przypominał mu spotkanie z gwiazdorem filmowym, który w rzeczywistości wygląda lepiej niż na ekranie. McKinley wydawał się człowiekiem bez skazy. Miał ponad dwa metry wzrostu, był dobrze zbudowany, umięśniony, starannie ostrzyżony i ubrany w garnitur

szyty na miarę. Nosił szpakowatą, krótko przyciętą brodę. Lewis zdał sobie sprawę, że patrząc na twarz McKinleya, zadziera głowę. Niezwykły wzrost szefa dodawał jego atletycznej sylwetce imponującego wyglądu. McKinley mocno uścisnął Lewisowi dłoń i spojrzał mu w oczy.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. – Lewis miał nadzieję, że jego głos nie brzmi nerwowo. – Hank Lewis – przedstawił się.

McKinley skinął energicznie głową.

– Słyszałem wiele dobrego o tobie i twojej pracy, Hank – odrzekł przyjaznym, melodyjnym tenorem. – Ale nie dziw się moim głupim pytaniom niedoinformowanego faceta.

Lewis patrzył na McKinleya. Dyrektor zupełnie go rozbroił swoim przyjaznym zachowaniem. McKinley odwrócił się, powitał członków Komitetu Wykonawczego i usiadł. Lewis otrząsnął się z transu.

Przyciemnił światło i opuścił zasłony. Włączył komputer i kiedy na ekranie pojawił się obraz, zaczął na stojąco komentować materiał multimedialny. Przez dwadzieścia minut opowiadał o tym, jak Rosjanom udało się skonstruować okręt podwodny osiągający szybkość sześćdziesięciu węzłów.

– Nie nadażam, Hank. – McKinley uśmiechnął się nieśmiało. – Cała dotychczasowa prezentacja wskazuje, że „Lira” odniosła sukces. Ale na wstępie powiedziałeś, że była porażką, a potem dodałeś, że odwróciła bieg zimnej wojny. To znaczy?

– Jeśli pan pozwoli, najpierw skomentuję pańską uwagę o sukcesie „Liry” – odparł Lewis. – Z technicznego punktu widzenia „Lira” okazała się porażką. Kiedy wreszcie powstała, nie było potrzeby, żeby w zanurzeniu rozwijać tak dużą szybkość. W roku 1972 na orbitach krążyły już radzieckie satelity szpiegowskie i Rosjanie mogli wytropić amerykańskie lotniskowce. Nie mieli natomiast możliwości śledzić dokładnie amerykańskich okrętów podwodnych z pociskami balistycznymi. „Lira” nie mogła im w tym pomóc, bo nie zaprojektowano jej, by była cicha, tylko szybka. I „Lira” z lat 70. nie spełniała oczekiwań z roku 1957. W roku 1972, podczas dziewiczego rejsu, „K-377” miał bardzo poważną awarię reaktora. Przedział reaktorowy został zniszczony, ale usunięcie poszczególnych elementów okazało się niemożliwe, bo zakrzepł ciekły metal chłodzący. Okręt się przełamał i opuszczono pozostałe przedziały. W roku 1973 sekretarz do spraw obrony w Komitecie Centralnym, D. F. Ustinow, skrytykował „Lirę” za to, że ma ciasne wnętrze i nie nadaje się do obsługi technicznej ani naprawy. Rusanow wyleciał z pracy i dołączył do Piętrowa na Syberii. Zastąpił go Władimir Romin, ale było już za późno na uratowanie Projektu 705. Okręty podwodne klasy Lira, które weszły do służby po „K-377”, były gorsze i natychmiast stwarzały poważne problemy. Zautomatyzowane systemy i przyrządy nie wytrzymały wysokiego promieniowania reaktorów o dużej mocy i ulegały awariom. Załogi i admirałowie

zniechęcili te okręty. Umowa Rusanowa z admiralacją sprawiła, że obie strony znalazły się w kłopotliwej sytuacji i kiedy Rusanow wylądował w łagrze, marynarka wojenna wycofała się z poparcia dla projektu. Admiraliowie obcinali fundusze na części zamienne i obsługę techniczną, a załogi stosowały sabotaż na oczach oficerów, kiedy tylko się dało. Nawet gdyby marynarka wojenna była zachwycona „Lirami”, zaprojektowano je tak, że nie nadawały się do obsługi technicznej. Chłodziwo pozostawione bez opieki krzepło, reaktory musiały działać bez przerwy, sensory opracowano wyłącznie dla tej klasy okrętów i nie było zamienników. Nic dziwnego, że cztery z siedmiu zwodowanych „Lir” miały poważne awarie reaktorów, niektóre fatalne w skutkach dla załogi, i żaden z tych uszkodzonych okrętów nie nadawał się do naprawy. Radziecka admiralacja zredukowała fundusze na klasę „Lira” do zera. Ćwiczenia marynarki wojennej z udziałem sprawnych „Lir” wykazały, że te okręty są niewiarygodnie głośne. Kiedy płynęły z dużą szybkością, radzieckie sonary słyszały je z odległości setek mil morskich. W stocznicach nigdy nie uporano się z problemem hałaśliwości siedmiu zwodowanych „Lir”, choć było to wykonalne.

Na ekranie pojawił się czarno-biały film. Pokazywał odludne wybrzeże na północy, zawałone porzuconymi kadłubami okrętów podwodnych. Niektóre były żałośnie przechylone, jeden do połowy zatopiony w płytkiej wodzie, inny rdzewiał na piasku.

– W roku 1982 Projekt 705 uznano za całkowity niewypał. Jedną „Lirę” wyposażono w ciśnieniowy reaktor wodny i przeznaczono do celów szkoleniowych, ale pozostałe wycofano ze służby. Usunięto z nich przedziały reaktorowe i przetransportowano je w odludny rejon Półwyspu Kolskiego, gdzie składowano odpady radioaktywne. Rosjanie wydali już na „Liry” tyle pieniędzy, że nie zneutralizowali i nie zezłomowali przedziałów reaktorowych ani nie rozmontowali pozostałych części okrętów. „Lira”, jeden z najbardziej innowacyjnych okrętów podwodnych na świecie, który narodził się przedwcześnie w roku 1957 i wyprzedził swoją epokę o całe pięćdziesiąt lat, oficjalnie przestał istnieć. Kilka zwodowanych „Lir” spoczęło na zawsze na cmentarzyskach na północy Rosji, gdzie leżą nietknięte od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

McKinley zmarszczył brwi.

– Okay, więc „Lira” to kupa szmelcu. Teraz jestem jeszcze bardziej zdezorientowany. Na razie mamy wadliwy okręt podwodny, który jednak zmienia przebieg zimnej wojny.

– Wiem, panie dyrektorze – odrzekł przepraszająco Lewis. – To skomplikowana historia, ale zaraz wszystko wyjaśnię. Rosjanie uznali „Lirę” za całkowitą porażkę. Ale gdyby wiedzieli, jakie wrażenie wywarła na Zachodzie, ogłosiliby mimo wszystko wielki sukces, a Pietrow i Rusanow zostaliby bohaterami Związku Radzieckiego.

McKinley popatrzył na Lewisa.

– Teraz odpowiedź na pytanie, dlaczego ten okręt podwodny odegrał tak ważną rolę – ciągnął Lewis. – „Lira” wystraszyła Pentagon i Biały Dom. Niewiarygodna szybkość „K-377” przeraziła siły obronne Zachodu. Nowy okręt podwodny był nie tylko szybszy od amerykańskich torped. Mógł schodzić poniżej ich głębokości krytycznej. CIA wiedziała o nim stosunkowo mało. Został nazwany przez Pentagon i NATO „Alfą”. Spędzał sen z oczu wywiadom i siłom obronnym. Byłby całkowicie odporny na atak. Pędziłby przez morze i zatapiał lotniskowce. Nie moglibyśmy nic zrobić, z wyjątkiem zrzucenia nuklearnej bomby głębinowej, która by z dużym prawdopodobieństwem chybiła. Proszę się teraz postawić na miejscu amerykańskiego admirała w roku 1972. Związek Radziecki masowo produkuje superszybki okręt podwodny, który może śmigać przez oceany i niszczyć pańskie okręty podwodne szybkiego ataku i pańskie okręty podwodne z pociskami balistycznymi, zapewniając Rosjanom olbrzymią przewagę w pociskach balistycznych wystrzeliwanych z morza. Proszę pamiętać, że Pentagon bardzo liczył na to, że pociski wystrzeliwane z morza przetrwają jako środek odstraszący, bo tak naprawdę były jedyną bronią drugiego uderzenia, jaką mieliśmy. Wiedzieliśmy, że Rosjanie mogą zniszczyć nasze bombowce w bazach lądowych i silosy rakiet swoimi międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi, ale wierzyliśmy, że

amerykańskie okręty podwodne z pociskami raketowymi powstrzymają ich przed takim atakiem. Teraz, kiedy pojawiła się „Alfa”, podwodna wojna błyskawiczna mogła nas pozbawić środków odstraszania. „Alfa” była szybsza od torped, zatopiłaby wszystkie nasze okręty podwodne i Rosjanie mogliby wygrać pierwsze uderzenie nuklearne. Admirałowie, CIA i Biały Dom uważali, że pojawienie się „Alfy” oznacza, że przegramy zimną wojnę.

Lewis zamilkł i wyświetlił na ekranie film. Przez morze płynął okręt podwodny klasy Los Angeles. Za rufą ciągnął się spieniony kilwater.

– Po pierwszym szoku admirałowie opracowali plan obrony przed „Alfą”. Stworzyli okręt podwodny klasy Los Angeles, dużo szybszy od wcześniejszych konstrukcji amerykańskich, ale wolniejszy od „Alfy”. Opracowali też torpedy głębokiego zanurzenia Mark 48 ADCAP, rozwijające prędkość sześćdziesięciu węzłów. Wkrótce wyszło na jaw, że „Alfa” jest bardzo głośna, ale NATO uważało, że to drobna wada, którą można usunąć. „Alfa” hałasowała tylko przy maksymalnej szybkości, mogła więc przemknąć przez Atlantyk, zwolnić i zamilknąć.

McKinley zacisnął wargi.

– Nie mieliśmy wtedy żadnych danych wywiadowczych o usterekach „Liry”?

– Niestety nie. Większość tego, co teraz pokazuję, zdobyto w latach 80. i 90. W połowie lat 70. dotarły tylko pogłoski o okręcie podwodnym światowej klasy, który

nurkuje głębiej i pływa szybciej niż amerykańskie uzbrojenie. Patrząc z naszej strony Atlantyku, wydawało się, że jeśli „Alfa” będzie budowana masowo, może pokonać całą amerykańską flotę wojenną. Wyglądało na to, że Rosjanie chcą wykorzystać „Alfę” do pierwszego uderzenia morskiego, będącego częścią skoordynowanego planu Wygrania III wojny światowej. Nie mieliśmy pojęcia, że „Alfę” stworzono dwadzieścia lat wcześniej do przechwytywania lotniskowców.

McKinley pokręcił głową.

– Mój Boże. To tylko dowodzi, jak bardzo potrzebne są agencje wywiadowcze. Obie strony goniły własny ogon.

Lewis przytaknął.

– Zmarnowały przy tym miliardy dolarów i dziesiątki lat. – Znow pokazał na ekranie widok porzuconych kadłubów „Lir” na nuklearnym śmietniku. – Doszliśmy do czasów współczesnych. Na Półwyspie Kolskim pozostało dość części okrętów podwodnych, by złożyć ze szczątków sześć „Lir”. Złomowanie atomowych okrętów podwodnych skażonych ciekłym metalem chłodzącym kosztowałoby krocie. Rosjanie wydali na „Liry” dość pieniędzy, więc porzucili wraki na wybrzeżu Półwyspu Kolskiego, gdzie leżą od lat 80. Przynajmniej leżały.

Na ekranie pojawił się widok północnego wybrzeża Rosji z satelity.

– Zdjęcia północnego wybrzeża Rosji zrobione przed rokiem podczas rutynowych przelotów satelitów, materiały wywiadowcze o niskim priorytecie, wreszcie

przeanalizowano i porównano z wcześniejszymi. Odkryto coś bardzo niepokojącego. Wraki „Lir” zniknęły.

– Zabrali je ludzie, którzy zbudowali terminal?

– Tak. Początkowo traktowaliśmy to wszystko jako niewielkie zagrożenie, bo okręt podwodny do przemytu kokainy jest wprawdzie problemem dla naszej polityki antynarkotykowej, ale nie dla obrony narodowej. Obserwowaliśmy terminal dla DEA, żeby ewentualnie mogli wkroczyć. Ale potem zdarzyło się coś niespodziewanego.

Na ekranie ukazał się widok górskiej willi z helikoptera. Duża rezydencja z kamienia stała frontem do rozległej doliny.

– To posiadłość króla narkotyków, Orlando Suarto, sfilmowana „przed”. – Wyświetlacz pokazał poczerniały krater i resztki tylnych ścian budynku. – A tutaj „po”.

– Chryste! Co tam się stało?

Na ekranie pojawił się film z obserwacji wywiadowczej. Przedstawiał jakiegoś Araba w porcie lotniczym.

– To generał Abdas al-Sattar, przywódca egipskiej organizacji Ahel al Beit. Kilka dni temu złożył Suarto krótką wizytę i takie były jej skutki. Podejrzewamy, że wyeliminował Suarto, żeby kupić od Kaznikowa „Lirę” budowaną w terminalu. Kaznikow mógłby zatrzymać zadatek Suarto i wziąć od al-Sattara wyższą sumę.

– Między złodziejami nie ma uczciwości.

– Jest tylko wtedy, kiedy interesy załatwia się pod lufą.

W zamachu zginęła większość ludzi Suarto, więc nikt nie zemści się na Abdasie. Poza tym, taki terrorysta jak Abdas jest trudnym celem.

Na ekranie pojawił się widok wnętrza terminalu, jaki wcześniej Lewis pokazywał Kaminsky'emu. Suwnica mostowa przenosiła trzy lśniące metalowe rury.

– I jeszcze jedna kwestia. Uważamy, że to wyrzutnie torpedowe o średnicy pięćdziesięciu trzech centymetrów. Można z nich wystrzeliwać pociski manewrujące Granat. RK-55 Granat, oznaczony przez NATO kodem SS-N-21 Sampson, to rosyjski Tomahawk z dwustukilotonową głowicą nuklearną. Ma zasięg trzech tysięcy kilometrów i może być odpalany spod wody. Podejrzewamy, że Abdas kazał zainstalować takie pociski w nowej „Lirze”, żeby wystrzelić je w Izrael. Nasze dane wywiadowcze dowodzą, że Abdasowi udało się zdobyć cztery Granaty. Za niecałe cztery miesiące Abdas będzie na morzu z nuklearnymi pociskami manewrującymi w okręcie podwodnym zbyt cichym, byśmy mogli go znaleźć.

– Zaraz, zaraz – wtrącił McKinley. – Mówiłeś, że „Lira” była głośna.

– Tak. Ale wspominałem również, że wadę łatwo można usunąć. W nowej konstrukcji zainstalowano mocowania przeciwwrezonansowe zaprojektowane w ostatnim dziesięcioleciu. Urządzenia i pokłady zostały odizolowane od kadłuba. Mamy duży problem, panie dyrektorze. „Lira” jest teraz taka cicha, jak nasze okręty podwodne klasy Los Angeles. I nie tylko to... wciąż

pozostaje szybsza od naszych torped. Po prostu koszmar: terrorysta na niewidzialnym okręcie podwodnym, uzbrojonym w pociski nuklearne, którego nie możemy wziąć na cel ani dogonić.

McKinley wziął głęboki oddech.

– Rozumiem. Co myśli marynarka o unowocześnionej „Alfie”?

Lewis zagryzł wargi i przyznał, że nie wtajemniczono nikogo z Departamentu Obrony. Ale wspomniał o niedawnych ćwiczeniach marynarki, kiedy „Hampton” dostał zadanie znalezienia i zatopienia porwanego okrętu podwodnego klasy 688.

McKinley wytrzeszczył oczy. Zapytał, czy mógłby zobaczyć prezentację ćwiczebnej operacji. Lewis rzucił się do komputera i znalazł dodatkowy materiał, który na wszelki wypadek przygotowała Tina Rancourt, znając dociekliwość szefa CIA. Lewis wyświetlił filmy nagrane podczas akcji przez kamery wideo w słuchawkach komandosów i na „Hamptonie”. McKinleyowi zaimponowała skuteczność „terrorystów”. Spodobał mu się zwłaszcza Bawół Patterson. Dyrektor nie ukrywał też podziwu dla „porywacza”, który dowodził „Albany”. Poleciał nawet Bostonianowi, żeby dyskretnie spróbował zwerbować obu do agencji. Ale największe wrażenie wywarł na nim wyczyn kapitana „Hamptona”, kiedy do okrętu zbliżała się torpeda wystrzelona jakby znikąd niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei. McKinley zasłonił dłonią usta, gdy komandor Vornado stracił przytomność i

upadł. Kiedy Lewis z powrotem włączył światło w sali, dyrektor zapytał o Vornado.

– Doszliśmy właśnie do niewiadomej w tym projekcie – odrzekł Lewis i przełknął z trudem na widok zachęcającej miny McKinleya. Wcisnął klawisz komputera i na ekranie pojawiło się zdjęcie Petera Vornado w mundurze. Komandor patrzył groźnie w obiektyw spod daszka białej czapki oficerskiej. Lewis opowiedział o jego walce z rakiem mózgu, terapii w ośrodku medycznym Uniwersytetu Duke, niemal cudownym wyzdrowieniu i odejściu z marynarki. – Komandor Vornado bardzo nas interesuje, panie dyrektorze. Był jednym z najlepszych kapitanów okrętów podwodnych w całej flocie. To nawet za mało powiedziane. Zacytuję fragment z ostatniego raportu o jego przydatności do służby: „Komandor Vornado jest bez wątpienia najbardziej nowatorskim dowódcą okrętu podwodnego w obecnym pokoleniu oficerów marynarki wojennej”. Jego szef, komodor Joe Kraft, nie może przeboleć straty takiego wspaniałego oficera. Ale przepisy marynarki wojennej dotyczące wymaganego stanu zdrowia personelu są bardzo rygorystyczne. Przełożeni Krafta uważają, że pozostawienie Vornado w służbie liniowej byłoby zbyt ryzykowne. Wiem, nad czym może się pan zastanawiać, dyrektorze. Dlaczego akurat Vornado, a nie pół tuzina innych dawnych podwodniaków, których można by zwerbować... – Lewis sięgnął do komputera i wyświetlił następny slajd. Na

ekranie pojawiła się strona z akt personalnych Vornado. – Vornado jest nie tylko błyskotliwym taktykiem walki podwodnej, ale również wysoko wykwalifikowanym inżynierem. W Annapolis był najlepszym inżynierem mechanikiem na roku, ukończył wydział inżynierii nuklearnej w Instytucie Technologicznym Massachusetts i przygotowywał się do doktoratu na Uniwersytecie Wirginii. Zamierzał go uzyskać po zakończeniu tej tury morskiej. Spędził cztery lata w stoczni jako główny inżynier nuklearny: dwa lata przy konstrukcji okrętu nowej klasy Virginia i dwa lata przy generalnym remoncie klasy 688. Z pewnością wie, jak się poruszać w suchym doku. Był też w sztabie dowódcy Atlantyckiej Floty Podwodnej, gdzie opracował nowy regulamin operacyjno – taktyczny. Naszą uwagę zwróciło też pochodzenie Vornado: jego dziadkowie byli imigrantami z Europy i dzięki nim mówi biegle po rosyjsku i francusku. Uzdolnienia, kwalifikacje i znajomość języków obcych przemawiają za tym, żeby zwerbować go do tego projektu.

McKinley spojrział na zegarek, potem na Lewisa. Zachęcająca mina zniknęła.

– I co zamierzasz, Hank?

Lewis wziął głęboki oddech i wytrzymał spojrzenie dyrektora.

– Wprowadzilibyśmy Vornado do terminalu jako wykonawcę planu rezerwowego. Gdyby braciom Kaznikow udało się odbudować „Alfę”, Vornado

pomógłby nam w zatrzymaniu jej na lądzie. Gdyby, nie daj Boże, zdołali jednak zwodować okręt, mógłby zostać doradcą kapitana. Gdyby wyszedł nią w morze, niewykluczone że znalazłby jakiś sposób sabotażu i przeszkodził w wystrzeleniu pocisków.

McKinley patrzył na Lewisa przez dłuższą chwilę.

– Zrób podsumowanie. Przedstaw mi trzy krańcowe przypadki.

Był znany z tego, że zawsze żądał przedstawienia „trzech krańcowych przypadków” – najlepszego, najbardziej prawdopodobnego i najgorszego scenariusza.

– W każdym z trzech krańcowych przypadków Vornado może nam odmówić. Niedawno pokonał śmiertelną chorobę, jest w kiepskim stanie fizycznym i nie wiadomo, czy zechce spędzić sześć miesięcy z dala od rodziny, wykonując ryzykowne zadanie na drugim końcu świata.

McKinley niecierpliwie machnął ręką.

– Chodzi mi o podsumowanie operacji.

– W najlepszym przypadku Vornado tak długo opóźnia czy uniemożliwia zwodowanie okrętu, że Abdas rezygnuje z zakupu i wycofuje fundusze. W najbardziej prawdopodobnym przypadku Vornado pomaga nam unieszkodliwić okręt na morzu: powoduje taką awarię pocisków, że nie dotrą do celu, lub podejmuje działania, dzięki którym marynarka namierzy i w razie konieczności zatopi „Alfę”.

McKinley skinął głową.

– Okay. A w najgorszym przypadku?

– Vornado nie jest wyszkolonym oficerem operacyjnym i nie mamy czasu szkolić go przez rok w Camp Peary. To amator. Istnieje ryzyko, że popełni błąd. Jeśli Vornado zdemaskują, będą go torturować i zanim zabiją, może wsypać całą operację, przez co stracimy wszystkich ludzi, których tam mamy. A nawet gorzej. Abdas al-Sattar wyjdzie „Alfą” w morze, marynarka nie będzie w stanie go znaleźć i zatopić, pociski SS-N-21 dolecą do Izraela i zdetonują nad Tel Awiwem prawie megatonę ładunku jądrowego. Kongres zażąda wyjaśnień, sprawa nabierze rozgłosu, prezydent będzie musiał ustąpić, CIA zostanie zlikwidowana...

– Dobry Boże, Hank – wtrącił się Bostonian z uniesionymi wysoko brwiami. – Idziesz na całość w tym czarnym scenariuszu!

McKinley nagle parsknął śmiechem. Inni dyrektorzy zaczęli chichotać. Bostonian wyszczerzył zęby od ucha do ucha i dodał:

– Nie wspomniałeś o końcu zachodniej cywilizacji, Hank, i o tym, że psy przestaną być najlepszym przyjacielem człowieka.

McKinley znów się roześmiał. Inni dyrektorzy dyskutowali przez chwilę między sobą. Lewis poczuł, że się zaczerwienił. Nie spodziewał się takiej reakcji.

Wesoły nastrój zniknął tak nagle, jak się pojawił. McKinley spoważniał, jakby na jego twarzy opadła kurtyna. Zerknął na zegarek.

– Wróćmy do raportu o kosztach i statusie, Hank.

Lewis przeszedł do głównej części prezentacji. Był pewien, że wciąż się czerwieni. Na szczęście w sali znów zapanował półmrok. McKinley i jego zastępcy milczeli, kiedy przedstawiał szczegóły finansowe i harmonogram operacji, wykres prawdopodobieństwa uzyskania spodziewanych rezultatów i pięć poziomów planów rezerwowych opracowanych na wypadek, gdyby któryś z elementów operacji zawiódł. Kiedy skończył i zapalił światło, McKinley spojrzał na niego z poważną miną, skinął głową, wstał i uściśnął mu dłoń.

– Dzięki, Hank. Doskonała prezentacja. Ken, jesteśmy już spóźnieni na zebranie przygotowawcze przed spotkaniem z Komisją Nadzorczą.

Lewis nie wiedział, co McKinley myśli o sprawie Vornado. Patrzył, jak członkowie Komitetu Wykonawczego wychodzą z sali i zostawiają po sobie puste filiżanki do kawy, serwetki i okruchy ciasteczek. Lewis pokręcił głową na wspomnienie, jak głupio wypadł, przedstawiając najgorszy scenariusz. Powinien poprzestać na wypłynięciu „Alfy” w morze, ale musiał powiedzieć wszystko. Zanim Cogsworth wyszedł z sali, kazał mu zaczekać w swoim biurze.

Lewis wrócił wolno do części nowego budynku administracyjnego zajmowanej przez jego wydział. Usiadł w jednym ze skórzanych foteli klubowych Cogswortha i czekał. Dwadzieścia minut ciągnęło się jak dwie godziny. W końcu zjawił się Cogsworth. Miał tajemniczą minę.

Uniósł palec i wykonał dwa pilne telefony. Wezwał swoją asystentkę i warknął kilka krótkich rozkazów. Potem zamknął drzwi i usiadł naprzeciwko Lewisa.

– Jak wypadłem, szefie? – zapytał Lewis. – Bardzo źle?

– Wcale nie, Hank. McKinley cię lubi i podobała mu się prezentacja.

Lewis miał ochotę wydać okrzyk radości, ale postanowił zaczekać.

– Przed pójściem na zebranie przygotowawcze McKinley rozmawiał z Bostonianem. Pirat nalegał, żeby przedstawić sprawę na zebraniu, ale stary uważał, że to zbyt ryzykowne. Kazał nam zrezygnować z werbowania Vornado. Przykro mi, Hank. Mamy czerwone światło.

Lewis utkwiał wzrok w dywanie i przeczesał rękami włosy. Czuł się pokonany. Pomyślał, że koncepcja była naprawdę dobra, tylko nie umiał jej sprzedać.

– Ale pomysł wzbudził pewne zainteresowanie, Hank. Przejrzyjmy bazę danych i zobaczmy, czy mamy kogoś doświadczonego, kto służył kiedyś w marynarce handlowej lub wojennej. Jeśli znajdziemy wyszkolonego oficera operacyjnego z biegłą znajomością rosyjskiego, którego moglibyśmy włączyć do załogi „Alfy”, może uda nam się osiągnąć cel.

Lewis już o tym pomyślał. Przygotował całą rezerwową prezentacją komputerową na wypadek, gdyby McKinley zaproponował to samo. Nie wyglądała obiecująco. Najlepszym kandydatem, jakiego znalazł, był absolwent Akademii Marynarki Handlowej w Maine,

który mówił po rosyjsku z obcym akcentem, pracował przez dwadzieścia lat w Ameryce Południowej i nie wypływał w morze od czasu ukończenia studiów. Lewis postanowił nie mówić o tym kandydacie Cogsworthowi i wrócił do siebie.

Vornado byłyby doskonały, pomyślał. Idealny.

– To naprawdę dałoby nam duże możliwości, szefie – powiedział zastępca dyrektora do spraw operacyjnych, Kenneth Pirat Bostonian, odwracając się od okna z widokiem na bujną zieleń kompleksu centrali CIA w Wirginii.

– Mów dalej – odezwał się dyrektor Robert McKinley zza swojego dębowego biurka wielkości jachtu. Odchylił się do tyłu w dużym skórzanym fotelu obrotowym i położył nogi na wielkim lśniącym blacie.

Dotychczas głównym celem projektu „Złota Rybka” było opóźnienie zwodowania „Alfy”, pomyślał Bostonian, ale gdyby wprowadzili do gry tego nowego człowieka, może udałoby się wyeliminować Abdasa al-Sattara raz na zawsze. Kontrolowanie sytuacji dałoby duże możliwości. Bostonian je dostrzegał, nowy dyrektor CIA nie. Dostał stanowisko według klucza politycznego i miał za sobą błyskotliwą karierę biznesmena. Wyszkolenie go spadło na Bostoniana. Musiał zrobić z cywila funkcjonariusza Tajnej Służby Operacyjnej.

– Są dwa warianty – zaczął Bostonian. – Pierwszy, bez tego faceta z marynarki wojennej, Vornado. Załóżmy, że

projekt Lewisa wypali. „Alfa” zostanie unieruchomiona z powodu różnych usterek wykombinowanych przez ludzi Lewisa. Istnieje prawdopodobieństwo, że nasz przyjaciel Abdas zniechęci się do pomysłu użycia „Alfy” i odpuści to sobie. Może następnym razem, kiedy o nim usłyszymy, będzie miał bombę, o której nie wiedzieliśmy. I zdetonuje ją w Mauzoleum Lincolna. Sukces projektu „Złota Rybka” stanie się wtedy naszą porażką.

Bostonian stał przy barku. Uniósł pytająco brwi. McKinley skinął głową. Bostonian nalał szkockiej i podał szklanekę dyrektorowi. McKinley pociągnął łyk, przymknął oczy i znów skinął głową.

– A drugi wariant?

– Ten sam projekt „Złota Rybka” z udziałem komandora Vornado. Tyle że z subtelnymi zmianami szczegółów operacji. Okręt podwodny wychodzi w morze z Abdasem al-Sattarem na pokładzie. Facet jest uwięziony w tej cholerniej „Alfie”. Mając na miejscu Vornado, możemy skierować okręt na środek oceanu. Tam, bez świadków z innych krajów, załatwiamy Abdasa. Gość znika na zawsze. A najlepsze, że to tylko nasza zasługa. I mamy dodatkowy zysk, szefie: robimy kontrolowany przeciek, żeby pokazać, jak blisko był dramat. „Przekonstruowany rosyjski super – okręt podwodny przechwycony kilka sekund przed odpaleniem pocisków nuklearnych w Izrael”... może nie byłby to temat dnia w mediach, ale na pewno w Kongresowej Komisji Nadzorczej. To pan się zna na biznesie, nie ja, ale wiem z

własnego doświadczenia, że w CIA finansowo wychodzimy lepiej na takich dramatycznych akcjach jak ta niż na spokojnych operacjach, które idą zgodnie z planem. Jeśli porządnie nastraszy pan kongresmanów, będą się pocili przez całą noc, a rano podwoją panu budżet.

Dyrektor McKinley dopił szkocką i spojrzał na Bostoniana, który pociągał bourbona.

– Więc Abdas idzie na dno w przekonstrowanym rosyjskim monstrum. Jak do tego dochodzi?

– Szczegóły zostawiam Lewisowi i jego załodze. Jedna z opcji jest taka, że nasi ludzie w stoczni instalują wytwornik hałasu, który zostanie aktywowany przez Vornado. Taki rodzaj radiolatarni naprowadzającej. Jeden z naszych bojowych okrętów podwodnych czeka zaczajony, namierza „Alfę” dzięki radiolatarni albo dzięki jednej z tysiąca innych sztuczek, które potrafi wymyślić Vornado, i odpala torpedy, zanim Abdas zdąży się zorientować, co jest grane. Potem Vornado paraliżuje ewentualny kontratak „Alfy”.

– I co się dalej dzieje z naszym przyjacielem Vornado?

Bostonian popatrzył na McKinleya i wzruszył lekko ramionami.

– Poświęca się dla sprawy. Umieścimy gwiazdę w holu starego budynku administracyjnego. Prezydent pocieszy wdowę na ściśle tajnej ceremonii. Uroczystość będzie bardzo wzruszająca.

McKinley opuścił nogi na podłogę i ziewnął.

– Brzmi obiecująco. Chodźmy coś przekąsić. Pogadamy o tym jeszcze przy jedzeniu.

Dyrektor Wydziału Antyproliferacyjnego, Phil Cogsworth, stał przez jakiś czas w drzwiach biura, zanim Hank Lewis go zauważył.

– Cześć, Phil – powiedział Lewis. – Nie możesz spać?

– Właśnie zapadła decyzja – oznajmił Cogsworth. – McKinley i Bostonian kazali nam przed chwilą zwerbować Vornado. – Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął suchą, popękaną dłoń do wyraźnie rozentuzjasmowanego Lewisa. – Dobra robota, Hank. Jest tylko jedna sprawa. Stary chce dostawać raport dwa razy w tygodniu. Tylko ty i on, w cztery oczy. Mam nadzieję, że jesteś w formie, bo spotkania wyznaczono na wtorki i piątki w południe. To czas jego morderczego treningu. Będziesz musiał jednocześnie biec i mówić.

Lewis uśmiechnął się.

– Nie ma żadnego problemu, szefie.

– Jest taki, czy Vornado wejdzie w ten interes. To cholernie ryzykowna zabawa.

Lewis wyprostował się i uśmiechnął z wyższością.

– Jeśli potrafię przekonać dyrektora CIA, to na pewno sprzedam temat Vornado.

Ale kiedy szedł korytarzem do swojego gabinetu, nie był tego taki pewien. Zmarszczył brwi i spróbował postawić się na miejscu człowieka wyleczonego właśnie z raka, ale nie udało mu się. Może powinien to rozegrać tak

jak z McKinleyem, pomyślał – powiedzieć całą prawdę.

Hank Lewis spacerował po swoim gabinecie w nowym budynku administracyjnym w centrali CIA. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę zwerbowania Vornado i nie może jej zmarnować. Najgorsze, że Vornado musiałby się zgodzić, zanim poznałby szczegóły. A nie było powodu, żeby decydował się w ciemno. Czekaloby go rozstanie z rodziną na co najmniej pięć czy sześć miesięcy albo nawet dłużej. Lewis zacisnął wargi – Vornado ryzykowałby życie i mogło się zdarzyć, że już nie wróci. Coś w sam raz dla faceta, który właśnie wyleczył się z raka, pomyślał cierpko Lewis.

Niemal natychmiast pożałował przesadnej pewności siebie, z jaką mówił przełożonemu o zwerbowaniu Vornado. Na szczęście Cogsworth był wyrozumiałym szefem i w ciągu swojej trzydziestopięcioletniej kariery widział już niemal wszystko. Wczoraj Cogsworth i Lewis spędzili cały dzień na „burzy mózgów”.

– Rozważałeś użycie zwykłego pakietu finansowego? – zapytał Cogsworth. Miał na myśli taką sumę, że tylko wariat by jej nie przyjął. – Złóż Vornado propozycję nie do odrzucenia. Mamy na to budżet.

– Jemu nie zależy na forsie, Phil. Tylko nabierze podejrzeń. Jeśli podsunę mu pod nos sześć – czy siedmiocyfrową sumę, odwróci się i odejdzie. Może nawet pomyśli, że werbuja go obcy.

– Jak chcesz, ale masz tylko jedną szansę. Jeśli spróbujesz załatwić to tanio i poprosisz go, żeby zniknął na pół roku w zagranicznej stoczni, prawdopodobnie nas oleje. Nie zapominaj, że ma obowiązki wobec żony, jak każdy mąż. To twój słaby punkt, Hank. Wy, nieżonaci faceci, nie rozumiecie kobiet.

Lewis uśmiechnął się szeroko, choć trochę smutno.

– Więc mnie oświeć, profesorze.

– Uważaj dobrze, synu. O co się martwią zameżne kobiety?

Lewis wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. O to, jak wyglądają w nowej sukience? O to, że mają za duże tyłki?

– Idiota – parsknął Cogsworth. – O przyszłość! Bezpieczeństwo! O forszę, na litość boską! Pokaż mi matkę dzieciom, która wypnie się na milion dolców. Zaproponuj Vornado taką sumę, żeby jego żona zbladła z wrażenia, i będziesz miał go w garści. Zaufaj mi. To zawsze działa.

Zadzwonił telefon. W uchu Vornado zadudnił gruby głos Palacza Krafta.

– Tu Joe, Peter. Jak leci?

– Witam, komodorze – ucieszył się Vornado. – Wszystko w porządku. A co u pana? – Nawet po odejściu do cywila Vornado nie potrafił zwracać się do Krafta po imieniu.

– Jezu, mów mi Joe, dobra?

Vornado roześmiał się.

– Przepraszam, komodorze. Stare nawyki. Co się urodziło?

– Niestety mam dzisiaj same złe wiadomości, Peter. Wykorzystałem wszystkie moje znajomości, żeby zmienić decyzję komisji lekarskiej o twojej niezdolności do służby liniowej, ale nic się nie dało zrobić. Więc starałem się załatwić ci pełną emeryturę i też nic. Wszędzie ściana. Cholernie mi przykro, stary. Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

– Dzięki, komodorze. Od początku do końca był pan wspaniałym szefem. Doceniam to, ale naprawdę nie musiał pan za mnie walczyć.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Jak twoja głowa?

– Lepiej. – Vornado nie wspomniał o słabych bólach ani o uczuciu zmęczenia, zapewne oznakach stresu. – Postawili mnie na nogi. Jestem jak nowo narodzony.

– A jak idzie polowanie na pracę?

– Jak dotąd, niezbyt dobrze – odparł Vornado, starając się mówić swobodnym tonem.

– Próbuje, synu. W końcu się uda.

Dwadzieścia minut później do Vornado zadzwonił Hank Lewis. Przedstawił się jako wiceprezes General Dynamics zarządzający działem rozwoju okrętów podwodnych – Electric Boat.

16

Kierowca limuzyny Hanka Lewisa podrzucił Vornado do domu krótko po północy. Podczas długiej kolacji Lewis namawiał Vornado, żeby zgodził się nadzorować zagrożony projekt General Dynamics w odległej stoczni. Praca wymagała rozstania z rodziną na cztery lub pięć miesięcy, ale płaca była astronomiczna. Vornado stał na ganku frontowym i patrzył na odjeżdżającego lincolna. Zdał sobie sprawę, że chwije się lekko po wypitym winie. Lewis prosił go, żeby powiedział Rachel jak najmniej, ale w końcu przyznał, że powinna wiedzieć o pieniądzach. Vornado nie miał pojęcia, dlaczego projekt w suchym doku i jego lokalizacja to taka wielka tajemnica. Lewis obiecywał, że wszystko wyjaśni w samolocie.

Vornado odwrócił się, żeby otworzyć drzwi frontowe i zakreśliło mu się w głowie. Przez ostatnich sześć miesięcy nie wypił nawet jednego drinka, z wyjątkiem połowy butelki wina przed kilkoma tygodniami, żeby uczcić swój powrót do zdrowia. Dziś pojechał na kolację i pił jak chłopak z college'u. Rozmasował bolącą głowę, wszedł do domu i zrezygnował z pomysłu obudzenia Rachel. Mogą porozmawiać rano. Kiedy tylko dotarł do łóżka, zwałił się z nóg i zasnął.

Obudził go okrzyk na dole. Otworzył jedno oko i zobaczył, że jest dopiero po szóstej. Wstał, zamrugał i

znów pożałował, że wieczorem tyle wypił. Ale kac był niczym w porównaniu z bólami głowy w czasie choroby. Wziął głęboki oddech i zszedł po schodach. Rachel stała przy stole kuchennym i trzymała w ręku ofertę General Dynamics. Drugą dłonią zasłaniała usta. Spojrzała na Vornado okrągłymi oczami i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam, że ci się uda! To niesamowite!

– Spokojnie – ostudził ją Vornado. – Z tą pracą są pewne problemy.

Rachel opuściła ramiona i zmarszczyła brwi.

– Chyba nie odrzuciłeś oferty?

Czy wyglądam na wariata? Wziąłem tę robotę, ale chodzi o to, że musiałbym wyjechać gdzieś daleko na kilka miesięcy. Zrezygnuję, jeśli się nie zgodzisz.

Nie będziesz mógł przyjeżdżać na weekendy lub krótkie urlopy? Mąż mojej przyjaciółki Vicky pracuje w Arabii Saudyjskiej i co sześć tygodni przylatuje na dziesięć dni do domu.

– Nic z tego, kochanie. Wiem tylko tyle, że nie ma stamtąd kontaktu przez komórkę, telefon stacjonarny ani Internet. Przypuszczam, że ta praca jest albo daleko od cywilizacji, albo bardzo tajna. Mogłabyś dzwonić do mojego nowego szefa i dowiadywać się, czy ze mną wszystko w porządku, ale ja byłbym nieuchwytny przez kilka miesięcy. Dlatego tyle płacą.

Rachel wyglądała na rozczarowaną. Vornado myślał

przez moment, że żona każe mu zrezygnować i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo zależy mu na tej pracy, mimo że prawie nic o niej nie wie. W końcu Rachel westchnęła i znów go przytuliła.

– Zagwarantuję ci powrót do domu, gdybyś miał jakikolwiek problem ze zdrowiem? Albo gdyby coś się stało któremuś z dzieci?

– Jestem pewien, że tak.

– Więc kiedy będziesz musiał wyjechać?

– Jutro rano.

– USS „Tucson”, oficer dyżurny, porucznik Mercury-Pryce przy aparacie. Rozmowa na linii ogólnodostępnej. Czym mogę służyć?

– Cześć, Merc, Peter Vornado z tej strony. Jest tam twój kapitan?

– Witam, komandorze. Proszę poczekać.

W słuchawce rozległ się dźwięk oznajmiający tryb oczekiwania. W końcu na linii zabrzmiał pewny siebie głos BK Dillingera.

– Sie masz, współlokator, jak tam twój mózg?

– W porządku, BK. Masz czas na zielony alarm? – Zielony alarm był tradycją w Annapolis. Kiedy zostali aspirantami pierwszej klasy, mieli przywilej dzwonić do dowódcy kompanii z ostrzeżeniem, że za pięć minut zjawiają się u niego, żeby opróżnić mu lodówkę z piwa. Oficerowi, który miał w domu mniej niż skrzynkę, zabierano portfel, żeby uzupełnić zapas.

– Wpadnij do mnie na lunch, zjemy w mesie oficerskiej. Menu jest zachęcające. Będą bobsleje. – Bobslejami nazywano hamburgery tak tłuste, że ześlizgiwały się do gardła bez przeżuwania. – Wiem, co powiesz, ale chłopaki jeszcze nie mieli okazji pogadać z tobą po rejsie przez południowy Atlantyk. Potem wypijemy parę browarów.

Kiedy Vornado przyjechał na okręt, sprowadzono go na dół do kajuty kapitańskiej Dillingera.

– Jesteś, bracie. Jak leci? – Dillinger wstał i wyciągnął pięści.

Vornado uderzył w nie swoimi, jak w Annapolis, potem uścisnął Dillingerowi dłoń najmocniej, jak mógł. Dillinger omal nie zmiądzzył mu palców swoją wielką ręką.

– Siadaj. – Dillinger spojrzał na Flooda. – Steve, znasz Petera Vornado. Peter, Steve był moim zastępcą wtedy na „Albany”. Cholernie dobry pirat. Sam go wyszkoliłem.

Vornado usiadł naprzeciwko Flooda przy stoliku do kawy pod przegrodą. BK usadowił się z powrotem przy składanym biurku w fotelu kapitańskim z wysokim oparciem.

– Jak twój XO? – zapytał Vornado.

Dillinger pokręcił głową.

– Ciagle się kuruje.

Oficer wykonawczy Dillingera, Davey McKee, miał wypadek motocyklowy, zanim Vornado wyjechał na urlop przerwany rejsiem przez południowy Atlantyk.

Złamał obie nogi i miednicę.

– Wyjdzie z tego?

– Tak, ale minie rok, zanim znów będzie mógł chodzić. Steve go zastąpił na czas akcji z „Albany” i potem jeszcze na miesiąc, ale główny mechanik ma ciężką robotę nawet bez pełnienia funkcji XO. Dziś jest pierwszy dzień służby nowego oficera wykonawczego. Poznasz ją przy lunchu.

– Ją? Twój nowy XO to kobieta? Nie żartuj.

– USS „Tucson” to platforma testowa Joego Palacza Krafca. On i szef personelu morskiego dogadali się, że przydzielą nam więcej niż zwyczajowe dziesięć procent kobiet i zobaczą, co będzie. Są tu już trzy w stopniach oficerów: XO, dowódca sonaru i asystentka Steve'a od napędu głównego.

– Nie wiedziałem, że kobiety mają kwalifikacje XO.

– Ta ma. Właśnie skończyła turę nawigatora na „Cheyenne”.

Flood wstał i zwrócił się do Dillingera:

– Mogę się odmeldować, kapitanie?

– Leć, inżynierze.

Flood wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Doszedłeś do siebie po „Skradzionych strzałach”? – zapytał Vornado.

– Jeszcze mi się śnią. Włączyli nas do niekonwencjonalnej operacji komandosów SEAL, których nigdy przedtem nie widzieliśmy na oczy. Takie zadanie, jakie dostaliśmy, powinna wykonywać trzykrotnie większa załoga. Dlatego w ocenie wypadliśmy

gorzej niż wy. Z braku ludzi musieliśmy pełnić wachty na okrągło i zanim dopłynęliśmy do Przylądka Dobrej Nadziei, wszyscy byliśmy wykończeni. Wy mieliście sześciogodzinne wachty, sześć godzin snu i cztery gorące posiłki na dobę. Cholera, gdybyśmy mogli trochę pospać, wygralibyśmy te pieprzone ćwiczenia.

Vornado zrobił wielkie oczy.

– Zaraz, zaraz... Myślałem, że wygraliście. Wszędzie wokół nas wybuchały wasze torpedy. Gdyby to nie były ćwiczenia, poszlibyśmy na dno.

Dillinger pokręcił głową.

– Po przeanalizowaniu kaset w eskadrze oficjalnie stwierdzono, że pobiliście nas o dwadzieścia sekund. Pociski nuklearne SUBROC, które wystrzeliliście, załatwiły nas wcześniej niż was nasze torpedy.

Vornado przewrócił oczami.

– Daj spokój. Był remis. I tak już bym nie żył.

Dillinger uśmiechnął się.

– Też tak powiedzieliśmy. Ale Joe Palacz Kraft odparł, że żyliście kilka sekund dłużej niż my i wasza misja zakończyła się sukcesem, bo przeszkodziliście porwanemu okrętowi w odpaleniu nuklearnych pocisków manewrujących. My przegraliśmy, bo nie dotarliśmy do rejonu, skąd mielibyśmy Tel Awiw w zasięgu ognia.

Vornado to nie przekonało.

– Nie wiadomo, czy w czasie prawdziwego kryzysu dowódca floty dałby nam z góry pozwolenie na użycie broni jądrowej. Nikt nie słyszał, żeby to się kiedykolwiek

zdarzyło. Podczas prawdziwej operacji admirałowie prawdopodobnie czekali z tym do ostatniej chwili. Gdyby nasze pociski SUBROC nie wystartowały we wczesnej fazie konfliktu, zatopilibyście nas.

– Miałeś z góry pozwolenie na użycie broni jądrowej? A to skurczybyk z tego Krafta. W prawdziwej akcji to by się nigdy nie zdarzyło. I nieważne, czy byłby kryzys międzynarodowy, czy nie.

– Wiem. W prawdziwej akcji ty byś wygrał.

– Uważałem, że czegoś się nauczyłem w czasie naszej walki bokserskiej w Dniu Inauguracji: pierwszy cios musi być kontaktowy. Dlatego wcześniej wystrzeliłem torpedę. Kto inny zesrałby się w gacie i spieprzał jak ciota, do cholery. Ale ty się nie wycofałeś i spokojnie planowałeś atak. Gdyby Kraft wysłał przeciwko mnie innego kapitana z eskadry, skopałbym mu dupę i wystrzelił w Tel Awiw cztery nuklearne Tomahawki. – Dillinger mówił tak, jakby żartował, ale Vornado pomyślał, że przyjaciel ma rację. – Kraft rozegrał to na swoją korzyść – ciągnął Dillinger. – Wysłał w morze ciebie, bo wiedział, że pokonam każdego innego kapitana. Chciał pokazać szarzy, że terroryści nie mogą wygrać. Ale wysyłając ciebie i dając ci z góry pozwolenie na użycie broni nuklearnej, oszukiwał.

Vornado roześmiał się.

– Nie oszukujesz, dopóki nie spróbujesz.

Zadzwoił telefon na składanym biurku Dillingera. BK przystawił do ucha ciężki czarny aparat bezprzewodowy.

– Kapitan – zgłosił się autorytatywnym tonem. – Już idziemy. – Wyłączył się i spojrzał na Vornado. – Podają lunch.

Zeszli po drabince na środkowy poziom, przecięli korytarz i weszli do mesy oficerskiej przy sterburcie. Pomieszczenie miało wielkość jadalni w domu Vornado, ale wydawało się ciasne, gdyż większość przestrzeni zajmował ogromny stół. Przegrody pokryto laminatem drewnopodobnym i wykończono stałą nierdzewną. Sufit był zrobiony z beżowej blachy perforowanej. Na wykrochmalonym obrusie stała porcelanowa zastawa stołowa i leżały srebrne sztuce. Vornado ogarnęła nostalgia. Pomyślał o tysiącu posiłków, które zjadł w swojej mesie oficerskiej. Brakowało mu dowodzenia okrętem.

Krzesło u szczytu stołu bliżej kuchni było przeznaczone dla Dillingera. Vornado miał usiąść po prawej stronie kapitana na miejscu dla gościa, które zwyczajowo zajmował oficer wykonawczy. XO zajęłaby miejsce głównego mechanika po lewej ręce Dillingera, Steve Flood usiadłby obok niej. Wszyscy młodszy oficerowie stali za swoimi krzesłami, nie na baczność, ale w postawie wyrażającej szacunek. Na widok Dillingera powiedzieli chórem:

– Dzień dobry, panie kapitanie.

– Dzień dobry, panie i panowie oficerowie – odpowiedział z uśmiechem Dillinger. – Znacie wszyscy komandora Petera Vornado z „Hamptona”, zwycięzcę

walki ćwiczebnej na południowym Atlantyku.

Vornado uściskał dłoń każdemu oficerowi. Pamiętał oficera łączności, Matta Merca Mercury-Pryce'a; asystenta kontroli uszkodzeń, Pata Schlussa; oficera uzbrojenia, Lionela Tonelle'a; nawigatora, Roba Cumminsa; oficera elektryka, Kurta Vauxhalla; oficera torpedowego, Dicka O'Deę; oficera kontroli radiacji, Nicka Neona Keondre'a. Nie znał dwóch kobiet. Dillinger przedstawił mu porucznik Lenę Vickerson, asystentkę Flooda od głównego napędu, i podporucznik Leslie Fortunato, oficera sonarowego. Vornado spojrzął na puste krzesło oficera wykonawczego. Zastanawiał się, gdzie jest zastępczyni Dillingera.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do mesy weszła wysoka, szczupła kobieta w mundurze khaki. Vornado zerknął w górę znad talerza „bobslejów”, potem znów podniósł wzrok, kiedy kobieta zdjęła czapkę oficerską i rozpuściła ciemne lśniąco włosy związane w koński ogon. Bardzo atrakcyjna, pomyślał Vornado. Nawet męski mundur nie mógł ukryć jej muskularnych ramion, dużego biustu, wciętej talii, okrągłych bioder i długich nóg. Vornado zastanawiał się przez moment, czy Dillinger nie zrobił mu kawału i nie wynajął w swoim ulubionym klubie dla mężczyzn nowej tancerki erotycznej, żeby udawała jego zastępczynię. Ale kiedy spojrzała na Vornado, natychmiast rozpoznał, że kobieta jest prawdziwym oficerem. Patrzyła na niego bez mrugnięcia pięknymi piwnymi oczami. Vornado

przyłapał się na tym, że gapi się na nią. Nie widział takich doskonałych rysów twarzy od dnia, w którym poznał Rachel. Pani oficer miała grzywkę opadającą na brwi, zgrabny nos, mocno zarysowane kości policzkowe i pełne, czerwone wargi. Linia jej podbródka i szczęki wydawała się dziełem natchnionego artysty. Vornado zdał sobie sprawę, że wstał, żeby się przywitać, i zablokował jej drogę.

– Przepraszam – wymamrotał i wyciągnął rękę. – Peter Vornado.

Odśloniła w uśmiechu zęby gwiazdy filmowej. Pod jej oczami pojawiły się leciutkie zmarszczki. Efekt był czarujący. Podała Vornado rękę. Od dotyku gładkiej dłoni przeszedł mu dreszcz po plecach. Spojrzał w dół na plakietkę identyfikacyjną z napisem: KMDRN. D'Assault, XO SSN-750. Zastanawiał się, czy nazwisko należy wymawiać po francusku, żeby rymowało się z Renault, czy po amerykańsku. Nie chciał, żeby pomyślała, że pożera wzrokiem jej biust, więc szybko spojrzał w górę, na twarz.

– Peter, przedstawiam ci mojego nowego XO, komandor porucznik Natalie D'Assault – powiedział Dillinger, wymieniając nazwisko po amerykańsku. – XO, to komandor Vornado. Niestety nie brała pani udziału w misji „Albany”, ale to właśnie ten facet posłał nas na dno.

– Miło mi pana poznać, komandorze – odezwała się melodyjnie z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża, być może z Filadelfii. Jak na kobietę, miała trochę za niski

głos, ale pasował do niej. – Słyszałam o panu same dobre rzeczy. Pan i „Hampton” wspaniale sobie poradziliście na południowym Atlantyku. Widziałam dysk optyczny z ćwiczeń. Fantastyczna robota.

Vornado poczuł, że się czerwieni. Nie wiedział, co powiedzieć. Zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma jej dłoń i blokuje drogę do stołu.

– Dzięki, XO, ale proszę mi mówić po imieniu – odezwał się w końcu. Usiadł i przysunął się do stołu, żeby mogła przejść za Dillingerem na miejsce po jego lewej stronie.

Dillinger spojrzał poważnie na swojego oficera wykonawczego.

– Spóźniła się pani. Problemy w eskadrze?

D'Assault przewróciła oczami.

– Jeśli oficer planowania nie potrafi zaplanować lunchu, kapitanie, to tym bardziej operacji eskadry okrętów podwodnych. Komodor musi z nim coś zrobić.

Dillinger z roztargnieniem skinął głową.

– Było coś ważnego na odprawie?

– Szczerze mówiąc, są drastyczne zmiany. Chciałabym porozmawiać o tym z panem po lunchu.

Vornado obserwował Dillingera i D'Assault. Wydawało się, że kapitan i młodszy oficerowie nie dostrzegają urody nowej XO. Traktowali ją po prostu jak wyższego oficera. Vornado był zdumiony. Zastanawiał się, czy jego załoga na „Hamptonie” też zachowywałaby się tak profesjonalnie.

– W porządku, XO – mruknął lakonicznie Dillinger. Miał niemal wrogą minę.

Vornado był ciekaw, czy między nimi jest coś nie tak.

Kucharze nadal serwowali lunch ze srebrnych półmisek. Zastawa stołowa i ceremonia posiłku wyraźnie kontrastowały z kiepskim jedzeniem. Vornado wziął bułkę od marynarza podającego do stołu, zrobił sobie hamburgera i skinął głową, kiedy obsługujący nalewał herbatę mrożoną ze srebrnego dzbanka. Młodszy oficerowie zaczęli rozmawiać o sporcie, Dillinger i D'Assault wtrącali od czasu do czasu swoje uwagi. W końcu wypłynął temat ćwiczeń na południowym Atlantyku. Porucznik Mercury-Pryce zasypywał Vornado pytaniami, co się działo na „Hamptonie”. Vornado opisał mu przebieg operacji od początku do końca. Zaczął od wylądowania helikoptera na jego terenie. Oficerowie słuchali uważnie. W pewnym momencie Vornado zauważył, że D'Assault patrzy na niego i stracił wątek. Pomogła mu wybrnąć z sytuacji, zadając proste pytanie.

Zanim się zorientował, było po lunchu. Młodszy oficerowie przeprosili i wrócili do swoich zajęć. W końcu w mesie zostali tylko on, Dillinger i D'Assault.

Dillinger zamieszał kawę, wypił łyk z porcelanowej filiżanki i zerknął na D'Assault.

– Więc co było na odprawie, XO?

– Mogę swobodnie mówić przy naszym gościu, kapitanie?

Dillinger skinął głową.

– Jasne. Vornado ma wszystkie uprawnienia i powinien wiedzieć, co się dzieje. Jest jednym z nas. Słucham.

D'Assault pokręciła głową.

– Nie zdołałam się wszystkiego dowiedzieć, kapitanie. Może pan porozmawia z komodorem. Z oficera planowania udało mi się wyciągnąć tylko tyle, że nasze zadania zaplanowane na dwa następne kwartały są nieaktualne. Coś się szykuje na północy.

„Północ” oznaczała północny Atlantyk, Morze Norweskie, Ocean Ark – tyczny i Morze Barentsa, rejony operacyjne Republiki Rosyjskiej, gdzie Vornado i Dillinger uczyli się sztuki operacji podwodnych, kiedy byli młodszymi oficerami. Ale Rosjanie siedzieli cicho od ostatniego rejsu Vornado na północ.

– Żartuje pani – powiedział Dillinger. Był tak samo zaskoczony, jak Vornado.

– Przysięgam na Boga – odparła D'Assault. – I cokolwiek tam się dzieje, będziemy się tym zajmowali przez następne pół roku. Mamy rozkaz przerwać czynności obsługowe, przygotować okręt, załadować uzbrojenie oraz zapasy i wyjść w morze. Komodor Kraft oczekuje, że znajdziemy się na otwartych wodach w poniedziałek rano.

Dillinger z hałasem odstawił filiżankę na spodeczek.

– Sześciomiesięczna operacja na północy, która zaczyna się w poniedziałek?! Joe Palacz nic o tym nie mówił.

– Wiem, panie kapitanie – powiedziała oficjalnym

tonem D'Assault. – Komodor Kraft polecił mi przekazać, że chce pana widzieć w swoim biurze na tenderze o czternastej.

Dillinger zerknął na Vornado.

– Już po naszym zielonym alarmie, Peter – westchnął i wstał.

D'Assault i Vornado zrobili to samo, zgodnie z morską tradycją, że kiedy kapitan wstaje od stołu, posiłek jest oficjalnie zakończony.

– Chodźmy do mnie. Przynajmniej pogadamy, zanim będę musiał iść do szefa – zwrócił się do przyjaciela Dillinger. – XO, niech pani się spotka z dowódcami sekcji i powie im, żeby zrobili kontrolę przedrejsową. Potem proszę zwołać zebranie w mesie oficerskiej na szesnastą. Trzeba anulować urlopy. Wszyscy bez wyjątku mają do jutra wrócić na pokład. Łącznie z tymi, którzy są na szkoleniach. Załadunek uzbrojenia w piątek po południu, opróżnienie magazynów w sobotę, szybki rejs kontrolny w niedzielę od ósmej do dwunastej. Wszyscy, którzy nie będą pełnili służby, dostaną przepustki od niedzieli po południu do północy. Wtedy chcę widzieć całą załogę na pokładzie. Rozpakowaną. Inżynier ma uruchomić reaktor o drugiej nad ranem w poniedziałek. Niech pani powie nawigatorowi, że odbijamy od brzegu w poniedziałek o szóstej rano.

D'Assault wyprężyła się na baczność.

– Tak jest, sir. Mogę się odmeldować?

– Zezwalam – odparł Dillinger.

Vornado zerknął na starego kumpla. Zastanawiał go przesadnie oficjalny stosunek BK do XO. Pamiętał niezadowoloną minę Dillingera, kiedy D'Assault chwaliła wyczyny „Hamptona” na południowym Atlantyku. Przyszło mu coś do głowy i zaczął się uśmiechać za plecami Dillingera, gdy kapitan wspinał się pierwszy po stromych schodkach do swojej kajuty. BK opadł na fotel dowódcy i zaklął.

– Te zaszranne plany ciągle się zmieniają – poskarżył się.
– Kto, na Boga, wysyła okręt na sześć miesięcy w morze prawie bez uprzedzenia? To jakiś obłąd.

Vornado nagle pożałował, że to nie on dostał taki rozkaz. Godziny poprzedzające wyjście okrętu podwodnego w morze były ekscytujące. Załoga gderiała, ale każdy czuł podniecenie.

– Domyślam się, że musisz zawiadomić swoją dziewczynę – powiedział Vornado. – A przy okazji, co u niej?

Dillinger zmrużył oczy.

– Przechodzimy kryzys. Dostała robotę w Waszyngtonie. Odległość niszczy miłość.

Dillinger i dziennikarka telewizyjna, Dayna Baines, zamierzali się pobrać. Vornado i Rachel lubili Daynę. Zapewne z jej powodu Dillinger wydawał się roztargniony i rozdrażniony. Jeśli między nimi nie układało się zbyt dobrze, sześciomiesięczna rozłąka mogła tylko pogorszyć sytuację. Takie długie rozstanie nie wychodzi na dobre żadnemu związkowi, pomyślał

Vornado.

– Przykro mi to słyszeć – odrzekł. – Lubię Daynę.

– Wierz mi, ja też – zadrwił Dillinger. – Ale do diabła z nią. Nie mogę myśleć o stałym związku, skoro jestem w tej branży. „A przy okazji, Dillinger, porwiesz okręt podwodny i znikniesz na sześć tygodni”. „Aha, Dillinger, wyjdiesz teraz w morze na sześć miesięcy”. Jezu!

– Brakuje mi tego, BK – wyznał cicho Vornado. – Chciałbym dostawać takie rozkazy.

Dillinger spojrzał na niego z zaskoczeniem, potem z konsternacją.

– O, cholera. Przepraszam, Peter. Nie powinienem tego mówić. Masz rację. Wkurzam się jak marynarz na robotę mojego życia. – Przetarł oczy. – To chyba przez Daynę. Ten rejs oznacza, że nie mam wyboru. Zerwiemy ze sobą.

– Nie możesz jej po prostu wszystkiego wytłumaczyć?

Dillinger pokręcił głową.

– Nie – odparł ponuro. – Uznała, że zmarnowała dla mnie dość czasu. Przed wyjazdem powiedziała, że albo ustalimy datę ślubu, albo odchodzi. Chce natychmiast wyjść za mąż i mieć dziecko. Nie rozumiem tego. Po cholera tak się spieszyć? Dlaczego stawia mi ultimatum? To szantaż: żenisz się albo odchodzę.

– Często tak jest. Rachel też tak zrobiła i miała rację. Ja wolałem, żeby na zawsze pozostała moją dziewczyną. Ale ona pragnęła, żebyśmy mieli wspólne życie.

Vornado pomyślał o swojej córce. Nie chciałby, żeby marnowała młodość dla mężczyzny, który jej nie poślubi.

Ale wiedział, że jego przyjaciel tego nie zrozumie. Dillinger słabo znał się na kobietach. Vornado pomyślał, że niewiele zdoła go nauczyć słowami. BK musi wszystkiego doświadczyć sam.

Dillinger machnął ręką.

– Do diabła z tym. Może lekarz przepisałby mi długi pobyt na morzu – zażartował ponuro.

Vornado skinął głową. Myślał o komandor porucznik D'Assault. Zastanawiał go dziwny stosunek Dillingera do pięknej zastępczyni.

– Co jest nie tak z twoją XO? Cholernie atrakcyjna kobieta. Ale wygląda na to, że na ciebie i twoich chłopaków nie działa.

– Coś mnie w niej drażni – odparł tępo Dillinger z miną bez wyrazu. – Ale nie mam pojęcia, co.

– Zauważyłem. Chyba cię irytuje.

– Wiem, że to widać. I sam tego nie rozumiem. Jest inteligentna, kontaktowa, stanowcza i potrafi dbać w eskadrze o interesy okrętu. Dzięki niej wszyscy staramy się dobrze wyglądać. Młodszy oficerowie ją uwielbiają, podoficerowie szanują, marynarze wypłakują się na jej ramieniu. Nie uwierzyłbyś, jakie ma zdolności organizacyjne. Nie należy do tych, co tylko przekładają papierki na biurku. Na symulatorze jest odważna, kreatywna i agresywna. Ma zmysł taktyczny nie gorszy niż my obaj. A jednak nie ufam jej tak, jak Daveyowi. On i ja rozumiemy się bez słów. A Flood potrafi czytać w moich myślach. Szkoda, że nie mogłeś go zobaczyć na

południowym Atlantyku. Byliśmy cholernie zgranym zespołem. Z D'Assault nadajemy na innych falach. Kiedy mam zły humor, ona jest wesoła. Kiedy marzę o chwili spokoju, ona chce pogadać. Kiedy potrzebuję bodźca, ona odpływa gdzieś myślami. I jakoś dziwnie na mnie patrzy. Nie potrafię tego opisać, ale jest w niej coś takiego, że trudno spojrzeć jej prosto w oczy. Niech to szlag trafi. Chciałbym, żeby Davey już wrócił, albo żeby awansowali Flooda. Nie dogadam się z D'Assault. Ale jeśli pójdę do Joego Palacza i poproszę, żeby ją zabrał z naszego okrętu, będę miał krechę, że nie potrafią współpracować z podwładnym.

Podejrzenia Vornado okazały się słuszne – Dillinger był mocno zauroczony D'Assault. Może z powodu problemów z Dayną, a może się zorientował, że D'Assault coś do niego czuje, lub po prostu działała między nimi chemia. BK nie chciał się do tego przyznać, bo zapewne konfliktowało to z jego uczuciami wobec Dayny, albo uważał, że okazałby się nieprofesjonalny. A może w głębi duszy obawiał się, że D'Assault go odtrąci. A nigdy nie był odporny na odrzucenie przez kobietę.

– D'Assault ma kogoś?

Dillinger zmarszczył brwi.

– A co, chcesz się z nią umówić na randkę? Lepiej uważaj, Peter, bo Rachel przywoła cię do porządku.

Dillinger jest zazdrosny, pomyślał Vornado.

– Jest w moim typie. Ciemne długie włosy, ciemne oczy, ładna buzia, wysoka, zgrabna, inteligentna,

kontaktowa. – Vornado uśmiechnął się do przyjaciela, ale Dillinger miał ponurą minę. Postanowił zaryzykować. – Prawdę mówiąc, BK, ona jest też w twoim typie.

– Bzdura – odpalił szybko Dillinger. – Lubię blondynki i rude.

– Od kiedy? Wszystkie dziewczyny, z którymi się spotykałeś w Annapolis, były brunetkami. – Dillinger umówiłby się na randkę z Rachel, gdyby Vornado go nie ubiegł.

– Dlatego mi się znudziły. W każdym razie, masz pecha. Natalie D'Assault jest zaręczona z bohaterem wojennym, podpułkownikiem marines. Poznali się w Pentagonie, kiedy była jeszcze zielonym podporucznikiem.

– Szczęściarz z faceta – mruknął Vornado i zerknął na zegarek. – Słuchaj, lepiej nie będę cię zatrzymywał. Zbliża się twoje spotkanie z Joem Palaczem. A ja muszę się przygotować do podróży.

– Do jakiej podróży?

Vornado wiedział, że nie powinien rozmawiać o swojej nowej pracy, ale BK miał zezwolenie na dostęp do spraw ściśle tajnych. Może obity mu się o uszy jakieś informacje o tym programie. Vornado opowiedział o kontrakcie, ale pominął warunki finansowe.

– Słyszałeś coś o tajnym, zagrożonym projekcie Electric Boat w suchym doku?

– Nie – odparł Dillinger. – Nic. Ale to wspaniale, Peter. Dobra robota. Rachel nie ma nic przeciwko temu, żebyś

wyjechał tak krótko po chorobie?

– Uważa, że popadam w depresję bez pokładu okrętu podwodnego pod stopami. Twierdzi, że ta praca mi pomoże.

– Ma rację.

Vornado rzucił Dillingerowi niechętnie spojrzenie. Pomyślał, że wcale nie jest w depresji, ale postanowił nie reagować. Wstał. Dillinger też.

– Powodzenia na morzu. – Vornado uścisnął przyjacielowi dłoń.

– Powodzenia w pracy. – Dillinger uśmiechnął się i klepnął starego druha w ramię. – Chodź, odprowadzę cię do końca nabrzeża.

Limuzyna wcześniej zjechała z obwodnicy Beltway. Vornado najpierw pomyślał, że kierowca zna skrót na lotnisko Dullesa wiejskimi drogami wokół McLean, ale samochód zatrzymał się przed masywną wartownią, jakiej Vornado jeszcze nie widział. Spojrzał w górę i zobaczył na betonowej budowli mosiężną tablicę z napisem Centralna Agencja Wywiadowcza. Coś mu zaczęło świtać. Tajemniczość wokół jego pracy, astronomiczna kwota wynagrodzenia na rządowym czeku, zamiast na firmowym General Dynamics, brak kontaktu ze światem w epoce stałej łączności...

Wystawienie przepustki i skierowanie go do właściwego pokoju trwało dwie godziny. W końcu usiadł w wielkim przeszklonym gabinecie Hanka Lewisa.

– Domyślam się, że nie pracujesz w General Dynamics – zaczął sarkastycznie.

– Nie. Jestem dyrektorem projektów w Wydziale Antyproliferyjnym, który podlega Zarządowi Operacyjnemu. Dbamy o to, żeby broń jądrowa nie trafiła w niewłaściwe ręce. Mój szef ma nad sobą DDO, wicedyrektora do spraw operacyjnych, który z kolei odpowiada bezpośrednio przed dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– A okręt w suchym doku? To też zmyłka?

– Nie, istnieje naprawdę. Jest w budowie. To atomowy

okręt podwodny. Tyle że nie ma nic wspólnego z General Dynamics. Peter, nasza rozmowa jest ściśle tajna. Projekt ma kod „Złota Rybka”. Przygotowałem materiał, który ci wiele wyjaśni.

Lewis włączył komputer. Na ściennym ekranie ukazał się napis: **Projekt 705/Lira/ Kod NATO: Alfa.** Lewis przedstawił dłuższą wersję prezentacji multimedialnej. Kiedy z powrotem zapalił światło w pokoju, Vornado zamrugał, jakby wyszedł z ciemnego kina na słońce.

– Hank? – odezwał się po dłuższej chwili milczenia. – Co ja tu robię?

– Peter, budowa okrętu podwodnego w terminalu jest celowo opóźniana przez moich ludzi. Możesz to nazwać sabotażem. Pierwszy plan zakładał spowodowanie tylu opóźnień i awarii, żeby Abdas al-Sattar zniechęcił się do tego szaleńczego pomysłu. Ale Abdas to cwany typ. Jeśli nie będzie miał okrętu podwodnego, może zabrać głowice pocisków Granat, zejść głęboko do podziemia i zniknąć nam z widoku. A wtedy, podczas każdego finału Super Bowl, sylwestra na Times Square, każdej olimpiady będziemy się oglądali przez ramię i zastanawiali, czy Abdas coś szykuje. Moi szefowie uznali, że najlepszy sposób na zneutralizowanie Abdasa to rozwiązanie problemów z „Alfą” i umożliwienie mu wyjścia w morze. Pod wodą nie zdoła opuścić okrętu. Jeśli będziemy wiedzieli, gdzie jest „Alfa”, będziemy wiedzieli, gdzie jest Abdas. I wtedy podejmiemy odpowiednie działania.

– Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Wyjdiesz „Alfą” w morze – powiedział Lewis, patrząc Vornado prosto w oczy. – Zostaniesz jej kapitanem.

Vornado nie spuszczał wzroku z oficera CIA. Myślał intensywnie. Pieniądze nie odgrywały większej roli. Ważne było dowodzenie atomowym okrętem podwodnym. Proponowano mu to, o czym marzył. Ale oferta Lewisa przypominała ślepy zaułek.

– To samobójcza misja – wycedził w końcu. – Ktoś będzie czekał na Morzu Barentsa, tak? Okręt podwodny z otwartymi wrotami dwóch wyrzutni torpedowych i dwiema Mark 48 na zasilaniu wewnętrznym z wprowadzonymi współrzędnymi celu. Zanurzę „Alfę” u wyjścia z Zatoki Kolskiej i bang... Abdas al-Sattar pójdzie na dno ze swoimi pociskami Granat. A ja razem z nim.

Lewis energicznie pokręcił głową.

– Nie, Peter. Źle mnie rozumiesz. Po naradzie odrzuciliśmy ten plan, bo moglibyśmy nie usłyszeć „Alfy”. Gdyby Abdas uciekł na pokładzie „Alfy”, byłoby gorzej niż jest teraz. Potrzebujemy cię wewnątrz. Moi ludzie wyjdą z tobą w morze. W odpowiedniej chwili zorganizują bunt na okręcie. Zabijecie Abdasa i jego współpracowników, potem przyprowadzicie „Alfę” z pociskami.

– A twój zespół nie może go zabić przed wejściem na pokład?

– To też przemyśleliśmy. Abdas jest genialnym terrorystą. Nikt z jego świty nie potrafiłby go zastąpić, ale

razem, owszem. Musimy zlikwidować wszystkich jego dwunastu podwładnych, bo inaczej wrócą i wykonają plan. Jeśli Abdas umrze za ich wspólną sprawę jako męczennik, następcy ruszą do ataku i będziemy mieli taką samą sytuację, jak teraz. Następny problem to pociski Granat. Musimy wyłączyć je z obiegu. W tamtym rejonie jest tyle prywatnych firm ratownictwa morskiego, że jakaś grupa piracka mogłaby wydobyć pociski, zanim do nich dotrzemy. I chcemy mieć „Alfę”. Wprawdzie powstała pięćdziesiąt lat temu, ale przy użyciu technologii, której nigdy nie mogliśmy zbadać. A dane wywiadowcze z wewnątrz mówią, że naukowcy w terminalu zrobili z niej najlepszy okręt podwodny na świecie.

– Mogli ją usprawnić, ale wątpię, żeby była najlepsza na świecie – odparł Vornado. – Nadal będzie głośniejsza od naszej klasy 688. Okręt podwodny klasy Los Angeles zdoła ją znaleźć i śledzić.

Lewis uśmiechnął się.

– Nowa „Alfa” ma przewagę akustyczną nad klasą L. A. trzeciej generacji. Sfrustrowani naukowcy i inżynierowie okrętowi, którzy kiedyś pocili się w rosyjskich biurach konstrukcyjnych, mają teraz wielki prywatny budżet, Peter. W terminalu wykorzystują całą swoją wiedzę. Montują w „Alfie” czterowymiarowe mocowania przeciwrzonansowe, zaprojektowane z zastosowaniem przekształcenia Fouriera. Aktywne połączenia wyciszające w podstawach zespołów

mechanicznych. Pompy i instalacje rurowe o minimalnym hałasie przepływu. Izolowane pokłady. I ten okręt ma nowy sonar.

Vornado wzruszył ramionami. Hałaśliwość „Alfy” była legendarna. Żartowano, że płynący okręt słyszać na drugiej półkuli. Ale może Lewis miał rację. Tylko jeszcze nie odpowiedział na pytanie.

– Nadal nie rozumiem, do czego jestem ci potrzebny. Skoro na pokładzie będą twoi agenci, którzy zorganizują bunt, to co za różnica, kto poprowadzi okręt?

Lewis skinął głową.

– Spodziewałem się tego pytania. W planie jest dziura, którą wypełnisz. Jeśli bunt się nie uda, zastosujemy wariant rezerwowowy, żeby „Alfa” z Abdasem w środku nie uciekła. Ty go wykonasz. W razie fiaska buntu przejmiesz kontrolę nad okrętem i uzbrojeniem, żeby nie doszło do katastrofy. Unieruchomisz okręt lub uzbrojenie albo jedno i drugie. Jeśli będziesz zmuszony odpalić pociski, wystrzelisz je tak, żeby spadły nieszkodliwie do morza.

Vornado zrozumiał.

– Ale jakie mam szanse przeżycia, jeśli wyjdę „Alfą” w morze?

Lewis wzruszył ramionami.

– Prowadzenie atomowego okrętu podwodnego, zwłaszcza w dziewiczym rejsie, zawsze wiąże się z niebezpieczeństwem. Przecieki, pożary, awarie reaktora, eksplozje uzbrojenia wewnątrz kadłuba. Znasz to wszystko. Okręt jest oparty na nieprzetestowanej

prywatnej rosyjskiej technologii. Dodaj do tego fakt, że Abdas i jego ludzie są najgroźniejszymi terrorystami na świecie. Ale odejmij od tego fakt, że powierzą ci swoje życie i będą cię uważali za swojego. W rezultacie pozostaje zasadniczo taki sam poziom ryzyka, jak przy prowadzeniu każdego innego okrętu podwodnego, aż do momentu, kiedy Abdas się zorientuje, że go wykołowałeś.

– Nie dodajesz mi odwagi, Hank.

– Każde ryzyko, które możemy sobie wyobrazić, jesteśmy w stanie zminimalizować – odparł Lewis. – W tym przypadku również. Inni członkowie załogi wprowadzeni na pokład do ochrony misji i twojej osoby postarają się, żeby Abdas nic ci nie zrobił. Kiedy on i jego ludzie zostaną podziurawieni kulami, przyprowadzisz okręt z pociskami manewrującymi do domu. Misja wykonana.

– Ale dlaczego ja? – zapytał Vornado. – Musi być co najmniej dwudziestu innych ludzi, którzy mogliby to zrobić. Eksperci od okrętów podwodnych z Electric Boat, byli dowódcy okrętów podwodnych i wasi ludzie.

– Nie ma takich, jak ty. Mówisz płynnie po rosyjsku, twoi przodkowie pracowali na północy Rosji, jesteś ekspertem technicznym od okrętów podwodnych i geniuszem taktycznym. I nie tracisz zimnej krwi, kiedy robi się gorąco. Widzieliśmy to na ćwiczeniach „Skradzione strzały”. Stąd o tobie wiemy. Przykro mi z powodu twojej niezdolności do służby, ale jedne drzwi się zamykają, inne otwierają. – Lewis urwał i pochylił się do

przodu. – Mamy mało czasu, Peter. Musimy znać odpowiedź. Zrobisz to?

Co, do cholery, odpowiedzieć? – myślał gorączkowo Vornado. Zgodzić się na wyjazd do Rosji w roli kapitana zdemolowanego, choć poskładanego do kupy, tytanowego wraka, który prawdopodobnie będzie miał katastrofalną awarię reaktora w dziewiczym rejsie? I jakby tego było mało, ma się dać zamknąć wewnątrz kadłuba z najbardziej poszukiwanymi terrorystami na świecie? Po to, żeby wykonać misję, która w najlepszym wypadku grozi mu otarciem się o śmierć?

Vornado utkwiał wzrok w dywanie. Gdyby dostał taką propozycję przed chorobą, nie musiałby się zastanawiać nad odpowiedzią. Natychmiast odrzuciłby ofertę. Miał obowiązki wobec żony i dzieci. Był potrzebny rodzinie i nie narażałby się na śmiertelne niebezpieczeństwo. I nigdy nie przyjąłby tych pieniędzy. Wyszedłby z kolacji z Lewisem, wiedząc, że to wszystko jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Nabraliby niechęci do kogoś, kto próbował go przekupić tak absurdalnie wysoką sumą. Sam potrafiłby zarobić.

Ale tak byłoby wtedy. Starał się bagatelizować wpływ choroby na swoją osobowość, ale znał prawdę. W jego życiu powstała linia demarkacyjna. Żadne równanie, które działało w tym wszechświecie, nie miało tu zastosowania. Te dwa miliony dolarów były dla niego ważne. Mogły go uwolnić od obaw o przyszłość rodziny. Przedtem niemal lekceważył pieniądze. Uważał, że im więcej człowiek ich

ma, tym mniej uczciwie postępuje. Teraz zrozumiał, że taki punkt widzenia to naiwność i głupota. Spójrz prawdzie w oczy, powiedział sobie. Ta mała fortuna zapewni ci spokój umysłu. Jeśli znów zachorujesz, nie będziesz musiał się martwić o Rachel i dzieci. Zostaną zabezpieczeni dzięki twojemu kontraktowi z Hankiem Lewisem i forsie CIA.

Ale Vornado wiedział, że nie tylko o to mu chodzi. Od czasu ewakuacji helikopterem z „Hamptona” żył jak na zwolnionych obrotach. Po wyzdrowieniu miał nadzieję, że wszystko wkrótce wróci do normy. Ale tak się nie stało i zdał sobie sprawę, że powodem nie była choroba – brakowało mu dowodzenia okrętem podwodnym.

Znów zaczął się zadrećcać – kochał służbę na morzu, był w tym dobry. Ale to nie powód, żeby sprzedawać duszę za jeszcze jeden tydzień dowodzenia atomowym okrętem podwodnym. I co oznaczałoby to dowodzenie? Okręt nie będzie miał innego uzbrojenia niż pociski Granat – „zabójcy miast”. Ledwo pływająca łajba z moskiewskimi mafiosami, islamskimi terrorystami i kilkoma ludźmi Lewisa na pokładzie.

Ale nawet jeśli myśli przede wszystkim o rodzinie, czy to nie egoizm? Co z ojczyzną? Ma w końcu zobowiązania wobec Ameryki. Jest patriotą i służył swojemu krajowi, ale teraz naród potrzebuje go inaczej niż dotąd. Jeśli rzeczywiście oprócz niego nikt nie wykonałby zadania, odmowa byłaby niemoralna.

Ale co z ryzykiem? – zadał sobie pytanie. Cóż,

poprzednia służba też była poważnym ryzykiem, choć może o wiele mniejszym niż ta misja, ale jednak. I wierzy w siebie. Jeśli to zadanie dotyczy okrętu podwodnego, potrafi je wykonać lepiej niż ktokolwiek inny. Przyjmie zlecenie i niech Bóg ma litość nad duszą Abdasa al-Sattara. Za kilka miesięcy unowocześniona „Alfa” stanie w amerykańskim suchym doku, a on i dzieci będą się pławili w basenie przy górskim domku w dolinie rzeki Shenandoah. W ten sposób przysłuży się krajowi i rodzinie.

Vornado spojrzął na swoje buty.

– Zgoda, Hank. Ale pod jednym warunkiem.

Lewis poklepał go po plecach.

– Słuszna decyzja, Peter. Co możemy dla ciebie zrobić?

– Dać mi torpedy.

– Torpedy? Po co?

– Muszę przekonać Abdasa, że jako dowódca okrętu potrafię go ochronić. Jeśli mi zaufa, zostawi mnie samego w sterowni. Muszę być jedynym człowiekiem na pokładzie, który wie, jak zaprogramować torpedy i korzystać z systemu kierowania ogniem. W ostateczności będę mógł ich użyć do samodestrukcji.

Lewis zastanowił się.

– Do storpedowania własnego okrętu? To rzeczywiście ostateczność.

– Sam mówiłeś, że Abdas nie może uciec „Alfą” z pociskami na pokładzie.

– Ale to samobójstwo.

– Nie. Rosyjskie okręty podwodne mają kapsuły ratunkowe. Mogę wystrzelić torpedę zaprogramowaną tak, żeby wróciła do macierzystego okrętu, a potem ewakuować się w kapsule ratunkowej razem z twoimi agentami. Abdas zginie, „Alfa” i Granaty wyparują, ale my przeżyjemy.

– Niezła myśl. Żądanie torped będzie dla Abdasa dowodem, że naprawdę zamierzasz wykonać tę misję. Doskonale. Zaproponujesz to braciom Kaznikow.

Vornado popatrzył na Lewisa i poczuł się wymanewrowany – chcesz mieć torpedy, załatw je sobie sam.

– Chodźmy do moich szefów – powiedział Lewis. – Potem zakwaterujemy cię w hotelu na terenie kompleksu. Przez następny tydzień będziesz mówił tylko po rosyjsku, studiował budowę „Alfy” i zapoznawał się ze szczegółami operacji. Później wyślę cię na farmę, gdzie w ciągu siedmiu dni przejdiesz roczne szkolenie. Przez ten czas nasi ludzie w sztabie rekrutacyjnym i ochronie terminalu przygotowują grunt, żeby cię tam wprowadzić.

– Jako kto tam wystąpię?

– Dowiesz się na szkoleniu. Mój personel wszystkiego cię nauczy.

– Pokład! – Donośny głos podporucznika Nicka Keondre'a nadawany przez megafon świdrował w uszach.
– Wciągnąć wszystkie cumy!

Dillinger powstrzymał się od zrobienia groźnej miny, ale on najpierw wciągnąłby cumy dziobowe i pozwolił, żeby dziób oddalił się dryfem od nabrzeża. Teraz jednak Keondre dowodził personelem cumowniczym na nabrzeżu i załogą wciągającą cumy. Czekał cierpliwie, aż ludzie z eskadry zdejmą pętle ciężkich lin z pachołków i rzucą je na okręt, gdzie załoga pokładowa „Tucsona” zwinie je i upakuje w schowkach. Okręt nie oddalał się od nabrzeża, słaby prąd nie wystarczał do przesunięcia kadłuba. Dillinger wciągnął nosem powietrze, zastanawiając się, czy mżawka przerodzi się wkrótce w ulewę. Świt jeszcze nie wstał. W stożkach światła portowych lamp sodowych unosiły się kropelki deszczu, blask nie przenikał przez gęstą mgłę. W oddali rozbrzmiewała syrena okrętowa wielkiego statku handlowego wchodzącego lub wychodzącego z międzynarodowego terminalu towarowego w Norfolk.

Kiedy ostatnia cuma wylądowała na pokładzie, Keondre odwrócił się w kierunku lotnego mostka.

– Zmienić barwy! – krzyknął.

Do Dillingera na szczycie kiosku dołączył na chwilę telefonista i szybko wciągnął amerykańską banderę na

trzymetrowy maszt ze stali nierdzewnej. Zawisła smętnie w mokrym powietrzu. Keondre sięgnął w dół pod krawędź kokpitu i pociągnął dźwignię syreny okrętowej. Nad spokojną wodą rozległ się ryk jak z syreny największego lotniskowca. Dillinger pomyślał, że w promieniu dwóch mil na pewno nikt już nie śpi. Sygnał trwał pełne osiem sekund. Keondre obwieszczał światu, że „Tucson” wychodzi w morze. Kiedy puścił dźwignię, cisza wydawała się upiorna.

Okręt zaczął się lekko odsuwać od nabrzeża, między kadłubem i betonem rósł przesmyk ciemnej wody. Keondre wyciągnął szyję i obserwował nad krawędzią kiosku ruch okrętu. Czekał, aż prąd i odpływ oddalą ich od nabrzeża. Dillinger zanotował sobie w pamięci, żeby pochwalić młodego oficera za cierpliwość.

W końcu odległość między kadłubem a betonem urosła do jednej czwartej długości okrętu. Keondre trzymał mikrofon połączony spiralnym przewodem z konsolą telekomunikacyjną pod owiewką kokpitu. Włączył mikrofon i jego głośne słowa odbiły się echem w szybie wejściowym kiosku.

– Sternik, tu mostek. Cała naprzód jedna trzecia.

Dillinger pomyślał o Daynie Baines. Poprzedniej nocy przyszła do niego, żeby poważnie porozmawiać. Sama dostała się do domu, kiedy już od godziny spał.

Dillinger zmarszczył brwi i skoncentrował się na okręcie. Kadłub zaczął się wolno przesuwać wzdłuż nabrzeża w tempie kilku centymetrów na sekundę. Ze

stanowiska Dillingera na lotnym mostku ruch był wyraźnie widoczny. Za rufą pojawił się kilwater. Wreszcie kiosk zrównał się z końcem nabrzeża. Keondre obserwował to, potem spojrzął w dół rzeki, choć we mgłę niewiele można było zobaczyć. Sięgnął do dźwigni syreny w kokpicie i nadał dwusekundowy sygnał obwieszczający ich obecność na farwaterze.

– Sternik, tu mostek – odezwał się przez mikrofon. – Ster pełna w prawo, stały kurs zero jeden zero.

Drzwi sypialni otworzyły się wolno i Dayna Baines weszła z wahaniem do pokoju. Dillinger spojrzął na dziewczynę i ogarnęło go mnóstwo uczuć jednocześnie: radość na jej widok; obawa, że przyszła z nim zerwać; pożądanie; ulga, że wreszcie impas się skończy, w ten czy inny sposób. Ciągle miał nadzieję, że się pogodzą, i szukał w jej oczach oznak dobrej wiadomości.

Dillinger patrzył na farwater przed nimi. Widział tylko krótki odcinek gładkiej wody, a dalej gęstą mgłę. Widoczność nie przekraczała stu metrów. Lornetka na nic by się nie przydała.

– Niech pan zwolni, kiedy będziemy na naszym kursie – rozkazał Dillinger.

– Tak jest, panie kapitanie.

Dillinger poznał Daynę Baines, kiedy weszła na pokład USS „Miami”, żeby zrobić reportaż o okręcie podwodnym dla lokalnej stacji telewizyjnej w Norfolk.

Nie mógł zapomnieć tej chwili. Dayna natychmiast go oczarowała. Była wysoka, zgrabna, miała włosy koloru miedzi, jasną cerę, niebieskie oczy i pełne, czerwone wargi. Kiedy do niego mówiła, tracił wątek. Jąkał się i w ogóle zachowywał jak idiota.

Okręt dotarł wolno do punktu pierwszego zwrotu i skręcił na wschód w kierunku farwateru wyjściowego z portu w Norfolk. Dillinger zerknął niecierpliwie na zegarek. Pomyślał, że przy tej szybkości podróż do Va – Capes potrwa całą wieczność. Niemal jakby w odpowiedzi na modlitwę, zaczęło lać. Krople deszczu miały wielkość ćwierćdolarówek. Po minucie nastąpiło istne oberwanie chmury. Strumienie wody lały się na nich jak z węża strażackiego. Dillinger głęboko naciągnął kaptur i przeklął pogodę.

Po trzygodzinnej podróży z Waszyngtonu miała potargane włosy i podkrażone oczy, ale wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Dillinger pomyślał, że bez względu na to, co zajdzie między nimi, zawsze będzie ją kochał.

Płynęli na wschód. Zerwał się wiatr. Niemal natychmiast przybrał na sile. Nawiewał z zachodu strugi deszczu. Nad okrętem pędziły ciemne chmury. Przesuwały się od rufy do dziobu. Bandera za plecami Dillingera zaczęła głośno łopotać. Dillinger poczuł, że deszcz przesiąka przez sztormiak i moczy bawełniany

mundur. Wzdrygnął się z zimna, ale uśmiechnął – wiatr w końcu rozwiął mgłę i nagle przed nimi ukazał się długi odcinek farwateru.

– Niech pan przyspieszy do standardowej, JOOD – rozkazał młodszemu oficerowi pokładowemu.

– Tak jest, panie kapitanie. Sternik, tu mostek. Cała naprzód standardowa.

– Po wyjeździe dzwoniłam z samochodu, ale nie odbierałeś telefonu – powiedziała drżącym głosem. Głos Dayny Baines zawsze na niego działał. Odkąd ją znał, nie cierpiała swojego głosu. Mówiła, że jest szorstki i ochryply, ale on go uwielbiał. Miała przeciągły akcent z rejonu na południe od Atlanty. Jej wymowa niektórych spółgłosek zawsze go podniecała, nawet w czasie kłótni.

Mała szybkość umożliwiła załodze pokładowej umieszczenie lin cumowniczych w schowkach. Marynarze wpuścili w kadłub knagi obrotowe i jedyną wystającą częścią był teraz górny włącz dziobowego szybu ewakuacyjnego na środku pokładu. Kadłub stał się gładkim cylindrem. Załoga zniknęła wkrótce we włazie, zamknęła go za sobą i okręt mógł przyspieszyć.

Przed okrętem wyrosła niewielka fala dziobowa. Woda rozdzielała się i opływała kadłub z głośnym szumem, który rywalizował z wyciem wiatru. Na wprost pojawił się most-tunel na autostradzie między stanowej numer 64. Na polecenie nawigatora Keondre skorygował kurs. Most

wkrótce pozostał za nimi. Keondre skreślił równoległe do farwateru Thimble Shoal Channel.

– Gaz do dechy – krzyknął Dillinger w dół do Keondre'a.

Na farwaterze obowiązywało ograniczenie prędkości do piętnastu węzłów. Pełna szybkość okrętu przy połowie mocy reaktora wynosiła siedemnaście. Ale przekroczenie limitu o dwa węzły było problemem dla Straży Przybrzeżnej. Dillinger chciał nadrobić czas stracony w pierwszej, powolnej fazie rejsu.

– Tak jest, panie kapitanie. Sternik, tu mostek. Cała naprzód pełna.

Była wyższa od większości kobiet. Swojego wzrostu też nie cierpiała. W wieku dwudziestu dziewięciu lat czuła się jak niezgrabna nastolatka. Mówiła o sobie, że jest koścista – od małych stóp poprzez długie nogi i wąskie biodra aż do szczupłej talii. Narzekała, że jest upośledzona fizycznie, bo ma szeroką klatkę piersiową i za duży biust, co ją krępuje. Długa szyja Dayny wydawała mu się zgrabna, ale ona zawsze zasłaniała ją wysokimi kołnierzykami bluzek i żakietów, szalikami i włosami do ramion. Idealnie proporcjonalne rysy pięknej twarzy przypominały arcydzieło wielkiego mistrza. Nie potrzebowała makijażu, żeby wyglądać oszałamiająco. Ale nigdy nie widział jej nieumalowanej.

Fala dziobowa urosła. Zakrywała cylindryczny kadłub

aż po kiosk, przelewała się przez pokład rufowy i opadała przy sterze. Jej szum był głośniejszy od wycia wiatru, który szczęśliwie dał im w plecy. Dillinger widział w oddali most-tunel łączący brzegi zatoki Chesapeake, odległy o prawie osiem mil morskich, i tankowiec zmierzający do portu.

– Mostek, tu koordynator kontaktu – odezwał się głos Schlussa. – Wpływający statek handlowy na farwaterze przed nami, kierunek zero dziewięć siedem, odległość trzynaście tysięcy metrów, szybkość osiem węzłów, kąt na dziobie pięć stopni w lewo. Punkt maksymalnego zbliżenia dziewięćset metrów z lewej burty.

– Koordynator, tu mostek. Przyjąłem.

Tankowiec dzielił z nimi farwater i miał ich minąć z lewej burty.

– Niech pan go wywoła – rozkazał Dillinger Keondre'owi.

Dwa dni po reportażu o „Miami” Dayna zadzwoniła do niego na okręt. Na dźwięk jej głosu podskoczyło mu tętno. Pod wpływem impulsu zaprosił dziewczynę na kolację. Zdumiał go własny tupet i był zaskoczony, że natychmiast się zgodziła. Dopiero kiedy odłożył słuchawkę, zdał sobie sprawę, że właśnie tego się spodziewała. Trzęsa mu się ręka, gdy sięgał do klamki w drzwiach swojej kajuty kapitańskiej – Dayna Baines jest nim zainteresowana! Przy kolacji wyznała, że od razu jej się spodobał i nie mogła przestać o nim myśleć. Zostali

parą po pierwszej randce. Nie potrzebowali obiecywać sobie wierności – ich wzajemne zaangażowanie wydawało się naturalne i oczywiste. Trzy tygodnie później wprowadziła się do niego. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu był naprawdę szczęśliwy.

Keondre uniósł do ust mikrofon radia VHF do łączności mostek-mostek.

– Wpływający tankowiec przy tunelu Thimble Shoal, tu wypływający okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, odbiór.

Ze względów bezpieczeństwa okręt wojenny nigdy nie podawał swojej nazwy. Ta ostrożność była przeżytkiem z czasów zimnej wojny, ale pozostała w Standardowych Procedurach Operacyjnych.

W radiu na ramieniu Dillingera odezwał się głos mówiący z przeciągłym południowym akcentem.

– Przyjąłem, podwodniak. Tu wpływający „CalTex Zephyr”. Nadawaj. Odbiór.

– „CalTex Zephyr”, tu wypływający okręt podwodny marynarki wojennej – powiedział do mikrofonu Keondre.
– Proponuję mijanie lewymi burtami. Odbiór.

– Przyjąłem, podwodniak. Mijanie z dwoma gwizdkami. Miłego dnia przy tej psiej pogodzie. Bez odbioru.

– Przyjąłem, „CalTex Zephyr”. Dzięki i też życzę miłego dnia. – Keondre z powrotem przypiął mikrofon do kurtki.

Po kilku miesiącach Dillinger został kapitanem „Tucsona”. Dayna przeniosła się z lokalnej stacji telewizyjnej do filii Satellite News Network w Norfolk jako dziennikarka współprowadząca wiadomości. Dillinger i Dayna mieli wojownicze charaktery, ale sytuacja ustabilizowała się na poziomie żartobliwych docinków. Gdyby oboje pracowali na innych posadach, ich związek naturalną kolejną rzeczą mógłby doprowadzić do małżeństwa. Ale Dillinger spędzał mnóstwo czasu na okręcie w obłądnym kieracie operacyjnym. Dayna nie cierpiała jego długich rejsów, które często zaczynały się niemal zniecka. Przetrwaliby to, ale Dayna dostała propozycję pracy w głównym studiu SNN w Waszyngtonie. To była jej wielka szansa, awans do pierwszej ligi, szczyt piramidy – to samo, czym dla Dillingera było dowodzenie na morzu. Dayna powiedziała, że zamierza skorzystać z oferty nie tyle dla kariery, ile z obawy, że za dwa, trzy lata wypadnie z branży – zastąpi ją młodsza i ładniejsza dziennikarka prowadząca wiadomości. W Waszyngtonie zarabiałaby tyle, że mogłaby odłożyć pieniądze na przyszłość, kiedy nie dostanie nawet posady prezenterki pogody w lokalnej stacji.

Widoczność poprawiła się wreszcie na tyle, że można było patrzeć przez lornetkę. Dillinger obserwował farwater. Poza tankowcem, nie widział żadnych innych

statków. Wciąż lało i wiał porywisty wiatr. Przez zatokę pędziły na wschód krótkie, spienione fale. Gdyby nadal wiało, mogły urosnąć. Dillinger strząsnął wodę z kaptura. Deszcz go drażnił. Jeszcze nie wychodził w morze przy takiej paskudnej pogodzie. Zastanawiał się, czy to przynosi pecha – kiedyś marynarze uważali, że deszcz w dniu wesela wróży szczęście.

Dillinger przyjął z rezygnacją decyzję Dayny o wyjeździe do Waszyngtonu. Argumentował, że takie rozstanie zniszczy ich związek. Odpowiedziała, że to praca tylko na kilka lat. A nawet jeśli potrwa dłużej, Dillinger prawdopodobnie też będzie wkrótce stacjonował w Waszyngtonie. Nie o to chodziło. Obawiał się, że żadne z nich nie zdoła podtrzymać znajomości na odległość. Odparła, że Waszyngton jest oddalony zaledwie o trzy godziny drogi, że ona cierpliwie czekała na jego powroty i że jest dziecinny. Powiedział, że krótkie spotkania w Waszyngtonie to żadne rozwiązanie – Dayna pracowała w soboty i niedziele, miała wolne tylko wtorki i częściowo środy. Próbował jej uzmysłwić, że będzie padała ze zmęczenia po tygodniowym prowadzeniu porannych i wieczornych wiadomości, a on przez pół tygodnia jest w krótkich rejsach lub pracuje w nadgodzinach nad przygotowaniem okrętu do wyjścia w morze.

Kiedy zbliżali się do mostu-tunelu, tankowiec minął ich z lewej burty. Załoga statku opuściła banderę na

pokładzie rufowym nadbudowy. W odpowiedzi Dillinger sięgnął za siebie, ściągnął banderę do połowy masztu, potem wciągnął ją z powrotem na znak pozdrowienia. Pod okrętem przesunął się południowy tunel. Płynęli farwaterem dalej w kierunku Fort Story. Nawigator podał odległość do punktu następnego zwrotu i nowy kurs. Wreszcie punkt pojawił się z prawej burty i został za rufą. Cummins oznajmił, że są w miejscu zwrotu. Keondre rozkazał skrócić na południe. Kiedy minęli Fort Story, Dillinger zobaczył latarnię morską na przylądku Henry. Peryskopy obracały się, zespół nawigacyjny brał wizualne namiary pozycji według latarni i znaków lądowych w Virginia Beach. Dillinger obserwował plażę przez lornetkę, ale przy takiej pogodzie była pusta. Wiatr dał z prawej burty, ku morzu pędziły fale. Przez jakiś czas płynęli na południe, aż dotarli do boi oznaczającej początek strefy rozdziału ruchu.

W samym środku trwającej tygodniami dyskusji Dillinger został wezwany do sali konferencyjnej w Dowództwie Atlantyckiej Floty Podwodnej. Usłyszał, że ma zapomnieć o prywatnych sprawach, nie musi się nawet pakować, czeka na niego samochód służbowy i zabiera go do tajnego ośrodka treningowego dla sił specjalnych. Dillinger przełknął głośno, ale przyjął rozkazy, choć obawiał się, że jego nagłe zniknięcie bez żadnego wyjaśnienia będzie wyglądało na wyjazd w gniewie. Niestety miał rację. Zanim wrócił do domu,

Dayna się wyprowadziła.

– Mostek, tu nawigator. Zmiana kursu na zero dziewięć zero.

Okręt właśnie wydostał się na otwarte wody. Teraz oficjalnie znajdowali się na Atlantyku, choć morze było jeszcze zbyt płytkie, żeby mogli się zanurzyć. Musieli dotrzeć do krańca szelfu kontynentalnego. Mieli przed sobą jeszcze godziny rejsu na wschód. Keondre zmienił kurs, potem spojrzął w górę na Dillingera.

– Panie kapitanie, zalecam prędkość maksymalną.

– W porządku, JOOD. Niech pan przyspieszy.

– Tak jest – odpowiedział Keondre. – Manewrowa, tu mostek. Przełączyć główne pompy chłodziwa na wysokie obroty.

– Mostek, tu manewrowa. Przyjąłem. Wykonuję. Główne pompy chłodziwa przełączone na wysokie obroty.

– W porządku, manewrowa. Sternik, tu mostek. Cała naprzd maksimum.

Pokład pod stopami Dillingera zaczął drzeć, kiedy reaktor osiągnął sto procent mocy i trzydzieści pięć tysięcy koni mechanicznych na wale napędowym popchnęło okręt naprzód przez szare, spienione fale. Dillinger uwielbiał to uczucie. Wibracje pokładu sygnalizowały, że okręt płynie wykonać ważną misję. Oczywiście na razie tylko tyle powiedziano. Za kilka godzin Dillinger dostanie wiadomość, jakie zadanie ma

zrealizować, i będzie mógł zaplanować działania. Odwrócił się i spojrzął w kierunku rufy. Wybrzeże w Virginia Beach zniknęło wolno w oddali w deszczu i kłębach niskich chmur. W końcu przestało być widoczne. Pozostało tylko morze.

Wieczorem w pierwszy piątek po rejsie „Albany” Dillinger włączył telewizor i zaczął się torturować oglądaniem wiadomości SNN. Przy „Raporcie Dayny Baines” wypił trzy podwójne bourbony. Zasnął na kanapie i przez cały weekend łupało mu pod czaszką. Przewrotnie winił za to Daynę. Przyszła mu do głowy dziwna myśl, że może Dayna siedzi ze łzami w oczach przy telefonie i czeka, żeby zadzwonił. Usiadł przy sekretarzyku w piwnicy i sięgnął do telefonu, ale zanim zdążył go dotknąć, aparat zadzwonił. W słuchawce usłyszał głos Rachel Vornado. Powiedziała, że Peterowi zostało zaledwie kilka tygodni życia.

Nagle przed dziobem wyskoczyły z morza dwa delfiny. Ich wygięte grzbiety widać było tylko przez moment – natychmiast zniknęły. Pojawiły się drugi raz, potem trzeci. To na pewno dobry znak, pomyślał Dillinger. Poluzował swoją linę bezpieczeństwa i usiadł na szczycie kiosku z nogami spuszczoneymi do kokpitu mostka. Na otwartych wodach mógł się trochę odprężyć.

Dillinger spędził drugą połowę lata z Peterem i Rachel.

Potrzebowali go i ich problem pomagał mu zapomnieć o własnych kłopotach. Kiedy Vornado pokonał raka mózgu, Dillinger znów dostrzegł własną samotność i zdał sobie sprawę, że musi zadzwonić do Dayny.

– Dobra robota, panie Keondre. Niech pan czuwa. I sprawdza, czy koordynator kontaktu robi swoje i patrzy przed siebie.

– Tak jest.

Na oceanie fale urosły. Nie były już niskimi grzywaczami, jak w zatoce – miały teraz metr wysokości. Morze jest już wzburzone, pomyślał Dillinger. Zanim dotrą do punktu zanurzenia, pewnie zacznie się silny sztorm. Ale potem okręt uzyska absolutną stabilność. Sto osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią nie będzie ani śladu żywiołu szalejącego na górze.

Za każdym razem, kiedy Dillinger sięgał do telefonu, wstrzymywał się. A może Dayna teraz śpi albo jest zajęta? Brakowało mu odwagi, wołał niepewność, bo przynajmniej pozostawała możliwość, że Daynie nadal na nim zależy. Gdyby zadzwonił, mogłaby go pozbawić złudzeń jednym zdaniem. Nie był pewien, czy jest na to przygotowany. Lepiej zaczekać, niech ona zadzwoni. Jej nagły przyjazd poprzedniej nocy całkowicie go zaskoczył. W głębi duszy miał nadzieję, że bez względu na konsekwencje rzuciła pracę w waszyngtońskiej centrali Satellite Network News i wróciła do niego.

Okręt drżał od maksymalnej mocy silników. Fale rosły i zaczynały mocno przechylać kadłub na lewą burzę. Okręt pozostawał w skośnej pozycji koszmarnie długo, potem wolno przechylał się z powrotem na sterburzę. Zamierał w tym położeniu i znów wracał na lewą burzę. Wewnątrz kadłuba ruch nieprzystosowanego do żeglugi nawodnej i ledwo stabilnego okrętu podwodnego przyprawiał o mdłości. Połowa załogi wymiotowała do plastikowych toreb i w kółko pytała, ile czasu zostało do zanurzenia. Ale wysoko na lotnym mostku przechyły dawały dużo satysfakcji. Dillinger zsunął z głowy kaptur sztormiaka. Huraganowy wiatr zwiewał mu włosy do tyłu. BK opierał się o reling lotnego mostka i czuł potężną moc silników. Chciał przestać myśleć o poprzedniej nocy, ale nie mógł. Próbował skoncentrować się na morzu i niebie, ale wciąż był w swojej kuchni i patrzył na Daynę Baines.

– Mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać – powiedział, kiedy oboje usiedli przy stole kuchennym.

– Burke, nasz związek nie przetrwa na odległość.

Upadł na duchu, kiedy usłyszał te słowa. Koniec wydał się nagle bardzo realny. Ogarnął go gniew i szczęśliwie uśmierzył ból, który mu zadała.

– Przyjechałaś tu, żeby się na mnie wypiąć? – zapytał z niedowierzaniem. Miał oskarżycielski ton i lekko drżał mu głos.

Jej oczy wypełniły się łzami i niemal natychmiast stały się zaczerwienione i podpuchnięte.

– Nie odbierałaś telefonu. Musiałam z tobą porozmawiać, nawet gdyby to wymagało przyjazdu tutaj.
– Urwała na dłuższą chwilę. – Spotykam się z moim szefem, Evanem Englishem.

Dillinger patrzył na nią z zaskoczeniem. Ekspłodowało w nim nagle mnóstwo różnych uczuć, ocknął się z odrętwienia, w którym trwał od chwili jej wyjazdu. Teoretyzować, że Dayna może kogoś mieć, to jedno, ale usłyszeć potwierdzenie z jej ust, to zupełnie co innego. Wiadomość była nokautująca. Siedział z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Zdradziła cię, podszeptał mu wewnętrzny głos.

– Co powiedziałaś? – zapytał cicho.

– Że spotykam się z Evanem.

Dillinger zamrugął.

– On chyba jest żonaty?

Spuściła wzrok.

– Pewnego dnia odejdzie od żony.

Zmusił się, żeby wziąć głęboki oddech. Słyszał, jak krew szumi mu w uszach.

– W porządku, Dayna. Życzę szczęścia w nowym życiu. Zadzwoń do firmy przeprowadzkowej, żeby zabrali twoje rzeczy. Zostaw mi adres, pod który mam je wysłać. Bezpiecznej podróży powrotnej.

Po jej policzkach spływały łzy.

– Nie musisz być taki nieczuły – zatkała, akcentując

słowa wyraźniej niż zwykle. – Nie powiedziałam, że się w nim zakochałam. Nadal kocham ciebie, Burke.

Roześmiał się gardłowo.

– Masz dziwny sposób okazywania miłości.

– Mówię poważnie. – Urwała, żeby się uspokoić. – Gdybyś był bardziej zaangażowany w nasz związek, nigdy bym... – Zaczęła szlochać, trzęsły się jej ramiona.

– Więc to przeze mnie? – zapytał. Na dźwięk własnych słów ogarnęła go jeszcze większa wściekłość. – Zwalasz winę na mnie? Za to, że wyjechałaś i pieprzysz się z żonatym facetem? I pewnie jeszcze winisz mnie, że musiałaś tu przyjechać, żeby mi to rzucić w twarz? Chryste, można by pomyśleć, że jestem jakimś potworem.

Dayna przełknęła głośno.

– Do jasnej cholery, Burke, zawsze tak robisz. Nigdy nie widzisz, że pogarszasz sytuację. Nigdy nie ponosisz za nic winy. Zawsze ktoś inny, nigdy ty. Bo ty jesteś idealny. Evan mnie tak nie traktuje. – Łzy rozmazały jej makijaż. Kiedy wytarła twarz, miała brudne policzki.

– Więc wracaj do niego! – krzyknął Dillinger. – Po cholerę tu w ogóle siedzisz?

W jej oczach błysnął gniew, ale głos miała spokojny i chłodny.

– Bo chciałam, żebyś powiedział: „Dayna, zostaw go, proszę cię, bądź ze mną, wyjdź za mnie, miej ze mną dzieci, dziel ze mną życie”. Ale ty nigdy nic nie rozumiesz.

– Posłuchaj, Dayna. Jeśli właśnie tego chcesz, tak

trzymaj. Gdybyś zdecydowała, że chcesz być ze mną, wszystko, o czym wspomniałaś: małżeństwo, dzieci, wspólne życie, spełniłoby się. Razem byśmy się postarali. Ale ty przychodzisz i urządzasz aukcję swojej osoby, jakbyś była obrazem. Nie wezmę udziału w licytacji. Musisz wybierać. Chcesz być z tamtym Angolem, intelektualistą z zębami jak kołki w płocie, wracaj do Waszyngtonu. Zbudujcie sobie dom, przebrnijcie razem przez jego rozwód, zaplanujcie książęce wesele i miejcie cholerne bachory z zębami jak kołki w płocie!

Na jej twarzy odmalowało się przerażenie i szok, jakby ją uderzył. Odwróciła się i oparła czoło o ścianę, potem wybiegła z kuchni.

Usłyszał jej kroki na drewnianej podłodze w holu, potem skrzypnięcie otwieranych drzwi. Zamknęła je delikatnie za sobą. Po dłuższej chwili rozległy się kroki na ganku, potem odgłos otwieranych i zatrzaszkiwanych drzwi samochodu. Uruchomiła silnik. Poszedł do holu, poczuł jej zapach i zdał sobie sprawę, że w porwywie gniewu popełnił fatalny błąd. Wyjrzał przez okno i zobaczył tylne światła auta Dayny znikające w oddali. Przywarł czołem do zimnej szyby i przypomniał sobie każde słowo, jakie między nimi padło. Żałował tego, co powiedział, ale nie miał pojęcia, jak mógłby to cofnąć.

Skończyło się.

Dillinger westchnął. Jeśli będzie miał szczęście, ten rejs stanie się wyzwaniem i uwolni go od myśli o Daynie.

Oznajmił, że schodzi na dolny pokład. Wpadnie na krótko do sterowni – królestwa XO, kiedy okręt był na powierzchni – potem wycofa się do swojej kajuty. Kiedy schodził po drabince szybu wejściowego na mostek, czuł lekkie przechyły okrętu walczącego z falami. Pomyślał, że wewnątrz drzenie pokładu jest bardziej odczuwalne. Wyłonił się w sterowni i zdał sobie sprawę, że jest przemoczony do suchej nitki i zostawia na pokładzie kałużę wody. Pomachał do D'Assault i ruszył do swojej kajuty. Przed drzwiami ściągnął sztormiak, wszedł do środka i powiesił go w łazience z nierdzewnej stali, którą dzielił z D'Assault. Potem zdjął mokry mundur khaki, wziął prysznic i włożył kombinezon podwodniacki, który nosił na morzu. Czarny, jednoczęściowy uniform z bawełny miał na prawym ramieniu naszyty emblemat okrętu, na lewym flagę amerykańską, nad lewą kieszenią wyhaftowane złote delfiny i srebrne liście dębowe na kołnierzu, oznaczające jego stopień wojskowy. Znowu czuje się jak człowiek, pomyślał.

Poszedł do sterowni i przez resztę porannej wachty obserwował załogę oraz D'Assault. Im dłużej się przyglądał swojej zastępczyni, tym bardziej podobało mu się to, co widzi. Oczywiście musiałyby ją jeszcze zobaczyć w chwili kryzysu po sześćdziesięciu godzinach bez snu – to byłby prawdziwy wizerunek Natalie D'Assault, pomyślał. Przez moment porównywał ją z Dayną, potem dał sobie z tym spokój. Żadna nie mogła się równać z Dayną.

Żegnaj, Dayno, pomyślał.

– Trzydzieści sekund do punktu zanurzenia!

– Przyjąłem – odpowiedział technikowi nawigacyjnemu porucznik Kurt Vauxhall głosem przytłumionym przez osłonę modułu optycznego peryskopu.

Dillinger spojrział zmrużonymi oczami na panel sterowniczy okrętu, potem po raz ostatni zerknął na mapę morską.

– Dowodzenie, tu radio – zatrzeszczało w głośniku sufitowym.

– Mów, radio – zawołał Vauxhall.

– Pilna wiadomość z eskadry do rąk własnych kapitana. Czeka w buforze. Najwyższy priorytet.

– Przyjąłem, radio.

D'Assault zerknęła na Dillingera.

– Pewnie dotyczy naszego zadania.

– W samą porę – odparł Dillinger.

– Punkt zanurzenia! – zawiadomił bosmanmat Swales.

– Oficer zanurzenia, zejść na głębokość czterdziestu pięciu metrów i wy – trymować okręt – rozkazał Vauxhall.

Funkcję oficera zanurzenia pełnił starszy bosman mechanik Fred Davies. Miał najwyższe stanowisko spośród podoficerów i marynarzy nienależących do personelu nuklearnego. Wskazał panel sterowania okrętem.

– Sternik, cała naprzód dwie trzecie. – Po rozkazie zanurzenia i wytrzymowania okrętu kontrolował szybkość.

Sternik sięgnął w dół i obrócił dźwignię telegrafu maszynowni, żeby ustawić swój wskaźnik w pozycji dwie trzecie. Rozległ się dzwonek – wskaźnik z maszynowni również znalazł się w położeniu dwie trzecie.

Drżenie pokładu występujące przy maksymalnej szybkości natychmiast ustało. Zdawało się, że fale zaleją okręt. Kadłub przechylił się mocno w lewo, potem na sterburtę. Żołądek podszedł Dillingerowi do gardła. Dzięki Bogu, za kilka minut będą poniżej tej huśtawki.

– Szef wachty, otworzyć zawory dziobowe i włączyć alarm zanurzeniowy.

Szef wachty sięgnął do górnej części panelu obsługi balastu i przesunął w górę trzy dźwignie kolankowe. Na panelu zgasły trzy prostokątne zielone kontrolki i zapaliły się trzy okrągłe czerwone.

– Zawory dziobowe otwarte – zameldował szef wachty i sięgnął wyżej do konsoli alarmu zanurzeniowego. Wziął mikrofon radiowęzła i oznajmił: – Zanurzenie! Zanurzenie! – Obrócił włącznik alarmu w prawo i w głośnikach rozległ się staromodny dźwięk syreny. Potem powtórzył komunikat: – Zanurzenie! Zanurzenie!

– Dziobowe stery głębokości piętnaście stopni w dół – rozkazał sternikowi oficer zanurzenia. – Rufowe stery głębokości dziesięć stopni w dół.

Pokład zaczął się wolno pochylać, gdy z dziobowych zbiorników balastowych uchodziło powietrze i

zastępowała je woda. Monitor wideo pokazywał rozpylony strumień tryskający z zanurzonych już zaworów na pokładzie dziobowym.

– Odpowietrzanie dziobu – zawołał Vauxhall.

– Szef wachty, otworzyć zawory główne rufowych zbiorników balastowych.

Podoficer potwierdził przyjęcie rozkazu i sięgnął w górę do następnych trzech dźwigni kolankowych. Znów zgasły trzy prostokątne zielone kontrolki i zapaliły się trzy okrągłe czerwone.

Pokład pochylił się mocniej. Dillinger chwycił się relingu, żeby nie stracić równowagi. D'Assault przytrzymała się konsoli centrum ataku.

Vauxhall obrócił peryskop, żeby widzieć rufę. Pokład rufowy zalewała woda i cylinder kadłuba był widoczny już tylko między falami. Z zaworów rufowych zbiorników balastowych tryskał drugi gejzer wody.

– Odpowietrzanie rufy.

– Trzyście metrów – zawołał oficer zanurzenia od panelu sterowania okrętem po odczytaniu na głębokościomierzu cyfrowym głębokości zanurzenia kila.
– Piętnaście metrów. Siedemnaście metrów. Kiosk pod powierzchnią.

Na monitorze wideo kadłub dawno zniknął. Fale były teraz dużo bliżej kamery.

– Dziewiętnaście metrów. Dwadzieścia jeden. Dwadzieścia trzy metry.

Fale na ekranie zbliżyły się jeszcze bardziej. W końcu

jedna zalała kamerę rozbryzgiem piany.

– Peryskop w wodzie – powiedział Vauxhall.

Widoczność poprawiła się. Fale były coraz bliżej, aż następna zalała peryskop. Tym razem widok powierzchni morza już nie powrócił. Na górze monitora pojawiły się spody szalejących fal. Z dołu wydawały się jeszcze groźniejsze.

– Peryskop pod powierzchnią. Opuszczam peryskop numer dwa.

– Dwadzieścia siedem metrów. Trzydzieści metrów. Dziobowe stery głębokości pięć stopni w dół. Rufowe stery głębokości trzy stopnie w dół.

Dillinger czekał, aż pokład wróci do poziomu.

– Rufowe stery głębokości zero stopni. Kąt na dziobowych sterach głębokości zero. Czterdzieści pięć metrów, panie kapitanie. – Oficer zanurzenia koncentrował się na panelu sterowania okrętem. – Cała naprzód jedna trzecia.

Przez następnych dwadzieścia minut oficer zanurzenia regulował poziom wody w poszczególnych zbiornikach balastowych, dopóki okręt nie uzyskał neutralnej wyporności. Kadłub kołysał się lekko, ale nieporównywalnie mniej niż na powierzchni.

– Wytrzymowanie okrętu jedna trzecia – oznajmił triumfalnie oficer zanurzenia.

– Przyjąłem, zanurzenie – odpowiedział Vauxhall. – Głębokość sto sześćdziesiąt sześć metrów – rozkazał. – Sternik, cała naprzód pełna. – Wziął mikrofon interkomu.

– Manewrowa, tu dowodzenie. Przełączyć główne pompy chłodziwa na niskie obroty.

– Dowodzenie, tu manewrowa. Przyjąłem. Wykonuję. Główne pompy chłodziwa przełączone na niskie obroty.

– Przyjąłem, manewrowa – odrzekł Vauxhall i odwiesił mikrofon. – Panie kapitanie, schodzimy na głębokość zgodną z rozkazem operacyjnym.

– W porządku, JOOD – odpowiedział Dillinger i spojrzął na D'Assault. – Przeczytamy wiadomość u mnie.

Kiedy wszedł do swojej kajuty, Vauxhall oznajmił:

– Kapitan opuścił sterownię.

– Rozumie pani coś z tego? – zapytał Dillinger, kiedy D'Assault z nieodgadnioną miną przeczytała nowy rozkaz operacyjny.

– To nie ma sensu, kapitanie. Płyniemy z pełnym uzbrojeniem. Po co mielibyśmy się meldować w AUTEK po więcej?

Dillinger wziął z powrotem wiadomość i przeczytał ją raz jeszcze. Pierwszy akapit wyjaśniał, komu muszą się od teraz meldować: Grupie Specjalnej 2. OI wchodzącej w skład NSC – Rady Bezpieczeństwa Narodowego – podległej bezpośrednio prezydentowi. Już samo to wydawało się dziwne. NSC kierowała pewnymi ściśle tajnymi misjami szpiegowskimi. Ale oddanie okrętu pod rozkazy Narodowej Rady Bezpieczeństwa mogło też oznaczać, że prawdziwym operatorem misji jest CIA.

Drugi akapit zawierał rozkaz, żeby zameldowali się w

AUTEC – Atlantyckim Centrum Badań i Testów Podwodnych na wyspie Andros na Bahamach, prowadzonym przez firmę RCA, kontrahenta Pentagonu. W przeciwieństwie do innych wysp na Bahamach, Andros przypominała powierzchnię Księżyca. W małym osiedlu mieszkał personel marynarki wojennej i kontrahenta resortu obrony obsługujący anteny sonarowe w TOTO. Skrót oznaczał „Jezor Oceanu” – pas głębokiego morza otoczony płyciznami. Miejsce nadawało się idealnie do testowania okrętów podwodnych – nikt z zewnątrz by tego nie wyspiegował. Akwen był wyposażony w trójwymiarowe anteny sonarowe, żeby kontrahent resortu obrony mógł odtworzyć przebieg walki morskiej i pokazać relację załogom okrętów podwodnych przebywającym tam na szkoleniu taktycznym. TOTO wykorzystywano również do monitorowania wyciszenia okrętów podwodnych. Okręt dostawał rozkaz przepłynięcia przez akwen z ustaloną prędkością, z pracującymi określonymi pompami, i hydrofony mierzyły poziom hałasu. Sonar wskazywał źródła zbyt głośnego dźwięku. Lepiej, żeby odkrył je kontrahent, niż przeciwnik wykorzystał je do zdobycia przewagi. Zgodnie z przypuszczeniami, „Tucson” miał przepłynąć między dwoma rzędami anten sonarowych w celu zbadania jego wyciszenia, a potem przycumować do okrętu tendera „Gladiator”, żeby obsługa techniczna szybko usunęła przyczyny emisji hałasu.

Trzeci akapit brzmiał najbardziej zagadkowo. Tender

miał ich zaopatrzyć w uzbrojenie. Przed wyjściem w morze załadowali komplet torped Mark 48 ADCAP Mod 6 – tym razem bojowych, nie ćwiczebnych. W torpedowni nie było już miejsca. Nawet w wyrzutniach tkwiły torpedy. Wszystkie wyrzutnie pionowe załadowano taktycznymi pociskami manewrującymi Block IV Tomahawk do walki na morzu lub atakowania celów lądowych. Nic więcej się nie zmieści, pomyślał Dillinger.

W wiadomości najbardziej irytował brak jakiegokolwiek wzmianki, gdzie i jakie zadanie będą wykonywali. Dillinger nic z tego nie rozumiał.

– Pieprzone rozkazy operacyjne – powiedziała cicho D'Assault.

Dillinger odwrócił się gwałtownie i spojrzał na XO. Uwielbiał, kiedy kobiety brzydko się wyrażały. Namawiał do tego Daynę, ale robiła to tylko w czasie seksu. Przekleństwo w ustach D'Assault przypomniało mu poprzednią noc, ale jednocześnie brzmiało dziwnie – odkąd przyszła na okręt, zawsze wyrażała się przepisowo i poprawnie. Mówiła pełnymi zdaniami, miała dobrą dykcję, używała właściwych słów. A jednak zakląła w jego kajucie. Podniosła wzrok i zobaczyła, że na nią patrzy.

– Przepraszam, panie kapitanie. Będę się starała nie kłać na okręcie.

– Uważam, że to byłby błąd, XO – odparł Dillinger. Omal nie zwrócił się do niej po imieniu. – W pewnych sytuacjach trzeba kłać. Na okręcie podwodnym jest

mnóstwo takich momentów. Jeśli mężczyźni zauważą, że pani nigdy nie przeklina, specjalnie zaczną się zachowywać wulgarnie i szokująco. Jeśli będzie pani przeklinała, poczują respekt, proszę mi wierzyć.

Uśmiechnęła się jak gwiazda filmowa.

– Ma pan rację.

– Wiem, do cholery, że mam rację – roześmiał się Dillinger i natychmiast spowaźniał. – Trzeba zagonić nawigatora do roboty. Niech wyznaczy kurs do AUTEK. Odprawa dla oficerów zaraz po kolacji.

Część IV

Zmartwychwstanie

19

Peter Vornado nie był taki wykończony od czasów chemioterapii. W ciasnej windzie hotelu Arktika unosił się dziwny zapach – zgniłych ryb albo starych odpadków. W końcu winda zatrzymała się ze skrzypnięciem na dwunastym piętrze. Poszedł według znaków do skrzydła hotelu w kształcie litery Y skierowanego ku Zatoce Kolskiej. W pokoju było stęchłe powietrze, ale nie cuchnęło tak jak w windzie.

Rzucił torby podróżne na podłogę, odciągnął kołdrę na łóżku, rozebrał się, padł na materac i zamknął oczy. Ze zmęczenia nie mógł zasnąć. Nie chciał otwierać oczu w nadziei, że sen wkrótce nadejdzie. Musiał wcześniej wstać, żeby nie spóźnić się do sali konferencyjnej na dole. Zastanawiał się, czy nastawić budzik. W końcu postanowił zdać się na swój zegar biologiczny i odwrócił się na bok. W pokoju było zimno, ale wolał sypiać w chłodzie. Lecz sen nie nadchodził. Vornado pomyślał, że pewnie jest zbyt zdenerwowany jutrzejszą rozmową kwalifikacyjną.

Podróż zaczęła się w Waszyngtonie. Najpierw poleciał do Miami, gdzie przenocował. Tam złapał samolot do Frankfurtu, a stamtąd do Warszawy. Spędził tam noc. Obudził się jak z koszmarne snu w małym hotelu w pobliżu lotniska i odleciał do Moskwy, skąd przyjechał pociągiem do Murmańska. Przed wyjazdem ze Stanów

zapytał, dlaczego nie może polecieć z Waszyngtonu prosto do Moskwy, a potem do Murmańska. Dostał dziwną odpowiedź – byłoby drożej. Dali mu kilka tysięcy dolarów gotówką i powiedzieli, żeby sam kupił sobie bilety. Karty kredytowe musiał zostawić w kraju. Wyjechał z bagażem spakowanym przez agencję, w portfelu miał pieniądze i nowe prawo jazdy. Było na nim jego prawdziwe imię i nazwisko, ale wstawiono późniejszą datę wydania i adres w taniej dzielnicy.

Nie podobał mu się fałszywy życiorys przygotowany dla niego przez CIA: miał nieudane małżeństwo, niedawno się rozwiódł, musi płacić alimenty i wywalono go z marynarki wojennej. Wyjechał ze Stanów, żeby nie dawać znienawidzonej ekszonie pieniędzy albo żeby zarobić tyle, że będzie go na to stać. Znalazł w periodyku technicznym ogłoszenie terminalu o naborze nowych pracowników i odpowiedział na nie – zorganizowali to agenci CIA ulokowani w sztabie rekrutacyjnym terminalu. Kiedy oferta dotarła do terminalu, zaproszono go na rozmowę do Murmańska i obiecano zwrot kosztów podróży, jeśli zostanie przyjęty do pracy. Dlatego, jak mu wyjaśniła CIA, musi podróżować tanio – człowiek bez pieniędzy nie przyleciałby w business class bezpośrednio ze Stanów.

Mimo że Vornado nie był zadowolony ze swojego nowego życiorysu i środków ostrożności podjętych przez agencję, musiał w pewnym momencie pozbyć się obaw i skoncentrować na czekającym go zadaniu – miał dobrze

wypaść na rozmowie kwalifikacyjnej z szefami terminalu.

W końcu był gotów. Zaczekał przed salą konferencyjną na trzecim piętrze, aż wybije ósma, i zapukał. Drzwi otworzyła ładna, ale afektowana blondynka w okularach w drucianej oprawce i spódniczce średniej długości. Gęste włosy miała upięte w kok. Była wysoka i szczupła. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Odsłoniła w uśmiechu piękne białe zęby.

– Proszę wejść – powiedziała i zamknęła za nim drzwi.
– Mam na imię Swietłana. Jestem asystentką pana Siergieja Kaznikowa i zajmuję się rekrutacją pracowników. – Mówiła z wyraźnym akcentem z południowych dzielnic Moskwy. Podała mu rękę. – Niech to pana nie zmyli. Z wykształcenia jestem fizykiem jądrowym i inżynierem elektrykiem. Prowadzę nabór personelu technicznego do tego projektu. – Znów się uśmiechnęła. – Ale dość o mnie. Cieszę się, że mogę pana w końcu poznać, panie Vornado. – Trzymała jego dłoń dłużej, niż to było konieczne, ale wreszcie ją puściła. – A może powinnam zwracać się do pana „komandorze”? – Zaczerwieniła się, a przynajmniej tak mu się zdawało. – Proszę się czuć jak u siebie w domu. – Zaprowadziła go do podłużnego stołu konferencyjnego. Przy jednym krańcu stało jedno krzesło, przy drugim cztery.

Kiedy zaczęła zadawać pytania, zdał sobie sprawę, że coś nie gra. Wydawała się nim zainteresowana bardziej prywatnie niż zawodowo. Nagle uświadomił sobie, że już

nie nosi obrączki ślubnej i nawet nieopalony ślad na palcu zniknął. A z jego akt personalnych wynika, że jest rozwiedziony.

– Wprowadzę pana w temat – powiedziała.

Zacząła opowiadać o Leonie Kaznikowie i jego pomysłach, żeby odbudować porzucony wrak rosyjskiego okrętu podwodnego dla „specjalnego kupca”. Potem dodała, że realizacją tego planu zajmuje się Siergiej Kaznikow, bardziej uzdolniony technicznie niż jego brat. Trzecią ważną osobą jest Wasilij Iljiwicz, szef ochrony terminalu, a czwartą Anton Nesow, kontraktowy kapitan. Posadziła Vornado przy końcu stołu na krześle obrotowym i przysunęła sobie drugie. Kiedy mówiła, zdjęła okulary i patrzyła mu w oczy. Była interesująca, w stylu atrakcyjnej bibliotekarki. Vornado zastanawiał się przez moment, czy bliższa znajomość z tą kobietą byłaby użyteczna. W ośrodku szkoleniowym Camp Peary instruktor z zespołu Hanka Lewisa w kółko mu powtarzał: „Jesteś teraz rozwiedziony, więc nie zachowuj się tak, jakbyś nadal był żonaty. W sytuacji, kiedy normalny wolny mężczyzna w twoim wieku przespałby się z kobietą, lepiej weź to pod uwagę i rozważ konsekwencje zaniechania tego kroku. Przeanalizuj dokładnie ewentualną przydatność konkretnej kobiety dla twojej misji. Jeśli kobieta przyjdzie do ciebie, a ty ją odrzucisz, możesz w niej mieć niebezpiecznego wroga. Ale jeśli jest żoną kogoś potężnego, uprawianie z nią seksu może stworzyć jeszcze groźniejszą sytuację”. Vornado

uprzejmie słuchał, ale uważał to za akademickie rozważania, kurs dla kogoś innego. Dlaczego miałyby wdawać się w jakiś romans na tym zapomnianym przez Boga Półwyspie Kolskim w czasie najbardziej niebezpiecznej misji w swoim życiu? A jednak, dziesięć minut po rozpoczęciu operacji, siedział ze Swietłaną i czuł kuszący zapach jej perfum. Atakowała go. Patrzyła mu w oczy tak, jakby chodziło jej nie tylko o rozmowę.

Peter Vornado poczuł ucisk w żołądku. Od chwili poznania Rachel nie zwracał większej uwagi na inne kobiety. Pomyślał, że teraz może sobie tylko wyobrazić coś, czego wcale nie ma. Na pewno. Ale kiedy niemal przekonał samego siebie, że Świetłana ma do niego wyłącznie służbowy stosunek, położyła mu rękę na kolanie. Zaczęła opowiadać, jak Leon Kaznikow założył firmę, która buduje okręt podwodny. Nazwał ją KKS, co oznaczało dwóch braci Kaznikow i trzeciego wspólnika, którego nazwisko zaczynało się na literę „S”, ale jego udziały już wykupiono. Vornado czuł się coraz bardziej niezręcznie. Nagle wstał i przeciągnął się.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę rozprostować kości. Mam za sobą długą podróż – usprawiedliwił się. Uśmiechnęła się do niego i znów zaczerwieniła. Pomyślał, że naprawdę jest bardzo ładna, choć o wiele za młoda dla niego. Gdyby rozpuściła swoje piękne długie włosy, wyglądałaby oszałamiająco. Jej piwne oczy i lekko śniada cera przyjemnie kontrastowały z blond włosami. „To pewnie tleniona blondynka”, powiedziałyby

zgrzyźliwie Rachel. Ale z oczami i cerą brunetki, i umiejętnie rozjaśnionymi włosami Rosjanka wyglądała kusząco.

Był ciekaw, czy Swietłana jest dziewczyną Leona lub Siergieja. A może jednego z dwóch pozostałych mężczyzn? Jeśli nie, odtrącenie zalotnicy mogło być niebezpieczne. Może powinien ją zwodzić, dać kilka znaków, dopóki nie pozna jej szefa? Zastanawiał się, czy może być agentką Lewisa, ale szybko wykluczył tę ewentualność. Nie powiedziała nic, co wskazywałoby, że gra podwójną rolę lub jest nielojalna wobec braci Kazników.

Mogła być po prostu tą osobą, za którą się podawała.

– Czekają pana między innymi rozmowa z naszym szefem ochrony, panem Wasilijem Iljiwiczem – mówiła dalej. – Zada panu kilka dociekliwych pytań.

– Na przykład? – Vornado usiadł z powrotem na swoim miejscu.

– Dlaczego wyjechał pan z Ameryki? Skoro całe życie był pan patriotą, służył swojemu krajowi jako kapitan okrętu podwodnego i tak dalej, to dlaczego odwrócił się pan plecami do USA i przyjechał tutaj?

– To proste – odparł Vornado. – Usunięto mnie z marynarki wojennej z powodu złego stanu zdrowia, choć mam kondycję jak dwudziestolatek. – Zauważył, że Swietłanie aż zabłyśły oczy. – Ale nic nie mogło przekonać komisji lekarskiej. Przez całe dorosłe życie służyłem na okrętach podwodnych i nagle zostałem na

lodzie. Moja wspaniała żona... – Vornado włożył w te słowa tyle jadu, ile potrafił – uznała mnie już za martwego. Kiedy wyzdrowiałem, słyszałem tylko narzekania, że miała nadzieję uwolnić się wreszcie ode mnie i żyć w innym świecie, że już robiła plany na przyszłość i żał jej dzieci. Tego samego dnia, kiedy zakończyłem badania lekarskie, wręczyła mi papiery rozwodowe. Reszty dokonał sąd rodzinny w Wirginii. Zasądzi mi takie alimenty, jakby w ogóle nie wzięli pod uwagę, że jestem bez pracy. Sędzia powiedział, że z moimi kwalifikacjami powinienem zarabiać ćwierć miliona rocznie. Nawet gdyby nie zwolnili mnie z marynarki wojennej, nie mógłbym płacić tyle, ile ustalił sąd. Zostawałoby mi na życie niecałe sześćset dolarów miesięcznie. Wszystko pochłonałby czynsz za skromne mieszkanie. A co z kredytem, długiem hipotecznym, limitem karty kredytowej, opłatami za samochód? Wszystko spadło na mnie, choć żona dostała dom, meble, jeden z samochodów i w dodatku zabrała dzieci.

Swietłana patrzyła na Vornado z niedowierzaniem. Radzono mu, żeby nie przeholował, ale poniosła go fantazja. Westchnął i utkwiał wzrok w dywanie.

– Postanowiłem sprawdzić, czy sędzia miał rację. Przekonać się, czy ze swoimi kwalifikacjami rzeczywiście mogę gdzieś zarobić dwieście pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Znalazłem wasze ogłoszenie w „Naval Architect's Digest” mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Rachel, moja była żona, sprzedała dom, spakowała

dzieci i wyniosła się do Kalifornii. Uznałem, że skoro są oddalone ode mnie o cały kontynent, nie będzie miało żadnego znaczenia, że pracuję na drugiej półkuli. Pomyślałem, że może uda mi się zarobić tyle, żebym mógł wysyłać alimenty i widywać dzieci. – Wyjął z kieszeni zdjęcia dwuletniej dziewczynki, ośmioletniego chłopca i trzynastolatki. Żadne z dzieci nie było jego, ale przypominały go na tyle, że fotografie mogły uwiarygodnić opowieść. – To jest prawdziwy powód mojego przyjazdu tutaj. Muszę zarobić dużo pieniędzy, żeby odzyskać dzieci. Jeśli już nie ma innego sposobu. – Wziął głęboki oddech. – Przepraszam, Swietłano. Przeszedłem na rozmowę kwalifikacyjną i powinienem zachowywać się profesjonalnie, a tymczasem opowiadam pani o swoich kłopotach. Proszę mi wybaczyć.

– Ależ nie szkodzi – odparła cicho, położyła mu rękę na ramieniu i przysunęła się bliżej. – Wszystko w porządku. Bardzo mi przykro.

Przez krótką chwilę oboje milczeli.

Vornado postanowił zaryzykować.

– Mówiła pani, że budowa tego okrętu to przedsięwzięcie komercyjne. Rosyjska marynarka wojenna nie ma z tym nic wspólnego, ale jest specjalny kupiec.

Swietłana przytaknęła.

– Ale po co cywilowi okręt podwodny „Lira”? – dopytywał dalej Uśmiechnęła się.

– Jest szybki. Przypuszczam, że będzie używany do

potajemnego transportu podwodnego.

– Przemytu?

Przechyliła głowę na bok.

– Dlaczego pan pyta? To dla pana jakiś problem moralny?

– Nie. Chcę po prostu wiedzieć, ile pieniędzy zażądać. Im mniej legalna jest ta sprawa, tym więcej mogę zarobić.

– Uśmiechnął się nieśmiało i spuścił wzrok. – Przez następnych kilka lat będą mnie interesowały tylko pieniądze.

Popatrzyła na niego ze zrozumieniem, potem zerknęła na zegarek.

– Lepiej sprawdzę, co ich zatrzymuje.

– I co? – zapytał Siergiej Kaznikow szefa ochrony KKS, Wasilija Iljiwicza. – Wierzysz mu?

Iljiwicz przez chwilę patrzył zmrużonymi oczami na monitor telewizyjny, potem skinął głową. – Słyszałem o takich sytuacjach. Amerykanie karzą w ten sposób mężczyzn za rozwód. Ale trudno uwierzyć, żeby małżeństwo rozpadło się tylko z powodu choroby Vornado. Jeśli w jego opowieści jest luka, to pewnie taka, że żona przyłapała go w łóżku ze swoją najlepszą przyjaciółką. Poniżona kobieta, wiesz.

– Anton? – zwrócił się Siergiej do Nesowa, kontraktowego kapitana unowocześnionej „Liry”.

Nesow służył wcześniej w Marynarce Wojennej Republiki Rosyjskiej. Dowodził atomowym okrętem

podwodnym. Był niski i tęgi. Miał przerzedzone siwe włosy, wąsy i wąską białą brodę wokół pełnych policzków i wydatnego podbródka. Nosił prostokątne okulary w drucianej oprawce, które powiększały jego świńskie oczka, marynarkę przesytą ścięciem krzyżykowym, białą rozpiętą koszulę odsłaniającą dwa grube złote łańcuchy na piersi, spodnie khaki i dziwne zamszowe półbuty na gumowej podeszwie, z zadartymi noskami. Miał wesoły, ale jednocześnie arogancki wyraz twarzy, który w połączeniu z siwą brodą nadawał mu profesorski wygląd krasnoludka z bajki. Nesow wyjął fajkę z kieszeni marynarki, przysunął do niej płomień zapalniczki i wypuścił kłęb dymu o zbyt słodkim zapachu wiśni.

– Sam nie wiem – odrzekł bardzo głośno, jakby źle słyszał. – Skoro uchodził za takiego doskonałego dowódcę okrętu podwodnego, dlaczego marynarka wojenna się go pozbyła? Możliwe, że choroba stała się tylko pretekstem, a prawdziwy powód był dużo poważniejszy. Na przykład osiadł okrętem na dnie albo zaplątał się w sieci rybackie jakiegoś traulera lub złamał peryskop o kil supertankowca. I niewykluczone, że zdradzał żonę.

Iljiwicz skinął głową.

– Może miał romans z żoną swojego szefa i skończyło się wywaleniem go z wojska i rozwodem.

Nesow roześmiał się i wypuścił ustami dym.

– To dobre, Wasilij. Pasuje do wszystkich faktów.

Iljiwicz potarł brodę.

– Powinniśmy dokładnie sprawdzić faceta.

– Chodźmy z nim pogadać – powiedział Siergiej. – Jak obaj dobrze wiecie, nie obchodzi mnie, czy przeleciał córkę admirała. Ten gość może nam bardzo pomóc.

Rozmowa kwalifikacyjna przebiegła tak, jak Vornado się spodziewał. Z jednym wyjątkiem – nie pojawił się starszy z braci Kaznikow. Nie wyjaśniono przyczyny jego nieobecności. Ciekawe, czy wezwał go Abdas al-Sattar, żeby wytłumaczył powody usterek technicznych i opóźnień w budowie okrętu. Młodszy Kaznikow początkowo zrobił na Vornado wrażenie typowego technokraty – skoncentrowany, bardzo inteligentny, wypowiadający się spokojnie, ale kategorycznie w kwestiach ze swojej dziedziny, i niezbyt zainteresowany innymi sprawami. Siergiej był niski i szczupły, w okularach, i miał ogoloną głowę. Nosił białą koszulę, sportową marynarkę i luźne spodnie. Vornado ocenił, że Rosjanin jest po czterdziestce, niewiele starszy od niego.

Siergiej zaczął od ostrożnej prezentacji projektu, komercyjnego przedsięwzięcia prowadzonego w ścisłej, wręcz wojskowej tajemnicy. Klient ma otrzymać odremontowany, szybki i cichy atomowy okręt podwodny. Przeznaczenie okrętu zna oczywiście tylko nabywca. Siergiej zapytał, czy Vornado ma coś przeciwko udziałowi w takim przedsięwzięciu. Vornado po raz drugi wyjaśnił, że jest zwykłym najemnikiem.

Siergiej powiedział, że skompletował już personel techniczny, ale okręt ciągle ma usterki mechaniczne, elektryczne i elektroniczne. Potrzebują kogoś z nowym spojrzeniem na te problemy i Vornado wygląda – przynajmniej teoretycznie – na odpowiedniego człowieka.

Po tej krótkiej prezentacji Siergiej zaczął egzaminować Vornado. Za dawał mu głównie pytania techniczne i sprawdzał jego wiedzę z dziedziny inżynierii nuklearnej. W pewnym momencie spierał się nawet z Vornado o drobny szczegół dotyczący strumienia neutronów termicznych. Wydawał się bardzo zadowolony, że mogą dyskutować o tajnikach fizyki jądrowej. Anton Nesow, były oficer rosyjskich sił podwodnych, palił fajkę i wypytywał Vornado o jego doświadczenia na morzu, jakby coś podejrzewał. Zmuszał Vornado do przyjmowania postawy obronnej.

– Był pan kiedyś o krok od stopienia elementów paliwowych? Tylko szczerze.

W końcu Kaznikow przywołał Nesowa do porządku, przypominając, że tematem rozmowy są naprawy stoczniowe. Przesłuchanie trwało kilku godzin, wreszcie około południa podano jedzenie.

Po lunchu przybyli dwaj nowi mężczyźni. Pierwszy, wysoki i barczysty, miał tak pognieciony garnitur, jakby przez ostatnich dziesięć lat ubranie leżało zmięte na podłodze. Mężczyzna górował wzrostem nad wszystkimi w sali i nawet Vornado musiał zadzierać głowę, żeby na niego patrzeć. Nowo przybyły miał bardzo mimiczną

twarz, gęste, ciemne, krótkie włosy, półkoliste brwi, piwne oczy, orli nos i wargi wykrzywione w uśmiechu. W zębach trzymał brązowego rosyjskiego papierosa. Wyjmował go z ust kciukiem i palcem wskazującym, zanim wypalił niemal do samego końca. Wkroczył do sali jak właściciel całego interesu. Siergiej Kaznikow podszedł do niego, uśmiechnął się serdecznie i uścisnął mu dłoń, – Panie Vornado, przedstawiam akademika Jurija Biełkowa, szefa projektu i głównego inżyniera odpowiedzialnego za systemy okrętu. Jurij, to Peter Vornado, amerykański inżynier, specjalista od okrętów podwodnych, o którym ci mówiłem.

Vornado wstał i przywitał się z Biełkowem. Kaznikow uścisnął dłoń drugiemu mężczyźnie.

– To Andriej Rusanow – przedstawił gościa. – Andriej, może sam wyjaśnisz panu Vornado swoją rolę?

Rusanow był prawie o głowę niższy od Vornado. Stojąc obok wysokiego Biełkowa, wydawał się komicznie niski. Miał beczkowatą klatkę piersiową i duży brzuch, ale mocno umięśnione ramiona. Sprawiał wrażenie silnego i twardego. Jego spracowane ręce wyglądały tak, jakby przez lata trzymał w nich ciężkie narzędzia. Przypominał stoczniowców, z którymi Vornado kiedyś pracował – tylko głupcy mogli uważać ich piwne brzuchy za oznakę braku siły fizycznej. Rusanow był krótko ostrzyżonym blondynem z groźnymi rysami twarzy. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał jak syrena okrętowa.

– To był mój pomysł – powiedział z wyraźnym miejscowym akcentem. – Powinienem oddać sprawiedliwość swojemu dziadkowi, że to on skonstruował pierwszą „Lirę”, ale ja zaproponowałem Leonowi, żeby ją wskrzesić w ulepszonej wersji, przeznaczonej do celów cywilnych. Siergiej skorzystał z oferty.

– Siadajcie, panowie – powiedział Siergiej. – Panie Vornado, ci utalentowani inżynierowie mają do pana kilka pytań. Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Rozmowa trwała kilka godzin, ale kiedy Vornado odpowiedział na wszystkie pytania techniczne i opisał swoje osiągnięcia w przeszłości, Rosjanie wyglądali na zadowolonych. Następny etap spotkania zaczął się w klubie należącym do KKS, gdzie popłynął alkohol: wódka i wino. Siergiej zaproponował Vornado stanowisko wicedyrektora projektu. Negocjacje w sprawie wynagrodzenia zajęły godzinę. Po długiej i niemal gwałtownej dyskusji Vornado wytargował od Siergieja milion dolarów – połowę za naprawę „Liry”, połowę jako premię, jeśli zwoduje okręt za miesiąc. Początkowo Siergiej wątpił, żeby komukolwiek to się udało, ale Vornado zapewnił, że to wykonalne.

Po następnej godzinie picia Siergiej kazał swojemu kierowcy odwieźć gościa do hotelu. Vornado wszedł do małego pokoju i zdał sobie sprawę, że w pomieszczeniu pachnie inaczej niż przedtem – perfumami Świetlany i zgaszonymi świecami woskowymi. Roześmiał się w

duchu, że chyba jest zupełnie pijany i zawodzi go nos. Podszedł do krawędzi łóżka, rozebrał się i rzucił ubranie na podłogę. Położył się w bokserkach i zamknął oczy. Kręciło mu się w głowie. Wziął głęboki oddech i odprężył się.

Nagle poczuł na piersi ciepłą dłoń. Zerwał się przerażony i zaszokowany. Zapalił lampkę nocną i zobaczył na poduszce głowę Świetlany. Rozpuszczone włosy częściowo zasłaniały jej piękną twarz. Powoli otworzyła zaspane oczy.

– Myślałam, że nie wrócisz na noc – powiedziała cichym, spokojnym głosem.

– Co tu robisz? Jak tu weszłaś?

– Pytania, pytania, Peter... Pierwsza odpowiedź powinna być oczywista. Co do drugiej, powiedziałam w recepcji, że muszę ci podrzucić ważne dokumenty. Ponieważ to ja robiłam ci rezerwację, wpuścili mnie bez przeszkód.

Zanim skończyła ostatnie zdanie, objęła go za szyję, przyciągnęła do siebie i pocałowała zachęcająco. Początkowo zastanawiał się, czy jest tak pijany, że ją rozczaruje, ale potem zdał sobie sprawę, że reaguje na pocałunek. Natychmiast poczuł wyrzuty sumienia, że zdradza Rachel samymi myślami o Świetłanie. Ale w końcu to zdarzenie było częścią misji.

Znów usłyszał w głowie głos swojego instruktora: „Czasem sytuacja zdecyduje za ciebie. Nie traktuj żadnej przygody w Rosji jako zdrady żony. Musisz się stale

trzymać swojego nowego życiorysu. Od chwili opuszczenia centrali jesteś innym człowiekiem. A człowiek, którym się stajesz, nie ma żony".

Pomyślał przelotnie, że może Rosjanie nadal go sprawdzają i Świetłana ma powtórzyć swojemu szefowi wszystko, co Amerykanin powie o minionym dniu. Odsunął się. Starał się nie myśleć o Rachel, gdy Świetłana wsunęła mu rękę pod bokserki. Podnieciła go. Nagle uświadomił sobie, że musi sprawiać wrażenie niedoświadczzonego idioty, skoro przez całe dorosłe życie był tylko z jedną kobietą. Nie bardzo wiedział, co dalej robić.

Wyciągnął rękę i zgasił światło. Potem sięgnął w bok i dotknął piersi Świetłany. Znow go pocałowała. Jej miękki język krążył w jego ustach, wargi zdawały się go wchłaniać, ciepła dłoń pieściła go na dole. Nie przerywając pocałunku i pieszczot, Świetłana uniosła się na jednym kolanie i przełożyła drugą nogę nad jego biodrami. Wyprostowała się, usiadła na nim i wprowadziła go w siebie.

Poczuł ciepłą wilgoć i jęknął cicho. Zmuszała go, żeby wszedł głębiej. Zaczęła się poruszać i omal nie wypuściła go z siebie, potem opadła gwałtownie, aż się w nią wbił. Całkowicie panowała nad sytuacją. Ruch był odurzający, im szybszy, tym bardziej go podniecał. Vornado słyszał w uszach głośny szum krwi, oddychał coraz gwałtowniej. W końcu eksplodował głęboko w jej wnętrzu. Opadła lekko na jego pierś, uważając, żeby go nie wypuścić z siebie.

– Było cudownie – mruknął. – Ale ty nie skończyłaś.

– Skończyłam – szepnęła mu z zadowoleniem do ucha i polizowała je. – Jestem szybka. Mężczyźni mnie za to nie cierpią.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł cię za to nie cierpieć – odparł. Wiedział, że czerwieni się w ciemności, bo właśnie zdradził Rachel.

Nie, odpowiedział sobie. Nie jest wobec niej bardziej nielojalny niż wobec swojej ojczyzny. Po prostu odzyskanie życia zmusiło go do przejścia tej próby i wszystko jest tylko chwilowe.

W mglistym świetle księżyca wpadającym do pokoju przez rozsunięte zasłony zobaczył, że Swietłana patrzy na niego. Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek. Stoczyła się na bok, ale opasała zgrabną nogą jego wilgotne podbrzusze i otoczyła ramieniem szeroką pierś.

– Mogę ci zadać trudne pytanie? – szepnął jej do ucha.
– Dlaczego to zrobiłaś?

Ocknęła się nagle. Zatrzepotała powiekami i spojrzała mu w oczy.

– Chciałam cię mieć. Siergiej przez ostatnie dwa miesiące myślał tylko o tym, kim zastąpić Nesowa, ale nie miał kandydata. Potrzebował też inżyniera, który potrafiłby pomóc Jurijowi i Andriejowi w rozwiązaniu problemów w stoczni. Potem dowiedzieliśmy się o tobie i szczęśliwie okazało się, że spełniasz wszystkie oczekiwania. Kiedy Siergiej zobaczył twoje kwalifikacje, był taki podekscytowany, że przez tydzień nie mógł spać.

Mówił tylko o tobie.

Vornado uśmiechnął się.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego, zanim zacząłem negocjacje w sprawie wynagrodzenia.

Położyła mu palec na ustach.

– Nie przerywaj mi. Postanowiłam cię zdobyć, zanim ktoś mnie ubiegnie.

– W terminalu pracują inne kobiety?

– Niewiele. Kilka w dziale mechanicznym i konstrukcyjnym. Dwóch monterek kadłubów na pewno byś nie chciał. Ale konstruktorki są ładne. A w barach, w dzielnicy portowej dziewczyny ustawiałyby się w kolejce do ciebie.

– Na pewno w całej okolicy nie ma takiej jak ty.

Uśmiechnęła się.

– Co dalej? – zapytał i natychmiast tego pożałował. Uniosła brwi, więc doprecyzował pytanie. – To jednorazowa przygoda?

– Chcesz, żeby tak było?

– Nie – odparł bez zastanowienia i znów poczuł się winny.

– Za tydzień lub dwa na pewno zajmiesz się innymi kobietami – powiedziała.

Drażniła się z nim, ale wyczuł w jej głosie poważny ton.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nesow mówił, że wykopali cię z twojej marynarki wojennej, bo byłeś kobieciarzem.

Vornado przezornie skinął głową.

– Mógł tak pomyśleć. Jak brzmi to powiedzenie? „Mężowie tylko wtedy zagląдают za drzwi sypialni, jeśli sami się tam chowają”?

Roześmiała się. Wsunęła rękę pod swoje udo na jego podbrzuszu. Poczłł, że wychodzi jej na spotkanie. Przyszłło mu do głłowy, że gdyby utrzymał tę znajomość, inne kobiety w terminalu dałyby mu spokój.

– Więc to prawda? – zapytała.

– Co?

– Jesteś kobieciarzem?

– Nie – odparł lekkim tonem Vornado.

– Postaram się, żebyś nie miał powodu mnie rzucić – powiedziała. Jej dłłoni udało się przywrócić jego męskość do życia.

Wziął dziewczynę na siebie i znów się kochali. Tym razem dłługo i czule. Teraz przeżywała orgazm tak mocno, że rzucała się spazmatycznie. Wyraz jej twarzy doprowadził go do piorunującego szczytowania. Przyciągnął Swietłanę do siebie. Oboje byli spoceni i wykończeni.

Pomyślał, że może Rosjanie rzeczywiście chcą go sprawdzić. Jeśli zaśnie pierwszy, Swietłana wstrzyknie mu jakiś narkotyk i wyciągnie z niego prawdę. Wtedy nie przeżyłby następnego dnia. Ale zamknęła oczy i wkrótce zapadła w głłęboki sen.

Wstał cicho i poszedł do łazienki. Pod wpływem impulsu postanowił zajrzeć do torebki Świetlany i

poszukać dowodu tożsamości. Kiedy grzebał w jej rzeczach, znów przyszło mu do głowy, że może jest agentką Hanka Lewisa. Ale jeśli tak, pewnie on nie zdoła się tego dowiedzieć. Miał się skontaktować z barmanką, nie asystentką Kaznikowa. Znalazł dowód osobisty, z którego wynikało, że Swietłana ma zaledwie dwadzieścia jeden lat. Ale nie to go zaszokowało, lecz jej nazwisko: Swietłana A. Biełkow.

Zastanawiał się, co on najlepszego zrobił. Jurij Biełkow to dyrektor projektu odpowiedzialny tylko przed Kaznikowem. Swietłana może być jego żoną, na litość boską. Albo jeszcze gorzej – córką. To może spalić całą operację.

Zasnął dopiero po trzeciej nad ranem. W dodatku śniły mu się tortury aspiranta Whiteheada. Kiedy się obudził, Swietłany już nie było. Wstał, żeby się przygotować do wizyty w biurze Siergieja. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za godzinę będzie pracował w terminalu. Kiedy sięgał do przycisku windy hotelowej, trzęsła mu się ręka.

Mógł powiedzieć Siergiejowi, że to kac. Ale gdy poczuł, jak mu wali serce, zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy tak się nie bał.

Dillinger zerknął za siebie, gdy marynarz pełniący wachtę na pokładzie oznajmił, że kapitan opuścił okręt. „Tucson” był przycumowany wewnątrz krytego terminalu w kompleksie RCA na wyspie Andros na Bahamach. Budynek służył głównie do załadunku i wyładunku torped testowych – ćwiczebnego uzbrojenia z usuniętymi głowicami i zamontowanymi w ich miejsce zestawami pomiarowymi. Z okrętu podwodnego wezwanego do zbrojowni zabierano dwanaście torped bojowych i zastępowano je ćwiczebnymi. Po wystrzeleniu ich na poligonie morskim „Jezor Oceanu” okręt wracał do terminalu po uzbrojenie bojowe.

Powód wezwania tutaj „Tucsona” pozostawał taką samą tajemnicą, jak cała misja. Przez trzy dni pływali tam i z powrotem między antenami sonarowymi w akwencie testowym poligonu. Włączali różne urządzenia na pokładzie, a sonar pasywny rejestrował ich sygnaturę dźwiękową i analizował emisję hałasu. Dzień później tkwili w bezruchu pod wodą na głębokości dwustu czterdziestu trzech metrów. Na okręcie obowiązywała cisza taktyczna. Hydrofony sonaru aktywnego w akwencie wysyłały w kierunku okrętu sygnały pod różnymi kątami i z różnych głębokości, a elektrony zabrani na pokład skalowali i dostrajali sonar BQQ-5E na „Tucsonie”. Dzisiejszego popołudnia Dillinger i jego XO mieli dostać

wyniki testów sonarowych i spotkać się z przedstawicielem Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Pierwsza sprawa trwała godzinę dłużej, niż powinna, pomyślał Dillinger. Technicy wręczyli im analizę emisji hałasu z zaleceniem wyciszenia określonej pompy i zespołu urządzeń. Elektrycy uznali sonar pokładowy „Tucsona” za sprawny. Spotkanie z przedstawicielem NSC miało się odbyć w SCIF-ie, specjalnym wydzielonym pomieszczeniu informacyjnym w podziemiach piętrowego ceglanego budynku Dowództwa Atlantyckiej Floty Podwodnej w AUTEK. Dillinger spacerował teraz po SCIF-ie, przeczesywał palcami włosy i czekał na przedstawiciela NSC.

W końcu drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna w garniturze. Był trochę niższy od Dillingera i mniej więcej dwadzieścia lat starszy. Jego mowa ciała świadczyła o autorytecie. Miał bujną czuprynę gęstych, siwych włosów, krzaczaste brwi, małe, ciemne oczy i duże wąsy. Wyglądał znajomo. Dillinger zdał sobie sprawę, że mężczyzna jest podobny do Stalina. Przedstawiciel NSC spojrział na dowódcę okrętu z poważną miną, wyciągnął rękę i uściśnął mu dłoń. Potem odwrócił się i uśmiechnął czarująco do D'Assault.

– Phil Cogsworth – przedstawił się. Miał na szyi identyfikator z nazwiskiem, zdjęciem, nadrukiem Gość Autec i napisem Departament Obrony poniżej. – Jestem podwładnym podsekretarza obrony. Koordynuję działania Grupy Specjalnej 2. O1, więc po powrocie na morze będą

się państwo meldowali mnie.

Dillinger zerknął na D'Assault, potem znów spojrzął na Cogswortha.

– Skoro jest pan szefem, to może wyjaśni nam pan, po co był ten cały obłądny pośpiech z wyjściem w morze.

Cogsworth wzruszył ramionami.

– W tej chwili mogę odsłonić tylko rąbek tajemnicy. Proszę siadać.

Cogsworth usiadł u szczytu stołu, Dillinger obok, D'Assault przy nim.

Cogsworth otworzył neseser i odłożył na wolne krzesło. Dillinger nie mógł się oprzeć wrażeniu, że facet zrobił to specjalnie, żeby żadne z nich nie zobaczyło zawartości.

– Kazaliśmy wam przycumować w terminalu zbrojeniowym, żeby zabrać z waszego okrętu dwa Tomahawki i zastąpić je dwoma RUR-5 Delta SUBROC. Wiecie, co to jest?

D'Assault miała niepewną minę, ale Dillinger przytaknął.

– Tomahawk z usuniętą głowicą konwencjonalną do niszczenia celów morskich lub lądowych i zamontowanym ładunkiem głębinowym, który jest bombą wodorową.

– To termojądrowa głowica bojowa W-44 o sile wybuchu dziesięciu kiloton – uściślił Cogsworth. – Bardzo mała, jak na broń nuklearną, ale nie bez powodu. Wystarczy do zatopienia wrogiego okrętu podwodnego i

nie zagraża własnemu, który ją wystrzelił.

Dillinger parsknął drwiąco.

– Pan wybaczy, panie Cogsworth, ale broń jądrowa jest bezużyteczna.

Przedstawiciel NSC uniósł brwi.

– Dlaczego pan tak twierdzi, komandorze Dillinger? – zapytał chłodnym tonem.

– Bo za długo trwa uzyskanie zgody na jej użycie. Torpedą mam prawo wystrzelić na własną rękę. Do odpalenia pocisku z głowicą nuklearną może mnie upoważnić tylko prezydent lub naczelny dowódca sił zbrojnych. Otrzymanie i rozkodowanie pozwolenia zajmuje całe cholerne pół godziny. Niech pan spróbuje podejść w ogniu walki na głębokość peryskopową i odebrać wiadomość. To nie do zrobienia. A prezydent nie wyda zgody z góry.

Cogsworth przez dłuższą chwilę patrzył na D'Assault. Dillinger czuł jego niechęć i zdał sobie sprawę, że staje się opiekuńczy wobec D'Assault. Zaczynał ją traktować jak młodszą siostrę.

– Przepraszam, komandorze, ale czy nie brał pan udziału w ćwiczeniach „Skradzione strzały”?

Dillinger wolno skinął głową.

– Więc chyba wycofa pan swoje obiekcje.

Dillinger wpatrywał się w Cogswortha. Facet praktycznie obiecał mu wydanie z góry pozwolenia na użycie broni jądrowej. Vornado miał taką zgodę w czasie tropienia „Albany”. Ale przeciwko komu Dillinger miałby

użyć tej broni? Kto jest przeciwnikiem, do cholery? Dillinger zaczynał być wkurzony.

– Panie Cogsworth, jakie właściwie mamy zadanie, do diabła? Dlaczego wysłaliście nas w pośpiechu w morze i kazaliście przejść kontrolę sonarową, a teraz chcecie nam załadować przeciwpodwodną broń nuklearną i puścić nas dalej bez rozkazów operacyjnych? Czy to ma dla pana jakiś sens?

– Ma. I zapewniam, że pięćset mil morskich stąd dla pana też będzie miało. W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej. Za dużo tu języków i dwa razy więcej uszu. A na morzu wieści się nie rozejdą.

– Rozejdą się po okręcie. Nie co dzień ładuje się na pokład broń nuklearną.

– Załoga się nie zorientuje. Te pociski SUBROC są oznaczone jako zwykłe Tomahawki. Przy załadunku nie będzie inspektora bezpieczeństwa nuklearnego. Każdy postronny obserwator zobaczy, że do pańskich wyrzutni pionowych numer jeden i dwa jest ładowana broń konwencjonalna. – Cogsworth sięgnął do nesesera i wyjął plastikową kopertę szczelnie zaklejoną przezroczystą taśmą samoprzylepną. Poniżej był nadruk Tajne. – To instrukcja obsługi pocisków SUBROC. Pański system kierowania ogniem odczyta polecenia tak, jak dla zwykłych Tomahawków, i jeśli wprowadzi pan współrzędne celu dla torpedy Mark 48, będzie pan mógł trafić wrogi okręt podwodny pociskiem SUBROC. Ale niech pan nie otwiera koperty, dopóki nie otrzyma

rozkazów operacyjnych.

Dillinger skinął głową.

– Coś jeszcze?

Cogsworth wyciągnął jakąś kartkę.

– Pokwitowanie odbioru pocisków SUBROC. Musi pan to podpisać.

Dillinger zerknął na dokument i podpisał na dole.

Cogsworth włożył pokwitowanie do nesesera, zamknął go i wstał. Dillinger i D'Assault też. Po obowiązkowych uściskach dłoni wyszli oboje na korytarz.

– O co chodziło z tym pozwoleniem na użycie broni nuklearnej i ćwiczeniami? – szepnęła D'Assault.

– Cicho – upomniał ją Dillinger, kiedy otworzyły się drzwi windy. – Porozmawiamy o tym pod wodą.

Resztę popołudnia zajęło rozładowanie wyrzutni pionowych jeden i dwa, i załadowanie do nich nowej broni. Załoga była ciekawa, dlaczego dwa absolutnie sprawne pociski manewrujące zastępuje się identycznymi. Kiedy oficer uzbrojenia, Lionel Tonelle, zapytał o to Dillingera, ten wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Robią kontrolę jakości. Sprawdzają, co flota wozi ze sobą po morzu. Jeśli znajdą wirusy w uzbrojeniu, które mieliśmy na pokładzie przez kilka miesięcy, będą szukali przyczyny.

O zachodzie słońca kompleks RCA zniknął za rufą i okręt minął krzywizną sześciuset sążni. Dillinger po raz ostatni odetchnął głęboko morskim powietrzem i opuścił się do otworu włazu. Trzydzieści minut później kadłub

zaskrzypiał, gdy „Tucson” zszedł na głębokość rejsową i przyspieszył. Dostali tylko taki rozkaz, żeby po opuszczeniu AUTEK płynąć na północny wschód z szybkością piętnastu węzłów. Dillingerowi pozostało czekanie na dalsze rozkazy.

Nie był w tym dobry. Zaczął niecierpliwie bębnić palcami w blat biurka w swojej kajucie.

Pojawienie się wysokiego mężczyzny w kombinezonie, dyrektora projektu, Jurija Biełkowa, uratowało Vornado przed wielogodzinnym szkoleniem z zakresu bezpieczeństwa terminalu. Na widok Biełkowa Vornado poczuł się nagle winny, że spędził noc ze Swietłaną. Ale Biełkow albo o niczym nie wiedział, albo doskonale udawał, że nie wie.

Biełkow cieszył się, że Vornado dołączył do zespołu. Zaprowadził go schodami na główny poziom terminalu. Przez dłuższą chwilę Vornado tylko patrzył z podziwem na halę i zgrabny kształt okrętu podwodnego wśród rusztowań. Biełkow z zadowoleniem obserwował minę nowego pracownika.

– O, mój Boże – westchnął w końcu Vornado. – To wspaniałe.

– Co? roześmiał się Biełkow. – Hala czy „Lira”?

– Jedno i drugie, Jurij. Jakbym umarł i trafił do nieba. To wielki sukces techniczny. Kto to zbudował?

– Ja. Pomysł był Rusanowa. Leon miał kontakty handlowe i możliwość ściągnięcia starych kadłubów z

Gremichy.

– Co to takiego?

– Cmentarzisko okrętów podwodnych czterysta kilometrów na północny wschód stąd. Rosyjska marynarka wojenna zezłomowała starsze atomowe okręty podwodne, ale z „Lirami” długo nic się nie działo, bo nikt nie potrafił wymyślić praktycznego sposobu na złomowanie reaktorów chłodzonych ciekłym metalem. Wreszcie opracowali cały proces, ale nic z tego nie wyszło, bo metoda okazała się niebezpieczna, więc dali sobie spokój. „Liry” leżałyby na tamtym pustkowiu w nieskończoność. To był duży problem i omal nie wybuchł skandal. Kiedy eksperci drapali się w głowy, Leon złożył im atrakcyjną ofertę. Zaproponował władzom rewolucyjny, tani sposób neutralizowania reaktorów chłodzonych ciekłym metalem. Oficjalnie reaktory są rozbierane, materiał radioaktywny trafia do ołowianych pojemników i wraca do Gremichy na długie składowanie w bezpiecznych magazynach. Stal kadłubowa i tytan idą na złom, bracia Kaznikow zatrzymują pieniądze. Ale w rzeczywistości w ołowianych pojemnikach nie ma skażonego ciekłego metalu chłodzącego, tylko dodatkowa ilość ołowiu, żeby były ciężkie, i trochę odpadów radioaktywnych, żeby monitory wykazywały promieniowanie. I zamiast oddawać na złom metal z „Lir”, myje odbudowujemy. Rusanow załatwił nam magazyn na wybrzeżu niedaleko Gremichy, więc trzeba holować kadłuby tylko kilka kilometrów. W tamtej

okolicy holowanie okrętów podwodnych to zwyczajny widok, więc nikt nie zwraca uwagi na kolejny transport w środku nocy. Zbudowałem wewnątrz magazynu halę do demontażu kadłubów na moduły, które potem dyskretnie przyplływają barką do terminalu.

Vornado patrzył na Biełkova i porównywał rysy twarzy energicznego inżyniera stoczniowego z rysami Świetlany. Mieli różne nosy, ale podobną strukturę kostną i oczy.

– Więc wasz rząd myśli, że przygotowujecie tu „Liry” do złomowania. A co z paliwem jądrowym? To chyba materiał pod kontrolą, który może być użyty do produkcji bomby. Nie ma żadnej inspekcji?

Biełkow machnął ręką.

– Leon kupuje paliwo na czarnym rynku do robienia innych interesów. Wzbogacony uran i pluton to dla niego zwykły towar. Drogi, ale dostępny. Przede wszystkim zwraca po prostu część nieprzetworzonego paliwa jądrowego tym samym władzom, od których kupuje. Wykazy się zgadzają, inspektorzy są zadowoleni, ludzie przekupieni przez Kaznikowa też, a on nie traci pieniędzy, bo zarabia od naszego klienta.

Vornado nigdy nie czuł powołania, żeby zostać biznesmenem. Taka operacja, jak ta, w ogóle nie przyszłaby mu do głowy. Nawet po wyjaśnieniu mu całej procedury najprostszymi słowami miał trudności ze zrozumieniem, co jest potrzebne, żeby plan się udał.

– Czy robienie tego tak blisko miasta nie jest

ryzykowne?

– Oficjalnie reaktory neutralizujemy w magazynie w Gremisze, a tutaj tylko odzyskujemy z kadłubów stal i tytan. Najlepsze jest to, że jeśli nie znajdziemy kupca na drugi i trzeci okręt podwodny, naprawdę oddamy je na złom, zgodnie z tym, co Leon ma w kontrakcie.

Vornado skinął głową. Wszystko wiązało się ze sobą. Zastanawiał się, ile z tego wie Lewis i jego ludzie.

– Więc jak wyprowadzicie to monstrum z Murmańska w tajemnicy? Gdyby ktoś zobaczył, że okręt płynie fiordem na północ, zamiast iść na złom, byłaby katastrofa.

Biełkow uśmiechnął się krzywo i zrobił konspiracyjną minę.

– Czekaj cierpliwie, to się przekonasz. – Zmarszczył brwi i spojrzał w górę. – To jest kadłub i moduł reaktorowy starego „K-493”. Wybraliśmy go, dlatego że części mechaniczne były w dobrym stanie, a przedział reaktorowy łatwo można naprawić. Niektóre inne okręty miały awarie reaktorów, więc do budowy drugiej i trzeciej „Liry” będziemy musieli użyć przemieszanych części. Jeśli znajdziemy kupca na czwarty okręt, trzeba będzie zbudować przedział reaktorowy głównie ze szmelcu, co zajmie dodatkowy rok, ale da się zrobić. Gdyby wszystko szło dobrze, moglibyśmy sprzedać w sumie siedem „Lir”.

– Ta pierwsza ma jakąś nazwę?

– Nie. Zaszczyt jej ochrzczenia zostawiamy klientowi, ale jest mu wszystko jedno. My nazywamy ją po prostu

„Lira” Numer Jeden albo w skrócie Jedyńką.

– Kto jest kupcem?

Biełkow wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. To nie moja sprawa. Ale podejrzewam, że ktoś, kogo interesują tylko koszty, i cały czas je oblicza.

Vornado skinął głową.

– Mówiłeś, że trzeba wam pomóc w rozwiązaniu jakichś problemów.

– Chcesz się ubrudzić?

Vornado uśmiechnął się.

Biełkow zabrał go na długi spacer wokół okrętu. Brakowało ostatniego modułu rufowego ze sterami głębokości i kierunku. Kadłub kończył się nagle i przypominał rybę z odciętym ogonem. Biełkow opowiadał o kłopotach technicznych. Vornado pomyślał, że gdyby je spisać, powstałaby gruba książka.

Doszli do śródkręcia i wspięli się po schodkach na najwyższy pomost rusztowania. Vornado patrzył ze zdziwieniem na długi kiosk z łagodną krzywizną. Podstawa zajmowała całą szerokość kadłuba i nie było którejdy przejść z pokładu rufowego na dziobowy.

– Jak przechodzicie po kadłubie z rufy na dziób?

– Tunelem w kiosku – odparł Biełkow. – Chodź, pokażę ci. – Wszedł na kadłub pokryty gąbczastą pianką.

Powłoka była jaśniejsza niż na „Hamptonie” i ugięła się pod stopami.

Inżynier podszedł do tylnego, pochylego krańca kiosku.

Po obu stronach były włazy wysokości stu czterdziestu i szerokości sześćdziesięciu centymetrów. Otworzył prawy i zniknął wewnątrz kiosku. Vornado poszedł za Bielkowem i znalazł się w mrocznym ciasnym korytarzu biegnącym w kierunku dziobu. Idąc, musiał się schylać. Tunel omijał łagodnym łukiem środkową część kiosku, gdzie zapewne mieściły się peryskopy i maszty. W końcu dotarli do szerszego miejsca w korytarzu. Na pokład dziobowy prowadził pojedynczy właz. Vornado przykucnął i spojrział przez otwór na wprost. Wewnątrz kiosku, przed włazem dziobowym, zobaczył; poziomy pierścień ryglujący, który sięgał mu do łydki. Domyślił się, że to górna część szybu wejściowego do kadłuba ciśnieniowego. Ale zamiast iść na dół, Bielkow otworzył właz na pokład dziobowy.

Okręt otaczały rusztowania z platformami na różnych wysokościach.

Bielkow zszedł z kadłuba na pomost i wspiał się po dwóch kondygnacjach schodków. Vornado ruszył za inżynierem, zerkając na „Lirę” poniżej. Bielkow poszedł wzdłuż szczytu kiosku w kierunku rufy. Vornado zobaczył z góry otwory na maszty. Pracowali przy nich dwaj technicy.

W jednej trzeciej długości kiosku od strony dziobu była dziwna konstrukcja – trzyczęściowa szyba owiewki, ale umieszczona poziomo na szczycie kiosku.

– Na powierzchni to stanowisko dowodzenia – wyjaśnił Bielkow. – Starsi wiekiem podwodniacy nazywają je

mostkiem. – Wcisnął włącznik siłownika hydraulicznego umocowany na kolumnie rusztowania i cała szyba obróciła się wolno w pozycję pionową. Kiedy znieruchomiała, Vornado zobaczył za nią osłonięty od wiatru kokpit dla oficerów dowodzących okrętem. Spodobało mu się to rozwiązanie. Było bardziej eleganckie niż stosowane na amerykańskich okrętach „żółwie skorupy” – fiberglasowe pokrywy opuszczane obrotowo do wnętrza kokpitu i wymagające podniesienia oddzielnej pionowej owiewki z pleksiglasu. Tutaj wystarczyło wcisnąć jeden włącznik, żeby na szczycie kiosku powstała wodoszczelna osłona. Vornado zszedł za Biełkowem po krótkiej drabince na mostek. Dziwne, pomyślał. Stanowisko dowodzenia było dużo szersze niż na amerykańskich okrętach, ale cylindryczny szyb wejściowy wchodził do środka kokpitu i włącz znajdował się na poziomie krawędzi kiosku.

– Dlaczego włącz jest tak wysoko, a nie na poziomie pokładu?

– Bo ta konstrukcja spełnia dwie funkcje, Peter. – Biełkow wspinał się na szczyt szybu, opuścił nogi do otworu i zniknął wewnątrz.

Vornado czekał, w końcu też wszedł na górę. Zajrzał do środka, ale w szybie było ciemno. Opuścił się trochę w dół. Cylinder miał około sześćdziesięciu centymetrów średnicy, ale tylko dwa metry wysokości. Dziwne, bo Vornado oceniał, że są sześć metrów nad płytami górnego pokładu. Opuścił się niżej i wyłonił w ciasnym

cyldrycznym pomieszczeniu o wysokości dwóch i średnicy trzech metrów. Na okrągłej ścianie były puste półki i uchwyty, w jednym miejscu na górze mały panel sterowniczy, na dnie właz.

– Co to jest? – zapytał Vornado. – Chyba nie tylko szyb wejściowy na mostek?

– Kapsuła ratunkowa. Może się oddzielić od kadłuba. Mogliśmy ją ulokować tylko w kiosku. Dlatego jest taki szeroki. W razie katastrofy może się tu zmieścić cała dwunastoosobowa załoga. Włączniki obwodów uwalniających kapsułę są tam, na panelu sterowniczym.

– Czy to działa?

– Sterowanie nie jest podłączone. Klient nie chciał wpędzać się w koszty i kazał to tak zostawić. Chodźmy na dół. – Biełkow obrócił pierścień ryglujący obok kolana Vornado, otworzył właz i zniknął w otworze szybu wejściowego. Z dołu sączyło się nikłe światło. Vornado opuścił się do drugiego cylindra wysokiego na dwa metry.

Kiedy wyłonił się w środku okrętu, zapach, który wcześniej poczuł, stał się silniejszy. Wnętrze oświetlały wiszące w kilku rzędach lampy montażowe. Niektóre przechodziły przez właz za plecami Vornado. Były połączone wspólnym przewodem zasilającym. Vornado stał w ciasnym pionowym przejściu na metalowej kracie. Gdyby przesunął się w bok, ledwo starczyłoby miejsca, żeby ją unieść i zablokować w takiej pozycji, by opuścić się przez otwór w pokładzie na drabinę prowadzącą na niższy poziom. Za sobą miał otwarty właz do następnego

przedziału. Odwrócił się twarzą w kierunku rufy i otworzył drzwi klitki, w której utknął. Zamarł i wytrzeszczył oczy.

Jurij Biełkow znajdował się na środku najnowocześniejszej sterowni, jaką Vornado kiedykolwiek widział. Peterowi zapało dech. Wszedł do podłużnego pomieszczenia i stanął jak wryty. Otaczała go długa konsola w kształcie podkowy o średnicy wewnętrznej około pięciu metrów. Jej środkową część zajmowały pionowe panele, po bokach były pochyłe pulpity do obsługi na siedząco. Stało przy nich siedem foteli z wysokimi oparciami. Przez środek sterowni przechodziły cztery pionowe rury do masztów. Vornado pomyślał, że w jednej z nich musi być peryskop.

– Witamy w zautomatyzowanym centrum dowodzenia „Liry” – zakomunikował Biełkow.

W ciszy pomieszczenia szumiała lekko elektronika. Vornado zerknął na jeden z paneli – przypominał tablicę przyrządów nowoczesnego odrzutowca pasażerskiego, którą kiedyś widział na zdjęciach. Zamiast wskaźników i kontrolki były płaskie wyświetlacze. Całą pionową część panelu zajmował ekran. Pochyły pulpit wypełniały klawiatury, sterowniki kuliste, przyciski, dźwignie kolankowe, kubki z ołówkami, uchwyty na kubki z napojami i wieszaki do clipboardów. Biełkow przyglądał się z rozbawieniem, jak Vornado zaczyna spacer wokół podkowy. Środkowa część konsoli była skierowana w stronę dziobu okrętu. Umieszczone tu wyświetlacze

pokazywały ustawienie dziobowych i rufowych sterów głębokości, kąt pochylenia lub odchylenia okrętu, pozycję steru kierunku i napełnienie zbiorników balastowych.

– Stanowisko sterowania okrętem – powiedział Vornado.

Biełkow skinął głową. Wyświetlacze na następnych panelach w zakolu podkowy przy lewej burcie pokazywały otwarcie lub zamknięcie zaworów zbiorników balastowych i działanie pomp, systemów hydraulicznych, chrap okrętu oraz silnika diesla.

– Stanowisko obsługi balastu.

Jurij znów przytaknął. Dalej w kierunku rufy był panel z wyświetlaczami kontrolnymi około tysiąca automatycznych zaworów. Jeszcze dalej Vornado rozpoznał stanowiska obsługi instalacji parowej i reaktora oraz panel monitorujący temperaturę. Wrócił do środkowej części konsoli i ruszył w drugą stronę. Ekrany w zakolu podkowy przy sterburcie były ciemne.

– Stanowisko kierowania ogniem – podpowiedział Jurij.

Vornado posuwał się w kierunku rufy. Zobaczył stanowisko łączności radiowej i panele nasłuchu elektronicznego oraz sonaru. Dalej dostrzegł urządzenia nawigacyjne i duży poziomy wyświetlacz z mapą wybrzeża.

Na środku ekranu był pokazany Murmańsk, na brzegu zatoki pulsował mały żółty punkt.

– To nasza pozycja – wyjaśnił Jurij.

Vornado wyszedł z podkowsy i znalazł się w pomieszczeniu z elektroniką. Urządzenia zajmowały całą wysokość sterowni. Jurij wskazywał poszczególne sekcje: nawigacja i systemy sterowania okrętem przy prawej burcie, prostowniki częstotliwości czterystu herców, żyroskopy i inercyjny system nawigacyjny na środku, kontrola reaktora przy lewej burcie, dalej w kierunku rufy elektronika kierowania ogniem i sonaru. W sumie zestaw był kompaktowy – podobne urządzenia na amerykańskich okrętach podwodnych klasy 688 zajmowały niemal trzykrotnie większą przestrzeń – mimo że w pełni zautomatyzowana „Lira” nie wymagała obsługi w czasie rejsu.

Vornado wrócił na środek sterowni i rozejrzał się dookoła.

– Oddałbym wszystko, żeby wyjść tym okrętem w morze – mruknął.

Jurij wyszczerzył zęby.

– Musiałem wygonić stąd robotników, żeby ci wszystko pokazać. Chodźmy na środkowy poziom, żeby mogli wrócić do pracy. – Bielkow podszedł do wyjścia i wcisnął przycisk interkomu. – Skończyliśmy w sterowni. – Wszedł do wąskiego bocznego pomieszczenia, uniósł kratę, zablokował ją w otwartej pozycji i zniknął w dole drabinki prowadzącej na środkowy poziom.

Przez następne cztery godziny Vornado zwiedzał z Bielkowem wszystkie zakamarki okrętu. Oglądał każde urządzenie, zadawał pytania i zapamiętywał odpowiedzi.

W końcu, po wyjściu z przedziału reaktorowego, Vornado westchnął.

– Muszę wziąć prysznic.

– A ja muszę się napić – odparował Bielkow. – Odświeżymy się i wpadniemy do klubu naszej firmy.

Po długim wieczorze z Bielkowem Vornado był tak pijany, że machnął ręką na Swietłanę i padł spać. W nocy musiał wstać i napić się wody. Po powrocie do łóżka nie mógł zasnąć. Miał wrażenie, że wódka i wino nagle wyparowały. Potrafił myśleć tylko o „Lirze”. Widział w wyobraźni jej wnętrze, przypominał sobie objaśnienia Jurija i porównywał je ze swoją wiedzą na temat okrętów podwodnych. Zdał sobie sprawę, że jest zbyt podekscytowany, żeby zasnąć. „Lira” całkowicie zaprzętała mu umysł. Pomyślał, że można to porównać tylko do obsesyjnej miłości.

Spojrzał na śpiącą Swietłanę. Otworzyła oczy. Patrzyła na niego z takim zachwytem, z jakim on myślał o „Lirze”.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. Rozpromieniła się, uniosła na łokciu i wsunęła mu rękę pod bokserki.

Złapał ją za nadgarstek.

– Nie dziś. Jestem wykończony.

Wydeła usta, ale skinęła głową.

– Mogę ci zadać pytanie? – zagadnął Vornado. – Co cię łączy z Jurijem Bielkowem?

Uśmiechnęła się.

– To mój ojciec. Nie wiedziałaś? Dlatego się tobą zainteresowałam.

Tata gadał o tobie dzień i noc.

Vornado westchnął.

– Nie, nie wspominałaś o tym.

Skinęła głową. Wciąż się uśmiechała.

– Gdybym wspomniała, nie dotknąłbyś mnie. Tak jak dziś.

Vornado zmarszczył brwi.

– Śpij. Jutro będzie długi dzień. – Nie zdradził Swietłanie, że w południe wymeldowuje się z hotelu. W klubie firmy wymusił na Biełkowie obietnicę, że dostanie w terminalu prywatne biuro z łóżkiem, lodówką i łazienką. Przez następnych kilka tygodni zamierzał pracować dwadzieścia godzin na dobę, jak kiedyś, gdy był głównym mechanikiem na „Auguście”. Narobił wtedy zamieszania w stoczni, wstawiając łóżko do swojego biura na barce. Przez dwa lata pracował niemal na okrągło, żeby doprowadzić okręt do pełnej sprawności. Pozwalał sobie tylko na krótkie drzemki i kilka godzin snu na dobę. Zażądał również od Biełkowa notebooka z załadowanymi planami „Liry”, specyfikacjami, wykresami, dziennikami stoczniowymi, harmonogramem pracy, raportami rozbieżności i dokumentami kontroli jakości. Jurij obiecał, że wszystko będzie gotowe przed początkiem dziennej zmiany.

21

W środku nocy zabrzączał telefon.

– Kapitan – zgłosił się Dillinger.

– Tu oficer pokładowy, sir – rozległ się w słuchawce głos Matta Mercury-Pryce'a. – Jest piąta pięćdziesiąt, panie kapitanie. Odebraliśmy na ELF jedną z liter alfanumerycznego kodu wywoławczego. Proszę o pozwolenie na zmniejszenie szybkości i przygotowanie się do podejścia na głębokość peryskopową.

Fale radiowe krańcowo niskiej częstotliwości – jedyne, które przenikały kilkaset metrów pod powierzchnię morza – odbierała jedna z anten radiowych w kiosku. Na tak niskiej częstotliwości można było nadawać tylko jedną literę co dwadzieścia minut. Wymagało to ogromnej mocy nadawczej i stacji transmisyjnych o powierzchni setek akrów – ale to wystarczało do wezwania głęboko zanurzonego okrętu podwodnego na głębokość peryskopową, żeby odebrał na UHF wiadomość z wojskowego satelity telekomunikacyjnego.

– W porządku – mruknął Dillinger. – Wykonać. I jeśli XO śpi, niech pan ją obudzi.

Nareszcie, pomyślał Dillinger, kiedy wszedł do łazienki i zdjął T-shirt i bokserki. Podejdą na głębokość peryskopową, odbiorą wiadomości, a wśród nich rozkaz operacyjny. Zamierzał wziąć szybki prysznic. Od czasu Lata Kadeta potrafił w ciągu trzech minut wejść pod

strumień wody, umyć głowę, namydlić się, splukać ciało i wytrzeć się do sucha. Zakręcił kran, wyszedł z kabiny prysznicowej i sięgnął po ręcznik. Wtedy zobaczył komandora porucznik D'Assault. Stała pół metra od niego.

Uśmiechnęła się.

– Przepraszam, kapitanie. – Zerknęła przelotnie w dół, potem znów spojrzała mu w oczy i zaczerwieniła się. Zdał sobie sprawę, że D'Assault stoi za blisko, ale pomyślał, że to pewnie z braku miejsca.

– Natalie – zwrócił się do niej, kiedy znalazł ręcznik. Uważam, że skoro jedno z nas jest nagie, powinniśmy przejść na „ty”. – Był zadowolony, że jego głos brzmi normalnie.

– Okay, Burke – powiedziała cicho. Nie cofnęła się ani o centymetr, najwyraźniej nie onieśmielona jego nagością. Jej pierś unosiła się i opadała w równym rytmie oddechu. – A może wolisz BK?

Patrzył na swoją zastępczynię i dziwił się sobie, że zastanawia się nad pytaniem, zamiast kazać jej wyjść.

– Wszyscy nazywają mnie BK, ale jeśli chcesz mówić do mnie Burke, proszę bardzo – odezwał się w końcu i nie poznał własnego głosu.

– Więc Burke – szepnęła i dotknęła palcem wskazującym jego piersi. Nagle się cofnęła. Otworzyła drzwi, żeby wyjść. Posłała mu ostatnie spojrzenie i uśmiechnęła się. Potem rzuciła mu ręcznik. Spojrzał w dół i zdał sobie sprawę, że wcześniej w ogóle nie zdjął ręcznika z wieszaka i nadal stoi nagi. Pokręcił głową i

pomyślał, że jeszcze śpi i to wszystko nie zdarzyło się naprawdę. Ale nie mógł zapomnieć szeroko otwartych piwnych oczu dziewczyny, kiedy go zobaczyła. Wciąż widział w wyobraźni jej źrenice, rozszerzone mimo mocnego światła w łazience.

Lubi mnie, pomyślał w nagłym przypiływie szczęścia. Po raz pierwszy od zerwania z Dayną poprawił mu się nastrój. Wracaj do roboty, przywołał się do porządku. Ale kiedy wycierał się ręcznikiem, uśmiechał się szeroko.

Założył czysty kombinezon, czarne adidas i poszedł do sterowni. Natalie – XO, do cholery, poprawił się w myślach – stała przy stole nawigacyjnym.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał ją. Gdy podniosła na niego wzrok, dostrzegł złociste plamki w jej oczach i eleganckie, długie, ciemne rzęsy.

– Tutaj, kapitanie. – Wskazała punkt na mapie i postukała długim paznokciem w wyświetlacz.

Tym samym palcem dotknęła wcześniej jego piersi.

Co się z tobą, stary, dzieje? – zawołał jego wewnętrzny głos. Ocknął się z marzeń o Daynie, dał się zaskoczyć nago swojej zastępczyni i nagle ma eksplozję hormonów? Musi wziąć się w garść.

– Panie kapitanie? – wtrącił się Mercury-Pryce. – Mamy już obie litery naszego kodu wywoławczego na ELF. Jesteśmy na głębokości czterdziestu pięciu metrów, kurs północny, szybkość sześć węzłów. Sprawdziliśmy dokładnie stożek ciszy za rufą, żadnych bliskich kontaktów, jeden daleki, statek handlowy na kierunku

dwa siedem osiem, poza punktem maksymalnego zbliżenia i oddała się, odległość ponad dziewięć tysięcy metrów. Proszę o pozwolenie na podejście na głębokość peryskopową w celu odebrania transmisji radiowej.

Dillinger zerknął szybko na pomieszczenie. W sterowni można wiele zobaczyć w ciągu półsekundowego rzutu okiem.

– Oficer pokładowy, podejść na głębokość peryskopową.

Dillinger obserwował, jak Merc wykonuje niebezpieczny manewr zbliżenia okrętu do powierzchni na taką odległość, żeby peryskop i antena | radiowa znalazły się nad falami. Kiedy tylko podniósł „Tucsona” i pery – I skop wynurzył się z wody, wysunął antenę BRA-34 i odebrał wiadomości dla okrętu nadawane co siedem minut. Gdy radiooperator potwierdził odbiór przekazu, Merc sprowadził okręt z powrotem w dół.

Dillinger i D'Assault otworzyli drzwi do kabiny radiowej, żeby przeczytać wiadomość. Kiedy Dillinger skończył, podniósł wzrok na D'Assault.

– Kłamliwy sukinsyn – zaklął głośno. |

– Kto? – zapytała.

– Joe Palacz Kraft. Powiedział mi, że nie popłyniemy na północ. A rozkaz operacyjny kieruje nas prosto na Morze Barentsa. Już dalej na północ nie można.

D'Assault spojrzała na clipboard z wiadomością, który trzymał Dillinger, i przysunęła się tak blisko, że dotknęła ramieniem jego bicepsu. Poczul przepływ prądu

elektrycznego wzdłuż ręki, ale nie zamierzał zdradzić się z tym przed D'Assault. Skinęła głową i podniosła na Burke'a wzrok.

– Rozkaz mówi tylko, że mamy dotrzeć na północ od Półwyspu Kolskiego. Nie ma nic o tym, co będziemy tam robili.

Dillinger przytaknął. Zaczynał się przyzwyczajać do otrzymywania informacji w ostatniej chwili.

– OOD, proszę wezwać nawigatora do sterowni. – Nawigator musiał wyznaczyć nowy kurs do punktu określonego w rozkazie. – Niech pan zejdzie na poprzednią głębokość i wróci na kurs zero cztery zero. Standardowa szybkość.

– Tak jest, sir – odpowiedział Mercury-Pryce. – Zanurzenie, głębokość sto sześćdziesiąt sześć metrów. Sternik, cała naprzód dwie trzecie, ster pięć stopni w prawo, stały kurs zero cztery zero. Sonar, tu dowodzenie. Schodzimy. Opuszczam peryskop numer dwa.

Kiedy „Tucson” pochylił się w nurkowaniu i przyspieszył w kierunku północno-wschodnim, Dillinger jeszcze raz przeczytał rozkaz operacyjny. Zastanawiał się, co, na Boga, będą robili na arktycznych wodach na północ od Republiki Rosyjskiej, uzbrojeni w dwa pociski przeciwpodwodne z głowicami nuklearnymi.

Peter Vornado zapadł w sen pięć minut po zajęciu miejsca przy stole nakrytym do kolacji w domu Świetlany. Próbowwała go obudzić, ale bez skutku.

Odstawiła jedzenie na bok, zaprowadziła go wolno do łóżka, położyła i rozebrała. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, kiedy leżał prawie nagi. We śnie wyglądał jak chłopiec. Czasami ssał dolną wargę. Swietłana przyglądała się pulsującej męskości. Zastanawiała się, czy Peterowi śnią się jej piersi. A może była żona lub matka? Położyła się obok, zmierzwiła mu włosy i uśmiechnęła się na myśl o nadchodzącym dniu.

Dwa tygodnie temu Peter spotkał się z Jurijem – jej ojcem – i Rusanowem, żeby przedstawić im swój plan. Zorganizował pracę tak, że na jednej zmianie było piętnaście brygad roboczych. Każda składała się ze specjalistów z innej dziedziny: techników jądrowych, monterów kadłubowych, elektryków, elektroników, hydraulików, spawaczy, mechaników silnikowych i techników łączności wewnętrznej. Przydzielił im pracę według kompetencji – przy reaktorze, instalacji parowej i elektrycznej, zespole napędowym, masztach i antenach, peryskopach, zapasowym silniku diesla i systemie kontroli atmosfery. Swietłana chciała wykorzystać swoje umiejętności inżynierskie i nalegała, żeby ją też zatrudnił. Dał jej stanowisko szefowej pierwszej zmiany i wspólnie nadzorowali pracę. Drugą zmianą kierował Biełkow, trzecią Rusanow.

Peter był niezmordowany. Zwykle zaczynał pracę cztery godziny przed końcem zmiany Rusanowa, potem pomagał Swietłanie i zostawał przez pięć godzin na zmianie Jurija. Cały personel terminalu uwijał się

gorączkowo, biorąc przykład z szefa, który nie bał się brudnej roboty. Swietłana obserwowała Petera i czasami dochodziła do wniosku, że minął się z powołaniem. Powinien być generałem dowodzącym armią na polu bitwy. Potem przypominała sobie, że był bohaterem wojennym, dopóki nie zachorował. Nie wiadomo, jak wysoko by zaszedł, gdyby został w amerykańskiej marynarce wojennej.

Swietłana zamieniła elegancki kostium biurowy i pantofle na kombinezon i buty robocze. Od dwóch tygodni nie chodziła z rozpuszczonymi włosami – stale wiązała je w koński ogon. Pod koniec każdego dnia była brudna i spocona. Ale nie pamiętała, kiedy ostatni raz była taka szczęśliwa. Peter wspierał ją, gdy natrafiała na jakąś przeszkodę. Przydzielił jej też do pomocy brygadzystę, doświadczonego mechanika kadłubowego, barczystego, ogolonego na łyso Wiktora Danałowa, którego sama zwerbowała do pracy w terminalu. Peter chciał, żeby na pierwszej zmianie wszystko szło gładko, kiedy go nie ma. Swietłana wiedziała, że nie do końca jej ufa, bo jest młoda i niedoświadczona, i oczywiście dlatego że jest dziewczyną. Ale wcale się tym nie przejmowała. Ważne, że mogła z nim być. Zdołała wkroczyć w jego życie.

Tej nocy, gdy Peter był w jej mieszkaniu po zakończeniu pracy o pierwszej nad ranem, zadzwonił ojciec. Powiedział, że zdarzył się straszny wypadek samochodowy. Limuzyna Antona Nesowa została niemal

przecięta na pół przez wielką ciężarówkę na trasie między klubem firmy a jego domem. Z ciała prawie nic nie zostało. Była zaszokowana i przerażona. Wiedziała, że Peter nie przepadał za Nesowem, ale to ona zwerbowała do terminalu dawnego kapitana okrętu podwodnego rosyjskiej marynarki wojennej. Zapytała, czy cierpiał. Jurij odpowiedział, że prawdopodobnie wszystko stało się zbyt szybko, by Nesow zdążył coś poczuć. Poza tym, zapewne był mocno pijany, jak zwykle po wyjściu z klubu. Zanim ojciec się wyłączył, poprosił ją o przekazanie wiadomości Vornado. Zaczerwieniła się, kiedy spojrzała na prawie nagiego Petera. Ojciec właśnie dał do zrozumienia, że wie o jej romansie z Amerykaninem.

Wszyscy mieli pracowite dwa tygodnie. Brygady sformowane przez Petera zrobiły duży postęp. Pod koniec każdej zmiany Peter żądał szczegółowych relacji od brygadzystów i przeglądał listę problemów technicznych, która z każdym dniem stawała się coraz krótsza. Nigdy nie był zadowolony. Wiele razy kazał brygadzistom zostawać na następną zmianę i studiował z nimi schematy instalacji oraz rysunki techniczne urządzeń. Czasem spędzał z jakimś brygadzystą trzy lub cztery godziny w zęzie okrętu, demontując pompę trzymującą, lub wczołgiwał się z nim do zbiornika balastowego, żeby naprawić zacinający się zawór upustowy.

Peter stawał się w terminalu żywą legendą. Siergiej Kaznikow obserwował go z półpiętra i z zadowoleniem

kiwał głową. Swietłana wiedziała, że postanowił zaproponować Peterowi stanowisko Nesowa. Szykował się następny problem – skompletowanie załogi „Liry”. Nesow chciał ściągnąć swoich dawnych kumpli z rosyjskiej marynarki wojennej, ale Swietłanie żaden nie odpowiadał. Wszyscy byli leniwymi pijakami i wiedziała, że Peter nie zgodzi się ich przyjąć. Zanim dołączyła do jego zmiany, spróbowała dyskretnie zwerbować innych, bardziej odpowiedzialnych ekspodwodniaków z rosyjskiej floty, ale też nie zrobili na niej dobrego wrażenia. Zaczęła poszukiwania za granicą, ale kandydaci albo nie służyli wcześniej na atomowych okrętach podwodnych, albo byli rozgoryczonymi wyrzutkami z marynarki brytyjskiej lub francuskiej i mieli takie same problemy, jak Rosjanie. Peter słuchał jej narzekań na sytuację i mówił, żeby się nie martwiła i nie traciła czasu na poszukiwania.

– Skompletujemy załogę z pracowników technicznych terminalu. Łatwiej przeszkolić doświadczonego fachowca, niż uczyć wszystkich zawłości nowego operatora. „Cała obsługa będzie pod moją kontrolą, a ja się tutaj najlepiej znam na obsłudze okrętu podwodnego i wiem, jak szkolić ludzi”. W tym stwierdzeniu nie było arogancji, tylko szczerą prawdą.

W Swietłanę wstąpiła nadzieja, że może zdoła zaimponować Peterowi i włączy ją do załogi. Jakież to byłoby podniecające, znaleźć się z nim na morzu, w jego żywiole. Postanowiła się o to postarać. Nie miała wiele czasu. Zaledwie dwa tygodnie po pogrzebie Nesowa Peter

wyeliminował wszystkie poważne problemy, które opóźniały zwodowanie okrętu. Ponura przepowiednia Kaznikowa, że przygotowanie „Liry” do wyjścia w morze potrwa jedenaście miesięcy, nie sprawdziła się. Zajęło to tylko trzy tygodnie. A wszystko dzięki Peterowi – jego umiejętności kierowania ludźmi oraz szczegółowej wiedzy na temat okrętów podwodnych. Kaznikow miał przyjemny obowiązek zawiadomić klienta, że budowa okrętu znów idzie zgodnie z harmonogramem.

Ale teraz problemy zaczął stwarzać klient. Kiedy tylko Kaznikow napomknął, że okręt może być gotowy wcześniej, niż ostatnio przewidywał, w terminalu zaroilo się od Egipcjan w arabskich strojach. Swietłana obserwowała, jak kręcą się po hali produkcyjnej. Jeden z nich był zaszokowany i zde gustowany widokiem kobiety w kombinezonie roboczym. Przeszkadzali jej w pracy. Co z tego, że przysłał ich klient? Zachowywali się jak świnie. Nieważne, że płacili za to wszystko.

Arabowie zaczęli przygotowania do załadunku swoich rzeczy na pokład, zanim Peter ustalił datę zwodowania okrętu. Kiedy się o tym dowiedział, wpadł w furję. Powiedział, że nikomu nie wolno nic robić bez jego pozwolenia. Arabowie zaproponowali dziwne rozwiązanie – zamiast transportować swój ładunek ciężarówkami i przylatywać na miejsce oddzielnie, przywiozą do terminalu towar i personel wyruszający w rejs czterema wielkimi autobusami. Chcieli zaparkować pojazdy wewnątrz terminalu tydzień przed wyjściem w

morze, żeby wyładować tajemniczy bagaż i mieszkać w nich do chwili rozpoczęcia rejsu. Tuż przed odpłynięciem załadują rzeczy na pokład, a ich ludzie wejdą na okręt potajemnie w ostatniej chwili, żeby nikt z pracowników firmy nie wiedział, kim są. Zostawią swoje luksusowe autobusy w terminalu i po powrocie z dziewiczego rejsu pojedą nimi do portu docelowego okrętu.

Peter miał obiekcje. Nie chciał, żeby cokolwiek przeszkadzało jego personelowi w pracy. Powiedział, że nie wpuści autobusów do terminalu, dopóki nie zwoduje okrętu, nie usunie wszystkich problemów z systemami i nie załaduje oleju smarnego, oleju napędowego do awaryjnego generatora dieslowskiego, oleju hydraulicznego, wody pitnej, wody do instalacji parowej, ciekłego metalu do chłodzenia reaktora, wody do zbiornika reaktora, chłodziw, chemikaliów do generatora pary, chemikaliów do kontroli atmosfery i ciekłego tlenu. Dopiero wtedy pozwoli klientom wejść na pokład i załadować towar, cokolwiek to jest. Kaznikow zgodził się z Vornado, ale zaznaczył, że trudno będzie przekonać klienta. Peter z wściekłością odparł, że w takim razie sam porozmawia z nabywcą. Siergiej pokręcił głową i stwierdził, że załatwi to jego starszy brat. Leon dogada się z Egipcjanami, nikt inny niczego u nich nie wskóra. Vornado niechętnie ustąpił.

Swietłana pomyślała, że kiedy Peter obudzi się tego ranka przed dzienną zmianą, zacznie swój najważniejszy dzień, odkąd tu przyjechał. Okręt zostanie spuszczone na

wodę i ostatecznie przygotowany do eksploatacji. Gdyby Peter nie dostał stanowiska kapitana, jego obowiązki skończyłyby się następnego dnia po załadowaniu chemikaliów i płynów eksploatacyjnych, uruchomieniu reaktora oraz instalacji parowej, potem przetestowaniu głównych i awaryjnych systemów okrętu. Ale będzie kapitanem i od dziś on zacznie rządzić. To takie podniecające, pomyślała. Znowu zmierzwiła mu włosy.

Postanowiła go obudzić tak, jak zawsze chciała, odkąd się poznali. Nadal spał, kiedy ściągnęła mu bokserki, ale wkrótce się obudził.

Bezsenność stawała się coraz gorsza. Zwykle zdarzała się w najbardziej denerwujących okresach misji, podczas tropienia wrogiego celu lub na małej głębokości w obcym porcie przy podsłuchiowaniu z wysuniętą anteną transmisji radiowych i prywatnych rozmów telefonicznych. Ale teraz mieli jeszcze dwa dni drogi do wyznaczonej pozycji, a tymczasem Dillinger w ogóle nie mógł spać.

Ilekcio dręczyła go bezsenność, zawsze robił to, co jego kapitanowie, kiedy był jeszcze młodszym oficerem – pochylał się nad stołem nawigacyjnym, zadawał mnóstwo pytań oficerowi pokładowemu, szedł do części rufowej i zawracał głowę obsłudze maszynowni, a potem, kiedy wszyscy byli wykończeni, siadał w mesie oficerskiej i gawędził towarzysko z młodszymi kolegami. Minęła dwudziesta trzecia, gdy Dillinger usiadł na swoim krześle. W mesie nie było nikogo poza kucharzem dyżurnym, który nakrywał stół do nocnego posiłku, wydawanego między dwudziestą trzecią trzydzieści a dwunastą trzydzieści w nocy. Dillinger uniósł łokcie, żeby kucharz mógł rozciągnąć obrus.

– Co dzisiaj serwujecie? – zapytał.

– Frankfurterki z ryżem i fasolką, krakersy i białe pieczywo, masło orzechowe, galaretkę owocową, herbatę mrożoną, napój chłodzący, kawę i mleko, sir – poinformował kucharz. Typowy zestaw do zapchania

żołądka, wymyślony tylko po to, żeby członkowie nocnej wachty nie zasnęli na służbie z powodu niestrawności.

Dillinger skinął głową. Jeśli zamierzał zasnąć, powinien darować sobie to żarcie. Znalazł pilot od telewizora, otworzył szafkę z ekranem plazmowym i włączył odbiornik. Przeszukał menu i zatrzymał się na ostatnich wiadomościach nadanych przez satelitę telekomunikacyjnego. Pięciominutowy magazyn informacyjny nagrywano w studiu podobnym do telewizyjnego. Okazjonalnie, jeśli nadawcy z marynarki wojennej nie mieli zastrzeżeń do wiadomości telewizyjnych, po prostu je wysyłali. Dillinger włączył odtwarzanie i zaczął się blok informacyjny. Na początku była data, bo wiadomości zawsze przychodziły z jednodniowym opóźnieniem.

Na ekranie ukazało się logo Satellite News Network. Potem zniknęło i pojawiła się twarz Dayny Baines. Poniżej był pasek z napisem: **ostatnie doniesienia – po tajwańskiej groźbie ataku na chiny rośnie napięcie na linii tajpej-pekin.**

– Dobry wieczór państwu... – zaczęła ze swoim uwodzicielskim akcentem z Atlanty.

– Niech to szlag – zaklął Dillinger.

– Tak pan wita swojego oficera wykonawczego? – Natalie D'Assault uśmiechnęła się znad jego prawego ramienia.

Wcisnął pauzę na pilocie i spojrzał na nią z uśmiechem.

Miała na sobie czarny kombinezon z emblematem USS

„Cheyenne”, zamiast niebieskiego z logo „Tucsona”. W siłach podwodnych często noszono kombinezon z emblematem okrętu, na którym wcześniej się służyło. Ale wyżsi oficerowie rzadko to robili – tylko wtedy, gdy nowy kombinezon był w praniu. D'Assault miała włosy uczesane w koński ogon, ale niektóre lśniąco, kruczoczarne kosmyki opadały jej na ramiona. Dillinger nie potrafił rozpoznać, czy jest umalowana. Długie, naturalne rzęsy ocieniały jej ciemne oczy, wargi wydawały się bardziej czerwone i pełniejsze niż zwykle. Wyczuł lekki zapach perfum. Przypomnił sobie incydent w łazience sprzed dwóch tygodni, w dniu, kiedy dostali rozkazy operacyjne. Od tamtej pory dłużej brał prysznic, ale nie zdarzyło się następne spotkanie w łazience.

Odkąd płynęli na północ, D'Assault pełniła nocne wachty jako dyżurny oficer dowodzący. Zaczynała służbę o dwudziestej trzeciej trzydziści i uwalniała Dillingera od obowiązku ciągłego dowodzenia, żeby mógł pospać do szóstej. Ona sypiała w porze wieczornej wachty, kiedy na okręcie zwykle był lekki luz. W obu mesach – oficerskiej i dla załogi – wyświetlano wtedy filmy i na okręcie unosił się zapach prażonej kukurydzy jak w kinie. Podczas porannej i popołudniowej wachty D'Assault koncentrowała się na papierkowej robocie, której nie można było uniknąć nawet w czasie długiej misji. Poświęcała również sporo czasu sprawom personalnym stutrzydziestoosobowej załogi, w czym pomagał jej szef okrętu, nazywany w skrócie COB – najwyższy

stanowiskiem podoficer wśród personelu nienuklearnego. D'Assault zajmowała się awansami, postępowaniem dyscyplinarnym i raportami o sprawności fizycznej. Zasiadała również w komisjach kwalifikacyjnych. Każdy XO był najbardziej zajętą osobą na pokładzie. Tak jak D'Assault. Ale wyglądało na to, że lubi swoje obowiązki i zawsze chętnie zrobi więcej. Jej nastawienie wyraźnie kontrastowało z postawą Dillingera, kiedy pełnił funkcję XO. Gdy ją obserwował, dostrzegał, jak dobrze może być wykonana praca oficera wykonawczego. Pamiętał swoje złe humory, powarkiwania na COB i załogę, bezlitosne musztrowanie młodszych oficerów. D'Assault wszystko załatwiała spokojnie i stosowała metody psychologiczne, podczas gdy on polegał głównie na brutalnej sile. Kiedy przypomniał sobie reportaż, który o nim zrobiła Dayna Baines, zaczął się na nowo zastanawiać, czy właśnie dzięki niej awansował na oficera dowodzącego.

– Cześć, XO. Mówiłem do swojej byłej dziewczyny. Co słyhać? Jak załoga?

D'Assault zerknęła na ekran i usiadła z wdziękiem po prawej stronie Dillingera, na miejscu zwyczajowo zajmowanym przez oficera wykonawczego. Mając ją tak blisko siebie w pustej mesie, Dillinger poczuł przyspieszone bicie serca.

– Do swojej dziewczyny? A, rozumiem. Ech, wy, mężczyźni. Zawsze zakochujecie się w telewizyjnych prezenterkach pogody.

– Mówię poważnie – odparł Dillinger. – Kiedy byłem

XO, pracowała w lokalnej stacji telewizyjnej w Norfolk i zrobiła reportaż o „Miami”. Po emisji programu poderwała mnie. – Posłał Natalie swój najbardziej czarujący uśmiech, a przynajmniej tak mu się zdawało. – Ale powiedzmy sobie szczerze: czy mogłaby mi się oprzeć?

D'Assault spojrzała na niego poważnie i uniosła lekko brwi. Zerknęła szybko na ekran i znów popatrzyła na Dillingera.

– Oczywiście, że nie, kapitanie. Kto mógłby ją za to winić? Całkowicie rozumiem tę dziewczynę.

Oszołomiony Dillinger odwrócił wzrok w kierunku panelu kontrolnego na przegrodzie i udał, że sprawdza kurs, szybkość i zanurzenie okrętu, choć wskazania nie zmieniły się od dwudziestu godzin.

– Nieważne. – Starał się to powiedzieć lekkim tonem, ale nie był pewien, czy mu się udało. – Kilka miesięcy temu dostała pracę w SNN w Waszyngtonie i spotyka się teraz ze swoim szefem. Zerwaliśmy ze sobą w przeddzień mojego wyjścia w morze.

D'Assault milczała przez chwilę.

– Jeśli to cię pocieszy, kapitanie, ja i Charlie niedawno też się rozstaliśmy – powiedziała ze współczującą miną. – Zerwaliśmy zaręczyny tuż przed moim wejściem na pokład. Znalazł sobie inną. – Pokręciła głową, ale nie wyglądała na smutną. – Takie sprawy zawsze są bolesne, nawet jeśli w końcu wychodzą nam na dobre.

Dillinger patrzył na nią oniemiały. Zdał sobie sprawę,

że ma otwarte usta. Nie wiedział, że jest wolna. Nie zachowywała się tak. Zerknął na jej lewą rękę. Zawsze nosiła sygnet akademii, dzisiaj też. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogła zerwać zaręczyny. Myślał, że Natalie po prostu nie lubi nosić pierścionka zaręczynowego.

– Pytałeś o załogę, Burke – przypomniała. – Nie jest dobrze.

Dillinger wrócił do rzeczywistości.

– To znaczy? – warknął.

Podszedł kucharz, postawił przed nim filiżankę i napełnił ją parującą kawą. D'Assault wzięła swoją i zaczęła, aż będą sami.

– Rozkaz operacyjny sugerował, że dowódca Grupy Specjalnej 2. OI może monitorować całą prywatną łączność w obu kierunkach. Ale posunięto się jeszcze dalej. Od czasu przysłania rozkazu nikt z załogi nie dostał e-maila. Ja wysłałam kilka służbowych i jeden do matki. Żaden nie dotarł.

Dillinger zmarszczył brwi.

– Trzeba było mi to natychmiast zameldować. Opieprzyłbym 2.01. – Pomyślał, że sam powinien się zorientować w sytuacji wcześniej. Ale nie miał potrzeby wysyłać e-mailów. Bo do kogo? Do Dayny? Wolne żarty. Do starego kumpla, Vornado? Peter pracował w jakiejś zapomnianej przez Boga stoczni na zadupiu bez telefonii komórkowej i Internetu. Dillinger mógłby wysłać wiadomość do Rachel Vornado, ale pewnie wiedziała o Peterze tyle, ile on.

Uświadomił sobie ze smutkiem, że jest cholernie samotny. Popatrzył groźnie na D'Assault i spróbował się skoncentrować na jej słowach.

– Wiem, i dlatego ci nie powiedziałam. Nie możemy się wkurzać na dowódcę misji, bo jakiejś Suzie nie udaje się wysłać z domu kwiecistego listu miłosnego do starszego mata Smitha.

– Owszem, możemy – odparł gniewnie Dillinger. – A co z sytuacjami alarmowymi? Co z żoną porucznika Schlussa, która jest w ciąży? Co z dzieckiem bosmana Keatinga chorym na białaczkę? Jeśli dowództwo zablokuje nam łączność ze światem, stracimy lojalność załogi.

D'Assault na moment nakryła dłonią jego rękę jak matka próbująca uspokoić rozhisteryzowanego nastoletniego syna.

– Wszystkie pilne wiadomości rodzinne przychodzą podczas transmisji radiowych w formie familigramów.

Familigramami flota przekazywała prywatną korespondencję w czasach, kiedy nie istniał jeszcze Internet. Wiadomości kodowano jako wojskowe i radiooperatorzy dostarczali je bezpośrednio członkom załogi. D'Assault cofnęła rękę i położyła ją na swoim kolanie. W tym momencie wszedł porucznik Pat Schluss, asystent kontroli uszkodzeń, bezpośredni podwładny głównego mechanika, Steve'a Flooda.

Dillinger skinął mu głową, gniew minął.

– Cześć, Pat – powiedział i postanowił sprawdzić słowa

Natalie. – Co tam u mamuśki?

Schluss uśmiechnął się.

– W czasie ostatniego podejścia na głębokość peryskopową dostałem familigram, że miała ostatnią ultrasonografię i wszystko gra. Mówią, że urodzi się chłopak. Właściwie pielęgniarka powiedziała: „O, to zdecydowanie chłopiec”. Najwyraźniej wdał się w swojego starego, to znaczy fizycznie, wie pan...

Dillinger podniósł rękę.

– Rozumiemy, Patty. Wystarczy. Mamy tu kobietą.

– XO, sir? Kapitanie, XO jest jak facet. Bez obrazy, pani komandor. To komplement.

D'Assault uśmiechnęła się do młodego oficera.

– Wiem, Patty, dziękuję.

Dillinger popatrzył na nich. Postanowił poruszyć tę sprawę, kiedy zostanie sam z D'Assault. – No, dobra, DCA – zwrócił się do Schlussa, używając skrótu jego stanowiska służbowego. – Zjesz frankfurterki z fasolką?

Schluss skinął głową i wszedł głębiej do mesy. Spojrzał w bok, żeby zobaczyć, co jest na ekranie telewizora. Na widok Dayny uśmiechnął się. Kiedy odwrócił się tyłem, żeby wyjąć serwetkę z szuflady, rzucił przez ramię:

– Pańska dziewczyna wygląda dziś ekstra, kapitanie.

Dillinger spojrzał z lekkim uśmiechem na D'Assault.

– Wiem – mruknął. Miał nadzieję, że Natalie domyśla się, że nie chodziło mu o Daynę.

XO patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w końcu zamrugła i spojrzała w dół na swój talerz.

Do mesy wszedł nawigator, Rob Cummins.

– Dobry wieczór, kapitanie, XO – powiedział zadziwiająco wysokim głosem.

Dillinger pomyślał, że to wybryk natury. Cummins był wielki i sprawiałby groźne wrażenie, gdyby nie piskliwy głos. Nawigator wziął serwetkę i usiadł obok D'Assault. Wrócił kucharz, przyjął zamówienia i po minucie przyniósł oficerom dania.

Cummins zerknął na ekran telewizora.

– Było już coś?

Oglądali wiadomości, żeby zobaczyć, czy media podają jakieś informacje o północnej Rosji, które mogłyby im pomóc w zrozumieniu sensu misji.

– Jeszcze nic – odpowiedziała D'Assault.

Coś jest inaczej, pomyślał Dillinger. Spojrzał na panel kontrolny na przegrodzie, gdzie była wyświetlona szybkość, kierunek według kompasu i głębokość zanurzenia okrętu. Prędkościomierz pokazywał jedenaście węzłów, zamiast piętnastu, i wartość nadal malała.

Rob Cummins zauważył, że Dillinger patrzy na panel.

– Zbliżamy się do PIM, kapitanie – wyjaśnił. – W tym miejscu musimy zwolnić do pięciu węzłów.

Byli teraz niemal na szczycie kuli ziemskiej, daleko na Morzu Barentsa na północ od kręgu polarnego. Płynęli na wschód przez wody na północ od Szwecji ku granicy szwedzko-fińskiej i rosyjskim wodom na północ od Półwyspu Kolskiego.

Dillinger skinął głową do nawigatora. Zadzwoił

telefon ze sterowni.

– W samą porę – powiedział Dillinger i sięgnął pod stół po aparat bezprzewodowy. Niechcący musnął ręką kolano D'Assault i znów poczuł przepływ prądu wzdłuż ramienia. Był ciekaw, czy się zaczerwienił. I dlatego postawiła nogę tak blisko telefonu. W kącikach oczu D'Assault dostrzegł ślad tajemniczego uśmiechu. – Kapitan – zgłosił się.

– Tu oficer pokładowy, sir – rozległ się w słuchawce głos porucznika Mercury-Pryce'a. – Według tajnej mapy jesteśmy w punkcie Kilo. Zbliżamy się do PIM i zgodnie z rozkazem operacyjnym mamy tu zwolnić do pięciu węzłów. Zmniejszyłem szybkość do całej naprzód jednej trzeciej, obroty dla pięciu węzłów.

– W porządku, OOD. Gdzie jesteśmy w odniesieniu do PIM? – zapytał Dillinger.

Skrót oznaczał punkt zaplanowanego tempa wymieniony w rozkazie operacyjnym; miejsce na mapie, gdzie zgodnie z rozkazem dowódcy grupy specjalnej okręt miał być w określonym czasie. Dotąd płynęli z szybkością piętnastu węzłów, stosunkowo dużą na wrogich wodach, ale wystarczająco małą, by nie emitować hałasu i nie zakłócać własnego sonaru. Mimo to w pobliżu terytorium dawnego przeciwnika poruszali się zbyt szybko.

– Dwanaście mil morskich przed, sir. Rozkaz operacyjny zaleca zmniejszenie szybkości w odległości poniżej dziesięciu mil, ale dopuszcza dwadzieścia. z

– W porządku. Coś jeszcze?

– Tak, sir. Proszę o pozwolenie na zarządzenie ciszy taktycznej czerwonej.

Dillinger zerknął na chronometr. Zarządzenie ciszy taktycznej oznaczało zamknięcie kuchni, a on chciał, żeby wachta kończąca służbę mogła zjeść ostatni gorący posiłek. Kodowe słowo „czerwona” wymyślił jeszcze na „Miami”. Oznaczało przełączenie całego oświetlenia sufitowego w części dziobowej okrętu z białego na czerwone, żeby załoga pamiętała, że ma chodzić na palcach.

– Oficer pokładowy, zarządzić ciszę taktyczną czerwoną z wyjątkiem kuchni. O pierwszej zero zero wprowadzić całkowitą.

– Tak jest, sir. Cisza taktyczna czerwona z wyjątkiem kuchni do pierwszej zero zero. Proszę o pozwolenie na przełączenie głównych pomp chłodziwa.

Cisza taktyczna wymagała takiej konfiguracji pomp, żeby pracowały jak najciszej. Tak nakazywał raport z kontroli hałaśliwości w AUTEK.

– Co teraz mamy?

– Jedynekę, dwójkę, czwórkę i piątkę na zredukowanej częstotliwości. Muszą chodzić trójka, czwórka, piątka i szóstka.

– W porządku. Niech główny mechanik przełączy pompy recyrkulacyjne reaktora.

– Tak jest, sir. To wszystko.

Dillinger wyłączył się. Kiedy odkładał telefon pod stół,

poczuł na wierzchu dłoni lekki dotyk D'Assault. Przez chwilę trzymał rękę nieruchomo. Czuł ciepło jej palca i chłód ostrego długiego paznokcia. Zdał sobie sprawę, że ma przymknięte powieki i koncentruje się wyłącznie na jej dotyku. Ocknął się i otworzył szeroko oczy. Cofnęła palec. Dillinger odłożył telefon na miejsce. Ale zanim wyjął rękę spod stołu, dotknął kolana Natalie. Tym razem ścisnął je celowo i odwrócił głowę do wyświetlacza prędkościomierza. Kiedy cofnął dłoń, uświadomił sobie, że oddycha dużo szybciej niż zwykle.

Panuj nad sobą, pomyślał. Zachowujesz się jak nastolatek. Zamrugnął i złożył serwetkę. Poczuł, że D'Assault dotyka go kolanem. Wstał z kamienną twarzą. Wiedział, że musi wyjść i porozmawiać z D'Assault.

– Będę przy mapie, XO – zakomunikował oficjalnym tonem. – Za pięć minut chciałbym widzieć panią w mojej kajucie.

– Tak jest – odparła nieco ochryplym głosem.

Kiedy wyszedł z mesy oficerskiej, zgasły jarzeniówki pod sufitem. Ciemność go zaskoczyła. Pół sekundy później zapaliły się czerwone lampy, zgasły, znów się zapaliły, zamrugały i w końcu ustabilizowały. Korytarz ogarniała upiorna krwawoczerwona poświata. Basowy odgłos wentylatorów nagle się zmienił, wiatraki zwolniły. Na okręcie zapadła cisza. Dillinger wbiegł szybko i cicho po schodkach do sterowni.

– Kapitan w sterowni – oznajmił Mercury-Pryce.

Dillinger pomachał mu ręką i pochylił się nad mapą.

Zobaczył, że są już blisko. Za kilka godzin będą na rosyjskich wodach. Dotrą do ostatniego miejsca wymienionego w rozkazie operacyjnym, Punktu November, na północ od Zatoki Kolskiej – fiordu prowadzącego z Murmańska w kierunku północnym. Dillinger pomyślał, że jedynym powodem ich obecności tutaj może być nowy rosyjski okręt podwodny. To jeden z rejonów, gdzie konstrukcje rosyjskie przechodzą testy morskie. Stary numer – czekać, aż pojawi się nowy model rosyjskiego atomowca, żeby nagrać z bliskiej odległości szeroki zakres jego hałasów, tonów i pogłosów, by móc w przyszłości szukać okrętu podwodnego tej klasy o takiej samej sygnaturze dźwiękowej. Ale co mają z tym wspólnego przeciwpodwodne bomby wodorowe załadowane na pokład?

Rozkaz operacyjny mówił, żeby za kręgiem polarnym jak najrzadziej używali peryskopu i masztu radiowego. Dillinger powinien unikać wynurzania okrętu, jeśli będzie zadowolony z dokładności swoich urządzeń nawigacyjnych tak daleko na północy. Mógł podchodzić na głębokość peryskopową tylko w wypadku wezwania go kodem wywoławczym na ELF. Mieli to zrobić w Punkcie November, żeby odebrać następny rozkaz operacyjny i dane wywiadowcze, chyba że dowódca grupy specjalnej przekazałby je wcześniej. Dillinger odetchnąłby z ulgą, gdyby wreszcie przyszło uzupełnienie rozkazu. Chciał w końcu poznać odpowiedzi na pytania, które wszyscy zadawali, i wyjaśnić załodze sprawę

pocisków SUBROC. Zadowolony, że ma pełny obraz, wyprostował się.

Mercury-Pryce zapytał, czy może złożyć raport ze swojej wachty, bo właśnie został zluzowany przez Steve'a Flooda, który na resztę nocy przejął obowiązki OOD. Dillinger uważnie wysłuchał Merca, potem pozwolił mu się odmeldować i skinął Floodowi głową na powitanie. Główny mechanik stał na platformie peryskopowej. Mimo czerwonego oświetlenia w sterowni był w czerwonych goglach, żeby dobrze widzieć w ciemności, gdyby okręt musiał nagle podejść na głębokość peryskopową, i żeby zielone odczyty na wyświetlaczach centrum ataku nie ograniczały jego zdolności widzenia.

Dillinger poszedł do swojej kajuty i cofnął koję tak, żeby powstała „kawiarniana loża”. Pod wpływem impulsu zaryglował drzwi do sterowni i na korytarz. Usiadł w skórzanym fotelu dowodzenia z wysokim oparciem i czekał na D'Assault. Zastanawiał się, po co właściwie ją wezwał. Żeby powiedzieć, że muszą to wszystko przerwać, zanim coś się zacznie, czy żeby ustalić, jaki mają do siebie stosunek? O, Boże, pomyślał. Nie prosił o to. Nie potrzebował tego. Ale to się dzieje. A gdzie jego żelazna samodyscyplina, dzięki której awansował na dowódcę? Teraz zachowywał się w stosunku do swojej oficer wykonawczej jak nastolatek.

Częściowo winił za to dowództwo na ładzie. Czego się spodziewali, świadomie stwarzając taką sytuację – dwoje młodych, samotnych oficerów ciągle razem przez wiele

miesiące daleko na morzu? Przecież nie jest z kamienia. W jego żyłach płynie krew, jak u każdego mężczyzny. A Natalie D'Assault to atrakcyjna kobieta. Prawa natury nie przestaną działać z powodu regulaminu marynarki wojennej. Dlaczego Joe Palacz Kraft nie przydzielił mu brzydkiej zastępczyni? Dillinger roześmiał się głośno, kiedy zdał sobie sprawę, jak głupio rozumuje.

W tym momencie uchyliły się drzwi toalety łączącej kajuty kapitana i oficera wykonawczego.

– Burke?

– Wejść, Natalie – powiedział ciepło. Może dostanie od niej jakieś wskazówki? Jeśli Natalie ma chłodniejszą głowę niż on, powie mu, żeby przerwali tę bezsensowną grę? Wtedy się zgodzi wbrew temu, jak bardzo jej pragnie. Ale kiedy na nią spojrział, zaparło mu dech i poczuł przyspieszone bicie serca. Zagryzł wargi, żeby nad sobą zapanować.

– Siadaj. .

– Zanim coś powiesz, Burke, chciałabym przeprosić za...

W czerwonym świetle wydawało się, że jej twarz jest bliżej. Miała udęconą minę i zrozumiał, że torturuje się tak samo, jak on. Nie chciał, żeby przez niego cierpiała.

– Natalie – przerwał jej bezceremonialnie. – Nie waż się mnie przeproszać. Nie zrobiłaś nic złego. Jeśli ktoś jest czemukolwiek winien, to wyłącznie ja. Muszę się przyznać, że tracę nad sobą kontrolę. Gdybyśmy poznali się w innych okolicznościach, nasza znajomość

wyglądałaby zupełnie inaczej. Moglibyśmy... sama wiesz... – Urwał, bo zabrakło mu słów, żeby wyrazić to, co do niej czuł.

Przez moment była smutna, ale gdy wypowiedział ostatnie zdanie, na jej twarzy coś się zmieniło.

– Burke, co ty mówisz?

Kiedy słyszał z jej ust swoje imię, robił się miękki jak wosk. Westchnął.

– Proszę cię, Natalie, pomóż mi przez to przebrnąć. – Odwrócił wzrok. Prędkościomierz nad jego koją wyświetlał na czerwono szybkość pięciu węzłów, kompas wskazywał kurs na wschód, głębokościomierz cyfrowy pokazywał, że zanurzenie kila w płytkiej części Morza Barentsa wynosi sto metrów. – Moje uczucia wobec ciebie nie mają nic wspólnego z normalnym stosunkiem kapitana do oficera wykonawczego. Kiedy jesteś obok mnie, staję się po prostu samotnym mężczyzną, który patrzy na piękną kobietę i myśli o niej. Ale nie tak, jak dowódca powinien myśleć o swojej zastępczyni. Przepraszam cię, Natalie. Wiem, że to nieprofesjonalne. Nie chciałem tego, nie jestem taki jako oficer. Po prostu... – Rozłożył bezradnie ręce.

Patrzyła na niego wilgotnymi oczami, jakby była bliska płaczu. Rozchyliła lekko usta. Zwilżyła językiem wargi, uniosła się trochę i położyła mu ręce na ramionach. Przynęła się bliżej i nagle ich usta się spotkały. Czuł tylko wilgotne ciepło jej warg i dotyk rąk. Bezwiednie przytulił Natalie i zaczął całować tak, jak jeszcze nigdy

nie całował żadnej kobiety.

Poczuł na policzkach muśnięcie rzęs, otworzył oczy i zobaczył spojrzenie pełne miłości. Język D'Assault krążył w jego ustach delikatnie, ale niecierpliwie. Na twarzy dziewczyny malowało się szczęście. Kiedy ujął w dłonie jej piersi, zadzwonił głośno telefon. Dillinger aż podskoczył. Natalie natychmiast usiadła na swoim miejscu. Poczuł się tak, jakby nagle stracił połowę siebie.

Oblizwał wargi. Dyszał, jakby przebiegł pięćdziesiąt metrów. Wciąż czuł jej smak i tęsknił za następnym pocałunkiem. Wziął głęboki oddech, spróbował się uspokoić i odebrał telefon.

– Kapitan.

– Tu oficer pokładowy, sir – zgłosił się Steve Flood. Jeśli wyczuł, co się dzieje, to się z tym nie zdradził. – Dostaliśmy na ELF pierwszą literę naszego kodu wywoławczego. Zalecam zmniejszenie zanurzenia w przygotowaniu do podejścia na głębokość peryskopową.

Dillinger pokręcił głową. Przyzwyczał się już do otrzymywania informacji o misji w małych dawkach. Każdą poprzedzało wezwanie na ELF do podejścia tuż pod powierzchnię.

– W porządku, OOD. Melduj o wszystkich kontaktach.

– Brak kontaktów sonarowych, kapitanie. Jesteśmy tu sami.

– Podnieś okręt wyżej, sprawdź stożek ciszy i podejź na głębokość peryskopową.

– Tak jest.

– Będę w kabynie radiowej – oznajmił Dillinger, wyłączył się i spojrzał poważnie na D'Assault. – Rygluj swoje drzwi, kiedy będziemy razem – szepnął. – I podgłaśniaj dzwonek telefonu, żebyś go usłyszała. I na litość boską, nikomu ani słowa. – Oboje wstali. Przyciągnął ją do siebie i pocałował tak namiętnie, jak przedtem, ale krótko. Odsunął się i spojrzał Natalie w oczy. Patrzyła na niego badawczo, jakby chciała zajrzeć w głąb duszy.

– Tak się cieszę, Burke – szepnęła. – Kocham się w tobie od początku rejsu.

Położył jej palec na ustach, potem odwrócił się do umywalki w rogu kajuty. Miał na wargach szminkę i był potargany. Uczesał się i umył twarz. Kiedy się wyprostował i sięgnął po ręcznik, Natalie już nie było. Wyszła przez toaletę. Pokręcił głową, wziął jeszcze jeden głęboki oddech i spróbował wrócić do rzeczywistości.

Wspiął się na górny poziom, wystukał kod na klawiaturze zamka szyfrowego przy drzwiach kabiny radiowej i wszedł do środka. Pokład przechylił się z lewej burty na prawą, gdy Flood podniósł okręt na głębokość peryskopową. Dillinger pomyślał, że morze musi być mocno wzburzone, skoro okręt tak się kołysze na tej głębokości. Na powierzchni chyba szaleje sztorm.

Nie przestając ani na sekundę myśleć o Natalie, zaczekał kilka minut, aż radiooperator wręczy mu dwie wiadomości. Przeczytał obie i nie wiedział, która jest bardziej zaskakująca – pozwolenie na użycie broni

jądrowej czy rozkaz wpłynięcia na głęboki farwater przy Zatoce Kolskiej i oczekiwania na wychodzący w morze rosyjski atomowy okręt podwodny.

Ta druga, pomyślał. Atomowy okręt podwodny wypływający z Zatoki Kolskiej był przebudowaną i unowocześnioną „Alfą”, która miała przerażającą szybkość i zanurzenie swojej poprzedniczki, ale rewolucyjny system wyciszenia okrętu. Musieli ją potajemnie tropić, dopóki nie znajdzie się na pełnym morzu. Ostatni akapit zawierał rozkaz zatopienia „Alfy”, jeśli wokół nie będzie nikogo, kto mógłby zeznać, że widział eksplozje ich torped i pocisków nuklearnych SUBROC.

Do kabiny radiowej weszła Natalie. Czuł każdą cząstkę jej ciała. Wręczył zastępczyni wiadomości i obserwował, jak poważnieją jej rysy, a na twarzy malują się szok i przerażenie.

– O, mój Boże – wymamrotała po dwukrotnym przeczytaniu rozkazów.

– Właśnie – przytaknął Dillinger. – Nie obchodzi mnie, że jest środek nocy, XO. Proszę zebrać oficerów w mesie na odprawę operacyjną. – Znów był jej przełożonym. – I przygotować wszystko, co mamy w tajnym sejfie o „Alfie”. Aha, XO... czas powiedzieć naszym oficerom o pociskach SUBROC. Mam przeczucie, że możemy ich użyć.

Dillinger jeszcze raz przeczytał wiadomości. Zastanawiał się, czy między tym wszystkim, co zdarzyło

się z Natalie, a nadejściem zwariowanych rozkazów, tak naprawdę nie spał i nie miał po prostu dziwnych snów wywołanych nocnym posiłkiem.

Do zwodowania okrętu została niecała godzina. Vornado siedział za biurkiem w swoim ciemnym biurze i zastanawiał się, co będzie po wyjściu w morze. Plan Hanka Lewisa zakładał, że kiedy „Lira” znajdzie się na otwartych wodach, jego agenci na pokładzie wywołają bunt i opanują okręt. Danałow był jednym z ludzi Lewisa. Vornado wiedział to na pewno. Pamiętał jego twarz. Właśnie ten człowiek uratował jego karierę wiele lat temu podczas Lata Kadeta po ataku na aspiranta Whiteheada. Aspirant pierwszej klasy Victor Kaminsky został oficerem CIA Wiktorem Danałowem. Mimo upływu lat Vornado ciągle miał w pamięci jego głos. Nawet gdyby Kaminsky przeszedł operację plastyczną, Vornado rozpoznałby go po oczach. Nie zapomniał, jak Kaminsky patrzył na niego i czekał na odpowiedź, trzymając pilota wycelowanego w wielkie stereo. Tym samym wzrokiem Danałow spoglądał z dolnego poziomu piątego przedziału kadłuba, kiedy pracował przy zacinającym się zaworze wody morskiej.

Zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymał w obozie szkoleniowym Camp Peary, Vornado udawał, że nie zna Kaminsky'ego. Prawdziwi szpiedzy nie dekonspirują się nawet skinieniem głowy czy porozumiewawczym mrugnięciem. Wiedział, że Kaminsky go nie rozpoznał. Vornado pamiętał wszystkich aspirantów pierwszej klasy,

kórzy go szkolili w akademii, ale żadnego z kadetów, których potem sam szkolił, gdy został aspirantem pierwszej klasy. Może Lewis wiedział, że Vornado zna Kaminsky'ego i dlatego nie zdradził mu wcześniej prawdziwej tożsamości Danałowa. Nie rozmawiali ze sobą, odkąd Vornado pracował tutaj z agentem CIA. Zastanawiał się, dlaczego Lewis zakładał, że na okręt zostaną zwerbowani właściwi ludzie.

Jedynym wyjaśnieniem mogło być to, że Swietłana jest agentką Lewisa. Vornado rozważał taką możliwość wiele razy, ale w to nie wierzył. Uważał, że Swietłana jest tą osobą, za którą się podaje. Był tego pewien.

Jeśli Vornado się nie mylił, to właśnie Danałow miał mu pomóc w wykonaniu zadania. Zgodnie ze wskazówkami Lewisa, Peter postawił braciom Kaznikow kilka żądań, kiedy zaproponowali mu stanowisko kapitana „Liry”. Po pierwsze, chciał mieć torpedy. Dyskusja trwała pół nocy, aż Vornado zagroził odejściem.

W końcu niechętnie zgodzili się zdobyć pięć torped UGST, rosyjskich odpowiedników Mark 48. 1 znów rosyjska broń różniła się pod względem technologii od porównywalnej amerykańskiej. UGST ustępowała Mark 48 szybkością pościgową mniejszą o dziesięć węzłów, ale poza tym była niemal ideałem. W przeciwieństwie do Mark 48, którą zaprogramować, wystrzelić i sterować musiało pół wsi, rosyjska torpeda UGST była prawdziwą bronią typu „odpal i zapomnij” z „algorytmem planszowym” – programem celowniczym, który

zapobiegał zmyleniu torpedy przez wabiki przeciwnika i umożliwiał jej odróżnienie celu od macierzystego okrętu i innych przyjaznych jednostek w rejonie na podstawie obrazu pola walki. Operator wprowadzał do programu kierowania ogniem UGST informację, czy cel jest okrętem nawodnym, czy podwodnym, jego przybliżoną lokalizację oraz wszelkie dane o przyjaznych jednostkach, a potem naciskał spust. Resztą robił komputer torpedy, ale po jej wystrzeleniu mógł odbierać dalsze instrukcje, podobnie jak w przypadku Mark 48.

Vornado postawił następny warunek – kapsuła ratunkowa musi być w pełni sprawna, żeby klient czuł się bezpieczniej. Bracia Kaznikow zgodzili się. Potem zażądał zgody na włączenie do załogi okrętu pięciu pracowników terminalu. Bracia sprzeciwili się, ale w końcu Vornado wygrał. Przedstawił listę, na której znaleźli się utalentowani bracia Masłow, Wiktor Danałow, Swietłana Bielkow, Jurij Bielkow i Andriej Rusanow jako pierwszy oficer.

Kiedy ta sprawa została załatwiona, Vornado przedstawił ostatnie żądanie.

– Musimy mieć broń osobistą – powiedział. – Będę potrzebował sześciu pistoletów Smith & Wesson kaliber 45, model 4566TSW ze stali nierdzewnej, jednej kabury do noszenia przy pasie, sześciu waltherów model P99 kaliber 9 milimetrów z magazynkami piętnastonabojowymi, jednej kabury szelkowej, dwóch waltherów PPK kaliber 7, 65 milimetra z magazynkami

siedmionabojowymi, jednej kabury do noszenia na kostce, pięciu pudełek amunicji każdego kalibru i czterech zapasowych magazynków do każdej sztuki broni. Te trzy kabury i trzy różne pistolety chcę dostać do ręki z dwoma magazynkami amunicji każdego kalibru. Pozostała broń, amunicja i magazynki mają być zamknięte w sejfie w kajucie kapitańskiej. Jeśli jest za mały, trzeba natychmiast wymienić go na większy.

– Po co to wszystko? – zapytał zdumiony Siergiej.

– Żeby mieć kontrolę nad klientem – odparł Vornado z poważną miną.

Bracia Kaznikow wybuchnęli śmiechem. Leon poklepał Vornado po ramieniu.

– Wierz mi, że cię rozumiemy – powiedział, wciąż chichocząc. – Sami też tak byśmy zrobili.

– Mówię poważnie – odparł Vornado przez zaciśnięte zęby. – Skoro jestem kapitanem „Liry”, mam władzę absolutną. Wasz klient może kontrolować misję, ale ja dowodzę okrętem. Jeśli ktoś tego nie zrozumie, trudno. Wystarczy jeden pocisk. A przy okazji, chciałbym wypróbować broń na jakiejś strzelnicy. Po co mi pistolety, które nie będą działały.

– Widzę, że nie żartujesz.

– Posłuchaj, zabieram waszych najlepszych ludzi w rejs z najbardziej niebezpiecznymi terrorystami na świecie. Nie będę ryzykował. Nie pozwolę, żeby Egipcjanie traktowali załogę okrętu jak kierowców swojego autobusu. Spróbujemy zasłużyć na ich uznanie, ale jeśli

nie będą nas szanowali, wymusimy to bronią. – Vornado starał się mówić najbardziej nonszalancko, jak potrafił, ale od tygodni powtarzał sobie ten tekst w pamięci, podobnie jak żądanie torped.

Siergiej wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Jestem pewien, że zachowasz się odpowiedzialnie. – Zapisał kolejną pozycję w notesie i podniósł wzrok. – To wszystko?

Vornado zastanowił się i pokręcił głową.

– Nie. Chcę mieć z wami dżentelmeńską umowę, że zatrudnicie mnie przy budowie drugiej „Liry”, jeśli będzie na nią kupiec. Zapłacicie mi dwa miliony za moją podstawową robotę i drugie dwa jako premię, jeśli zwożę Dwójkę w dwukrotnie krótszym czasie niż Jedynekę.

Siergiej pracowicie notował.

– Bierzesz pod uwagę drugą misję na morzu? – zapytał Leon.

Vornado zawahał się.

– To zależy. Taka decyzja musiałaby was kosztować. Mógłbym zażądać czegoś więcej niż pięciu nędznych torped.

Obaj mężczyźni z uśmiechem uścisnęli sobie dłonie. Potem przez dwie godziny pili za przyszły sukces. Siergiej od czasu do czasu załatwiał przez komórkę zamówienia Vornado.

Uzbrojona w pistolety załoga unieszkodliwiłaby terrorystów. Lewis najpierw pozostawił Vornado wybór

taktyki, ale w końcu uzgodnili, że do wszczęcia buntu posłuży broń zdobyta przez Danałowa. Zamkną Arabów w jakimś pomieszczeniu, a gdyby się to nie udało, zabiją ich na miejscu. Potem przyprowadzą okręt do Norfolk. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych dostanie „Lirę”, a Abdas al-Sattar i jego grupa zostaną przekazani FBI lub będą leżeli w chłodni i czekali na autopsję przed pogrzebem.

Vornado bawił się myślą, że Lewis mógł już wysłać amerykański okręt podwodny, żeby wytropił i zatopił „Lirę”. Abdas al-Sattar i jego grupa zostaliby zabici, zanim zdążyliby narobić szkód. Takie rozwiązanie byłoby najpewniejsze. Oczywiście zginęłaby również cała załoga. Vornado nie miał pojęcia, czy CIA poświęca swoich ludzi, jeśli celem jest ktoś tak ważny, jak Abdas, ale podejrzewał, że teraz mogła zapaść taka decyzja. Wszystko układało się w logiczną całość. Rodzina Vornado została zabezpieczona, a Danałow był zawodowcem. Vornado nie wierzył w ten czarny scenariusz tylko z jednego powodu – samej „Liry”. Rosyjski superokręt podwodny był zbyt cenny dla CIA, żeby go zatopić. Vornado musiał dopilnować, żeby „Lira” nie poszła na dno. Gdyby zdołał unieszkodliwić Abdasa i obronić się przed wrogim okrętem podwodnym, mógłby dopłynąć do domu. I to oznaczałoby koniec tej cholernej misji.

Przyszło mu do głowy, że wtedy Swietłana Biełkow i Rachel chodziłyby tymi samymi ulicami Virginia Beach.

Gdyby Swietłana była agentką CIA, zapomniałaby o nim i zajęła się swoimi obowiązkami. Nie musiałby się o nic martwić, bo jej wyznania miłosne okazałyby się po prostu wywiadowczą grą. Jeśli nie pracowała dla Lewisa, co wydawało się bardziej prawdopodobne, wróciłaby do Rosji i dawnego życia. A gdyby chciała z nim zostać? To byłaby katastrofa. Nie wspominało o tym w Camp Peary. Co, na litość boską, robią zawodowcy, kiedy służbowy romans staje się kłopotliwy? Odłożył obawy na później, gdy kierowca zatrzymał samochód przed blokiem Swietłany.

Na szczęście już spała. Vornado wsunął się pod kołdrę najciszej, jak mógł. Mruknęła i przywarła do niego nagim ciałem. Nawet we śnie była świadoma jego obecności. Próbował zasnąć, ale wciąż myślał o morskiej misji. Zastanawiał się, jak ułożą mu się stosunki z terrorystą Abdasem al – Sattarem, którego miał poznać za dwa dni, po zwodowaniu okrętu i uruchomieniu wszystkich systemów.

W końcu zapadł w sen. Jak każdej nocy w ciągu ostatnich trzech tygodni, śniło mu się, że dostaje wycisk od aspiranta Whiteheada. Jediną przyjemną rzeczą w tym koszmarze były wspomnienia o aspirancie Dillingerze.

Peter Vornado przyjął od Swietłany kubek parującej kawy. Właśnie wrócił z podziemnego magazynu, gdzie przestrzeliwał broń dostarczoną przez Siergieja. Jeden z pistoletów Smith & Wesson 45 tkwił w kaburze na jego

biodrze. Pod kombinezonem miał kaburę szelkową z waltherem P99, w specjalnej kaburze na kostce nosił małego walthera PPK. Vornado lubił czuć ciężar broni. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł wyjść z Egipcjanami w morze bez pistoletów.

Stali na ogrodzonej galerii z widokiem na „Lirę”. Nareszcie wygląda jak okręt podwodny, pomyślał Vornado. Rusztowania i pomosty wokół kadłuba usunięto. Setki metrów kabli zasilających i przewodów gazowych zabrano. „Lira” stała gotowa do zwodowania. Miała być opuszczona pionowo na platformie do zalanego wodą basenu poniżej poziomu podłogi terminalu, podobnie jak w Electric Boat, ale wewnątrz budynku. Na małej konsoli obok Vornado znajdowały się sterowniki potężnych siłowników hydraulicznych przy wielkich kolumnach śrubowych platformy. Vornado czekał na sygnał Rusanowa do opuszczenia okrętu.

Vornado nie miał nic do roboty, dopóki Rusanow nie wyłoni się z kadłuba. Uśmiechnął się do Swietłany. Zauważył, że po raz pierwszy od tygodni dziewczyna ma rozpuszczone włosy. Pomyślał, że jest bardzo młoda, zaledwie osiem lat starsza od jego córki Marli. Poczul się winny, bo ilekroć myślał o Marli, zawsze widział w wyobraźni jej podobieństwo do matki. Kiedy patrzył na Swietlanę i miał przed oczami obraz Rachel, pękało mu serce. Szybko przeniósł spojrzenie na okręt podwodny w dole.

Wzdłuż galerii przybiegł Rusanow. Dyszał z wysiłku.

– Okręt gotowy do wodowania – zameldował i spojrzał na pistolet Vornado. – Widzę, że lepiej z panem nie zadzierać.

Vornado skinął głową i otworzył szafkę sterowniczą. Obrócił selektor kierunku ruchu platformy, potem włącznik zasilania. W przepastnym budynku terminalu rozległ się metaliczny zgrzyt, podłoga zadrżała i Vornado zaszcząkał zębami od wibracji.

– Idzie w dół – powiedziała Swietłana.

Peter obserwował, jak okręt centymetr po centymetrze zbliża się do basenu. Operacja miała potrwać dwie godziny, zanim kadłub dotknie linii wody. Do tego czasu zawory zbiorników balastowych były otwarte, żeby „Lira” nie straciła stabilności i nie przechyliła się. Vornado zamierzał zostać na galerii do końca wodowania, ale cały czas myślał o tym, jak odbierze okręt Abdasowi al-Sattarowi.

– Tu jest lista ludzi, których chcę widzieć w sali konferencyjnej na dole. – Była piąta rano w niedzielę. Vornado musiał obliczyć, jaki jest dzień tygodnia. Odkąd pracował przy „Lirze”, nie miał wolnych weekendów i każdy dzień był dla niego poniedziałkiem. – Niech pan ich tu ściągnie na dziewiątą.

– Ale dziś jest niedziela. Ekipa A ma wolne.

– Niech pan ich znajdzie. Ci ludzie wychodzą ze mną w morze we wtorek w nocy. – Vornado obserwował, jak Rusanowowi wychodzą oczy ze zdziwienia. – Pan też,

Andriej. Jest pan moim zastępcą. Proszę się spakować.

Rusanow w końcu odzyskał głos.

– Hm... Wolałbym nie schodzić na okręcie pod wodę. To nie dla mnie...

– Po godzinie przyzwyczai się pan – uciał Vornado. – Bez dyskusji. Potrzebna mi załoga, a pan zna każdą śrubę i nakrętkę na okręcie. Będzie pan tak zajęty kontrolowaniem systemów, że ledwo zauważy, kiedy wyjdziemy w morze. Dziadek byłby z pana dumny.

Rusanow spojrzał ostrożnie na Vornado, jakby go oceniał.

– Zapewni mi pan bezpieczeństwo?

Vornado pomyślał, że rosyjski inżynier mówi jak dziecko do matki, i wczuł się w jego sytuację. Położył mu rękę na ramieniu.

– Zapewnię, Andriej – odparł cicho. – Obiecuję.

Rusanow skinął głową, choć najwyraźniej nie pozbył się obaw.

– Dobrze, popłynę.

Vornado ruszył w stronę rufy okrętu skierowanej ku zatoce. Nagle usłyszał łoskot suwnicy mostowej. Dziwne, pomyślał. Nie zostało już nic ciężkiego do załadowania. Ekipa pracująca przy kapsule ratunkowej nie potrzebowałaby dźwigu, który od tygodnia stał beczynnie; użyto go tylko raz do załadunku torped. Vornado podszedł do krawędzi poziomego montażowego z relingami wokół wąskiego basenu, w którym unosiła się „Lira”. Wtedy zobaczył, że dźwig transportuje wielki

niebieski autobus.

Pojazdy klientów przyplłynęły barką. Dziwny sposób sprowadzenia autobusów do Murmańska. Ale pod brezentem barki każdy ładunek docierał bez problemów do celu, podczas gdy ciężarówki, samochody osobowe i autobusy mogły być przeszukane przez straż graniczną i milicję. Klient najwyraźniej wolał uniknąć pytań. Dźwig ustawił autobus na końcu hali, blisko dziobu „Liry”, potem wrócił wolno do krytego doku wyładunkowego barki. Przetransportował stamtąd jeszcze trzy autobusy i ustawił je za pierwszym. Rząd pojazdów stał wzdłuż kadłuba okrętu podwodnego zanurzonego w basenie. Nie miało to znaczenia, bo po ukończeniu budowy „Liry” hala na razie przestała być potrzebna. Ale Vornado zdumiała metoda transportu autobusów.

Z doku wyładunkowego barki wyszli mężczyźni w arabskich strojach i skierowali się do autobusów. Klienci, pomyślał Vornado. Większość była w starszym wieku, z długimi brodami, w ciemnych okularach. Zauważył też kilku młodszych, ale żadnej kobiety. Jeden z młodszych Arabów krzykiem nakazał załodze terminalu, żeby wyjęła z autobusów bagaż, zapasy i załadowała na „Lirę”. Mimo że Leon i Siergiej opowiadali mu o klientach, Vornado poczuł niechęć do dzielenia się z tymi aroganckimi ludźmi swoim okrętem podwodnym. Traktowali wykwalifikowany personel techniczny terminalu jak niewolników. Patrzył na nich wściekle i narastała w nim wrogość. Wątpił, żeby obudziła się w nim taka więź

kulturowa z Egipcjanami, jaka łączyła go z Rosjanami. Nie lubił tych Arabów na odległość, choć nie wiedział, dlaczego. Może dlatego, że chcieli zabić miliony niewinnych ludzi z powodu trwającego od wieków konfliktu. Vornado pomyślał o dzieciach. Ci ludzie byli gotowi zamordować takie maleństwa, jak Erin, żeby osiągnąć swoje cele. Tym się różnili od niego. On zabiłby w walce bez wahania. Tak go wyszkolono. Ale nigdy z rozmysłem nie wystrzeliłby zabójczej broni przeciwko niewinnym istotom. Nawet w czasie wojny nie zaatakowałby okrętu-szpitala czy statku pasażerskiego ani nie wysłałby pocisków w skupisko cywilów. Sięgnął do szyi. Brakowało mu medalika z wizerunkiem świętego Krzysztofa, którego dostał kiedyś od Rachel. Ale nie pozwolono mu zabrać tego do Rosji.

Postanowił wejść na pokład „Liry”, żeby sprawdzić, co robią klienci. Dostał się po wąskim trapie na część dziobową kadłuba, dał nura do przedniego wjazdu w kiosku i opuścił się na pokład pionowym szybem. Wyłonił się w jasno oświetlonej torpedowni, gdzie Rusanow i jego technicy pracowali przy panelu interfejsowym. Wszystkie torpedy leżały na stojakach. Były zabezpieczone stalowymi linkami w gumowych osłonach. Rusanow podbiegł do Vornado. Miał zaniepokojoną minę. Chciał coś powiedzieć, ale Vornado go ubiegł.

– Andriej, torpedy mają być w wyrzutniach, nie na stojakach.

Rusanow puścił uwagę mimo uszu. Z trudem łapał oddech.

– Niech pan posłucha. Dowiedziałem się tego od klientów. Poszli teraz do centrum dowodzenia. Chcą załadować coś do wyrzutni. – Przysunął się bliżej, rozejrzał i zniżył głos. – Są przemalowane, ale je rozpoznałem. Pracowałem kiedyś w magazynie uzbrojenia i wiem, jak wyglądają. To rakiety RK-55, pociski manewrujące Granat. Cztery sztuki, kapitanie. Te, które chcą załadować, mają głowice nuklearne. Nasi klienci... – przeszedł do szeptu – chcą komuś zrobić dużą krzywdę. Paskudna sprawa, kapitanie. Nie chcę w tym brać udziału. Siergiej nigdy nie zbudowałby „Liry”, gdyby wiedział, do czego będzie wykorzystana. Okręt miał służyć do przemytu, przewozić marihuanę lub nielegalnych imigrantów. Ale nie broń nuklearną. Mój dziadek przewraca się w grobie. Nie chciałby tego. „Lirę” przeznaczono do obrony ojczyzny przed atakującymi amerykańskimi lotniskowcami i okrętami podwodnymi, nie do wystrzeliwania bomb wodorowych w niewinne kobiety i dzieci. – Rusanow urwał, żeby zaczerpnąć tchu. – Nie popłynę z panem, kapitanie Vornado. – Pokręcił głową i wytrzeszczył oczy z przerażenia, kiedy zdał sobie sprawę, nad czym pracował przez ostatni rok.

I co teraz? – pomyślał Vornado. Nie mógł zdradzić Rosjaninowi, że Arabowie nie wystrzelą pocisków. Gdyby reszta załogi dowiedziała się, że okręt ma wyruszyć w niszczycielską misję z bronią jądrową na

pokładzie, też odmówiłaby wyjścia w morze. Wtedy, znając terrorystów z organizacji Ahel al Beit nikt z Rosjan nie przeżyłby jutra. Gdyby uwierzyli, że Vornado powstrzyma Egipcjan, plotka dotarłaby do klientów i krótko byłby kapitanem. Zastanawiał się, co powie Swietłanie, kiedy dziewczyna zorientuje się w końcu, jaki cel ma misja. Ale wątpił, żeby mógł o to zapytać Rusanowa. Rosyjski inżynier był twardym, muskularnym mrukiem, ale właśnie ujawnił swoją słabą stronę. Vornado pomyślał, że ludzie nigdy nie przestaną go zadziwiać. Musiał jakoś uspokoić Rusanowa, że pociski nie wystartują, i zapewnić sobie jego milczenie. Spojrzał mu prosto w oczy.

– W jednym ma pan rację, Andriej – powiedział cicho.
– Prowadzenie okrętu podwodnego to niebezpieczne zajęcie. Bardziej ryzykowny jest tylko lot w kosmos lub pilotaż nowoczesnego myśliwca. I jeśli nie będziemy czujni, może się zdarzyć wypadek. – Dotknął kolby pistoletu w kaburze. – Musimy dopilnować, żeby w czasie rejsu nic było wypadku. Żadnego, Andriej. Może się dziać tylko to, co zamierzamy. – Patrzył mu w oczy bez mrugnięcia i w końcu Rusanow skinął głową jak zahipnotyzowany.

– Chce pan powiedzieć, kapitanie, że powstrzyma ich pan przed odpaleniem pocisków? – wyszeptał.

Vornado zacisnął zęby i wycedził groźnym tonem:

– Niech pan uważnie słucha. Jestem dowódcą tego okrętu. Mam obowiązek wypełnić misję dokładnie tak,

jak życzy sobie klient. Jeśli usłyszę, że ktoś z załogi jest przeciwnego zdania, nie zabiorę go ze sobą. – Uniósł znacząco brwi, jakby chciał wziąć swoją wypowiedź w cudzysłów.

Rusanow z zakłopotaniem zmarszczył czoło, ale po chwili zrozumiał. Uśmiechnął się wolno i skinął głową.

– Wszystko jasne, panie kapitanie. Wycofuję swoje obiekcje.

Vornado zmrużył oczy i zrobił poważną minę.

– W porządku. – Poklepał Rusanowa po ramieniu.

– Mam teraz załadować broń klienta?

Vornado przytaknął.

– Niech pan każe przetransportować pociski na pokład. Jeden do wyrzutni, reszta na stojaki.

– Nie spodoba im się to. Kazali załadować wszystkie do wyrzutni.

– Nie wiedziałem, że tym okrętem podwodnym dowodzi klient.

Rusanow uśmiechnął się.

– Bez obawy, kapitanie. Bez pańskiego rozkazu nikt nic nie robi.

– Tak ma być, Andriej. Niech pan o tym nie zapomina. Skontaktował się pan z ludźmi z listy?

– Stawią się wszyscy.

– No to do roboty.

Vornado podszedł do sterburty i dał nura przez właz w przegrodzie do drugiego przedziału. Przeszedł przez pomieszczenie z generatorem i dotarł do włazu na górny

poziom trzeciego przedziału. Przez otwór biegły węże, kable zasilające i liny wyciągowe potrzebne robotnikom pracującym przy kapsule ratunkowej. Narzędzia pneumatyczne robiły sporo hałasu w zamkniętym pomieszczeniu i robotnicy musieli do siebie krzyczeć. Vornado przedarł się do wjazdu między pionowym szybem wejściowym na mostek i środkowym poziomem. Przecisnął się przez ciasny otwór i zamknął przejście. W pomieszczeniu natychmiast zapadła cisza.

Peter Vornado zaczynał traktować centrum dowodzenia niemal jak katedrę. Od chwili zwodowania okrętu system informacji, zarządzania i kontroli Yokogawa Exaquantum pracował bez przerwy. Konsola została skonfigurowana tak, jak życzył sobie Vornado. Przy lewej burcie znajdowały się wyświetlacze sterowania okrętem, monitoringu nawigacji i kontroli napędu, przy sterburcie ekrany prowadzenia walki, kierowania ogniem, sonaru, łączności radiowej, zakłócania elektronicznego i nawigacji. Światło było celowo przyciemnione i półmrok w pomieszczeniu rozjaśniała tylko poświata ekranów, co ułatwiało odczyt z wyświetlaczy. Przez środek przedniej części centrum dowodzenia przechodziła gładka rura ze stali nierdzewnej mieszcząca peryskopy. Vornado kazał ją otoczyć stalowym relingiem, żeby nikt na nią nie wpadł, a obserwator przy peryskopie mógł się obracać bez kolizji z przechodzącym członkiem załogi. W pomieszczeniu panowała cisza. Buczały tylko urządzenia elektroniczne w szafkach za konsolą z wyświetlaczami.

Z tyłu za peryskopami stała grupa dwunastu mężczyzn w białych strojach arabskich. Vornado poczuł Egipcjan wcześniej, niż zobaczył, zapewne za sprawą ich przyzwyczajień kulinarnych lub higienicznych. Byli co najmniej o głowę niżsi od niego. Tylko dwaj dorównywali mu wzrostem: jeden szczupły, drugi barczysty i muskularny. Wszyscy nosili przy pasach sztylety w ozdobnych pochwach. Ten szczupły miał czerwoną pelerynę i czerwony pas wysadzany klejnotami. Oprócz sztyletu nosił długą, zakrzywioną szablę. Wydawała się odpowiednia do ścinania małych drzew. Vornado skoncentrował uwagę na mężczyźnie w czerwonej pelerynie, który wyglądał na przywódcę. Egipcjanin był mniej więcej w jego wieku. Sprawiał niepokojące wrażenie, kojarzył się Vornado z pacjentem szpitala psychiatrycznego, który teraz jest spokojny, ale za chwilę może wpaść w szal. A jednocześnie dziwnie przypominał mu stare filmy wyświetlane w Wielkanoc, w których aktorzy grający Jezusa Chrystusa zawsze byli rozmarzonymi, niebieskookimi, ciemnoskórymi herosami o nadprzyrodzonych zdolnościach. To przez jego oczy, pomyślał Vornado. Jakby patrzył gdzieś w dal i widział coś, czego nie mogą zobaczyć inni. Egipcjanin był jedynym niebieskookim mężczyzną w grupie. Miał lekko zakrzywiony nos, wystające kości policzkowe, ostre rysy i szpiczasty podbródek. Nosił dziwnie przyciętą kozią bródkę. Pod linią szczęki tworzyła kształt dwóch grotów strzał skierowanych do góry i nadawała mu groźny

wygląd. Z cienkim wąsikiem i długimi falującymi włosami Egipcjanin przypominał romantyczny wizerunek pirata.

Mężczyzna wydawał się urodzonym przywódcą. Onieśmiał innych. Mówił cichym, ale wyraźnym, tenorowym głosem o melodyjnym brzmieniu. Kiedy zamilkł, odezwali się jednocześnie trzej z jego podwładnych. Każdy chciał zwrócić na siebie uwagę przywódcy. Ich nieprzyjemne głosy brzmiały bluźnierczo w ciszy pomieszczenia. Potem dwaj z nich pochyłili się nad konsolą i zaczęli wciskać klawisze funkcyjne.

Obecność Egipcjan w centrum dowodzenia, ich hałaśliwość i bezprawne dotykanie urządzeń doprowadziły Vornado do wściekłości. Spodziewał się konfrontacji z terrorystami, ale jeszcze nie był na nią przygotowany. Najpierw chciał się im przedstawić.

– Hej, zabierać stamtąd łapy! – rzucił rozkazującym tonem. W pomieszczeniu z gładkim, zaokrąglonym sufitem i kafelkami na podłodze jego słowa zabrzmiały głośno jak wystrzały w kościele. Ledwo zdawał sobie sprawę, że pierwszy raz od miesiąca mówi po angielsku. – Wynocha stąd. Nikomu nie wolno tu wchodzić bez mojego pozwolenia. Mogliście narazić na niebezpieczeństwo okręt lub siebie. Wasze kajuty są na środkowym poziomie. Albo tam pójdziecie, albo opuściecie okręt.

– Co? – zapytał ze zdumieniem barczysty i muskularny. Miał niemal brytyjski akcent o

bliskowschodnim zabarwieniu. To on wcisnął klawisz funkcyjny na panelu nawigacyjnym. Aż dziw, że tak potężnie zbudowany facet przecisnął się przez właz. Miał grubą szyję, dużą twarz o surowych rysach i zmierzwioną brodę. – Co ten niewierny sługa śmiał do mnie powiedzieć?

Podszedł z groźną miną i stanął tak blisko, że Vornado poczuł jego cuchnący oddech. Arab sięgnął do pasa po sztylet. Vornado ani drgnął, choć zastanawiał się, czy to ostatnie chwile jego życia. Zobaczył jakby w zwolnionym tempie czarne matowe ostrze o długości trzydziestu centymetrów i poczuł na gardle chłód stali. Szpic noża przeciął mu skórę i po szyi spłynęła kropla krwi. Patrzył przeciwnikowi prosto w oczy. Wielki Egipcjanin był skoncentrowany na nożu. Nie zauważył, że Vornado sięga prawą ręką do kabury. Vornado szybko i płynnie wyciągnął ciężką „czterdziestkę piątkę” i przystawił Arabowi do lewego oka. Egipcjanin zatoczył się pół kroku do tyłu i zamrugał z zaskoczeniem i przerażeniem. Z tej odległości, pomyślał Vornado, lufa pistoletu musi wydawać się większa niż armaty.

Problem polegał na tym, że broń z pełnym magazynkiem nie była przeładowana. Vornado nie przyszło do głowy, żeby odciągnąć suwadło, przesunąć bezpiecznik i nosić w kaburze pistolet, który byłby gotowy do strzału w ciągu sekundy. Uważał, że broń jest głównie na pokaz, żeby onieśmielić klientów. Nie przypuszczał, że będzie musiał użyć jej błyskawicznie, w

gniewie. Noszenie przeładowanego pistoletu półautomatycznego uznał by wręcz za nieodpowiedzialne i niebezpieczne.

Kiedy spróbował spojrzeć w dół na Egipcjanina, tamten zaatakował. Zadał nożem cios, celując w serce. Działał bardzo szybko. Vornado instynktownie wbił mięśniakowi lufę w pierś, żeby go odepchnąć, ale efekt był taki, jakby próbował przesunąć budynek. Siła własnego uderzenia odrzuciła go do tyłu. Kiedy padał na pokład, odruchowo nacisnął spust, ale nieprzeładowana broń nie wypaliła. Wylądował na siedzeniu i trafił głową w oparcie jednego z foteli przy konsoli, który przesunął się w prowadnicach w przód i w tył, i uderzył go w plecy. Egipcjanin spokojnie zmienił chwyt na rękojeści sztyletu, żeby zadać cios w dół. Vornado patrzył z niedowierzaniem, jak ostrze unosi się, a potem zaczyna opadać.

W końcu odzyskał przytomność umysłu i otrząsnął się z szoku. Błyskawicznie sięgnął lewą ręką do prawego boku, chwycił lufę „czterdziestki piątki” i odciągnął suwadło. W ciszy pomieszczenia rozległ się głośny trzask przeładowywanej broni. Vornado puścił lufę, uniósł pistolet i wycelował w napastnika. Ale na Egipcjaninie nie zrobiło to wrażenia. Przełożył sztylet do lewej ręki, prawą sięgnął pod białą szatę i wydobył największą broń ręczną, jaką Vornado kiedykolwiek widział. Znał ją tylko ze zdjęć i opowieści. Teraz patrzył prosto w wylot lufy czarnego szturmowego pistoletu maszynowego MAC-10.

– Żegnaj, niewierny – usłyszał.

Nie mógł w to uwierzyć. Zaledwie pięć minut po spotkaniu klientów będzie musiał zabić jednego z nich albo zginąć. Zaczął ściągać spust, zastanawiając się, czy zdąży wpakować w Araba cały magazynek, zanim seria z MAC-10 przetnie go na pół.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się dźwięk głośniejszy od wystrzału – głos Abdasa al-Sattara. Przywódca powiedział coś po arabsku i napastnik zamarł w bezruchu jak wyłączona zabawka.

– Schowaj broń, Arsalaan – krzyknął Abdas po angielsku, potem spojrzął na Vornado. – Pan też. I niech pan wstanie.

Vornado wykonał tylko drugie polecenie. Podniósł się ostrożnie, trzymając grupę Egipcjan pod lufą i przyglądając się im uważnie. Byli oszołomieni. Pomyślał, że jeśli dobrze to rozegra, może jeszcze przeżyć. Wycelował pistolet w przywódcę Arabów. Trzymał broń oburącz jak policjant i patrzył wzdłuż lufy jednym okiem. Miał nadzieję, że nie zaczną mu drżeć ręce i nie zdradzą, jaki jest przerażony.

Egipcjanie wpatrywali się w lśniący pistolet ze stali nierdzewnej. Tylko ich przywódca wydawał się spokojny. Arsalaan – olbrzym, który zaatakował Vornado nożem – spojrzął na przeciwnika wściekle, ale wsunął sztylet do pochwy i odłożył MAC-10.

– Kim pan jest? – zapytał przywódca. Miał tak chłodny i obojętny głos, jakby był w sali konferencyjnej na spotkaniu biznesowym. Całkowicie ignorował pistolet

Vornado.

– Nazywam się Peter Vornado. A pan, to kto?

Mężczyzna uniósł głowę jak władca w rozmowie z poddanym.

– Ja? Jestem Abdas al-Sattar. Może pan zwracać się do mnie Święty. – Urwał na moment. – Czy dobrze przypuszczam, że jest pan szefem ochrony tego obiektu? – Miał zimne spojrzenie.

Vornado nadal celował mu w twarz.

– Nie. Kapitanem okrętu – odparł. Kiedy usłyszał swój głos, odmówił krótką modlitwę dziękczynną za to, że brzmi pewnie i groźnie. – Miło mi poznać nowego właściciela, ale nie podoba mi się, że zostałem zaatakowany na pokładzie własnego okrętu. Muszę powtórzyć, że pan i pańscy ludzie nie macie wstępu do tego pomieszczenia.

Vornado czekał z sercem w gardle i bronią wycelowaną w przywódcę terrorystów. Abdas al-Sattar przeszywał go wzrokiem. Patrzył wzdłuż lufy i sądząc po minie, uważał, że pistolet nie jest naładowany. W końcu odezwał się cichym i stanowczym głosem, ale bez wrogości.

– Choć jestem skonsternowany pańską próbą użycia siły wobec jednego z właścicieli tego okrętu, cieszę się, że nasz kapitan to nieustraszony wojownik. – Skinął głową, najwyraźniej zadowolony z brzmienia własnych słów. – To nam się przyda daleko na morzu. Leon miał rację co do pana.

Wyraz jego twarzy zmienił się wolno. Groźna mina

zniknęła, rysy złagodniały i powrócił poprzedni dziwny spokój.

– Arsalaan jest porywczy – wyjaśnił, jakby zwalisty ochroniarz był nieobecny w pomieszczeniu. – Powtarzałem mu wiele razy, że zostanie ukarany przez Allaha za swój gniew. – Mówił melodyjnie i kulturalnie, a cała wypowiedź przypominała recytację wyuczonego tekstu.

Vornado wziął głęboki oddech. Konfrontacja najwyraźniej dobiegła końca. Przysiągł sobie, że odtąd zawsze będzie nosił przeładowaną broń. Zabezpieczył pistolet i wsunął do kabury.

– To moi podwładni. – Abdas przedstawił kolejno swoich ludzi.

Ale Vornado nie patrzył na nich. Nie odrywał wzroku od al-Sattara. Nie mógł stracić przewagi, którą przez przypadek zdobył. Gdyby się kłaniał lub pozdrawiał Egipcjan, przestaliby go szanować. W końcu Abdas wskazał niedawnego przeciwnika Vornado.

– A to mój przyrodni brat i szef ochrony, Arsalaan.

Vornado spojrzał na brata al-Sattara. Musiał unikać niepotrzebnych zadrażnień z Abdasem, ale był zdecydowany przeforsować swoje zasady.

– Przykro mi, że doszło do starcia, ale musicie zrozumieć, że to pomieszczenie odgrywa bardzo ważną rolę w prowadzeniu okrętu. Mamy do wykonania niebezpieczną operację. Każdy błąd w obsłudze urządzeń może nas kosztować życie, nawet tutaj, w basenie

terminalu.

Abdas uniósł dłoń.

– Podoba mi się pan, kapitanie Vornado. – Z trudem wymówił nazwisko Petera. – Cieszę się, że dowodzi nami ktoś tak... zdecydowany. To chyba dobre określenie? Ale naprawdę muszę nalegać, żeby pozwolił nam pan obserwować działania w centrum dowodzenia.

Vornado skinął głową.

– Dobrze, ale pojedynczo. I będziecie rozmawiali tylko z oficerem wachtowym, jeśli się zgodzi. Nie chcę, żebyście rozpraszaali załogę. Możecie patrzeć na wyświetlacze, ale nikomu nie wolno niczego dotykać. Żadnego przycisku, ekranu, dźwigni kolankowej, klawisza funkcyjnego czy sterownika kulistego. Chyba że pozwoli wam na to oficer pokładowy pełniący wachtę. Rozumiemy się? – Zmusił się, żeby następne słowo wypowiedzieć z szacunkiem, ale nie zmienił surowej miny. – Święty?

Abdas al-Sattar uśmiechnął się i skłonił.

– To nas zadowoli. Chodźmy, panowie. Zajmę kajutę, która jest bezpośrednio pod tym pomieszczeniem. – Wskazał lewy róg centrum dowodzenia.

– Nie – zaprotestował Vornado. – To kajuta kapitańska. Celowo jest najbliżej centrum dowodzenia, bo w razie alarmu muszę tu być w ciągu dwóch sekund. Jeśli zjawię się później, możecie stracić życie.

Jakby dla podkreślenia jego słów, ktoś w kapsule ratunkowej na górze zatrzaskał z hałasem dolny właz.

Wewnątrz tytanowego kadłuba dźwięk zabrzmiał jak uderzenie w ogromny bęben. Wszyscy ludzie Abdasa, łącznie z Arsalaanem, schylili się bojaźliwie, potem zorientowali się, że są bezpieczni, i zrobili groźne miny. Al-Sattar nawet nie drgnął. Prawdziwy przywódca, pomyślał Vornado.

– Inne kajuty są za małe – odparł Abdas. – Chcę mieć taką, jak pańska.

Vornado wpadł na pomysł, jak rozwiązać ten problem i pozwolić al-Sattarowi zachować twarz. – Jeśli da mi pan jeden dzień, każę połączyć dwie mniejsze kajuty w jedną. Będzie nawet większa od mojej. Przy stole zmieszczą się wszyscy pańscy ludzie. – Vornado pomyślał, że w ciągu tego dnia dokończy pracę przy kapsule ratunkowej i panelu interfejsowym w torpedowni. Abdas mu nie przerwie, bo wyjście w morze opóźni budowa jego kajuty.

Al-Sattar uśmiechnął się.

– To jest do przyjęcia, kapitanie Vornado. Ale niech pan nie montuje stołu. Wykorzystamy powiększoną przestrzeń do modlitwy. Czas, żebyśmy się do niej przygotowali.

Święty wyszedł przednim włazem. Vornado opadł na fotel dowodzenia. Westchnął i zdał sobie sprawę, że jego kombinezon jest mokry od potu. Usłyszał nad sobą dźwięk włączanego interkomu.

– Kapitanie Vornado? – dobiegło z ukrytego głośnika.

Vornado przestawił dźwignię kolankową na panelu przed sobą.

– Niech pan mówi, Andriej.

– Załoga czeka w sali konferencyjnej na dole –
zawiadomił Rusanow.

– Dobrze, już idę.

Kiedy otworzył szyb komunikacyjny, przez właz prowadzący z drugiego przedziału weszła grupa Egipcjan. Na jego widok odwrócili wzrok i wycofali się szybko do drugiego przedziału. Bardzo dobrze, pomyślał. Chciał, żeby się go bali. Jak dotąd, wszyscy terroryści z Ahel al Beit, z wyjątkiem Abdasa, okazali się zwykłymi bandziorami, w dodatku niezbyt odważnymi. Wszystko się zgadza, pomyślał Vornado. Ich misja zniszczenia Tel Awiwu to akt tchórzostwa. Brat Abdasa, Arsalaan, niby zwykły mięśniak do mokrej roboty, ale przynajmniej miał odwagę stawić czoło przeciwnikowi. Nawet Abdasa nie było na to stać. Pewnie dlatego wycofał się tak szybko na dół.

Vornado wyłonił się z szybu i zakreśliło mu się w głowie. Wtedy zdał sobie sprawę, jaki jest zmęczony. Zastanowił się, jak długo pracował. Sześćdziesiąt godzin? Siedemdziesiąt? Pomyślał, że musi się przespać, bo inaczej zasłabnie.

Vornado padł na łóżko w swoim biurze. Był wykończony. Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, nie otworzył nawet oczu. Myślał, że to Swietłana lub Andriej z meldunkiem o stanie „Liry”. Ale do pokoju wszedł Danałow.

Zbliżył się do łóżka i szepnął Vornado do ucha. Peter poderwał się zaskoczony do pozycji siedzącej. Usłyszał: „biała głowa”.

Biała głowa, pomyślał. Whitehead. Więc to jednak Victor Kaminsky. Aspirant pierwszej klasy, który uratował go przed laty. Zmrużył oczy i spojrzał na Danałowa w mroku biura.

– Jaki jest plan? – zapytał.

– Bunt na pełnym morzu – odparł Danałow. – Ty pozostajesz lojalny wobec Abdasa al-Sattara, ale reszta załogi atakuje na środkowym poziomie jego ludzi. Kiedy wszyscy są załatwieni, płyniemy na Atlantyk. Reszty możesz się domyślić.

– Co z bronią? – wymamrotał Vornado.

– Weźmiemy tylko twoją – odpowiedział cicho Danałow. – Masz jej więcej, niż potrzeba. Kiedy będziemy na morzu, dasz mi szyfr do sejfu, żebym mógł rozdać broń w tajemnicy przed Egipcjanami.

– To ryzykowne – mruknął Vornado. – Jeden strzał w szafkę elektroniczną i wszyscy jesteśmy martwi. I jeśli ktoś z Egipcjan ocaleje, może narobić mnóstwa kłopotów. Nie przeżyjemy buntu.

– Masz lepszy pomysł?

Vornado wytrzymał spojrzenie Danałowa. Chciał powiedzieć „torpedy”, ale się wycofał. To tylko plan rezerwowy, pomyślał. Torpedy są na pokaz, żeby Abdas al-Sattar mu zaufał. A jednak mógłby ich użyć, żeby uniknąć buntu. Obawiał się, że bunt będzie

nieprzewidywalny i krwawy.

Ale rozmowa o tym nie miała sensu. Nie tu i nie teraz.

– Nie. Zorganizujemy bunt.

Danałow wyszedł i Vornado zamknął oczy. Po kilku minutach znów ktoś zapukał. Vornado krzyknął, że drzwi są otwarte, usiadł na łóżku.

Wszedł Jurij. Vornado chciał go zapytać, co z kapsułą ratunkową i panelem interfejsowym w torpedowni, ale na widok jego wściekłej miny wstrzymał się.

– Swietłana nie popłynie z tobą, Peter.

– Dlaczego?

Jurij wybuchnął.

– Nigdy nie byłem zadowolony, że ona tu pracuje. To jeszcze dziecko.

– Nie puszczę jej na morze w okręcie podwodnym. Ta misja jest taka niebezpieczna, że... sam wiesz.

Bez Swietłany Vornado miałby za mało ludzi, ale poczuł ulgę.

– Oczywiście. Rozumiem.

Jurij wydawał się zakłopotany swoim wybuchem. Najwyraźniej spodziewał się kłótni z Vornado. Po chwili krępującej ciszy odwrócił się i wyszedł. Niemal natychmiast do pokoju wśliznęła się Swietłana i zamknęła za sobą drzwi. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

– Słyszałeś? – zapytała.

Vornado przytaknął.

– Jurij mi powiedział. – Zauważył, że dziewczyna ma rozpuszczone włosy i jest ubrana po dawnemu, w kostium

biurowy.

Przysunęła się bliżej.

– I tak popłynę. Ojciec mnie nie powstrzyma. Przyniosę tu swoje rzeczy. Zabierz je na pokład, dobrze?

– Odwróciła się i wyszła. Jej obcasy stukały na terakotowej podłodze.

Vornado zamknął oczy. Przykrył się kołdrą i niemal natychmiast zasnął.

USS „Tucson” prawie od tygodnia tkwił na dnie morza dwie mile na północ od wyjścia z Zatoki Kolskiej. Na pokładzie obowiązywała czerwona cisza taktyczna bez żadnych wyjątków. Przed posadzeniem okrętu na dnie Dillinger wydał bardzo ryzykowny rozkaz, żeby wypuścić holowaną antenę sonarową, co groziło jej utratą, gdyż mogła zaczepić o skały. Ale miał to gdzieś. Komandor porucznik D'Assault zakwestionowała jego rozkaz. Obawiała się, że będą musieli podejść pionowo na głębokość peryskopową, żeby zobaczyć, co wypływa z zatoki. Ale Dillinger postawił na swoim. Powiedział, że „Alfa” będzie taka głośna, że wykryje ją szerokopasmowa antena sferyczna ich sonaru BQQ-5, a dzięki wypuszczonej antenie holowanej będą w stanie skatalogować sygnaturę częstotliwości wąskopasmowej rosyjskiego okrętu, co przyda się później, gdyby im uciekł.

Dillinger zaplanował tę taktykę, kiedy wpatrywał się w ściany swojej kajuty i próbował nie myśleć o uczuciach do Natalie. Od czasu ich pocałunku za zaryglowanymi drzwiami kajuty kapitańskiej nie wydarzyło się zupełnie nic. Było mnóstwo racjonalnych wyjaśnień tej sytuacji. Po pierwsze, trwała misja. A ponieważ sen jest wrogiem dowodzenia na morzu, D'Assault pełniła obowiązki Dillingera na nocnej wachcie. Dzień zaczynał się dla niej

o dwudziestej trzeciej od telefonicznej pobudki. Brała wtedy prysznic, szła do mesy na posiłek i gawędziła przy stole z młodszymi oficerami, którzy zaczynali lub kończyli wachtę. Potem zamykała się w swojej kajucie i odwalala papierkową robotę. Mniej więcej co godzinę robiła sobie przerwę i szła do sterowni. Uważała, że oficerowie pokładowi są jak pierwszoklasiści – na tyle duzi i samodzielni, że nie trzeba ich kontrolować co minutę, ale tak niedoświadczeni, że wymagają częstego dozoru dorosłych. Dillinger nie zgadzał się z tym. Uważał ich za wykwalifikowanych oficerów sił podwodnych, którzy odgrywają istotną rolę w dowodzeniu okrętem podczas swoich wacht. Nie powierzał im obowiązków OOD, dopóki nie nauczyli się najważniejszego – kiedy należy wzywać kapitana. Musztrował ich bezlitośnie, żeby wiedzieli, co wymaga jego pozwolenia, o czym można go zawiadomić po fakcie i co powinni zrobić na własną rękę bez zwracania mu głowy.

Późnym popołudniem, po nocnej wachcie Natalie zaczynała być zmęczona i rozdrażniona. Ale upierała się, żeby pracować podczas porannej i popołudniowej wachty, choć cisza taktyczna na okręcie bardzo ograniczała zakres jej obowiązków. Nie mogła uruchomić zespołu napędowego ani prowadzić ćwiczeń ratunkowych w części dziobowej, szkoleń i codziennych spotkań z młodszymi oficerami. W tym okresie okręt istniał tylko po to, żeby przechwycić „Alfę” wychodzącą z zatoki, popłynąć za nią na północny Atlantyk i zatopić na

głębokich wodach. Ale Natalie wciąż zagrzebywała się w pracy administracyjnej bez znaczenia. Ilekroć Dillinger pukał do jej drzwi, miała słuchawki na uszach i była tak skoncentrowana na monitorze komputera, że musiał ją klepać w ramię, żeby go zauważyła. Czuł się wtedy jak intruz. Szła spać krótko przed wieczornym posiłkiem i pojawiała się z powrotem około północy. Nigdy nie pukała do drzwi prowadzących z ich wspólnej toalety do jego kajuty. Kiedy chciała z nim porozmawiać o przebiegu nocnej wachty, robiła to w mesie oficerskiej, gdzie przychodził na kawę po porannym prysznicu.

Dillinger z jednej strony czuł ulgę, że Natalie nic od niego nie żąda, ale z drugiej strony dostawał obłądu. Czy ich pocałunek był tylko snem? Przecież naprawdę dotykała jego ręki pod stołem w mesie, przysuwała kolano. Więc pocałunek nie mógł mu się przyśnić. Ale od tamtej pory nic. Dillinger widział tylko dwa powody – albo Natalie jednak nie chce się angażować w romans, albo po prostu stara się zachowywać profesjonalnie. Postanowił spokojnie czekać, ale od tygodnia miał ochotę walić pięścią w przegrodę.

W każdym razie sytuacja patowa w stosunkach z Natalie dała mu mnóstwo czasu na zaplanowanie taktyki przechwycenia „Alfy”. Popłynął wolno na wschód z wypuszczoną anteną holowaną i zszedł na taką głębokość, że miał zaledwie dwadzieścia sążni pod kilem. Kazał zatrzymać okręt i zawiesić w bezruchu, wiedząc, że antena holowana o lekko ujemnej wyporności zwolni i

osiądzie w poprzek zatoki na skałach i piasku. Po odczekaniu dwudziestu minut i upewnieniu się, że antena leży na dnie, Dillinger kazał opuścić silnik zaburtowy. Mały wirnik wysuwał się z dolnego poziomu przedziału rufowego i pozwalał odbijać od nabrzeża bez holowników. W ten sposób Dillinger manewrował „Albany” podczas ćwiczeń „Skradzione strzały”.

Po opuszczeniu silnika Dillinger kazał go obrócić przodem do rufy i uruchomić. Wirnik zaczął pchać okręt wstecz. Dillinger początkowo zamierzał użyć do cofania śruby, ale D'Assault przekonała go, że w ten sposób może przeciąć linę anteny holowanej, która łączyła się z kadłubem zbyt blisko łopat śruby. Po kilkudziesięciu metrach ruchu wstecz Dillinger ocenił, że zwinięta lina leżąca na dnie ma wystarczający luz, żeby mogli unieść się pionowo na głębokość peryskopową bez obawy o jej zerwanie i przesunięcie anteny linearnej.

Dillinger kazał wprowadzić do systemu bezruchu okrętu ujemną wartość zanurzenia, żeby mogli powoli przesunąć się w dół. „Tucson” osiadł na dnie z lekkim przechyłem na lewą burtę i nieznacznym odchyleniem do góry na głębokości zaledwie czterdziestu metrów. Głęboki farwater na środku fiordu rozszerzał się i pogłębiał w ujściu rzeki. Dwadzieścia mil dalej na północ skaliste dno Morza Barentsa opadało łagodnie do stu sążni, ale Dillinger chciał podejść bliżej. Ta głębokość ledwo wystarczyła, żeby zwykły frachtowiec nie uderzył kilem w ich kiosk lub wysunięty peryskop.

Supertankowiec z pełnymi zbiornikami mógłby im złamać podniesiony peryskop, ale Dillinger wątpił, żeby takie wielkie statki kursowały na południe do Murmańska. Wyglądało na to, że pływają tu głównie miejscowe barki pchane lub holowane na krótkich linach przez stare zardzewiałe holowniki. Były małe frachtowce oraz średniej wielkości kontenerowce i tankowce, ale żaden nie miał większego zanurzenia niż dziesięć metrów. Sonar katalogował wszystkie wpływające i wypływające statki. Szef sonarzystów, starszy bosman Harlan Keating, był tak znudzony oczekiwaniem, że zabawiał się rozpoznawaniem holowników po ich sygnaturach dźwiękowych. Na powierzchni trwał zwykły ruch, na ELF nie nadchodziło wezwanie do podejścia na głębokość peryskopową.

Po czterech dniach na dnie Dillingerowi zaczęły puszczać nerwy. Nigdy nie był cierpliwy. Czatowanie na tajemniczą „Alfę” i powściągliwość Natalie doprowadzały go do szału. W końcu podczas leniwej popołudniowej wachty spojrzął na swój zamknięty notebook leżący na składanym biurku. Komputer był połączony z okrętową siecią LAN, przez którą oficerowie i podoficerowie mogli się porozumiewać między sobą i utrzymywać kontakt z lądem. E-maile stały się dla floty błogosławieństwem i jednocześnie przekleństwem, bo łatwiej było wysłać wiadomość, niż iść do maszynowni, żeby porozmawiać z elektrykiem. Patrzenie na ekran, zamiast bezpośredniego kierowania sekcji, stanowiło zbyt

dużą pokusę. Ale jak dotąd, nikt na „Tucsonie” nie nadużywał systemu. Dillinger włączył notebook i spojrzął na przysłane e-maile. Wszystko były rutynowe, większość dotyczyła spraw obsługowych. Dillinger znalazł kilkadziesiąt nieprzeczytanych wiadomości od D'Assault. Postanowił je otworzyć. Zwykle pisała w nagłówku, czego dotyczą. „Prośba st. bosmana Keatinga o urlop w dniach 10-24 stycznia” lub „Wystąpienie do dowództwa o odznaczenie medalem por. Vaughalla”. Dillinger przebiegł wzrokiem wszystkie i natrafił na jedną bez tytułu.

Cześć. Pomyślałam, że może moglibyśmy porozmawiać przez system. Na okręcie jest zbyt wiele wścibskich oczu i uszu. Gdyby sprawa się wydała, moglibyśmy stracić lojalność załogi. Jesteś zbyt dobrym kapitanem, żebym mogła na to pozwolić. Ale jednocześnie jesteś dla mnie zbyt ważnym mężczyzną, żebym mogła milczeć. Bardzo mi na tobie zależy. Odpisz, proszę. Tęsknię za tobą. Natalie.

To e-mail sprzed czterech dni, na litość boską, pomyślał Dillinger. Następny został wysłany; tego ranka.

Wybacz. Chyba źle zinterpretowałam to, co zaszło. Przyjmij moje przeprosiny, które powinieneś usłyszeć ode mnie tamtej nocy. Przykro mi, że zachowałam się nieprofesjonalnie. Postaram się być twoim najlepszym oficerem wykonawczym. I nie rób sobie wyrzutów. W chwili słabości można popełnić błąd. Całkowicie to rozumiem. Narozrabiałam, ale obiecuję, że się poprawię. Kmdr por. N. D'Assault.

Dillinger przez chwilę wpatrywał się w drugą wiadomość, potem wrócił do pierwszej. Niech to szlag trafi, zaklął w duchu. Dlaczego mu nie powiedziała, żeby sprawdził swoją pocztę elektroniczną? Potem sobie przypomniał. W ciągu ostatnich trzech dni wspominała o tym co najmniej sześć razy. Ale zbywał to machnięciem ręki, bo uważał, że sprawy administracyjne mogą poczekać. A jeśli nie mogą, wtedy D'Assault przyjdzie do niego osobiście.

Postanowił zignorować drugi e-mail i odpowiedzieć na pierwszy. Patrzył długo na niebieski ekran, ale nic mu nie przychodziło do głowy. W końcu wyłączył komputer i wyjął papier listowy. W prawym górnym rogu był emblemat okrętu, w lewym znak Departamentu Marynarki Wojennej, między nimi adres pocztowy „Tucsona” i napis: KMDR BURKE K. DILLINGER, MARYNARKA WOJENNA STANÓW ZJEDNOCZONYCH, OFICER DOWODZĄCY. Na grubym pergaminie lepiej pisało się piórem wiecznym. Dillinger wyciągnął pióro Montblanc, które dostał od Dayny. Trzymał je w szufladzie biurka, ale nigdy go nie używał. Jak na ironię, teraz miał napisać list miłosny do innej kobiety. Zastanawiał się, czy zabraknie mu słów, jak przed ekranem komputera. Ale kiedy tylko dotknął stalówką papieru, zaczął pisać.

Droga Natalie,

dopiero teraz sprawdziłem swoją pocztę elektroniczną. Nie przysyłaj mi więcej prywatnych e-mailów. Oczy na

okrećcie śledzą także system. Jeśli ktoś ma nas przyłapać, niech to zrobi, kiedy będziemy razem. Nie zniosę dłużej takiej sytuacji, jaka jest między nami od kilku dni. Potrzebuję Cię. Pragnę Cię. Przyjdź do mojej kajuty dziś w nocy o drugiej, żebym mógł Ci powiedzieć, co do Ciebie czuję. Jeśli będziesz chciała, dowiodę tego. Gdybyś się zdecydowała, daj mi znać w ten sposób, że pójdziesz wcześniej spać podczas popołudniowej wachty.

Ale zrozumiem, jeśli odmówisz. Może się rozmyśliłaś, ale ja nie.

Burke

Przeczytał list cztery razy i omal nie zmiął kartki, ale zagryzł wargi i przypomniał sobie słowa ojca amerykańskiej marynarki wojennej, Johna Paula Jonesa: „Kto nie ryzykuje, ten nie zwycięża”. Zapamiętał cytat dawno temu, podczas Lata Kadeta, kiedy musiał recytować go razem z mnóstwem innych banałów. Pomyślał o Whiteheadzie, potem o Peterze Vornado. Gdzie on może być, do diabła? Dillinger nie mógł się doczekać, kiedy wypije z przyjacielem piwo, opowie mu o tej zwariowanej misji i zapyta o radę w sprawie Natalie. Uświadomił sobie nagle, że po raz pierwszy w życiu chciałby jak najszybciej przedstawić swoją dziewczynę Peterowi i Rachel. Mówili, że Dayna to miła, ale dziwna osoba, co wprawiało go w zakłopotanie. Pomyślał, że w porównaniu z nią Natalie D'Assault jest taka zrównowazona, bezpośrednia, dojrzała, kompetentna i –

zdał sobie nagle sprawę – taka w nim zakochana. Nigdy nie zaczęłaby się spotykać z żonatym mężczyzną, żeby spróbować zmusić go do małżeństwa, jak Dayna. Na wspomnienie o tym, zdecydował się wysłać list. Włożył papier do koperty, zakleił ją i zaadresował „Natalie”. Pokręcił głową, rozerwał kopertę, wyjął list i podarł ją na drobne kawałki. Wziął nową i napisał: *Osobiste i poufne do rąk własnych XO*. Ten napis wzbudzi domysły, poprzedni wywołałby plotki. Wsunął list pod drzwi Natalie.

Nie minęły dwie minuty, kiedy rozległo się pukanie w drzwi toalety.

– Panie kapitanie? – odezwała się na próbę.

– Proszę wejść, XO – odpowiedział.

Zajrzała do kajuty. Jej rozpuszczone włosy lśniły w czerwonym świetle. Uśmiechnęła się do Dillingera, jakby wszystko wiedziała. Nadal jest moja, pomyślał i poczuł nieznaną uniesienie. Więc tak się odczuwa radość.

– Cześć – powiedziała niskim, ochrypłym głosem.

Nie miał pojęcia, jak wytrzyma bez niej jeszcze dwanaście godzin, ale musiał czekać. Wachtę w sterowni pełnił Steve Flood, który w ciągu dnia regularnie dzwonił do niego z bieżącymi informacjami.

– Cześć. – Jego ton i mina wyrażały wszystko, co chciał jej powiedzieć tym jednym słowem.

Rozbłyły jej oczy, ale głos zabrzmiał urzędowo.

– Chciałam tylko powiedzieć, panie kapitanie, że brakuje mi trochę snu. Położę się dziś kilka godzin

wcześniej, więc nie będą na wieczornym posiłku. Ale zmieniają pana o jedenastej.

Spojrzał Natalie w oczy i uświadomił sobie, że to na nią czekał całe życie. Pomyślał, że musi wypełnić tę cholerną misję i wrócić do Norfolk. Jak dobrze byłoby mieć taką kobietę w domu. Łączyłaby ich namiętność, zyskałby poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia.

– W porządku, XO. Miłych snów – odparł lakonicznie. Nikt by się nie zorientował, co miał na myśli. Puścił do niej oko.

Odpowiedziała tym samym i zniknęła w toalecie.

Dillinger poczuł, że wali mu serce. To jest jak pierwsza miłość lub potajemny romans, pomyślał. Według regulaminu marynarki wojennej, rzeczywiście taki powinien być. Zakazany owoc zawsze bardziej smakuje. Zastanawiał się, jaka byłaby Natalie, gdyby została jego żoną. Ode – szłaby z marynarki wojennej? Jeśli tak, to co by robiła? Chciałaby mieć dzieci? Mnóstwo pytań, pomyślał, i trzeba czekać na odpowiedzi. Być może na to potrafi poczekać.

Wstał i poszedł do sterowni, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych wiadomości o „Alfie”. Flood podniósł na niego wzrok i skinął głową.

– Kapitan w sterowni – oznajmił wszystkim w pomieszczeniu.

Dillinger uśmiechnął się do Flooda.

– Co tam na górze? – zapytał. Rozterki miłosne skończyły się i znów był zadziornym kapitanem okrętu

podwodnego.

– Przewalił się nad nami całkiem spory tankowiec – odparł Flood. – Słyszał pan śrubę?

Dillinger pokręcił głową. Najwyraźniej był zbyt zaprzątnięty swoją korespondencją i rozmową z Natalie.

– Wypływający?

– Nie, wpływający. Bosman Keating stwierdził, że jeszcze nie mieliśmy nad głową statku o takim dużym zanurzeniu, choć ten tankowiec mieścił się w granicach średnich wielkości.

Dillinger wyszczerzył zęby.

– Wciąż kolekcjonuje z nudów sygnatury wąskopasmowe statków handlowych?

– Łącznie z nazwiskami ich kapitanów – zadrwił Flood.

– Obawiam się, że jeśli wkrótce nie wpakujemy w coś torpedy, nasz starszy bosman dostanie lekkiego świra. – Zerknął na zasuniętą zasłonę kabiny sonarowej. – Mam nadzieję, że mnie nie słyszał. – Interkom na platformie dowodzenia był włączony, żeby Flood nie musiał podnosić mikrofonu, kiedy chciał porozmawiać z szefem sonarzystów.

– Dowodzenie, tu sonar. Nic nie słyszałem – zadudniły w głośniku sufitowym słowa Keatinga wymawiane z akcentem z Tennessee.

Dillinger parsknął śmiechem.

– Czuwaj tu, OOD. Zrobię obchód.

Flood skinął głową.

– Kapitan opuścił sterownię – oznajmił po chwili.

Dillinger poszedł w kierunku dziobu i spojrzął na zegarek. Liczył minuty pozostałe do drugiej.

Peter Vornado obudził się i usiadł w łóżku. Po długim śnie kręciło mu się w głowie. Pomyślał, że chyba spał kilka dni. Kiedy długo chodził niewyspany, mógł zasnąć. W akademii po końcowych egzaminach spędzał w łóżku zwykle trzy dni. Po przebudzeniu z takiego długiego snu czuł w kościach ból, który mógł porównać tylko do tamtego z czasów choroby nowotworowej. Posiedział chwilę. Ból zelżał. Vornado wstał i zapalił światło. Sięgnął do szafy po czysty kombinezon i ręcznik. Gorąca woda w kabinie prysznicowej parzyła mu skórę. Wyszedł i ubrał się. Zauważył, że w pokoju coś się zmieniło. Na wieszaku obok drzwi wisiała gruba parka i futrzana czapka. Na podłodze leżała spakowana torba podróżna, a na niej koperta. Zajrzał do torby. Znalazł pięć nowych kombinezonów, bieliznę i czarne adidas, wszystko w jego rozmiarze. W kopercie był list napisany okrągłym, starannym pismem.

Najdroższy,

kiedy się obudzisz, mnie już nie będzie. Zmieniłam zdanie i nie popłynę z tobą. Nie z twojego powodu, lecz dlatego że ojciec błagał mnie o to ze łzami w oczach. Uległam z szacunku do niego. Wyjeżdżam na długo do Moskwy w odwiedziny do matki. Moi rodzice od lat żyją w

separacji i chciałabym spędzić z nią kilka miesięcy. Pragnę ci wyznać, że przez ostatnie tygodnie znaczyłeś dla mnie bardzo wiele. Kocham cię mocniej, niż zdołam pokochać kogokolwiek innego. Pęka mi serce na myśl, że będziesz daleko na morzu beze mnie, ale jednocześnie cieszę się, bo w głębi duszy wiem, że znów cię zobaczę. Zanim to nastąpi, mój ukochany, zabierz ze sobą moją miłość. Kocham cię.

Swietłana

Vornado utkwiał wzrok w ścianie. Ogarnęło go dziwne uczucie straty i tęsknoty. Nie spodziewał się, że aż tak przywiąże się do Swietłany. Ale wątpił, żeby jeszcze się spotkali. Nie miał powodu, żeby się z nią wiązać. Kochał Rachel i Swietłana była dla niego o wiele za młoda. Ale wbrew temu, łączyło ich coś wyjątkowego i cennego. Zwilgotniały mu oczy. Poczował się jak idiota, ale było mu siebie żal. Ku swojemu zaskoczeniu pomyślał, że to się nie może tak skończyć. Nie przygotował się do rozstania. Nawet się z nią nie pożegnał. Na sercu miał wielki ciężar. Pociągnął nosem i spróbował wziąć się w garść. Wmówił sobie, że tak jest lepiej.

Obiecała, że popłynie z nim wbrew ojcu, ale najwyraźniej się rozmyśliła, kiedy tak długo spał. Niech to szlag trafi, zaklął. Nie mógł się obudzić kilka godzin wcześniej? Wtedy sytuacja nie wymknęłaby się spod kontroli.

Widok spakowanej torby nasunął mu myśl, że okręt jest na pewno gotowy do wyjścia w morze. Spojrzał na zegarek, ale wskazówki nie chodziły. Zirytował się i wyrzucił starego Timeksa do śmieci. Włożył do torby przybory toaletowe i rozejrzał się po pokoju, żeby zobaczyć, czy niczego nie zostawił. O czymś omal nie zapomniał. Znalazł klucz do szuflady biurka i wyjął stamtąd pistolet, pas, kaburę i dwa magazynki. Sprawdził broń, zabezpieczył i wetknął do kabury. W szufladzie był też notebook, który dał mu Jurij Bielkow. Mógł się przydać na morzu. Przyszło mu do głowy, że gdyby jemu lub „Lirze” coś się stało, dane w komputerze umożliwiłyby amerykańskiej marynarce wojennej rekonstrukcję wraka. Gdyby rejestrował w pamięci notebooka przebieg rejsu i potem zginął, a okręt ocalał, Amerykanie mogliby wykorzystać ten zapis. Czuł się jak chory i zdał sobie sprawę, że przyczyną jest odejście Swietłany. Wsunął ciężki komputer do pokrowca i schował do torby podróżnej. Wziął torbę, parkę i czapkę. Wyszedł na galerię. Po dwóch krokach stanął jak wryty.

„Lira” zniknęła.

Basen na środku podłogi hali stoczniowej również. Platforma konstrukcyjna była podniesiona tak, jak w czasie budowy okrętu. Tyle że nie stała na niej „Lira”. Vornado ocknął się i zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na dole omal nie zderzył się z Andriejem Rusanowem. Tęgi Rosjanin miał na sobie parkę i futrzaną czapkę. Ubranie było przyprószone

śniegiem.

– O, pan kapitan – powiedział z dziwnie zadowoloną miną na mięsistej twarzy. – Zaoszczędził mi pan drogi. Swietłana próbowała pana obudzić, ale bez skutku.

Vornado zaczerwienił się na wspomnienie jej ostatniego budzenia.

– Gdzie jest ten pieprzony okręt, Andriej?

Rusanow uśmiechnął się.

– Proszę ze mną.

– Andriej, do jasnej cholery, przemieścił go pan bez mojego pozwolenia! – wybuchnął Vornado. Trzęsły mu się ręce. – Ludzie, ile razy mam wam wszystkim powtarzać, kto jest kapitanem tego zasranego okrętu podwodnego? – Starał się nie przeklinać, ale kiedy był porządnie wkurzony, nie mógł się powstrzymać. Miało to swoją dobrą stronę, załoga dokładnie wiedziała, w jakim nastroju jest kapitan.

– Przecież dał pan nam pozwolenie. Wręcz kazał nam to zrobić.

– Ja?! – O, nie, pomyślał Vornado. Kiedy przez kilka tygodni brakowało mu snu, nie można go było potem dobudzić i mówił przez sen, czasami całkiem przytomnie, jakby chciał uwolnić się od tego, co miał do powiedzenia, żeby móc dalej spać. Na „Hamptonie” oficerowie mieli stały rozkaz, żeby robić mu ustne sprawdziany, jeśli będą podejrzewali, że mówi przez sen. Dzień tygodnia. Pozycja okrętu. Data ostatniego podejścia na głębokość peryskopową. W pewnym momencie przestawał mówić i

z powrotem zapadał w sen. Musieli go stawiać na nogi, żeby się ocknął. Najwyraźniej nie wspomniał o tym Rosjanom i kiedy próbowali go obudzić, kazał im wyprowadzić okręt na rzekę.

– Tak, pan, kapitanie.

– W takim razie, przepraszam, Andriej – odparł skruszony Vornado.

Rusanow uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku, panie kapitanie. Proszę zostawić tutaj torbę, włożyć kurtkę i czapkę. Przydadzą się panu.

Vornado ubrał się ciepło. Poczował się jak w futrze niedźwiedzia. W kieszeniach znalazł rękawice, więc je też założył. Rusanow zaprowadził go do drabinki na dach. Vornado nigdy po niej nie wchodził. Szczeble były zardzewiałe i brudne, ale wspiał się za Rosjaninem do wjazdu w dachu terminalu. Zastanawiał się, czy szef ochrony, Iljiwicz, miałby coś przeciwko temu, ale zapomniał o tym, kiedy wy dostał się na dach.

W listopadzie w Murmańsku przez większość dnia było ciemno, ale w łunie świateł miasta zobaczył przez padający śnieg fiord w dole. Na wodzie stał duży zardzewiały frachtowiec. Wyglądał na czterdziesto-, może czterdziestopięcioletni. Był przycumowany sterburką do krytego doku wyładunkowego barki i zwrócony dziobem na północ w dół rzeki. Statek pamiętał lepsze czasy i sądząc po korozji kadłuba i pokładu, miał co najmniej pięćdziesiąt lat. Wewnątrz nadbudowy paliło

się światło. Słaba lampa oświetlała trap przerzucony między dokiem a frachtowcem.

– Co to jest, na Boga? – zapytał Vornado.

Rusanow ledwo powstrzymywał śmiech.

– Statek motorowy „Kirowski”. Nasz środek transportu.

– Nic nie rozumiem, Andriej. Co tu się dzieje, do cholery?

– Wygląda jak zwykły frachtowiec, zgadza się? Nie zwróciłby pan na niego uwagi, prawda?

– Prawda, prawda – przyznał niecierpliwie Vornado.

– W środku jest „Lira”.

– Słucham?!

– Jest w jego wnętrzu. W rzeczywistości to nie frachtowiec. A pod rdzą kryje się zupełnie nowy, całkowicie sprawny statek. W dzień ma wycięcie o długości dziewięćdziesięciu metrów. Tyle wystarczy, bo „Lira” mierzy osiemdziesiąt jeden i cztery dziesiąte metra.

– Rusanow urwał i obserwował, jak zmienia się wyraz twarzy Amerykanina.

Vornado zaniemówił. Przez dwie minuty stał z otwartymi ustami, w końcu odzyskał głos.

– Jak to zrobiliście?

– Za pomocą sześciu potężnych wciągarek. Trzy są pod nadbudową, trzy w dziobie. Liny były przymocowane do stalowych klamer wokół „Liry”. Zanurzyliśmy ją i doholowaliśmy do „Kirowskiego”, a potem powoli znów napełniliśmy sprężonym powietrzem jej zbiorniki balastowe, żeby uniosła się do ładowni. Cała operacja

trwała około dziesięciu godzin. Następne cztery zajęło umocowanie „Liry” w „Kirowskim”, potem kolejną zainstalowanie tymczasowego wejścia z wjazdu kiosku do wnętrza statku. Przez ostatnich kilka godzin wspieraliśmy nurków montujących pod kadłubem „Liry” wsporniki usztywniające, które połączyły burty frachtowca, żeby nadawał się do żeglugi mimo otworu w dnie.

– Kto... – Vornado zająknął się. – Kto tym kierował? Kto zanurzył „Lirę”?

– Ja – odparł z dumą Rusanow. Promieniał jak dziecko, które właśnie po raz pierwszy przejechało na rowerze chodnik wokół domu.

Co mogę mu powiedzieć? – pomyślał Vornado.

– Dobra robota, Andriej – pochwalił. – Wspaniała. Jestem pod wrażeniem. – Ale potem chwycił wielkiego Rosjanina za ramiona i zmiażdżył go wzrokiem. – Jeszcze jeden taki numer i pożegnamy się na zawsze. Trzeba było mnie obudzić. Nieważne, jak. Wyrażam się jasno?

Po udanym przemieszczeniu „Liry” Rusanow nabrał pewności siebie. Uśmiechnął się i skinął głową.

– Tak jest, kapitanie.

Vornado wypuścił ustami powietrze i otoczył go obłoczek pary. Zdawało się, że padający śnieg pochłania wszelkie dźwięki. Panowała niewiarygodna cisza.

– Chcę zobaczyć „Lirę”.

– Proszę bardzo.

Vornado wrócił po drabince do wnętrza terminalu, potem poszedł za Andriejem do doku wyładunkowego

barki. „Kirowski” wyglądał z bliska jeszcze gorzej niż z góry. Oprócz tego, że był zardzewiały i zniszczony, cuchnął rybami i zgnilizną. Dostali się po trapie na statek, weszli do wnętrza nadbudowy i zeszli na niższy pokład. Na przedniej przegrodzie była szafka z farbą. Rusanow przesunął puszkę i cała ścianka z półką obróciła się na zawiasach. Za nią znajdowały się ukryte drzwi. Za przegrodą powinien być zbiornik oleju. Rusanow nacisnął klamkę. Vornado zobaczył przestrzeń o szerokości około sześćdziesięciu centymetrów. Po jednej stronie widniała obudowa zbiornika, po drugiej zardzewiała płyta. Rusanow napał na nią i ustąpiła.

Widok zapał Vornado dech. Wnętrze statku było jasno oświetlone i świeżo pomalowane. Przegrody wyglądały tak, jakby frachtowiec zwodowano tydzień temu. Vornado stał na platformie ogrodzonej relingiem. W dole, w wąskim basenie, spoczywał cylindryczny kadłub „Liry”. Nad kioskiem wznosił się drewniany pomost. Okręt był ciasno wpasowany w ładownię i ledwo się mieścił między burtami frachtowca. Z obu stron zabezpieczały go gumowe odbojniki. Kadłub „Liry” opasywały dwa tuziny metalowych klamer o średnicy dziesięciu metrów. Do każdej zostały przymocowane cztery liny ze ściągaczami śrubowymi biegnące do stalowych uchwyty przyspawanych do wręg frachtowca. Genialne, pomyślał Vornado.

– Fantastyczne – wyszeptał. – Ile czasu zajęło zrobienie tego wszystkiego?

– Dużo mniej niż zbudowanie „Liry” – odparł Rusanow.

– Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

– Względy bezpieczeństwa, kapitanie. Im mniej wtajemniczonych, tym lepiej.

– Kiedy ruszamy? – zapytał Vornado.

– Za dziesięć minut. Jurij Biełkow i bracia Kaznikow chcą się z panem pożegnać. Klienci są już na pokładzie, silniki frachtowca pracują na biegu jałowym.

– „Lira” jest na zasilaniu wewnętrznym?

– Tak. Zanim ją przemieściliśmy, uruchomiliśmy reaktor, włączyliśmy turbogeneratory i odcięliśmy zasilanie z lądu.

– Andriej – zaczął groźnie Vornado. – Co jeszcze zrobiliście bez mojego pozwolenia?

– Niech pomyślę... Załadowaliśmy olej smarny, ciekły metal chłodzący, wodę dejonizowaną, dielektryki akumulatorowe, alkohol, paliwo do diesla, olej hydrauliczny, ciekły tlen, wodór do chłodzenia turbogeneratorów, sprężone powietrze...

– Wystarczy. Nie chcę słyszeć nic więcej. Zaraz dostanę szau. Może mi pan wierzyć, że już nigdy nie zasnę, jeśli będzie pan miał kluczyki do mojego okrętu podwodnego. – Vornado urwał. – Powiedział pan, alkohol? Do których urządzeń?

Rusanow wyszczerzył zęby.

Vornado machnął ręką.

– Nieważne. – Był tak przyzwyczajony do prohibicji na

amerykańskich okrętach wojennych, że nie przyszło mu do głowy, że Rusanow może włożyć do chłodni kilka skrzynek wódki.

Wyszli z ładowni frachtowca i wrócili po trapie do doku wyładunkowego barki. Andriej zaprowadził Vornado do pustego pomieszczenia, gdzie czekali na niego uśmiechnięci bracia Kaznikow i Jurij Biełkow.

– Pamiętasz dzień naszej rozmowy kwalifikacyjnej z tobą? – zapytał Jurij.

Vornado uśmiechnął się.

– Nigdy go nie zapomnę.

– A jak nam powiedziałaś, że zastawiłaś swój ulubiony zegarek, Rolex Submariner?

Vornado zaczął coś podejrzewać. Biełkow wręczył mu małe, zielone pudełko.

– To za twoją perfekcję inżynierską i pomyślny rejs, bo z góry wiemy, że taki będzie – powiedział Leon. – Otwórz.

W środku leżał złoty Rolex Submariner z niebieską tarczą. Niemal taki sam, jak tamten, który Vornado dostał w prezencie od Rachel, kiedy awansował na kapitana „Hamptona”. Ale tamten był z nierdzewnej stali i złota, a ten z samego złota. Po raz drugi w ciągu godziny Vornado zwilgotniały oczy.

– Nie wiem... co powiedzieć – wyjąkał. – Jestem wzruszony. Dziękuję. Bardzo wam dziękuję.

– Nie zapomnij przeczytać inskrypcji, Peter – dodał Leon.

Na kopercie zegarka widniał wygrawerowany cyrylicą maleńki napis: DLA NAJLEPSZEGO PODWODNIAKA NA WSCHODZIE I ZACHODZIE OD PRZYJACIÓŁ, POMYŚLNYCH WIATRÓW, PETER. Vornado zaszkliły się oczy. Choć trafił do terminalu z fałszywymi danymi, spotkał tu prawdziwych ludzi z prawdziwymi uczuciami i problemami. Przeżył razem z nimi trudny okres. Po policzku spłynęła mu łza. Wytarł ją szybko, zanim ktoś zauważył, potem uściskał Leona, Siergieja, Jurija i na końcu Rusanowa.

– Włóż go – zachęcił z uśmiechem Jurij.

Vornado zapiął bransoletę luźno, tak jak lubił. Zegarek był duży i ciężki. Vornado poruszył nadgarstkiem, żeby odpowiednio ustawić niebieską tarczę. Miał dziwne wrażenie, że jeszcze raz przeżywa początek swojej dawnej, znajomej rzeczywistości.

Trzej mężczyźni poklepalili go po ramieniu i życzyli powodzenia w misji. Powiedzieli, że będą czekali na jego powrót. Kiedy Vornado odwrócił się, żeby pomachać Rosjanom ostatni raz, wewnątrz terminalu wydało mu się dziwnie puste i smutne bez okrętu na platformie konstrukcyjnej. Halę stoczniową nadal oświetlały mocne reflektory, ale pozostały w niej tylko autobusy Egipcjan zaparkowane rzędem zderzak w zderzak w oczekiwaniu na odbiór po misji.

Vornado pomyślał, że nie cierpi pożegnań. Poszedł wolno do krytego doku wyładunkowego barki i wszedł na trap prowadzący na pokład „Ki – rowskiego”. Serce

ściskało mu się z żalu. Kiedy dotarł do końca trapu, tradycyjnie stuknął dwa razy sygnetem akademii w poręcz na pożegnanie.

Już za tobą tęsknię, Swietłano, przyszła mu do głowy nieproszona myśl. Upomniał się, że powinien się bardziej kontrolować. Kiedy wszedł na pokład frachtowca, suwnica mostowa odciągnęła trap i kilku stoczniovców rzuciło na statek ciężkie cumy. „Kirowski” odbił od brzegu i włączył syrenę. Dźwięk zadudnił na cichej rzece. Woda za rufą wzburzyła się i frachtowiec powoli ruszył naprzód. Posuwał się tak wolno i równo, że wydawało się, iż stoi w miejscu, a tylko ląd się przesuwa.

Vornado wszedł do środka nadbudowy i wspiał się na mostek. Na tylnej platformie z widokiem na rufę zastał Rusanowa. Andriej stał oparty o reling i palił. Vornado przyjął rosyjskiego papierosa i wpatrzył się w malejące światła Murmańska. W końcu miasto zniknęło za łagodnym zakrętem rzeki. Vornado westchnął i wrócił do nadbudowy. Zszedł do ładowni, dostał się po drewnianym trapie na „Lirę” i opuścił szybem wejściowym do kapsuły ratunkowej.

Natychmiast zauważył zmianę. Nie świeżą farbę, działający panel sterowniczy czy sprzęt ratunkowy na przegrodach, lecz zapach. Woń stoczni zastąpił charakterystyczny zapach atomowego okrętu podwodnego. Vornado wdychał woń oleju smarowego, ozonu, tłuszczu do smażenia, dymu papierosowego, spalin dieslowskich pozostałych po próbnym

uruchomieniu generatora awaryjnego, środków czyszczących, czystego tlenu i amin z urządzeń do kontroli atmosfery. Lubił te zapachy. Spojrzał na tarczę Roleksa. Znow czuł się prawdziwym podwodniakiem.

Zszedł po drabince do centrum dowodzenia. Buczenie urządzeń było odurzające. W pomieszczeniu pełnił wachtę Dimitrij Masłow, inżynier elektryk i elektronik. Siedział na fotelu operatora w lewym tylnym rogu sterowni przy panelu obsługowym zespołu napędowego. Dimitrij był wyższy i szczuplejszy od swojego młodszego brata. Z rudymi włosami i piegowatą twarzą nie wyglądał na czterdzieści lat. Temu wrażeniu przeczył jego poważny, rozkazujący baryton. Na widok Vornado Masłow jak zwykle wstał i wyprężył się na baczność. Zwyczaj wydawał się dziwny, bo Dimitrij był cywilnym naukowcem.

– Dobry wieczór, panie kapitanie – powiedział.

– Cześć, Dimitrij, spocznij.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Co z reaktorem i instalacją parową? – zapytał Vornado.

– Moc piętnaście procent, pompy chłodziwa pracują na niskich obrotach, oba turbogeneratory działają. Silnik główny jeszcze nieuruchomiony. Myślę, że czas go podgrzać. Proponuję zrobić co minutę kilka obrotów wałem, żeby trzymał temperaturę.

– Jak daleko mamy do miejsca odłączenia się od „Kirowskiego”?

Masłow podszedł do poziomego wyświetlacza nawigacyjnego w prawym tylnym rogu pomieszczenia.

– Tutaj wyjdziemy z zatoki. – Pokazał czarny punkt. – Niech obliczę...

– Moment. Czy zegary na okręcie są ustawione według czasu Greenwich?

– Nie, według moskiewskiego.

Vornado pokręcił głową.

– Tak jest, panie kapitanie, czas Greenwich. – Masłow nie czekał na dalsze instrukcje. Wyzerował dwa mosiężne chronometry na panelach po stronie prawej i lewej burty. Usiadł na fotelu operatora, wyświetlił ekrany konfiguracyjne na monitorach systemu Yokogawa i zmienił czas. Zadowolony, że komputer wykonał polecenie i nie powstał żaden problem w module nawigacyjnym, Dimitrij wrócił do wyświetlacza.

– Wyjdziemy z Zatoki Kolskiej na północ trochę po drugiej nad ranem czasu Greenwich. Płyniemy z szybkością około dwunastu węzłów i tutaj skęcimy na zachód. Morze w tym rejonie jest płytkie, ma tylko kilkaset metrów głębokości, ale to wystarczy, żebyśmy odłączyli się tutaj, około pięćdziesięciu mil morskich na północny wschód od granicy rosyjsko-fińskiej.

– Dobrze – mruknął Vornado i poklepał kaburę pistoletu. – Gdzie są klienci?

Masłow uśmiechnął się.

– Chcieli być tam, gdzie coś się dzieje, więc poszli na mostek frachtowca. Chyba za bardzo ich pan wystraszył,

żeby znów tu przyszli.

– Wróca. Po kilku godzinach spędzonych pod wodą w małych kajutach na pewno zapukają do drzwi centrum dowodzenia. – Vornado odwrócił się, żeby odejść. – Może pan grzać silnik główny, ale niech pan zaczeka z jego uruchomieniem na Rusanowa.

– Tak jest, panie kapitanie.

Vornado dał nura do szybu wejściowego, uniósł kratę i zszedł do swojej kajuty na środkowym poziomie trzeciego przedziału. Zamknął za sobą drzwi, zdjął grubą kurtkę, czapkę i powiesił je w szafie. Wisiały tam jego kombinezony podwodniackie. Ktoś go rozpakował. Na biurku w rogu stał w specjalnym uchwycie notebook. Vornado wciągnął nosem powietrze i poczuł zapach perfum Swietłany. Halucynacje na morzu nie były niczym niezwykłym, zwłaszcza słuchowe i węchowe. Po pięćdziesięciu dniach w zanurzeniu ludzie słyszeli głosy swoich żon i czuli woń matczynych potraw. Ale on był w pełni wypoczęty i wyszedł w morze dopiero pół godziny temu. Może po prostu za dużo o niej myślał.

Otworzył drzwi do łazienki i zobaczył Swietlanę. Stała oparta o ścianę ze stali nierdzewnej. Miała na sobie niebieski kombinezon, który podkreślał jej szczupłą figurę. Lśniące blond włosy opadały na ramiona. Uśmiechała się promiennie w jasnym świetle jarzeniówek. Vornado poczuł ulgę i radość. Ale po chwili zmarszczył brwi – klienci nie zaakceptują kobiety na pokładzie.

Nie zdążył pomyśleć nic więcej, bo rozsunęła suwak i ściągnęła mu kombinezon z ramion. Przyciągnęła Petera do siebie i pocałowała mocno. Przepęniało go irracjonalne szczęście. Reagował na bliskość ciała Swietłany i wbrew wszystkiemu, co się działo, potrafił myśleć tylko o tym, że jej pragnie.

– Tęskniłem za tobą – wyznał cicho.

Swietłana pocałowała Petera tak, jakby go chciała wchłonąć w siebie.

– Miałam nadzieję – szepnęła. – Chodź, wypróbujemy twoje nowe łóżko.

Przez kilka następnych godzin, dopóki frachtowiec nie wyjdzie na Morze Barentsa, nie zapowiadało się nic do roboty. Vornado postanowił, że to będzie ich ostatni raz. Potem nakłoni dziewczynę do pozostania na pokładzie „Kirowskiego” i powrotu do Murmańska.

Jak się okazało, jeden raz mu nie wystarczył.

Nocna wachta w kabinie sonarowej USS „Tucson” miała zdecydowanie nierutynowy przebieg. Okręt leżał na skalistym dnie morskim u wyjściu z Zatoki Kolskiej lekko przechylony, co bardzo odpowiadało starszemu bosmanowi sonarzyście Harlanowi Keatingowi. Charakterystyka dna i lejkowaty kształt wyjścia z zatoki stwarzały doskonałe warunki do odbioru dźwięku. Dzięki rzeźbie terenu mogli słyszeć nawet to, co działo się daleko za zakrętami w górze rzeki.

Keating, wysoki, szczupły brunet miał trzydzieści siedem lat i prawie od dziewiętnastu służył jako sonarzysta. Mówił z tak bełkotliwym akcentem z Tennessee, że w zwykłej rozmowie z trudem go rozumiano. Ale kiedy był podekscytowany, wymawiał każde słowo wyraźnie, jak prezenter telewizyjny. Wybrał nocne wachty, bo ilekroć tropił na północy Rosjan, sukinsyny zawsze wymykali się z portu w środku nocy, w przeciwieństwie do amerykańskich sił podwodnych, które zaczynały każdą tajną misję w poniedziałek o ósmej rano. Spojrzał na chronometr cyfrowy na przegrodzie. Zegar wskazywał pierwszą czterdzieści siedem nad ranem. Keating postanowił zamówić sobie wcześniej drugą połowę dzbanka kawy. Na szczęście w nocy kucharze przygotowywali na rano pączki i mógł liczyć na te z nadzieją, zanim reszta załogi wszystkie rozgrabi.

To był dla Keatinga długi rejs. Choć cieszył się, że wykonuje pracę swojego życia, ta misja nie mogła wypaść w gorszym czasie. Trzy tygodnie przed ich wyjściem w morze u jego sześciolatniej córki stwierdzono białaczkę. Planował wziąć urlop opiekuńczy, ale kiedy w dniu ogłoszenia alarmu położyli Becky do łóżka, jego żona Diane odciągnęła go na bok. Harlan, powiedziała, ona już wie o tej misji od córki Freda Daviesa. Jeśli zostaniesz w domu, wystraszysz małą. To inteligentny dzieciak i orientuje się, kiedy coś jest nie tak. Przyzwyczała się do twoich rejsów. Jeśli będziesz się tu snuć całymi dniami, tylko pogorszysz sytuację. Ona pomyśli, że umiera, i rozchoruje się jeszcze bardziej. Płyn. Zajmę się nią, a ty za miesiąc wrócisz.

Diane była wziętym psychologiem dziecięcym. Keating od chwili ślubu drażnił się z żoną, że on wie o dzieciach więcej od niej, bo pochodzi z wielodzietnej rodziny – miał sześcioro rodzeństwa. Ale tym razem przyznał Diane rację. Kiedy zegnał się z Becky w niedzielę wieczorem, Diane posłała mu ostrzegawcze spojrzenie: uważaj, co do niej mówisz. Nie dawaj do zrozumienia, że jest ciężko chora. I nie rozpłacz się, na litość boską! Przeczytał Becky cztery z jej ulubionych książeczek, potem uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. Życzyła mu udanej podróży pod falami. Ojciec pod – wodniak działał na dziecięcą wyobraźnię. Często zabierał ją w soboty na pokład „Tucsona”. Kapitan Dillinger lubił wizyty dzieci na okręcie. Ostatnim razem zaprosił nawet oboje na lunch

do mesy oficerskiej.

Keating nadrabiał miną, dopóki siedział z Becky. Ale kiedy tylko zamknął drzwi jej sypialni, odsunął Diane na bok i zbiegł do garażu – swojego azylu. Opadł na stołek przy stole warsztatowym i rozplakał się. Szlochał tak, że trzęsły mu się ramiona. Nie chciał, żeby Diane widziała go w takim stanie. Wiedział, że to by na nią źle podziałało. Ale po chwili poczuł rękę żony na ramieniu. Spojrzał na Diane przez łzy.

– Wszystko będzie dobrze, Harlan – powiedziała, ale też miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy.

– Jezu, Diane – wykrztusił drżącym głosem. – Dlaczego Bóg to robi dziecku? Dlaczego właśnie Becky? Dlaczego nie mnie? Dlaczego, cholera, nie mnie?!

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Milczeli przytuleni do siebie w brudnym garażu i wzajemnie moczyli sobie łzami ubrania. Osiem godzin później Keating stał na górnym poziomie przedziału dziobowego „Tucsona”, robił kontrolę przedrejsową sonaru i modlił się w duchu, żeby Becky wyzdrowiała.

Dostarczono dzbanek aromatycznej, parującej kawy. Keating upił łyk i rozejrzał się. Podłużna klitka nie zasługiwała na miano kabiny. Była mniejsza niż łazienka w domu jego ojca w Memphis. Od krawędzi rzędu konsoli z prawej strony do przegrody z lewej miała szerokość półtora metra, od przedniej przegrody do kurtynowych drzwi do sterowni długość czterech i pół. Przy konsolach były trzy stanowiska operacyjne. Każde

miało dwa duże wyświetlacze – jeden pionowy, drugi pochylony łagodnie w kierunku operatora. Trzy obrotowe fotele z wysokimi oparciami tkwiły przyśrubowane do pokładu. Za nimi stał wysoki stółek, z którego szef sonarzystów pełniący wachtę widział wszystkich sześć wyświetlaczy.

Każdy wachtowy szef sonarzystów konfigurował sprzęt według własnego uznania. Keating lubił, kiedy jego operator używał dwóch ekranów z lewej strony, na przedniej konsoli, jako wyświetlaczy szerokopasmowych. Pokazywały dane odbierane przez antenę sferyczną w dziobie okrętu – surowy, jeszcze nieprzetworzony dźwięk, jego kierunek i natężenie. Siłę dźwięku określał stopień jasności śladu na ekranie, kierunek wyświetlał się na poziomej osi. Keating ustawił na środku wyświetlacza południe, 180 stopni, gdyż taki był wektor zagrożenia – przewidywany kierunek pojawienia się rosyjskiej „Alfy”. Prawą stronę ekranu zajmowały kierunki od 181 do 359, lewą kierunki od 001 do 179. Jasny ślad na kierunku 180 wskazywałby, że zbliża się stamtąd statek lub okręt podwodny.

Obraz na ekranie przesunął się z czasem w dół. Dźwięk z południa, z kierunku 180 stopni, tworzyłby jasny ślad. Gdyby dźwięk był stały, ślad przesunąłby się pionowo w dół z całą resztą danych. Odczyty na wszystkich innych kierunkach też opadałyby wolno ku dolnej krawędzi ekranu. Dlatego obraz nazywano „wodospadowym”.

Antena sferyczna była odbiornikiem „szerokopasmowym” – rejestrowała większość częstotliwości fal dźwiękowych, podobnie jak ludzkie ucho. Ślad na ekranie wskazywał natężenie dźwięku, ale poza tym obraz nie dostarczał żadnych innych informacji, na przykład: czy odgłos oznacza obecność okrętu podwodnego, czy stworzenia morskiego. Operator sonaru mógł tak ustawić system, żeby słyszeć w słuchawkach dźwięk odbierany przez określone hydrofony pod żądanym kątem, co czyniło z anteny sferycznej gigantyczny mikrofon kierunkowy. Dobry operator potrafił dużo powiedzieć o dźwięku w słuchawkach. Obracająca się śruba statku powodowała kawitację w wodzie morskiej i wydawała rytmiczny odgłos. W wypadku mniej hałaśliwej śruby zanurzonego okrętu podwodnego, kiedy po stronie niskiego ciśnienia na łopatach nie tworzyły się pęcherze pary, dźwięk mógł być odgłosem pracy pomp wody morskiej lub wielkich pomp chłodziwa reaktora.

System szerokopasmowy nie wystarczał do dalekiej detekcji cichego okrętu podwodnego. Służył do tego sonar wąskopasmowy, który nasłuchiwał tonów. Wykrywała je antena holowana, hydrofon o długości siedemdziesięciu sześciu metrów holowany na niemal dwukilometrowej linii. Antena linearna leżała teraz na dnie zatoki, gdzie umieścił ją z wprawą kapitan Dillinger. Długi hydrofon sonarowy spoczywał prostopadle do kierunku biegu rzeki. Odbierał każdy dźwięk, podobnie

jak antena sferyczna, ale go przetwarzał. Impulsy elektryczne z poszczególnych segmentów hydrofonu docierały przewodem w linii holowniczej do potężnego procesora wąskopasmowego w komputerze sonaru BQQ-5. Procesor był bardzo zaawansowanym technicznie filtrem częstotliwości. Przez ostatnich trzydzieści lat stale zwiększano jego moc obliczeniową, żeby jak najszybciej przesiewał hałasy oceanu w poszukiwaniu odgłosu okrętu podwodnego. Surowy dźwięk przechodził przez filtr częstotliwości, żeby wyłapać określony stały ton, który mógł być przedstawiony graficznie w wąskim paśmie. Dzięki temu operator potrafił natychmiast odróżnić naturalne hałasy szerokopasmowe fal, wiatru, deszczu, stworzeń morskich czy wrzenia wody wywołanego erupcją lawy od wąskopasmowego odgłosu turbogeneratorskiego okrętowego, głównej pompy wody morskiej czy pompy recyrkulacyjnej reaktora. Ton naturalnego hałasu oceanu tworzył na wykresie nieregularny garb, ton sztucznego odgłosu miał wyraźny kształt szpica.

Problem polegał na tym, że w oceanie było tyle dźwięków na tak wielu częstotliwościach, że komputer sonaru BQQ-5 mógł nie nadążyć z przetwarzaniem nadchodzących danych. To nie film, pomyślał Keating, gdzie zaczajony okręt podwodny ma wszystkie informacje o oceanie wokół niego, a na ekranie radaru widać przeciwników. Tutaj, na dnie Zatoki Kolskiej, żyli w niepewności z wykresami prawdopodobieństwa

pojawienia się wrogiego okrętu podwodnego.

Q-5 rozdzielał strumień danych i koncentrował się na małych częściach całości. Antena holowana miała zdolność „tworzenia wycinków” – odrzucania wszystkich nadchodzących informacji z wyjątkiem tych, które napływały z wąskiego sektora oceanu. Jeśli operator sonaru znał wektor zagrożenia, mógł się skupić na tym konkretnym wycinku. Na środku oceanu nie miał takiego luksusu, żeby z góry wiedzieć, który wycinek okaże się szczęśliwy, dlatego ułożono plan poszukiwań sonarowych. Przez piętnaście minut badano jeden wycinek, potem kasowano dane i przechodzono do następnego. Q-5 koncentrował się na kilku wybranych częstotliwościach. Wywiadowcze nagrania odgłosów wrogich okrętów podwodnych dowodziły, że każdy typ okrętu ma indywidualną sygnaturę dźwiękową, amerykańskie również. Specjaliści od sonarowych danych wywiadowczych wiedzieli, jakie częstotliwości są emitowane przez rosyjskie okręty podwodne klasy Akula, Sierra i oczywiście Alfa. Znali też charakterystyczne tony amerykańskich okrętów klasy Seawolf i Los Angeles. Takie informacje można było uzyskać tylko dzięki nagraniom z bliskiej odległości, więc okręt szpiegowski musiał się zbliżyć do nowej konstrukcji podczas jej dziewiczego rejsu.

Niestety, aby znaleźć wrogi okręt podwodny, trzeba było dokładnie wiedzieć, czego szukać. Ale jeśli operator znał cel poszukiwań, reszta układała się sama. Q-5 był tak

skonfigurowany, że sprawdzał cztery lub pięć zakresów częstotliwości czterech lub pięciu spodziewanych tonów i operator po prostu obserwował, czy na powstających wykresach pojawiają się szpice, odrzucał niepotrzebne dane i co piętnaście minut zaczynał od nowa. W sytuacji „Tucsona” było jeszcze łatwiej, bo antena holowana leżała w poprzek dna zatoki w taki sposób, że wystarczyło sprawdzać tylko cztery wycinki morza. Wiedzieli, że szukają „Alfy”, i bez względu na to, jakie modyfikacje przeszedł ten okręt w stoczni, musiał mieć sygnaturę dźwiękową o bardzo wąskim zakresie częstotliwości.

Dwa środkowe ekrany wyświetlały cztery wykresy podstawowych częstotliwości „Alfy”. Częstotliwości pokazywała oś pozioma, natężenie dźwięku oś pionowa. Na dwóch prawych ekranach były zakresy drugorzędnych częstotliwości rosyjskiego okrętu. Problem polegał na tym, że od końca lat 80. nikt nie słyszał, żeby „Alfa” wykazywała jakąś aktywność. Ten okręt zawsze sprawiał kłopoty, pomyślał Keating. Surowa moc bez żadnej finezji. Pełna automatyzacja i załoga złożona z samych oficerów.

W mesie załogi żartowano, że jeśli „Alfę” obsługują wyłącznie oficerowie, „Tucson” nie ma się czego obawiać. Docinki między oficerami i resztą załogi były tradycją od czasów pierwszych dieslowskich okrętów podwodnych. Brały się stąd, że wszyscy tłoczyli się razem w ciasnej przestrzeni i wspólnie ryzykowali życie. Żarty służyły rozluźnieniu atmosfery. Nie wszyscy

mówili sobie po imieniu, ale rozumieli się i szanowali wzajemnie. Keating często wygłaszał w mesie opinie, że sonarzyści są najważniejszymi członkami załogi, bo bez nich zanurzony okręt byłby ślepy, głuchy i bezbronny. Muskularni technicy jądrowi, „atomiści” obsługujący zespół napędowy w części rufowej, patrzyli na Keatinga wilkiem i odpowiadali, że „sonarowe panienki” przez całą wachtę gapią się tylko w swoje telewizorki, trzy razy dziennie biorą prysznic i śmierdzą francuskimi perfumami. A niech zapieprzają w maszynowni, pomyślał Keating. Ale prawdziwa robota na okręcie podwodnym odbywa się tutaj.

– Ciagle nic? – zapytał Keating.

Pełnił wachtę z młodym sonarzystą trzeciej klasy, Antonio Szczeniakiem Moralesem. Chudy, czarnowłosy intelektualista z krostowatą twarzą cesał się z przedziałkiem na środku i nosił okulary w drucianej oprawce. Był jeszcze zielony, ale miał głowę na karku. Tym rejssem powinien sobie zasłużyć na srebrne delfiny podwodniackie i awans. Na razie korzystał z doświadczenia starszego kolegi i prawdę mówiąc, obrywał za to, że jest najmłodszy w sekcji. Gdyby chciał, mógłby się dostać do dobrego college'u, ale podobnie jak Keating, szukał przygód. Choć niektórzy nie nazwaliby tak wielogodzinnego siedzenia przed monitorami w oświetlonej na zielono i czerwono kabinie, Keating uważał to za przygodę i Morales podzielał jego zdanie. „Atomiści” z maszynowni uparli się, żeby wciągnąć

młodego podoficera do swojej paczki. Zabierali Moralesa do barów dla motocyklistów, gdzie uczyli go marynarskiego picia i obrony przed cywilnymi harlejewcami, ale na morzu zostawiali go w spokoju.

Morales obserwował na zmianę wyświetlacze szeroko – i wąskopasmowe. Keating decydował, kiedy usunąć dane z zakresów częstotliwości i zacząć od nowa. Morales nasłuchiwał hałasów szerokopasmowych i informował szefa, jeśli wyłapał coś niezwykłego.

Keating znów spojrzał na chronometr. Pomyślał, że ta wachta strasznie się wlecze. Ale jeśli nie namierzą „Alfy” dziś, może pojawi się jutro. Ziewnął, wyzerował wszystkie zakresy częstotliwości i patrzył, jak powoli napływa do nich dźwięk.

Tylne drzwi kajuty kapitańskiej, prowadzące do sterowni, były zaryglowane; drugie, wychodzące na korytarz, również. Paliła się tylko połowa czerwonych lamp sufitowych. Dochodziła druga nad ranem. Mimo że wentylatory pracowały na niskich obrotach, w kabinie panował chłód z powodu arktycznego zimna na północnych wodach.

Burke Dillinger miał na sobie stary wełniany płaszcz kąpielowy z West Point, cenną zdobycz z jego akademickich czasów, kiedy marynarka mocno dokładała armii. Siedział na koi, patrzył w przestrzeń i czekał na Natalie. Zastanawiał się, czy to, co chce zrobić, jest rzeczywiście takie nieodpowiedzialne, nierozsądne i

szalone, jak mu się wydaje.

Niemal słyszał wyrok sądu wojennego lub przynajmniej komisji dyscyplinarnej admiralicji. Samo to, że napomknął Natalie, co do niej czuje, mogło go pozbawić dowództwa i zniszczyć jego karierę. Nawet na lądzie, w Norfolk, w swoim własnym domu w sobotni wieczór powinien ją traktować tylko jako swoją podwładną. Oczywiście wolno im było się przyjaźnić, pić razem i żartować aż do zamknięcia barów. Mógł otoczyć Natalie ramieniem jak kumpla, żeby nie wpadła po pijanemu do przydrożnego rowu. Ale gdyby objął ją tak, jak mężczyzna kobietę, mógłby stanąć przed sądem wojennym. Sama myśl o dotknięciu D'Assault na morzu wydawała się absurdalna. To było największe tabu w marynarce wojennej. Romans kapitana atomowego okrętu podwodnego ze swoją podwładną w czasie rejsu wywołałby głośny skandal. Co gorsza, do ich zbliżenia miało dojść nie podczas tranzytu przez amerykański rejon operacyjny VaCapes, lecz tutaj, na Morzu Barentsa, na wodach terytorialnych obcego państwa. Rozkaz wpłynięcia na dwunastomilowy pas morza wzdłuż rosyjskiego wybrzeża wydał sam prezydent, gdyż nikt inny nie miał takich uprawnień. Wiadomość usunięto z bufora i zniszczono, kiedy tylko została przeczytana przez kapitana, XO i nawigatora. Nie, pomyślał Dillinger. W tym przypadku nie byłoby postępowania administracyjnego ani komisji dyscyplinarnej, lecz sąd wojenny.

Są tu w misji szpiegowskiej. Leżą na dnie morza u wyjścia z rosyjskiego portu. Na pokładzie obowiązuje cisza taktyczna. Sonar nasłuchuje wrogiego okrętu podwodnego. Mają rozkaz strzelać, żeby zabić. Ta operacja jest tak tajna i ważna, że zapewne zostanie wezwany do Pentagonu – nie, do Białego Domu – żeby zdać relację z jej przebiegu. A tymczasem siedzi na koi o drugiej nad ranem podczas wachty, kiedy może się pojawić cel, i czeka na swoją zastępczynię, żeby popełnić wykroczenie z powodu słabości własnego charakteru.

Po raz pierwszy od miesiący pomyślał o swoim ojcu. Kinnaird Kin Dillinger wydawał mu się wielki, dopóki nie ujawnił, że prowadził podwójne życie. Dillinger przypomniał sobie swój stosunek do ojca sprzed tamtego dnia i uśmiechnął się na myśl, jak po dziecinnemu czcił go jako bohatera. Jak jego stary zareagowałby na tę sytuację? Wyraziłby dezaprobatę i doradził synowi, żeby odsunął się od Natalie, wziął się w garść i był profesjonalistą? Czy powiedziałby, że taką kobietę spotyka się tylko raz w życiu i żeby nie bronił się przed miłością? A może znalazłby kompromis – teraz się wstrzymaj, ale później bądź z Natalie? Dillingerowi wydało się, że zna odpowiedź: powinien postąpić tak, żeby uszanować to, co dla niego w życiu ważne – karierę, okręt, załogę i Natalie. Ale jak uzyskać równowagę? – usłyszał swój głos z czasów dzieciństwa. Znajdziesz rozwiązanie, nadeszła odpowiedź jakby z zewnątrz. Wiesz, jak dowodzić okrętem i załogą, a kiedy nadejdzie

czas, będziesz wiedział, jak kochać Natalie Whitworth D'Assault.

Usłyszał, że otwierają się drzwi wspólnej łazienki, i wrócił do terazniejszości. Odwrócił głowę. Natalie stała w czerwonym świetle półtora metra od niego. Miała na sobie długi, biały T-shirt, który sięgał do połowy jej nagich ud. Dillinger widział pod bawełnianą koszulką pełne piersi i okrągłe biodra. Ciemne włosy opadały na ramiona i lśniły w blasku czerwonej lampy sufitowej. Wstał, żeby na nią spojrzeć. Błyszczące oczy Natalie szukały jego wzroku. Czuł jej perfumy – słaby, lecz piękny zapach, który znał, ale już nie pamiętał, skąd. Podeszła bliżej, patrząc na niego.

Wiedział, co powinien powiedzieć – nie mogą być razem, muszą myśleć o swoich karierach. Mają ważne zadanie do wykonania. Nie wolno im wdawać się w romans. Taki związek jest zabroniony nie bez powodu.

Przysunęła się jeszcze bliżej i rozchyliła wargi. Zobaczył jej język. Otworzyła usta szerzej, jakby chciała coś powiedzieć. Była teraz tuż przy nim. Patrzył na rozpuszczone włosy Natalie i przyszła mu do głowy dziwna myśl, że kocha każdy jej włos.

Powiedz jej, że to niemożliwe.

Wyciągnął ręce i dotknął gładkich ramion. Przyciągnął dziewczynę do siebie, żeby wyszeptać jej do ucha smutną prawdę.

Powiedz jej, że nic więcej się nie zdarzy. Nie pozwala ci na to poczucie obowiązku wobec ojczyzny, marynarki

wojennej i załogi. Nie wolno ci tego zrobić, mimo że tak bardzo jej pragniesz.

Trzymał Natalie za ramiona. Stała przy nim z bezradnie opuszczonymi rękami. Miała uniesioną głowę i wpatrywała się w niego.

Powiedz, że to koniec.

Zaczęła zamykać oczy. Powieki zakrywały powoli piękne piwne tęczówki i rozszerzone źrenice. Miała lekko piegowaty nos. Poczul na ustach jej wargi i ledwo mógł w to uwierzyć. Przysunęła się do niego? Nie, to on wyszedł jej na spotkanie.

Nie możesz tego zrobić. Przerwij to natychmiast. A potem wyjaśnij jej wszystko.

Czul na wargach pieszczotę miękkich, ciepłych, wilgotnych ust, każdą ich cząstkę i miękkość jej języka. Wchłaniała go w siebie. Waliło mu serce, krew szumiała w uszach. Poczul na plecach dotyk delikatnych rąk, chłodną skórę jej ramion. Pociągnęła go za szyję w dół. W odpowiedzi przytulił ją mocniej. Narastało w nim pragnienie, całował Natalie namiętnie. Jęknęła cicho. Na moment wrócił do rzeczywistości – nikt nie może o tym wiedzieć.

To kuszenie losu. Powiedz, że nie możesz tego zrobić. Nie tu i nie teraz.

Przysunął ją do koi i położył na materacu. Zadarta koszulka odsłoniła białe majtki i kształt obietnicy, którą skrywały. Objęli się, ich usta znów się spotkały. Sięgnęła po jego dłoń i włożyła ją pod koszulkę. Zamknął oczy,

dotknął ciepłej, miękkiej piersi i twardego sutka. Całował Natalie gwałtownie, mocno ścisnął jej pierś.

Poczuł w uchu gorący oddech, potem język. Wsunęła się pod niego. Zdał sobie sprawę, że ściągnęła majtki. Oparła kolano o ścianę. Zdjęła mu z ramion płaszcz kąpielowy. Wyprostował się, rozebrał do końca i rzucił ubranie na podłogę. Był nagi. Poczuł na dole jej zimne palce i przeszedł go dreszcz podniecenia. Teraz on jęknął, ale zamknęła mu usta pocałunkiem. Zrozumiał, że Natalie równie mocno pragnie zbliżenia.

Wciągnęła go na siebie i niecierpliwie przynagliła do miłości. Był zaskoczony, że już jest gotowa. Dayna zawsze potrzebowała długiej gry wstępnej. Wbił się w wilgotne ciepło. Zamknęła oczy. Świat zawirował wokół niego, rozplątał się wśród snopów iskier dookoła nich, zniknął w czerwonym mroku. Poruszał się najpierw powoli, ale potem nie mógł się powstrzymać, gdy usłyszał jej ciężki oddech. Wbijał się w nią coraz mocniej i szybciej. Czuł na plecach wiatr o huraganowej sile, który pchał go do środka Natalie. Szepnął do ucha jej imię. Otworzyła oczy. Na jedną dziesiątą sekundy zobaczył widok, który uważał za najpiękniejszy na świecie – wyraz szczęścia na jej twarzy.

– Och, Natalie... – wymruczał. – O, Boże...

– Kocham cię, Burke – szepnęła i przeczesła mu palcami włosy. Poszukała ustami jego ust i ugryzła go w dolną wargę.

Miłosne wyznanie odbijało się echem w jego głowie.

Zastanawiał się, ile kobiet już mu to powiedziało, i ile razy zepsuło to nastrój chwili. Nic jednak nie podziało na niego tak, jak te słowa wypowiedziane cudownie aksamitnym głosem Natalie. I stało się. Nie chciał tego pomyśleć, a tym bardziej głośno wyrazić; uważał, że zdoła się powstrzymać. Ale mylił się.

– Kocham cię, Natalie.

Pocałowała go i przyciągnęła mocniej do siebie. Przesunęła palcami wzdłuż jego pleców aż do bioder. Przynagliła do szybszego rytmu. Oddychała coraz prędzej. Zamknął oczy. Czuł bliskość smukłego ciała, miękkie i twarde miejsca, gładkość skóry, ciepło i wilgoć wnętrza Natalie. Poruszała się pod nim coraz szybciej i gwałtowniej. Otworzył oczy i zobaczył jej skoncentrowaną minę. Nagle wyprężyła się i zamarła. Rozchyliła usta, westchnęła i rozluźniła się. Uniosła powieki i uśmiechnęła się do niego.

Nie był pewien, co doprowadziło go na krawędź – może wyraz szczęścia i nasycenia na twarzy Natalie, może sposób, w jaki powiedziała, że go kocha, a może odgłos, który wydała w momencie kulminacji. Poczował nagłą ekstazę, tak gwałtowną, że niemal bolesną. Na długie sekundy stali się jednością. Wzdrygnął się z zimna. Otoczyła go ramionami. Popatrzył na nią uważnie.

Jeszcze nigdy nie widział takiej miłości w oczach kobiety. Zapragnął, żeby znów się kochali. To było niezwykle odkrycie. Dotąd po seksie zawsze chciało mu się spać lub miał ochotę się wycofać, wrócić do

przyjaciół, koszykówki, pracy w ogrodzie czy projektowania domu. Nawet podczas spotkań z Dayną. Ale kiedy patrzył na Natalie, zdał sobie sprawę, że nic nie może się równać z objęciami jej ramion. Zrozumiał, że wyznając miłość, wyraził to, co naprawdę czuje. Chciał, żeby ta chwila trwała wiecznie. Pragnął zostać na zawsze w ramionach Natalie, czuć ciepło gładkich, nagich nóg. Spojrzał jej w oczy, pocałował ją i westchnął z zadowoleniem.

– Mówiłem poważnie – szepnął.

– Co? – zapytała z uśmiechem i przesunęła paznokciami po jego plecach.

– Że cię kocham.

Spoważniała i zrobiła skonsternowaną minę. Każde uczucie widoczne na twarzy Natalie dodawało jej urody w inny sposób.

– Naprawdę? – zapytała z dziecięcą bezbronnością, która wywołała u Dillingera jeszcze silniejszy przyływ miłości.

Skinał głową.

– A ty?

Wtuliła twarz w jego pierś, potem pocałowała go w szyję. Po chwili znów popatrzyła Dillingerowi prosto w oczy.

– Kocham cię od chwili, kiedy się spotkaliśmy – szepnęła.

Bosmanmat Morales zobaczył zarzający się punkt na

„wodospadzie” krótkookresowym, zanim zauważył go starszy bosman Keating, co było zawodowym sukcesem. Keating skinął głową, kiedy młodszy kolega wskazał ekran. Dość wyraźny ślad szerokopasmowy pojawił się z południa.

Pewnie statek wychodzący w morze, pomyślał Keating. Włożył słuchawki i ustawił odbiór na odpowiedni kierunek. Miał rację. Głośna jednostka nawodna. Trójłopatowa śruba, około trzydziestu obrotów na minutę. Mała szybkość. Znajomy dźwięk. Keating pokiwał głową. To ten sam frachtowiec o dużym zanurzeniu, który wchodził do portu tydzień temu. Keating ochrzcił go „Buff, co było skrótem od „Wielki, brzydki, tłusty skurczybyk”. Włączył mikrofon na wysięgniku.

– Dowodzenie, tu sonar. Nowy kontakt, oznaczony jako Sierra Osiem, na szerokim paśmie z anteny sferycznej. Statek handlowy, kierunek jeden siedem dziewięć, trójłopatowa śruba, trzydzieści obrotów na minutę. Wysoko w górze rzeki, prawdopodobnie wychodzi w morze. To przypuszczalnie Buff.

– Sonar, tu dowodzenie. Przyjąłem – odpowiedział porucznik Mercury-Pryce przez interkom. Zawsze starał się mówić spokojnym, znudzonym głosem, nawet w napiętej sytuacji, jakby naśladował pilotów myśliwców.

Keating nalał sobie następny kubek kawy i usiadł przy lewej konsoli przed wyświetlaczem szerokopasmowym. Ślad przesunął się w lewo, potem w prawo – Buff pokonywał zakręty rzeki. Graficzne symbole dźwięku

stawały się coraz jaśniejsze, statek się zbliżał.

A to co? – pomyślał Keating, zmarszczył brwi i wpatrzył się w środek ekranu. Zakres częstotliwości 254 herców zaczął drgać. Na 253, 8 herca wyraźnie rósł szpic. Keating stuknął w klawiaturę, usunął stare dane i zrobił miejsce dla nowych. Wycinek nasłuchowy anteny holowanej skierowany wzdłuż biegu rzeki był teraz pusty i hydrofon zaczął gromadzić aktualne informacje. Keating zerknął na wyświetlacz szerokopasmowy, żeby sprawdzić, skąd się bierze 254, ale zobaczył tylko Buffa. Zakres poszukiwawczy 254 pokrywał się z wycinkiem nasłuchowym skierowanym prosto na południe. Ale wycinki były tak uformowane, że udawało się wykrywać również tony na północy, w stożku ciszy za rufą okrętu podwodnego. Keating przesiadł się na środkowe stanowisko i patrzył, jak na wyświetlaczu częstotliwości znów rośnie ton 254 herców. Wyraźny szpic, pomyślał. Zerknął w dół na inne zakresy i aż przetaił oczy ze zdumienia. W zakresie częstotliwości 308 herców rosły dwa szpice – jeden na 307, 5, drugi na 308, 7 herca. Tak się działo, gdy obok siebie pracowały dwa zespoły mechaniczne obracające się z trochę inną szybkością, na przykład prawy i lewy turbogenerator, i jeden z nich wytwarzał więcej prądu lub miał uszkodzony regulator obrotów, albo dwie pompy, i jedna tłoczyła płyn z większą siłą z powodu nieregularności przepływu w rurach.

Keating wskoczył z powrotem na swój stołek, żeby

widzieć cały obraz. Nie było wątpliwości – Sierra Osiem, czyli Buff, płynął w dół rzeki, teraz przy czterdziestu pięciu obrotach śruby na minutę, i z tego samego kierunku dochodził ton o częstotliwości 254 herców oraz dublet 308 herców.

Oba tony były charakterystyczne dla „Alfy” i Buff nie emitował ich za pierwszym razem, kiedy wpływał do portu.

– Dowodzenie, tu sonar. – Keating starał się mówić spokojnie, choć wiedział, że jego głos zdradza napięcie. – Nowy kontakt wąskopasmowy, Sierra Dziewięć, w środkowym wycinku anteny holowanej, kierunek jeden osiem zero lub zero zero zero, 254 herce i dublet 308 herców. Sierra Dziewięć jest sklasyfikowany jako okręt podwodny i zapewne należy do klasy Alfa.

Mercury-Pryce już nie mówił flegmatycznie, słowa padały w pośpiechu.

– Sonar, tu dowodzenie. Przyjąłem. Oznaczamy Sierre Dziewięć jako Mistrza Jeden. Jest jakiś ślad na szerokim paśmie?

– Dowodzenie, tu sonar. Nie.

– Kontroler sonaru do sterowni.

Keating powiesił słuchawki, odsunął zasłonę i spojrzał w górę na Mercury-Pryce'a. Porucznik stał na platformie peryskopowej i trzymał w zębach długie, wygasłe cygaro.

– Tak, sir?

– Czy „Alfa” może się czaić za Buffem lub płynąć pod nim, żeby wymknąć się z portu?

– Farwater jest dość płytki, OOD – odparł Keating. – Ale niewykluczone, że „Alfa” płynie za Buffem, a trochę dalej schowa się pod wodę.

– Jest pan pewien, że to ona?

Keating przytaknął. Nie miał żadnych wątpliwości.

Mercury-Pryce wrzucił cygaro do puszki na niedopałki.

– Zawiadomię XO. Dzięki, bosmanie.

Keating wrócił szybko do sonaru. Zdażył jeszcze usłyszeć rozkaz porucznika:

– Szef wachty, obsadzić ciche stanowiska bojowe.

Długo trzymał ją w objęciach. Zasnęła. Piękne ciemne włosy rozsypały się na poduszce. Otaczała go ramieniem. Patrzył na jej powieki, rzęsy, policzki, rytmicznie falującą pierś. Musnął ustami gładkie czoło. Było jeszcze wilgotne od potu. Dillinger pomyślał, że może uda mu się ją zatrzymać jeszcze przez godzinę, zanim będzie komuś potrzebna.

Jakby w odpowiedzi w sąsiedniej kajucie zabrzączał telefon ze sterowni. Dillinger nie zdołałby obudzić Natalie tak szybko, żeby zdażyła oprzytomnieć i odebrać bez zadyszki po sprincie do siebie. Uniósł do ucha ciężki aparat bezprzewodowy.

– Kapitan – zgłosił się, na szczęście swoim zwykłym tonem. Natalie szeroko otworzyła oczy w panice, zerwała się z koi, chwyciła majtki i cicho zamknęła za sobą drzwi łazienki.

– Przepraszam, sir. Myślałem, że zadzwoniłem do XO.

Mamy...

– Oficer wykonawczy – rozległ się nagle w słuchawce głos Natalie. Dillinger wciąż ją czuł, jakby nadal go przytulała. Zastanawiał się, kiedy znów będą mogli się spotkać, ale myśl uleciała po następnych słowach Mercury-Pryce'a.

– Panie kapitanie, XO, mamy „Alfę”.

Andriej Rusanow stał na tylnej platformie obserwacyjnej nadbudowy „Kirowskiego” z widokiem na rufę. Za frachtowcem ciągnął się na południe, w głąb fiordu, spieniony kilwater. Rusanow patrzył na skaliste wzgórza Półwyspu Kolskiego. Wolno przesuwały się wzdłuż burt statku, dopóki ostatecznie z nich nie zostały z tyłu na południu. Frachtowiec wypłynął z ujścia rzeki do Zatoki Kolskiej i dalej na Morze Barentsa.

Rusanow zerknął na zegarek. Była za pięć druga nad ranem. Trochę wyprzedzali harmonogram. Postanowił obserwować wybrzeże, dopóki nie zniknie za horyzontem, a potem zejść pod pokład. Pomyślał, że nie zaszkodziłoby mu kilka godzin snu, zanim odłączą się od „Kirowskiego”.

Zatarł dłonie w rękawicach. Koniec listopada był zimny. Zaczął się zastanawiać, czy na rozgrzewkę nie napić się wódki, gdy zobaczył, że na platformę wychodzi jeden z klientów. Rusanow skinął głową, ale Egipcjanin spojrzał na niego jak na odrażającego ośmionogiego insekta i odwrócił się tyłem. Andriej zaciekawiony wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co robi Arab. Trzymał komórkę, większą od zwykłej, z grubą anteną. Telefon satelitarny, domyślił się Rosjanin. Usłyszał dźwięki wybierania numeru, potem Egipcjanin przyłożył aparat do ucha, ale nie odzywał się. Dziwne, pomyślał Rusanow.

Pewnie sprawdza stan swojego konta w banku szwajcarskim. W końcu Arab wyłączył się, obejrzał, posłał załogantowi niechętnie spojrzenie i wrócił do nadbudowy.

Egipcjanin szybko doszedł korytarzem do stromych schodków i wspinał się na mostek, gdzie w fotelu kapitańskim siedział Abdas al-Sattar w otoczeniu podwładnych. Abdas podniósł wzrok na wchodzącego.

– Załatwione, Święty.

Al-Sattar uśmiechnął się.

Koordinacja była doskonała. Nie za wcześnie po rozpoczęciu rejsu, żeby nie zobaczyły ich władze, które mogłyby zadawać pytania lub nawet opóźnić wypłynięcie statku z ujścia rzeki. Ale też nie za późno po wydostaniu się na Morze Barentsa, żeby szefowie KKS i pracownicy terminalu nie zdążyli opowiedzieć nikomu o okręcie podwodnym. To byłoby nie do przyjęcia. Jeden ocalały członek personelu mógłby zniweczyć tę ważną, tajną misję.

Daleko za horyzontem, na południowym wschodzie, dziesięć sekund po telefonicznym połączeniu satelitarnym cztery komputery ukryte pod podłogami czterech autobusów w terminalu odebrały sygnał zdetonowania materiałów wybuchowych i cztery zestawy spłonek zapaliły ładunki pośrednie. W pojazdach eksplodowało osiemnaście ton plastiku semtex RDXzPETN. W pierwszych milisekundach wybuchów autobusy przestały istnieć, zniknęły w kulach ognia o ogromnej energii, które

szybko urosły, połączyły się i dosięgnęły ścian i sufitu hali.

W ciągu następnych stu milisekund budynek stał się nierozpoznawalny. Wewnętrzne stalowe kolumny stopiły się lub zamieniły w bryłki metalu wielkości pięści. Belki stropowe wyparowały. Ceglane mury zewnętrzne rozprysły się i tysiące odłamków poszybowały jak pociski w różnych kierunkach niemal z szybkością dźwięku. Drewniany szkielet dachu został rozerwany. W niebo wystrzeliły drzazgi i płonące fragmenty desek. Ciężka metalowa platforma konstrukcyjna zapadła się do basenu pod podłogą.

W ciągu kolejnych stu milisekund terminal rozpadł się na milion kawałków stali, muru i szkła fruwających w powietrzu. Gdyby to był jedyny skutek eksplozji, przez następnych dwadzieścia godzin niebo rozświetlałaby po prostu łuna pożaru. Ale rozżarzony do białości półtonowy kawał metalu poszybował do pobliskiej bazy paliwowej i uderzył w niewielki zbiornik z naftą o pojemności czterdziestu tysięcy litrów. Od wybuchu zapaliły się inne zbiorniki, między innymi największy z nich, wypełniony dwoma milionami litrów benzyny bezołowiowej. Eksplozja miała siłę wybuchu dziesięciu tysięcy ton dynamitu. Fala uderzeniowa dotarła do miasta i zniszczyła dwadzieścia budynków, wywołując wiele eksplozji gazu ziemnego w dzielnicy portowej.

W oddalonym o trzy kilometry na południe hotelu Arktika wyleciały szyby we wszystkich oknach

wychodzących na północ. Do pokoi posypały się setki tysięcy odłamków szkła. Nad portem wyrósł grzyb o średnicy stu metrów, pod niebo uniosła się kula ognia. Listopadowa noc zamieniła się w jasny dzień. Po minucie pomarańczowy blask zgasł i okolicę spowił czarny dym. Rejon trzydziestu ulic wypełniały płonące ruiny.

Murmańska straż pożarna walczyła z ogniem przez dwa tygodnie. Nigdy nie znaleziono ciał braci Kazników i Jurija Bielkova, którzy w sali konferencyjnej terminalu oblewali szampanem sukces „Liry” Numer Jeden.

Dillinger wskoczył w kombinezon, adidas i wpadł do sterowni. Sekundę po nim weszła Natalie. Była w kombinezonie, uczesana w koński ogon. Miała spokojną minę. Kiedy Dillinger wkładał słuchawkę bezprzewodową z mikrofonem, napotkał wzrokiem jej spojrzenie. Popatrzyła na niego tak, jak oficer wykonawczy na kapitana, nic więcej. Co za niezwykła kobieta, pomyślał. Z wyjątkową dyscypliną wewnętrzną. Przez ułamek sekundy czuł miłosne uniesienie. Być może dostrzegła to w jego oczach, bo uśmiechnęła się lekko, zanim spojrzała groźnie na oficera pokładowego.

– Co mamy, OOD? – zapytała szorstko.

Dillinger pomyślał, że to jego działka. Uczucie do Natalie zeszło nagle na dalszy plan. Powróciły niczym niezmacona jasność umysłu i pełna zdolność koncentracji.

Mercury-Pryce uniósł brwi.

– Na szerokim paśmie Sierra Osiem, handlowiec

wypływający z zatoki. Przeszedł nad nami dwie minuty temu. Mamy też Mistrza Jeden, zdecydowanie klasy Alfa, z dwa pięć cztery i dubletem trzy zero osiem.

– Status stanowisk bojowych? – zapytał Dillinger.

Ciasna sterownia była zatłoczona jak winda w biurowcu tuż przed dziewiątą rano. Trzej oficerowie zajmowali fotele operacyjne centrum ataku. Oficer uzbrojenia siedział przy konsoli w specjalnych słuchawkach z mikrofonem do łączności dwukanałowej z torpedownią i sterownią. Dwa stoły nawigacyjne oblegano bardziej niż szczęśliwe stoły gry w Las Vegas. Centralną postacią był nawigator, który nanosił „namiar” na cel na prawy stół i aktualizował obraz sytuacji na lewym. Rozłożony blat w tylnym rogu sterowni służył do wykresów czas-kierunek i czas-częstotliwość. Członkowie wachty namierzali cel dwoma metodami – przy użyciu okrętowego systemu prowadzenia walki oraz przy wykorzystaniu surowych danych o kierunku i wskazania inercyjnego systemu nawigacyjnego. W spokojnym otoczeniu, kiedy był tylko jeden cel, manualne wykresy dawały zadowalający namiar i stanowiły metodę rezerwową w razie utraty komputera kierowania ogniem, ale w sterowni musiało wtedy przebywać trzykrotnie więcej osób. Mimo arktycznej temperatury na zewnątrz w pomieszczeniu robiło się gorąco. D'Assault podwinęła rękawy i opuściła suwak kombinezonu o kilka centymetrów. Dillinger odwrócił się do Mercury-Pryce'a, żeby wysłuchać jego meldunku.

– Pełna obsada, z wyjątkiem mojego zmiennika, pana Flooda, który powinien już zostać zluźwany na rufie.

– W porządku. – Dillinger stanął przed prawą konsolą centrum ataku i skrzyżował ręce na piersi. – Sonar, tu kapitan. Kierunek do Mistrza Jeden?

– Północno-zachodni lub południowo-wschodni.

– Koordynator – zwrócił się Dillinger do Natalie. Podczas obsadzania stanowisk bojowych XO stawała się koordynatorem kierowania ogniem lub po prostu koordynatorem. – Podnosimy antenę z dna i ruszamy. – Dillinger odwrócił się w stronę platformy peryskopowej, gdzie komandor porucznik Steve Flood, najstarszy i najbardziej doświadczony oficer pokładowy, zluźował porucznika Mercury-Pryce'a, który poszedł na dół i usiadł w fotelu drugiego operatora kierowania ogniem. – OOD, pionowe podejście na głębokość trzydziestu metrów.

– Tak jest – odpowiedział Flood i powtórzył rozkaz. – Szef wachty, uruchomić system bezruchu okrętu i wprowadzić wznoszenie piętnaście centymetrów na sekundę do głębokości trzydziestu metrów. Oficer zanurzenia, utrzymać głębokość trzydziestu metrów.

Okręt powoli uniósł się z dna. Dillinger obserwował wskazania głębokościomierza cyfrowego. Zerknął na D'Assault. Patrzyła z zaciśniętymi wargami na wyświetlacz powtarzacza sonaru. W końcu zmarszczyła brwi i spojrzała na Dillingera.

– Coś jest nie tak – stwierdziła.

– Co?

– Nie ma szerokiego pasma „Alfy”. Musi być w odległości mili morskiej, ale mamy tylko Sierę Osiem, Buffa.

– Może nigdy nie uzyskamy jej szerokiego pasma – odparł Dillinger i odwrócił wzrok. – Jest teraz dużo cichsza. Będziemy musieli tropić ją według tonów na wąskim paśmie.

– Sonar, tu koordynator – powiedziała D'Assault do mikrofonu na wysięgniku. – Jaki jest stosunek sygnału do szumów na tonach Mistrza Jeden?

– Koordynator, tu sonar. Na obu dodatni, około ośmiu decybeli.

Dillinger uniósł brwi. Dużo, pomyślał.

– Sonar, tu kapitan. Jak oceniasz odległość?

– Kapitanie, tu sonar. Jest blisko.

– Ale nie ma szerokiego pasma?

Najpierw nie było odpowiedzi, potem starszy bosman Keating odezwał się cicho:

– Możliwe, że Mistrz Jeden chowa się za Sierrą Osiem, jest pod nią albo nawet na holu.

– Wychwytyjemy jakiś ślad śruby o więcej niż trzech łopatach?

– Dowodzenie, tu sonar. Nie.

Dillinger spojrzał na Flooda.

– O co tu chodzi, do cholery?

Przy obsadzonych stanowiskach bojowych Flood, jako OOD, pełnił w zespole kierowania ogniem funkcję asystenta dowódcy. XO była na równi z kapitanem i

dokonywała niezależnych ocen ruchu celu. Dillinger mógł je zlekceważyć, ale rzadko to robił.

Flood popatrzył na konsole centrum ataku i dwa ekrany powtarzaczy sonaru. Nieświadomie naśladował Dillingera. Stał wyprostowany z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Myślę, że „Alfa” płynie na holu za rufą Buffa. Z takiej małej odległości usłyszelibyśmy jej śrubę. Nie ma ani szerokiego pasma, nie śladu śruby, ale „Alfa” się porusza i na dodatek w tym samym kierunku, w jakim Sierra Osiem.

– A może leży na dnie i nasłuchuje? – zapytał Dillinger. – To by tłumaczyło brak odgłosu śruby.

D'Assault odwróciła się do niego i pokręciła głową.

– Nie, kapitanie, ona jest w ruchu. Przemieszcza się od trawersu przez wycinek dwa zero pięć do trzy trzy pięć. Myślę, że płynie razem z Sierrą Osiem, frachtowcem. Rosjanie są znani z takich sztuczek.

– Sonar, tu dowodzenie – warknął poirytowany Dillinger. – Dotąd uważaliśmy, że Sierra Osiem to frachtowiec, który wcześniej wszedł do portu. Czy jest możliwe, że Sierra Osiem to „Alfa”? Głośna, z trójłopatową śrubą?

– Kapitanie, tu sonar. Moment.

– OOD, głębokość trzydzieści metrów, sir – zameldował oficer zanurzenia. Starszy bosman Fred Davies, który w tym roku awansował z szefa personelu pomocniczego na szefa okrętu, był najlepszym

operatorem zanurzenia na pokładzie. Mówiono, że potrafiłby kontrolować głębokość przy huraganie kategorii trzeciej.

– Ruszamy powoli naprzód, OOD – polecił Dillinger. – Dwa węzły.

– Sternik, cała naprzód jedna trzecia – rozkazał Flood.

– Manewrowa, tu dowodzenie. Obroty dla dwóch węzłów. Sternik, kurs na wschód.

Zanurzenie, utrzymywać głębokość trzydziestu metrów. Sternik, zaznaczyć szybkość jednego węzła.

– Dowodzenie, tu sonar. Mamy wyraźne pogłosy z anteny holowanej. Utrata Mistrza Jeden.

Dillinger czekał w ciszy i napięciu, aż prędkościomierz pokaże ruch okrętu. Wleczenie anteny holowanej po dnie spowolniłoby „Tucsona”, ale śruba nawet przy minimalnych obrotach mogła łatwo przeciąć linę holowniczą.

– Sonar, tu dowodzenie – krzyknął niemal Dillinger. – Kontroler sonaru do sterowni.

Chciał wiedzieć, dlaczego, do cholery, jeszcze nie dostał odpowiedzi na swoje pytanie. Antena holowana wlokła się po dnie i zgubili „Alfę”, więc musiał pogadać z Keatingiem twarzą w twarz. Drzwi kabiny sonarowej odsunęły się i starszy bosman wszedł do sterowni. Miał ponurą minę. Facet z charakterem, pomyślał Dillinger. Wyłynął w rejs mimo choroby córeczki. Ale teraz problemy osobiste muszą zejść na dalszy plan.

– Kapitanie – zaczął Keating. – Sierra Osiem to

zdecydowanie ten sam frachtowiec, który zjawił się tutaj kilka dni temu. Śruba jest duża, może mieć pięć metrów średnicy. Pogłosy, zgrzyty i piski są typowe dla statku nawodnego. I słyszeliśmy już ten frachtowiec. Nazwałem go Buffem. Przedtem nie emitował takich charakterystycznych tonów, jak teraz. Szukałem ich wtedy na swojej wachcie. Nie ma mowy, żeby detekcja na kierunku Buffa była okrętem podwodnym. Mistrz Jeden jest blisko frachtowca, może nawet na tym samym kursie, ale to nie ten statek.

– Jeden węzeł, sir.

– Sonar, tu dowodzenie – zawołał Flood. – Dajemy obroty dla dwóch węzłów. Jaki jest status anteny holowanej?

Na linii rozległ się głos zastępcy Keatinga, sonarzysty pierwszej klasy, Davida Orleansa.

– Dowodzenie, tu sonar. Mamy... mamy wyraźne pogłosy z południa – południowego wschodu. Brzmią jak eksplozje.

– Proszę o pozwolenie na powrót do kabiny sonarowej – powiedział Keating.

Dillinger skinął głową i wpatrzył się w wyświetlacz sonaru. Na południu pojawił się bardzo jasny ślad.

– Niech pan to naniesie na mapę – rozkazał Dillinger nawigatorowi. – Kierunek jeden sześć dziewięć.

Rob Cummins ustawił suwak obliczeniowy na kierunek hałasu, położył go na stole nawigacyjnym i narysował ołówkiem linię od znaku świetlnego, który emitowało

elektroniczne wnętrze stołu.

Podniósł głowę.

Pokrywa się z Murmańskim, kapitanie. Może to eksplozja gazu.

– Sonar, tu kapitan. Czy to eksplozja w morzu? Są pęcherze powietrza, lala uderzeniowa, oznaki pęknięcia kadłuba?

– Kapitanie, tu sonar. Odbieramy sygnały z powietrza.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem. Podejrzewamy, że coś wyleciało w powietrze na Półwyspie Kolskim, ale nie rozpraszaźmy się. Zapomnijmy o wybuchu i skoncentrujmy się na „Alfie”. Sonar, tu kapitan. Co z anteną holowaną?

Dillinger zagryzł wargi. Tropił tajemniczą „Alfę” tylko za pomocą anteny holowanej. Gdyby przewód zahaczył o skałę na dnie i urwał się, byłoby po misji.

– Dowodzenie, tu sonar. Głośne tło z anteny holowanej cichnie. Wygląda na to, że jej większa część już uniosła się z dna.

– Sonar, tu dowodzenie. Przyjąłem – odpowiedział Flood. Śledził nasłuch z anteny holowanej na dwóch ekranach sonaru. Podczas wleczenia jej po dnie wykresy oszalały od natężenia dźwięku.

– Dowodzenie, tu sonar – rozległ się głos Keatinga. – Cała antena uniesiona z dna.

– OOD, osiem węzłów – rozkazał Dillinger.

– Sternik, cała naprzód dwie trzecie – wydał rozkaz Flood.

Dillinger zerknął na chronometr pod sufitem. Za ledwie dwadzieścia minut temu był w innym świecie. Spojrzał na panele powtarzaczy sonaru. Płynąc na wschód, podnieśli antenę holowaną z dna, ale Sierra Osiem kierowała się z zatoki na północny zachód.

– Zwrot na północny zachód i szybkość dwanaście węzłów. – Z taką szybkością płynął Buff, zanim zgubili „Alfę”, Mistrza Jeden.

– Sternik, cała naprzód standardowa, ster dziesięć stopni w lewo, stały kurs trzy trzy zero. Manewrowa, tu dowodzenie. Dajcie obroty dla dwunastu węzłów. Sonar, tu dowodzenie. Wykonujemy zwrot na północny wschód. – Flood wrócił do mapy.

Dillinger dołączył do niego. Obserwowali i kalkulowali, gdy okręt wolno skręcał, żeby podążyć za dużym frachtowcem.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem. Jeśli popłyniemy za frachtowcem, powinniśmy odzyskać sygnał Mistrza Jeden – oznajmił Dillinger. Czuł na sobie spojrzenie Natalie, ale nie odrywał wzroku od panelu sonaru.

Na wykresie 308 herców z poziomu hałasu oceanu zaczynały wznosić się dwa pionowe szpice. Dillinger uśmiechnął się. Udało się, pomyślał. Zaryzykowali położenie anteny holowanej na dnie morza, ale dzięki temu wykryli „Alfę”, kiedy wymykała się z portu ciągnięta przez frachtowiec. Teraz zdołali podnieść anteną z dna, nie powodując żadnych szkód. Pozostało dokładnie zlokalizować Mistrza Jeden, popłynąć za nim

na głębokie Morze Norweskie i storpedować sukinsyna. Potem będzie można wrócić do Norfolk, zdać relację szarży i umówić się z Natalie na pierwszą randkę. Dillinger spojrzał z uśmiechem na XO. Miała tak obojętną minę, jakby między nimi nic nie zaszło. Skinęła mu lekko głową i odwróciła się z powrotem w stronę centrum ataku.

– Dowodzenie, tu sonar. Odzyskaliśmy Mistrza Jeden. Kierunek trzy jeden pięć, mniej więcej zgodny z kierunkiem Sierry Osiem, trzy dwa zero.

– Mamy go – powiedział Dillinger.

– Sonar, tu dowodzenie. Przyjąłem – potwierdził Flood.

– Kapitanie, poproszę pana i OOD na platformę – odezwała się D'Assault.

Dillinger skinął głową. Przy obsadzonych stanowiskach bojowych rozmowa na osobności między trzema najważniejszymi osobami w sterowni – oficerem pokładowym, koordynatorem i kapitanem – nie była niczym niezwykłym, zwłaszcza w sytuacji, gdy istniało wiele niejasności dotyczących walki z wrogim okrętem podwodnym. Załoga nie powinna czuć niepewności, bo straciłaby zaufanie do wyższych oficerów. Kiedy należało przedyskutować położenie, uzgodnić taktykę i podjąć ważne decyzje, „trzy mądre głowy” zbierały się między peryskopami z dala od pozostałych członków wachty, zasłaniały dłońmi swoje mikrofony i debatowały o sprawie. W ograniczonej przestrzeni wnętrza okrętu nie można było naprawdę uciec przed ciekawością załogi

pełniającej wachtę. Gdy czasami między wyższymi oficerami zdarzały się różnice zdań, wszyscy w sterowni wyteżali słuch. Ale dyskusja we troje stwarzała przynajmniej iluzję prywatności, co często było bardzo ważne.

– Kapitanie – zaczęła D'Assault. – Czuję się w obowiązku doradzić panu zatopienie „Alfy” teraz, żebyśmy mieli pewność, że nam nie ucieknie. Wypełnilibyśmy naszą misję.

– Ignorując rozkaz, żeby unikać wykrycia podczas jej zatapiania – zauważył Flood. – Mamy to zrobić bez świadków. Załoga frachtowca widziałaby, co się dzieje.

– Albo moglibyśmy chybić i trafić frachtowiec – dodał Dillinger.

– Wiem, panie kapitanie. Po prostu musiałam wskazać taką ewentualność. Jesteśmy blisko „Alfy”, bez jej szerokiego pasma. Jeśli nam ucieknie, możemy potem żałować, że od razu nie zaatakowaliśmy.

– Rozumiem – mruknął Dillinger i pomyślał, że D'Assault niepotrzebnie jest pesymistką. – OOD?

– Ja bym zaczekał, kapitanie. Uważam, że nie mamy szerokiego pasma „Alfy”, bo jeszcze nie uruchomiła silników głównych, przekładni redukcyjnej i śruby. Kiedy otworzy przepustnice, na pewno ją usłyszymy. Powinniśmy naszemu celowi pozwolić, aby oddalił się od frachtowca, i dopiero wtedy zatopić Mistrza Jeden.

– Torpedami?

– Tak, oczywiście.

D'Assault zrozumiała, o co chodzi Dillingerowi.

– Moglibyśmy użyć broni jądrowej. Jest dużo szybsza i pewniejsza. Mamy pozwolenie.

Dillinger pokręcił głową.

– Nie. Atomowy grzyb byłby widoczny ze statku i Półwyspu Kolskiego. Poza tym, mielibyśmy na sonarze bulgot w całym sektorze oceanu. Nie moglibyśmy potwierdzić trafienia, a gdybyśmy chybili, „Alfa” zyskałaby szansę na kontratak z ukrycia. Wyłoniłaby się zza pęcherzy powietrza, żeby się zemścić. Pojawiłaby się ze wschodu z czystym odbiorem sonarowym z naszego kierunku i zaskoczyła nas rosyjską torpedą. Jeśli nadarzy się okazja do strzału, użyjemy torped.

– Ma pan rację, kapitanie – zgodziła się D'Assault. – Pociski manewrujące mogą być na zasilaniu przez całe godziny, ale ich żyroskopy nabierają obrotów przez dziesięć minut. W ogniu walki czasami to za długo. Moglibyśmy podgrzać jeden z nich na wypadek, gdyby zaszła konieczność, aby szybko oddać strzał.

– To byłby kolejny wirujący żyroskop blisko kadłuba, kapitanie – zauważył Flood. – Emitowałby wykrywalny hałas. Aleja bym zaryzykował.

Dillinger zastanowił się i skinął głową.

– Uzbrojenie, przygotować pocisk SUBROC w wyrzutni pionowej numer jeden pod każdym względem z wyjątkiem otwarcia wrót zewnętrznych.

Kiedy Tonelle potwierdził rozkaz, D'Assault zaproponowała:

– Zróbmy analizę ruchu celu dla Sierry Osiem. Mamy kierunek do „Alfy”, ale nie wiemy, w jakiej jest odległości, i nie znamy jej dokładnego kursu. Jeśli ją zgubimy, będziemy mogli założyć, że nadal porusza się wzdłuż tego wektora.

Gdyby udało im się określić, jaki dystans dzieli „Alfę” od „Tucsona”, to znając pozycję własnego okrętu, mogliby nanieść na mapę pozycję, kurs i szybkość celu. Dzięki temu, gdyby potem zgubili „Alfę”, szukaliby jej na kursie, którym wcześniej płynęła.

– OOD, zwrot na południowy zachód.

„Tucson” skręcił w wyznaczonym kierunku. Anteny sonarowe i procesory BQQ-5 odbierały i przetwarzały dane akustyczne z frachtowca i „Alfy”.

Peter Vornado skończył brać prysznic i szybko założył kombinezon. Zastanawiał się, czy spędzić kilka minut na górze na platformie obserwacyjnej „Kirowskiego”. Kiedy wyszedł z małej łazienki, Swietłana siedziała na koi. Po ostatniej godzinie, którą spędzili razem, miała potargane włosy.

Vornado uśmiechnął się do pięknej Rosjanki.

– Gdybym dobrze zrobił swoje, już byś spała – zaczął się z nią drażnić.

– Musisz się bardziej starać – odparła z uśmiechem.

Vornado przyglądał się długo jej delikatnym rysom i po raz tysięczny zadawał sobie pytanie: jak ja się z nią rozstanę, kiedy to wszystko się skończy? Przyszło mu do

głowy, że mogą nie przeżyć następnego tygodnia.

Przestał się uśmiechać.

– Posłuchaj, nie możesz się pokazać Egipcjanom. Wiesz, jaki mają stosunek do kobiet. Po pierwsze, kazaliby ci chodzić w czarnej szacie, z zasłoniętą twarzą. Po drugie, musiałybyś cały czas siedzieć w kuchni. Po trzecie, w ogóle nie chcieliby cię widzieć na okręcie. Masz pecha.

– Nie chcę się ukrywać. Jestem tutaj, bo mnie potrzebujesz. Nie tylko w kajucie, ale również w centrum dowodzenia.

– Więc przebierzesz się za mężczyznę. Możesz włożyć któryś z moich kombinezonów i wypchać go czymś, żeby potężniej wyglądać. I będę musiał obciąć ci włosy. – Pomyślał, że szkoda pięknych blond loków, ale lepiej nie czekać, aż jeden z Egipcjan skróci je nożem. – I zrób coś z twarzą. Potrafisz tak nałożyć makijaż, żeby wyglądał jak kilkugodzinny zarost?

Poszukała w swojej torbie nożyczek i dziesięć minut później była ostrzyżona „na rekruta”. Zmarszczyła brwi w lustrze.

– Powinnam mieć ciemniejsze włosy – stwierdziła. – Idź. Za chwilę dołączę do ciebie.

– Zarygluj za mną drzwi.

Vornado wyszedł z kajuty kapitańskiej i wspinał się po drabince do centrum dowodzenia na górnym poziomie. Wachtę pełnił jeszcze Dimitrij Masłow. Vornado pochylił się nad konsolą nawigacyjną i sprawdził pozycję

„Kirowskiego”. Byli już bardzo blisko miejsca, gdzie powinni zatrzymać frachtowiec i wysłać nurków, żeby usunęli wsporniki w dnie statku i uwolnili okręt podwodny z ładowni.

Masłow przeszedł przez pomieszczenie i usiadł przy panelu sonaru, gdzie pulsował sygnalizator świetlny.

– Coś jest nie tak – powiedział.

Vornado obejrzał się przez ramię.

– To znaczy?

– Mam potężny huk na południowym wschodzie. Pojawił się jakiś czas temu.

– Kiedy?

Masłow pokręcił głową.

– Cholera, kapitanie, ten dźwięk dopiero od dwóch minut jest naprawdę głośny, ale o pierwszej pięćdziesiąt pięć wyrósł szpic z tamtego kierunku i hałas był trzy decybele głośniejszy od tła. – Masłow postukał w wyświetlacz. – To cholerne urządzenie powinno sygnalizować takie rzeczy. Byłem zajęty obserwacją temperatury reaktora.

– Nic się nie stało, Dimitrij. Mogę posłuchać?

– Proszę.

Masłow wręczył Vornado słuchawki. Dźwięk przypominał wycie wiatru przerywane trzaskami fajerwerków.

– Co to jest?

– Moim zdaniem, hałas nie pochodzi z oceanu. Coś się dzieje na półwyspie.

– Niech pan czuwa – polecił Vornado. – Powinniśmy monitorować wąskie pasmo na wypadek, gdyby śledził nas okręt podwodny z Zachodu.

– Tak jest, kapitanie, ale to mało prawdopodobne.

– Mimo wszystko, niech pan będzie czujny – odparł Vornado. – Idę na górę zabrać z „Kirowskiego” załogę i klientów. – Ruszył w stronę włazu do kapsuły ratunkowej, ale Egipcjanie już schodzili jeden za drugim po drabince na środkowy poziom do swoich kajut. W końcu pojawił się Abdas al-Sattar. Skinął Vornado głową i zniknął na dole. Po Arabach zeszli Rosjanie. Ostatni był Andriej Rusanow, który zamknął za sobą dolny właz i obrócił pierścień ryglujący.

– Mostek przygotowany do zanurzenia?

– Słucham?

Angielskie wyrażenie najwyraźniej nie brzmiało zrozumiale w tłumaczeniu na rosyjski.

– Mostek. Opuścił pan owiewkę kokpitu? Zablokował ją pan w dolnym położeniu? Sprawdził, czy na górze nie zostało nic, co by grzechotało?

– Tak jest – zameldował Rusanow. – Lada chwila zatrzymamy się, żeby nurkowie mogli odkręcić wsporniki usztywniające.

Vornado wziął głęboki oddech i odwrócił się, żeby spojrzeć na mapę nawigacyjną. Zobaczył szczupłego mężczyznę opartego o rurę peryskopu. Obcy był o pół głowy niższy od niego. Miał krótkie, czarne włosy i cień zarostu na policzkach, podbródku i nad górną wargą, ale

kobiece rysy.

– Przykro mi, ale mnie nie oszukasz – mruknął Vornado.

– Nie ciebie mam oszukać – odparła Swietłana grubym głosem, którym w żartach naśladowała mężczyzn mówiących do niej głupie rzeczy.

– Fakt – przyznał Vornado. Terrorysty z Ahel al Beit traktowali Rosjan jak powietrze, więc wątpił, żeby zwrócili na nią uwagę.

Obok Vornado stanął Rusanow i zmarszczył brwi.

– Kim pan jest? – zapytał Swietlanę.

– Cześć, Andriej – odpowiedziała znów niskim głosem.

Przyjrzał się jej bliżej.

– Swietłana?! – wyszeptał.

– Też coś – obruszyła się. – Jestem Iwan. Iwan Mironow.

– Jasne – wymamrotał Rusanow. – Kapitanie?

– W porządku, Andriej. Arabowie nie zgodziliby się na obecność kobiety na pokładzie. Niech pan wpisze Iwana w grafik wacht. Musi pełnić służbę jak my wszyscy.

– Zatrzymaliśmy się, kapitanie – przerwał im Masłow.
– Lada chwila odłączymy się od „Kirowskiego”.

– Skąd będziemy wiedzieli, że już czas?

– Otworzymy zawory zbiorników balastowych – wyjaśnił Rusanow. – Kiedy „Kirowski” nas wypuści, nabierzemy wody i pójdziemy w dół. Tutaj jest płytko, więc osiadziemy na dnie. Po odpłynięciu frachtowca wypompujemy część balastu, zbalansujemy okręt i

ruszymy w drogę.

Vornado spokojnie skinął głową, ale zaczynał się obawiać tego rejsu. Okręt nie został przetestowany i miał niedoświadczoną załogę. Vornado nie znał też taktyki Rosjan. Pomyślał, że będzie szczęśliwy, kiedy ta cholerna misja się skończy. Nawet jeśli czeka go problem ze Swietłaną.

Część V

Bez skrupułów

– Dowodzenie, tu sonar. Mnóstwo pogłosów z kierunku Mistrza Jeden – rozległ się na linii kierowania ogniem meldunek starszego bosmana Keatinga.

Dillinger zerknął na Steve'a Flooda. OOD włożył czerwone gogle na wypadek, gdyby musieli podejść w ciemności na głębokość peryskopową. „Alfa” zatrzymała się, Sierra Osiem – Buff – też. Od piętnastu minut z masywnego frachtowca dochodziły dziwne, głośne dźwięki sklasyfikowane jako pogłosy, bo w przeciwieństwie do stałego hałasu śruby czy turbogenerators były krótkotrwałe. Pogłosem mógł być dźwięk klucza maszynowego upuszczonego na pokład, zatraskiwanego włazu, upadającego garnka, opróżnianej wytwornicy pary lub nawet zbyt głośnej muzyki stereo blisko kadłuba.

– Co tam się może dziać? – zapytała Keatinga D'Assault.

– Dowodzenie, tu sonar. Możliwe, że mają problemy z odczepieniem holu, jeśli rzeczywiście ciągnęli „Alfę”.

– Sonar, tu dowodzenie. Przyjęłam. – D'Assault zerknęła na Dillingera. – Przynajmniej ją mamy. – Zasłoniła dłonią mikrofon, podeszła bliżej i spojrzała kapitanowi w oczy, ale bez żadnej czułości. – Moglibyśmy ją teraz zatopić.

Pokręcił głową.

– Tuż obok jest frachtowiec. Jego załoga zobaczyłaby eksplozję. Rozkaz operacyjny zabrania działań w takiej sytuacji. Co gorsza, moglibyśmy trafić ten cholerny statek. Wolałbym się z tego nie tłumaczyć Joemu Palaczowi Kraftowi.

Skinęła głową i odeszła. Dillinger wrócił do obserwacji ekranu sonaru i zbioru punktów na wyświetlaczu systemu kierowania ogniem BSY-1. Jeśli punkty tworzyły linię pionową, wprowadzony namiar na cel – jego kurs, szybkość i odległość – zgadzały się z rzeczywistością. Jeśli linia była odchyłona od pionu w prawo lub w lewo, dane nie odpowiadały realiom. Oficerowie przy konsolach centrum ataku mogli wprowadzić bardziej adekwatne współrzędne, żeby punkty znów utworzyły pionową linię. Jeśli cel poruszał się jednostajnie, po wykonaniu okrętem kilku trzyminutowych manewrów namiarowych – przepłynięciu pewnych odcinków w wystarczającym oddaleniu od przeciwnika – komputer mógł określić jego kurs, szybkość i odległość. Tylko jedna kombinacja tych danych tworzyła na ekranie pionową linię. Informacji o szybkości celu dostarczał sonar na podstawie liczby obrotów śruby. Wskazywał też odległość do przeciwnika. Daleki cel mógł być odbierany tylko na wąskim paśmie w wyniku odbicia dźwięku od dna morskiego. Wprowadzano wtedy odległość dziesiątek mil. Przy bliskim kontakcie szerokopasmowym, który być może byłby widoczny w peryskopie, oficerowie wprowadzali małą odległość.

Problem zaczynał się wtedy, gdy cel manewrował lub wiedział, że jest śledzony. Wówczas obliczenia komputerowe i manualne wykresy stawały się całkowicie rozbieżne.

– Kapitanie, zalecam podejście na głębokość peryskopową i obserwację wizualną – powiedziała D'Assault. – Jeśli mają trudności z odczepieniem holu, może uda nam się zobaczyć „Alfę”. Albo przynajmniej zrobimy zdjęcie peryskopowe i pokażemy potem jako dowód, że ją mieliśmy.

– To najlepsza myśl, jaka dziś przyszła ci do głowy, z wyjątkiem jednej – odparł Dillinger, zastanawiając się, czy D'Assault rozumie, o co mu chodzi. – Sonar, tu kapitan. Podchodzimy pionowo na głębokość peryskopową.

W centrum dowodzenia panowała napięta atmosfera od momentu, gdy do pomieszczenia wszedł Abdas al-Sattar. Był w białej, zwiewnej szacie i czerwonej pelerynie. Szabla obijała mu się o udo. Jeśli czuł się niepewnie bez swoich podwładnych, to nie okazywał tego.

– Kapitanie Vornado, chciałbym z panem porozmawiać.

– Nie teraz, Święty – rzucił przez ramię Vornado. – Jesteśmy zajęci.

W górze rozległ się głośny łoskot i „Lira” oddzieliła się od „Kirowskiego”. Wskazania głębokościomierza na stanowisku sterowania okrętem szybko rosły, gdy Andriej

całkowicie napełnił zbiorniki balastowe o zmiennej objętości. Pokład pochylił się, dziób był za ciężki. Rusanow siedział przy stanowisku sterowania okrętem w lewym przednim rogu centrum dowodzenia i gorączkowo manipulował przy wyświetlaczach, żeby nie uderzyli dziobem w dno.

Abdas chwycił się relingu wokół peryskopu. Vornado jeszcze nie widział, żeby przywódca Egipcjan wykonał tak szybki ruch. Abdas zawsze zachowywał się spokojnie i dostojnie, ale teraz najwyraźniej stracił panowanie. Pewnie miał takie same obawy, jak Vornado.

– Andriej, do cholery, niech pan natychmiast opróżnia dziobowe zbiorniki balastowe!

– Robi się, kapitanie. Głębokość pięćdziesiąt metrów. Okręt powoli wypoziomował.

– Wystarczy, Andriej. Niech pan przerwie opróżnianie. Dziób się podniósł, ale wciąż opadali za szybko.

– Opróżnić środkowe zbiorniki, ale już!

Rusanow wykonał rozkaz i tempo zanurzenia zmalało.

– Jaka tu jest głębokość?

Rusanow był zajęty przy swoim stanowisku. Vornado poszedł do prawego tylnego rogu pomieszczenia, wybrał na wyświetlaczu sonaru echosondę i wprowadził polecenie. Mały hydrofon pod kilem wyemitował krótki sygnał o wysokiej częstotliwości i czekał na echo. Czas między sygnałem a echem był mierzony przez komputer i przetwarzany na metry głębokości na podstawie korelacji między temperaturą wody a prędkością dźwięku. System

dodawał do tego zanurzenie kila w momencie wysłania sygnału i wyświetlał całkowitą głębokość morza.

– Dwieście osiemdziesiąt metrów – oznajmił Vornado.

Rusanow skinął głową.

– Okręt jest stabilny, może trochę się wznosi.

– Ma pan kontrolę nad zanurzeniem? – Gdyby Rusanow zdołał kontrolować głębokość, nie musieliby osiadać na dnie. Mogliby zawisnąć na moment w bezruchu, a potem odpłynąć spod „Kirowskiego”. Vornado spojrzał na „Iwana” pochylonego nad wyświetlaczem nawigacyjnym. Płaski, poziomy ekran pokazywał mapę morską. Oprogramowanie było ogólnie dostępne. Dane batymetryczne uaktualniono według tajnych map rosyjskiej marynarki wojennej, które bracia Kaznikow zdobyli za łapówki. Trudno było się przyzwyczaić do elektronicznej, nie papierowej mapy, ale technika szła naprzód.

Rusanow przytaknął.

– Mam. Okręt stabilny na głębokości dwustu pięciu metrów.

Dillinger warknął następny rozkaz.

– OOD, podejść wolno na głębokość peryskopową.

– Tak jest, sir – odpowiedział Flood. – Szef wachty, zaciemnienie sterowni. Oficer zanurzenia, podnieść okręt pionowo na głębokość dwudziestu metrów.

Z szybu peryskopu wolno wyłonił się moduł optyczny. Flood przykucnął, rozłożył uchwyty i przycisnął twarz do

okularu, zanim peryskop wysunął się do pełnej wysokości. Flood podnosił się razem z modułem. Prawą ręką sprawdził, czy ustawione jest małe wzmocnienie obrazu, lewą obrócił soczewkę tak, żeby obserwować przestrzeń dokładnie nad okrętem.

– Widzę powierzchnię – powiedział głosem stłumionym przez osłonę modułu optycznego. – Odbicia światła od fal.

– Trzydzieści metrów, OOD.

– W porządku. Nie ma żadnych kształtów ani cieni. – Flood przesunął peryskop co dwie sekundy, zataczając pełne kręgi. Fale wysoko w górze obracały się wokół jego głowy. W końcu opuścił soczewkę do poziomu, żeby przeniknąć wzrokiem ciemność i spojrzeć w dal.

W sterowni panowała cisza. Dillinger patrzył na wyświetlacze centrum ataku. Czekał, aż peryskop całkowicie się wynurzy i Flood ustąpi mu miejsca na platformie. Nie mógł okazywać zniecierpliwienia, bo załoga zinterpretowałaby to jako obawę. Musiał wyglądać na zupełnie spokojnego. W zielonej poświacie ekranów centrum ataku czuł na sobie wzrok D'Assault. Pragnął na nią spojrzeć, ale wiedział, że nie może sobie pozwolić na dekoncentrację.

– Dwadzieścia trzy metry. Szef wachty, rozpocząć napełnianie zbiornika kontroli zanurzenia numer dwa. Dwadzieścia dwa metry. Dwadzieścia jeden. Szef wachty, przerwać napełnianie. Dwadzieścia metrów, sir!

Flood wykonał peryskopem trzy szybkie obroty. Na

północnym zachodzie pojawiły się na moment światła frachtowca, potem zniknęły. Pozostał tylko ciemny horyzont i nikły zarys klifów daleko na rosyjskim wybrzeżu. W pobliżu niczego nie dostrzegł, więc spowolnił obserwację.

– Brak bliskich kontaktów! – oznajmił i skierował peryskop na Sierę Osiem, frachtowiec.

Noc była pogodna, wiatr wiał z prędkością ośmiu węzłów, w łagodnych falach odbijało się srebrzyste światło księżyca. Statek tkwił nieruchomo w wodzie z włączonymi lampami nawigacyjnymi. Nie działo się nic podejrzanego, poza tym, że frachtowiec nie płynął.

– Chcę go zobaczyć – odezwał się Dillinger zza pleców Flooda.

– Małe wzmocnienie obrazu, na horyzoncie, relatywny kierunek trzy pięć zero.

Dillinger przejął peryskop. Okular był ciepły od dotyku twarzy Flooda. W podziałce ukazał się nieruchomy frachtowiec. W ciemności błyszcząco kilka światła wewnątrz nadbudowy i przy drabinkach między zewnętrznymi platformami. Na rufie, gdzie Dillinger spodziewał się zobaczyć około dwudziestu członków załogi odczepiających ciężką linę holowniczą, nie było nikogo. Zwiększył wzmocnienie obrazu i obrócił peryskop, żeby zbadać horyzont. Przypuszczał, że „Alfa” jest wynurzona gdzieś w pobliżu statku i nie widać jej, dlatego że ma wyłączone lampy nawigacyjne. Ale po zatoczeniu pełnego kręgu nigdzie nie znalazł okrętu.

– Sonar, tu kapitan. Widzę tylko Sierę Osiem, ani śladu Mistrza Jeden. Nadal go mamy?

– Kapitanie, tu sonar. Przy zerowej szybkości antena holowana opada. Straciliśmy wąskie pasmo, ale mamy teraz Mistrza Jeden na szerokim. Stosunek sygnału do szumów wysoki. Odbieramy mnóstwo pogłosów. Jest blisko.

– Co z odchyleniem pionowym? – zapytała D'Assault.

Termin dotyczył zdolności sferycznej anteny sonarowej do nasłuchiwania dźwięków dochodzących z góry lub z dołu. Mieli „Alfę” na szerokim paśmie, więc hydrofony anteny sferycznej wskazywały, czy największa aktywność akustyczna jest powyżej czy poniżej okrętu.

– Koordynator, tu sonar. Odchylenie zerowe. Powtarzam, zerowe.

Taki komunikat oznaczał, że „Alfa” znajduje się na takiej samej głębokości, jak „Tucson”. To było niemożliwe.

– Sonar, tu dowodzenie! Co się dzieje, do cholery? – spytała D'Assault poirytowanym tonem. – Kontroler do sterowni.

– Tak jest, pani komandor – zameldował się Keating zza jej pleców.

– Co tak długo?

Keating wciąż miał zmarszczone czoło.

– Wiem, że to zabrzmiało głupio, panie kapitanie, XO, ale „Alfa” nie jest ani na dnie, ani na powierzchni. Stoi na naszej głębokości.

– To rzeczywiście brzmi głupio, ale dzięki – odparł Dillinger i Kealinn wycofał się do sonaru. – Młodszy oficer pokładowy, przejąc peryskop rozkazał Dillinger porucznikowi Nickowi Neonowi Keondre'owi. Ko ordynatora i OOD poproszę na platformę. – Opuścił swój mikrofon na wysięgniku i zasłonił go dłonią. Pozostała dwójka oficerów zrobiła to samo. – Co o tym myślicie? – szepnął.

– Zaczekajmy kilka minut – zaproponowała D'Assault.
– „Alfa” tu jest, zanurzona i pozbywa się holu. Mamy silny sygnał na szerokim paśmie.

Dillinger zastanowił się i skinął głową.

– Silnik główny rozgrzany, Andriej?

Vornado jeszcze nie doznawał tego uczucia w drugim życiu znów był pod wodą i dowodził. Mało kto potrafił zrozumieć tę radość. Z tym przeżyciem mogło się równać chyba tylko przekraczanie bariery dźwięku myśliwcem odrzutowym, spacerowanie w kosmosie lub skakanie po powierzchni Księżyca. Ale za godziny, dni czy tygodnie ta przygoda miała się skończyć i Petera czekał powrót do cywilnego życia. Vornado pozbył się przygnębiającej myśli i skoncentrował na chwili obecnej.

– Tak jest, kapitanie. Sprzęgło włączone, śruba w ruchu. Pełna gotowość.

– Bardzo dobrze. Minimalna naprzd. Niech pan obserwuje wskazania głębokościomierza i kompasu. – Vornado pochylił się nad ramieniem Rusanowa. – Przy

szybkości trzech węzłów wypróbuje pan ster kierunku.

– Tak jest. – Rusanow położył dłoń na dźwigni przepustnicy w lotniczym stylu i przesunął ją wolno naprzód.

Vornado obserwował wyświetlacz prędkościomierza. Wskazanie zmieniło się wolno z zera na jeden węzeł. Vornado obejrzał się w stronę rufy. Dimitrij Masłow monitorował pracę reaktora.

– Co z mocą?

– Piętnaście procent i rośnie, kapitanie. Temperatury w normie.

– Dwa węzły, kapitanie. Trzy węzły – informował Andriej.

– Wypróbować ster kierunku.

– Tak jest. – Rusanow chwycił joystick na panelu. Konfiguracja ekranów kontrolnych, pedałów i drążka sterowego celowo naśladowała ustawienia w kokpicie myśliwca. Rusanow pociągnął joystick w dół. Drążek znalazł się między nogami Rosjanina, jakby wystawał mu z krocza. W innych okolicznościach Vornado uznałby pewnie, że wygląda to zabawnie, ale teraz był śmiertelnie poważny. Rusanow postawił stopy na pedałach.

– Sprawdzam działanie steru kierunku w prawo.

Wskaźnik na panelu sterowniczym pokazał wychylenie steru w prawo. Vornado skoncentrował się na kompasie, który zaczął się wolno obracać z kierunku zachodniego ku północnemu.

– Pięć węzłów, kapitanie – poinformował Andriej.

– Sprawdzić działanie steru kierunku w lewo. – Gdyby ster się zablokował, misja byłaby skończona.

Rusanow nacisnął lewy pedał. Wskaźnik pokazał, że ster wraca do środkowego położenia i wychyla się w lewo.

– W porządku, Andriej. Stały kurs dwa dziewięć zero.

Kiedy Rusanow wrócił na kurs w kierunku północno-zachodnim, Vornado kazał mu wypróbować najpierw dziobowe, potem rufowe stery głębokości. Po dziesięciu nerwowych minutach okazało się, że wszystko działa. Jeśli któryś ze sterów by zawiódł, zginęliby w ciągu sekund, zwłaszcza gdyby dziobowe lub rufowe stery głębokości zablokowały się w pozycji nurkowania. Zrobiliby dziurę w dnie morza i taki byłby ich koniec.

– Antena holowana gotowa do wypuszczenia, Andriej?

Rusanow wyświetlił z boku ekranu nowy obraz i skinął głową.

– Tak jest.

Liną anteny holowanej wystrzeliwał jeden z siłowników tego samego podzespołu głównego układu hydraulicznego, który poruszał dziobowymi sterami głębokości. Skoro stery działały, antena powinna wystrzelić. Koniec sześćdziesięciometrowej liny tkwił w wyrzutniku między zewnętrznym a wewnętrznym kadłubem. Kołowrotek był umieszczony w przestrzeni swobodnego zalewu nad mechanizmem wrót wyrzutni torpedowej przed pierwszym przedziałem.

– Wypuścić antenę holowaną – rozkazał Vornado i

przypomniał sobie zabawną historię z przeszłości. Był wtedy młodszym oficerem, miał dyżur na okręcie i pokazywał trzyletniej Marli sterownię. Kiedy sonarzysta powiedział niewyraźnie „antena holowana”, Marla zrozumiała „arena malowana”. Przed następnym dyżurem taty zapytała go, czy będzie w pracy malował arenę. Vornado poczuł tęsknotę za córką, synem, żoną i swoim życiem.

– Antena wypuszczona, kapitanie.

Vornado obejrzał się na Swietlanę. Dołączyła do nich wcześniej. Był taki zajęty z Rusanowem, że nie zauważył, kiedy weszła. Nie powinna się pokazywać w centrum dowodzenia, zwłaszcza w obecności Abdasa al – Sattara. Ale pracowała przy jednym z paneli, więc Egipcjanin nie miał powodu zwracać na nią uwagi.

– Iwan – zawołał Vornado. – Niech pan przestawi sonar na tryb wąskopasmowy, przełączy procesory z anteny kadłubowej na holowaną i uruchomi automatyczne poszukiwania wieloczęstotliwościowe.

Swietłana skinęła głową. Wołała się nie odzywać przy Abdasie swoim „męskim” głosem. Zabrała się do roboty.

Kiedy weszła do systemu, Vornado podszedł do wyświetlacza reaktora w tylnej części pomieszczenia. Sprawdził wskazania i wrócił do ekranów sterowania okrętem. Zastanawiał się, czy przetestować „Lire”, czy po prostu płynąć spokojnie w kierunku północnego Atlantyku. Rozsądek nakazywał robić minimum, podróżować wolno i cicho, bez ryzyka, po drodze

wszczać bunt i pozbyć się Abdasa, kiedy jeszcze przyzwyczajają się do rejsu w zanurzeniu. Ale instynkt podpowiadał Vornado, że Egipcjanie są maksymalnie czujni. Dopiero po kilku minutach poczują się znudzeni. Lepiej poczekać, aż nadejdzie dzień. Przez ten czas można się spotkać z Danałowem, rozdać broń i zaplanować akcję. Vornado sprawdził na mapie głębokość morza przed okrętem. Byli w głębszej części, która rozciągała się do szwedzkiego przylądka Nordkapp i Morza Norweskiego, gdzie głębokość sięgała niemal tysiąca sążni. Nie miał wątpliwości, że jeśli przyspieszy do maksymalnej szybkości, pozna możliwości „Liry”.

A jeśli śledzi ich okręt podwodny z Zachodu? To dobrze, pomyślał. Amerykanie byliby sprzymierzeńcami. CIA chce mieć Abdasa i „Lirę”. Ktokolwiek tropi „Lirę”, stara się jej nie zgubić. Duża szybkość to hałas, który będzie sygnalizował śledzącemu obecność rosyjskiego okrętu.

Decyzja zapadła, pomyślał Vornado. Gaz do dechy.

– Dowodzenie, tu sonar. Coś się zmienia – zameldował Keating. – Pogłosy ucichły. Mamy Mistrza Jeden na szerokim i wąskim paśmie. Oba wskazują, że jest w ruchu.

Dillinger zerknął na Flooda, potem na D'Assault. Czekanie się skończyło.

– Wchodzimy do gry – powiedział. – OOD, szybkość osiem węzłów, kierunek północ-północny zachód,

odcinek namiarowy na szerokim paśmie.

– Sternik, cała naprzód dwie trzecie – rozkazał Flood.

– Dowodzenie, tu sonar. Mistrz Jeden przyspiesza.

– Sonar, masz liczbę obrotów śruby? – zapytała D'Assault.

– Dowodzenie, tu sonar. Jeszcze nie – odpowiedział Keating.

Dillinger śledził wykresy w centrum ataku. Od czasu do czasu zerkał na mapę geograficzną i nawigacyjną. „Tucson” płynął szybko na północny zachód, antena holowana nasłuchiwała. Hałas „Alfy” docierał do procesorów wąsko – i szerokopasmowych sonaru BQQ-5. Dillinger był bardzo zadowolony – dopadli Mistrza Jeden.

– Gazu, Andriej. Niech pan przyspieszy do piętnastu węzłów.

– Tryb manualny czy autopilot?

– Na razie manualny.

– Tak jest, kapitanie. – Vornado obserwował, jak Rusanow powoli przesuwa dźwignię przepustnicy do przodu. Pokład w ogóle nie wibrował. Vornado spojrzął na głębokościomierz. „Lira” była stabilna jak skała. Odwrócił się w stronę rufy, przeszedł trzy metry i zerknął na wyświetlacz reaktora.

– Wszystko gra?

– Bez zarzutu, kapitanie – zameldował Masłow. – Przekroczyliśmy dwadzieścia procent mocy reaktora i główne pompy wtrysku wody morskiej wyłączyły się

automatycznie. Jesteśmy na wtrysku dynamicznym.

Wskaźnik mocy reaktora pokazywał dwadzieścia pięć procent. Główne pompy wody morskiej były nieczynne, teraz ruch okrętu naprzód wtłaczał wodę chłodzącą do kondensatorów. Z nowymi wlotami kondensatorów okręt powinien być w lodowatym morzu arktycznym szybszy niż kiedykolwiek. Może nawet pobije rekord osiągnięty w dawnych czasach. Niewykluczone, że uda się osiągnąć prędkość pięćdziesięciu siedmiu lub pięćdziesięciu ośmiu węzłów.

– Dajmy dwadzieścia pięć węzłów, Andriej.

– Tak jest. – Rusanow powoli przesunął przepustnicę dalej do przodu. Pokład nadal nie wibrował, jakby stali w miejscu.

Vornado znów poszedł do tylnej części pomieszczenia. Moc reaktora wzrosła do czterdziestu procent. Przy tej szybkości reaktor „Hamptona”, dawnego okrętu Vornado, miałby pięćdziesiąt procent mocy i trzeba byłoby przełączyć główne pompy chłodziwa na wysokie obroty powodujące hałas.

– Dwadzieścia pięć węzłów, kapitanie.

– Dobrze – mruknął Vornado. – Teraz trzydzieści.

Rusanow znów pchnął przepustnicę. Okręt był wciąż stabilny jak skała. Vornado kazał przyspieszyć do czterdziestu węzłów, potem do czterdziestu pięciu. Jeszcze nigdy nie płynął w zanurzeniu z szybkością powyżej czterdziestu węzłów.

– Pięćdziesiąt.

Rusanow przyspieszył. Nadal nie odczuwało się żadnych wibracji, okręt płynął gładko. „Hampton” zostałby już daleko z tyłu i z każdą godziną traciłby do „Liry” dwanaście mil morskich. Wielkość łożyska wyciskowego robi różnicę, pomyślał z uśmiechem Vornado pochylony nad konsolą sterowniczą. Obejrzał się na wyświetlacz reaktora. Mieli jeszcze do wykorzystania dwadzieścia procent mocy. Nadszedł czas, żeby sprawdzić, co potrafi „Lira”.

– Dowodzenie, tu sonar. Mistrz Jeden szybko daje nogę. Mam zanikający sygnał na szerokim i wąskim paśmie. Zalecam zwiększenie szybkości do pełnej.

– Do pełnej? – warknął do mikrofonu Dillinger. – Odbiło ci, bosmanie?

– Dowodzenie, tu sonar. Sygnał na wąskim i szerokim paśmie nadal zanika. Utrata sygnału na szerokim paśmie.

– OOD, pełna szybkość – rozkazał Dillinger i wpadł do sonaru. – Co jest, do jasnej...

Keating nie dał mu dokończyć.

– Zgubiliśmy Mistrza Jeden, kapitanie – oznajmił, wpatrując się w niego z napięciem.

– Andriej, skoordynujcie działania z Masłowem i wolno podnieście moc reaktora do stu procent. Zobaczymy, na co stać ten okręt.

– Tak jest. – Rusanow zwiększył na swoim stanowisku moc reaktora i delikatnie pchnął przepustnicę.

Kiedy turbiny parowe pobrały więcej energii z rdzenia, mechanizm sterujący wysunął pręty regulacyjne, żeby podwyższyć poziom mocy. Vornado nie chciał przekraczać stu procent, ale powinien bezpiecznie dojść do maksymalnej energii cieplnej rdzenia.

Moc reaktora przekroczyła dziewięćdziesiąt procent. Przy dziewięćdziesięciu pięciu i szybkości pięćdziesięciu dziewięciu węzłów pokład zaczął lekko drżeć. Vornado patrzył na prędkościomierz. Albo był źle wyskalowany, albo okręt miał większe możliwości niż ktokolwiek się spodziewał. Przy szybkości sześćdziesięciu jeden węzłów wibracje pokładu nasiliły się. Ale nie były takie gwałtowne, żeby wylało się pół kubka kawy. Ten okręt to cud, pomyślał Vornado.

Przy osiągniętej prędkości najmniejsza usterka hydraulicznego układu sterowniczego lub moment nieuwagi Rusanowa mogły ich kosztować życie. Nie warto dłużej ryzykować, stwierdził w duchu Vornado. Niewiarygodna szybkość okrętu przydałaby się podczas ucieczki przed torpedą, ale „Lira” nie była przeznaczona do walki z wrogim okrętem podwodnym. Teraz należało ułożyć plan pokonania Abdasa i terrorystów z Ahel al Beit.

– Wystarczy, Andriej. Silnik stop. Pozwólmy „Lirze” popłynąć rozpędem.

– Tak jest. – Rusanow cofnął przepustnicę do pozycji stop. Gdyby chciał odwrócić kierunek obrotów silnika, musiałby pchnąć dźwignię w bok i pociągnąć wstecz. Ale

przy takiej szybkości mógłby pęknąć wał i przedziurawić kadłub wewnętrzny, a wtedy do środka okrętu wdarłaby się woda.

„Lira” stopniowo zwolniła do szesnastu węzłów.

– Główne pompy wody morskiej włączyły się automatycznie, kapitanie – zameldował Masłow.

– Andriej, jedna druga naprzód, obroty dla piętnastu węzłów.

– Tak jest.

– Iwan, mamy jeszcze antenę holowaną po tym sprincie?

Swietłana odwróciła się od konsoli sonaru i skinęła głową. Zadowolony Vornado podszedł do wyświetlacza nawigacyjnego z tyłu pomieszczenia, gdzie Wiktor Danałow sprawdzał system. Vornado spojrzał mu w oczy, potem na mapę.

Abdas al-Sattar przyłączył się do nich.

– Kapitanie Vornado, czy teraz ma pan czas?

– Oczywiście, Święty – odparł Vornado. – O co chodzi?

Abdas zmiażdżył Danałowa wzrokiem.

– Możemy porozmawiać na osobności?

– W mojej kajucie?

– Nie, tutaj, przy mapie sztabowej.

– Nawigacyjnej – poprawił go Vornado.

Abdas spojrzał lodowato na kapitana. Święty nie jest przyzwyczajony do czekania ani do tego, żeby wytykano mu błędy, pomyślał Vornado. Trudno, jego problem. Czuł

uspokajający ciężar pistoletów – smith & wessona . 45 na biodrze, walthera P99 pod pachą i walthera PPK na kostce. Był zdecydowany wrócić do Rachel i dzieci za wszelką cenę.

– Wiktor, proszę nas zostawić samych. Może zmieniłby pan Iwana przy sonarze? – Swietłana nie powinna go odwiedzać w kajucie kapitańskiej, skoro Egipcjanie znali ją jako Iwana Mironowa. Musiał dopilnować, żeby tam nie wróciła. Mogła pójść do jego kajuty tylko po swój bagaż. Zdecydował, że będzie mieszkała z braćmi Masłow. – Iwan, nie rozpakował pan jeszcze swoich rzeczy, prawda? Kajuta numer pięć, zgadza się?

Skinęła głową i wstała, żeby ustąpić miejsca Danałowowi, potem zniknęła w przednim szybie wejściowym. Abdas nawet nie podniósł wzroku znad mapy.

– Gdzie jest najbliższe miejsce, skąd moglibyśmy zaatakować Tel Awiw? – zapytał.

Vornado wystukał polecenie na klawiaturze umieszczonej w tylnej części stołu nawigacyjnego. Skala mapy zaczęła się zmieniać. W końcu Ziemia wydała się tak odległa, jakby patrzyli na nią z dużej wysokości nad Europą. Vornado wybrał Tel Awiw jako środek ekranu, potem kazał komputerowi zakreślić wokół miasta krąg o promieniu trzech tysięcy kilometrów.

– Pociski Granat mają zasięg trzech tysięcy kilometrów – powiedział cicho, spoglądając kątem oka na Masłowa i Rusanowa. – Jak widać, teraz jesteśmy za daleko. Jedyna

droga do wnętrza kręgu prowadzi przez Cieśninę Gibraltarską. Ale nie będziemy mieli miasta w zasięgu, dopóki nie znajdziemy się na północ od Algieru.

Abdas wydawał się zadowolony.

– Kiedy tam dotrzemy?

– Wydałem rozkaz, żeby utrzymywać szybkość piętnastu węzłów. – Vornado puknął palcem w wyświetlacz i pojawił się kalkulator. Komputer był sterowany dotykiem. Przydatne urządzenie, pomyślał Vornado. Żałował, że nie miał takiego na swoich poprzednich okrętach podwodnych. Ale w końcu mnóstwo rzeczy chętnie zapożyczyłby z „Liry”. Jeśli zdołałby zabrać ze sobą swój notebook, kiedy przyjdzie na to czas, przekazałby Amerykanom wszystkie szczegóły konstrukcyjne „Liry”. Do diabła, pomyślał. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dostarczy im cały okręt. – Płynąc w takim tempie, będziemy w pobliżu Algieru za około dziesięć dni i dwie godziny od teraz.

– Mógłby pan łatwo rozwinąć dwukrotnie większą szybkość. A nawet czterokrotnie, jak wynika z tego, co przed chwilą widziałem.

Vornado zamierzał zaprzeczyć, ale Abdas uniósł dłoń.

– Niech pan nic nie mówi. Zawracamy.

– Co?! Dlaczego? Myślałem, że zamierza pan zrealizować plan. – Vornado chciał powiedzieć „wypełnić swoją misję”, ale nie wydało mu się to właściwym sformułowaniem. Misje wypełniają dobrzy faceci, a to był terrorysta.

– O tym porozmawiamy w pańskiej kajucie. Ale najpierw niech pan skieruje okręt z powrotem na wschód z małą szybkością.

Vornado wzruszył ramionami.

– Andriej, zwolnić do dziesięciu węzłów. Kurs na wschód.

Rusanow potwierdził rozkaz i zawrócił okręt. Vornado spojrzał na Abdasa.

– Niech pan mi da pięć minut. W mojej kajucie jest straszny bałagan. Muszę trochę posprzątać, żebym mógł pana przyjąć.

– Dobrze.

Vornado podbiegł do drabinki. Miał nadzieję, że Swietłana zrozumiała polecenie i wyniosła się. W kajucie panował idealny porządek. Rzeczy Swietłany zniknęły. Zajrzał do łazienki. Na podłodze nie było już włosów po stryżeniu i nigdzie nie zauważył damskich przyborów toaletowych. Przez moment czuł smutek. Po godzinie, którą spędzili tu razem, Swietłana stała się częścią tego miejsca. Boże, pomyślał. Jak ja wrócę do swojego dawnego życia?

Ale naprawdę chodziło o to, czy Rachel się dowie.

– Niech to szlag – zaklął Dillinger i spojrzał na D'Assault. – Szkoda że pani nie posłuchałem, XO. Trzeba go było od razu storpedować.

– Nie ma sprawy, kapitanie. – Natalie nie odrywała wzroku od powtarzacza sonaru. Wpatrywała się w ekran,

jakby próbowała siłą woli ściągnąć „Alfę” z powrotem. – Skąd mógł pan wiedzieć, że ten pieprzony okręt wystrzeli do przodu jak błyskawica?

„Alfa” zniknęła bez śladu. Tony, które wcześniej odbierali – szpic 246 herców i dublet 308 herców – były wykrywalne tylko z bliska. Nie zdążyli nawet zrobić analizy dźwięku śruby, żeby określić liczbę łopat.

Słono za to zapłacę, pomyślał ponuro Dillinger. Sytuacja musiała być poważna, skoro dostał rozkaz zatopienia „Alfy”. A tymczasem ją zgubił. Spodziewał się, że będzie dochodzenie i zapewne straci stanowisko dowódcy okrętu podwodnego. Zastanawiał się, czy D'Assault kochałaby go wtedy mniej niż teraz. Zdał sobie sprawę, że takie myślenie to złośliwość wobec Natalie. Zganił się w duchu. Dziewczyna nie zasługiwała na podobne podejrzenie. Spojrzał na XO. Miała smutną, współczującą minę. Coś w nim drgnęło. Poprawił mu się nastrój. Nie poddadzą się, znajdą „Alfę”.

– Kapitanie – odezwała się cicho D'Assault. – Moglibyśmy wyliczyć pozycję „Alfy” na podstawie jej poprzedniego kursu i wystrzelić pocisk SUBROC. Jeśli byłaby blisko, zatopilibyśmy ją mimo braku kontaktu sonarowego.

Dillinger na moment zamknął oczy. Propozycja była kusząca, bardzo kusząca. Ale nie zdołaliby potwierdzić trafienia. I wcześniej nie uzyskali na tyle dokładnego odczytu kursu „Alfy”, żeby teraz posłać głowicę pocisku na mniejszą odległość od celu niż dwadzieścia mil

morskich. Nawet gdyby to miało wystarczyć, musieliby określić szybkość Mistrza Jeden. Jaką prędkość powinni przyjąć? Czterdzieści węzłów? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Rosyjski okręt mógł płynąć z szybkością trzydziestu pięciu węzłów, ale równie dobrze pięćdziesięciu ośmiu. Zbyt mało wiedzieli. Po zakończeniu misji Dillinger musiałby się tłumaczyć przed Joem Palaczem Kraftem. Impulsywne działanie, wystrzelenie broni jądrowej w ślad za uciekającym celem nie gwarantowało trafienia.

– Nie – odparł w końcu. – Chętnie odpaliłbym kilka bomb wodorowych już teraz, ale nie byłibyśmy pewni, czy posłaliśmy „Alfę” na dno.

– Moglibyśmy przejść w tryb aktywny – zasugerował Flood. – Wysłać impuls i zobaczyć, co się stanie.

Dillinger zbył to machnięciem ręki.

– Zgubiliśmy „Alfę” siedem minut temu. Przy swojej szybkości mogła już odskoczyć na trzynaście tysięcy metrów.

– Nasz sonar aktywny ma taki zasięg – zauważyła D'Assault.

Użycie sonaru aktywnego zdradziłoby pozycję „Tucsona”. Dillingerowi nie odpowiadało takie rozwiązanie. Uznał, że walka nie jest jeszcze przegrana. Wcześniej kazał płynąć z pełną szybkością na północ-północny zachód, żeby odzyskać sygnał „Alfy”, ale kiedy teraz pochylił się nad stołem nawigacyjnym, zmienił zdanie. Postanowił popłynąć szybko wzdłuż

wybrzeża trasą żeglugową na północny Atlantyk, dokąd najwyraźniej zmierzała „Alfa”.

To było pierwsze posunięcie. Drugie miało być jeszcze bardziej skuteczne. „Tucson” rozwijał prędkość trzydziestu dziewięciu węzłów, ale jego torpedy osiągały pięćdziesiąt pięć.

– Oficer uzbrojenia – zwrócił się Dillinger do komandora porucznika Lionela Tonelle. – Czy możemy zaprogramować torpedę na łączność z sonarem aktywnym Q-5, tak jak to zrobiliśmy na „Albany”?

Tonelle spojrzał na kapitana poważnie.

– Jasne, ale to potrwa z dwadzieścia minut.

Dillinger niestety nie pomyślał o tym wcześniej. Podczas ćwiczeń opracował nowy sposób ataku podwodnego i nie użył go dotąd w tej dziwnej wojnie jednego strzału. Gdyby teraz torpeda wykryła Mistrza Jeden, najpierw skierowałby ją do celu. Potem wykorzystałby drugą lekcję z ćwiczeń „Skradzione strzały” – zaprogramowałby pocisk SUBROC i wysłał go za horyzont do punktu detekcji. On i cała reszta nie docenili „Alfy”. Drugi raz nie popełnią tego samego błędu.

– Do roboty, uzbrojenie – rozkazał. – Schluss, przekaz swoje stanowisko Vauxhallowi i przejmij panel obsługi uzbrojenia.

D'Assault uniosła brwi. Dillinger pomyślał, że podczas oczekiwania może jej wyjaśnić swoją taktykę.

Abdas rozsiadł się w fotelu kapitańskim. Vornado postanowił to zignorować, ale zdał sobie sprawę, że nie powinien. Każde spotkanie z Abdasem było konfrontacją, cholerną próbą sił.

– Niech pan się zabiera z mojego miejsca – warknął.

Abdas uśmiechnął się, jakby chciał dać do zrozumienia, że Vornado nie postępuje rozsądnie, ale wstał i przesiadł się.

Vornado opadł na fotel – wygodniejszy niż na „Hamptonie”.

– No, więc? – zaczął. – Dlaczego płyniemy na wschód, zamiast na zachód, i co jest tak wielką tajemnicą, że musiał mnie pan wziąć na stronę?

– Chodzi o frachtowiec.

– O „Kirowskiego”?

– Tak. Ma pan na pokładzie torpedy?

Vornado zmrużył oczy i przytaknął.

– To dobrze – odparł Abdas. – Zatopi pan statek.

Vornado czekał przez moment. Jednak Abdas najwyraźniej nie zamierzał powiedzieć nic więcej. Zaczął się zbierać do wyjścia.

– Zaraz, na litość boską – powstrzymał go Vornado. – Dlaczego... ?

– Dla bezpieczeństwa – przerwał mu Abdas. – Gdyby ktoś z załogi frachtowca miał za długi język, zatrzymano by nas, zanim zdążylibyśmy wypełnić święty obowiązek.

Vornado zaczęło coś świtać.

– W Murmańsku była eksplozja. Wysadziliście w

powietrze terminal?

Abdas po prostu patrzył na niego bez mrugnięcia okiem. Vornado odwrócił wzrok. Miał ochotę udusić sukinsyna. Wstał gwałtownie z miejsca, wyszedł z kajuty i mocno trzasnął drzwiami. Wzbierał w nim niepohamowany gniew. Wpadł do centrum dowodzenia z wściekłą miną.

– Co się stało, kapitanie? – zapytał Rusanow.

Vornado nie odpowiedział. Bez słowa włączył wyświetlacz systemu kierowania ogniem w prawym przednim rogu pomieszczenia. Pomyślał, że za godzinę będzie wiedział, czy torpedy są sprawne. Nie mógł uwierzyć, że zamierza to zrobić, ale nie miał innego wyjścia. Musisz się z tym pogodzić, powiedział sobie. Patrzył na ekrany i zastanawiał się, ile zbrodni popełniono, tylko dlatego żeby się nie zdekonspirować.

Vornado bezskutecznie starał się pozbyć wstrętu do zadania, jakie polecono mu wykonać. „Kirowski” nie był wrogim okrętem wojennym, lecz, bezbronnym frachtowcem. Dwudziestoosobowa załoga statku miała się wkrótce znaleźć w lodowatej wodzie w środku nocy. Nie mogli się nawet zatrzymać i wyłowić rozbitków. Należało zniszczyć wszystkie dowody istnienia „Liry” i pozbyć się świadków.

Pomyślał, że załodze „Liry” grozi podobne niebezpieczeństwo ze strony terrorystów. Był ciekaw, czy Egipcjanie podejrzewają, że Rosjanie o tym wiedzą. A może Arabów to nie obchodzi? Zagrożenie tworzyło dobry grunt dla buntu pod przywództwem Danałowa. Vornado zastanawiał się, czy nie przyspieszyć tej akcji i nie opanować okrętu teraz, ale krwiożerczy brat Abdasa, Arsalaan, włączył się po trzech pierwszych przedziałach „Liry” z pistoletem maszynowym MAC-10 gotowym do strzału. Bunt mógł się rozpocząć dopiero wtedy, gdy Abdas i Arsalaan – a przynajmniej ten drugi – pójdą spać. Kiedy Danałow weźmie broń z kajuty Vornado i rozda pistolety, koniec koszmaru będzie blisko.

W centrum dowodzenia zameldowała się cała załoga. Rusanow siedział na stanowisku sterowania okrętem, Dimitrij Masłow przy panelu obsługi napędu. Michaił Masłow stał przy stole nawigacyjnym, gdzie kręcił się

Abdas al-Sattar. Swietłana czuwała przy sonarze, Wiktor Danałow zajmował miejsce przy konsoli kierowania ogniem. Vornado bardzo to odpowiadało, bo wiedział, że Danałow jest człowiekiem Hanka Lewisa I nie zawaha się, kiedy nadejdzie czas, żeby zatopić frachtowiec.

– Uwaga, załoga – powiedział Vornado. – Klient wydał rozkaz, który musimy wykonać, mimo że będzie to dla nas bardzo bolesne. Za kilka minut storpedujemy frachtowiec „Kirowski”. Trzeba to zrobić dlatego, żeby rejs „Liry” pozostał tajemnicą. Jeśli ktoś nie chce brać udziału w akcji, niech się zgłosi.

– Dowodzenie, tu sonar – odezwał się Keating. – Odzyskaliśmy Mistrza Jeden!

– Sonar, tu kapitan. Melduj – odpowiedział Dillinger.

Lionel Tonelle wciąż próbował zaprogramować torpedę Mark 48 na łączność z aparaturą sonaru aktywnego. Wydawało się, że trwa to już całą wieczność.

– Mam Mistrza Jeden na wąskim paśmie. Sygnał jest coraz mocniejszy. Uważam, że „Alfa” zbliża się do nas. Możliwe, że zawróciła.

Dillinger spojrział na powtarzacz sonaru. „Alfa” była na kierunku za – chód-północny zachód.

– Koordynator, wykonać manewr namiarowy – rozkazał. – Zobaczymy, czy teoria Keatinga jest prawdziwa. I przełączyć stanowisko jeden na tryb szybkiego strzału.

Taktykę szybkiego strzału Amerykanie przejęli od

Rosjan. Radzieckie okręty podwodne były głośniejsze od amerykańskich i Rosjanie wpadli na pomysł, żeby wystrzeliwać torpedy natychmiast po wykryciu przeciwnika. Jeśli kapitan nie zdołał otworzyć ognia w ciągu sześćdziesięciu sekund od pierwszej detekcji – bez względu na porę dnia czy nocy – tracił stanowisko dowódcy, które obejmował jego zastępca. W trybie szybkiego strzału wyświetlacz na konsoli ataku BSY-1 pokazywał komiksowy widok dwóch łodzi wiosłowych z lotu ptaka. Górna łódź symbolizowała cel, dolna własny okręt. Łącząca je prosta była linią wzroku. Kąty odchylenia celu i własnego okrętu od linii wzroku określano na podstawie danych sonarowych i kalkulacji, ale nawet przybliżona ocena ruchu przeciwnika mogła się okazać wystarczająca, żeby go zatopić, a jeśli nie, to na pewno wystraszyć i zyskać czas na bardziej precyzyjne przygotowanie ataku.

Po nerwowej minucie Dillinger zrobił zwrot i skierował okręt na południe. Punkty na ekranie konsoli kierowania ogniem zaczęły tworzyć linię pionową. D'Assault spojrzała na Dillingera.

– „Alfa” płynie z powrotem. Jak by pan to wytłumaczył?

– Może wraca do domu po krótkim dziewiczym rejsie. Albo wykryli jakąś usterkę. – Uśmiechnął się. – Albo zapomnieli kluczy.

– W każdym razie, kapitanie, mamy współrzędne ogniowe. Zalecam procedury momentu odpalania dla

wyrzutni numer dwa.

– Zgoda. Sonar, tu kapitan. Jaki jest kierunek do Mistrza Jeden?

– Kapitanie, tu sonar. Kierunek dwa osiem pięć z przewidywanym przesunięciem na północ.

– W porządku. Koordynator, szybki strzał z jedyнки!

– Tak jest, szybki strzał, wyrzutnia numer jeden – odpowiedziała D'Assault i pochyliła się nad stanowiskiem pierwszym, gdzie porucznik Patrick Schluss wprowadził dla linii wzroku kierunek 285 stopni. Wyświetlacz pokazał automatycznie, że własny okręt płynie kursem 290 stopni. Cel był na lewo.

– Stanowisko pierwsze, wprowadzić odległość osiemnaście tysięcy metrów i kurs jeden jeden zero – zakomenderowała D'Assault. – Możemy to skorygować, jeśli Mistrz Jeden jest bliżej. Ten kurs powinien odpowiadać jego trasie powrotnej do Murmańska.

– Tak jest – odpowiedział Schluss i wyświetlił na ekranie to, co chciała widzieć D'Assault. – Wprowadzone.

– W gotowości – zameldował Tonelle.

– Strzelaj! – rozkazał Dillinger.

– Ognia! – warknął Tonelle.

Hałas mechanizmu spustowego wyrzutni poraził Dillingerowi uszy.

– Jedyńka odpalona elektrycznie – zameldował Tonelle.

– Dowodzenie, tu sonar. Wystrzelenie własnej torpedy normalne.

– Kapitanie – odezwała się D'Assault. – Poproszę pana i OOD na platformę.

– O co chodzi? – zapytał szeptem Dillinger.

– Moglibyśmy teraz wystrzelić pocisk SUBROC, kapitanie. Współrzędne ogniowe dla torpedy Mark 48 nie są idealne, ale cel jest wystarczająco blisko, żeby zatopiła go nasza broń jądrowa.

– Nie – odparł Dillinger. – Dopóki mamy szansę trafić „Alfę” torpedą, wystarczy Mark 48. Ale jeśli Mistrz Jeden znów ucieknie, przyłożę mu głowicą nuklearną, ma pani na to moje słowo. Na razie wraca na wschód. Nasza torpeda idzie prosto na niego. Wykorzystamy tę sytuację i skopiemy mu dupę.

Wiadomość o planowanym zatopieniu „Kirowskiego” najgorzej przyjęli bracia Masłow. Młodszy z nich, Michaił, patrzył przez chwilę na Vornado z otwartymi ustami.

– Zabierzemy rozbitków, kapitanie? – wyjąkał w końcu.

– Nie – odparł Vornado przez zaciśnięte zęby. – Nie będę was okłamywał. Celem storpedowania frachtowca jest zabicie załogi. To godne pożałowania, ale konieczne. Misja „Liry” jest zbyt wielką tajemnicą, żeby ryzykować, że ktoś z załogi „Kirowskiego” wygada się w portowym barze.

Masłow otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Na litość boską, Michaił – warknął jego starszy brat Dimitrij. – Idź na dół, jeśli nie możesz sobie z tym poradzić.

Młodszy Masłow ruszył w kierunku dziobu i zniknął w szybie wejściowym.

– Przepraszam za brata – powiedział Dimitrij. – Pod wieloma względami jest jeszcze bardzo niedorosły.

Vornado odwrócił się bez słowa. Nie winił Michaiła, ale nie mógł pozwolić, żeby reszta załogi uważała, że wybaczył odmowę wykonania rozkazu. Pomyślał, że jedynym porządnym człowiekiem na pokładzie okazał się Michaił Masłow. Vornado z trudem zmusił się do skoncentrowania na makabrycznym zadaniu, które go czekało.

Dillinger pochylił się nad stołem nawigacyjnym. Skręcili i płynęli teraz na północ. Szybko, ale cicho. Wciąż mieli kontakt sonarowy z „Alfą”, ale nadal tylko na wąskim paśmie, co było denerwujące.

– Dowodzenie, tu sonar. Nie mamy już Mistrza Jeden na trawersie. Znajduje się teraz w drugim stożku rufowym.

– Sonar, tu dowodzenie. Przyjąłem – odpowiedział Flood.

– Co na to koordynator? – zapytał Dillinger.

– Jest korelacja, kapitanie – odparła D'Assault. – Płyniemy na północ, więc zakładam, że Mistrz Jeden przemieści się z sektora zachodniego do

południowo-zachodniego.

– Pod warunkiem że jest bliżej niż przypuszczamy – odparł Dillinger. – Trzeba wprowadzić mniejszą odległość na stanowisku drugim i zobaczyć, jak ułożą się punkty.

– Stanowisko drugie – zwróciła się D'Assault do Mercury-Pryce'a. – Wprowadzić mniejszą odległość.

Wykres na wyświetlaczu Merca był nieregularnym zbiorem punktów, stałointerwałowych jednostek danych nadchodzących co trzydzieści sekund z kierunków sonarowych. Przy odbiorze sygnału na szerokim paśmie Merc miałby prostą linię, ale przy wąskim paśmie dane były rozproszone po całym ekranie. Gdyby założenia Merca odnośnie do kursu, szybkości i odległości celu odpowiadały rzeczywistości, punkty tworzyłyby pionowy stos, co świadczyłoby, że przewidywany kierunek do Mistrza Jeden zgadza się z danymi. Mercury-Pryce sięgnął do pokrętki ustawiania odległości i obrócił je z osiemnastu tysięcy metrów do pozycji dziewięciu tysięcy. Pionowy zbiór jednostek danych załamał się w bok. Nie było korelacji.

– Spróbujmy dać mniejszą szybkość – zaproponowała D'Assault.

Mercury-Pryce zredukował prędkość „Alfy” z trzydziestu pięciu węzłów do dwudziestu. Zbiór punktów wrócił na środek ekranu. Przy szybkości dwunastu węzłów znów utworzył pionową linię.

– Trzeba wykonać manewr, kapitanie – powiedziała

D'Assault. – Jeśli nie przepłyniemy następnego odcinka namiarowego, nie znajdziemy „Alfy”.

Musieli zrobić zwrot i analizę ruchu celu, żeby urealnić współrzędne. Było za dużo przypuszczeń co do szybkości i odległości „Alfy”. Przy kursie na południe tylko jedna szybkość i odległość utworzyłaby prostą linię punktów.

Obok D'Assault stanął Steve Flood.

– Jeśli skreścimy, żeby przepłynąć następny odcinek namiarowy, kapitanie, możemy zgubić Mistrza Jeden. Jeżeli przemieszcza się do węższych sektorów, to jest coraz bliżej. Jeśli zaczekamy, może przejdzie przez ostatni sektor i uzyskamy dokładne współrzędne. Wtedy moglibyśmy zrobić zwrot na wschód, żeby nam nie uciekł, i to byłby nasz odcinek namiarowy. Wystarczyłoby do oddania strzału bez obawy, że zgubimy cel.

Dillinger zastanowił się. Pamiętał stres po utracie kontaktu z „Alfą”.

– Koordynatorze, na razie muszą nam wystarczyć takie współrzędne, jakie mamy. Nie chcę znów zgubić „Alfy”. Odwrócimy antenę holowaną o sto osiemdziesiąt stopni. Ustabilizuje się za dziesięć minut.

– Zgoda, kapitanie, ale stanowczo zalecam powolny skręt szerokim łukiem na północny zachód. Pozostaniemy poza stożkiem poszukiwawczym naszej torpedy, ale zmniejszymy dystans do „Alfy”. Jest szansa, że będziemy mieli silniejszy sygnał. Kiedy się zbliżymy, może odzyskamy kontakt na szerokim paśmie. Wtedy już drań nam nie ucieknie.

Dillingerowi spodobał się ten plan.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem. Wykonamy manewr na północny zachód, żeby zmniejszyć odległość do „Alfy” i poprawić stosunek sygnału do szumów na wąskim paśmie. Do roboty. OOD, skierować okręt na północny zachód. Zwiększyć szybkość do standardowej i tak trzymać, dopóki nie będziemy na nowym kursie. Potem zwolnić z powrotem do dziesięciu węzłów.

Kiedy okręt skręcił, Dillinger pomodlił się w duchu, żeby nie zgubili „Alfy”. Natychmiast dostał odpowiedź.

– Dowodzenie, tu sonar. Mamy „Alfę” na szerokim paśmie. Kierunek dwa zero pięć.

Dillinger chętnie uściskałby starszego bosmana Keatinga. Stracił na to ochotę po następnym meldunku sonarzysty.

– Dowodzenie, tu sonar. Nasza torpeda wyłączyła się.

Torpedzie wystrzelonej w Mistrza Jeden w końcu zabrakło paliwa.

Zasrane Mark 48, pomyślał ze złością Dillinger. Mają cholernie wąski stożek poszukiwawczy. Jeśli cel nie znajduje się w trójkącie o rozwartości sześciu stopni, chybiają. To tak, jakby wysłać do lasu ekipę poszukiwawczą z latarką o wąskim snopie światła tylko na wprost. Dopóki pozycja celu nie jest znana, Mark 48 wystrzelona według domyślnych współrzędnych chybi.

Pozostaje pytanie, czy odpalenie torpedy zaalarmowało Mistrza Jeden? Usłyszał wystrzelenie? A może jej ruch, kiedy tłuła się na ślepo po oceanie, niezdarnie

poszukując celu?

Za późno, żeby się tym martwić. Torpeda wystrzelona w ciemno rzadko trafia w cel. To jedna z reguł działań wojennych. Ale najważniejsze że Mistrz Jeden znów jest na szerokim paśmie.

– Oficer uzbrojenia, odciąć przewód do wyrzutni numer jeden, zamknąć wrota zewnętrzne i ponownie załadować wyrzutnię. Przygotować wyrzutnię numer dwa pod każdym względem.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem. Zamierzam przepłynąć trzyminutowy odcinek namiarowy, żeby wykonać analizę ruchu celu, trzymając Mistrza Jeden na szerokim paśmie, a potem dać ognia z wyrzutni dwa i trzy. Do roboty. OOD, skrócić w lewo i przejść przez linię wzroku do kursu jeden pięć zero.

– Tak jest. Sonar, tu dowodzenie. Skracamy w lewo. Sternik, cała naprzód standardowa, ster dziesięć stopni w lewo, stały kurs jeden pięć zero.

Dillinger czuł napięcie, kiedy skręcali. Zastanawiał się, czy bogowie ukarzą go za to, że nie oddał szybkiego strzału przed wykonaniem zwrotu. Ale był człowiekiem, który uczy się na własnych błędach, i doświadczenie podpowiadało mu, że wystrzeliwanie torped w ciemno jest jak zarzucanie sieci bez dokładnego rozeznania, gdzie są ryby. Obawiał się, że jeśli pošle torpedę wzdłuż linii kierunkowej do Mistrza Jeden, cwany sukinsyn znów da nogę z nieprawdopodobną szybkością, zniknie z ekranów sonaru i więcej się nie pojawi. Dillinger postanowił, że

nie będzie marnował amunicji. Tym razem podkradną się blisko do drania, ustalą dokładnie, gdzie jest i dokąd płynie, a potem strzelą mu prosto w serce.

Mapa nawigacyjna pokazywała, że zbliżają się do punktu, w którym się zanurzyli. Jeśli „Kirowski” zawrócił na wschód-południowy wschód i przyspieszył do prędkości rejsowej dwunastu węzłów, przechwycą go za dziesięć minut. Vornado spojrział na Wiktora Danałowa przy konsoli kierowania ogniem.

Danałow był blady w przyćmionym świetle pomieszczenia. Pewnie miał takie same opory przed wykonaniem czekającego ich zadania jak Vornado.

– Proszę uruchomić zasilanie torpedy UGST w wyrzutni szóstej – rozkazał Peter.

– Potrzebuję pomocy, kapitanie – odezwał się po chwili Danałow. Najwyraźniej chciał porozmawiać z dowódcą na osobności. – Co ty wyrabiasz? – wycedził Danałow, nie poruszając wargami i manipulując przy panelu.

– Zamierzam storpedować frachtowiec – odparł Vornado. – A mam jakiś wybór?

– Zaczniemy bunt teraz.

– Nie możemy – syknął Vornado. – Klienci są cały czas na adrenalinie. Jeszcze nie widziałem tak czujnych facetów. Natychmiast nabraliby podejrzeń, gdybyś poszedł na dół. A teraz się zamknij, bo nas obserwują.

– Popełniasz wielki błąd. Mógłbyś użyć swojej broni osobistej.

– Arsalaan ma pistolet maszynowy MAC-10 –

odpowiedział szeptem Vornado. – Sam widziałem. Jak go wyciągnie, z moimi pukawkami nic nie zdziałam.

– Mówię ci, że trzeba to zrobić teraz – nie ustępował Danałow.

Vornado zignorował go i skoncentrował się na panelu. Kiedy czekał na ukończenie budowy „Liry”, spędził długie godziny na studiowaniu konstrukcji torped UGST i ich panelu interfejsowego. Po załadowaniu torped razem z Andriejem Rusanowem połączył każdą sztukę czarnym gumowym złączem z zasilaczem i sygnalizatorem wyrzutni. Potem przetestowali wszystkie. Mimo obiekcji klientów w wyrzutniach od pierwszej do czwartej oraz w szóstej tkwiły UGST. W wyrzutni piątej był jeden z czterech pocisków manewrujących RK-55 Granat z głowicami jądrowymi. Pozostałe trzy leżały na stojaku w torpedowni i czekały na odpowiedni moment. Vornado wiedział, że dopóki będzie mógł coś zrobić, ta chwila nie nastąpi. Mimo obiekcji Danałowa storpeduje frachtowiec, ale prędzej umrze – niż wystrzeli broń nuklearną w miasto z ludnością cywilną. Teraz tylko on potrafił odpalić pociski. Ale Rusanow i bracia Masłow mogli się tego z czasem nauczyć; między innymi dlatego trzeba było wywołać bunt jak najszybciej po zatopieniu frachtowca.

Torpeda była już zasilana i autodiagnostyka wypadła zadowolająco. Vornado zerknął na mapę morską. Nadszedł czas, żeby zwolnić.

– Panie Rusanow, jedna druga naprzód, obroty dla

dwunastu węzłów.

– Tak jest, kapitanie.

Okręt zwolnił. Z tylnego rogu pomieszczenia odezwał się Dimitrij Masłow.

– Główne pompy wody morskiej włączyły się automatycznie, kapitanie – zameldował.

Obecna szybkość nie wystarczała do wtłaczania wody chłodzącej do kondensatorów, więc wtryskiwanie musiały przejąć pompy.

– W porządku. Panie Mironow, proszę się skoncentrować przy sonarze na kierunkach od zero osiem zero do jeden zero zero. W tym sektorze spodziewam się frachtowca. – Vornado celowo zaczął być bardziej oficjalny. Zwracanie się do podwładnych po imieniu podczas wystrzeliwania torpedy wydawało mu się niewłaściwe. – Panie Danałow, zalać i odpowietrzyć wyrzutnię szóstą.

– Wyrzutnia szósta zalana, kapitanie – zameldował po chwili Danałow. – Zawór zalewowy i zawór odpowietrzający zamknięte.

– Otworzyć wrota zewnętrzne wyrzutni szóstej.

– Otwieram wrota zewnętrzne.

– Kapitanie – wtrącała się Swietłana. – Mam na sonarze frachtowiec. Jest na kierunku zero dziewięć trzy.

Odbierany sygnał sonarowy wystarczył do zaprogramowania torpedy UGST.

– Wprowadzić kierunek do torpedy w wyrzutni szóstej.

– Wprowadzony.

– Kapitanie – powiedział Danałow. – Wrota zewnętrzne wyrzutni szóstej otwarte i zabezpieczone.

– W porządku. Niech pan uważa, kiedy będę konfigurował broń. – Vornado wybrał tryb programowania torpedy. – Celowanie do obiektów nawodnych znajduje się tutaj. Wybieramy to. Naprowadzanie na kilwater jest czynne. Torpeda będzie płynęła ze średnią prędkością. Możemy wybrać sonar aktywny, wysyłający sygnał, lub pasywny, który tylko nasłuchuje. Wybierzemy pasywny. Detonację wywoła kontakt bezpośredni i zbliżenie magnetyczne. Wprowadzimy nastawy. Kiedy podam odległość do celu, wprowadzi pan dane tutaj. Określę też „dystans do gotowości”, to znaczy odcinek, jaki przepłynie torpeda, zanim się uzbroi. Wprowadzi pan go tutaj. Wszystko jasne? Poradziłby pan sobie, gdyby następnym razem musiał to zrobić samodzielnie?

Danałow przytaknął.

– Panie Rusanow, proszę przestawić dziobową pompę wyrównawczą balastu na prawy zbiornik zalewowy wyrzutni torpedowych i rozpocząć pompowanie.

Andriej potwierdził rozkaz i uruchomił sprężanie wody w zbiorniku zalewowym za pomocą rosyjskiego odpowiednika pompy trymującej. Na „Hamptonie” powietrze pod ciśnieniem napałoby na tłok, który sprężyłby wodę w zbiorniku wyrzutni, żeby wystrzelić torpedę. Rosjanie wyeliminowali ten mechanizm i wykorzystywali po prostu pompę trymującą.

Amerykański system był cięższy i zajmował więcej miejsca, ale uważano, że można na nim bardziej polegać w czasie walki.

– Pompa uruchomiona, kapitanie. Prawy zbiornik zalewowy pod pełnym ciśnieniem.

– Panie Danałow, niech pan wybierze na swoim panelu tylny zawór zalewowy zbiornika i włączy automatyczne kierowanie ogniem.

– Tak jest, kapitanie. Tylne zawory zalewowe w trybie automatycznego kierowania ogniem.

– Uwaga, załoga. Zamierzam podejść na głębokość peryskopową, żeby wprowadzić ostateczny kierunek do systemu kierowania ogniem i obserwować zatonięcie frachtowca. – Vornado obejrzał się na Abdasa. – Klient musi widzieć, że wykonujemy jego rozkazy, więc też będzie świadkiem zatopienia statku. – Ze strony Abdasa nie było żadnej reakcji. – Panie Danałow, wyłączyć górne oświetlenie centrum dowodzenia. – W pomieszczeniu zapadł mrok, który rozjaśniała tylko poświata ekranów. Vornado postanowił nie włączać lamp sufitowych po ataku. – Panie Rusanow, silnik stop. Proszę o meldunek, kiedy zwolnimy do sześciu węzłów. Podchodzimy na głębokość trzydziestu metrów.

– Silnik stop, trzydzieści metrów – powtórzył Rusanow. – Szybkość jedenaście węzłów, kapitanie.

– Bardzo dobrze. – Vornado czekał, aż okręt wyhamuje. Pokład odchylił się do góry, zanurzenie zaczęło maleć.

– Sześć węzłów, kapitanie.

– W porządku. Minimalna naprzód, obroty dla czterech węzłów. Podejść na głębokość zanurzenia kilka dwadzieścia metrów.

– Minimalna naprzód, cztery węzły, podejście na dwadzieścia metrów.

Vornado wszedł za reling wokół peryskopu i sięgnął nad głowę. Zamiast pierścienia sterującego stosowanego na amerykańskich okrętach, tutaj była dźwignia hydrauliczna. Vornado obrócił ją w górę i peryskop zaczął powoli wysuwać się z szybu. Układ optyczny i możliwości urządzenia nie dorównywały zaawansowanym technicznie peryskopom amerykańskim Type 18 czy Type 22, ale były wystarczające. Vornado zaczekał, aż moduł z okulem zatrzyma się na wysokości jego piersi, opuścił uchwyty i przycisnął twarz do zimnej gumy.

– Dowodzenie, tu sonar. Mamy pogłosy z kierunku Mistrza Jeden zameldował Keating.

– Sonar, tu kapitan. Jak brzmią?

– Jak zgrzyty. To może być wysuwanie masztu lub peryskopu.

Dillinger spojrział na D'Assault. Zerknęła na wyświetlacz na stanowisku drugim, potem na kapitana.

– On podchodzi na głębokość peryskopową. Moment...

– Pochyliła się nad wyświetlaczem na stanowisku pierwszym, gdzie Schluss ustawiał punkty, i szepnęła coś

koledze do ucha. – Kapitanie, czy moglibyśmy przepłynąć jeszcze jeden odcinek namiarowy na północny zachód? Mam pewną teorię.

Dillinger skinął głową i rozkazał Floodowi skrócić z powrotem na północny zachód. Skierowanie okrętu na nowy kurs trwało dwie minuty. Przez następne dwie D'Assault i Schluss gromadzili i sortowali dane. Dillinger cały czas obserwował na ekranie jasny ślad na południu, Mistrza Jeden.

– Koordynator, meldować – zażądał Dillinger Nie mógł się doczekać, kiedy wystrzeli torpedę w cholerną „Alfę”.

– Naszą teorię widać na wyświetlaczu mapy geograficznej – oznajmiła triumfalnie D'Assault. – Niech pan spojrzy, kapitanie. „Alfa” wraca do Sierry Osiem, frachtowca Buffa. Pamięta pan, jak próbowaliśmy odgadnąć, dlaczego Buff zatrzymał się na ponad godzinę? Teraz wlecze się z szybkością zaledwie pięciu węzłów. Musi mieć awarię i „Alfa” płynie z powrotem, żeby mu pomóc.

Dillinger popatrzył na widok z lotu ptaka. Komputer pokazywał, że „Alfa” wraca z zachodu-północnego zachodu do Sierry Osiem. Była na kursie prowadzącym prosto do Buffa. A to stwarzało pewne problemy moralne i operacyjne. Dillinger spojrział na Flooda. OOD też tak oceniał sytuację.

– Jesteśmy w punkcie wyjścia, kapitanie – powiedział.
– Jeśli zatopimy „Alfę” na oczach załogi Buffa, postąpimy wbrew rozkazowi operacyjnemu. I jeśli „Alfa”

jest na głębokości peryskopowej albo na powierzchni, nie zdołamy wprowadzić granicy pułapu dla torpedy. Co oznacza, że Mark 48 może chybić i trafić w ten cholerny frachtowiec. Będziemy mieli tonący statek handlowy i mocno wkurzoną, w pełni uzbrojoną „Alfę”, która wie, skąd nadpłynęły torpedy.

– Kapitanie – wtrąciła się D'Assault niemal zdesperowanym tonem. Bliskość frachtowca już raz powstrzymała nas przed atakiem. Stanowczo zalecam, żebyśmy zlekceważyli tę część rozkazu operacyjnego. Lepiej zatopić „Alfę” przy świadkach, niż znów ją zgubić, tym razem zapewne na dobre. Co z tego, że załoga frachtowca zobaczy eksplozję i zatonięcie „Alfy”? Pomyślą, że to następny „Kursk” czy „Skorpion”, jeszcze jedna ofiara wybuchu własnej broni wewnątrz kadłuba.

– Jeśli zatopimy sukinsyna tutaj, ktoś może go wyłowić – zauważył Flood. – Rosjanie zorientują się, że to nasza robota.

– Jeśli wpakujemy w „Alfę” pięć torped, to po eksplozji okrętowego uzbrojenia nic z niej nie zostanie – odparł Dillinger. – Ale to już nie nasz problem, OOD. Mamy rozkaz załatwić „Alfę”. To, co czytam z herbacianych fusów, mówi mi, że powinniśmy posłać ją na dno, a dyskrecja byłaby mile widziana, ale nie jest konieczna. Niech załoga frachtowca zobaczy klęskę Mistrza Jeden.

– Jak się zabezpieczymy przed trafieniem w statek?

– Będziemy śledzili kierunek wprowadzony do systemu kierowania ogniem. W razie czego przesterujemy albo

wyłączymy rakiety – odparł Dillinger.

– A jeśli stracimy z nimi łączność przewodową? – Za czerwonymi szklami gogli widać było szeroko otwarte oczy Flooda.

Dillinger zmarszczył brwi.

– To załoga frachtowca będzie miała pioruńsko zły dzień. – Za taką odzywkę mógł stanąć przed sądem wojennym, ale miał to gdzieś. Odwrócił się z powrotem w stronę centrum ataku. – Uwaga, zespół kierowania ogniem. Zamierzam ostrzelać „Alfę”, kiedy tylko uzyskamy współrzędne ogniowe.

Okręt przez trzy minuty robił ostatni zwrot na południowy zachód, żeby wejść na kurs i zebrać równowartość sześćdziesięciosekundowego napływu danych szerokopasmowych. Odkąd cel podszedł na głębokość peryskopową, pokonali dwa odcinki namiarowe. „Alfa” była w odległości sześciu tysięcy czterystu metrów na kierunku sto dziewięćdziesiątym ósmym i płynęła na wschód z szybkością pięciu węzłów. Dysponując tymi danymi, nawet młodszy oficer po podstawowym przeszkoleniu pod – wodniackim potrafiłby ją zatopić.

– Kapitanie – powiedziała D'Assault. – Mamy współrzędne ogniowe. Zalecam oddanie strzału z wyrzutni numer dwa.

Nie było żadnego dźwięku, nie rozległ się porażający uszy, dudniący huk, jak przy pneumatycznym

wystrzeleniu torpedy z wysokociśnieniowej wyrzutni amerykańskiej. Otworzył się tylko zawór kulowy w tylnej części wyrzutni i wpuścił sprężoną wodę ze zbiornika zalewowego, gdzie pompa wyrównawcza balastu wytworzyła wysokie ciśnienie potrzebne do wypchnięcia torpedy. Komputer torpedy uruchomił silnik turbinowy, który zassał wodę i wyrzucił przez dyszę wylotową. Na panelu kierowania ogniem zgasła zielona kontrolka i włączyło się kilka wyświetlaczy. Jeden z nich pokazywał, że torpeda została wystrzelona.

– Torpeda poszła, kapitanie.

– Procedury momentu odpalania – zaczął spięty Dillinger. Czuł się tak, jakby w dogrywce meczu był tuż przy linii bramkowej i miał właśnie wykonać zwycięski strzał. – Wyrzutnia dwa, Mistrz Jeden.

– Okręt gotowy – zawołał Flood.

– Uzbrojenie gotowe – zameldował Tonelle.

– Współrzędne gotowe – warknęła D'Assault.

– Wprowadzone – oznajmił Mercury-Pryce po przesłaniu danych do panelu obsługi uzbrojenia.

– W gotowości – powiedział Tonelle.

– Dowodzenie, tu sonar – przerwał im Keating. – Torpeda w wodzie!

„Alfa” otworzyła do nich ogień.

Dillinger zignorował meldunek.

– Odpalać! – rozkazał. Nie obchodziło go nic poza oddaniem strzału. Torpedą Mistrza Jeden mógł się zająć

za dziesięć sekund. Najpierw chciał załatwić sukinsyna.

– Ognia! – krzyknął Lionel i wcisnął klawisz funkcyjny.

Huk poraził Dillingerowi uszy, ale brzmiał satysfakcjonująco.

– Torpeda w wodzie na kierunku jeden dziewięć pięć! – zawiadomił Keating.

– Procedury momentu odpalania, wyrzutnia trzy, Mistrz Jeden – mówił swoje Dillinger. Nie zamierzał ustępować w obliczu torpedy nadpływającej z południa. Pieprzyć ją, pomyślał.

– Wprowadzone!

– W gotowości.

– Strzelać!

– Ognia!

Na całym okręcie zabrzmiał grzmot następnego wystrzelenia.

– Torpeda trzy odpalona elektrycznie – zameldował Tonelle.

– Sternik, cała naprzód pełna, ster pełna w prawo, stały kurs na północ! Sonar, tu kapitan. Wycofujemy się na północ.

– Kapitan przejmuje dowodzenie – oznajmił Flood.

W momencie wydania rozkazu sternikowi Dillinger automatycznie zluzował Flooda.

– Dowodzenie, tu sonar. Wystrzelenie własnej torpedy normalne. Ale po manewrze mamy nieprzyjacielską w stożku ciszy, kapitanie.

– Sternik, stały kurs trzy cztery pięć – rozkazał Dillinger. Teraz będziemy ją słyszeli, pomyślał.

– Kapitanie, zalecam odwrót z maksymalną szybkością – odezwał się Flood.

Dillinger pokręcił głową. Taka prędkość wymagałaby zwiększenia obrotów czterech pomp recyrkulacyjnych reaktora. Hałas wzrósłby trzykrotnie i zdradził ich pozycję. – Zaczekamy i zobaczymy, co robi torpeda. Może to był szybki strzał w ciemno, jak nasze poprzednie.

Dillingerowi przyszła do głowy dziwna myśl – nawet jeśli „Tucson” zostanie trafiony, „Alfa” też pójdzie na dno; w przeciwieństwie do poprzednich, dwie ostatnie Mark 48 nie mogą chybić.

– Iwan, przejąć peryskop – rozkazał Vornado. Nie chciał patrzeć, jak frachtowiec tonie. Wystarczy, że usłyszy huk eksplozji. Odwrócił się od peryskopu, kiedy podeszła Swietłana. Pochylił się nad panelem kierowania ogniem i śledził informacje nadchodzące z torpedy.

Rozłożyły się stateczniki. Pędnik nabrał pełnych obrotów, żeby wynieść torpedę z wyrzutni, potem zmniejszył szybkość do średniej. Torpeda uniosła się na głębokość pięciu metrów w poszukiwaniu kilwatera frachtowca. Na panelu rozblęsnęła kontrolka, gdy torpeda nadała sygnał, że znalazła smugę wzburzonej wody za rufą statku. Ruszyła w pościg. Wskazania zaczęły się szybko zmieniać. W końcu przyspieszyła do pełnej

prędkości czterdziestu ośmiu węzłów i naprowadziła się na kadłub, który był jej celem.

Nagle wskazania zniknęły. Torpeda zamilkła.

– Co za cholera? – zdziwił się Danałow. – Brak danych! Awaria!

– O, mój Boże – wyszeptała ze zgrozą Swietłana przy peryskopie.

– Torpeda już nie istnieje – zaczął tłumaczyć Vornado – więc nie może wysyłać...

Do centrum dowodzenia dotarł huk eksplozji. Okręt gwałtownie zadrżał. Hałas wokół Vornado narastał, świdrował w uszach. Vornado zasłonił je dłońmi, ale musiał się chwycić relingu, gdy pokład zanurkował. Swietłana krzyknęła, ale nie wiedział, czy z powodu bólu w uszach, czy szokującego widoku w peryskopie. Odwrócił się i zobaczył wokół jej oka pomarańczowy blask ognia docierający z płonącego frachtowca.

– Dowodzenie, tu sonar. Torpeda nie zmienia kierunku. Ona nie idzie na nas!

– Sternik, cała stop! – warknął Dillinger. Dalsza ucieczka przed torpedą, która miała chybić, byłaby samobójstwem, bo przy pełnej szybkości okręt tak hałasował, że „Alfa” mogłaby przesterować torpedę – jeśli jej torpedy miały sterowanie przewodowe – lub wystrzelić następną, tym razem lepiej wycelowaną.

Przy prędkości piętnastu węzłów Dillinger postanowił skrócić na zachód, żeby mieć torpedę w zasięgu

sferycznej anteny sonarowej, zamiast w stożku ciszy za rufą, gdzie antena nic nie słyszała.

– Sternik, ster pięć stopni w lewo, stały kurs na zachód.

Okręt zaczął skręcać, wskazania kompasu na konsoli sterowniczej zmieniały się wolno. Dillinger śledził mapę geograficzną i nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl.

– Koordynator, do czego „Alfa” strzela, na litość boską?

Wtedy dotarł do nich huk eksplozji. Siła wybuchu zakołysała kadłubem i zatrzęsała płytami pokładu. Dillinger zasłonił dłońmi uszy. Jeszcze nie słyszał takiego hałasu. Dzwoniło mu w uszach przez kilka sekund. W kabinie sonarowej starszy bosman Harlan Keating wrzasnął z bólu, zerwał z głowy słuchawki i rzucił je na pokład. Z półki na stanowisku peryskopowym spadły od wibracji cztery książki. Dillinger chwycił się relingu, aż zbieleły mu kostki.

– Sonar, tu kapitan, melduj!

Co się dzieje, do cholery?

– Chcę to zobaczyć – oznajmił Abdas al-Sattar, odepchnął Swietlanę i spojrział przez peryskop. Zaczął coś śpiewać w obcym języku i tańczyć przy peryskopie.

Vornado zmienił zdanie. Zabił niewinną załogę frachtowca. Widok tragedii będzie dla niego karą, ale w pełni na nią zasłużył. To zapewne najmniejsze cierpienie, jakie przeżyje podczas tej misji.

– Proszę mnie przepuścić, Święty – powiedział. Abdas

niechętnie odsunął się na bok i Vornado przycisnął twarz do ciepłego, śliskiego okularu.

Na frachtowcu wybuchły zbiorniki z paliwem. Wtórna eksplozja zakołysała statkiem, na morzu zrobiło się jasno jak w południe. Frachtowiec tonął rufą w dół, dziobowa część kadłuba już się zanurzała, forkasztel celował w niebo. Spieniona powierzchnia morza płonęła. Vornado wydało się, że widzi dwoje ramion młócących wodę i dostał mdłości. Cofnął się od peryskopu.

Pozwolił terroryście przyglądać się swojemu dziełu przez dwie minuty. Zerknął na Roleksa. Czuł na nadgarstku ciężar złotego zegarka. Pierścień wokół szkiełka i niebieska tarcza lśniły w poświacie ekranów. Minęło pół godziny, odkąd zaczęli się zbliżać do frachtowca.

– Abdas, czas wrócić na trasę na zachód. Trzeba się stąd wynosić, zanim ktoś nas wykryje.

Abdas patrzył przez peryskop jeszcze minutę, w końcu ustąpił miejsca Vornado. Dziób frachtowca zniknął w spienionej wodzie. Na powierzchni morza pozostały tylko płomienie, worki śmieci i cztery osoby. Vornado zrobił duże zbliżenie na twarze. Rozbitkowie zaczęli zamarzać w lodowatej wodzie. Trzej byli spanikowani. Czwarty miał oblicze zastygłe w wyrazie zgrozy – płonął mu lewy policzek. Vornado zamknął oczy, wyłączył wzmocnienie obrazu i opuścił peryskop.

– Panie Rusanow, ster dziesięć stopni w lewo, stały kurs dwa dziewięć zero, głębokość sto metrów, szybkość

piętnaście węzłów.

– Kapitanie – zawołała Swietłana swoim zwykłym głosem.

Dźwięk zmroził Vornado. Posłał dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie, ale Abdas al-Sattar właśnie zniknął w przednim szybie wejściowym. Zapewne szedł zawiadomić swoich podwładnych o zatopieniu frachtowca.

– Uważaj, Iwan. O co chodzi?

Miała przerażoną minę i cała się trzęsła.

– Torpedy – wykrztusiła.

Vornado poczuł nagły wzrost poziomu adrenaliny. Zepchnął Swietłanę z fotela przy konsoli sonarowej i popatrzył na ekran. Na wyświetlaczu pulsował sygnalizator, komputer wykrył nadpływającą torpedę, potem drugą. Dane pochodziły sprzed kilku minut, na litość boską! Byli zbyt zajęci przy peryskopie, żeby przyszło im do głowy, że mogą być ścigani.

Vornado zastanawiał się, kto do nich strzela. I dlaczego?

Dlatego, odpowiedział sobie, że załoga jakiegoś zaczajonego okrętu podwodnego usłyszała ich torpedę i pomyślała, że jest atakowana. To na pewno kontratak obronny. Najprawdopodobniej szybki strzał w ciemno.

Dwa szybkie strzały, poprawił się w duchu.

Torpedy nadpływały z północy, więc ucieczka w tamtym kierunku nie wchodziła w grę. Ale odwrót na południe byłby samobójstwem – po dziesięciu minutach

zabrakłoby mu oceanu. Pozostawał wschód lub zachód.

Okręt płynął już na wschód-północny wschód z szybkością piętnastu węzłów. Vornado mógł tylko przyspieszyć do maksymalnej prędkości i pozostać na obecnym kursie.

– Andriej, cała naprzód! Pełne przyspieszenie!

Vornado podbiegł do konsoli sterowniczej. Rusanow pchnął przepust – .

nicę. Pokład zaczął lekko drzeć, gdy szybkość przekroczyła trzydzieści węzłów. Wcześniej nie było takiego rezonansu, pomyślał Vornado.

– Pospiesz się, Andriej. Podnieś moc do dziewięćdziesięciu procent. Vornado rzucił się do panelu kontroli napędu. Dobry Boże, pomyślał, tylko ja tutaj wiem, jak manewrować okrętem. W tym momencie poczuł ból za oczami. – Masłow, muszę przekroczyć dopuszczalną moc reaktora. Możesz w jakiś prosty sposób obejść zabezpieczenia i blokady?

– Nie, kapitanie. Musiałbym pogrzebać w oprogramowaniu i zmienić limit mocy, reaktywności rdzenia i temperatur. Jest chyba ze czterdzieści niepewnych punktów. Mogę spróbować, ale jeśli coś mi nie wyjdzie, stracimy napęd. Chyba lepiej zadowolić się szybkością sześćdziesięciu jeden węzłów.

– To nie wystarczy. – Vornado błyskawicznie przeliczył, że torpedy pędzą z prędkością pięćdziesięciu ośmiu węzłów, zaledwie trzy węzły mniejszą od maksymalnej szybkości „Liry”. Jeśli okręt przyspieszy

zbyt wolno, Mark 48, jak zakładał, zaraz będą tuż za jego rufą. – Do cholery, Masłow, bierz się do roboty. I pospiesz się. Tylko niczego nie spieprz!

Na amerykańskich okrętach podwodnych był jeden wyłącznik wszystkich blokad reaktora używany podczas ucieczek przed torpedami. Vornado zezłościł się na samego siebie, że nie pomyślał o zainstalowaniu takiego na „Lirze”. Poczuli się głupio, że nie przewidywał sytuacji, w której będzie musiał uciekać przed torpedami lub je wystrzeliwać. Wbrew jego twierdzeniom, rosyjskie UGST załadowane na pokład nie miały służyć do obrony okrętu ani do walki, lecz do wykonania planu rezerwowego, którego nikomu nie zdradził.

– Chyba możemy bezpiecznie dojść do stu dziesięciu procent mocy reaktora – oznajmił w końcu Masłow.

Petera ogarnęło przygnębienie. Popełnił już jeden błąd, zakładając, że zaczajony okręt podwodny będzie ich po prostu śledził z bezpiecznej odległości. Tymczasem tamten kapitan najwyraźniej lubił naciskać spust, bo odpowiedział ogniem na wystrzelenie torpedy UGST. Kimkolwiek był, wpakował się w poważne kłopoty. Gdyby Vornado tak się pomylił w przeszłości, Joe Palacz Kraft odebrałby mu delfiny podwodniackie. Aleja też popełniłem błąd, że nie zaprojektowałem wyłącznika blokad reaktora, pomyślał ponuro Peter.

Teraz zamierzał zrobić coś, co mogło się okazać jego kolejnym błędem – nagłe usunięcie wszystkich zabezpieczeń reaktora groziło awaryjnym wyłączeniem

się reaktora, gdy moc wzrośnie powyżej stu procent. Okręt wyhamuje wtedy do zera, mając na ogonie dwie torpedy ścigające go z prędkością pięćdziesięciu ośmiu węzłów. Potem już nikt z „Liry” nie popełni żadnej pomyłki. Ale jeśli uda się uciec przed tymi dwiema torpedami, nie będą go ścigały następne. Kapitan z Zachodu nie powtórzy tego samego błędu i nie odda więcej strzałów pod wpływem strachu.

Czas podjąć decyzję, pomyślał Vornado. Wrócił do konsoli sonaru i spróbował ustalić odległość między „Lirą” a nadpływającymi torpedami, ale bez manewru okrętem system nie mógł jej obliczyć. Znali tylko kierunki do torped, które na ekranie wydawały się bardzo blisko. To zdecydowało.

– Andriej, daj sto dziewięć procent mocy reaktora – rozkazał Vornado. – Jaką masz szybkość?

– Sześćdziesiąt jeden węzłów, może trochę mniej.

– Przyspiesz powoli.

Andriej Rusanow zacisnął palce na dźwigni przepustnicy i pchnął ją ostrożnie naprzód. Wskaźnik mocy reaktora pokazał sto procent, sto jeden, potem sto dwa. Vornado odetchnął. Przy stu czterech procentach mocy pokład zaczął drżeć, przy stu pięciu okręt wpadł w gwałtowne wibracje. Niech się trzęsie, pomyślał Vornado.

– Sześćdziesiąt dwa i pół węzła. Sto pięć procent mocy.

– Daj więcej.

Rusanow pchnął przepustnicę dalej. Natychmiast zgasły światła. Ekran poczerniał. Z tyłu pomieszczenia

głośno zawyła syrena. Wibracje pokładu nagle ustały.

– Awaryjne wyłączenie reaktora! – krzyknął w ciemności Masłow. – Niech to szlag, kapitanie. Usunąłem zabezpieczenie, ale nie udało się.

Mając na ogonie dwie torpedy pędzące z szybkością pięćdziesięciu ośmiu węzłów, okręt podwodny „Lira” zaczął zwalniać, gdy instalacja parowa wyłączyła się w odpowiedzi na automatyczne wsunięcie prętów regulacyjnych do rdzenia reaktora przez mechanizm, który uznał, że coś jest nie w porządku.

Trzy błędy, pomyślał Vornado. Zaraz się okaże, że tyle wystarczy, żeby zginąć. Kiedy rzucił się do konsoli Masłowa, przyszło mu do głowy, że umrze w tym ciemnym centrum dowodzenia wewnątrz tytanowej trumny pod trzystoma sążniami lodowatej wody arktycznego morza. I zadał sobie pytanie, czy to naprawdę lepsze od śmierci w szpitalnym łóżku we własnym domu, w otoczeniu rodziny i przyjaciół?

I co zrobiłby teraz BK Dillinger? – pomyślał z desperacją Vornado. Walczyłby! – krzyknął w odpowiedzi jego wewnętrzny głos. Walczyłby bez skrupułów aż do śmierci.

Vornado zdał sobie sprawę, że brakuje mu BK Dillingera. Zastanawiał się, czy to jego ostatnia myśl na tym świecie.

USS „Tucson” zwolnił do ośmiu węzłów. Płynął na zachód. Blask eksplozji za rufą, na południowym wschodzie, rozświetlał cały sektor na ekranie sonaru szerokopasmowego.

– Dowodzenie, tu sonar – rozległ się na linii głos Keatinga. Po raz pierwszy, odkąd Dillinger go znał, starszy bosman mówił niezdecydowanym tonem. – Ledwo mogę uwierzyć danym, kapitanie. „Alfa” storpedowała Buffa. Bezpośrednie trafienie. Odbieram hałasy rozrywanych przegród i miazdzonej stali. Była wtórna eksplozja, zapewne wybuch zbiornika paliwa.

Pierwsza odezwała się D'Assault.

– Kontroler do sterowni.

Kiedy Keating wyszedł z kabiny sonarowej, wyglądał na oszołomionego.

– Jest pan pewien, bosmanie? To po prostu bez sensu. „Alfa” nie strzelała do nas?

– Wykluczone. Kierunek się nie zgadza. Byliśmy nad jej lewym ramieniem. Miałem pogłosy, kapitanie. Uważam, że podeszła na głębokość peryskopową, rozejrzała się i wpakowała torpedę prosto w dupę frachtowca. To było celowe, sir.

Dillinger wpatrywał się w Keatinga.

– Jesteś tego absolutnie pewien? – Dillinger spojrział na panel obsługi uzbrojenia.

Keating przytaknął i wrócił do siebie.

– Status naszych torped? – zapytał.

– Są jeszcze na dystansie do gotowości – odparł Tonelle. – Ale lada chwila zaczną szukać.

D'Assault podeszła bliżej.

– Powinniśmy zmienić ich tryb poszukiwawczy z pasywnego na aktywny. Ten cały hałas w wodzie od eksplozji frachtowca obniży stosunek sygnału do szumów z kierunku Mistrza Jeden.

– Dobry pomysł. Uzbrojenie, przełączyć obie torpedy z trybu pasywnego na aktywny.

– Tak jest, tryb aktywny. W punkcie gotowości torpedy rozpoczną poszukiwania aktywne. Trzy, dwa, jeden. Trójka gotowa, kapitanie. Czwórka gotowa. Obie torpedy sygnalizują tryb aktywny.

– Sonar, tu dowodzenie – odezwała się D'Assault. – Są impulsy z torped?

– Dowodzenie, tu sonar. Tak.

– Jest echo od Mistrza Jeden?

Teraz cię mamy, sukinsynu, pomyślał Dillinger. Co za bydlak storpedował bezbronny frachtowiec. W dodatku ten sam statek, który wyholował go z rzeki? Nic dziwnego, że Dowództwo Atlantyckiej Floty Podwodnej i Grupa Specjalna Departamentu Obrony chcą posłać typa na dno. Tylko podwodny bandzior zatapia statki handlowe na wodach międzynarodowych. Ciekawe, ilu marynarzy właśnie zginęło? – zastanawiał się Dillinger.

– Dowodzenie, tu sonar. Mistrz Jeden przyspiesza.

Znów zasuwają z szybkością ponaddźwiękową.

– Niech to szlag trafi – zaklął Flood. – Ten facet wydaje się szybszy od torpedy, kapitanie. Kto wie, pewnie też nurkuje tak głęboko, że potrafi się jej wymknąć. Mark 48 mają dość małą głębokość krytyczną w porównaniu z tym gościem, a woda jest tu głęboka.

– Uzbrojenie, złapaliście jakiś ślad detekcji? – zapytał Dillinger. Zaczynał się zastanawiać, czy nie wystrzelić teraz jednego z pocisków SUBROC, zamiast czekać. Jeśli Flood miał rację, „Alfa” mogła uciec torpedzie Mark 48.

– Dowodzenie, tu sonar. Pogłosy z Mistrza Jeden. Zwalnia.

Kiedy akumulatory w części dziobowej zasiliły inwertory czterystucykłowe i wyświetlacze w centrum dowodzenia znów rozbłysły, w Petera Vornado wstąpiła nadzieja.

Mógł zużyć resztkę pary do napędu, wykorzystując do jej podgrzania w wytwornicach wysoką temperaturę ciekłego metalu chłodzącego. Sposób był bardzo ryzykowny. Groził tak gwałtownym ostudzeniem chłodziwa, że skurczyłoby się lub nawet zakrzepło, co mogło spowodować niebezpieczne naprężenie cieplne zbiornika reaktora i jego pęknięcie. Takie uszkodzenie byłoby najpoważniejszą awarią nuklearną na atomowym okręcie podwodnym. Paliwo jądrowe stopiłoby się w przedziale reaktorowym, przeniknęło przez kadłub i zetknęło z wodą morską. Eksplozja radioaktywnej pary o

wysokiej energii rozerwałaby tylną przegrodę trzeciego przedziału. Wszyscy zginęliby w ciągu sekund.

Oczywiście tak wyglądał najczarniejszy scenariusz. W bardziej prawdopodobnym przypadku Vornado mógł wykorzystać resztkę pary bez szkody dla reaktora. Ale gdyby się pomylił, zmieniłby się tylko sposób, w jaki umrze. W ostateczności wołałby zginąć w walce.

Walcz bez skrupułów aż do śmierci.

– Kapitanie Vornado? Kapitanie Vornado! – rozległ się głos Abdasa al – Sattara.

– Vornado! – ryknął krwiożerczy brat Świętego, Arsalaan.

– Co się dzieje? – zapytał Abdas.

Vornado zignorował Egipcjan.

– Andriej, przygotuj się do wykorzystania resztki pary do napędu. Szybko.

– Tak jest, kapitanie. Jestem gotowy. – Odpowiedź Rusanowa brzmiała bardzo głośno w cichym pomieszczeniu.

– Minimalna wstecz, Andriej.

– Wstecz, kapitanie?

Wzrok Vornado przyzwyczał się już do słabej poświaty ekranów zasilanych z awaryjnego źródła energii. Zobaczył, że Andriej przestawia dźwignię przepustnicy w bok i wolno przesuwa wstecz. Obrotomierz pokazał, że śruba wiruje.

– Dziesięć obrotów na minutę, kapitanie.

– Daj dwadzieścia, potem trzydzieści.

Rusanow pociągnął przepustnicę dalej.

– Wie pan, że ryzykujemy szok termiczny głównego systemu?

– Wiem.

W centrum dowodzenia rozległo się wycie sonaru poszukiwawczego torpedy Mark 48. Brzmiało głośno wewnątrz kadłuba. Są już blisko, pomyślał Vornado. Najwyraźniej zaprogramowano je tak, żeby w momencie detekcji przełączyły się na tryb aktywny, co oznaczało, że wykryły „Lirę”. Aktywny sonar poszukiwawczy był doskonałym urządzeniem. Odrzucał wszystkie powracające dźwięki o tej samej częstotliwości, co wysyłany sygnał. Nazywano go filtrem Dopplera. Eliminował atak torpedy na fale stacjonarne powyżej lub na dno morskie poniżej, mimo że odbijały echo jego sygnału. Rejestrował tylko obiekty ruchome. Dzięki temu torpeda jest jak wilk, który widzi jedynie ściganą ofiarę, pomyślał Vornado. Co nie oznaczało, że najlepiej się zatrzymać, gdy nadpływa Mark 48 w aktywnym trybie poszukiwawczym. Ale kiedy wszystkie inne sposoby uników zawiodły, lepiej było pozostać w bezruchu.

– Czterdzieści obrotów na minutę, Andriej. Jaką mamy szybkość?

– Osiem węzłów naprzód. Daję czterdzieści obrotów wstecz.

– Temperatura chłodziwa reaktora gwałtownie spada – krzyknął Masłow z tylnej części pomieszczenia.

Zza przegrody czwartego przedziału dobiegło

skrzywienie zbiornika reaktora. Temperatura grubego metalu obniżyła się w ciągu minuty z dwóch tysięcy pięciuset stopni Celsjusza do ośmiuset, gdy turbiny parowe pobrały energię cieplną z chłodziwa. Ciekły metal mógł za chwilę zakrzepnąć. W najlepszym wypadku reaktora nie dałoby się już uruchomić, w najgorszym nastąpiłaby jego implozja. Oba rodzaje awarii zdarzały się tylko przy chłodzeniu ciekłym metalem.

– Silnik stop, Andriej!

Rusanow przesunął dźwignię przepustnicy w pozycję zerową.

– Silnik zatrzymany, kapitanie.

– Jaką mamy szybkość?

– Jeden węzeł. Nie, mniej. Sześć dziesiątych. I zwalniamy.

Vornado wziął głęboki oddech. Torpedy były coraz bliżej. Sygnały ich sonarów były jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu, dopóki nie odezwał się Abdas.

– Kapitanie Vornado! Nalegamy, żeby wyjaśnił mi pan, co się dzieje. Dlaczego nie ma światła?

Pozostało tylko czekanie na torpedy, pomyślał Vornado. Postanowił, że w tym czasie spróbuje walczyć o uratowanie okrętu i jednocześnie postara się unieszkodliwić Abdasa. Ale po kolei. Odwrócił się do Masłowa.

– Dimitrij, uda ci się uruchomić reaktor?

– Nie wiem, kapitanie. Temperatura chłodziwa spadła poniżej ośmiuset stopni. Zbiornik reaktora wytrzymał

gwałtowne ostudzenie, ale może być tak nadwreżony, że pęknie przy nagrzewaniu.

Musi zadziałać tylko raz, pomyślał Vornado.

– Zaryzykujemy. Proszę podgrzać i uruchomić reaktor, panie Masłow.

W mroku pomieszczenia zobaczył błyszczące oczy Świetłany. Widok dziewczyny przypomniawsł Peterowi ich wspólne chwile w jego kajucie. Pomyślał o ukrytej tam broni i przyciągnął do siebie Danałowa.

– Osiemdziesiąt w lewo, dziewiętnaście w prawo, pięćdziesiąt osiem w lewo. Zrozumiałeś? – szepnął mu do ucha.

Danałow bez słowa ruszył do kajuty kapitańskiej, gdzie w sejfie czekały pistolety.

Sygnaly sonarów aktywnych zbliżały się. Rozbrzmiewały od kilku minut, odkąd wyłączył się reaktor. Były coraz głośniejsze. Natężenie dźwięku potrzebne do wykrycia okrętu podwodnego z odległości dziesiątek mil morskich było ogromne. Hałas mógł z bliska ogłuszyć pływaka. Vornado kusiło, żeby zatkać palcami uszy, ale zamiast tego przyciągnął do siebie Abdasa al-Sattara.

– Słyszysz pan te dźwięki? To nadpływające torpedy. Jesteśmy atakowani, Święty. Czekają na nas zaczajony okręt podwodny. Po to, żeby pana zabić.

Abdas milczał. Sonary torped były już tak głośno, że Vornado bolały podrażnione wcześniej uszy. Zanim Abdas zdążył się odezwać, Peter zaczął mówić dalej.

– Jest tu kapsuła ratunkowa, Święty. Może pan do niej wejść ze swoimi ludźmi i odłączyć się od okrętu. Wyplyniecie na powierzchnię. Unikniecie trafienia przez wrogi okręt podwodny. My będziemy walczyli pod wodą. Jeśli przetrwamy, zabierzemy was z powrotem. Jeśli zginiemy, wy przeżyjecie. Przypuszczam, że macie telefony satelitarne i radia. Wezwiecie pomoc.

Twarz Abdasa była w cieniu, ale Vornado wydało się, że dostrzegł na niej zmianę. Strach zastąpił chytry uśmiech, potem wyraz żalu.

– A co z pociskami manewrującymi?

Mark 48 były już blisko, być może o długość okrętu od „Liry”. Vornado nie chciał krzyczeć na Abdasa i nie wiedział, czyjego plan się powiedzie. Na ćwiczeniach taka taktyka oszukiwania torped sprawdzała się tylko raz na trzy próby. Zastanawiał się, czy zewnętrzny kadłub ze stali i wewnętrzny z tytanu rzeczywiście mogą przetrwać trafienie torpedą, jak zakładano w latach 50. XX wieku. Brano wtedy pod uwagę torpedy z tamtego okresu, które nie mogły się równać z Mark 48 ADCAP.

Uniósł palec przed nosem Abdasa, potem puścił Egipcjanina i usiadł przy konsoli sonarowej. Wyświetlacz wskazywał, że aparatura zupełnie ogłuchła od hałasu torped. Ale jeśli Mark 48 miały trafić „Lirę”, Vornado wolał zginać przed monitorem niż z widokiem twarzy Abdasa przed sobą. Nagle obraz na ekranie zmienił się i sygnały torped zaczęły cichnąć.

Mark 48 minęły „Lirę”! Taktyka okazała się dobra,

przynajmniej na razie.

– Zaraz, zaraz, bosmanie – powiedziała D'Assault. – On zwalnia?!

– Dowodzenie, tu sonar. Tak. Emituje mnóstwo hałasu na szerokim paśmie. Chyba używa tylnej turbiny. Jest strasznie głośny. Zwolnił jeszcze bardziej.

– O, cholera – odezwał się Flood.

– Co jest? – zapytał Dillinger.

– Kapitanie, on musi wiedzieć o naszych filtrach Dopplera. Podczas poszukiwań w trybie aktywnym Mark 48 oddzielają hałas od echa odbitego od obiektów stacjonarnych. Jeśli Mistrz Jeden znieruchomieje, będzie niewykrywalny dla torped.

– A jeśli przełączymy je z powrotem na tryb pasywny? Tonelle odwrócił się i pokręcił głową.

– Wciąż jest za dużo hałasu z tonącego frachtowca.

– Czy torpedy cokolwiek wykryły?

– Nic, kapitanie.

– Dowodzenie, tu sonar. Mistrz Jeden zamilkł. Utrata szerokiego i wąskiego pasma. Pewnie się zatrzymał, zawisnął w bezruchu i wyłączył reaktor. Całkowita cisza z jego kierunku.

Kapitan „Alfy” to cwaniak, pomyślał Dillinger. Kimkolwiek jest. I dobrze zna taktykę amerykańską. Pozostaje tylko jedno. Tym razem nie będzie narady z Floodem i D'Assault. Ja podyktuję wynik.

Vornado usłyszał, że Rusanow i Masłow wiwatują. W tym momencie do ciemnego pomieszczenia wrócił Danałow. Miał wypchane kieszenie. Vornado uchwycił jego spojrzenie i odwrócił się z powrotem do Abdasa. – Co się stało? – zapytała Swietłana. Vornado puścił do niej oko.

– Torpedy chybiły.

– Niebezpieczeństwo minęło, kapitanie. Możemy zostać na okręcie? Nie chcemy stracić pocisków manewrujących.

– Torpedy wracają, Święty. – Dźwięk dwóch Mark 48 znów się zmienił. Zawróciły daleko na morzu i płynęły z powrotem. Ich sonary aktywne znów wysyłały impulsy. – Amerykanie nazywają to trybem ponownego ataku. Jeśli torpedy zgubią trop, robią drugie podejście, potem trzecie. W końcu ich procesory skorelują powrót z celem lub macierzysty okręt wyłączy ich filtry Dopplera i wykryją nas, mimo że stoimy. Musicie się ewakuować i poczekać, aż wygramy tę walkę. Wasze pociski będą tu bezpieczne, Święty. Obiecuję, że zrobimy wszystko, żeby uratować okręt. Zwycięzimy, jeśli tylko okaże się to możliwe. Potem wynurzymy się obok kapsuły ratunkowej i zabierzemy was z powrotem na pokład. Gdybyśmy się jednak nie pojawili, wezwiecie swoich ludzi na pomoc. W kapsule ratunkowej jest ogrzewanie, tlen i jedzenie. Przy dobrej pogodzie można otworzyć górny włącz i oddychać świeżym powietrzem.

Abdas bez słowa ruszył szybko do wyjścia, ciągnąc za

sobą Arsalaana.

– Po cholere to zrobiłeś? – syknął Danałow.

– Zobaczysz.

– Ty idioto. My zginiemy, a oni przeżyją. Powinno być na odwrót. Według planu mieliśmy ich zabić i doprowadzić okręt do domu.

– Nie załatwiłbyś wszystkich, Vic. Ukryliby się z bronią na środkowym poziomie. Jedynym sposobem na pozbycie się szczurów z okrętu jest jego zatopienie.

– Chcesz pozwolić, żeby tamten wrogi okręt podwodny posłał nas na dno? Vornado nasłuchiwał torped. Coś było nie tak. Podszedł do konsoli sonarowej i uśmiechnął się. Obie Mark 48 zamilkły. Zabrakło im paliwa. Jego taktyka okazała się dobra. Tym razem, pomyślał. Ale jeśli się nie myli, nie będzie następnego razu, bo nie da zachodniemu okrętowi podwodnemu powodu do oddania kolejnych strzałów.

– Torpedy są już nieszkodliwe, panowie – oznajmił. – Panie Masłow, status rozruchu reaktora?

– Wysunąłem pręty i rozgrzewam go, kapitanie. Za dwadzieścia minut będziemy mieli napęd.

– Dopiero?

– Zbiornik reaktora jest nadwreżony.

Byli w sytuacji taktycznej, ale Vornado postanowił pozwolić na powolny rozruch. Gdyby znów do nich strzelano – w co nie wierzył – kazałby uruchomić reaktor szybko, ryzykując pęknięcie zbiornika. Ale dopóki nic nie wskazywało na to, że są w niebezpieczeństwie, wolał się

tu przycząć.

– No, więc? – zapytał Danałow. – Co zamierzasz zrobić z wrogim okrętem podwodnym?

Vornado odwrócił się do niego.

– Nic. Cicho. Idą tutaj.

Egipcjanie wbiegli do centrum dowodzenia. Niżsi rangą nieśli bagaż ważniejszych. Vornado był ciekaw, co terroryści zabrali w tę podróż. Książki szyfrów? Radia, telefony satelitarne, komputery? Narkotyki? Cokolwiek mieli ze sobą, najwyraźniej zamierzali to załadować do kapsuły ratunkowej.

– Andriej, zabezpiecz swoje stanowisko sterowania okrętem i pomóż ludziom z Ahel al Beit wejść do kapsuły ratunkowej. Pokaż im, jak się obsługuje górny włącz, włącza ogrzewanie i zapala światło. – Vornado omal nie dodał „i gdzie jest apteczka”, ale ugryzł się w język. Wolał nie alarmować terrorystów, że w kapsule coś im grozi. – Zawiadom mnie, kiedy dolny włącz będzie gotowy do zamknięcia.

– Tak jest.

Danałow nie wytrzymał.

– Co ty kombinujesz, Vornado?

– Zaufaj mi.

Prawie wszyscy Egipcjanie wspięli się już do kapsuły ratunkowej. Dziwne że ewakuowali się tak szybko bez żadnych pytań. Vornado spodziewał się, że trzeba będzie użyć broni albo wziąć jednego z nich jako zakładnika. Ale wszystko poszło gładko. Może nie docenił siły strachu,

jakiego napędziły tym szczyrom lądowym dwie torpedy.

Skoro Egipcjanie nie sprawiali kłopotów, nadszedł czas, żeby zrealizować plan rezerwowy.

– Iwan, obsadź sonar i uważaj, czy nie nadpływają następne torpedy. – Rozkaz był na pokaz dla Egipcjan. Mogli słyszeć rozmowy w centrum dowodzenia, dopóki nie zamknęli dolnego wjazdu. – Panie Danałowie, niech pan obsadzi stanowisko kierowania ogniem i przygotuje torpedy w wyrzutniach pierwszej i czwartej. – Vornado powtórzył z Danałowem czynności, które wykonali przed zatopieniem „Kirowskiego”. Przynajmniej martwa załoga frachtowca zostanie wkrótce pomszczona.

Wrócił Rusanow. Miał dziwną minę. To pewnie szok, pomyślał Vornado.

– Wszyscy są w kapsule, kapitanie. Możemy zamknąć dolny wjazd.

– Niech pan uzbroi system zwalniający i ustawi włącznik na panel zewnętrzny – rozkazał Vornado.

Poszedł do przedniej części centrum dowodzenia, otworzył szyb wejściowy i wspiał się na drugi szczebel drabinki. W kapsule paliło się przyćmione światło, było zimno i brakowało powietrza.

– Święty... – zaczął Vornado głosem drżącym z emocji. Wszedł do środka. Wewnątrz było ciasno, terroryści z Ahel al Beit zajmowali niemal całą przestrzeń. W kapsule mieściło się dwanaście osób. Powyżej głównego poziomu było sześć miejsc do spania. Vornado policzył Egipcjan. Nikogo nie brakowało.

– Tak, kapitanie?

– Chciałem poprosić o modlitwę – powiedział Vornado z poważną miną. – Za nas, za bezpieczeństwo waszych pocisków manewrujących i za to, żebyśmy mogli kontynuować naszą misję.

Na twarzy przywódcy pojawił się wyraz spokoju i zadumy, jakby Święty medytował i był myślami gdzie indziej.

– Dobrze. Idź w pokoju z Allahem, kapitanie Vornado. Będziemy czekali na wasz triumf w bitwie i modlili się za was, dopóki nie zwyciężycie.

– Żegnaj, mój mistrzu – odparł z namaszczeniem Vornado i sięgnął w górę do włazu. – Idźcie z Allahem – powiedział do terrorystów. Potem pociągnął wąż w dół i obrócił pierścień ryglujący. Zszedł po szczeblach do otworu dolnego włazu, zamknął go za sobą i zarygłował. Spojrzał w górę na panel zewnętrzny i zdjął osłonę ochronną z dźwigni kolankowej włącznika. Identyczny panel był wewnątrz kapsuły, ale Vornado kazał zainstalować i podłączyć dodatkowy. Urządzenie nazywano „panelem nieboszczyka”, bo w sytuacji, gdy trzeba było z niego skorzystać, żeby wystrzelić kapsułę, człowiek przy włączniku zewnętrznym szedł na dno z okrętem.

– Idźcie z Allahem – powtórzył Vornado i położył rękę na dźwigni kolankowej włącznika. – A jeszcze lepiej, idźcie do Allaha, sukinsyny.

Zdetonował ładunki wybuchowe. Potężna eksplozja

zatrzęsła pokładem tak mocno, że musiał się przytrzymać drabinki prowadzącej do włazu powyżej. Huk poraził mu uszy. Ból głowy, który czuł od chwili wystrzelenia pierwszych torped, nasilił się od głośnego, przeciągłego zgrzytu metalu. Vornado spojrział na panel. Wyświetlacz pokazywał, że kapsuła została uwolniona.

Rządy Abdasa al-Sattara na pokładzie „Liry” wreszcie się skończyły.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem. Mistrz Jeden okazuje się zbyt cwany, żebyśmy mogli go trafić Mark 48. Albo nauczono go naszej taktyki, albo ma genialną intuicję. W każdym razie wie, że tu jesteśmy, i lada chwila otworzy do nas ogień. Nie zamierzam czekać, aż strzeli. Chcę natychmiast ustalić jego pozycję. Wyślemy impuls w jego kierunku i kiedy określimy odległość, wystrzelimy w niego pocisk SUBROC z wyrzutni pionowej. Do roboty. Uzbrojenie, status pocisku numer jeden?

– Rozgrzany i czeka na współrzędne ogniowe. Zalecam, żebyśmy zawisnęli na głębokości dwudziestu jeden metrów.

– W porządku. OOD, przejąć dowodzenie i zatrzymać okręt na dwudziestu jeden metrach. Sonar, tu kapitan. Zaraz zawiśniemy w bezruchu, żeby odpalić SUBROC. Przygotować się do wysłania sygnału w kierunku Mistrza Jeden.

– Dowodzenie, tu sonar. Przyjąłem.

– Sternik, cała stop – rozkazał Flood. – Oficer zanurzenia, zatrzymać okręt na dwudziestu jeden metrach.

Dillinger zerknął niecierpliwie na zegarek. Wiedział, że przygotowanie sonaru aktywnego musi potrwać. Ta taktyka nie była stosowana często i miała więcej wspólnego ze sztuką niż nauką. W najgorszym wypadku mogli zdradzić swoją pozycję i nadal nie wiedzieć, gdzie jest „Alfa”.

– Dowodzenie, tu sonar. Pogłosy z kierunku Mistrza Jeden.

– Rozpoznawalne, sonar? – zapytała D'Assault.

– Cholernie głośne – odpowiedział Keating, zapominając na chwilę o swoim zwykłym zdyscyplinowaniu. – Jakby coś eksplodowało. Być może wewnątrz kadłuba.

– Status torped, uzbrojenie? – odezwał się Dillinger.

– Są w trybie ponownego ataku, kapitanie. Żadna jeszcze nie trafiła.

– Dowodzenie, tu sonar. Dziwne, odbieram głośne hałasy z powierzchni, jakby coś się wynurzyło.

Vornado wrócił szybko do centrum dowodzenia. Danałow spojrzał na niego oskarżycielsko.

– Zawiodłeś nas, Vornado.

– Jeszcze nie zacząłem walczyć – odparł Peter, cytując Johna Paula Jonesa. To zdanie też musiał recytować z pamięci Victorowi Kaminsky'emu wiele lat temu, kiedy był młodszym kadetem. – Uwaga, załoga. Zamierzam

stoperdować kapsułę ratunkową.

W pomieszczeniu wybuchły wiwaty. Vornado patrzył na Rosjan z oszołomieniem. Myślał, że to oczywiste. Danałow ze zdumienia otworzył usta, potem się uśmiechnął.

– Ty cwaniaku. – Pokręcił głową. – Od początku miałeś taki plan.

– Trzymałem go w rezerwie, ale mieliśmy szczęście i udało się. – Vornado spojrział w górę. Terrorysty z Ahel al Beit nadal żyli, jeszcze nie skończył swojej roboty. – Panie Rusanow, powolne pionowe podejście na głębokość dziewiętnastu i pół metra. Wysuwam peryskop.

Vornado sięgnął do dźwigni hydraulicznego podnoszenia peryskopu. Kiedy moduł optyczny wolno wyłonił się z szybu, Peter w półprzysiadzie przycisnął twarz do okularu i wyprostował się, gdy peryskop całkowicie wysunął się z kadłuba.

Na powierzchni wstawał świt i było już trochę dziennego światła. Niebo zasnuwały chmury, wiatr wiał z prędkością około dwudziestu węzłów, w porywach do trzydziestu. Po morzu przetaczały się długie, spienione fale. Vornado obrócił peryskop i zatrzymał się, kiedy zobaczył w pobliżu kapsułę ratunkową. Wyglądało na to, że wraz z nią wynurzył się duży fragment kiosku. Była połączona z jego górną krzywizną i pochyłymi bokami. Cały szczyt kiosku wypłynął razem z kapsułą. Kulista część dolna pozostawała niemal całkowicie zanurzona. Szczyt kiosku wystawał półtora metra nad fale, owiewka

mostka była do połowy podniesiona. Zapewne została wyrwana w momencie, gdy kapsuła oddzielała się od okrętu. I dobrze. Vornado obawiał się wcześniej, że kapsuła okaże się zbyt małym obiektem do storpedowania.

– Wysyłam kierunek do systemu kierowania ogniem – powiedział i wcisnął przycisk.

– Kierunek przyjęty przez system – odparł Danałow.

– Wprowadzam odległość dziesięciu metrów. – Broń była w nawodnym trybie celowniczym z nieczynnym naprowadzaniem na kilwater. Miała włączony magnetyczny detektor kadłuba i zapalnik kontaktowy.

– System kierowania ogniem zaakceptował kierunek, ale torpedy mają blokady bezpieczeństwa. Jak chcesz zatopić kapsułę, skoro jest tuż obok nas?

– Na Zachodzie to się nazywa „strzał przez ramię”. Wystrzelimy torpedę na północ. Przepłynie tysiąc metrów i zawróci.

– Trafi w nas.

– Wprowadzę dolny pułap. Chętnie zobaczyłbym przez peryskop zatonięcie kapsuły, ale będę musiał zejść poniżej pułapu, żebyśmy nie dostali własną torpedą. – Vornado wprowadził pułap pięćdziesięciu metrów. Kadłub „Liry” musiał być głębiej, żeby się udało.

– Gotowe, kapitanie – zameldował Danałow, znów chętny do współpracy. – Blokady bezpieczeństwa wyłączone. Torpeda akceptuje polecenia systemu kierowania ogniem.

– Odpalaj – polecił Vornado ponad ramieniem Danałowa. Bezdźwięczne wystrzelenie torpedy znów wydawało się dziwne. Przewodem łączności docierały dane o jej pozycji podczas podróży na północ.

– Panie Rusanow, pionowa zmiana zanurzenia na dwieście metrów.

– Tak jest, dwieście metrów – potwierdził Rusanow. – Zalewam środkowy zbiornik balastowy.

– Bardzo dobrze. Opuszczam peryskop.

Podczas zanurzania okrętu Vornado obserwował wyświetlacz kierowania ogniem. Torpeda UGST płynęła na północ z dość dużą szybkością tranzytową trzydziestu pięciu węzłów. Potem zawróciła w kierunku pozycji jej odpalenia i wzniosła się na głębokość dwóch metrów. Pędziła z powrotem tuż pod falami.

Włączył się jej sonar aktywny i wysłał impulsy z szybkością karabinu maszynowego. Później znów nadał sygnały na innej częstotliwości. Tępy wydawały się wybrane przypadkowo. Vornado śledził torpedę na ekranie. Zbliżała się szybko. Gdyby popełnił błąd przy wprowadzaniu pułapu i źle ją zaprogramował, byłaby jak pocisk wystrzelony prosto w „Lirę”.

– Sonar, tu koordynator. Czy Mistrz Jeden może być wynurzony? – zapytała D'Assault.

– Dowodzenie, tu sonar. Trudno powiedzieć.

– Kapitanie, zalecam wstrzymanie wystrzelenia pocisku SUBROC. Jeśli Mistrz Jeden jest na powierzchni,

ładunek głębinowy będzie mało skuteczny.

– Kapitanie, torpeda numer dwa zamilkła – zameldował Tonelle.

– Jasna cholera – zakląła D'Assault.

– Dowodzenie, tu sonar. Mam pogłos otwierania wrót wyrzutni torpedowej.

– Trójka zamilkła – zawiadomił Tonelle.

– A niech to szlag – mruknął Dillinger. Obie jego torpedy – te, które miały wprowadzone dokładne współrzędne ogniowe – chybiły. Ta pieprzona „Alfa” jest po prostu za dobra, pomyślał. Jakby chroniła ją jakaś boska tarcza. Przysiągł sobie, że to już nie potrwa długo.

– Uwaga, zespół kierowania ogniem. Procedury momentu odpalania, SUBROC numer jeden, wyrzutnia jeden, Mistrz Jeden.

– Dowodzenie, tu sonar. Torpeda w wodzie.

Dillinger przyjął informację ze spokojem. Tamten cwany sukinsyn nie mógł go już niczym zaskoczyć. Pomyślał, że czas na decyzję, w której podjęciu nikt nie może mu pomóc. Czy po całonocnym ostrzeliwaniu tajemniczej „Alfy” i obserwowaniu uników przed czterema Mark 48, powinien wykorzystać to, że ma drania na celowniku, nie wycofywać się jeszcze przez kilka minut i odpalić w niego nuklearny ładunek głębinowy, czy odłożyć atak i natychmiast uciekać przed torpedą nieprzyjaciela?

Nic dziwnego, że w akademii stale wbijano im do głów, jak wiele znaczy odwaga i poświęcenie w walce.

Mnóstwo ludzi pomyślałoby, że wystarczy wcisnąć przycisk i wróg zniknie. Gdyby wiedzieli, ile niepewności jest w takiej sytuacji... Dillinger miał dwie opcje do wyboru – uciekać przed rosyjską torpedą i znów zgubić „Alfę” lub zostać, walczyć i ryzykować, że zostanie trafiony.

– Sonar, tu kapitan. Śledzić torpedę. OOD, cała stop. Zatrzymać okręt na głębokości dwudziestu jeden metrów.
– Dillinger pomyślał, że skoro podlodowa taktyka uników udaje się „Alfie”, może jemu też się uda. W dodatku, to była głębokość odpalania pocisków SUBROC.

Przez kilka następnych minut torpeda UGST stawała się coraz głośniejsza. W końcu sygnał zamienił się w wycie syreny. Była tak blisko, że Vornado słyszał jej pędnik. Dźwięk dochodził z góry.

– Nadpływa – oznajmiła Swietłana swoim kobiecym głosem i uśmiechnęła się do Petera. – Gratuluję.

Skinął jej głową z poważną miną. Czekał na eksplozję. Pomyślał, że gdyby torpeda miała awarię, trafiłaby prosto w „Lirę” i zabiła ich jednym uderzeniem.

Mógł tylko liczyć na to, że zginąłby wtedy natychmiast, bez bólu. Dostrzegł spojrzenie Świetlany. Miał nadzieję, że ona przeżyje. Podczas tej misji popełnił zbrodnię, zabijając załogę „Kirowskiego”, zrobił farsę z własnego małżeństwa i zdradził żonę. Wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy tego wszystkiego. Zasłużył na śmierć. Ale Swietłana nie. Zanim dokończył myśl, dźwięk sonaru

torpedy stał się ogłuszający. Metal uderzył o metal. Vornado odruchowo zacisnął powieki. Zastanawiał się, czy popełnił czwarty błąd, planując detonację torpedy tak blisko własnego okrętu.

– Dowodzenie, tu sonar. Torpeda Mistrza Jeden zawróciła. Jest na kursie powrotnym do własnego okrętu.

Dillinger z niedowierzaniem pokręcił głową i spojrzał na D'Assault.

– Czy ta noc może być jeszcze dziwniejsza? Skierował swoją torpedę na siebie? Chce popełnić samobójstwo?

– Dowodzenie, tu sonar. Torpeda Mistrza Jeden jest w trybie aktywnym. Płynie prosto na niego.

31

– Święty, chyba coś słyszę – powiedział Hamim Farrak, pierwszy zastępca Abdasa. Był wysokim, szczupłym, poważnym młodzieńcem całkowicie oddanym sprawie, ale brakowało mu bezwzględności i sprytu al-Sattara. Abdasowi to odpowiadało, bo kiedy sam był zastępcą przywódcy Ahel al Beit, Suraja, miał ambicje. Dlatego Suraj poniósł gwałtowną śmierć w zamachu bombowym na kawiarnię, który zorganizował al-Sattar. Tragiczny wypadek nie tylko zapewnił Abdasowi przywództwo – dał mu również mądrość. Święty uświadomił sobie, że nie wolno tolerować u podwładnych ambicji.

Krótko po przejęciu władzy w organizacji Abdas przeprowadził czystkę, choć nigdy nie użył tego słowa. Niemal wszyscy zwolennicy Suraja zginęli w straszliwych okolicznościach. Ci, którym Abdas okazał litość, skończyli w tajnych, podziemnych więzieniach organizacji z obciętymi rękami i językami, żeby nie mogli niczego zdradzić. Od tamtej pory zasoby finansowe Ahel al Beit znacznie się powiększyły. Sponsorzy dostrzegli, że Abdas ma serce wojownika i naprawdę pragnie zetrzeć Izrael z powierzchni świętej ziemi Allaha.

To nie Abdas wpadł na genialny pomysł, żeby wykorzystać okręt podwodny, ale obiecał swoim sponsorom, że doczekają się czegoś spektakularnego, co

zgodnie z przepowiednią nadejdzie z morza. „Lira” robiła imponujące wrażenie, ale rozczarowała al-Sattara. Spodziewał się, że dzięki superokrętowi podwodnemu łatwo pozbędzie się każdego przeciwnika. A tymczasem w chwili ataku torpedowego „Lira” utknęła bezradnie w głębi morza i Abdas wraz ze swoimi świętymi wojownikami musiał opuścić okręt w tej przerośniętej szalupie.

Siedział teraz na okrągłej dolnej ławce, na chude ramiona miał narzuconą parkę chroniącą go przed zimnem i czekał na wynik walki. Kapsuła ratunkowa kołysała się lekko na falach.

– Mamy przygotowane radia, panie, na wypadek, gdyby kapitan Vornado przegrał bitwę – poinformował kilka minut wcześniej Hamim.

Abdas al-Sattar uniósł rękę, nakazując mu milczenie.

– Nie, Hamim, nie ma mowy, żeby kapitan Vornado przegrał tę potyczkę. On zwycięży. Czuję to w moim wnętrzu. Przyglądałem się uważnie Vornado i wierzę, że jest gotów przybyć do Allaha na kolanach. Pokona wroga i wkrótce znów będziemy na pokładzie okrętu. Wypełnimy nasz święty obowiązek wobec Allaha. Izraelici spłoną w oczyszczającym ogniu, który wzniesimy.

Oczywiście po zakończeniu misji kapitan Vornado miał zostać zlikwidowany, a okręt podwodny „Lira” zniszczony, tak jak terminal i frachtowiec „Kirowski”. Nie mogły pozostać żadne ślady wskazujące, że ta

operacja była dziełem Ahel al Beit. Gdyby plan się powiódł, Abdas zamierzał wydać własne oświadczenia. O dziwo, nabrał wielkiego szacunku dla Vornado, którego uznał za najodważniejszego dowódcę okrętu wojennego w historii. Abdas z bólem zabiłby kapitana, ale w końcu dusza tego człowieka trafiłaby do miłosiernego Allaha, mimo że był niewiernym. Być może udział w tej misji pomoże Vornado, gdy stanie przed obliczem jedyne prawdziwego Boga, pomyślał Abdas i uśmiechnął się pod nosem.

Szum, o którym wspomniał Hamim, dochodził z dołu.

– Święty, kapitan Vornado chyba wystrzelił torpedę.

Wewnątrz tytanowej kapsuły ratunkowej słychać było wyraźnie, że torpeda się oddala.

– Świetnie, Hamim. To by oznaczało, że wkrótce wrócimy na pokład „Liry”. Zaczajony okręt podwodny z Zachodu zostanie zniszczony. – Abdas pogрузzył się w modlitwie. Jego oczy poruszały się tam i z powrotem pod opuszczonymi powiekami.

Odgłos torpedy ucichł w oddali. Abdas trwał z zamkniętymi oczami.

– Zimno mi – poskarżył się Arsalaan swoim barbarzyńskim głosem.

Święty spojrzał na brata z irytacją.

– Wygody zawsze są dla ciebie ważniejsze od naszej sprawy – powiedział chłodno. – Allah poddaje cię tej próbie, bo chce, żebyś się czegoś nauczył.

– Pasowałoby mi, gdyby sprawił, że będzie tu trochę

cieplej. Hamim, możesz włączyć ogrzewanie?

– Święty? – zwrócił się Hamim do Abdasa. Nie wiedział, czy wolno mu posłuchać Arsalaana, który jest w niełasce u mistrza. – Czy życzysz sobie, żebym...

Na zewnątrz rozległo się wycie. Dochodziło stamtąd, dokąd odpłynęła torpeda. Hałas brzmiał inaczej niż odgłosy poprzednich torped. To mogło oznaczać tylko jedno – są dwa okręty podwodne z Zachodu, być może z dwóch różnych państw. Tę nową torpedę wystrzelił drugi okręt. Jeśli „Lira” jest wciąż pod kapsułą ratunkową, nowa broń niewiernych została wymierzona prosto w kapitana Vornado.

– Bracia – odezwał się Abdas z namaszczeniem. – Módlmy się, żeby nowa torpeda miała awarię i chybiła. Wznośmy modły za kapitana Vornado.

Wycie zmieniło się w serie szybkich impulsów. Dźwięki stawały się coraz głośniejsze. Dochodziły z tego samego kierunku. Wkrótce dołączył do nich taki sam szum, jaki rozlegał się kilka minut wcześniej, kiedy „Lira” wystrzeliła torpedę. Hałas uniemożliwiał rozmowę w kapsule, trzeba było krzyczeć.

– Allahu, miałeś wizję, że należy nas oszczędzić w tej bitwie, i za to ci dziękujemy – modlił się Abdas. Jego głos górował nad piekielnym wyciem torpedy. – Przybywamy teraz do ciebie w pokorze, by prosić o błogosławieństwo dla...

Eksplozja rozerwała kapsułę ratunkową na dziesięć tysięcy kawałków.

Największe miały wielkość deski sedesowej, najmniejsze – drzazgi pod paznokciem. Wiele z nich wyparowało w kuli ognia o potężnej energii.

Siła wybuchu i fali uderzeniowej zmiażdżyła ciała terrorystów z Ahel al Beit. Pozostały z nich tylko rozprysnięte płyny ustrojowe i fragmenty kości. Metalowe szczątki szły na dno Morza Barentsa tysiąc metrów niżej. Większe płyty górnej części kiosku opadały jak jesienne liście, mniejsze odłamki tonęły dużo szybciej. Wśród metalowych resztek kapsuły było to, co pozostało z pozłacanej szabli; rękojeść stopiła się i na dnie morza wylądowało tylko ostrze. Po pięciominutowym opadaniu wbiło się w piasek między dwiema skałami. Blask klejnotów zdobiących klingę zgasł w ciemności.

Szabla była jedynym doczesnym szczątkiem Abdasa al-Sattara i sztabu Ahel al Beit.

Torpeda eksplodowała tak blisko, że pokład przechylił się na sterburtę i Vornado wpadł na konsolę. Świetlana wylądowała na nim i uderzyła głową w jego plecy. Zgasło światło i znów wysiadło zasilanie komputerów. Tym razem huk był głośniejszy, dzwonienie w uszach bardziej dokuczliwe. Vornado dotknął głowy. Uderzył w ekran z taką siłą, że pękło szkło. Na czole rósł guz wielkości śliwki. Do bólu za oczami dołączyło łupanie pod czaszką. Dotąd udawało mu się ignorować dolegliwości, ale teraz zaczynała mu się przypominać sytuacja podczas pościgu

za „Albany”. Miał nadzieję, że nowotwór nie powrócił.

– Andriej, nie można nic zrobić z zasilaniem czterystucyklowym? – zapytał z irytacją, masując bolące czoło.

– Zaraz włączą się inwertory i będziemy mieli prąd z akumulatorów – odparł Rusanow.

W tym momencie rozbłysły ekrany. Vornado odwrócił się do Świetlany.

– Nic ci się nie stało?

– Nie, kochanie – odpowiedziała i pomasowała ramię.

– Och, przepraszam. Za bardzo się odprężyłam, kiedy pozbyłam się klientów.

– Właśnie, musimy się upewnić, czy trafiliśmy. Panie Rusanow, pionowe podejście na głębokość dziewiętnastu i pół metra. Wysuwam peryskop.

Zobaczył w górze szczątki. Kiedy peryskop przebił powierzchnię, ukazały się kłęby piany i pływające przedmioty – kamizelka ratunkowa, koc i latarnia bojowa. Tym razem nie było ciał.

– Opuszczam peryskop, panie Rusanow. Pionowe zejście na głębokość dwustu metrów. Panie Masłow, status rozruchu reaktora?

– Całkowicie rozgrzany, kapitanie. Jestem gotowy do uruchomienia instalacji parowej. Za kilka minut wszystkie turbiny będą na chodzie.

– Dowodzenie, tu sonar. Utrata torpedy Mistrza Jeden.

Do sterowni dotarł huk dalekiej eksplozji na południowym wschodzie.

– Dowodzenie, tu sonar. Torpeda Mistrza Jeden eksplodowała.

– Najwyraźniej – mruknął Dillinger. – Sonar, masz jeszcze Mistrza Jeden?

Pomyślał, że może walka jest już skończona. Ale i tak trzeba będzie sporo wyjaśnić Joemu Palaczowi Kraftowi.

– Dowodzenie, tu sonar. Zgubiliśmy go na szerokim paśmie. Za dużo hałasu od eksplozji. Ale mamy go na wąskim. Ciągle wierzga.

– Może kiedyś się dowiemy, co się dzisiaj stało – powiedział Dillinger do D'Assault. – Sonar, jesteś gotów do wysłania impulsu?

– Dowodzenie, tu sonar. Tak.

– Sonar, tu dowodzenie. Wyślij impuls w kierunku Mistrza Jeden.

Sygnal sonaru aktywnego był taki głośny, że Dillinger zaszczekał zębami. Słyszał, jak dźwięk rozbrzmiewa w morzu. Nie cierpiał tego odgłosu, który zdradzał pozycję, jakby mówił: „Tu jestem; dorwij mnie”. Ale teraz był tak zirytowany pojedynkiem z „Alfą”, że nie zwracał na to uwagi. Przeciwnik miał denerwujący zwyczaj znikania z prędkością ponaddźwiękową albo zatrzymywania się, żeby uniknąć trafienia torpedą. Dillinger nie wiedział, jak go zatopić inaczej niż bronią jądrową. Każda inna taktyka zawiodła, a przecież dostał wyraźny rozkaz, żeby posłać „Alfę” na dno. Więc jeśli trzeba było użyć sonaru aktywnego, trudno.

W morze poszedł drugi impuls. Dillinger liczył, że wystarczy jeden, ale najwyraźniej się mylił.

– Dowodzenie, tu sonar. Mamy go – zameldował Keating beznamiętnym tonem. – Kierunek jeden sześć cztery, odległość dwadzieścia cztery tysiące sto trzydzieści metrów. Przesyłam dane do kierowania ogniem.

Jest trochę za blisko, pomyślał Dillinger. Bezpieczna odległość to dwadzieścia pięć mil morskich, ponad czterdzieści sześć tysięcy metrów. Wystrzelenie pocisku w „Alfę” oznaczałoby, że głowica jądrowa eksploduje trzynaście mil od „Tucsona”. Dillinger mógłby trochę zwiększyć dystans, uciekając z miejsca strzału, ale SUBROC leciałby do celu niewiele ponad dziewięćdziesiąt sekund. W półtorej minuty okręt nie odpłynąłby daleko. Dillinger znów musiał podjąć decyzję. Albo zaryzykuje i zatopi „Alfę”, albo nie wykona zadania, ale „Tucson” pozostanie bezpieczny. To nie byłby dobry wybór. Jeśli okręt ucierpi, trudno.

– Procedury momentu odpalania, wyrzutnia pionowa numer dwa, Mistrz Jeden – powiedział Dillinger.

Przez kadłub dotarł słaby dźwięk. Przeszywający gwizd brzmiał upiornie. Nie przypominał głosu wieloryba, bardziej sygnał elektroniczny. Tylko jedna rzecz emitowała taki ton – system sonarowy BQQ-5 zainstalowany na okrętach podwodnych klasy Los Angeles. Vornado rzucił się do konsoli sonaru. Widział

sygnał na wyświetlaczu. Ekran nazywany wieloczęstotliwościowym monitorem poziomu natężenia dźwięku był rosyjskim odpowiednikiem amerykańskiego wyświetlacza sonaru szerokopasmowego. Biały kolor na ekranie oznaczał brak dźwięku, czarny wskazywał na obecność kontaktu sonarowego. Teraz na monitorze widniał wyraźny czarny ślad, który korelował z tonem przenikającym przez kadłub.

Wycie powtórzyło się. O pomyłce nie mogło być mowy. Vornado dobrze pamiętał brzmienie tego dźwięku. Sygnały wysyłał amerykański okręt podwodny. Vornado najpierw poczuł ulgę – w obecności Amerykanów on i jego załoga są bezpieczni. Gdyby okręt był brytyjski, francuski lub rosyjski, sprawa mogłaby wyglądać inaczej. Nie wiadomo, co rządy tych krajów powiedziały swoim kapitanom o „Alfie”. „Lira” zatopiła frachtowiec i obcy okręt podwodny uważałby ją za wroga. Miałby powód otworzyć do niej ogień. Vornado wiedział teraz, że dwie torpedy Mark 48 wystrzelono w obronie własnej, w pośpiechu i strachu, w reakcji na odpalenie rosyjskiej UGST w kierunku frachtowca. Amerykanie myśleli, że „Alfa” strzela do nich i odpowiedzieli ogniem. Ale teraz, kiedy okazało się, że to swoi, koszmarne rejs wkrótce się skończy.

Vornado musiał postanowić, do dalej. Okręt klasy Los Angeles najwyraźniej wysyłał impulsy, żeby się z nim skomunikować. To był sygnał i znak, że długie podchody wreszcie się skończyły, dzięki Bogu.

Vornado wiedział, jak podłączyć mikrofon do systemu sonaru aktywnego „Liry”, żeby stworzyć rodzaj podwodnego telefonu. Ale to potrwałoby zbyt długo. Może po prostu powinien wysłać Amerykanom impuls?

– Strzał według wyliczonych współrzędnych – rozkazał Dillinger.

– Wprowadzone.

– W gotowości.

– Odpalać!

– Ognia! – Tonelle zdjął ręce z panelu i obserwował wskazania. Na jego twarzy wolno rozkwitał uśmiech. Z dziobu dobiegł szum gazów spalinowych. – Zapłon generatora gazowego wyrzutni i wystrzelenie pocisku – oznajmił triumfalnie. Odgłos ucichł tak szybko, jak się pojawił, i zastąpił go dużo głośniejszy huk zapłonu stałego paliwa raketowego.

– Dowodzenie, tu sonar. Zapłon stałego paliwa raketowego własnego pocisku.

– Sternik, cała naprzód maksymalna! – krzyknął Dillinger. – Stały kurs trzy dwa zero! Zanurzenie, głębokość trzysta metrów! Manewrowa, tu kapitan. Kawitacja! Sonar, tu kapitan. Ruszamy dupę na północny zachód.

Pozostało tylko uciekać jak najdalej od „Alfy” i modlić się, żeby SUBROC trafił w cel. Dillinger napotkał wzrokiem spojrzenie D'Assault. Patrzyła na niego z podziwem. Przepchnęła się bliżej.

– Dobra robota, kapitanie – powiedziała cicho.

– Bez koordynatora nic bym nie zdziałał – odparł Dillinger. – Sonar, tu kapitan. Miej Mistrza Jeden na oku. Gdyby SUBROC okazał się niewybuchem, natychmiast zwolnimy i wystrzelimy w „Alfę” salwę Mark 48.

Vornado znalazł właściwy wyświetlacz i skonfigurował sonar aktywny tak, żeby wysłać impuls. Kiedy zamierzał nadać sygnał do amerykańskiego okrętu podwodnego, wyrósł przy nim Danałow.

– Spójrz na to, kapitanie – powiedział.

Vornado popatrzył na monitor wieloczęstotliwościowy. Na ekranie widniał czarny ślad dużo wyraźniejszy od wcześniejszego impulsu sonarowego, a jednak ten dźwięk nie przenikał przez kadłub. Vornado włożył słuchawki i naprowadził hydrofon anteny sferycznej na kierunek północny. Nie miał takiego doświadczenia jak zawodowy sonarzysta, ale mógłby przysiąc, że słyszy rakietę. Miał rację; to był zdecydowanie pocisk raketowy. Kierunek hałasu szybko się zmieniał, co oznaczało dużą prędkość lub małą odległość. Odgłos przycichł. Czarny ślad stał się szary, ale nie zniknął. Podczas pierwszej fazy lotu pocisku jego kierunek zmienił się z północnego na północno-zachodni w ciągu kilku sekund, ale potem ustabilizował się w okolicy liczby 330.

Co to za rakietka, do cholery? Pocisk Tomahawk? W takim razie, co jest jego celem? Chyba... Dobry Boże, to SUBROC! Co ten amerykański okręt wyrabia, na litość

boską? Nic nie zrozumieli? Torpedy wystrzelono przez pomyłkę, Vornado był tego pewien. Ale to... to nie mogła być pomyłka. Okręt podwodny klasy Los Angeles chce ich zatopić głowicą jądrową!

Kiedy komandor porucznik Lionel Tonelle wcisnął klawisz funkcyjny spustu, obwodem odpalającym popłynął prąd elektryczny i dotarł do mechanizmu zapłonowego w generatorze gazowym wyrzutni numer dwa, wypełnionym stałym paliwem raketowym. Wylot generatora był skierowany w dół i zanurzony w zbiorniku z wodą dejonizowaną. Po zapłonie paliwa temperatura płomieni zamieniła wodę w parę o tysiąckrotnie większej objętości i ciśnienie gwałtownie wypchnęło pocisk RUR-5 Mod Delta SUBROC z wyrzutni.

Korpus rakiety nie zetknął się z wodą morską, pocisk dotarł na powierzchnię w pęcherzu pary. Uniósł się w powietrze siłą rozpędu, potem zwolnił, gdy zaczęło działać prawo grawitacji. Ale gdy przekroczył zero g, komputer pokładowy zamknął obwód, który odpalił silnik raketowy na paliwo stałe. Z dyszy wylotowej pocisku wystrzeliły płomienie. SUBROC wisiał przez moment nad spienioną wodą, dopóki silnik nie wytworzył ciągu, potem wystartował w górę. Najpierw poruszał się wolno, później coraz szybciej, aż przekroczył prędkość jednego macha. Pierwszy stopień rakiety był mały i wystarczał tylko do osiągnięcia wysokości trzystu metrów. Paliwo stałe skończyło się niemal natychmiast po zapłonie. Ekspłodowały dwadzieścia cztery ładunki wybuchowe i

pierwszy stopień rakiety został odstrzelony od wznoszącego się pocisku.

Wysunęło się usterzenie i komputer przejął kontrolę nad kierunkiem. Pod cylindrycznym korpusem pocisku otworzył się wlot powietrza, które zaczęło przepływać z dużą szybkością przez łopaty wirnika sprężarki, komory spalania, turbinę i dyszę wylotową. Początkowo tylko obracało sprężarkę i turbinę. Pocisk leciał coraz wyżej, aż u szczytu paraboli wznoszenia po raz drugi przekroczył zero g. Stery obróciły się i skierowały go stromo w dół z powrotem ku morzu. Pocisk przyspieszał. Obroty sprężarki napędzanej przepływem powietrza rosły, aż ciśnienie w komorach spalania osiągnęło trzy atmosfery. Tyle wystarczyło, by nie nastąpił zapłon wstecz w kierunku sprężarki.

Komputer pokładowy włączył pompę wtryskową i dawki paliwa dostały się do sześciu komór spalania. Zaiskrzyły świece zapłonowe. Kiedy front płomieni ustabilizował się, u wlotu turbiny wzrosło ciśnienie i jej wirnik wszedł na wyższe obroty. Był połączony wałem ze sprężarką, która zwiększyła tłoczenie przepływającego ładunku, i silnik odrzutowy zaczął samodzielnie pracować. Komputer podniósł jego moc do maksymalnej, przestawił stery i wyciągnął pocisk z nurkowania tuż nad powierzchnię zimnego Morza Barentsa.

SUBROC ustabilizował lot i obrócił dyszę wylotową, żeby skrócić w stronę wektora ataku. Kiedy wykonał manewr, system GPS potwierdził, że kierunek do celu jest

właściwy. Dopiero wtedy włączyło się zasilanie obwodu uzbrajającego głowicę termojądrową. Nuklearna bomba głębinowa była w pełni gotowa do ataku.

Vornado rzucił się od konsoli sonarowej do wyświetlaczy zespołu napędowego.

– Panie Masłow, muszę natychmiast mieć moc. Jaki jest status?

– Osuszam zbiorniki pary. Instalacja będzie rozgrzana za dziesięć minut.

– Ma być rozgrzana za dziesięć sekund. Niech pan otworzy główne zawory pary i uruchomi turbogeneratory, ale już!

– Krople wilgoci zniszczą turbiny, kapitanie! Łopaty wirników rozprysną się po całym piątym przedziale.

– Zmieniam pana – krzyknął Vornado i zepchnął Masłowa z fotela. Spojrzał w górę na oprogramowanie i usunął wszystkie blokady uniemożliwiające uruchomienie lewego turbogeneratora. Rozkręcił go do trzech tysięcy obrotów na minutę, potem zamknął przerywacz zasilania i ustawił obie pompy chłodziwa reaktora na małą szybkość. Powtórzył to samo z prawym generatorem, doprowadził prąd do sieci elektrycznej i zwiększył obroty obu głównych pomp chłodziwa. Potem włączył sprzęgło. – Andriej, cała naprzód, pełna szybkość! Sto procent mocy reaktora. Stały kurs trzy trzy zero. Melduj o mocy i szybkości. – Vornado wstał. Zauważył, że Masłow patrzy na niego jak bezbronny piesek, który dostał kopniaka od

swojego bezdusznego i okrutnego pana. – Siadaj na swoim miejscu, Dimitrij, i rozchmurz się. Twój ukochany reaktor właśnie uratował nam życie.

– Co się dzieje, do cholery? – zapytał Danałow.

– Okręt podwodny przeciwnika właśnie wystrzelił w nas raketę z głowicą nuklearną.

– Moc pięćdziesiąt procent, szybkość czterdzieści siedem węzłów, stały kurs trzy trzy zero.

– Co?! Użył broni jądrowej? Mówisz poważnie?

– Moc siedemdziesiąt procent, szybkość pięćdziesiąt pięć węzłów.

Vornado zignorował Danałowa i usiadł przy konsoli sonarowej.

– Moc sto procent, szybkość sześćdziesiąt jeden węzłów.

– I co zamierzasz?

– A co mogę zrobić? Trzeba jak najszybciej uciekać i modlić się, żeby to był niewybuch.

Danałow spojrzał na kapitana groźnie.

– Wymyśl coś, Vornado. Broń tego okrętu. Znajdź jakiś sposób. Zrób coś.

Vornado popatrzył na niego. Pomyślał, że Danałow ma rację. Trzeba znaleźć jakiś sposób obrony przed amerykańskim okrętem. Ale dlaczego atakuje ich tak zajadle? Może tamci chcą koniecznie zatopić „Lirę”, bo dowiedzieli się, że jest w rękach Ahel al Beit? Skąd mogliby wiedzieć, że terrorystów już nie ma? Taki sam problem byłby wtedy, gdyby Danałow wywołał

planowany bunt na pokładzie. Amerykanie po prostu wykonują rozkazy.

Teraz wszystko jasne, pomyślał Vornado. Kiedy „Lira” zatopiła frachtowiec, kapitan okrętu podwodnego klasy Los Angeles najwyraźniej uznał, że bunt się nie powiódł. Amerykanie nigdy by nie uwierzyli, że storpedują statek handlowy. To musiał być punkt zwrotny. Pomyśleli, że nie żyję, i Danałow nie zdoła sam doprowadzić okrętu do Norfolk. Pozostawienie „Liry” w rękach Ahel al Beit byłoby zbyt niebezpieczne. Nie mogą pozwolić, żeby wymknęła się z Morza Barentsa. CIA na pewno realizuje plan rezerwowy. Chcą posłać „Lirę” na dno, bo znają jej szybkość, a torpedy chybiły. Dlatego okręt klasy Los Angeles wystrzelił pocisk SUBROC.

To wszystko ma sens, pomyślał Vornado. Sam wydałbym taki rozkaz na miejscu ludzi z CIA. Nie mogę winić Hanka Lewisa, agencji ani załogi amerykańskiego okrętu. Zatopienie frachtowca było fatalnym błędem. Danałow jednak miał rację. Powinienem mu pozwolić wszcząć bunt. Ale wszystko stało się tak szybko... I uważałem, że mój pomysł jest lepszy. Teraz zapłacę życiem za swoje błędy.

To już koniec. Wszystko poszło na marne. Moje plany wzięły w łeb. Ja, Rusanow, Danałow, Swietłana i bracia Masłow zginiemy. „Lira” zatonie. Amerykański okręt chce nas zabić. Ale czy Rachel i moje dzieci nie zasługują na szansę, żeby mieć męża i ojca?

Niech to szlag, pomyślał ze złością Vornado. Co

zrobiłby teraz BK Dillinger? Odpowiedź przyszła natychmiast. Dillinger nie wahałby się.

Nawet przez pół sekundy nie robiłby sobie wyrzutów z powodu storpedowania frachtowca. I nie obchodziłoby go to, że przeciwnicy są Amerykanami. Powiedziałyby: „I co z tego?” Usiadłby przy konsoli kierowania ogniem, załadował do wyrzutni jeden z pocisków RK-55 Granat i wystrzelił go w okręt przeciwnika.

Ale czy to się uda? Granat służył do niszczenia celów lądowych. Nie eksploduje pod wodą. Chociaż... Głowica nie jest ładunkiem głębinowym, ale ma w sobie bombę wodorową o sile wybuchu dwustu kiloton. Można ją zdetonować na powierzchni morza. Jest dwudziestokrotnie większa niż w pocisku SUBROC. Jej eksplozja dotarłaby głęboko pod wodę. Fala uderzeniowa rozerwałaby okręt podwodny na strzępy, gdyby wybuch nastąpił wystarczająco blisko.

Ale Vornado nie chciał zatopić amerykańskiego okrętu. Zamierzał tylko porządnie nastraszyć tamtego kapitana. Na tak długo, żeby móc się stąd wydostać. To był jego jedyny cel – ucieczka na Atlantyk i powrót do domu.

Klapnął na fotel przy stanowisku kierowania ogniem, żeby zaprogramować pocisk Granat w wyrzutni piątej. Na szczęście było to równie proste, jak w wypadku torpedy UGST, i w niczym nie przypominało skomplikowanej procedury na okrętach amerykańskich. Vornado spojrzął na wyświetlacz sonaru i wykalkulował w pamięci odległość do przeciwnika. Jego kierunek wskazywała

trasa wystrzelonego pocisku. Amerykański okręt zdradził swoją pozycję, odpalając raketę. Źle dla niego, dobrze dla „Liry”. Tamten kapitan powinien już uciekać z punktu wystrzelenia. Vornado zastanowił się, który kierunek sam by wybrał. Bolała go głowa, ale musiał się skupić. Wschód, pomyślał. Uciekłby na wschód, żeby oddalić się od strefy wybuchu. Postanowił wycelować na zachód. Gdyby detonacja nastąpiła trzydzieści czy czterdzieści mil morskich od tamtego okrętu, wstrząs mógłby spowodować wyłączenie jego reaktora i otwarcie przerywaczy wszystkich obwodów elektrycznych. Załoga byłaby oszołomiona, ale żywa, a Vornado zyskałby szansę, żeby się wynieść z Morza Barentsa.

Wyświetlił na ekranie sonaru mapę nawigacyjną i wybrał rejon morza, w który miał wycelować pocisk. Potem wrócił do obrazu sonarowego i wprowadził lokalizację detonacji do systemu kierowania ogniem.

– Uwaga, załoga. W czasie, który nam pozostał, zamierzam włączyć zasilanie pocisku manewrującego RK-55 Granat i wycelować go w zachodni okręt podwodny. Przyjmiemy przybliżoną odległość do celu i wyślemy tam pocisk. Głowica eksploduje tuż nad powierzchnią morza, ale fala uderzeniowa sparaliżuje przeciwnika albo każe mu się zastanowić dwa razy, zanim znów do nas strzeli. Jeśli uda nam się oddać strzał i uciec przed jego pociskiem, walka będzie skończona. – Vornado przesiadł się od sonaru do konsoli kierowania ogniem. Zalał i odpowiedział wyrzutnię piątą i włączył

zasilanie pocisku manewrującego. Kiedy Granat się rozgrzewał, otworzył wrota zewnętrzne. – Panie Rusanow, niech pan spręży wodę w prawym zbiorniku zalewowym wyrzutni torpedowych za pomocą pompy wyrównawczej balastu.

– Tak jest, kapitanie. Uruchamiam pompę.

Vornado nastawił wyrzutnię na automatyczne kierowanie ogniem, potem wprowadził do pocisku punkt detonacji i wszystko sprawdził dwa razy. Założył, że amerykański okręt podwodny wycofał się na wschód – tak zrobiłby Dillinger.

W końcu RK-55 był gotowy. Vornado zdał sobie sprawę, że „Lira” płynie za szybko. Zawahał się. Gdyby wystrzelił pocisk przy prędkości ponad sześćdziesięciu węzłów, Granat rozpadłby się na tysiąc kawałków od naporu wody.

– Andriej, silnik stop!

– Tak jest, silnik zatrzymany.

– Jedna druga wstecz, Andriej. Daj pięćdziesiąt procent mocy reaktora!

Okręt zatrząsał się, jakby chwyciła go ręka zagniewanego boga.

– Mogliśmy urwać wał, kapitanie – powiedział Rusanow.

– Jaką mamy szybkość?

– Dwadzieścia węzłów.

– Hamuj dalej i zawiadom mnie, kiedy będzie pięć!

„Lira” drżała gwałtownie, załoga trzymała się relingów.

– Pięć węzłów!

Teraz! – powiedział do siebie Vornado, wcisnął klawisz funkcyjny spustu i wystrzelił pocisk z wyrzutni. Nasłuchiwał, ale cichy mechanizm nie wydał żadnego dźwięku. Dopiero gdy Granat przebił powierzchnię i odpalił silnik raketowy, przez kadłub dotarł huk. Ale hałas szybko zamarł i znów zapadła cisza.

– Andriej, cała naprzód, pełna szybkość, sto procent mocy!

– Tak jest.

Kadłub znów zaczął się trząść. Vornado uspokoił się trochę. Zastanawiał się, czy nie wystrzelić drugiego pocisku, ale nie było czasu na załadowanie go do wyrzutni. Przesiadł się do konsoli sonarowej, żeby sprawdzić, czy Granat zadziała. Zobaczył, że kierunek nadlatującego pocisku amerykańskiego zmienił się całkowicie w ciągu pół sekundy z północno – zachodniego na południowo-wschodni. Ta cholerna rakietka właśnie przeleciała nad nimi z niemal ponaddźwiękową szybkością.

SUBROC mknął dziesięć metrów nad falami, dopóki system nawigacyjny nie zasygnalizował, że nadszedł czas na manewr. Stery skierowały pocisk stromo w górę. Wysokość rosła, szybkość malała. Na szczycie łuku wznoszenia rakietka znów zawróciła w dół ku morzu, ale zanim zdążyła przyspieszyć, zamknął się zawór paliwa i obroty silnika odrzutowego spadły. Ładunki wybuchowe odstrzeliły sześć pokryw wokół głowicy bojowej. Bomba

głębinowa oddzieliła się od członu napędowego. Korpus pocisku uderzył w wodę. Bomba wyrzuciła mały spadochron i przez następną minutę opadała ku Morzu Barentsa. W końcu przebiła powierzchnię.

Zetknięcie z wodą morską spowodowało zwarcie w czujniku, który zamknął obwód zabezpieczający. Głębokościomierz rejestrował coraz większe zanurzenie, światło w górze znikało. Poniżej dwustu czterdziestu metrów rozpoczęło się końcowe uzbrajanie. Na głębokości trzystu komputer dał sygnał do detonacji.

Jest tam, pomyślał Vornado, kiedy z południowego zachodu dotarł hałas. Plusk rozległ się dokładnie za rufą „Liry”, gdzie wpadł do wody korpus amerykańskiego pocisku raketowego. Kilka sekund później powierzchnię morza przebiła bomba głębinowa i rozległ się drugi plusk. Vornado wiedział, że odgłos zabrzmiał złowrogo. Na twarzach załogi malowało się przerażenie.

Sonar zarejestrował drugi plusk w samą porę. Bomba głębinowa zanurzała się teraz na zaprogramowaną głębokość, która na płytkich wodach wynosiła połowę odległości między powierzchnią a dnem morza, a na głębszych – jak w przypadku Morza Barentsa – trzysta metrów. Jej opadanie musiało potrwać około dwóch minut. Vornado po raz ostatni spojrział na swój złoty zegarek. Patrzył, jak wskazówka sekundowa okrąży piękną niebieską tarczę.

– Uwaga, załoga – powiedział. – Za około dwadzieścia

sekund usłyszycie najgłośniejszy huk w swoim życiu. Jeśli udało nam się oddalić na bezpieczną odległość od plusku, przeżyjemy i będziemy walczyli dalej.

Ledwo zamknął usta po przemowie, dotarła do nich fala uderzeniowa.

W pierwszej sekundzie wybuchu eksplodowały ładunki miotające, ukształtowane geometrycznie w ten sposób, by ich detonacja połączyła części materiału uranowego w precyzyjną kulę. Niemal natychmiast wielokrotne reakcje rozszczepienia rozgrzały ją do temperatury panującej na powierzchni Słońca. Ognista kula uranowa rozszerzyła się i dosięgnęła pojemników z deuterem, czyli ciężką wodą, upakowanych w ciasnej głowicy.

Niewyobrażalnie wysoka temperatura spowodowała połączenie się protonów deuteru w hel, co wyzwoliło ogromną energię. W wyniku reakcji syntezy wielka ognista kula osiągnęła rozmiary małego budynku.

Wytworzone ciepło niemal natychmiast wchłonęło morze i do góry wystrzelił gigantyczny gejzer pary i wody. Ku powierzchni uniosły się powoli miliardy pęcherzy powietrza. Fala uderzeniowa osiągnęła prędkość dźwięku, odbiła się od dna i powierzchni morza, a potem rozeszła kuliście z gwałtownie rosnącym ciśnieniem o niszczycielskiej sile. Pierwszą rzeczą, jaką napotkała na swojej drodze, była lewa strona części rufowej okrętu podwodnego „Lira” pędzącego na północny wschód.

Poszybował w zwolnionym tempie przez małą przestrzeń sterowni, która rozbłysła milionem lśniących iskier, przechyliła się powoli na bok i ustawiła pionowo. W locie zastanawiał się, czy już umarł. Przemieszczał się

wolno ku tylnym konsolom, ale zanim tam dotarł, zniknęły w szarym dymie. Przeniknął przez wielką gęstą chmurę.

Wirował w ciemnych tumanach. Falująca mgła wokół niego przesuwiała się szybko obok. Nagle coś usłyszał. Głos Rachel. Potem rozmowę swoich dzieci. Mówiły cicho i niewyraźnie. Później odezwał się Joe Kraft.

Dźwięki przypominały stłumiony gwar na przyjęciu. Rozpoznawał głosy, ale nie rozumiał słów. Przemówił Hank Lewis i George Willey, jego dawny oficer wykonawczy, załoga „Hamptona”, później BK Dillinger.

Zabrzmiały głosy załogi Dillingera, a po nich Wiktora Danałowa, ale to nie był obecny Danałow, lecz Victor Kaminsky sprzed dwudziestu lat, który przesłuchiwał go w akademii w sprawie napaści na aspiranta Whiteheada. Potem rozległy się wrzaski samego Whiteheada. Słyszał Jurija Biełkowa i braci Kaznikow, Abdasa al-Sattara i jego szalonego brata Arsalaana. W końcu wszyscy powoli zamilkli i odezwał się jego ojciec, a potem dawno zmarła matka. Minęło tyle czasu od chwili, kiedy po raz ostatni mówiła do niego swoim słodkim głosem, że ogarnęło go wzruszenie, ale nie popłynęły łzy.

Ponieważ nie miał oczu.

Spróbował coś powiedzieć, ale nie miał ust.

Człowiek, który był Peterem Vornado, obracał się spiralnie w szarych chmurach z niewiarygodną prędkością, aż światło zaczęło zanikać, a szarość przechodziła w czerń, ale ogarnęło go uczucie ciepła i

euforii.

Skończyło się, pomyślał. Ale tak było dobrze, bo już nic mu nie zagrażało.

To koniec wszystkiego. Kariery w marynarce wojennej, małżeństwa i ojcostwa, pracy kontraktowego agenta CIA, romansu ze Świetlaną Bielkow i dowodzenia okrętem podwodnym „Lira”. Zanim szarość stała się czernią, w jego głowie odezwał się pojedynczy głos. Mówił coś w obcym języku, ale Vornado to rozumiał. Głos powtarzał w kółko jedno słowo. Kiedy brzmiał, Vornado wydało się, że za zasłoną dymu dostrzegł błyskawicę. Rozświetliła na krótko mgłę, potem dym znów pociemniał.

Choć Vornado rozumiał powtarzane słowo, miał wrażenie, że głos nie mówi do niego, bo pytał:

„Wróciłbyś?”

Nie „wrócisz?”, lecz „wróciłbyś?” Ta różnica musi mieć jakieś znaczenie, pomyślał Vornado. Ale gdyby pytanie było skierowane do niego, szczerą odpowiedź brzmiałaby „nie”. Ujrzał przed sobą wszystkie swoje cierpienia. Rozpacz po stracie matki. Tęsknotę za domem w Akademii Marynarki Wojennej, kiedy ledwo dorósł do tego, żeby być z dala od domu, i już musiał staczać pierwszą bitwę w swojej karierze – walczyć z Whiteheadem. Zobaczył długie, trudne starania o to, by zostać dowódcą okrętu podwodnego, i wszystkie związane z tym rozczarowania. Ból po śmierci ojca. Straszne cierpienia po zdiagnozowaniu raka, kiedy żegnał

się z życiem, karierą, żoną i dziećmi. Patrzył na swoje zmagania w terminalu, na atak na niewinną załogę „Kirowskiego”, na nielojalność wobec Rachel. Ale najgorsza była świadomość, że poniósł porażkę podczas misji „Liry” i jest odpowiedzialny za śmierć załogi okrętu, jeszcze jednej grupy niewinnych ludzi, którzy mu zaufali i zostali za to ukarani.

Zapytał bezgłośnie, po co miałby wracać? Nie, odwrócił się do tego plecami. Nie wiedział, jakie jest życie pozagrobowe, ale czuł, że nic nie może być gorsze niż piekło, które właśnie opuścił, ta nędzna, nieudana egzystencja. Już po nim. To koniec.

Wtedy pojawił się przed nim obraz, wizja bardziej prawdziwa i rzeczywista niż jakiekolwiek doznanie w jego życiu. Znow miał ciało. Czuł na nogach tkaninę dżinsów, bawełnę T-shirta na skórze pleców, twarde kafelki podłogi pod kolanami i ciepłe mydliny na dłoni. Spojrzał przed siebie i zobaczył dwuletnią Erin w kąpieli. Śmiała się i rozchlapывwała wodę w wannie. Platynowe blond włosy tworzyły aureolę wokół ślicznej główki, duże, niebieskie oczy – oczy jej matki – patrzyły wesoło na niego. Uśmiechnęła się i wymówiła dziecięcym głosem tylko jedno słowo:

„Tata”.

Rozplakał się. Łzy moczyły jego koszulkę, drżały mu ramiona, pociągał nosem.

I wtedy wypowiedział słowa, które wszystko zmieniły:

„Oczywiście, że wrócę”.

Peter Vornado znów był w ustawionym pionowo centrum dowodzenia. Szybował w powietrzu. W następnej chwili uderzył w konsolę obsługi napędu i poczuł eksplozję bólu. Obraz świata wokół niego zniknął na obrzeżach i czerniał. Ciemność rozrastała się do środka, aż pozostała tylko mała kropka światła, która powoli rozplynęła się w nicość.

Fala uderzeniowa walnęła w okręt podwodny „Lira”, jakby była gigantycznym młotem, a morze kowadłem. Zdeformowała i rozerwała stal kadłuba zewnętrznego i wdarła się do środka. Ale tytanowy kadłub wewnętrzny był dużo bardziej wytrzymały i nie pękł. Jednak straszliwy cios nadał okrętowi ogromne przyspieszenie zdolne wyrwać z mocowań przegrody i ciężki reaktor. Gdyby nie nowe uchwyty przeciwrzonansowe, uwolniony zbiornik reaktora przebiłby półkulistą przegrodę trzeciego przedziału, staranował centrum dowodzenia i zatrzymał się w torpedowni. Na szczęście nowe mocowania nie puściły.

Gdy okręt podwodny „Lira” wyhamował do zera po szybkim odwrocie, zaczął przeciekać w szóstym przedziale i przechylać się. Woda wdzierała się do kadłuba coraz szybciej i zbierała w zębie. Otworzyły się przerywacze wszystkich obwodów. Na okręcie zapadła zupełna ciemność. Jeden z silników elektrycznych wysunął się z uchwytów i przedziurawił przegrodę pierwszego przedziału. Z tyłu, w piątym przedziale, to

samo stało się z turbogeneratorem.

W centrum dowodzenia mała, sześćoosobowa załoga leżała na tylnych konsolach. Poranione ciała spoczywały jedno na drugim i były przysypane szkłem z rozbitych monitorów.

Przechył okrętu zaczął zagrażać życiu. Do tej pory zanurzenie na głębokości dwustu metrów było stabilne, ale wraz ze wzrostem ciężaru „Lira” zaczęła tonać.

Dziesięć sekund po uszkodzeniu „Liry” słabsza fala uderzeniowa dotarła do „Tucsona”. Okręt zadrżał i zakołysał się. Od wstrząsu otworzyła się połowa przerywaczy elektrycznych, ale nie było żadnych szkód.

Załoga „Tucsona” doszła do siebie po szoku w ciągu kilku minut. Zamknięto przerywacz akumulatora i znów rozbłysły światła. Ponownie uruchomiono generatory. Do odbiorników popłynął prąd zmienny. Włączono zasilacze czterystucykłowe. Technicy wezwani do sterowni zabrali się gorączkowo do reanimacji systemu kierowania ogniem.

W kabinie sonarowej starszy bosman Keating pracował nad ponownym uruchomieniem aparatury. Nie było mowy, żeby w ogniu walki pozwolił na to, by utrata zasilania wyłączyła z akcji jego sprzęt. Gdyby okręt pozostał głuchy, mogliby natychmiast zginąć. Keating miał spocone niemal całe ciało, kiedy mozolił się nad rekonfiguracją systemu. Tak jak przypuszczał, w ciągu dwóch minut od przywrócenia zasilania sonar znów

działał.

– Dowodzenie, tu sonar. Sprzęt na chodzie – zawiadomił sterownię, starając się mówić najbardziej niedbałym tonem.

Okręt wciąż nie miał napędu, odkąd reaktor wyłączył się awaryjnie po utracie zasilania. Ponowny rozruch maszynowni musiał zająć co najmniej dziesięć minut.

Keating ustawił najpierw sonar szerokopasmowy, obserwując kierunek do Mistrza Jeden. Tak jak się spodziewał, od południa do zachodu miał tylko „bulgot” po eksplozji nuklearnej. Ale jego uwagę zwróciła zbliżająca się szybko krzywa dźwięku. Zatoczyła łuk z południa i nagle zmieniła kierunek z południowego na północny.

Przeleciał nad nimi odrzutowiec albo pocisk raketowy poruszający się na małej wysokości.

– Dowodzenie, tu sonar. Ślad samolotu nad nami – oznajmił. Gdy nagle coś plusnęło z prawej burty, ustawił sonar na tamten kierunek i zaczął uważnie nasłuchiwać. – Dowodzenie, tu sonar. Mamy plusk na kierunku trzy pięć zero! Wątpię, żeby to była boja sonarowa.

Na linii zabrzmiał głos Dillingera.

– Myślisz, że to torpeda raketowa?

– Dowodzenie, tu sonar. Drugi plusk w wodzie. Kapitanie, czy Rosjanie mają pociski SUBROC?

W sterowni oczy Dillingera zrobiły się okrągłe, gdy nagle ogarnął go strach.

Pocisk raketowy RK-55 Granat, nazywany w NATO SS-N-21 Sampson, miał wspaniałą historię. Projektowało go niezależnie kilka współpracujących ze sobą rosyjskich biur konstrukcyjnych. Pod wieloma względami wyprzedzał amerykański pocisk manewrujący Tomahawk i wszedł do służby dwa lata wcześniej. Jego istnienie trzymano jednak w tajemnicy, więc świat się o nim nie dowiedział i ulubieńcem sił zbrojnych stał się Tomahawk. Ale rosyjski pocisk spokojnie czekał na swoją godzinę.

Jego godzina nadeszła późnym porankiem tego listopadowego dnia. Pod naporem wody ze zbiornika zalewowego pocisk szybko opuścił wyrzutnię torpedową numer pięć na okręcie podwodnym „Lira”. Gdy tylko tył wodoszczelnego pojemnika wydostał się poza wrota wyrzutni, wysunęły się dwa stateczniki ustawione pod takim kątem, by skierować RK-55 Granat w górę. Pocisk popłynął szybko ku powierzchni.

Kiedy wynurzył się z wody, dwa czujniki spowodowały detonację trzydziestu sześciu ładunków wybuchowych i odstrzelenie stożka dziobowego pojemnika, który, wolno koziółkując, poszybował w mrok. W ciągu następnych pięciu milisekund odpalił silnik raketowy. Siła odrzutu wyniosła pocisk z cylindra i wepchnęła pojemnik pod wodę. Z ogona Grana – ta wysunęły się cztery stery, w dolnej części korpusu otworzył się wlot powietrza do sprężarki.

Pocisk z napędem raketowym poszybował w górę, zataczając na niebie szeroki łuk. Gdy przelatował nad

powierzchnią morza, podwodna eksplozja głowicy pocisku SUBROC wyrzuciła ku niebu miliony litrów wody. Gejzer pary i płynu niemal dosięgnął najwyższego punktu na trajektorii Granata.

Pocisk dotarł do szczytu paraboli wznoszenia. Tam wyczerpał się zapas paliwa raketowego. Po odpadnięciu członu raketowego uruchomił się silnik odrzutowy. Granat zanurkował ku morzu i skierował się do celu. Komputer sprawdzał jego pozycję według gwiazd, inercyjny system nawigacyjny korygował kurs. Gdyby Granat został użyty do ataku na miasto, leciałby według rzeźby terenu, trzymając się zaledwie dziesięć metrów nad ziemią. Nawet niespodziewane pojawienie się urwiska nie zmyliłoby jego systemu naprowadzania. Mógł być tak zaprogramowany, żeby leciał do celu najkrótszą trasą lub okrążył miasto z daleka i zaatakował je z kierunku, z którego nie spodziewa się wróg. Był genialną konstrukcją, zaprojektowaną i wykonaną bardzo starannie przez naukowców i inżynierów, obsługiwaną przez wykwalifikowanych techników i utrzymywaną w doskonałym stanie. Leciał teraz naprzód, aż w końcu rozpoznał swój cel.

Nieważne, że celem nie było miasto, lecz punkt na morzu. Granat wzbił się ku chmurom, obrócił stery i znów opadł niżej, dokładnie sprawdzając współrzędne celu. Po ustaleniu, że lokalizacja jest prawidłowa, uzbroił głowicę bojową i poszybował szybko w dół. Włączył się wysokościomierz radarowy. Detonacja była

zsynchronizowana z zaprogramowaną wysokością. Tym razem eksplozja miała nastąpić pięć metrów nad powierzchnią morza. Nawet tak nisko pocisk miał lecieć z prędkością prawie jednego macha i zdetonować głowicę bojową, zanim jego ostry stożek dziobowy dotknie wody.

Wysokościomierz radarowy rejestrował pułap. Sto metrów, osiemdziesiąt, sześćdziesiąt, czterdzieści. Zamknął się ostatni obwód powodujący detonację głowicy. Dwadzieścia metrów.

Piętnaście.

Nastąpił wybuch ładunku miotającego i zanim pocisk przebył następny metr, oddzielne części uranu 235 połączyły się i ładunek nuklearny eksplodował w ogromnej ognistej kuli, która wchłonęła pojemniki z ciężką wodą. Reakcja rozszczepienia wytworzyła wysoką temperaturę potrzebną do wywołania syntezy termojądrowej. Ognista kula urosła do spłaszczonej sfero – idy nad wodą, fala ciśnieniowa rozeszła się do góry i na boki. Na powierzchni morza natychmiast wyparowały ponad cztery miliardy metrów sześciennych słonej wody. Fala uderzeniowa dotarła do dna morza i rozprzestrzeniła się z niszczycielską siłą w promieniu pięćdziesięciu mil.

Na jej drodze zginęły wszystkie formy życia. Ale jedna z nich okazała się bardziej odporna od innych. Była zbudowana z wysokowytrzymałej stali HY-80. Fala uderzeniowa dosięgła bestii. Potrząsnęła zawartością giganta i zmiażdżyła ciała organizmów w jego trzewiach. Urwała mu płetwę grzbietową, płetwy ogonowe i

przednie. Potem zniszczyła stożek dziobowy, wykonany z włókna szklanego, zamiast ze stali. Czoło fali uderzeniowej posuwało się dalej, aż natrafiło na drugie stalowe stworzenie podobne do pierwszego. Niszczycielska siła obeszła się z nim łagodniej, choć to nie miało znaczenia, bo drugie stworzenie już konało. W końcu fala uderzeniowa rozproszyła się w morzu i w miejscu eksplozji pocisku pozostała po niej tylko chmura pęcherzy powietrza wielkości małego miasta.

Po dwóch wybuchach termojądrowych morze kipiało wściekle przez godziny. Jedynymi odgłosami, które konkurowały z eksplozjami, były zgrzyty metalu, gdy przegrody dwóch maszyn w morzu wyginały się od ciśnienia panującego w głębinach.

Dillinger stał w sterowni.

Sekundę później leżał rozplaszczony na pokładzie, jakby przygniatał go ogromny pracujący tłok. Dotykał bolącą twarzą zimnego metalu. Otaczały go cisza i nieprzenikniona ciemność.

Coś spadło i uderzyło go w tył głowy. Miał wrażenie, że świat zaczyna wirować. Poczł krew na potylicy. Dostał skurczu żołądka i zwymiotował z bólu, ale nic nie słyszał. Straszliwy miazdzący ból nie pozwalał mu oddychać.

Kiedy pomyślał, że gorzej już być nie może, uderzył w niego strumień lodowatej wody morskiej. Szok spowodował konwulsje. Dillinger spróbował podnieść

głowę z zalewanego pokładu. Miał wodę w nozdrzach i gardle. Przypomnił sobie własne myśli ojej dziwnie słonym smaku.

Woda morska.

Słona woda morska na plaży.

Jego ojciec w blasku słońca i on w wieku siedmiu lat. Wyciąga powoli rękę po frisbee szybujące nad płaskim piaskiem.

„Nie mów do mnie Burke. Nazywam się BK”.

„Dobrze, kochanie”, odpowiada jego matka. „Chodź na lunch, BK”.

Świat wywrócił się do góry nogami, potem wrócił do normalnej pozycji. Powietrze pachniało słono jak ocean. Rybi zapach morza, który poczuł, gdy wysiadł z samochodu w Annapolis. Przypomnienie, że jest blisko wody, już nie w północnej Wirginii.

Annapolis. Aspiranci w wykrochmalonych białych mundurach. Meldują się do służby w dzinsach i koszulach z krótkimi rękawami. „Włóż biały kombinezon roboczy i strój sportowy pod spód, zasrańcu... zasrańcu... zasrańcu”.

Biały kombinezon roboczy i strój sportowy pod spód.

Biały kombinezon roboczy.

„Alfa”.

Okręt podwodny.

Zalew.

Pożar.

Zatonięcie.

Umieranie.

Śmierć.

Toniemy, pomyślał Andriej Rusanow. Łupało mu w głowie, po twarzy spływała kleista ciecz. Spróbował jej dotknąć lewą ręką, ale ramię przeszył silny ból. Sięgnął do twarzy prawą ręką. Prawa część była w strasznym stanie. Miał i opuchnięte oko, i zapewne złamaną kość policzkową. Ledwo mógł utrzymać głowę prosto.

Kiedy w końcu się udało, zdał sobie sprawę, że jest zaplątany w stos ciał. Spróbował się podnieść, walcząc z zawrotami głowy i strachem przed zatonięciem w zupełnie ciemnym pomieszczeniu. Czuł krew węchem i dotykiem. Ale bardziej przerażała go ciemność. Wokół było czarno jak w kopalni węgla.

Nie, lewym okiem dostrzegł migoczące słabe światło. Spróbował na nie spojrzeć, ale zobaczył jedynie odbicie w roztrzaskanym szkle monitora. Zorientował się, że światło to blask pożaru pod nimi. Kiedy uświadomił sobie znaczenie słowa „pożar”, poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Zakaszłał. W powietrzu unosił się ciężki swąd płonącej izolacji.

Zdał sobie sprawę, że ogień to drugorzędny problem, ważniejszy jest pokład. Zamiast znajdować się w poziomie, był prawie w pionie.

Rusanow pomyślał, że z jego perspektywy tylko mu się tak wydaje. To raczej odchylenie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ale na okręcie podwodnym tyle wystarczy

do śmierci.

O czym ja myślę? – zdziwił się. Są dużo poważniejsze problemy, które zagrażają okrętowi bardziej niż przechył wzdłużny.

W tej sytuacji na okręcie podwodnym trzeba włączyć sygnał alarmowy. Był tylko jeden kłopot – włącznik zamontowano nad konsolą sterowniczą okrętu, która znajdowała się teraz wysoko nad głową Rusanowa. Spróbował znaleźć oparcie dla stóp, ale podtrzymywał go jedynie stos ciał. Andriej obawiał się, że stanie na czyjejs twarzy, i jeśli się odepchnie, zrobi komuś krzywdę.

W górze rozległo się głośnie skrzypienie, dźwięk rozszedł się po całym okręcie. Dobry Boże, pomyślał Rusanow, chyba opadamy poniżej granicy głębokości krytycznej. Musiał się dostać do włącznika. Powinien je zamontować w wielu punktach centrum dowodzenia, ale opóźniłoby to zwodowanie okrętu. Taka postawa wydała mu się teraz bardzo dziwna.

Następny trzask. Kadłub kurczył się od ciśnienia. Hałas był przerażający. Okręt konał. Rusanow nie mógł uniknąć nadeptnięcia na czyjeś ciało pod sobą.

– Przepraszam – powiedział głośno. Własny głos wydał mu się obcy.

W ustach Andriej miał pełno tej samej lepkiej mazi, co na twarzy. Splunął i poczuł, że pozbywa się pół tuzina zębów. Ale to nie miało znaczenia. Żył i musiał pomóc ginącemu okrętowi. Rzucił się w kierunku podstawy fotela przy konsoli obsługi napędu. Pomagając sobie

prawą ręką, usiłował wdrapać się na siedzenie. Poczuł, że już jest zmęczony. Bolało go lewe ramię. Dotknął go delikatnie. Spuchło do podwójnego rozmiaru, ale kości nie wyszły przez skórę przy złamaniu. Przeskoczył na rurę masztu radiowego, potem na fotel operatora sonaru, a stamtąd na reling wokół peryskopu. Przeczółgał się po nim w kierunku lewego przedniego rogu centrum dowodzenia. Prawie jestem, pomyślał. Dał susa od relingu peryskopu na fotel sternika. Podciągnął się na skórzane siedzenie i stanął na oparciu, żeby sięgnąć do konsoli sterowniczej powyżej.

Panel alarmowy był mały, mniej więcej wielkości pudełka do butów. Chroniła go pokrywa z mocnego przezroczystego plastiku, pod nią znajdowało się pięć identycznych osłon dźwigni kolankowych. Pierwsza zamykała wszystkie sterowane hydraulicznie zawory w kadłubie. Służyły do tego butle sprężonego powietrza i małe siłowniki hydrauliczne umieszczone w pobliżu wszystkich zaworów. Ten system awaryjny wymyślił sam Rusanow na wypadek, gdyby w sytuacji alarmowej uległy uszkodzeniu główne przewody hydrauliczne, które biegły jak naczynia krwionośne przez cały okręt. Podniósł pierwszą osłonę i przesunął włącznik. Usłyszał odgłosy dochodzące z góry – zamykają się zawory pierwszego i drugiego przedziału, pomyślał. To mogło powstrzymać zalew przez instalację rurową, ale jeśli przeciekał kadłub lub uszczelnienia wału napędowego, wszystko skończone.

Drugi włącznik uruchamiał opróżnianie dziobowego

zbiornika balastowego za pomocą ładunków gazowych. Przy odchyleniu okrętu do góry lepiej najpierw opróżnić rufowy zbiornik balastowy, analizował szybko. Być może pomogłoby to wypoziomować okręt. Ładunki gazowe były w zasadzie granatami ręcznymi zamontowanymi w całej przestrzeni balastowej między kadłubem ciśnieniowym a zewnętrznym. Mogły wprawdzie rozerwać kadłub zewnętrzny i narobić więcej szkody niż pożytku, ale nie zajmowały tyle miejsca, ile system sprężonego powietrza ze wszystkimi niezbędnymi kompresorami, i były od niego lepsze. Zwykle do wypompowywania wody z przestrzeni balastowej używano awaryjnego diesla. Teraz oczywiście takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Rusanow przesunął włącznik opróżniania rufy i natychmiast usłyszał detonację daleko w dole. Poczekał, żeby zobaczyć, czy okręt wróci do poziomu. Pokład zaczął powoli opadać.

Udało się! Rufa wolno szła do góry. Kąt odchylenia zmalał i pokład w końcu przestał przypominać ścianę. Gdy zaczął się pochylać w przeciwną stronę, Rusanow przesunął drugi włącznik i odpalił ładunki gazowe w dziobowej przestrzeni balastowej. Usłyszał nad głową wybuchy granatów ręcznych. Gorący gaz rozprężył się i wypychał wodę morską. Okręt stawał się coraz lepszy. W przestrzeni swobodnego zalewu w śródkręciu również znajdowały się awaryjne ładunki gazowe. W normalnych okolicznościach tylko szalenie by ich użył, ponieważ okręt miałby tak dużą wyporność, że mógłby się

przewrócić. Ale skoro tonął rufą w dół, było oczywiste, że nabiera wody tamtędy.

Rusanow uniósł osłonę włącznika opróżniania rezerwowej przestrzeni balastowej w śródkręciu w nadziei, że postępuje słusznie. Zakaszłał – dym zaczął wypełniać górną część pomieszczenia. Przesunął włącznik i usłyszał wybuchy ładunków gazowych. Bez względu na wielkość przecieku pędzili teraz ku powierzchni. Pozostało tylko przesunąć włącznik systemu gaśniczego. Po jego uruchomieniu wszystkie pomieszczenia z elektroniką wypełniłyby halon. Stłumiłyby pożary instalacji elektrycznych, nie szkodząc ludziom. Problem polegał na tym, że zniszczyłyby większość urządzeń. Potężny system zarządzania i kontroli nie przetrwałby takiej akcji gaśniczej. Wszystkie przyrządy i wyświetlacze przestałyby działać na zawsze. Ale skoro płoną, i tak są do niczego, pomyślał Rusanow. Podniósł osłonę i brutalnie przesunął włącznik.

Pomieszczenie natychmiast wypełniła biała mgła z uruchomionego systemu gaśniczego w tylnej części centrum dowodzenia. Rusanow niepokoił się przez dłuższą chwilę, że inżynierowie się mylili i halon udusi ludzi. Zakaszłał. Zdał sobie sprawę, że atmosfera jest skażona. Natychmiast po wynurzeniu się okrętu będzie musiał zrobić, co w jego mocy, żeby otworzyć właz w kiosku, który wcześniej prowadził do kapsuły ratunkowej i na mostek. Należało jak najszybciej wpuścić trochę świeżego powietrza do zadymionego wnętrza okrętu.

Na szczęście nie doszło do eksplozji akumulatora ołowiowo-kwasowe – go. Gdyby woda morską dostała się w pobliże jego cel, opary chloru mogłyby zabić załogę w ciągu kilku minut, a wybuch gazu rozerwałby kadłub, mimo że tytanowej powłoki nie naruszyła nawet eksplozja jądrowa. Taki wybuch zadziałałby z równą siłą na całą powierzchnię. Eksplozja akumulatora byłaby jak przebicie gwoździem skorupki jajka – zrobiłaby w kadłubie dziurę na wylot.

Rusanow skończył pracę przy panelu alarmowym. Pożary w tych pomieszczeniach zostały ugaszone i znów zapadła zupełna ciemność, ale pokład wrócił do poziomu. I coś jeszcze – kadłub się kołysał. Fale! Dotarli na powierzchnię. Rusanow znalazł włącznik latarni bojowej. Przyćmiony blask oświetlił centrum dowodzenia.

Andriej odwrócił się do rannych kolegów. Podstawowa zasada udzielania pierwszej pomocy jest taka, żeby nie ruszać poszkodowanych, ale nie było innego sposobu, by im pomóc, gdy leżeli jeden na drugim. Rusanow rozdzielił ciała najostrożniej, jak potrafił, i spojrzął na Vornado.

– Kapitanie – powiedział łamiącym się głosem.

Twarz Vornado pokrywała gruba warstwa krwi. Było jej tyle, że Rusanow nie wiedział nawet, skąd ona się bierze. Sięgnął do szyi Vornado, patrząc na jego ciało, które wydawało się całe. Vornado miał jeszcze ciepłą skórę, ale nie oddychał i ustało mu tętno. Rusanow westchnął. To oczywiste.

Kapitan Vornado nie żyje.

Rusanow nie był religijny ani sentymentalny. Ale na widok martwego Vornado zaszlochał i przylgnął do jego piersi. Vornado awansował go z szarego stocznioowca na swojego zastępcę. Zaufał mu jak nikt dotąd. Był tylko dziesięć lat starszy od niego, a mimo to zastępował mu ojca, którego Rusanow nigdy nie miał. Andriej poczuł łyzy na policzku. Po chwili uświadomił sobie, że kapitan nie chciałby, żeby ktoś z załogi leżał tak jak idiota i lamentował, kiedy pozostali potrzebują pomocy. Spróbował wziąć się w garść i odwrócił wzrok od Vornado.

Obok kapitana leżał Dimitrij Masłow. Nawet nie było sensu sięgać do jego szyi. Miał niemal całkowicie odciętą głowę. Trzymała się tułowia tylko na cienkich włóknach zakrwawionej tkanki.

Swietłana miała skomplikowane złamanie uda. Z dziury w jej kombinezonie wystawała krwawa masa i kości. Rusanow dotknął szyi dziewczyny. Była ciepła i wyczuł słabe tętno. Przyłożył ucho do jej ust. Oddychała, ale ledwo.

Pod tym, co zostało z konsoli sonarowej, leżał Wiktor Danałow. Był zakrwawiony, ale oddychał głośno. Charczał i miał krew na piersi. Rusanow nie wiedział, czy własną. Kiedy się zbliżył, zobaczył, co się stało. W piersi Danałowa utkwiał odłamek szkła. Rusanow zastanawiał się, co powinien zrobić – wyciągnąć go, czy nie ruszać? Słyszał, że takie zabiegi lepiej zostawiać lekarzom. Bóg

jeden wie, czy to szkło nie trzyma Danałowa przy życiu i wyciągnięcie odłamka nie spowoduje śmierci. Ale są na Morzu Barentsa, pół kontynentu od szpitala. W końcu będzie musiał wyciągnąć to szkło.

Rusanow usłyszał kaszel, ale nie mógł się zorientować, skąd dochodził. Poszedł do przedniej części pomieszczenia, gdzie leżał młody Michaił Masłow. Chłopak poszedł na dół, kiedy Vornado zamierzał storpedować frachtowiec. Musiał jednak wrócić do centrum dowodzenia, żeby pomóc, gdy rozpoczęła się walka z zachodnim okrętem podwodnym.

Michaił nie jest w lepszym stanie niż jego brat, pomyślał Rusanow. Wydawało się, że nogi chłopaka są zalane litrami krwi. Zapewne miał przeciętą tętnicę udową. Rusanow dotknął jego szyi. Była zimna i nie wyczuł tętna. Masłow otwartym lewym okiem patrzył w górę. Rusanow zamknął mu powiekę. Usłyszał z tyłu kaszel, odwrócił się.

Ciemność ustępowała. Na obrzeżach stawała się jaśniejszym odcieniem czerni. Wciąż było ciemno, ale zauważalnie jaśniej.

Jasność przesuwiała się do środka, a wraz z nią nadchodziła świadomość. Nie było doznań, tylko przytomność. Nie było wspomnień ani osobowości. Tylko jaśniejący wszechświat i całość, poczucie jedności z nieskończonym znaczeniem.

Z oddali napływała myśl. Jasna z jednej strony i ciemna

z drugiej. Otaczała coś bardzo istotnego. Rosła, aż jej ogrom przesłonił resztę rzeczywistości. Gdyby można ją było przetłumaczyć, słowa odebrałyby większość jej prawdziwego znaczenia, ale wszystko sprowadzałoby się do jednego wyrazu: życie.

Najpierw pojawił się zapach.

Dym.

Spalona izolacja. Płonąca elektronika. Rozlane aminy.

Nic nie widział. Otaczała go ciemność.

Było cicho.

Poza dalekim tonem dzwonu. Dzwoniło mu w uszach. Usłyszał, że coś przesuwana się po powierzchni, potem rozległo się ludzkie chrząknięcie.

Skoncentrował się na czuciu. Najpierw odniósł wrażenie, że nie ma ciała. Przeraziło go to odkrycie, ale wtedy poczuł w piersi przyspieszone bicie serca.

Ból ogarniał klatkę piersiową, ręce, miednicę i nogi. Ale najbardziej atakował plecy. Potem doszedł ból głowy. Pulsował w skroniach i za oczami.

Miał wrażenie, że jest pod warstwą lepkiej wilgoci. Uniósł powoli rękę. Dławiła go jakaś masa o smaku miedzi. Zakaszłał słabo, potem spróbował złapać głębszy oddech. Nic z tego. Zakaszłał mocniej.

Dotknął twarzy i wyczuł warstwę zakrzepłej krwi.

Spróbował usunąć ją z oczu. W końcu udało mu się zamrużyć. Wtedy zobaczył zamazany obraz centrum dowodzenia. Ktoś pochylał się nad czyimś ciałem. Spojrzał w bok i dostrzegł Swietlanę.

Była martwa.

Zamknął oczy i zakaszłał głośniejszym głosem, kiedy znów poczuł w gardle płynną miedź.

Uniósł powieki, popatrzył na dziewczynę i uświadomił sobie, że jej pierś wznosi się i opada. Oddychała.

Westchnął z ulgą.

– Kto to? – zawołał głos Rusanowa. – Pan kapitan! – Rusanow podbiegł do Vornado. – Myślałem, że pan nie żyje!

– Chyba pierwszy raz miałeś rację – wychrypiał Vornado. Odwrócił się na bok i zwymiotował krwią na pokład. Odepchnął się od kałuży i na leżąco chwycił masztu radiowego. – Toniemy?

– Okręt jest stabilny, kapitanie. Uruchomiłem na panelu alarmowym awaryjne usuwanie balastu. Palila się elektronika, więc użyłem halonu.

– Wyłynęliśmy na powierzchnię?

– Tak, kapitanie. Straciliśmy kiosk. Właz jednak działa. Kadłub jest mocno uszkodzony, ale szczelny.

– Co z akumulatorem? Ekspłodował?

– Nie.

Vornado uśmiechnął się lekko.

– Pomóż mi się podnieść.

Rusanow podciągnął go do pozycji siedzącej.

– Jest pan ciężko ranny?

– Oszołomiony – odparł Vornado.

– Ma pan rozciętą głowę. – Rusanow wyjął długi opatrunek chirurgiczny i założył na ranę. Potem owinał

głowę Vornado bandażem, którego koniec przykleił taśmą samoprzylepną. – Mógłbym to zszyć.

Vornado machnął lekceważąco ręką.

– A co z tobą? Twoja twarz wygląda fatalnie.

– Możliwe, że straciłem oko – odparł Rusanow. – Mam złamaną lewą rękę. – Zerknął z ukosa na Vornado. – Obiecał mi pan, że będę bezpieczny. – Popatrzył na zdemolowane centrum dowodzenia. – Niezupełnie tak wyobrażałem sobie ten rejs.

Vornado chciał się roześmiać, ale poczuł ból.

– Skłamałem. Co z załogą?

– Bracia Masłow nie żyją.

Vornado na moment zamknął oczy, ogarnął go smutek.

– A reszta?

– Swietłana i Wiktor odnieśli ciężkie rany.

Vornado spojrzał na krwawiącą nogę dziewczyny.

– Musimy jej założyć opatrunek i opaskę uciskową. – Chciał do niej podejść, ale upadł i znów zwymiotował. Tym razem kałuża krwi była większa.

– Martwię się o pana, kapitanie.

– Pomóż mi założyć opatrunek. – Razem zabandażowali Swietłanie nogę. – Co z Wiktorem?

– Leży ze szkłem w piersi.

– Przebiło płuco – stwierdził Vornado, kiedy przysunął się bliżej. – Jakie masz opatrunki?

Rusanow pokazał zawartość apteczki. Vornado opuścił suwak kombinezonu Danałowa, ściągnął z niego górną część ubrania i odsłonił ranę. Owinął szkło kawałkiem

gazy, wziął głęboki oddech i pociągnął mocno. Odłamek najpierw ani drgnął, potem wyszedł i trysnęła krew. Danałow jęknął. Vornado zabandażował ranę i podciągnął Wiktora do pozycji siedzącej. Owinął mu tors gazą chirurgiczną i przykleił ją taśmą.

– Nie mamy radia alarmowego, prawda? – spytał po zakończonej operacji.

Rusanow pokręcił głową.

– Obwody radiowe działają? – dopytywał się z nadzieją.

Rusanow pobiegł do przestrzeni z elektroniką w tylnej części pomieszczenia i wrócił z ponurą miną.

– Spaliły się w cholere.

– Pomóż mi wstać – poprosił Vornado.

Rusanow podniósł kapitana ostrożnie. Pokuśtykali do szybu wejściowego. Vornado wspiał się do włazu i wyłonił z kadłuba. Było potwornie zimno. W oddali zobaczył okręt.

Okręt podwodny.

Jego dziób wystawał z wody, kadłub miał mocno odchylony do góry. Brakowało fiberglasowego stożka dziobowego, pozostały tylko resztki zniszczonej anteny sferycznej sonaru BQQ-5. Dalej stalowy cylinder opadał ku falom i był do połowy zanurzony. Coś jest nie tak, pomyślał Vornado. Po chwili zdał sobie sprawę, że tamten okręt nie ma kiosku i dziobowych sterów głębokości – Musimy im pomóc – oznajmił. – Weź pneumatyczną tratwę ratunkową i parki. Przynieś też

zestaw narzędziowy.

Tratwa pneumatyczna kołysała się na rozfalowanym Morzu Barentsa. Zaskoczył mały silnik dwusuwowy. Kiedy zaczął równo pracować, Vornado otworzył przepustnicę. Pęd powietrza nawiewał do pontonu rozpyloną lodowatą wodę morską. Byli przemoczeni. Vornado miał zgrabiące ręce. Zbliżyli się do amerykańskiej jednostki.

Vornado nie mylił się. Mieli przed sobą okręt podwodny klasy Los Angeles. Na całej sterburcie brakowało farby. Mocno obciążona rufa wypchnęła dziób z morza. Vornado podpłynął tratwą do miejsca, gdzie kadłub stykał się z falami. Sterczał do góry pod kątem około dwudziestu stopni. Jeszcze trochę i wejście na pokład byłoby niemożliwe. Woda na kadłubie już zamarzała.

– Zostań w pontonie! – krzyknął Vornado do Rusanowa i przeskoczył na okręt. Wyciągnął się i chwycił ciężką skrzynkę z narzędziami. Wątpił, czy nawet przy ich użyciu zdoła otworzyć właz.

Wspiął się niepewnie po kadłubie do szczątków kiosku. Z daleka wydawało się, że kiosk został gładko ścięty, ale z bliska okazało się, że z kadłuba sterczą resztki masztów, przewodów hydraulicznych i stalowej konstrukcji nośnej. Vornado przedostał się przez tę plątaninę metalu i kabli do dolnego włazu szybu wejściowego na mostek. Teraz z szybu nic nie zostało. Gdyby miał szczęście, mógłby

otworzyć właz gołymi rękoma. Chwytał pierścień ryglujący i próbował obrócić. Bez skutku. W skrzynce narzędziowej znalazł klucz fajkowy. Włożył go w pierścień i pociągnął z całej siły. Tym razem się udało. Myślał, że dalej poradzi sobie ręką, ale musiał użyć klucza do obrócenia pierścienia dziesięć razy, żeby otworzyć właz.

– Kapitanie! – krzyknął z tratwy Rusanow. – Niech pan się pospieszy! Okręt idzie pod wodę!

Vornado machnął ręką i otworzył właz. Natychmiast uderzył go podmuch gorącego, gryzącego dymu. Zupełnie jakby otworzył wrota piekła i zajrzał do środka. Powinien zabrać ze sobą jeden z aparatów tlenowych. Teraz nie zdążyłby popłynąć do „Liry” i wrócić, zanim okręt bardziej się zanurzy. Miał dziesięć minut, może mniej.

Stał na szczycie kadłuba tylko chwilę, ale zdawało się, że minęła godzina. Przyszło mu do głowy, że powinien zrezygnować, wrócić na „Lirę” i poczekać na pomoc. Los tego okrętu był przesądzony, jakby już zatonął. Vornado powiedział sobie, że nie musi ryzykować. Nie jest bohaterem. Przecież storpedował frachtowiec. Powinien po prostu odpłynąć na „Lirę”. Jest mężem i ojcem. Dotąd udawało mu się przetrwać. Diabelska misja dobiegła końca. Zachowa się odpowiedzialnie, jeśli uratuje siebie, wróci do domu i zapomni o tym koszmarze. Zestarzeje się z Rachel, będzie żył długo i szczęśliwie.

Ratuj siebie, rozkazywał mu rozsądek. To jedyne odpowiedzialne postępowanie.

Peter Vornado wziął głęboki oddech, zamknął oczy i opuścił nogi do dymiącego otworu włazu.

Obiecał sobie, że natychmiast po wejściu do środka poszuka maski tlenowej. Wiedział dokładnie, gdzie były na „Hamptonie” i „Auguście”. Miał nadzieję, że na tym okręcie są w tych samych miejscach. Przyszła mu do głowy makabryczna myśl, że ten okręt to jego stary „Hampton”, a on jest obecny na pogrzebie.

Otrząsnął się i zszedł po drabince. Zmuszał swoje obolałe ciało do wysiłku, waliło mu serce. Upiorny widok z zewnątrz był niczym w porównaniu z tym, co zastał w środku. Dotknął stopami przechylonego pokładu, ale stroma powierzchnia była zbyt gładka i mokra, by mógł utrzymać się na nogach. W ciemności odniósł wrażenie, że jest śliska od krwi.

Z powodu szkodliwych oparów nie otwierał oczu. Nawet w masce tlenowej nic by nie widział. Wokół kłębił się czarny, gorący dym. Spod zaciśniętych powiek wypływały mu łzy. Tu nie jest jak w piekle, pomyślał, to jest piekło.

Zmusił się, żeby ruszyć tam, gdzie powinna być sterownia. W suficie po stronie sterburty, między drzwiami do sterowni i sonaru, spodziewał się znaleźć schowek z około dwudziestoma maskami tlenowymi. Sięgnął w górę, ale wyczuł tylko laminat na ścianie. Szukał gorączkowo dalej. Rozciął sobie nadgarstek o rozerwany metal, ale po drugiej stronie natrafił ręką na coś miękkiego. Guma! Pociągnął i wydobył z sufitu

maskę. Miał nadzieję, że nie przeciął węża o ostry metal. Błyskawicznie nałożył maskę. Mocno ściągnął paski. Chwycił regulator i przypiął do pasa, potem odszukał wolny koniec węża wysokiego ciśnienia. Na „Hamptonie” znał lokalizację wszystkich kolektorów instalacji powietrznej. Każdy wykwalifikowany członek załogi musiał umieć je znaleźć z zawiązanymi oczami. Wyciągnął rękę do góry. Kolektor był tam, gdzie powinien być. Vornado wetknął szybko wąż do otworu. Nie miał już prawie tlenu.

No tak, pomyślał. Jeśli eksplozja rozerwała awaryjny system powietrzny, to koniec. Zabraknie mu tlenu i nie zdoła odnaleźć po omacku drogi powrotnej do włazu. Pomyślał, że gdyby musiał umrzeć na okręcie podwodnym, to wolałby na amerykańskim. Przynajmniej miałby uczucie, że jest bliżej domu.

Dom, westchnął w duchu. Rachel. Marla. Peter. Erin. Zakipiała w nim złość i pozbył się chorobliwych myśli. W kolektorze musi być tlen. Zaszedł za daleko, by teraz umrzeć. Wziął możliwie najgłębszy oddech. Wiedział, że jeśli system jest nieszczelny, wchłonie toksyczne opary i natychmiast runie na pokład.

Suche powietrze było zanieczyszczone, ale dobrze, że w ogóle było. Miało smak miedzi i cuchnęło zdechłymi rybami, ale dawało szansę na przeżycie. Zrobił w panice hiperwentylację, wiedząc, że to głupota. Wziął następny głęboki oddech, sięgnął w górę i odłączył wąż od kolektora. Jego wewnętrzny głos krzyczał, żeby biegł z

powrotem do włazu i natychmiast się ewakuował. Nikt by go za to nie winił. Powiedzieliby, że zrobił wszystko, co mógł.

Ale myliliby się.

Był w sterowni. Podczas walki tu znajdowałyby się większość załogi. A jeśli nie tu, to z tyłu w maszynowni.

Ludzi w części rufowej nie zdołałby uratować. Pomieszczenia techniczne w tamtym przedziale były głęboko zanurzone, prawdopodobnie nabierały wody i ciągnęły okręt na dno. Ale w sterowni mogło być ponad dwadzieścia osób i należało walczyć o ich życie. Vornado musiał tylko przenieść ofiary kilka metrów do otworu. Jak w transie sięgnął po ciało sternika przy panelu. Odpiął mu pasy, dźwignął go i oparł o drabinę. Zmobilizował wszystkie siły i wciągnął bezwładne ciało do włazu.

Rusanow już czekał, żeby odebrać marynarza. Widok na zewnątrz był alarmujący. Ponton unosił się na wodzie zaledwie trzy metry od włazu. Okręt tonął. Vornado puścił sternika i wrócił na dół po następnego członka załogi. Wetknął wąż maski tlenowej do kolektora powietrznego, wziął trzy szybkie oddechy i chwycił następną osobę. Zaholował ją do włazu, gdzie Rusanow, mimo złamanej ręki, wciągnął nieprzytomnego człowieka do pontonu. Vornado znów zszedł na pokład. Trzy oddechy i kolejna ofiara.

Przez pięć minut wydobywał z kadłuba każdego, kogo udało mu się znaleźć.

– Kapitanie Vornado! – usłyszał przez huk ognia

wołanie Rusanowa. – Szybko! Właz jest prawie na poziomie wody!

Vornado znalazł następne ciało, tym razem kobiety. Wyciągnął ją spod półki z książkami i przetransportował do włazu. W ciemności i dymie nie zdołał dostrzec nikogo więcej. Biegł do włazu, gdy potknął się i upadł na ostatnie ciało. Podniósł je. Zarost mężczyzny otarł mu się o ramię. Kiedy dociągnął członka załogi do włazu, do środka zaczęła się wlewać woda.

Wysięk paraliżował mięśnie. Vornado ledwo mógł się ruszać. Wypchnął mężczyznę przez otwór. Rusanow chwycił wydzwignięte ciało. I wtedy stała się być może najdziwniejsza rzecz, jaką Vornado kiedykolwiek przeżył. Kiedy bezwładna postać wysuwała się obok niego przez właz, zauważył naszywkę na kieszeni mężczyzny, tuż pod emblematem podwodniackiego delfina, słabo widocznego przez dym i wlewającą się wodę morską.

Na naszywce było coś z przeszłości, która wydawała się tak odległa, jakby istniała w innym życiu. Drukowane litery mówiły: B. K. Dillinger.

W momencie, gdy zaszokowany Vornado otworzył usta, eksplozja rzuciła go na drabinkę i świat rozplynął się wśród jaskrawych iskier.

Pojawiła się ciemność.

Nie było tunelu, ciemnej mgły ani głosów, tylko głęboka czerń, która całkowicie zaabsorbowała jego świadomość.

Tym razem to naprawdę koniec.

Epilog

Rachel. Dźwięk jej imienia był jękiem. Przepraszam. Białe światło. W niektórych miejscach mocne. W innych słabe.

Czuł siebie. Wszystko go bolało. Miał gorące nogi. I zimne ręce. Pulsowało mu w głowie.

Blisko siebie wyczuwał czyjąś obecność. Rozpoznał perfumy. To ona. Widział w wyobraźni każdą chwilę, którą spędzili razem. Jakież to było złe. I jakie wspaniałe.

Zamrugął. Jego czoła dotykały długie, chłodne palce. Zobaczył żółty kolor. Jedwabiste pasmo złocistych włosów. Powinny być krótkie, ale sięgały już do połowy czoła i zaczynały zakrywać uszy. Najpierw się przestraszył. Klienci ją zobaczą. Potem się uspokoił, gdy przeczesła palcami jego włosy. Egipcjan już nie ma.

Zamknął oczy na wspomnienie tego wszystkiego. Przez chwilę pod jego powiekami toczyła się walka, zanim znów je uniósł.

W pokoju zobaczył dwie osoby. Swietłana Biełkow miała na sobie obcisły kostium biurowy. Burke Dillinger był w granatowym mundurze marynarki wojennej. Stali blisko szpitalnego łóżka. BK uśmiechał się głupio, jak zawsze, kiedy coś ukrywał. Swietłana marszczyła z troską brwi.

Spróbował się odezwać. Najpierw nie mógł wydobyć głosu, w końcu udało mu się wychrypieć kilka słów.

– Jak długo tu leżę?

Swietłana zareagowała pierwsza.

– Prawie trzy tygodnie. Byłeś w śpiączce.

Coś jest nie tak, pomyślał. Ona mówi do mnie po angielsku.

– Gdzie ja jestem?

Tym razem odpowiedział mu Dillinger.

– W Szpitalu Marynarki Wojennej w Bethesda. Niedaleko domu.

Dom. Rachel. Dzieci. Spojrzał w górę. I Swietłana.

– BK, proszę, zostaw nas na chwilę samych?

Gdy Dillinger wyszedł z sali, Swietłana usiadła na łóżku.

– Nie możemy być razem – zaczął wolno Vornado. To były najbardziej bolesne słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedział. – Wszystko, co ci mówiłem o moim małżeństwie... kłamałem. – Spojrzał smutno na pościel. – Podąłem swój fałszywy życiorys. – Zastanawiał się, jak ona to przyjmie. Ale gdy podniósł wzrok, zobaczył w jej oczach zrozumienie.

– Wiem – odparła. – Byłam twoją kontrolerką.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Co?

– Pracowałam dla Hanka Lewisa.

– Ach, tak... – jęknął Vornado i opadł na poduszkę. Poczł smutek i westchnął. Obawiał się, że Swietłana rozbije jego małżeństwo, a teraz dowiedział się, że przez cały czas udawała. – Więc to wszystko było tylko grą?

– Nie – szepnęła i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po włosach. Chciał jej dotknąć, ale nie miał siły unieść ramienia. – Miałam fałszywy życiorys, tak jak ty. Ale musiałam być bliżej ciebie, niż ktokolwiek inny. W dzień i w nocy. Zostałam więc twoją kochanką.

Wszystko było kłamstwem. Co za idiota ze mnie, pomyślał ponuro. Odwrócił wzrok i wpatrzył się w ścianę.

– Poproś BK z powrotem – powiedział ochryple. Nie chciał, żeby widziała jego oczy. Napłynęły do nich łzy.

Zatrzymała się przy drzwiach.

– Peter?

Odprawił ją machnięciem ręki, ale nie odeszła. Odezwała się miękkim głosem. Po angielsku mówiła równie zmysłowo, jak po rosyjsku.

– Czasem na planie filmowym aktorki naprawdę zakochują się w swoich partnerach. – Urwała na moment. – Wiem, bo tym razem przytrafiło się to mnie.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wyszła. Zamknął oczy. Czuł wstyd, tęsknotę, gorycz i wyrzuty sumienia.

Pojawił się nad nim Dillinger i ścisnął jego ramię.

– Wszystko mi opowiedziała – odezwał się cicho. Wydawało się, że celowo nie wymówił jej imienia. Miał poważny głos. – Daj sobie z tym spokój, Peter. Zrobiłeś, co musiałeś. Masz to już za sobą. Wszyscy wrócimy do dawnego życia.

– Z wyjątkiem tych, co zginęli.

– Wiem, Peter. Straciliśmy prawie całą załogę. Przeżyli

tylko ci, których wyciągnąłeś ze sterowni. Uratowałeś ich. Mnie też.

– Kto ocalał? – zapytał Vornado.

– Wydobyłeś z kadłuba wszystkich moich młodszych oficerów na stanowiskach bojowych, oprócz Fortunata i wachty w części rufowej. Ocaliłeś życie sternikowi, szefowi okrętu, szefowi wachty, operatorowi rufowych sterów głębokości, sonarzystom na stanowiskach bojowych, szefowi sonaru, mojej XO i mnie. Z tego, co słyszałem, dokonałeś cudu. Kiedy wypchnąłeś mnie na zewnątrz, woda wlewała się już do włazu. Właśnie wtedy eksplodował akumulator. Facet, który był z tobą, wyciągnął cię w ostatniej chwili. Zaraz potem kadłub, a raczej jego wrak, poszedł na dno. – Dillinger pokręcił głową. – To był czarny dzień na morzu, Peter.

Vornado wyciągnął wolno ramię i chwycił rękaw Dillingera ozdobiony złotymi paskami.

– Nie chciałem cię skrzywdzić, BK. Zamierzałem tylko zrobić duże bum, żeby odwrócić twoją uwagę i uciec. Myślałem, że po naszym wystrzale popłyniesz na wschód. Co się stało?

Dillinger zacisnął wargi.

– Ruszyłem na zachód.

Vornado westchnął.

– Chryste. Co za cholerna misja.

Zapadło długie milczenie. Vornado poczuł, że pokój zaczyna wolno wirować. Widział jak przez mgłę.

– Odpocznij trochę, Peter. Będę przy tobie czuwał.

Vornado chciał zaprotestować, ale zasnął, zanim zdążył otworzyć usta.

– Witam wszystkich. Wchodźcie i siadajcie przy stole konferencyjnym. – Hank Lewis uśmiechnął się do całej trójki. – Kawy?

Peter Vornado przytaknął.

– Amerykańskiej. – Zajął miejsce przy dużym stole konferencyjnym.

Za oknem było szare grudniowe popołudnie, wiatr kołysał nagimi drzewami. Wokół nowego budynku administracyjnego Centralnej Agencji Wywiadowczej leżała warstwa tygodniowego śniegu.

Swietłana Bielkow pokręciła głową. Vornado spojrzał na jej identyfikator CIA – Priscilla Whittaker. Imię i nazwisko wydawało się bardziej obce niż fałszywe rosyjskie. Victor Kaminsky – poprzednio Wiktor Danałow – przyjął parującą filiżankę.

Lewis promieniał.

– Widzę, że wszyscy jesteście w całkiem niezłej formie.

Priscilla Whittaker przeszła dwie operacje lewej nogi i ostatnie tygodnie spędziła na fizykoterapii, ale chodziła jeszcze o lasce. Przebite płuco Victora Kaminsky'ego zagoiło się i poza tym jego stan zdrowia był doskonały. Całą trójkę zabrał amerykański niszczyciel wysłany na północ na Morze Barentsa z rozkazem odholowania „Liry” poza rosyjskie wody terytorialne, zanim Republika

Rosyjska zdąży przeprowadzić dochodzenie w sprawie wybuchów. Poza faktem zatonięcia „Tucsona” na głębokości tysiąca pięciuset sążni po eksplozji akumulatora, która rozerwała kadłub, Vornado nie znał innych szczegółów zakończenia misji.

– Fizycznie może jesteśmy w formie – odparł Kaminsky.

– A co z panem, Vornado? Bóle głowy ustąpiły?

Peter potarł czoło. Blizna po dwudziestu szwach ciągnęła się od linii włosów w dół do oka. Dillinger żartował, że teraz Vornado wygląda jak pirat.

– Lekarze zrobili mi całą serię prześwietleń. Powiedzieli, że wszystko w porządku. Nie ma też oznak powrotu nowotworu.

– To świetnie. Zaczynamy. Chciałem wam po prostu podziękować za wierną służbę, wręczyć premie... i przekazać przeprosiny dyrektora za pomyłkę.

– Co się stało? – zapytał Vornado. Obiecano mu, że na odprawie wszystkiego się dowie. – Dlaczego „Tucson” dostał rozkaz, żeby nas zaatakować?

Lewis pokręcił głową.

– Nigdy nie widziałem dyrektora bardziej wściekłego. Najwyraźniej centrum operacyjne wysłało niewłaściwe rozkazy. „Tucson” dostał plan rezerwowy, zamiast głównego. Miał tylko być w pobliżu i upewnić się, czy wasz bunt się powiódł. Gdyby wyglądało na to, że nie udało się pokonać Ahel al Beit, zrealizowałyby plan rezerwowy, czyli posłałby „Lirę” na dno. Nie mogliśmy

przecież pozwolić na to, żeby „Alfa” z nuklearnymi pociskami manewrującymi opanowana przez terrorystów wymknęła się nam z rąk. – Lewis uśmiechnął się. – Pomyłka nie zrobiła wielkiej różnicy, bo gdy storpedowaliście frachtowiec, plan rezerwowy i tak wszedł w życie. Zaskoczyliście nas. Nie sądziliśmy, że zaatakujecie „Kirowskiego”, ściągniecie na siebie ogień „Tucsona” i wykorzystacie walkę do pozbycia się podstępem terrorystów. Dobra robota, ale powinieneś wcześniej zdradzić komuś swój plan, Peter.

– Skąd, do cholery, mogłem wiedzieć, że to się tak rozegra? – odparł Vornado. – Domyślam się, że w związku z tym w CIA nie ma dla mnie miejsca?

Lewis pokręcił głową.

– Przykro mi, Peter. Jak powiedziałem, dyrektor był wściekły. Częściowo dlatego że uznał, iż jesteś impulsywny. Uważa, że nie ma sposobu, żeby cię kontrolować.

Priscilla zerknęła na Vornado, potem znów spojrzała na Lewisa.

– W każdym razie, proszę to przyjąć wraz z gratulacjami od agencji. – Lewis wręczył zgromadzonym koperty. Vornado otworzył swoją. W środku znajdował się czek na znacznie większą sumę niż wymieniona w kontrakcie.

– Hank, co się stało z „Lirą”? – zapytał Kaminsky.

– Niszczyciel holował „Alfę” do bazy brytyjskiej Royal Navy w Faslane w Szkocji. Trasa była stosunkowo

krótka, tysiąc trzysta mil morskich od miejsca zatonięcia „Tucsona”. Niestety pękła lina holownicza. Kiedy próbowali ją ponownie zaczepić, „Alfa” nabrała wody i zatoneła. Leży teraz na dnie Morza Norweskiego.

Peter Vornado spuścił wzrok. Pracował tak ciężko nad tym okrętem podwodnym. „Lira” była nie tylko osiągnięciem ludzkości; również dziełem sztuki. Poczuł się, jakby dostał wiadomość o śmierci własnego dziecka. Mówił sobie, że to tylko maszyna, ale nic nie pomagało. Spojrzał na Lewisa.

– Wydobyli przynajmniej notebook z kajuty kapitańskiej? – zapytał drżącym głosem. – Zapisalem w nim wszystkie szczegóły konstrukcyjne „Liry”, rysunki techniczne, specyfikacje, obliczenia... Moglibyśmy zbudować następną.

Lewis pokręcił głową.

– Nikt o tym nie wiedział. Notebook poszedł na dno głębokiego rowu oceanicznego razem z okrętem. Niszczyciel przekazał, że słyszeli implozję kadłuba. Pewnie zmienił się w kupkę złomu.

Dalszy ciąg odprawy przebiegł bez sensacji. Przy drzwiach Vornado uścisnął Lewisowi dłoń.

– Dzięki za szansę. Szkoda że nie mogę wrócić do pracy.

– Z tym – Lewis wskazał kopertę – już nigdy nie będziesz musiał pracować.

Nie w tym rzecz, pomyślał Vornado. Nie chodzi o pieniądze.

– Jeszcze jedno – dodał Lewis i spojrzał na złotego Roleksa Vornado. – To niestety zostaje u nas. Polityka agencji: żadnych trofeów.

Vornado popatrzył smutno na zegarek i pomyślał o Juriju, Siergieju i Leonie, którzy zginęli podczas eksplozji. Jurij, jak się okazało, nie był wcale ojcem „Swietłany”, lecz jeszcze jednym agentem Lewisa. Mimo to jego śmierć bolała. A bracia Kaznikow – choć międzynarodowi przestępcy – traktowali Vornado przyzwoicie, po ludzku. Brakowało mu ich, mimo że byli wrogami CIA. Może dyrektor ma rację, pomyślał Vornado. Pewnie nie nadaję się na szpiega. Westchnął, zdjął zegarek i wręczył Lewisowi. Hank klepnął go w ramię i opuścił salę.

Podszedł Victor Kaminsky. Vornado uściskał mu dłoń.

– Dzięki, Vic. Wspaniale było znów cię spotkać. Dwadzieścia lat temu nie podziękowałem ci za uratowanie mojej kariery aspiranta, więc pozwól, że zrobię to teraz.

Kaminsky uśmiechnął się.

– Nie ma sprawy, Peter. Ale to zdumiewające. Tamtego dnia postąpiłem słusznie, chociaż wtedy nie byłem o tym przekonany. W każdym razie, powodzenia. – On i Lewis odeszli korytarzem.

Vornado odwrócił się do Priscilli i wyciągnął rękę. Uśmiechnęła się i objęła go jednym ramieniem, drugim wspierając się na lasce. Kiedy przytuliła się do niego, usłyszał, że pociągnęła nosem. Odsunęła się i spojrzała

mu w oczy.

– Żegnaj, Peterze. Nigdy cię nie zapomnę.

Vornado obserwował ją, dopóki nie skręciła daleko za róg korytarza. Wrócił do sali konferencyjnej i popatrzył przez okno na szary dzień. W końcu wziął z krzesła swoją sportową marynarkę i płaszcz. Ruszył do wyjścia. Oddał w biurze przepustek swój identyfikator gościa, ubrał się i wyszedł wolno w pochmurne, zimne popołudnie.

Na parkowej ławce siedział mężczyzna w czarnym płaszczu i białej czapce. Na widok Vornado wstał. Był komandorem marynarki wojennej, o głowę niższym od Vornado. Uśmiechnął się, kiedy Peter podszedł bliżej. Wyciągnął pięści i Vornado uderzył w nie swoimi.

– Co ty tu robisz, BK? – zapytał.

– Przyjechałem na odprawę, jak ty. Wszyscy, którzy przeżyli, zostali przeprogramowani. Okazuje się, że wcale nie byliśmy na Morzu Barentsa. Odbywaliśmy rutynowy rejs na południowym Atlantyku, który źle się skończył z powodu awarii akumulatora. Moja załoga nie poległa honorowo w walce. Zginęła przez głupią eksplozję akumulatora. – Dillinger westchnął i zacisnął zęby. Spojrzał Vornado w oczy. – Słuchaj, zwolniłem twojego kierowcę. Możesz pojechać z nami. Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

W limuzynie Dillingera siedziała jego zastępczyni, komandor porucznik Natalie D'Assault.

– Już się poznaliśmy, XO – powiedział Vornado. – Co słychać, Natalie?

– Cześć, Peter. – Uścisnęła mu dłoń i uśmiechnęła się ciepło.

– Ona już nie jest moim XO – wyjaśnił Dillinger.

– Och, dopóki nie dostaniesz nowego okrętu.

– Dziś się dowiedziałem. Joe Palacz Kraft dał mi twojego starego „Hamptona”. Przykro mi, Peter. Wiem, że to dla ciebie trudne. Kochałeś ten okręt. Ale przynajmniej ja będę dowodził tym staruszkiem, nie ktoś, kto go nie doceni.

– Nie, nie, to wspaniale, BK. Cieszę się razem z tobą. – Vornado mówił szczerze. Choć wciąż go bolało, że już nie dowodzi „Hamptonem”, lepiej było, że BK dostał ten okręt. – I komandor porucznik D'Assault nie zostanie twoim XO?

– Nie. Bo widzisz... to nie jest po prostu komandor porucznik D'Assault. Patrzysz na przyszłą panią Dillinger.

Natalie dała mu kuksańca.

– Nie mów tak, jakbym była twoją własnością. Powiedz po prostu: „Peter, jesteśmy zaręczeni”.

– No, proszę – odparował Dillinger. – Już rządzi.

Vornado popatrzył na nich. D'Assault spojrzała na Dillingera. Najwyraźniej była w nim zakochana. BK wręcz promieniał.

– Gratuluję – powiedział Vornado i na chwilę zaniemówił. – A niech mnie, BK. Tylko ty potrafisz znaleźć prawdziwą miłość w samym środku bitwy.

– Będziesz moim drużbą?

– Jasne. – Vornado uśmiechnął się szeroko.

– Skoro już mówimy o bitwach, Peter – wtrąciła się D'Assault. – Stoczyłeś cholernie dobrą walkę.

– Chcesz wiedzieć, co mi pomogło? – zapytał Vornado.
– Wciąż zadawałem sobie pytanie: „Co by zrobił Dillinger?” I znałem odpowiedź. Walczyłby bez skrępowań aż do śmierci.

Dillinger patrzył na przyjaciela przez dłuższą chwilę.

– Dzięki, Peter. To mi się podoba.

W opuszczonym sektorze bazy Królewskiej Marynarki Wojennej w Faslane w Szkocji zniszczone okręty brytyjskiej Royal Navy były przycumowane do zrujnowanych nabrzeży. Od pięćdziesięcioletnich niszczycieli i krążowników odpadała farba. Za długim rzędem starych niszczycieli stał zardzewiały hangar. Zaczynał się daleko w głębi lądu i kończył na krawędzi wody. Wiele lat temu przerobiono go z hangaru lotniczego na budynek warsztatowy, gdzie można było wprowadzać okręty, żeby naprawiać je pod dachem, zamiast na deszczu i zimnie północnej Szkocji. Na zewnątrz nie było światła i oznak życia. Budynek nie miał okien, na wszystkich drzwiach wisiały ciężkie łańcuchy.

Wewnątrz mocne reflektory oświetlały okręt podwodny w basenie z czarną wodą. Kadłub był wgnieciony, burty częściowo zmiażdżone. W miejscu kiosku sterczały szczątki stalowych wsporników, masztów i peryskopu. Z wjazdu dziobowego, który kiedyś znajdował się pod przednią krawędzią kiosku, wyłonił się mężczyzna.

Trzymał notebook. Stał na pokładzie dziobowym i wręczył komputer swojemu współpracownikowi.

– Nie do wiary, co?

Drugi mężczyzna przytaknął.

– Zautomatyzowany okręt podwodny obsługiwany przez kilku ludzi w sterowni. Nieprawdopodobne.

– Ile potrzeba czasu, żeby go odbudować?

– Rozpracowanie tego cholerstwa zajęłoby co najmniej rok. Rekonstrukcja dużo krócej. Jankesi chcą tylko, żeby był wodoszczelny i zdołał dopłynąć przez ocean do tajnej stoczni na Wschodnim Wybrzeżu.

– Jak myślisz, co zamierzają z nim zrobić?

– Chyba sami nie wiedzą.

Światła w salonie były zgaszone, tylko łagodny blask lampek choinkowych oświetlał pokój. Peter Vornado dorzucił szczapę do ognia i wrócił na kanapę w objęcia Rachel. Pocałował ją, najpierw delikatnie, potem bardziej namiętnie.

Otworzyła szeroko oczy z udawanym przerażeniem.

– Peter, dzieci jeszcze nie śpią – upomniała go obłudnie i wtuliła się w niego. – Bardzo tęskniłam za tobą. Dzięki Bogu, że już nie pracujesz w tej starej, brudnej stoczni w Peru. Założę się, że z radością wróciłeś z tropików do mroźnej zimy w Wirginii.

– Oczywiście – odparł.

– Tęsknisz jeszcze za marynarką wojenną? – spytała.

Przytaknął z powagą.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro z tego powodu. Kiedy byłeś w Peru, wiedziałam przynajmniej, że nic ci nie grozi.

– Naprawdę? To tam rozbiłem sobie głowę.

– Wiem, ale nie narażałeś życia. Nie to, co BK, który o mało nie zginął w tym dziwacznym wypadku. Nie przespałam ani jednej nocy, kiedy wyływałeś w morze „Hamptonem”.

– Za dużo mówisz – mruknął. Nachylił się, żeby znów ją pocałować, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach.

– Kto to może być? – zapytała, ocierając usta. Sięgnęła do torebki po kosmetyczkę i z wprawą poprawiła makijaż.

Vornado poszedł otworzyć.

Za progiem stał komodor Joseph Kraft w czarnym płaszczu marynarki wojennej. Pod pachą trzymał czapkę, w rękę butelkę szampana. Uśmiechał się szeroko. Towarzyszyli mu komandor Burke Dillinger i komandor porucznik Natalie D'Assault, oboje w mundurach.

– Cześć – przywitał ich Vornado. Nie był pewien, jak ma to rozumieć.

– Wybacz, że ładujemy się do ciebie w piątkowy wieczór – powiedział Kraft. – Ale mamy cholernie dobrą wiadomość. Za dobrą na telefon. Usłyszałem ją w biurze, kiedy był u mnie kapitan Dillinger i zapytał, czy mógłby przyjechać ze mną i zabrać swoją XO.

– Wejdźcie.

Vornado przedstawił Rachel Natalie. Obie kobiety uśmiechnęły się serdecznie.

– Co to za wspaniała wiadomość? – zapytał w końcu Vornado.

Kraft wyszczerzył zęby.

– Pamiętasz przewodniczącego komisji lekarskiej, który ciągle odrzucał moje prośby o zbadanie twojej sprawy? Okazało się, że to jakiś komandor porucznik odstawiony na boczny tor. Nazywa się Whitehead. Już wyleciał z marynarki. Wyszło na jaw, że miał romans ze swoją XO, nawet w godzinach pracy. Wyobrażasz sobie? W każdym razie, zastąpił go nowy przewodniczący. Wezwał mnie i oznajmił, że zadzwonił do niego szef operacji morskich. Nie szef sztabu. Nie admirał dowodzący służbą medyczną marynarki wojennej. Sam czterogwiazdkowy szef cholernych operacji morskich. Kazał mu natychmiast przejrzeć akta Vornado, bo czeka przy telefonie. Wynik był taki, Peter, że dziś o piątej po południu zostałeś przywrócony do służby podwodnej.

Vornado rozpromienił się.

– O, mój Boże. Żartuje pan. – Spojrzał na Rachel. Wyglądała na oszołomioną.

– A teraz najlepsze, Peter. Moja eskadra dostała właśnie fabrycznie nowy okręt klasy Virginia, USS „Texas”. Jest twój. Oczywiście, jeśli chcesz. Co ty na to?

Vornado długo patrzył na Krafta, potem wolno spojrzał na Rachel. Spodziewał się, że żona pokręci głową, zwłaszcza po tym, co niedawno powiedziała. Ale w końcu przytaknęła i z radosną miną pokazała mu uniesiony kciuk.

Peter Vornado z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To byłby dla mnie zaszczyt, komodorze.

Kraft otworzył szampana. Przyszły kapitan okrętu podwodnego USS „Texas” uniósł kieliszek i uśmiechnął się do żony, szefa i najlepszego przyjaciela.

Od autora

Eksperymentalna szczepionka, która wyleczyła Petera Vornado, istnieje naprawdę. Program jest prowadzony w uniwersyteckim ośrodku badań nad rakiem Duke University Comprehensive Cancer Center pod kierownictwem doktora Allana Friedmana. Glejak to najbardziej zabójcza odmiana raka mózgu, która szybko doprowadza do śmierci młodych ludzi. Wiosną 2002 roku wykryto tę chorobą u jednego z naszych najserdeczniejszych przyjaciół. Miał zaledwie 37 lat, odnosił sukcesy zawodowe, był szczęśliwym mężem i ojcem dwojga dzieci. Konwencjonalna terapia mogła mu przedłużyć życie tylko o dwa tygodnie. Dzięki udziałowi w eksperymentalnym programie szczepień na Duke University doświadczył cudownego, aczkolwiek krótkiego uzdrowienia. Kilka miesięcy później pojawił się kolejny nowotwór. Sytuację skomplikowało wodogłowie. Stan zdrowia pacjenta pogorszył się w ciągu tygodni. Nasz przyjaciel zmarł nieco ponad siedem miesięcy po pierwszym zdiagnozowaniu glejaka. Dalsze badania i większe środki finansowe mogą przyczynić się do pokonania tej strasznej choroby. Fundacja Brad Kaminsky Foundation stawia sobie za cel znalezienie leku na glejaka i inne odmiany raka mózgu. Więcej informacji o tej wartościowej działalności dobroczynnej można uzyskać na stronie internetowej www.tbkf.org.

Opisany w powieści rosyjski okręt podwodny „Alfa ” (Projekt 705 „Lira ”) istnieje naprawdę. Jego plan zamieszczony w książce odpowiada rzeczywistości, podobnie jak historia tego okrętu i zamieszanie, jakie wywołał w CIA i Departamencie Obrony. Odtajnione informacje udostępnione badaczom i mediom zawierają (być może celowo) pewne nieścisłości. Jedną z nich jest prędkość „Alfy”, znacznie wyższa od podawanej. Okręt istotnie mógł schodzić głębiej i pływać szybciej niż poprzedniczki torped ADCAP Mark 48, ale był tak głośny, że kwestionowano jego użyteczność. Wciąż jednak pozostaje jedną z najbardziej innowacyjnych konstrukcji, jakie kiedykolwiek zanurzyły się w morzach świata. Gdyby go dziś wskrzesić z wykorzystaniem bardziej cichych mechanizmów i nowoczesnej technologii, byłby naprawdę groźny – może nawet znów wywołałby panikę w Pentagonie i Langley.

„Alfa ” jest nie tylko cudem techniki, lecz również świadectwem porażki agencji wywiadowczych po obu stronach frontu zimnej wojny. Zachód nie zorientował się bowiem, że „Lira ” to stara koncepcja, której realizacja zajęła dziesiątki lat, a nie nowy etap w rozwoju okrętów podwodnych. Gdy Zachód zareagował na niepokonaną „Alfę” o zdumiewającym poziomie automatyzacji, będącą w stanie pływać głębiej i szybciej od amerykańskich torped, Rosjanie dopiero zaczęli zdawać sobie sprawę, że przy projektowaniu okrętu podwodnego najważniejsze jest jego maksymalne wyciszenie, a nie duża szybkość.

Być może nieporozumienia, które ujawnił ten incydent, są typowe dla zmagañ agencji wywiadowczych lub te służby celowo nagłaśniają swoje niepowodzenia. Używają tego sprytnego wybiegu po to, żeby przeciwnicy ich nie doceniali, co mogłoby ułatwić odniesienie zwycięstwa. W każdym razie, całkiem możliwe, że o sukcesach CIA dowiemy się dopiero kilkadziesiąt lat po fakcie.

Michael DiMercurio
readermail@ussdevilfish.com
Princeton, New Jersey